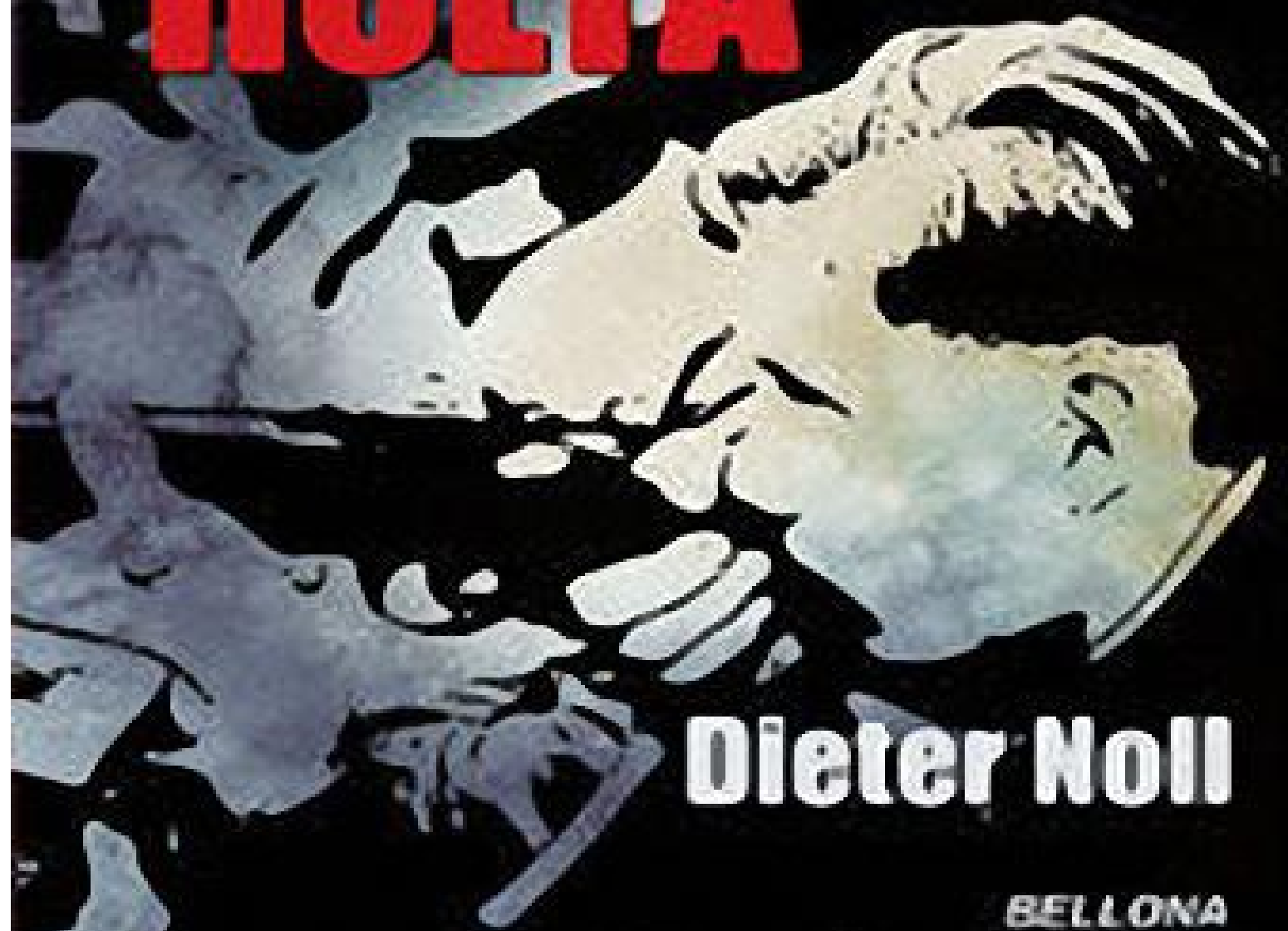


POWIEŚĆ WOJENNA

PRZYGODY WERNERA HOLTA



Dieter Noll

BELLONA

Przygody Wenera Holta

Tłum. Zofia Rybicka

Prolog

Zaskrzeczał budzik. Werner Holt, wyrwany ze snu, wyskoczył z łóżka i zachwiał się z lekka.

Nie czuł się wypoczęty, wręcz przeciwnie, był jakoś dziwnie sflaczały i trochę jakby zamroczony. Głowa go bolała. Za godzinę rozpoczynają się lekcje.

Przez otwarte na oścież okna wlewało się do pokoju słońce. Maj 1943 roku przyniósł ze sobą na ostatku dni upalne i suche – wspaniałą pogodę na plażę. Bystra rzeczka, która pod tym małym miasteczkiem przedzierała się przez góry, pociągała swymi zielonymi brzegami o wiele bardziej niż szkoła z czerwonej cegły i jej zatęchłe klasy.

Matematyka, historia, botanika i zoologia, pomyślał Holt, a potem dwie godziny z Massem, z profesorem Massem, łacina i angielski. Tłumaczenie z Liwiusza muszę odpisać od Wiesego, na dużej przerwie. Jeżeli mnie Zickel wywoła, me-me, to będzie kłapa... Tępy ból, który tkwił

gdzieś pod czaszką, stopniowo ustępował. Holt przypomniał sobie teraz, że miał podniecający i zarazem zatrważający sen. Śniła mu się Maria Krüger i jej cygańska, bajecznie kolorowa spódnica, a potem jakaś bójka z Wolzowem.

Jestem chory, pomyślał, gdy za trzecim przysiadem przy otwartym oknie zakręciło mu się w głowie, nie pójdę do szkoły, czuję się podłe, zostanę w łóżku. Nie, to niemożliwe! Jeżeli nie będzie mnie dziś w sokole, to przegram, powiedzą, że mam pietra przed Wolzowem. Na samą myśl o tym poczuł się jeszcze bardziej podle. Wczoraj była draka z Wolzowem, i przedwczoraj, co dzień była draka; a dziś mieli się bić. Nie bał się nikogo w klasie, ale z Wolzowem nie miał

żadnych szans; i tym samym był skończony. Bo niezwykły bohater, od Homera aż po dziś dzień, musi być mocny nie tylko w gębie, a pokonany fanfaron jest jedynie śmieszny.

Rozpacz, myślał Holt rozdygotany, myjąc się niechętnie zimną wodą i patrząc przy tym w lustro, jedna wielka rozpacz; gdybyśmy byli przyjaciółmi, Wolzow i ja, moglibyśmy opanować całą szkołę, bo starsze roczniki są już w wojsku i my jesteśmy najstarszą klasą.

Wytał się ręcznikiem. Przejechał ręką po policzkach i górnej wardze: zarost ledwo zaczął

się pokazywać, i to było największym zmartwieniem Holta. Golił się tylko ze względów prestiżowych. Szesnaście i pół roku i ciągle jeszcze prawie bez zarostu... hańba! Nic dziwnego, że z taką gładką gębą nie miał odwagi zbliżyć się do Marii Krüger, kiedy snuła się jak kotka po pływalni. A jednak: gdy ją niedawno spotkał – przypomina sobie to całkiem dokładnie – rzuciła mu powłóczyście spojrzenie... A poza tym: czyż broda jego nie drapie już całkiem przyzwoicie?

Metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, waga sześćdziesiąt siedem kilo, szczupły, ale muskularny, tylko że przy Wolzowie, który ma metr osiemdziesiąt osiem wzrostu i waży blisko dziewięćdziesiąt kilo, prawie szczeniak. Widział się w lustrze ciemnooki i ciemnowłosy, włosy stały mu dęba jak szczotka. Uczesał się i ubrał. Ból głowy mu przeszedł, tylko ten tępy ucisk pod czaszką nie chciał ustąpić. Trudno mu też było łykać ślinę, i usta miał spieczone.

Wolzow z dawien dawna uchodzi w szkole za największego rozrabiakę, dwa razy już zwoływano z jego powodu radę pedagogiczną, za trzecim razem uniknął wylania ze szkoły tylko dzięki interwencji swego stryja generała. A ja, idiota, zjawiam się nowy w klasie i włożę mu w drogę, zamiast ubiegać się o jego przyjaźń! To byłby przyjaciel, ten Gilbert Wolzow, przyjaciel jak Hagen z Tronje, jak Winnetou, jak Roller!

Holt był gotów, wepchnął jeszcze szybko parę książek do teczki i zbiegł po schodach na dół.

Dom należał do sióstr Dengelmann, Weroniki i Eulalii, a właściwie do ich matki, osiemdziesięcioletniej staruszki, która była już tak zdzieciniała, że ją ubezwłasnowolniono. Siostry, jedna pięćdziesięciodwuletnia, a druga czterdziesto-sześćoletnia, prowadziły pensjonat, „pokoje z całodziennym utrzymaniem dla samotnych panów”. Holt był

rozpieszczany, jako że jego matka dobrze płaciła; Holt był przez całe swoje życie rozpieszczany.

Od dwóch miesięcy mieszkał w tym pensjonacie i tyranizował obie siostry.

Wszedł do pokoju na parterze i zawołał o kawę. Weronika Dengelmann, młodsza z sióstr, z nalaną twarzą i włosami zakręconymi na papiloty, postawiła przed nim filiżankę i talerz z pokrajanym chlebem. – Dzień dobry.

Holt nie odpowiedział. Myślał tylko: Jestem chory. Ta zaraz znowu zacznie: Niech się pan pospieszy... Łykanie sprawiało mu ból, gardło go bolało. Panna Dengelmann powiedziała: –

Niech się pan pospieszy! Znowu będzie na nas, jak się pan spóźni...

Holt odsunął talerz z chlebem. Do pokoju weszła Eulalia, otulona w sprany szlafrok. Gębę ma jak owca, pomyślał Holt, a Weronika wygląda jak księżyc w pełni.

– Niech pan już idzie – powiedziała także Eulalia – dochodzi przecież siódma...

Holt rzucił jej wściekle spojrzenie. Jeżeli Wolzow mnie spierze, muszę popełnić jakieś szaleństwo, żeby odzyskać twarz. I to na lekcji Massa, koniecznie na lekcji wychowawcy klasy!

Wszystkich nauczycieli już zrobiłem na szaro, Zickela me-me, Schönera, Grubera, wszystkich...

Niech sobie Zemtzi podkpiwa: Przy Massie się nie odważysz... Przy Massie nikt się nie odważy, nawet Wolzow. Ale ja nie jestem frajer, nabiję w butelkę nawet Massa, i zostanę bohaterem dnia. Udam przed Massem, że straciłem mowę, a jak będzie mnie chciał ukarać, wyciągnę z kieszeni świadectwo lekarskie, że jestem od wczoraj głuchoniemy; ale skąd ja wezmę takie świadectwo? Albo lepiej, jak mnie wywoła do odpowiedzi, udam, że nie mogę zamknąć ust i potrafię jeszcze tylko bełkotać, po prostu skurcz mięśni, szczęki mi wyskoczyły z zawiasów; klasa będzie wyć z uciechy, a jak Mass będzie już bliski ataku serca z wściekłości, ktoś, o wszystkim uprzedzony, da mi w gębę i znowu będzie wszystko w porządku, niech mi potem Mass spróbuje coś udowodnić! Tale, to jest świetna myśl! Albo... może by go tak zaszachować tymi idiotycznymi tasiemcowymi zdaniem?

Siedział przy stole znieruchomiały. Co za cudny dzień! Gdyby tak mieć żagłówkę! Można by

wówczas... Spojrzenie jego padło na schyloną za oknem postać starej Dengelmannowej; starszka dreptała po grządkach i wrywała z ziemi młodziutkie sadzonki kalarepy, jedną po drugiej... – Prawie co dzień spóźnia się pan do szkoły – zrzędziła Weronika Dengelmann. –

Wczoraj spotkałam pana Benedicta... – Benedicta? To przecież nauczyciel gimnastyki, ale on jest nieszkodliwy... A stara wrywa już teraz sadzonki sałaty! – Niech pani lepiej uważa na swój kram z zieleniną – powiedział Holt głośno – stara jest w ogrodzie!

– Obożeoboże! – Drzwi trzasnęły. W ogrodzie podniósł się krzyk.

Holt wyszedł z domu. Wolniutko powlókł się wzdłuż toru kolejowego; nie spieszył się, tak czy owak nie zdąży już na pierwszą lekcję, a wymówka już się jakaś znajdzie. Zwykle wina spadała na spuszczone szlaban.

– Holt! – zawołał nagle ktoś za nim. – Poczekaj!

To Rutscher, zatruje mi całą drogę do szkoły. Fritz Rutscher był synem zmarłego przed dwoma laty profesora gimnazjalnego. – Już po siódmej – wykrztusił – musimy się spieszyć! –

Od szybkiego biegu był tak zdyszany, że całkiem zapomniał się jękać.

– Masz pietra? – spytał Holt zjadliwie. – We dwóch – zaczął jękać Rutscher, płowowłosego chłopak – we dwóch łatwiej znaleźć wymówkę! – Przeszli na drugą stronę toru. Znaleźli się teraz na szerokiej, wysadzonej lipami alei Bismarcka, która prowadziła w dół do miasteczka. Po lewej i prawej stały wille.

Tu mieszkają Barnimowie, pomyślał Holt. Obrzucił z ciekawym spojrzeniem duży dom, obłożony klinkierem. Pułkownik Barnim miał dwie córki. Gerda, piętnastoletnia, chodziła do żeńskiego gimnazjum; Holt czasem ją spotykał po drodze do szkoły, takie sobie chude, piegowate dziewczę. Ale ma podobno jeszcze siostrę. Uta Barnim. Dziewiętnaście lat, matura z odznaczeniem, a zeszłego roku mistrzostwo okręgowe w tenisie. Jeszcze jej ani razu nie widziałem, ale wszyscy mówią, że to najładniejsza dziewczyna w mieście. A tu mieszka Peter Wiese, zaraz obok nich. Jest naturalnie już dawno w szkole, ten Wiese-Peter, rzeczywiście prawdziwy Miesepeter* [*Gra słów: Miesepeter – ofierma.], prymus, który wszystko umie i potrafi wygłosić mowę po łacinie, ale nigdy nie bierze udziału w żadnej drace. Gra za to wspaniale na fortepianie.

Holt często zjawiał się pod pierwszym lepszym pretekstem w domu sędziego Wiese i zawsze w końcu mówił: „Zagraj coś, ty...” Chorowity, kruchy Peter siadał zaraz do fortepianu. Holt, zamarły bez ruchu w fotelu, mógłby tak go słuchać godzinami.

Nagle przed oczyma Holta zawirowały jakieś ogniste koła, w uszach mu szumiało...

Z trudem łapał oddech. – Co ci się stało? – zawołał Rutscher.

Holta przebiegł zimny dreszcz, a potem zrobiło mu się dla odmiany gorąco. Czyżby był

rzeczywiście chory? Widział wszystko jakoś całkiem blisko, jak przez powiększające szkło, a głos

Rutschera wydawał mu się echem...

– Co powiemy Schönerowi? – zapytał Rutscher.

– Na przejeździe kolejowym zdarzył się wypadek. Jakiś rowerzysta wpadł na ciężarówkę.

Rutschera aż zatkało ze zdumienia: – Tyś to w-w-widział?

– Tak powiemy! Musieliśmy wszystko podać policji do protokołu.

– Genialne! – I teraz już i Rutscher zaczął fantazjować. – Ja powiem, że ten rowerzysta s-s-strasznie krwawił!

– Przestań – powiedział Holt. – I zostaw to mnie, zrozumiano?

Holt zatrzymał się w drzwiach i ogarnął wzrokiem klasę. Schöner, nauczyciel matematyki, stał przy tablicy i zasmarowywał ją jak zwykle od góry do dołu cyframi. Był to mężczyzna w wieku lat sześćdziesięciu ośmiu, który, tak jak niemal wszyscy profesorowie uczący w tej szkole, przeszedł już na emeryturę, teraz jednak znowu został powołany do pracy pedagogicznej.

Uczniów zostawiał w spokoju i liczył sam; na jego lekcjach panowała cisza; nikt, poza Peterem Wiese, nie uważał. Holt spostrzegł, że w kącie pod oknem gruby Christian Vetter, syn właściciela sklepu papierniczego, gra z kimś w karty. Gilbert Wolzow, z powodu swego ogromnego wzrostu pochylony w ławce, czytał jakąś grubą książkę.

Holt wyrecytował swoje usprawiedliwienie tak bezczelnym i prowokującym tonem, że już przez sam ten ton musiało się ono wydawać niewiarygodne... Krwawiący rowerzysta powitany został wprawdzie wrzaskiem, ale nie było w tym wrzasku wielkiego entuzjazmu. Tylko Fritz Zemtzi, chłopczek z ogniście rudymi włosami, zapiszczał wysokim dziecinnym głosem: „O

Boże, biedny, biedny rowerzysta!” – ale i to nie znalazło żadnego oddźwięku. Zapanowała znowu cisza; Vetter w kącie rzucił na stół swoje atuty.

Schöner zapisał spóźnienie Holta w dzienniku. Rutscher przemknął się na swoje miejsce niepostrzeżenie. Zapisanie w dzienniku nie miało żadnego znaczenia, bo Schöner pisał ołówkiem i jego uwagi wycierano później gumką, zarówno nagany, jak i zadania domowe. Lecz gdy Holt wchodził podczas przerwy na katedrę z gumką w rękę, Wolzow krzyknął ostro i zjadliwie: – To tak, teraz masz pietra, żeby się Mass nie dowiedział!

Holt zamknął dziennik. – W porządku, niech ta uwaga zostanie! Ja i pietra? – powiedział. –

To inni ludzie mają przed Massem pietra, choć zwykle są mocni w pysku!

– Masz mnie na myśli? – zapytał Wolzow groźnie, przekrzywiając głowę. Ale w tym samym momencie rozległ się z korytarza ostrzegawczy gwizd, i Knack wmaszerował do klasy, trzydziestoletni, nie zdolny do służby wojskowej z powodu wady serca, profesor Knack. – Heil Hitler, koledzy!

Klasa odpowiedziała: – Heil Hitler!

– ...kolego Knack – dorzucił Holt, bo chciał Wolzowowi pokazać. W klasie rozległ się stłumiony śmiech aplauzu. Wolzow zagryzł wargi. Holt po raz drugi tego ranka został

zapisany w dzienniku, otrzymał naganę za swoją „niearyjską bezczelność”, jak to Knack obwieścił tym swoim komenderującym, zbliżonym do charkotu głosem. Dopiero potem rozpoczęła się lekcja historii. To ulubiony przedmiot Wolzowa, pomyślał Holt.

Gilbert Wolzow parę miesięcy temu skończył szesnaście lat. Jego ojciec, pułkownik Wolzow, dowodził pułkiem na froncie wschodnim. Jeżeli wierzyć Wolzowowi, to Wolzowowie byli pruskim rodem oficerskim, który już od dwustu lat wydawał bez wyjątku samych tylko oficerów; brat pułkownika Wolzowa był generałem majorem. Gilbert też chciał zostać oficerem i przygotowywał się do tego już od dzieciństwa.

Był on niekoronowanym królem klasy, ba, całej szkoły, królem absolutnym, który wszystkie kliki i grupki, jakie wśród uczniów istniały, trzymał w garści przemocą i, dopóki Holt nie pojawił się w klasie, nie znosił sprzeciwu. Jednocześnie był on „najbezczelniejszym i najbardziej leniwym uczniem tego zakładu”, jak mawiał często Mass, opiekun klasy, bo z większości przedmiotów miał tak kiepskie stopnie, że jego promocja do następnej klasy była poważnie zagrożona. Za to we wszystkim, co miało jakiś związek z wojną, z wiedzą wojskową, z historią wojen, z techniką wojenną i sprzętem wojennym, był fenomenem. Dość wcześnie zaczął czytać książki z wojskowej biblioteki swojego ojca, a że miał zdumiewające świetną pamięć, zapamiętywał tysiące najdrobniejszych szczegółów i sypał nimi w miarę potrzeby jak z rękawa; jeżeli umknęła mu z pamięci data jakiejś bitwy czy nazwisko jakiegoś wodza, to zaglądał do grubego notesu, który nosił zawsze przy sobie... Siedział teraz w ławce odchylony do tyłu, a jego twarz o szarych oczach i orlim nosie zwrócona była w stronę Knacka.

Knack i Wolzow prowadzili ze sobą na lekcjach historii nie kończące się debaty. Knack określał często swój punkt widzenia na historię jako „rasowo-narodowy”. Wolzow stał przy ławce i dowodził: „Historia to wojna. Od roku 1469 przed Chrystusem do 1930 po narodzeniu Chrystusa mieliśmy tylko dwieście sześćdziesiąt cztery lata pokoju, a wojny aż trzy tysiące sto trzydzieści pięć lat...” – „Nie zapominaj o momencie rasowym – uzupełniał Knack – o tym czynniku różnicującym narody, o dynamizmie ras...”

Holt siedział milcząco na swoim miejscu i słyszał, jak Knack monotonnym głosem charkocze: – Rzesza opiera się całkiem świadomie na prastarych mitach i impulsach narodu... –

Na wpół drzemał, głowa go bolała, gardło miał jak zasznurowane... Obok niego siedział Sepp Gomulka, syn adwokata, brązowowłosy, mądry chłopiec, który zwykle trzymał się od wszystkiego z daleka i tylko czasami, w przypiływie odwagi, brał udział w psikusach, jakie klasa płała swym starszkom nauczycielom. Gomulka chadzał własnymi ścieżkami, włóczył się ze swoją małokalibrowką po lasach i strzelał do sójek, zamiast odrabiać lekcje. Kiedy Knack tak gadał i gadał, Gomulka wycinał coś scyzorykiem na ławce i chował wiórki do tutki zrobionej z bibuły. Przed Holtem siedział wątlwy, wiecznie kwękający Peter Wiese, który dla zdrowia musiał tego lata spędzać codziennie dwie godziny na pływalni i uprawiać sport i który bardzo cierpiał z powodu tego

surowego reżimu. Holt napisał na kartce: „Daj mi swoje tłumaczenie z łaciny!” Na wypadek gdyby Wiese się wzbraniał, chciał jeszcze dodać jakąś groźbę, w końcu jednak zaniechał tego i podsunął kartkę Wiesemu. Wiese przeczytał ją i skinął głową na znak zgody.

Ale podczas dużej przerwy Holt nie miał okazji odpisać tłumaczenia, choć u profesora Massa nieodrobienie zadania domowego mogło mieć przykre następstwa. Uczniowie udali się do pracowni biologicznej. Zbliżająca się lekcja z doktorem Zickelem, przezwanym „me-me”, wyrwała ich z letargu. Christian Vetter, blondynek z puciołową dziecinną buzią i bezzęsyimi świńskimi oczkami, z którego tuszy wszyscy się stałe nabijali, próbował parę razy zakwiczec jak świnia. Wolzow i Holt stali obok siebie z obojętnymi twarzami. Gomulka ostrzył swój scyzoryk o rurę gazową, biegnącą nad stolikiem doświadczalnym, a Kirsch, syn stolarza, faworyzowany przez Knacka jako przedstawiciel „rodzimego rzemiosła”, pożerał pajdy chleba, mając nadzieję, że w ten sposób urośnie, bo miał tylko metr sześćdziesiąt wzrostu. Nadler, przysadzisty jasnowłosy chłopak, był oblegany przez swoich przyjaciół, Schönfeldta, Gruberta i innych, którzy w Hitlerjugend byli jego podwładnymi. Natomiast kariera Wolzowa jako HJ-führera po wiele obiecującym starcie skończyła się już przed dwoma laty, kiedy to zostawił swego oniemiałego ze zdumienia stammführera ze słowami: „Taki baran w sprawach wojskowych nie będzie mi rozkazywał!”

Zemtcki nagle zapiał: – Gilbert, musisz, przyznać, że Werner pierwszorzędnie Knacka zrobił!

– Wyłaż za drzwi i stań na straży! – rozkazał Wolzow. A potem powiedział do Holta: –

Tylko nie myśl, że to było coś nadzwyczajnego. – Rozejrzał się naokoło, jakby czegoś szukał.

Potem podszedł do stołu. Stał tam, obok ogromnego akwarium, kościotrup, który był potrzebny doktorowi Zickelowi do lekcji. Wolzow, w bryczesach i wysokich butach, w przyciasnej na piersiach, spranej brunatnej koszuli, wyciągnął z kieszeni kawałek węgla drzewnego i zaczął nim zasmarowywać czaszkę szkieletu. Peter Wiese zbladł. Bał się Wolzowa, którego nazywał „miles gloriosus”, żołnierzem samochwałą; Holt, długo się nie patyczkując, zastąpił oczywiście zaraz słowo „gloriosus” słowem „dęty”.

Na twarzy Wiesego malował się teraz strach, bo jego, prymusa, zawsze pierwszego pytano, kto nabroił, a ponieważ nigdy jeszcze nie okłamał żadnego nauczyciela, za zdradę natomiast dostawał bezlitosne lanie, popadał za każdym razem w rozterkę, z której inni musieli go ratować kłamstwem: Wiese nie może nic wiedzieć, bo nie było go w klasie...

Wolzow spojrział Holtowi prosto w twarz i zapytał: – Jak ci się to podoba? – Holt bez słowa podszedł do stołu, oderwał od szkieletu czaszkę i wrzucił ją do wielkiego akwarium. Woda i wodorosty chlapnęły na podłogę.

Klasa zawyla z zachwyty. Potem zrobiło się nagle cicho. Wszyscy patrzyli w napięciu na Wolzowa. Wolzow stracił panowanie nad sobą. – Poczekaj! – krzyknął, pochylając się lekko do przodu. – Jeżeli rzeczywiście jesteś taki odważny, to przyjdź dziś o czwartej na Kruczą Skałę, żebym cię mógł...

– Czyżbyś był już u kresu swoich możliwości? – zaszydził Holt. – Nic lepszego niż mordobicie nie przychodzi ci już do głowy?

– Teraz odstawię taki numer – krzyknął Wolzow – że będzie mówić o tym całe miasto! –

Zemtcki wsadził głowę przez uchylone drzwi. – Gilbert... nie! Nie! Ty... wylecisz, jeżeli cię przyłapią!

– Patrzcie go, tego wielkiego Wolzowa! – kpił dalej Holt. – Chce się bić, a ma pietra przed belframi.

Wolzow patrzył jak zaklęty w akwarium, gdzie poprzez wąsy moczarki kanadyjskiej szczyrzyła zęby zniekształcona trupia czaszka i gdzie w zielonej wodzie śmigało na wszystkie strony sześć tropikalnych złotych rybek. – Sepp – rzucił nagle rozkazująco – przynieś mi natychmiast kota od woźnego!

– Gilbert! – powiedział Gomulka – daj spokój... Mass wyrzuci cię z budy! – Ale ktoś już krzyknął Zemtckiemu na korytarz: – Masz przynieść Wolzowowi kota!

Zemtcki przyniósł kotkę, podobną do pantery drapieżną bestię, która podejrzliwie łypała ślepiami, zdenerwowana hałasem, jaki chłopcy wszczęli. Wolzow złapał ją prawą ręką za grzbiet; ułożyła mu się płasko na piersi, zwijając potulnie ogon. Wolzow zaczął ją głaskać: –

Spokojnie, kiciunia! Zaraz dostaniesz coś pięknego... – zanurzył obnażoną aż po łokieć lewą rękę w akwarium – ...coś pysznego do żarcia... coś bez kartek... taki dodatkowy przydział! –

I rzucił pierwszą rybkę na podłogę... Kotka zeskoczyła błyskawicznie na ziemię i z trzepocącą się jej w pyszczku rybką zniknęła natychmiast pod ławką. Oniemiała klasa przyglądała się z zapartym tchem, jak Wolzow wyławia z akwarium śliziki i brzanki. Kotka zaczęła głośno mrużyć z zadowolenia. Żarła, aż trzeszczało, i tylko ślepia jej błyskały. Potem, ciągle jeszcze mrużąc, oblizwała się i umknęła z klasy; po rybkach doktora Zickela pozostało tylko parę błyszczących łusek.

– Tak! – rzekł Wolzow. Odpowiedziało mu ogólne milczenie. Było ono jak hołd, który Wolzow przyjął oziębło i z pogardą. – A więc tak, mój kochany! Kto tu ma pietra przed belframi? – Potem poszedł na swoje miejsce, usiadł i zabrał się do książki. Był blady. Krzyknął

jeszcze z ławki: – Tylko nie zapomnij, dziś o czwartej!

Ale Holt myślał tylko o jednym: Wyleci z budy, i ja go do tego doprowadziłem...

Zemtcki gwizdnął.

Doktor Zickel był zatroskanym człowieczkiem o wyglądzie dwunastoletniego chłopca, któremu przyprawiono głowę starca. Stał przed klasą w golfach, zielonej wiatrówce i białej koszulce z rozpiętym chłopięcym kołnierzykiem. Ochryplym dyszkancikiem zawołał: – Heil Hitler! – Miał bardzo swoisty sposób mówienia: powtarzał co chwila „nieprawdaż” i co kilka słów wydawał z siebie jakiś szczególny dźwięk, coś, co było mieszaniną pokaszliwania i pochrząkiwania, a brzmiało jak „kh-kh”. Zapytał: – Gdzie jest... nieprawdaż... dziennik...

kh-kh? – Z któregoś kąta rozległo się przytłumione „me-me”, co go z miejsca zdenerwowało, choć pozornie nie zwrócił na to uwagi... Przywykł już do przykrości. Spojrzenie jego padło na bezgłowy

szkielet, i jego chuda pierś zanosła się oburzeniem. – To jest... kh-kh... to jest straszne bezeceństwo, nieprawdaż... – Popatrzył gniewnie po klasie, potem zobaczył zdemolowane akwarium, i nogi się pod nim ugięły.

– Kto... kto to zrobił?

– Panie profesorze! – wyrwał się mały Zemtzi. – Ja nie, ale nie ja jeden tego nie zrobiłem, wszyscy inni też tego nie zrobili!

Zickel był zupełnie wytrącony z szedł do akwarium i krzyknął z takim gniewem, jego drobne ciało aż się całe zatrzęsło: – Kto... kh-kh... tę czaszkę... wy tchórzliwe nicponie... kh-kh...

kto tę czaszkę oderwał od szkieletu, nieprawdaż, to był przecież też kiedyś człowiek... kto ją wrzucił do akwarium... – Ale dopiero teraz zdał sobie w całej pełni sprawę z rozmiarów krzywdy, jaką mu wyrządzono, i przez sekundę jego drżące usta nie były w stanie wymówić nic więcej prócz prychnięcia „kh... kh-kh...”

– Wolzow! Czy to ty... te rybki...?

– Niech mi pan da spokój z tymi swoimi dziecinnymi podejrzeniami – mruknął Wolzow, wcale nie wstając... I teraz już cała klasa zaczęła łągać z uporem, o który rozbił się gniew Zickela.

Zrozpaczony staruszek zaczął śledztwo, ale że nie miał odpowiedniej kondycji fizycznej, która pozwoliłaby mu wytrzymać długotrwałe i męczące wypytywanie uczniów, zwłaszcza że okłamywano go coraz zuchwalej i drwiono sobie z niego w żywe oczy, zmęczył się bardzo prędko i był wprost bliski płaczu.

– Rybki? – powiedział Holt, kiedy przyszła kolej na niego; powiedział to z wielkim trudem, bo język odmawiał mu już posłuszeństwa; ledwo miał siłę wstać. – Rybki zniknęły? Może...

zeżał je kościotrup! – Entuzjastyczny ryk klasy ledwo już do niego dotarł. – Co za podłe chłopaczysko... kh! Następny, Vetter, gdzie się podziały te śliczne czerwone rybki?

– Czerwone rybki? – zdziwił się Vetter. – Czy to w ogóle były rybki? Ja zawsze myślałem, że to pomidory!

– Panie profesorze! – zawołał Zemtzi, dźgając palcem powietrze. – Ja te czerwone rybki widziałem! Jeszcze wczoraj były w akwarium. Pod hajrem! Ale aż sześć, nie, tak wiele ich nie było!

– A ile... kh-kh... widziałeś? – zapytał Zickel, w którego wstąpiła znów nadzieja.

– No, tak pi razy oko: jedną – odpowiedział Zemtzi, i tymi swoimi wielkimi błękitnymi oczyma spojrzał niewinnie nauczycielowi prosto w oczy.

Dochodzenie przeprowadzone przez Zickela nie dało żadnego rezultatu. Poprowadził je dalej profesor Mass. Holt nie brał już udziału w rozgardiaszu, jaki powstał na przerwie. Siedział

skulony na swoim miejscu w klasie, pot wystąpił mu na czoło, głowa go bolała... – Masz strasznie czerwoną twarz – powiedział Gomulka współczująco – jakby pocętkowaną, czy jesteś chory? – Holt potrząsnął przecząco głową.

Wszystko wydało się przez kotkę; w mieszkaniu woźnego zwymiotowała niestrawne rybki.

Poza tym któryś z nauczycieli słyszał, jak wołano: „Masz przynieść Wolzowowi kota...” Wina Wolzowa była oczywista, on sam zaś stał w ławce i kłamał z uporem, że o niczym nie wie, niech mu dadzą spokój, to nie był on.

Mass siedział na katedrze gruby i masywny. Słońce wpadające przez okna odbijało się w jego łysinie, okolonej białymi jak śnieg włosami. Okrągła, pucółowata twarz uśmiechała się tryumfująco, oczy za okularami w jasnej rogowej oprawie były zimne i bezlitośnie wbite w Wolzowa. – Jesteś skończony, Wolzow – powiedział Mass z drżeniem zadowolenia w głosie –

nawet bez przyznawania się do winy skończony. – Sponad rogowej oprawy okularów zezował na swoją ofiarę. Jego konikiem było konstruowanie zawiłych, wielokrotnie złożonych, tasiemcowych zdań, które zawsze ze ścisłą logiką doprowadzał do końca; tymi zdaniami trzymał

klasę w napięciu, potrafił poprawnie dokończyć nawet najtrudniejsze zdanie, i pełne podziwu westchnienie ulgi, jakie się zwykle potem z piersi uczniów wrywało, przyjmował jak należny mu dowód uznania. – Nasz zakład – zaczął tym razem – w którym panował kiedyś surowy duch pilności i posłuszeństwa, a który został zarażony przez ciebie bakcylem anarchii rozkładającej całkowicie szkolną dyscyplinę, czego po raz drugi już twój stryj nie będzie mógł

usankcjonować... – w tym miejscu zrobił pauzę, żeby spotęgować napięcie, a potem dokończył –

uwolni się nareszcie od ciebie raz na zawsze. Cieszę się niezmiernie z tego sukcesu. – Wszystkie oczy skierowane były na Wolzowa. Wolzow patrzył nieruchomym wzrokiem przed siebie; tylko Holt, plecami oparty o ławkę i skulony w sobie, spojrział na Massę i błyskawicznie pomyślał: Wolzow nie będzie wydalony ze szkoły! Wolzow jest od dziś moim przyjacielem.

– Bierz swoją teczkę, Wolzow, i opuść natychmiast budynek szkolny. Jesteś wydalony ze szkoły. Pismo dyrektora pójdzie w ślad za tobą.

– Chwileczkę – powiedział Holt.

Podniósł się z miejsca. Czuł na sobie spojrzenie Wolzowa. Oparł się plecami o ławkę. –

Pismo dyrektora – zaczął i głos mu zachrypiał – nie pójdzie w ślad za Wolzowem. To nie był

Wolzow... Przesłyszano się... Wolzow miał mnie przynieść kota, wołano... – Musiał wymawiać każde słowo powoli, bo obrzmiały język odmawiał mu posłuszeństwa. – To byłem ja –

powiedział. Peter Wiese, z oczyma wlepionymi w Holta, zamarł ze zdumienia i podziwu... – Ja to zrobiłem... Wiese może zaświadczyć... – Wiese jak zahipnotyzowany wstał i po raz pierwszy w życiu okłamał nauczyciela. Z głową spuszczoną na piersi powiedział: – Tak... to był Holt...

zaświadczam.

Holt słyszał już tylko szum własnej krwi w uszach.

Cztery godziny w kozie? Nieważne! Poślą wilczy bilet do mojej matki? Ona się będzie tylko z tego śmiała... A teraz Mass zagląda do dziennika... To zanotowane spóźnienie? Gdyby wiedział, jak mi to jest obojętne!

– Popatrz, popatrz! – powiedział Mass, wściekły z powodu doznanego zawodu. – Na dobytek jeszcze się ten ancymonek spóźnił dwadzieścia minut... – Mass zrobił się nagle ironiczny, było to u niego oznaką straszliwego i najbardziej niebezpiecznego gniewu. – Czy twoja gospodyni, o ile sobie przypominam, nazywa się ona Dengelmann, Euzebia Dengelmann, stop, nie, Eulalia ma chyba na imię, bardzo ładne imię” pochodzi z greckiego... – przez szkła swoich okularów w rogowej oprawie świdrował wzrokiem uczniów, którzy z zapartym tchem wisieli oczyma na jego ustach, i dokończył – miała znowu krwotok z nosa?

Holt zamrugał powiekami. Nagle wszystkie postacie i przedmioty rozplynęły mu się w oczach; w uszach huczały mu zwielokrotnionym echem ostatnie słowa Massa: krwotok z nosa... krwotok z nosa... Ogarnęło go jakieś przyjemne zmęczenie, całkowita obojętność.

Dobrze byłoby mieć zagłówkę, pomyślał, teraz gdy Gilbert jest moim przyjacielem i wszystko się udało: Wolzow uratowany, i mnie ma to do zawdzięczenia!

– Proszę odpowiadać!

Ach tak. Muszę przecież jeszcze Massa zrobić na szaro! – pomyślał Holt. Niecierpliwi się?

Poczekaj, już ja ci odpowiem! Te twoje tasiemcowe zdania wcale mi nie imponują, ja już od dawna tak potrafię! – Bynajmniej – zaczął. Twarz miał rozognioną, tylko trójkącik biegnący mu od nozdrzy ponad kącikami ust do brody zachował się jeszcze blady. W klasie powstało poruszenie, Mass zaś przy staroświeckim słowie „bynajmniej” zmarszczył czoło. – Bynajmniej nie leciała mojej gospodyni, której imię brzmi Eulalia... Eulalia, jak był pan łaskaw sobie przypomnieć, krew z nosa, ale... – to „ale” Holt prawie krzyknął, bo Mass otwierał już usta, żeby mu przerwać – ale mnie... policja dziś rano... ponieważ rower, na którym jechał człowiek, który miał na sobie szarą marynarkę... która była mocno połatana... wpadł na samochód, który jechał

ulicą... która prowadzi przez tory, które idą od dworca, który znajduje się prawie tuż przy naszym domu... prosiła...

Holt urwał. Postawił na swoim. To też mu się udało! Jak przez mgłę widział wlepione w siebie oczy kolegów, a Mass wychylił się do przodu aż prawie poza katedrę, i dolna szczęka mu opadła...

– ...żebym jako naoczny świadek podał swoje spostrzeżenia do protokołu – dokończył Holt, i zaraz potem runął bokiem na ziemię.

Peter Wiese poleciał po woźnego, Rutscher zaś wyjąkał: – On już rano w dr-dr-drodze do szkoły był jakiś dziwny! – Mass pochylił się nad Holtem i powiedział: – To przecież...

szkarlatyna...! – Wolzow odsunął go na bok. Wkrótce potem zajęła przed szkołę karetka pogotowia.

Na świecie zrobił się już czerwiec. Holt leżał na oddziale zakaźnym w miejskim szpitalu.

Wolzow przełaził codziennie przez mur i przekradał się przez ogród aż pod samo okno.

W izolatce słychać było jego gwizd.

Przez pierwsze dni Holt leżał prawie bez przytomności w gorączce, ale potem, przewyciężywszy osłabienie, zaczął szybko powracać do zdrowia. Kiedy znowu odzyskał siły, długotrwały pobyt w szpitalu bardzo mu ciążył, tak jakby go ktoś za karę pozbawił wolności.

Jego matka, wezwana przez siostry Dengelmann, była w tym czasie u wszystkich lekarzy, wcisnęła siostrą i pielęgniarzom napiwki i wyjechała nie zobaczywszy się z synem, za co on wcale się na nią nie pogniewał.

Za to odwiedziny Wolzowa sprawiały mu wielką przyjemność. Wolzow przynosił wieści ze świata. Szkoła została z powodu jego choroby zamknięta na dwa tygodnie, dzięki czemu stał się wśród uczniów wszystkich klas niezwykle popularny, słowem: coś niby rewolta przeciwko Massowi. Holt został bohaterem dnia. Wolzow już mu nie zazdrościł, i nawet gotów był dzielić się z nim sławą. Gdy gorączka ustąpiła, Holt, skoro tylko w ogrodzie rozlegało się gwizdanie, podbiegał do okna.

– Jak się czujesz? – pytał Wolzow.

– Właściwie jestem zdrow... Tylko łuszczy mi się skóra i ciągle jeszcze muszę brać gorące kąpiele...

– To wiej, bracie! – powiedział Wolzow... – Wczoraj rozpoczęły się już lekcje, bo dalszych wypadków zachorowań nie było. Nudy, że rzygać się chce. Jak stąd wyjdiesz, to chyba już coś będzie..

– Zastanawiam się właśnie... nad jakąś przygodą!

– Przygoda to nonsens – oświadczył Wolzow zdecydowanie. – Karol May i tym podobne bzdury to wszystko oszukaństwo. Tylko wojna jest czymś konkretnym.

– Czy masz jakieś wieści o tym zaciągu do obrony przeciwlotniczej?

– Jeszcze tego roku, może już w jesieni.

Ta perspektywa całkowicie odebrała Koltowi ochotę do nauki. Jeżeli szczęście mi dopisze, to szkoła mnie ominie, rozważał. – Dostanę jeszcze dwa tygodnie zwolnienia – powiedział –

a potem rozpoczną się już duże wakacje... Tylko jak sobie pomyślę o Massie...

– Mass to szatan – stwierdził Wolzow. Stał rozkraczony na grządce kwiatów, z rękami w kieszeniach, a pod jego butami trzaskały łamane róże i goździki... – Czy ty wiesz, co Mass powiedział? Twoja szkarlatyna to był jedynie wyrefinowany trik, żeby cię nie mógł ukarać. Na to

wstał Gomulka i wygarnął mu: „Chciałbym móc takie triki odstawiać, panie profesorze!” Mass zamknął go z miejsca na dwie godziny do kozy.

Innym razem Wolzow przyprowadził ze sobą Petera Wiese i przesadził go przez mur. Wiese podarł sobie przy tym spodnie. – Jak wyzdrowiejesz, zagram ci, co tylko zechcesz. – Następnego dnia przyniósł Holtowi parę książek.

Holt zawsze dużo czytał, a podczas tych dni, gdy leżał w łóżku i z niecierpliwością wyglądał dnia, kiedy zwolnią go ze szpitala, czytał wszystko, co mu z biblioteki szpitalnej przynoszono.

Było tam wiele jego ulubionych książek, które przeglądał teraz po raz drugi albo i trzeci: Stevenson i Jack London, Karol May i powieści o Indianach Fritza Steubena, *Księga pogranicza* Gagerna, *Wybór dzieł* Nietzschego w popularnym wydaniu dla żołnierzy, *Ave Ewa* Hannsa Johsta i naturalnie powieści o wojnie, bez przerwy czytał powieści o wojnie, od bohaterskich czynów podwodnika Weddigena począwszy, a na *Siedmiu spod Verdun* skończywszy, poza tym oczywiście Ernsta Jungera, *Lasek 125*, *Ogień i krew* i *Pod gradem kul...* Beumelburga, Zóberleina, Ettighoffera i innych... A teraz czytał to, co mu przyniósł Peter Wiese: nowele Storma i tom Baśni romantycznych.

Leżał kamieniem w łóżku i marzył o bohaterach książkowych, którzy stali mu przed oczyma jak żywi: o Elżbiecie, o Lizce-kukielce i o czarnej Renacie ze dworu... Taką dziewczynę poznać, marzył. Wolzow miał wstręt do dziewcząt i uważał miłość za rzecz niemęską; Holt jednak zawsze umiał jakoś godzić ze sobą rzeczy sprzeczne: bohaterowie z sagi o Nibelungach czy z opowieści o płaszczu króla Laurina stapiali się w jego wyobraźni z wodzami indiańskimi, cowboyami z Dzikiego Zachodu i szarozielonymi postaciami żołnierzy z książek wojennych w typ idealnego bohatera, w którego pełnym przygód życiu było miejsce zarówno na potworność baśniowych smoków, jak i na wdzięk postaci dziewczęcych Storma czy też na fanatyczną sprawiedliwość Karola Moora... Właśnie czytał u Novalisa o parze kochanków, gdzieś w jakiejś skalnej pieczarze, którą wśród błyskawic i piorunów „połączył na wieki pierwszy pocałunek”...

Pierwszy pocałunek... jak to jest?

Był jedyńkiem, chłopcem ponad wiek rozwiniętym, niekiedy jeszcze bardzo dziecinnym i rozbrykanym, to znów poważnym, skupionym. Pierwsze oznaki dojrzewania zbudziły w nim tęsknotę i marzenia, dziewczęta pociągały go coraz bardziej, i tam, gdzie nie było żadnej tajemnicy, sam ją sobie stwarzał, spowijając to, co było naturalne, w ową mityczną mgiełkę, która w wielu książkach zaciemnia istotę życia i miłości, u Hannsa Johsta na przykład: kobieta stoi w krwawej służbie natury... Czytał o odwiecznej ewangelii kobiet, o zagadkowym micie płci i dumał... Odpowiedź powinno dać samo życie. Niecierpliwił się, tęsknił do przygód, chciał sam wszystkiego doświadczyć.

Rodzice jego byli już od lat rozwiedzeni; został przy matce, zamożnej kobiecie, pochodzącej z rodziny przemysłowców; z biegiem czasu jednak wymykał się jej coraz bardziej z rąk, choć go rozpieszczała i usiłowała pozyskać dla siebie. W końcu uciekł jej, akurat podczas wojny, ale został przyłapany w Hamburgu i odstawiony do domu, aż wreszcie, w rok później, spełniła jego życzenie i puściła go tutaj, do tej małej miejsciny, którą ktoś jej polecił jako miejsce idylliczne i zdrowe,

położone z dala od centrów przemysłowych, nadktóre nadciągała już coraz groźniejsza nawała bombardowań.

Tu był spokój. Wszędzie naokoło ciągnęły się góry pokryte lasami, okolica była dość rzadko zaludniona. Holt czuł się tu doskonale. Wyrósł w Leverkusen i Bambergu. Wieź łącząca go z ojcem i matką, którą już w dzieciństwie, w Jungvolku i Hitlerjugend, nauczył się lekceważyć, tu ostatecznie się zerwała i przerodziła się w tęsknotę za jakimś przyjacielem i za odmienną płcią. No i przyjaciel nareszcie się znalazł. Wolzow, postanowił sobie Holt, nie powinien o tym wszystkim nic wiedzieć: ani o tych cierpieniach miłosnych na Haderslevhuus, ani o Elżbiecie i Rusałce, ani też o tym pierwszym pocałunku w skalnej pieczarze. Wolzow gwizdał pod oknem, Wolzow miał inne zmartwienia: „Musisz teraz jak najprędzej wyrobić w sobie cnoty żołnierskie!”

W pierwszych dniach lipca wypisano Holta ze szpitala. Kombinował sobie: Dziesięć dni zwolnienia na rekonwalescencję, a osiemnastego rozpoczynają się wakacje, tak że rok szkolny właściwie się dla mnie skończył. Ponadto chodziły słuchy, że w najbliższym czasie ma nastąpić zaciąg do obrony przeciwlotniczej kraju. Może mi się uda, myślał sobie, a wtedy koniec ze szkołą.

Dni spędzał teraz przeważnie na plaży nad rzeką, ale włóczył się także po okolicy. Któregoś ranka kazał sobie zapakować parę kromek chleba, uciął mocny kij i powędrował w góry.

Ostatnie wsie pozostały za nim już daleko w tyle. Zapisał się w liściasty las. Po południu, oddalony od miasteczka o parę godzin drogi, stanął na jakimś wysokim górskim szczycie i zaczął rozglądać się po okolicy. Od jednego z zakrętów rzeki ciągnął się na północo-zachód płaskowyż, posiekany w wyniku erozji dolinami i skalistymi wąwozami, z których spływały w dół rzeki strumyki. Przez płytę płaskowyżu przebiły się tu i ówdzie młodsze skały wulkanicznego pochodzenia i sterczały teraz w górę na wysokość kilkuset metrów. Holt patrzył

na to ponad ciemnozielonym dywanem liściastych i mieszanych lasów. Rzeka błyszczała w słońcu, a góry opadały faliście w dół i przechodziły het daleko w zielone wzgórza, a te znów w równinę. Nigdzie jak okiem sięgnąć ani wsi, ani drogi, ani chałupy! Tu jest wspaniale, pomyślał Holt. Bez kompasu nie trafiłbym do domu. Tu można by żyć, jak żył Karol Moor ze swoją bandą!

Góra, na którą się wdrapał, była jakby ucięta jakąś ogromną siekierą. W drodze powrotnej znalazł u jej stóp pieczarę. Po stronie południowej głęboko w wąwóz opadał kamieniołom. Po północnej skała była gładko zmieciona przez erozję. Holt widział przed sobą dolinę o zalesionym zboczu, trudnym do przebycia, skalistym. W kamieniołomie na południowej stronie, pod samą prawie skałą, przemknęło w zarośla jakieś zwierzę, może lis, i gdy Holt zaczął je tropić i rozsunął zarośla, znalazł za gęstym krzakiem jeżyn rozpadlinę skalną. Nabrał pełną garść chrustu, wczołgał się pod występ skalny i wśliznął się do środka. Musiała to być sztolnia jakiejś pradolnej kopalni. Już po kilku metrach mógł iść normalnie, bo chodnik był teraz szerszy. Ze ścian sączyła się woda. Podpalił chrust i zauważył, że dym ciągnie w głąb skały. Potem znalazł

się w wielkiej, mniej więcej na trzy metry wysokiej i suchej pieczarze. Przez szeroką, podobną do szybu szczelinę wpadało jasne światło dzienne.

Holta ogarnęła szalona radość, czuł się jak wielki odkrywca. Wszystko wskazywało na to, że od

dawna już nie pozostała tu ludzka stopa. Grunt był skalisty, ale kamienne ściany były jakieś miększe. Szyb, który prowadził na powierzchnię, musiał mieć wylot właśnie w tym miejscu, gdzie szczyt skały był oberwany.

Gdy Holt wreszcie wylazł z tej pieczary, już się zmierzchało, toteż postanowił tu przenocować. Wszędzie naokoło dojrzewały poziomki, pyszna kolacja. Okolica obfitowała w zwierzynę. U podnóża skały, przy wejściu do pieczary, rosła gęsta, wysoka trawa. Holt zgotował sobie legowisko z kępek mchu i liści. Potem wdrapał się jeszcze raz na szczyt. Była już noc. Głęboko w dole połyskiwała fosforycznie wstęga rzeki.

U wejścia do pieczary Holt rozpałił małe ognisko, dorzucił do niego jakiś suchy pień i wyciągnął się na swoim legowisku. Zapatrzył się w żar ogniska. Nisko krążyły nietoperze. Nad nim stał gwiazdozbiór Plejady. A on marzył o życiu pełnym przygód, tu w górach, bez szkoły, bez Massa. Marzył o Śpiewaku i Księżniczce, o ukrytej przed okiem ludzkim pieczarze w skałach, gdzie wśród grzmotów i błyskawic złączył na wieki parę kochanków pierwszy pocałunek. Rankiem, jeszcze przed wschodem słońca, powędrował z powrotem do miasta.

Siostry Dengelmann postawiły przed Holtem, gdy przed południem dotarł do domu, takie śniadanie, że wydało mu się to podejrzanym: jajka, chleb z szynką, makowiec. I to podobno nie wiedzą, z czego mnie mają wyżywić, pomyślał sobie. Handlują potajemnie czy co? One muszą czegoś ode mnie chcieć! I miał rację. Po wielu ceremoniach wyszło szydło z worka: chodziło o to, żeby Holt przyjął od września do swego pokoju dziesięcioletniego chłopca, bo przecież on i tak wkrótce pójdzie do wojska... Ojciec tego chłopca, niejaki pan Wenzel, ma gospodę, kury i świnię...

– Dziesięcioletniego pętaka? – powiedział Holt do Eulalii, a Weronika pokręciła zgorziona głową, aż zaszeleściły papiloty. – Nie mogą panie poczekać, aż będę w obronie przeciwlotniczej? – Pan Wenzel bije co roku trzy świnię – wyjaśniła Weronika. – Holt wstał, trzasnął drzwiami i poszedł sobie. W gruncie rzeczy nic go to nie obchodziło; spodziewał się, że przed pierwszym września na pewno zostanie powołany. Na dworze był upał, postanowił więc pójść się wykapać.

Wąlewał się po rynku. Przed kawiarnią przystanął. Miał ochotę pograć trochę w bilard; bilard był właśnie w modzie. Ale co za przyjemność grać w bilard z samym sobą! Powłókł się dalej.

Nagle zobaczył z daleka, po drugiej stronie rynku, czerwoną jak płomień spódnicę.

Maria Krüger! Serce zaczęło mu mocno walić. Jeżeli całkiem wolno przejdę przez skwer przed ratuszem, spotkam się z nią akurat na Talgasse.

Była oddalona od niego już tylko o parę metrów, i oboje skręcili równocześnie w spadzistą uliczkę, która prowadziła w dół do rzeki.

– Dzień dobry – powiedział Holt. Skinęła głową zaskoczona i z pewnym wahaniem przyjęła jego wyciągniętą rękę. – A więc – powiedział, i jeszcze raz: – A więc?... Pani też idzie się kąpać? – Chryste Panie, jak tu dalej zagajać?

Nie wiedział, że rozśmieszył ją tym swoim onieśmieleniem; zauważył tylko, że się uśmiechnęła, i ten

jej uśmiech rozproszył w nim wszystkie obawy. Szedł obok niej. Zapytała: –

Zwagarował pan pewnie ze szkoły, co?

– Miałem szkarlatynę i teraz korzystam jeszcze ze zwolnienia lekarskiego. – Strasznie żałował, że koledzy z jego klasy nie mogą go widzieć u boku tej dziewczyny. Rodzice jej już nie żyli, tak przynajmniej się mówiło. Mieszkała gdzieś w wynajętym pokoju. Miała szesnaście lat i cygańską urodę, była smukła, ładna, ale i trochę flądra. Wielkie ciemne oczy rozstawione były w wąskiej twarzy nieco skośnie. Od prawej brwi biegła przez opalone czoło półkolista blizna.

Falujące brązowe włosy, które wiecznie były w nieładzie, związywała połyskliwymi kolorowymi wstążkami. W ogóle lubiła ubierać się bajecznie kolorowo i dziwacznie, wkładała na siebie jakieś ognście czerwone spódnice, jaskrawożółte bluzki i zielone chusteczki na szyję.

Dziewczęta z gimnazjum pogardzały nią, chłopcy zaś oglądali się za nią ukradkiem. Nie należała do „towarzystwa”, bo elita drobnomieszczańska obwarowana jest mocnymi barierami.

W miasteczku nie było żadnego przemysłu. Uczniowie z wyższych klas gimnazjum spoglądali z góry na uczniów z klas niższych, a ci znów uważali się za coś lepszego od terminatorów i służących. Wspólna surowa służba w HJ i BDM* [*BDM: Bund D e u t s c h e r Madę! –

Związek Dziewcząt Niemieckich.] nic w tym nie zmieniła. Trzeba było być bardzo pewnym siebie i mieć poza tym jeszcze bardzo wiele odwagi, żeby pokazywać się w biały dzień z Marią Krüger na ulicy. Koltowi ona też wydawała się trochę podejrzana, bo przecież był wychowany w duchu surowej kastowości, ale jej sex appeal działał na niego tak mocno, że przemógł

wszelkie jego skrupuły.

– Pan tu jest od niedawna? – spytała uprzejmie. – Inni gimnazjaliści są tacy sztuczni i zarozumiali.

Mają po prostu pietra cię zaczepić, pomyślał Kolt, a głośno odparł: – Szczególnie wielkich panów odstawiają ci z dowództwa HJ, prawda? – Przeszli przez Młynówkę i znaleźli się w parku nad rzeką.

Spojrzała na niego z ukosa. – A pan nie jest HJ-führerem?

– Ja? Nie. Byłem führerem w Jungvolku. Ale za bardzo rozrabiałem i naraziłem się władzy.

Teraz jestem indywidualistą. HJ mnie już specjalnie nie bawi. Dawniej tak. Ale teraz wolę przebywać sam ze sobą. Po wakacjach i tak pójdziemy do obrony przeciwlotniczej.

Nic na to nie odpowiedziała.

Krótką martwa odnoga rzeki o wprowadzającej w błąd nazwie Młynówka tworzyła z rzeką półwysep, który nazywano „wyspą parkową”; ciągnęła się ta wyspa wzdłuż prawego brzegu rzeki parę kilometrów za miasto. W parku miał swoją siedzibę klub wioślarski Wiking, w pobliżu były korty tenisowe, ślizgawka i łazienki. Park ciągnął się w górę rzeki i w pewnym miejscu się urywał, sam półwysep zaś przechodził w tak zwane Czarne Źródło, w niedostępne, zajmujące kilka

kilometrów kwadratowych mokradła, w jakiś labirynt martwych i wyschniętych lub też połączonych jeszcze z rzeką odnóg i zarośniętych trzcina kałuż, słowem – w podmokłą nizinę, która tylko latem przy najniższym stanie wód była dostępna dla ludzkiej stopy. Łazienki to był duży teren, z łąką schodzącą ku rzece, gdzie zakotwiczony był pomost, pływający na pustych cysternach po nafcie, z basenem dla nie umiejących pływać i trampoliną. Nad rzeką, na skraju łąki, ciągnęło się kilka rzędów drewnianych kabin, które ze względu na coroczne niebezpieczeństwo powodzi spoczywały, niby budowle na palach, na wysokich fundamentach z belek.

Holt, który dostawał od matki solidne kieszonkowe, wynajmował na cały rok jedną z najdroższych kabin. Szybko się rozebrał i siadł obok dziewczyny, którą znalazł już nad brzegiem w trawie. O tej porze nad rzeką nie było prawie wcale ludzi. Na pomoście w cieniu trampoliny siedział tylko kąpielowy i łowił ryby.

Maria Krüger leżała na wznak w trawie. Miała na sobie czerwony, dwuczęściowy kostium plażowy. Ciało jej było równo opalone, tylko na piersi, gdzie stanik się trochę osunął, widniało wąskie pasemko białej skóry. Ręce miała założone pod głowę, oczy zamknięte. Holt siedział

obok niej. Przyglądał się jej. Te czarne, zwinięte w kędziorki włoski pod pachami, te rozluźnione smukłe kształty podniecały go... Piers unosząca się i opadająca w miarowym oddechu, to całe brązowe ciało wydawało mu się jakieś dziwnie kruche. Długo patrzył na jej twarz, na usta, i myślał: Nikt nie patrzy... czy będzie się broniła, jeśli ją pocałuję? Niech się broni... jestem od niej silniejszy!

– Ile pan ma lat? – spytała nagle.

– Siedemnaście – skłamał Holt, i położył się przy niej w trawie. Teraz, gdy jej nie widział, łatwiej mu było mówić. – Kiedy miałem szkarlatynę – powiedział – to mi się pani raz śniła... –

Usłyszał, jak się śmieje, i to go znowu onieśmieliło. – Idę do wody – powiedział szybko. –

Pójdzie pani ze mną?

– Nie mam czepka kąpielowego. Zepsuję sobie tylko uczesanie... Nigdzie nie można go dostać. Och, co bym dała za niego!

Pomyślał chwilę. – Zdobędę dla pani taki czeppek. Czy wolno mi będzie potem żądać czegoś w zamian? – Uniosła się na łokciach i spojrzała na niego. Zdobył się na odwagę i popatrzył jej w oczy. – Przyniosę pani czeppek, a pani... w nagrodę... musi mi dać się pocałować...

Wyciągnęła się znowu na trawie. Holt napierał: – Tak czy nie? – Odpowiedziała: – A potem pan powie: Ta za jeden głupi czeppek pozwala się całować... – Zerwał się na równe nogi. – Niech mnie piorun spali, jeżeli przyjdzie mi coś takiego choćby na myśl! Bez czepka przecież nie pozwoli się pani...

– Precz! – krzyknęła ze śmiechem. – Jazda, uciekaj do wody, ty...!

Puścił się biegiem z góry na dół; była to ucieczka przed tym jej „ty”, przed jej nie wypowiedzianym „tak”. Deski pomostu zadudniły pod jego stopami, skoczył z rozbiegu głową w dół do rzeki. Gdy

wypłynął na powierzchnię, zobaczył ją siedzącą w trawie, a gdy wyciągnął

ramię z wody, pomachała mu ręką.

Podpłynął do drugiego brzegu, wdrapał się na groblę i spojrzał jeszcze raz w tamtą stronę.

Dziewczyna zniknęła. Poszedł przez łąki w gęstą wiklinę, w umówione miejsce spotkań z Wolzowem.

Rzucił się na miękką ziemię i zapatrzył się w bezchmurne letnie niebo.

Obudził się, gdy doleciał go od brzegu rzeki przeraźliwy gwizd Wolzowa. Wolzow przysiadł

się do niego. Przywiózł ze sobą w kajaku papierosy i zapalki. Holt zapytał: – Co nowego w budzie?

– Mass rozdał klasówki z łaciny. Mam dwóję. Zostanę prawdopodobnie na drugi rok.

– Czyżby ci to było takie obojętne?

Wolzow wzruszył ramionami. – Czy zostanę, czy nie, to już teraz nieważne. Niedługo wezmą nas do wojska. A później osiedlę się na Wschodzie, na Ukrainie albo gdzie. Oficerowi wśród osadników wojskowych łacina nie będzie potrzebna.

Ma rację, pomyślał Holt. W wojsku nie pytają człowieka o świadectwa... – Czy są jakieś wieści o tej obronie przeciwlotniczej?

– Nie... Ale reichsjugendführer ogłosił zaciąg na akcję zniwną.

– To mi się wcale nie uśmiecha – powiedział Holt skwaszony. – Lepiej by nas zostawili w spokoju. Och, żebyśmy tylko jak najprędzej dostali się do tej obrony przeciwlotniczej! Chcę wreszcie naprawdę iść do wojska. Jestem cholernie wściekły na tych powietrznych piratów.

Wolzow leniwie mrużył w słońcu oczy. – Wojna się właściwie dopiero teraz naprawdę zaczyna – powiedział. – Już się teraz nie boję, że się na nią spóźnimy. Czy ci już wiadomo, że Amerykanie wylądowali na Sycylii?

Holt był zaskoczony. – Nie... Ja nie słucham komunikatów wehrmachtu.

– W każdym razie jest to jakiś krok naprzód – twierdził Wolzow. – Jak tu pobić wroga, jeżeli nie staje do walki? Gdybym był wodzem naczelnym, szukałbym tylko rozstrzygających bitew, oczywiście o ile sytuacja by na to pozwalała. Wiesz, kto jest moim ideałem? Ostatnio czytałem Mariusza. To był dopiero morowiec, bracie! – Wolzow zerwał się i usiadł. – Sądzę, że już od sierpnia możemy zacząć się zgłaszać na ochotnika. Ty też pójdziesz do tych zmotoryzowanych formacji? Najbardziej fantastyczna broń to czołgi.

– Pójdę – powiedział Holt. – Czołg to dobra rzecz. Wyobrażam sobie, jakie to musi być wspaniałe, kiedy się tak pędzi prosto w ogień, dokoła huczą pociski, a potem pojedynk czołgu z czołgiem...

Masz rację! Nie ma wspanialszej przygody jak wojna. Dawniej byli piraci, zbójcy, jak Karol Moor, którzy oddawali życie za sprawiedliwość.

Leżeli tak na słońcu z godzinę. – Najpiękniejszą rzeczą jest naturalnie dowodzenie – zaczął

Wolzow od nowa. – Wtedy stoisz sobie przy stole z mapami, w czapce na głowie, i stukasz niedbale czerwonym ołówkiem w mapę... Tutaj... jedno uderzenie nastąpi stąd, a drugie, stąd.

Potem wydajesz rozkazy. Twoje słowo rozstrzyga o bitwie.

Na pływalni był wielki ruch. Maria Krüger, otoczona wianuszkami mężczyzn, siedziała na łące. Holt patrzył na to z daleka z bolesnym uczuciem zazdrości. Uwiązali kajak i wdrapali się na pomost, gdzie zostali powitani z respektem przez młodszych sztubaków. Przy trampolinie zebrała się grupka chłopców i dziewcząt. Holt usłyszał piskliwy, zadziorny głos Zemtziego.

Rutscher wyjąkał na ich widok „A-a-a-ave Caesar!” Byli tu wszyscy – Wiese, Vetter, Gomulka, nawet Nadler z paroma swoimi podwładnymi, z Schenkem, Hamplem, Kiebackiem i jak się tam oni wszyscy zwali... Do tego było jeszcze kilka dziewcząt: siostra Rutschera, Ilza, smukła Doris Wilke, zwana „Putzi”, i Friedel Kuchler, złotowłosa mädelgruppenführerin, córka landrata. Ona to krzyknęła „Heil Hitler!” Holt usiadł na deskach i przyglądał się dziewczynom. Doris Wilke rumieniła się za każdym razem, gdy Wolzow na nią spojrzał; była zakochana w tym wielkim, ponurym chłopaku, ale Wolzow tego nie zauważał, albo też nie chciał zauważać. W obecności dziewcząt zachowywano się bardzo oficjalnie. Tylko Wolzow zachowywał się nie inaczej niż zwykle. – Wy dziewczyny robicie się już za energiczne, zupełnie do bani – powiedział do Friedel Kuchler, sadowiąc się przy niej. – Prawdziwe herod-baby.

– Takie baby z karabinem – przyszedł mu w sukurs Vetter. – Widziałeś je ostatnio na kronice? – Friedel Kuchler obruszyła się na Wolzowa. – To wcale nieprawda! – Potrafiła porywająco mówić, przemawiała nawet raz przez radio na uroczystym porannym apelu Hitlerjugend. – Zajrzyj choć raz do Wiary i Piękna, przypatrz się, jakim miarowym krokiem maszerują za sztandarami, z jaką heroiczną godnością przystępują do zabawy czy tańca. Nikt się nie ma potrzeby obawiać, że ta pełna radości życia gromada upodobni się do mężczyzn... Nasze dziewczęta będą biologicznie wartościowszymi i moralnie nie gorszymi matkami niż matki poprzednich generacji.

– To wszystko bzdura – powiedział Wolzow niewzruszenie. – Mówisz przecież cały czas o Germanach! A u Germanów kobiety mają trzymać pysk i rodzić dzieci!

Holt nie czuł się dobrze w tym gronie. Te jego rówieśnice z żeńskiego gimnazjum wydawały mu się strasznie głupie, choć bardzo przyjemne dla oka w tych swoich skąpych kostiumach kąpielowych. W pewnym momencie ktoś go zagadnął: – Usłyszeliśmy właśnie to twoje sławetne tasiemcowe zdanie. – To Peter Wiese je zrekonstruował i zapisał. – Mass – powiedział Gomulka

– nigdy tego nie przeboleje! Szachowanie tasiemcowymi zdaniem już go nie bawi.

– Za to robi się coraz bardziej zjadliwy – narzekał Vetter, który siedział na deskach gruby i różowy. – Wczoraj na przykład powiedział do mnie: „Skąd się bierze właściwie ta twoja głupota? Po ojcu

nie, bo go znam, musisz mieć widocznie strasznie głupią matkę!” Czy ja właściwie muszę to znosić?

– Ajajaj, popatrzcie tylko, kto idzie! – pisał Zemtzi.

Wszyscy odwrócili głowy. Przez pomost szła Maria Krüger, z rozwianym włosom. Kiedy przechodziła obok trampoliny, Zemtzi powiedział tak głośno, że musiała to usłyszeć: – To jest znana w mieście...

– Zamknij się! – ofuknął go Holt. Zemtzi umilkł.

Dziewczyna zatrzymała się na chwilę na schodkach i spojrzała na niego, a potem szybko się oddaliła. Friedel Kuchler powiedziała zaczepnie: – Bierzesz taką w obronę? Czyżbyś był w niej zakochany? – Werner zrobił się nagle niebotycznie wyniosły. Wstał. – Chodź, Gilbert... mnie to już nie bawi. Ta głupia gęś szuka zaczepki.

Zeszli po schodkach na brzeg rzeki.

Willa Wolzowów stała na wzgórzu, ponad średniowiecznymi, rozsypującymi się już ze starości domkami z pruskiego muru. Dom otoczony był wielkim, zdiczałym ogrodem; z okalającego ten ogród muru roztaczał się widok na czerwone, kryte gontem dachy i wyloty wąskich, schodzących w dół uliczek starego miasta.

Dom był zapuszczony. W ciemnym hallu wisiało parę zakurzonych portretów rodzinnych.

Na kominku piętrzyły się śmieci i popiół. Przez od dawna już nie myte okna światło dzienne ledwo się przedzierało do tego obszernego pomieszczenia. Z hallu prowadziły na piętro schody z rzeźbioną, drewnianą poręczą.

Tu w kilku pokojach mieszkała pani Wolzow z synem. Parter był nie zamieszkanym i niszczał coraz bardziej.

Pokój Wolzowa przypominał rupieciarnię. Na ścianach wisiały kusze i egzotyczna broń, łuki z pierzastymi strzałami, indiańskie tomahawki, rogi myśliwskie i para staromodnych pistoletów, jakich używano do pojedynku. Pod oknem stał duży dębowy stół, zavalony probówkami, butelkami, kieliszkami i zardzewiałymi puszkami od konserw. Leżała tam trupia czaszka, ukradziona z kostnicy cmentarnej, podniszczona wypchana kuropatwa, służąca za tarczę strzelecką, jakieś papiery i książki. W kącie pokoju walały się na kupie śmieci dwa rapiery, krzywa szabla turecka, łapka na zwierzęta drapieżne i zabłocony but. Maski ochronna do fechtunku i najrozmaitsze części garderoby leżały rozrzucone na podłodze, żelazne łóżko polowe przykryte było kudłatą, brązową skórą niedźwiedzia.

Holt siedział właśnie na tej skórze, z nogami na krześle przysuniętym do łóżka. Czuł się tu bardzo dobrze. Wolzow przeprowadzał jakiś eksperyment przy wielkim dębowym stole; trzymał

nad palnikiem spirytusowym probówkę. Na dworze zapadał zmierzch. – Jeżeli uda mi się uzyskać kwas azotowy, to wyprodukuję dynamit.

– Na co ci dynamit?

– Żeby produkować bomby, prawdziwe bomby, nie te nędzne petardy z prochu strzelniczego.

Na co mu bomby? pomyślał Holt. Czyżby zamierzał taką bombę podłożyć Massowi pod katedrę? Holt roześmiał się. Z próbówki buchnęły kłęby gryzącej pary, Wolzow otworzył okno.

Pokój nappełnił się dźwiękiem dzwonów kościelnych... Wolzow produkuje bomby i jeszcze mu dzwony do tego biją!

– Wyobraź sobie – powiedział Wolzow – podkładałam taką dynamitową bombę pod naszą budę... kamień na kamieniu nie zostanie, bracie! – Był tym wprost zachwycony. – Albo Massowi przywiązać taką bombę do tyłka...

Holt palił papierosy i przeglądał książki, które tu wszędzie leżały, dzieła, z zakresu wiedzy wojskowej i historii – Verdy du Vernois: *Studia nad sztuką dowodzenia*, Rüstow: *Historia piechoty*, książkę Kraft zu Hohenlohe: *Listy wojskowego o artylerii*, i teraz też Holt spostrzegł

gruby przewodnik. Wziął do ręki oprawny w miękką skórę tom i przeczytał tytuł: Lutz von Wulfingen, generał porucznik, wykładowca królewskiej pruskiej Akademii Wojskowej: *Przewodnik po historii wojen wraz z komentarzami natury strategicznej i taktycznej, spisem chronologicznym wszystkich bitew, walk i potyczek na przestrzeni dziejów oraz wykazem uczestniczących w nich wojsk i ich wodzów, opatrzony 212 szkicami, przejrzany i na nowo opracowany przez hrabiego Otta Otterna zu Otzbach, majora służby czynnej, wydanie drugie, 1911*. Holt zaczął wertować cienkie kartki. „Taginae” było podkreślone czerwonym ołówkiem, na marginesie znajdowała się uwaga:...”partactwo Totili, Narses wspaniały”; w rozdziale

„Milcjades pod Maratonem” Holt znalazł na marginesie notatkę poczynioną ręką Wolzowa:

„Kanny przed Kannami?”

Odłożył książkę. To, co z kolei z tego bałaganu wyciągnął, było *Faustem* Goethego. –

Czytasz *Fausta*? – zapytał zdumiony. – Słyszałem, że występuje tam jakiś żołnierz, to zacząłem to przeglądać: z wojskowego punktu widzenia nieciekawe – odpowiedział Wolzow. Zgasił

palnik i odłożył próbkę. W pokoju było już ciemno, więc zapalił światło. Holt otworzył

książkę i przeczytał: „Tęskność zbudzona do lotu się zrywa...” Przebiegł wzrokiem te wiersze i przeczytał jeszcze raz: „tak terażniejszość gubi się, szarzeje, co przeminęło, prawdziwie istnieje...”* [*Przekład Emila Zegadłowicza.] Jakie to wspaniałe!... I ni stąd, ni zowąd zapytał: –

Czy ty właściwie z przyjemnością myślisz o swoim dzieciństwie?

– A po co? – powiedział Wolzow. – Nie. A ty? Dlaczego właściwie nie jesteś razem z rodzicami?

– Moi rodzice się rozwiedli – odpowiedział Holt niechętnie. – Ojciec poszedł sobie, no a z matką

nie mogłem wytrzymać, sam nie wiem czemu. Ona jest taka... sztywna, zupełnie nie jak matka. Co prawda była bardzo hojna, nie mogę powiedzieć, miała szeroki gest, we wszystkim; u nas tam była szkoła sportowa, no to zafundowała mi trenera, który uczył mnie dżiu-dżitsu, i opłacała wszystko, co tylko chcesz... Ale poza tym... A moja ciotka z Hamburga jest jeszcze gorsza, zupełnie jak sople lodu; wiecznie u nas siedziała, no i po prostu zbrzydła mi ta babska gospodarka. Wiecznie dochodziło do awantur.

– No to dlaczego nie jesteś u ojca?

– Pozbawiono go prawa opieki nade mną i matka może mnie sprowadzić z powrotem przez policję, jeśli bym do niego poszedł. Mój ojciec jest bakteriologiem, wiesz, tak jak Robert Koch...

Był profesorem na uniwersytecie, a potem pracował w przemyśle. W głowie miał ciągle tylko swoją pracę, to znaczy dla mnie był całkiem miły... Ale matka mówi, że jest odludkiem i człowiekiem nieżyłowym. – Holt umilkł; miał co prawda jeszcze wiele do powiedzenia, ale właściwie to nie powinno nikogo obchodzić, nawet Wolzowa nie. – Tak że w końcu matka pozwoliła mi wyjechać i dlatego jestem teraz tutaj.

– Całe szczęście – odparł Wolzow – bo w przeciwnym razie byłiby mnie teraz z budy wylali.

– Pomiął milczeniem, że to właśnie Holt go wtedy sprowokował. – A w ogóle – mruknął –

chciałbym ci jeszcze powiedzieć, że nigdy ci nie zapomnę, żeś mnie z tego wyciągnął. Jeżeli kiedyś byś czegoś ode mnie potrzebował – mówił to jakoś bardzo ponuro i uroczyście – to powołaj się na tamtą chwilę; będę świnią, jeżeli nie uczynię dla ciebie wszystkiego. – Holt szybko powiedział: – Jak nas wezmą na wojnę, to trzymajmy się razem, dobrze?... jak Hagen i Volker. Dobrze jest mieć na wojnie przyjaciela. – Wolzow mruknął coś niezrozumiale. Złapał

za krzywą szablę turecką i ciął nią z całej siły w trupa czaszkę, która rozleciała się z hukiem na kawałki. Potem odrzucił szablę w kąt. – Takich dwóch starych wiarusów jak my rozłączyć może tylko śmierć!

Z tym czepkiem kąpielowym narobił sobie Holt niemało kłopotu. W końcu przypomniało mu się, że Weronika Dengelmann podobno jeszcze przed dwoma laty chodziła regularnie na pływanie... Następnego ranka przy śniadaniu siostry znowu zaczęły o tym panu Wenzlu. Na wszystkie błagania Holt odpowiadał obłudnie: – Nie. Panie by mi też przecież nie wyświadczyły żadnej przysługi.

– Ależ naturalnie! Każdą przysługę byśmy...

– Tak? No to niech mi pani da swój czepek kąpielowy.

– Mój czepek kąpielowy? – Weronice wydawało się, że to kpiny. Holt już wstawał od stołu.

– Oczywiście – krzyknęła – oczywiście, że tak! – Ale gładko wszystko poszło, ucieszył się w duchu Holt.

Zanim ten pętał się wprowadzi, będę już w obronie przeciwniczej.

Weronika przyniosła czeppek. – Co pan zamierza z tym zrobić?

– No, pał pies, może pani napisać temu swojemu panu Wenzlowi, że się zgadzam. – Eulalia odetchnęła z ulgą. Ale Weronice nie dawało to spokoju: – Co pan, na miłość boską, zamierza zrobić z moim czepkiem?

– Zasadzę w nim geranium – odparł Holt. I pobiegł na pływalnię.

Siedział w swojej kabinie i czekał, chory z podniecenia, aż wreszcie zobaczył Marię Krüger idącą w kostiumie kąpielowym przez łakę. Schował czeppek za siebie. Podala mu grzecznie rękę.

– Dzisiaj musi pani ze mną popłynąć – powiedział i zamachał jej czepkiem przed nosem.

Roztargniona, wyjęła mu barwną czapeczkę z ręki. Potem upchała włosy pod gumę i na koniec powiedziała: – Muszę się przejrzeć w lusterku. – Kroczył za nią przez łakę. W milczeniu szła przed nim po drewnianych schodkach na górę, a potem przez pomost między kabinami.

Schyliła się po klucz, który był tu gdzieś schowany, i otworzyła drzwi na oścież. Potem weszła do malej kabiny. Holt oparł się o futrynę drzwi.

Stała przed lustrem i bez słowa zwinnymi ruchami to wkładała czeppek na głowę, to znów zdejmowała, wreszcie siadła bokiem na malej ławeczce, podciągnęła nogi i objęła rękami kolana. Spojrzała na niego, opartego z boku o ścianę kabiny, zwinięta w kłębek jak kotka.

W ciasnej kabinie panował półmrok; jakiś promyk słońca wyczarował w jej źrenicach kilka niepokojących ogników.

Holta obleciał strach. Ale świadomość, że może wydawać się śmieszny, popchnęła go o jeden krok do niej. Pochylił się i pocałował ją szybko w usta, które mu nadstawiła.

Wyprostował się potem rozczarowany: książki, marzenia kłamały!

Roześmiała się, błysnąwszy zębami. Wstała i podeszła do niego całkiem blisko; zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go. To go rozbudziło, chwycił ją obiema rękoma za ramiona.

Wyrwała mu się i cofnęła się o krok, ale on przyciągnął ją na nowo do siebie; wykręcił jej szybko ręce do tyłu i zaczął ją gładzić po plecach, po nagich ramionach, szukał jej piersi. –

Sprawiasz mi ból – powiedziała cicho... Puścił ją dopiero wtedy, gdy na pomoście rozległy się kroki. Kiedy kroki ucichły, wymknęła się z kabiny.

Poszedł za nią z powrotem na brzeg, potem wskoczył do rzeki i spokojnie, miarowo prując wodę, popłynął przed siebie. Dopiero gdy już był daleko i przerzucił się na plecy, zobaczył, że płynie za nim.

Na drugim brzegu pobiegli w kierunku przeciwnym do prądu rzeki, do lasu, w którym rosły wierzby i olszyna. Tu wśród turzycy pieniał się bujnie lwi ząb. Z pobliskiej kałuży zerwało się z krzykiem stado dzikich kaczek. Długo leżeli w słońcu.

– Ostatnio dużo o tobie myślałem – powiedział. – My oboje zostaniemy ze sobą na zawsze!

– Ach ty... – powiedziała przeciągle – wybij to sobie z głowy. Poza tym idę za parę dni do arbeitsdienstu. – Uniosła się na łokciach. – Może rzeczywiście tak myślisz – powiedziała nieco cieplej – ale... trudno mi sobie wyobrazić, żeby taki jak ty mógł myśleć o tym na serio...

Pod wpływem tych słów przypomniał mu się pewien epizod z dzieciństwa.

W Leverkusen mieszkali w willi na skraju miasta. W suterenie gnieździł się dozorca ze swoją rodziną. Holt miał wtedy cztery czy pięć lat, i raz wymknął się spod wiecznej kontroli bony i zaczął się bawić z córeczką dozorca, która była w jego wieku i która zabrała go w końcu do ich mieszkania w suterenie. Siedział sobie w ciemnej kuchni przy stole i grał wraz z całą rodziną dozorca w Czarnego Piotrusia, gdy go wreszcie rozgniewana bona znalazła. Na górze w domu musiał się wykapać i zmienić bieliznę. Nie pamiętałby pewnie wcale o tym zdarzeniu, ale wieczorem przypadkowo usłyszał, jak matka, zatroskana, powiedziała do ojca: „Skąd się to w nim bierze... ten pociąg do plebsu?”

Na samo wspomnienie o tym miał ochotę rzucić wyzwanie całemu światu. – A... jeżeli wprowadzę cię do naszego grona zaraz dziś? Jeżeli cię przedstawię moim przyjaciółom? Niech tylko ktoś poważy się pisać przeciwko tobie choć jedno słówko! Gilbert i ja zbijemy każdego na kwaśne jabłko!

Uśmiechnęła się blado. – Każdego?... Znasz Meissnera?

Meissner, od czasu kiedy w trybie przyspieszonym zrobił maturę, był funkcyjnym w HJ; choć miał dziewiętnaście lat, należał do tych nielicznych ze swego rocznika, którzy jeszcze nie poszli do wojska; był serdecznym przyjacielem bannführera, ochotnikiem do SS i dowódcą w służbie patrolowej HJ. – Za parę tygodni idzie do SS – odpowiedział Holt, zdumiony takim skokiem

myślowym. Patrzyła na niego spod przymrużonych powiek. – A... Ruth Wagner znasz?

– Coś sobie niejasno przypominał. Przed paroma tygodniami chodziły słuchy o jakimś śmiertelnym wypadku. – Co się z nią stało?

Mówiła cicho, z głową pochyloną, ale nie spuszczać z niego swych czarnych oczu. – Była ekspedientką. Meissner się do niej dowalał. I to głupie dziewczusko zadurzyło się w nim bez pamięci i pozwoliło sobie z nim na wszystko, choć taki przecież nie bierze nas poważnie... On w nią wmówił, że muszą to jeszcze trzymać w tajemnicy. A potem nagle postanowił ją zostawić, kiedy była już w odmiennym stanie. Powiedział, że koniec. Dał pieniądze i kazał jej to usunąć, ale jeżeli komuś powie, że to było z nim, to dostanie za swoje. Wtedy przyszła do mnie. Była zupełnie zrozpaczona. I tego samego wieczora wsiadła w pociąg pospieszny. Na drugi dzień przyleciał do mnie jej ojciec, czy nie wiem, dlaczego wyjechała. Naturalnie nie wiedziałam o niczym. Potem znaleziono Ruth, rzuciła się z pędzącego ekspresu pod pociąg, który nadjeżdżał

akurat z przeciwnej strony. Nazywało się, że to był nieszczęśliwy wypadek. Potem jej ojciec dostał od niej list, który nadała w drodze, i poleciał z krzykiem do dowództwa Hitlerjugend.

Przytrzymali go tam, a tymczasem Meissner, wytrącony zupełnie z równowagi, pognął do Kretschmara, co to jest szefem SD. Ojciec Ruth nie wrócił już więcej do domu, i nikt nie wie, gdzie teraz jest.

Holt patrzył w próżnię.

Przewróciła się na bok i przytknęła mu usta do ucha. – Widzisz, dlatego właśnie nie mam zaufania do takich jak ty. – Zerwała się na równe nogi. – Ale nie przejmuj się tym, niedługo mnie tu już nie będzie.

Został nagle sam. Nie wierzył w ani jedno słowo, i wierzył we wszystko. Był przerażony i zarazem smutny, czuł w sobie jakieś rozgoryczenie, które przeradzało się w gniew, w gniew na Meissnera. Długo jeszcze leżał w trawie i rozmyślał. Potem postanowił pomówić z Wolzowem.

– Muszę ci coś powiedzieć – oświadczył Holt, gdy Wolzow otworzył mu drzwi. I nagle zaczął nasłuchiwać. Przez ściany przedzierał się jakiś dziwny dźwięk, przeciągły jak skomlenie psa. – Moja matka – wyjaśnił Wolzow. – Od dwóch lat wiecznie te same komedie, od kiedy mój ojciec jest na froncie wschodnim... I coś takiego nazywa się żoną oficera! Była już raz w domu wariatów, ale myślisz, że ją tam od tego lamentowania odzwyczaili? – Poczęstował Holta papierosami. – Nie zwracaj na to uwagi, z biegiem czasu przyzwyczaisz się. Opowiadaj.

– Czy znasz Ruth Wagner?

– Hm – mruknął Wolzow. – Niewyraźna historia. – Zdawało się go to mało interesować.

Holt zaczął opowiadać. Na zakończenie zapytał: – Wierzysz w to?

– Dlaczego nie? Zeszłego roku też się coś takiego zdarzyło. Paru facetów z dowództwa HJ

dostało kartę powołania i oblewali pożegnaniem. Jak już byli dobrze zalani, zwabili do siebie pierwszą lepszą dziewczynę z ulicy, rozebrali do naga, a potem po kolei... no, sam już wiesz.

Nazwali to chrztem Neptuna, bo byli ochotnikami do marynarki, całkiem oryginalnie, co?

Dziewuszka miała dopiero piętnaście lat. Jej ojciec chciał narobić szumu, ale bannführer krył swoich ludzi. Jeżeli nie będzie siedział cicho, powiedzieli ojcu, to może się pożegnać ze swoją ciepłą posadką, pogląd władz na jego niezbędność w kraju może się zmienić. Na to ten cywil ze strachu przed frontem stchórzył i cała sprawa przyschła. To z Meissnerem może więc też być prawdą.

– A... co ty na to? – wykrzyknął Holt.

– Nic mnie to nie obchodzi – odburknął Wolzow. Lecz Holt nie ustępował. – Nic cię nie obchodzi? Mnie też nie. Ale my w końcu nie jesteśmy byle kim i jest ci rzeczywiście obojętne, co ten Meissner narozrabiał?

– Nie podniecaj się – powiedział Wolzow polubownie.

– Mamy jeszcze honor czy nie? Tak? No to trzeba... iść na policję... – gorączkował się Holt.

Wolzow popukał się palcem w czoło. – Na policję? Oni przecież powiedzą, że to nalot na partię.

Holt siedział przez chwilę na łóżku przestraszony. Potem powiedział z uporem: – Ale tu idzie o... sprawiedliwość! Musimy na własną rękę przywracać sprawiedliwość, jak Karol Moor:

„Zemsta jest moim rzemiosłem”. Musimy pomścić Ruth Wagner.

– Ta dziewczyna jest mi zupełnie obojętna – odparł Wolzow. Nagle zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem. – Ten Meissner... – powiedział w pewnej chwili – to już co prawda stare dzieje, ale zawsze: to on mi wtedy schrzanił karierę HJ-führera, nie mogę wprost o tym myśleć. A więc dobrze, zastanowię się nad tym.

Na parę dni przed wakacjami Holt musiał jednak wrócić do szkoły i brać udział w lekcjach.

Koledzy powitali go z wielką radością, lecz Wolzow był nieobecny i to mu zatruło cały dzień.

Był już i bez tego niespokojny, bo nie udało mu się zobaczyć z Marią Krüger. Według planu lekcji miała być dziś matematyka, fizyka, biologia i dwie godziny gimnastyki. Na korytarzu stał

na straży Glaser. Zemtzi wrzeszczał: – Dziś ja u Benedicta podaję hasło! – Benedict wymagał, aby na każdej lekcji gimnastyki wygłaszano coś w rodzaju hasła, które musiało się kończyć słowami: „Dlatego... w zdrowym ciele zdrowy duch!” Zemtzi piszczał: – Jak powiem „dlatego” i mrugnę lewym okiem, wtedy wy wszyscy rykniecie: „...jedzcie kartofle w mundurkach!” Uwaga, robimy próbę! – Stał na podium i krzyknął: – Mimo wielkiego urodzaju kartofli oszczędność jest dalej najwyższym nakazem! Dlatego...

– ...jedzcie kartofle w mundurkach!

Gdy Holt zjawił się jako nowy w klasie, z miejsca zacytował Buscha: „Przysłowie stare, chociaż krótkie, że kto ma troski – ma i wódkę, dlatego... w zdrowym ciele zdrowy duch”. Od tej pory ten z całą powagą zainicjowany kiedyś zwyczaj stał się pretekstem do ciągłych wybryków.

Matematyka z Schönerem: Gruby Vetter wyciągnął talię kart, potasował je i rozdał.

Następna lekcja była już bardziej interesująca: fizyka z Gruberem. Szło się na nią do pracowni fizycznej.

Gruber stał przy stoliku doświadczalnym i montował maszynę indukcyjną. Na powitanie klasa ryknęła mu w odpowiedzi „Heil Hitler!” tak gromko, że aż się mury zatrzęsły, bo mały, okrągły jak kuleczka człowieczek, już dawno po sześćdziesiątce, słabo słyszał, był prawie głuchy. Chodził stale w zielonym lodenie i bez przerwy zapewniał: „Ja świetnie słyszę! Słyszę doskonale i wyciągnę konsekwencje!” Podejrzliwie patrzył na twarze swoich uczniów i jak tylko zobaczył, że ktoś porusza ustami, zaraz karał. Nauczono się zatem wydawać nawet najbardziej niemożliwe dźwięki bez otwierania ust.

Lekcja rozpoczęła się przy akompaniamencie dzikich wrzasków. Holt nie brał w tym udziału, bo go to nie bawiło. Miał pod ławką książkę i czytał. – Holt, na środek! – rozkazał

Gruber. Mówił bardzo cicho. Holt nie słyszał tego wezwania, ale koledzy wrzasnęli: – Holt... na środek!

Holt wstał i powiedział: – Sześć tygodni byłem nieobecny! – Gruber źle go zrozumiał. – Nie, nie musisz brać ze sobą notatek. – Holt powtórzył jeszcze raz to samo: – Byłem nieobecny!

– No właśnie dlatego – upierał się przy swoim Gruber. I wtedy Holt wrzasnął na całe gardło:

– Nie mam ochoty! – Potem usiadł i przybrał nieobecny, obojętny wyraz twarzy.

Klasa zawyła z zachwyty, umilkła jednak, gdy Gruber otworzył usta. Malutki nauczyciel w zielonym lodenie łapał nerwowo powietrze, a potem krzyknął, wzburzony do ostateczności: –

Doskonale słyszałem! Nie ma ochoty! Ukarzę naganą i wpiszę ją do dziennika. – Gruber zaczął odkręcać swoje wieczne pióro. W tym momencie wstał Zemtcki i szybko parę razy zawołał: –

Panie profesorze... panie profesorze! Ja...! Ja...! – Wyskoczył z ławki i poleciał do Grubera, który skwapliwie nadstawił ucha. – Pan profesor nie może go ukarać! Bardzo proszę, on był chory!

Miał szkarlatynę, która mu się rzuciła na mózg! Lekarz powiedział, że on jeszcze długo nie będzie normalny... Proszę... on nie jest winien! – Gruber stał niezdecydowany. Klasa powtórzyła jak echo: – Tak! On jest półprzytomny! On nie jest winien!

– On jest chwilowo nienormalny – błagał Zemtcki. – Pan profesor nie może go ukarać!

Holtowi było to nie w smak, więc wstał. – To nieprawda! Jestem najzupełniej normalny! –

Ale akurat ta wypowiedź zdawała się świadczyć, zdaniem Grubera, o czymś wręcz przeciwnym; chory uczeń był mu nawet bardziej sympatyczny niż uczeń krnąbrny. Wobec tego z powrotem zakręcił swoje wieczne pióro. – Z uwagi na twój stan zdrowia nie wpiszę ci nagany. – I dodał: –

Oszczędzaj swój mózg! – co się spotkało z burzliwym aplauzem.

Holtowi kawał Zemtckiego nie sprawił żadnej przyjemności. Jak ja mam już tego dosyć! –

zzywał się w duchu. Myśl o Wolzowie nie dawała mu spokoju.

Przed bramą w wysokim murze ogrodu stało zaparkowanych kilka ciężarówek. Czyżby ojciec Wolzowa przyjechał na urlop? Holt przyglądał się z zaciekawieniem wozom wojskowym, dwóm otwartym samochodom terenowym z wmontowanymi karabinami maszynowymi, kilkunastu motocyklom z przyczepami i wielkiej limuzynie. Na ciężarówkach siedzieli żołnierze w hełmach, z karabinami, z kupą bagażu, w zabłoconych butach. Wyglądali na zmęczonych i wyczerpanych, jakby mieli za sobą morderczą jazdę.

W hallu stało parę kufrów. W fotelu chrapał jakiś kapral, z brudnymi butami na dywanie.

Pokój Wolzowa był pusty. Holt na próżno wołał przyjaciela po korytarzach, wreszcie usadowił się na łóżku i postanowił czekać.

Wolzow miał oczy zupełnie zapuchnięte ze zmęczenia. – Mój ojciec poległ. W nocy przyjechał stryj Hans, prosto z Rosji, przez Węgry. Został odkomenderowany do Berlina... Daj spokój – dodał – to przecież wszystko jedno. Taka już żołnierska dola. Tylko moja matka... Stryj Hans odda ją do kliniki dla nerwowo chorych. I coś takiego chce być żoną oficera! Chodź!

Przedstawię cię stryjowi.

Popchnął Holta do jakiegoś wielkiego, ponurego pokoju. Na tapczanie pod oknem leżał

generał major Wolzow. Był chudy, bez munduru, rękawy u koszuli miał podwinięte, a jego buty leżały na dywanie. Na stoliczku stało kilka butelek czerwonego wina i koniaku, między nimi leżało parę paczek papierosów i do połowy opróżnione pudełko cygar. Generał uniósł się lekko na tapczanie. – Aha! – powiedział, po czym położył się z powrotem. Wolzow podsunął Holtowi krzesło, nalał koniaku i zaczął opowiadać: – Ojciec brał jeszcze udział w ofensywie pod Kurskiem, pewnie wiesz z komunikatów, co się tam działo...

– Czytałem o tym – powiedział Holt, trochę onieśmielony obecnością generała. – Rosjanie teraz atakują pod Orłem, rzucili podobno do akcji ogromną ilość sprzętu. – Generał uniósł się na tapczanie i wyciągnął rękę po kieliszek koniaku. – Przyjaciel Gilberta? Bardzo mi przyjemnie.

Za pamięć Filipa! No to prost! – Wypił. Mówił cicho, dźwięcznym, trochę przepalonym głosem; kładąc się teraz z powrotem na tapczanie, powiedział: – Knoth! – Wolzow otworzył drzwi i zawołał: – Kapral Knoth! – Holt z trudem łapał oddech, koniak palił go w gardle.

Na schodach prowadzących na górę zadudniły kroki, jakaś postać w mundurze polowym ryknęła od drzwi: – Na rozkaz, panie generale! – Był to ten sam kapral, który spał w hallu. –

Załatwić sprawę paliwa – powiedział generał, pocierając lewą dłonią czoło. Potem uniósł się na łokciach. – Zupełnie nie mogą sobie przypomnieć, gdzie się podział Schreyer, Wolzow szepnął: – Pili dziś w nocy jak smoki!

– Pan porucznik pojechał dziś rano do swojej żony – odparł kapral. – Prawda – powiedział generał. – Teraz sobie przypominam... Muszę prędko posłać jeszcze gdzieś Wenzkego.

O szesnastej jedziemy dalej. Odejść! – Kapral zbiegł z hałasem po schodach na dół. Pod otwartym oknem rozległ się warkot silników i zaczął się oddalać. Gdzieś obok trzasnęły drzwi.

Znowu cały dom napełnił się żalonym skomleniem. – Prawda! – powiedział generał po raz drugi. Postępując podniósł się z tapczanu, wdział niebieskoszary mundur lotniczy i kazał

chłopcom wciągnąć sobie buty. – Odwiozę teraz Sybillę. Wstrząsy elektryczne to podobno jedyne na to lekarstwo. – Wolzow parsknął pogardliwie: – Tej nic nie pomoże. Najlepiej by było, żeby ją tam już zatrzymali. – Generał mruknął coś pod nosem. Był tak samo wielki, jak jego bratanek, miał ten sam orli nos i pod krzaczastymi brwiami te same szare oczy. Stał, już ubrany, na środku pokoju i ścisnął sobie obiema dłońmi skronie. – Przeklęty koniak! Przeklęta pijatyka! – Popatrzył na swego bratanka w zamyśleniu i nagle zapytał: – Kłopoty?

– Ze szkołą – odparł Wolzow. – Zostanę prawdopodobnie na drugi rok.

– Głupi czy leniwy? – spytał generał. – Naturalnie leniwy! – odpowiedział Wolzow. –

Jeszcze w tym roku pójdziemy do wojska... Na razie do obrony przeciwlotniczej. – Generał

zaczął się śmiać, sięgnął po butelkę i napełnił kieliszki. – Prost! Nic sobie z tego nie rób!

Gdzieś w korytarzu trzasnęły drzwi, i przepalony głos generała zagłuszyło żalosne skomlenie pani Wolzow. Gilbert nalał do kieliszków czerwonego wina.

Holt wracał do domu oszołomiony i podniecony. Na niebie zbierały się chmury. Kiedy zapadł zmierzch, gdzieś daleko za górami zaczęło się błyskać. Holt stał przy oknie. Myślał o tej chwili w kabinie na plaży.

Następnego dnia Wolzow był również w szkole nieobecny. Mass odczytał okólnik: „Klasy od III do VI pomagać będą przez trzy tygodnie w żniwach. Wyjazd 21 lipca... podp. Knopf, bannführer, Mietzsch, dyrektor gimnazjum”. – Już na trzeci dzień po rozpoczęciu się wakacji! –

mruknął niezadowolony Gomulka.

Po lekcjach Holt znalazł willę Wolzowów zamkniętą na cztery spusty. Rozczarowany, zawrócił do domu. Z okna willi Wiesów wyglądał blady Peter i zawołał go do siebie.

W wielkim, jasnym salonie stał forte pian. Wiese mówił cicho i w zamyśleniu. Usiadł zresztą bardzo prędko przy fortepianie i zaczął grać.

Gra Wiesego nastrojała Holta zawsze trochę melancholijnie. – Trzeba by się właściwie nieco pouczyć form muzycznych... – powiedział nagle Wiese. – Dopiero wtedy widzi się strukturę poszczególnych części. Bez znajomości form nie można dobrze rozumieć muzyki. – Uderzył

kilka taktów. – Beethoven, sonata numer pierwszy, opus drugie, taka lekcja pogładowa dla przykładu! Pierwsza część: pierwszy temat: czterotaktowy poprzednik, a teraz... cztery takty następnika. Powtarzam jeszcze raz. Trzeci i czwarty takt to powtórzenie taktu pierwszego i drugiego na dominancie. – Wiese przegrał je. – Siódmy i ósmy takt... półkadencja... i na tym się pierwszy temat kończy... – Wiese objaśniał pierwszą część takt po takcie. – Teraz łącznik.

I drugi temat. – Przegrał jedno po drugim. – Epilog. To wszystko do tego miejsca nazywa się ekspozycją. A teraz następuje przetworzenie. – Następstwo tonów stawało się całkiem przejrzyste. – Czy każdy utwór muzyczny zbudowany jest według tak surowych kanonów? –

zapytał Holt. Wiese rozpędził się: – Obecnie obserwujemy rozkład formy... Tylko nieliczne kanony utrzymują się jeszcze w mocy, na przykład ósmiotaktowość...

– Co jest właściwie najtrudniejsze do gry na fortepianie? – spytał Holt.

Wiese zamyślił się. – Wyciągi fortepianowe z Ryszarda Straussa... Ale nie ma nieszczęścia, jeżeli uderzy się w sąsiedni klawisz, Strauss brzmi tak czy owak zawsze trochę fałszywie. –

Zaczął grzebać w nutach. Trwało to dość długo. Holt nadstawił uszu.

Czegoś takiego jeszcze nigdy nie słyszałem, myślał sobie w duchu. Wiese, mordując się z trudną fakturą utworu, wołał raz po raz: – W partyturze brzmi to naturalnie całkiem inaczej...

To tutaj to mają być dzwoneczki... albo triangel. – Kling-kling-ling, zabrzdąkał w wiolinie.

Burza tonów, dysonansowych i denerwujących, a potem znowu harmonijnych, oszołomiła Holta.

– Wręczenie srebrnej róży – wołał Peter Wiese – musisz sobie w tym miejscu wyobrazić dwa głosy kobiece...

W ostatnich tygodniach wiele przeżyłem, myślał Holt, jeszcze trochę, i wszystko się skończy, lato, godziny spędzone tu u Wiesego, popołudnia nad rzeką, a rozpocznie się prawdziwe, pełne przygód życie, wojna, ta narzucona przez potężne moce przeznaczenia próba sił! – Graj dalej – powiedział z prośbą w głosie – to mi się podoba... – Kto wie, gdzie się dostaniemy, rozmyślał. Tu artylerii przeciwlotniczej nigdzie nie ma, może nas skierują na jakiś punkt zapalny. Spokojne życie to hańba w takich czasach. A ja przez ostatnie dwa lata siedziałem sobie z mamusią w Bambergu, tam też nocne bombardowania były tylko legendą; od czasu do czasu zdarzał się alarm, ale cóż to ma za znaczenie wtedy, kiedy inni, zaledwie trochę tylko ode mnie starsi, stoją już przy armatach? Wczoraj w gazecie czytał o „Samoobronie przed ogniem i śmiercią” i „Słowo o wojnie powietrznej” ministra doktora Goebbelsa.

Bo obowiązkiem każdego jest zachować spokój, być dzielnym i gotowym, pisano tam...

Gdyż rzeczywistość bombardowań przekracza wszelkie wyobrażenie, i nie odda jej żaden list, żadne sprawozdanie... Płonący dom, zasypana piwnica nie mogą być dla nikogo nowizną ani niespodzianką; każdy musi się liczyć z taką sytuacją i powinien być z góry na nią przygotowany... Poprzez wysoką ścianę ogrodu zimowego wpadało łagodne słońce. Wiese grał: kling – ling-lin... Piwnice, wyjścia zapasowe ze schronów, wyłomy w murach, mokre koce, maski przeciwgazowe, świece i zapałki, w piwnicach woda do picia i zapasy żywności, odpowiednie ubrania, gaśnice, odwaga i zdolność do samoobrony. Nie tracić nadziei! Zacisnąć zęby!

– Aria Śpiewaka – powiedział Wiese i zanucił dziecinnym alcikiem: – Di ri-go-o-riiii... –

Pewnie, w ostatnich tygodniach terror powietrzny przybrał bardzo na sile. Ale doktor Goebbels mówi: Jeżeli Anglicy potrafili wytrzymać, za co niejednen z nas ich podziwiał, to my teraz też musimy wytrzymać! Tak jak dla Brytyjczyków odwróciła się karta w wojnie powietrznej, tak i dla nas się odwróci. Anglicy czekali na to dwa lata, nasz czas wyczekiwania stanowić będzie tylko nieznaczny ułamek angielskiego czasu wyczekiwania. Niech nikt nie myśli, że Führer przygląda się furii nieprzyjacielskiego terroru bezczynnie. Jeżeli nie mówimy o środkach przez nas przygotowywanych, to jest to tylko dowód... Właśnie, pomyślał Holt, najlepszy dowód!... na to, że tym intensywniej je przygotowujemy. Czasy są wielkie, wzniosłe, i przywodzą na myśl najlepsze lata epoki fryderycjarskiej, Fryderyk ze swoim młodym państwem pruskim stał nieraz w obliczu niebezpieczeństwa, z którym to niebezpieczeństwo, jakie my dziś mamy do przewyciężenia, nie może się nawet równać. A jednak dał sobie radę.

A my, rozmyślał Holt, takie bojowe chłopaki jak Wolzow i ja... śmiechu warte!

Peter Wiese grał. A potem, któregoś dnia, zwycięstwo! – myślał Holt. Kwiaty, owacje, dzwony. Kling-ling-ling, dzwoniło w fortepianie. Gdy Holt się żegnał, Wiese cicho powiedział:

– Wy niedługo pójdziecie... Ja pewnie tu zostanę, jestem niezdolny... – Holt patrzył poprzez ogród zimowy gdzieś w przestrzeń. Biedny chłopak, pomyślał sobie. Wieczorem Wolzow był

już w domu, i Holt został u niego na noc, w pustej willi. Siedzieli we dwójkę w hallu, przy dogasającym kominku. – Przygotowuje się całkiem nową broń przeciwlotniczą. Jest nadzieja, że jeszcze zdrowo sobie postrzelamy! – powiedział Wolzow.

Stenografia z Hessingerem, a potem rozdanie świadectw przez profesora Massa, dlatego w klasie panował już nastrój wakacyjny. Żegnano stary rok szkolny psimi figlami. Hessinger, dobroduszny starszy człowiek, miał z nimi ciężki krzyż; był bezbronny, i dlatego go zadrażano.

– Ja nie wiem – powiedział Holt na przerwie – ale tego już za wiele, to po prostu podłość. –

Gomulka popatrzył na niego w zamyśleniu. – Masz rację.

– To dlaczego na to pozwala? – wyskoczył Vetter.

– Stul pysk – powiedział Wolzow.

Lecz nagle stało się coś niesamowitego. Ten gruby, jasnowłosy Vetter, wiecznie wykpiwany z powodu swojej tuszy, zbuntował się przeciw Wolzowowi. – Teraz to trzęsiesz portkami ze strachu, żeby cię nie zostawili na drugi rok, co? – To była sensacja!

Ale Wolzow nie brał wcale Vettera poważnie. – Ty? No, wybaczam ci tę twoją głupotę. –

I roześmiał się. – Mass miał jednak rację, kiedy pytał, czy tę swoją głupotę odziedziczyłeś po matce. Bo te zwały tłuszczu masz po ojcu.

Zemtcki stał za Vetterem i judził go po cichu: – Tego nie wolno ci puścić płazem! – Vetter, rozindyczony, wyjąkał: – To... to... taka obraza, a więc... dziś o szóstej na Kruczej Skale!

Wolzow był zaskoczony. – Ty chcesz się ze mną bić?

– Obraziłeś moją rodzinę – oświadczył Vetter. – Ja dyktuję warunki. Przyślę ci Fritza, który będzie moim sekundantem. – Zemtcki kiwnął skwapliwie głową. Gomulka przepchnął się naprzód. – Ja będę arbitrem. – I teraz już wszyscy zaczęli Vetterowi perswadować: – Daj spokój, przecież on cię rozniesie! – Vetter był bliski płaczu. – Ale moja rodzina... honor mojej rodziny...

– Za drzwiami rozległ się ostrzegawczy gwizd czujki.

Do klasy wszedł Mass ze świadectwami pod pachą. Sponad okularów patrzył gdzieś przed siebie. Wolzow przeszedł jednak do następnej klasy; uratowały go bardzo dobre stopnie z gimnastyki i historii, ale poza tym jego świadectwo było żałosne. Kiedy znaleźli się na dworze, spojrzął na słońce i mrużąc oczy powiedział: – Dziś przyszło parę skrzyń, spadek po moim ojcu.

Zaraz to rozpakujemy.

Było upalne, duszne popołudnie. Wolzow i Holt rozebrali się do spodenek kąpielowych i opychali się ile wlezie. W kuchni naczynia nie były myte już od tygodni, brudne talerze i garnki wypełniały cały zlew. Na stole piętrzyły się papierowe torebki i resztki jedzenia, między tym butelki od czerwonego wina, pełne i puste. Wolzow wyciągnął narzędzia, wziął pod pachę butelkę wina i

popchnął Holta do hallu. Stały tam na dywanie trzy duże skrzynie i kilka walizek.

Wolzow rozsunął zasłony, przez okno wlało się dzienne światło, w powietrzu zawirowały pyłki kurzu. – Łyknij sobie najpierw trochę.

Czerwone wino było smaczne, Holt pił prosto z butelki, dużymi haustami. Wolzow wrzucił

do kominka oderwane od skrzyni deseczki i zaczął wypakowywać mundury i spodnie. Złym świadectwem rzeczywiście wcale się nie przejmuje, pomyślał Holt. Jego własne wypadło dosyć znośnie, ale Mass wpisał mu uwagę: „moralnie niedojrzały, chorobliwa ambicja”. W artylerii przeciwlotniczej nikogo to nie będzie interesowało, myślał sobie.

– Popatrz! – powiedział Wolzow. – No proszę! – Wyciągnął z pochwy kordzik oficerski o rękojeści z kości słoniowej. – Wspaniałe, co? Ależ ten kominek śmierdzi. – Holt otworzył

okno. Druga skrzynia wypełniona była pudełkami, najrozmaitszymi futerałami i teczkami. Jedna z teczek zawierała papiery, cały stos widokówek, ceratowe zeszyty, których kartki pokryte były wyrobionym pismem, pudełko z orderami i odznaczeniami oraz inne drobiazgi. – Ja jestem spadkobiercą, jeżeli z moją starą będzie tak dalej, to ją ubezwłasnowolnię. Popatrz tylko! –

wykrzyknął. W skrzyni leżały dwa, nie, trzy pistolety w futerałach. Wolzow otworzył pierwszy futerał i wyjął z niego ciężką broń palną. – Bracie!... – szepnął Holt zachwycony – zero osiem!

– „Si vis pacem, para bellum...”* [*Si vis pacem, para bellum – Jeśli chcesz pokoju, gotuj się do wojny.] – powiedział Wolzow – stąd nazwa parabellum. – Wyjął magazynek i odciągnął

zamek, jeden nabój spadł na podłogę i potoczył się po dywanie. – A tu... walter siedem sześćdziesiąt pięć. Tego jeszcze nie znam. – Podsunął Holtowi trzeci futerał. Holt wyciągnął

z niego mały pistolet: automatyczny. Ujął mocno rękojeść, odciągnął zamek; z lufy wyskoczył

błyszczący nabój, Z cichym metalicznym zgrzytem zamek wrócił z powrotem na swoje miejsce.

Teraz tylko zgiąć palec... i jestem panem życia i śmierci!

– Belgijski browning – stwierdził – sześć trzydzieści pięć, Przy tamtych dwóch grzmotach prawie zabawka, ale wspaniała!

– Jeżeli ci się podoba – powiedział Wolzow, który właśnie składał waltera – możesz go sobie zatrzymać. – Następnie poleciał na górę do swojego pokoju, przyniósł stamtąd wypchaną kuropatkę i postawił ją na gzymsie kominka, na tle holenderskich kafli.

W tym momencie zadzwonił dzwonek. Na ulicy stali Gomulka i Zemtzi. Holt wprowadził

ich do halki. Wolzow wepchnął magazynek do waltera. – Chodźcie, chodźcie! – Podniósł

pistolet do strzału, wziął na cel kuropatkę i nacisnął spust. Strzał huknął w hallu jak granat.

Pocisk odbił się od gzymsu kominka i rozbił na kawałki wielki wazon, który stał na stoliku niecały metr od Gomulki. W powietrzu rozszedł się zapach prochu. Gomulka, któremu skorupy wazonu przeleciały koło ucha, nie mrugnął nawet okiem. – Mój tyrolski sztucer roztrzaskałby te kafle w drobny mak – powiedział tylko. Wolzow zabezpieczył pistolet i położył go przed sobą na stoliku z papierosami. – Ale ty masz nerwy, moje uznanie! Masz w ogóle pierwszorzędne dane na żołnierza!

– Zwariował – pisnął Zemtzi – wali z takiego grzmota gdzie popadnie, jeszcze trafi kogoś w oko!

Wolzow wyciągnął butelkę czerwonego wina. – Siadajcie! – Butelka zaczęła krążyć z rąk do rąk. Wreszcie Zemtzi zaczął: – Vetter został obrażony na oczach całej klasy. Mówi, że nie jest winien, że ma takich rodziców. Ale chociaż spuszczają mu co dzień lanie, honor rodziny przede wszystkim. Dobry, co? Powiedziałem mu, że jeżeli nie zechce się z tobą bić, wszyscy będą go uważali za tchórza, – Niech on lepiej da sobie z tym spokój – powiedział Holt.

– Wymyślił coś całkiem nowego, w czym ma większe szansę niż w boksie. Chce walczyć na noże. – Wolzow roześmiał się. – To ukradł Karolowi Mayowi!

– Bić się na pięści nie chce – mówił dalej Zemtzi – bo ojciec złał go zaledwie wczoraj bykowcem. Ale honor swojej rodziny chce zmyć twoją krwią.

Gomulka uśmiechnął się.

– Gilbert przyjmuje wyzwanie – oświadczył Holt. – Niech będzie o szóstej na Kruczej Skale.

Powtórz Vetterowi, że to, co Gilbert powiedział, wyrwało mu się po prostu ze zdenerwowania.

To powinno wystarczyć. Walka na noże to lekka przesada! – Ale Wolzow zawołał: – Jeszcze sobie pomyśli, że mam pietra!

– Z Vettera wszyscy się wyśmiewają – powiedział w zamyśleniu Gomulka. – W domu go ciągle biją, nie macie nawet pojęcia, co się tam czasami dzieje! On jest rzeczywiście rozgoryczony, i wiem już z góry, że na ugodę nie pójdzie.

– Mnie tam wszystko jedno – powiedział Wolzow obojętnie. – Ale teraz już idźcie, bo nie mam czasu.

Kiedy sobie poszli, Wolzow i Holt wypakowali ostatnią skrzynię i hali zapełnił się różnymi częściami żołnierskiego ekwipunku. Jedna walizka zawierała same naboje do pistoletów, i to rozmaitego kalibru; na koniec Wolzow wypakował cygara, może jakieś dwadzieścia pięć pudełek aromatycznych cygar. Znalazł też portfel swojego ojca. Znajdowało się w nim coś ponad trzysta marek.

Wolzow, pogrążony w myślach, z przechyloną na bok głową, znowu bawił się Walterem. –

Myślałem nad tą sprawą z Meissnerem. To, że dziś na zbiórkach muszę stawać na bacność przed pierwszym lepszym scharführerem, jemu zawdzięczam. Już dawno właściwie powinienem był mu gębę obić. A zatem, zgadzam się. Tylko musimy się z tym pospieszyć, bo za osiem dni idzie do SS.

Spotkałem stammführera Wurma, on i Barth będą kierować tą całą akcją żniwną.

Może być wesoło! A więc, jak powiedziałem, Meissner idzie do SS.

– Jak wrócimy – zauważył Holt – będzie już za górami, za lasami.

– Czyżbyś miał zamiar harować na tych żniwach całe trzy tygodnie?

– A jak ty sobie to wyobrażasz?

– Trzeba się urwać!

– Dokąd? – zapytał Holt.

– Właśnie w tym sęk... Ja w każdym razie się urywam... i nie będzie mnie tu tak długo, dopóki nie dostanę karty powołania.

Holt zamyślił się. – Daleko nie zajdziesz. Co innego dawniej. – Ale w tym samym momencie stanął mu przed oczyma dziki krajobraz górski, nieprzebyte lasy... pieczara! – Znam pewne miejsce – powiedział głosem ochryplym z podniecenia. – Pierwszorzędną kryjówkę... –

I opowiedział o pieczarze.

– Chodź na górę – zapalił się Wolzow. Gdy znaleźli się w jego pokoju, wyciągnął mapy topograficzne okolicy. – To nie mogła być Vostrauńska Góra, bo tę dobrze znam... Pokaż mi, którąś szedłeś. – Holt zaczął studiować mapę. – Tędy... przez te dwie wsie... Potem szedłem na północ, potem wokół jakiejś bardzo rozległej góry od strony zachodniej na północo-zachód, potem znowu na północ...

– No to dotarłeś o wiele dalej, niż ci się zdaje! Vostrauńska Góra znajduje się zupełnie gdzie indziej. Prawdopodobnie obszedłeś Szeroką Górę... Tam za nią jest wiele kamieniołomów... To musiało być tutaj. Przy Łysej Górze... Jeszcze bardziej z tyłu, za tym urwistym szczytem... To będzie trzydzieści kilometrów stąd...

– Z powrotem szedłem ostrym marszem, a mimo to byłem jakieś siedem godzin w drodze...

Wolzow usiadł na łóżku i zapalił cygaro. – Byłem tam kiedyś przed paru laty... Cholerne odludzie! Żadnej wsi, tylko las... W tych górach były kiedyś, jeszcze za króla Ćwieczka, kopalnie. Gdyby ktoś o tej pieczarze wiedział, tobym na pewno musiał o tym słyszeć! – Chodził

w zamyśleniu po pokoju, tam i z powrotem. – Mamy teraz lipiec. Sierpień, wrzesień...

Musielibyśmy zabrać ze sobą kupę gratów!

Holt był oparty o okno. Teraz naprawdę go zatkało. Ale potem ujrzał przed sobą lasy, chmury, góry... ognisko w nocy, wygwieżdzone niebo... Wolność, swoboda... wielka oszałamiająca przygoda!

Wolzow znowu zaczął studiować mapę. – Moglibyśmy sobie drogę mocno skrócić, gdybyśmy popłynęli w górę rzeki łodzią, przez Czarne Źródło... To byłoby wygodne również ze względu na bagaż, można by wziąć na hol jeszcze jakąś łódkę... Obejrzymy sobie jeszcze raz te pieczarę, dobra?

– Do wtorku – powiedział teraz Holt, dla którego ta przygoda była już rzeczą postanowioną

– powinniśmy zdążyć sobie wszystko przygotować. Potem pojedziemy na akcję żniwną. To jest rzeczywiście najlepszy sposób, żeby stąd zniknąć. Po trzech dniach wrócimy po kryjomu z powrotem, przetrzepiemy skórę Meissnerowi i zaraz potem w nogi. – Wszystko dla niego było teraz całkiem proste.

Ale Wolzow myślał trzeźwo: – Sprawę z Meissnerem trzeba jeszcze dobrze rozważyć; wiesz przecież, napad na HJ-führera, to się może dla nas źle skończyć.

– Ale on musi wiedzieć, dlaczego dostaje od nas baty – powiedział Holt.

– Ostrożnie – odparł Wolzow – bo dopiero sobie napytamy biedy!

– A twój stryj? – zapytał Holt. – Nie mógłby w razie czego ująć się za nami?

– Zwariowałeś? – wykrzyknął Wolzow. – Stryj Hans jest od trzydziestego roku w partii, jako oficer niemiecki nie tolerowałby czegoś takiego. Nie, musimy sobie sami radzić.

– Gdybyśmy mieli coś w ręku – myślał głośno Holt. – Coś na piśmie, jakieś przyznanie się do winy, które mogłoby go skompromitować, jeśliby zamierzał puścić parę z gęby! – Wolzow znowu się zamyślił. – Niezła myśl – powiedział po chwili – muszę się nad tym zastanowić.

Zaczęli się przygotowywać do spotkania na Kruczej Skale i jednocześnie do drogi, ponieważ zaraz po tym zamierzali udać się na noc do pieczary.

Zapakowali pistolety, amunicję, latarki kieszonkowe, mapę, bochenek chleba i dwie puszki konserw mięsnych. Każdy przewiesił sobie przez ramię zrolowaną płachtę namiotową.

Krucza Skala była blisko miasteczka, zaraz za Wzgórzem Bismarcka. Szli drogą między altanami i ogrodami. – Potrzebne są nam strzelby – mówił Wolzow. – Z pistoletu nie ustrzeli się nawet nędznego zająca, a co dopiero dzika... Przydałaby się co najmniej małokalibrowka... Moja jest zepsuta. Ale przecież Sepp ma też taką! Poza tym ma jeszcze tyrolski sztucer, jedenastomilimetrowy... a może nawet większego kalibru. Kule musi odlewać z ołowiu, przy pomocy specjalnej formy, łuski nabija prochem strzelniczym. Śmierdzi to paskudnie i hałasuje jak średniowieczna kolubryna, ale położysz z tego każdego zwierza z odległości stu metrów.

– Seppa powinniśmy wziąć ze sobą – powiedział Holt. – On ma szkoły tak samo dosyć jak my.

Krucza Skala były to dziwacznie spiętrzone zwały bazaltu. Kiedy świeciło słońce, cień ich sięgał aż po skraj pobliskiego lasu.

Gomulka przywitał się z nimi. Vetter i Zemtzi trzymali się razem na uboczu. – Trzymaj się nas,

Sepp, jak już będzie po tej całej hecy – powiedział Wolzow.

Zemtcki oświadczył uroczyście, że Vetter odrzuca wszelkie propozycje pojednania. Chce walczyć.

Gomulka zaznaczył na łące koło. Wolzow ściągnął koszulę przez głowę, zdjął także bryczesy i buty i stanął w końcu na trawie boso, w samych tylko kąpielówkach. – Naprawdę chcecie? – zapytał Gomulka nagle całkiem poważnie. Wolzow wszedł już w obręb koła. Vetter również miał na sobie same spodenki gimnastyczne. Holt napadł na niego: – Ty ośle jeden, sam sobie będziesz winien, jeżeli cię...

– Jeżeli mnie obrazisz, będziesz i ty musiał ze mną walczyć – przerwał mu Vetter. Dzwonił

zębami. Gdy wszedł w obręb koła, spojrzął spode łba na Wolzowa, który – o pół głowy wyższy od niego i o świetnie wyrobionych mięśniach ramion, piersi i barków – czekał spokojnie w niedbałej postawie. Vetter miał ciało gąbczaste, różowe i trochę obrzmiałe.

Gomulka podał Vetterowi finkę, jaką nosili członkowie HJ. Wolzow również otrzymał taki nóż. – Stańcie w kole tyłem do siebie.

– A kto zanieśie ciało Vettera do domu? – spytał Zemtcki. – Jako sekundant nie jestem chyba zobowiązany jeszcze go...

– Spokój! – krzyknął Gomulka. – Jak powiem „naprzód”, odwróćcie się do siebie twarzami i zaczniecie walczyć, bez dalszej komendy. Kto wyjdzie poza obręb koła, ten przegrywa. A poza tym walczycie aż do upadłego. Komenda będzie brzmieć: „Uwaga... gotowi... naprzód”. Rzucam komendę: Uwaga... gotowi...

– Walczę za honor mojej rodziny! – krzyknął rozpaczliwie Vetter. Był blady, i kolana mu drżały.

– Zamknij się – powiedział Wolzow. – Sepp, daj wreszcie hasło! – Holt widział, że Wolzow jest wściekły. – Naprzód! – krzyknął Gomulka.

Obaj odwrócili się do siebie twarzą i zaczęli iść wolno ku sobie, Wolzow spokojny i swobodny, Vetter, kołysząc się na nogach niezdarnie jak kaczką, wymachiwał finką w powietrzu i bez przerwy powtarzał: „Naprzód... naprzód... naprzód...” Nagle Wolzow odrzucił

nóż, Vetter przeraził się i natarł na niego, Wolzow zrobił jednak szybki unik i wymierzył

Vetterowi tak siarczasty policzek, że grubasek upadł na plecy. Z ramienia Wolzowa płynęła krew. To wszystko trwało sekundę.

– Vetter leży poza obrębem koła, walka skończona, zwyciężył Wolzow – oświadczył

Gomulka. Holt, obejrzawszy ranę Wolzowa, stwierdził: – Nic poważnego, lekkie draśnięcie.

Vetter siedział w trawie i beczał. – Wszyscy się ze mnie wyśmiewają – szlochał. – Ja przecież nic na to nie mogę poradzić, że jestem taki gruby... Ja nie jestem tchórzem! – krzyknął

nagle. – Moi rodzeni rodzice ciągle mnie biją, nikt nie chce być moim przyjacielem. Ale ja już mam tego dość! Pójdę sobie w świat... – Holt poklepał go po ramieniu. – Przestań ryczeć! Jeżeli chcesz uciec z domu... – Spojrzał na Wolzowa. Wolzow uśmiechnął się i kiwnął głową. – To chodź z nami. My też zwijamy żagle.

– Ale jeżeli zdradzisz się przed kimś choć jednym słowem – zagroził Wolzow – to cię po prostu zastrzelę! – Potem grzmotnął w plecy Zemtckiego. – To się do ciebie też odnosi!

Vetter otarł Izy i wyjąkał: – Naprawdę?... Naprawdę? – Wolzow zaczął częstować wszystkich cygarami. Słońce chowało się już za góry; chłopców wchłaniał coraz bardziej olbrzymi cień skały.

Holt opowiedział im o planie Wolzowa i o pieczarze. Wolzow dodał jeszcze od siebie: –

Potrzebne są nam strzelby, Sepp... Będziemy polować na zwierzynę. Tam jest dosyć zajęcy i saren. Hunowie żywili się też tylko mięsem.

Zemtcki i Vetter słuchali tego wszystkiego z rozdziawionymi ustami, ale Gomulka długo się namyślał. – Wylecimy wszyscy z budy, czy zdajecie sobie z tego sprawę?

– Nikt nie wyleci! – zawołał Wolzow. – Po prostu zniknęliśmy! Jak będzie trzeba iść do wojska, pojawimy się znowu na horyzoncie. Zakład, że wtedy nikt nawet nie pomyśli o wyrzuceniu nas ze szkoły. Wszyscy będziemy przecież potrzebni w obronie przeciwlotniczej.

– Niby racja – powiedział Gomulka. – A tam w górach nas nie znajdują, bo policja musiałaby zmobilizować kilkuset ludzi, żeby przeczesać lasy...

– A więc... A więc... Gilbert! – krzyknął nagle Vetter jak szalony. – Jeżeli weźmiecie mnie ze sobą... to ci przysięgam posłuszeństwo na wieki! – Jego twarz, napuchnięta już od tego siarczystego policzka, promieniała. Holt powiedział: – Wszyscy musimy przysiąc! – Potem stanęli kołem z palcami podniesionymi do przysięgi. – Od tej chwili zostajemy kolegami i wiernymi przyjaciółmi i będziemy trzymać się razem, cokolwiek się zdarzy, teraz i na wojnie.

Wybieramy sobie na przywódcę Wolzowa i przyrzekamy nie opuścić go nigdy w potrzebie.

– Kto taką przysięgę złamie, będzie draniem! – powiedział Vetter. Holt spojrział w milczeniu na Wolzowa, na jego ostry profil o orlim nosie.

– Czy wiecie, dlaczego to tutaj nazywa się Kruczą Skałą? – zapytał Gomulka, gdy wyruszyli w drogę. – Tu ktoś zawarł podobno kiedyś pakt z diabłem, i ten diabeł ukazał mu się w postaci czarnego kruka.

Wszyscy byli teraz zdecydowani pomaszerować nocą do pieczary.

Następnego dnia Holt szedł przez plażę do swojej kabiny, klucząc między tłumem ludzi, którzy to upalne popołudnie spędzali nad wodą. Wykąpał się najpierw w rzece, żeby splukać kurz po tak długiej wędrówce, a potem wałęsał się po pomoście.

Przy trampolinie siedział Peter Wiese z jakimś jasnowłosym dryblasem. Holt, zdumiony, przystanął: Wiese i Hartmuth Meissner? Wiese kiwnął na niego ręką, Holt pomyślał: Co za przypadek! Pozdrowił ich z kocią przymilnością i z zainteresowaniem zaczął taksować Meissnera oczyma. Dotychczas widywał go tylko przelotnie. Wysoki, masywny chłopak o muskularnym, wytrenowanym ciele, opalony na brąz. Kanciasta twarz i zimne, bezbarwne oczy. Włosy prawie białe. Wiese przedstawił ich sobie nawzajem.

– Dobra, dobra! – powiedział Holt. – Kto by nie znał Hartmutha Meissnera?

Meissner powoli odwrócił do niego twarz. – Co to ma znaczyć? – zapytał. Holt uśmiechnął się. Przyjemnie mu było drażnić się z Meissnerem. – No cóż, słyszało się to i owo.

– Jesteś diabelnie bezczelny – zauważył Meissner. Holt szybko mu przerwał: – Podobno masz ciągle jakieś historie z babami. Takie rzeczy prędko się roznoszą.

– Czy słyszałeś coś konkretnego?

– A bo to można wiedzieć? – odpowiedział, Holt pytaniem na pytanie. Wytrzymał spokojnie spojrzenie Meissnera, zachowywał się na pozór niefrasobliwie, ale czuł przy tym narastającą w sobie nienawiść. Poczekaj tylko, niedługo staniemy przeciw sobie gdzie indziej!

Wyciągnął się jak długi na nagranych od słońca deskach. – Zresztą masz rację – powiedział. – Jak się ma wkrótce iść na wojnę, to trzeba brać co się da.

– Jesteś jeszcze trochę za zielony, żeby mieć takie poglądy – odparł Meissner.

– Co to ma za znaczenie, że o te parę lat jesteś starszy ode mnie! Wszyscy mamy tę samą filozofię..

– A mianowicie?

– Życ i pozwolić innym żyć – odpowiedział Holt.

Meissner, któremu pod wpływem słońca zbierało się na sen, obudził się. – To mi brzmi zbyt liberalnie.

– Wcale nie – zaproponował Holt. – Nikt nie wie, czy wróci, no to każdy chce uszczknąć z tej szperki, ile się tylko da. – Meissner przez chwilę milczał. A potem, z zamkniętymi oczami, z głową opartą o belki trampoliny, powiedział: – Że też wy wszyscy nie możecie pojąć ducha naszych czasów! Uszczknąć, ile się tylko da... Co za żydowski punkt widzenia! Tu idzie o państwo, a czy jednostka

będzie z tego coś miała, to jest całkowicie bez znaczenia. Kto dziś używa życia, ten zdradza Niemcy! A państwo jako całość, mój drogi, już wyjdzie na swoje, nie martw się. Rośnie i wzmacnia się...

– Może masz rację, ale mnie niepotrzebne są twoje nauki, ja przez dwa lata miałem najlepszy zastęp w szczepie. Ale że nie wolno używać życia, to ty lepiej nie mów tego tak głośno!

– Mówiłem nie o masach, lecz o nas, naturach wodzowskich – wyjaśnił Meissner.

– Z samymi naturami wodzowskimi nie możesz prowadzić wojny.

Meissner zrezygnował z odpowiedzi, jeszcze chwilę posiedział na słońcu, a potem zostawił Holta i Wiesego samych.

– Co ty siedzisz... z tym? – spytał Holt, a Wiese odpowiedział, niemal się usprawiedliwiając:

– Przysiadł się do mnie...

– Jak myślisz...? – spytał Holt. – Dałbym sobie z nim rade?

– On jest starszy... ale myślę, że tak – odparł Wiese trochę zdziwiony, a ponieważ Holt nic więcej nie powiedział, zaczął w końcu sam mówić: – Zrobiłeś go rzeczywiście na szaro!

Czasami sobie myślę, że mógłbyś być najlepszym uczniem w klasie, gdybyś tylko chciał!

Dlaczego się nie uczysz?

– Nauka nie jest właściwym zajęciem dla mężczyzny. Ja chcę wreszcie iść na wojnę. – Holt nie pomyślał o tym, że jego słowa mogą zrobić Peterowi Wiesemu przykrość.

– Któregoś dnia pewien bogacz dowiaduje się – zaczął Wiese w zamyśleniu – że ma galopujące suchoty. Lekarze mówią: Nie ma ratunku, jeszcze tylko rok życia! Wszyscy lekarze mówią mu to samo. No to on myśli sobie: Dobra jest. I puszcza cały swój majątek, do ostatniego grosza. A gdy rok minął, stal się cud. Bogacz wyzdrowiał. Ale nie miał już nic.

Głupi przykład, pomyślał Holt rozzłoszczony, tak mizerny przykład mógł wymyślić tylko ten Miesepeter! Co mnie obchodzi, co będzie potem? Teraz jest wojna! Ale zmusił się do uprzejmej odpowiedzi. – Rozumiem cię – mruknął.

– I najdziwniejsze – powiedział Wiese cicho – że ja ci zazdroszczę! Co ja bym dał za to –

ciągnął dalej, i widać było po nim, że jest bardzo nieszczęśliwy – żebym mógł być twoim przyjacielem. Ale na to trzeba być pewnie takim jak Wolzow. Ja byłem wszędzie zawsze najślabszy, ale zawsze myślałem sobie: Moją bronią jest intelekt... A właściwie to ty jesteś mądrzejszy ode mnie.

Dziwne, pomyślał również Holt. A głośno powiedział: – Czytałem kiedyś u Nietzschego takie zdanie:

„Wiara w bliźniego to właśnie w nas zdradza, co byśmy radzi widzieć chcieli w sobie... Tęskność za druhem jest więc naszym zdrajcą...”* [*Przekład Włodzimierza Lewika.]

– Tak... tak rzeczywiście jest... Ja chciałbym umieć rozrabiać i bić się, chciałbym być zuchwały, ale cóż... nie chcą mnie wziąć na akcję zniwną, i do tej obrony przeciwlotniczej też mnie nie wezmą...

– Mimo to możemy przecież być przyjaciółmi – odpowiedział Holt wzruszony, i zaczął się zastanawiać... Nie, nie ma mowy. Ale... – Czy umiesz milczeć, Peter?

– Umieję, dla ciebie potrafiłem już nawet kłamać!

– Mam do ciebie zaufanie. – Holt uściśnął Wiesemu rękę. – Wolzow i jeszcze ktoś, słowem: urywamy się... Znikamy, i nie będzie nas tak długo, dopóki nie przyślą nam kart powołania. Ale ty i ja będziemy się od czasu do czasu spotykać. Tylko Gilbert nie powinien nic o tym wiedzieć.

Będziesz mi donosił, co się dzieje w mieście i co ludzie myślą o naszym zniknięciu.

– Chodź do mnie – powiedział później Wiese, spoglądając na zegarek. Holt dziwił się trochę, że Wiese jest w taki upał w czarnym garniturze i białej koszuli z muszką. A gdy się dowiedział dlaczego, w hallu u Wiesów, było już za późno, żeby się wycofać. Siostra Wiesego obchodziła urodziny. – Zostań – prosił Peter. – Później będę trochę grał!

Holt wydawał się sam sobie śmieszny w krótkich skórzanych spodenkach i kolorowej sportowej koszuli; włosy, ciągle jeszcze mokre po kąpielu, stały mu dęba. Szklane drzwi prowadzące z wielkiego hallu do ogrodu zimowego i na werandę były otwarte, tak że można było widzieć ogród. Goście siedzieli wokół stołu przy herbatce. Holt był bardzo zmieszany i widział tylko kolorowe suknie, a pomiędzy nimi czarny mundur czołgisty. Odurzał go zapach perfum, papierosów i kwiatów. Siostra Wiesego była bardzo podobna do brata, też była mała i delikatna i miała bladą, chorowitą twarz, okoloną ciemnoblond włosami. Kończyła dziś dziewiętnaście lat.

Wiese przedstawił jej Holta. Holt wydusił z siebie parę słów i złożył jej życzenia, ale z uporem sterczał dalej na barwnym dywanie. Zmieszanie wyostrzało mu zmysły, nic nie uchodziło jego uwagi: pani Wiese, w fotelu, wymieniła spojrzenie z jakąś jasnowłosa dziewczyną, siedzącą u boku podporucznika czołgisty, i przez usta tej jasnowłosej dziewczyny przemknęło coś w rodzaju uśmiechu.

Wymieniano nazwiska. Uta Barnim, podporucznik Kiefer, jej narzeczoną, i tak dalej.

Wskazano Holtowi miejsce; po jego lewej stronie siedziała pani Wiese, naprzeciwko niego Uta Barnim. Helga Wiese naląła mu herbaty. Holt odzyskał rezon. – Gdybym wiedział, że ktoś tu obchodzi urodziny – odezwał się – ukradłbym gdzieś prędko parę kwiatków... to znaczy postarałbym się o kwiaty. – Wcale go to nie speszyło, że goście wybuchnęli śmiechem, mówił

dalej: – Kupić kwiaty potrafi ostatecznie każdy! Ale kradzione są o wiele cenniejsze – Pani Wiese powiedziała: – Wystarczą nam dobre chęci.

Ośrodkiem zainteresowania była Uta Barnim, starsza córka pułkownika Barnima, obok którego willi

Holt codziennie rano przechodził.

Patrząc na nią, kiedy tak siedziała duża i wyprostowana przy drzwiach werandy, w świetle popołudniowego słońca, oczyma wyobraźni widział w niej Krymhildę z *Nibelungów* Agnes Miegel, a nawet Hildegardę, córkę hrabiego z Gniazda mysikrólika... Podporucznika wojsk pancernych, który właściwie powinien go przede wszystkim zainteresować, obrzucił zaledwie pobieżnym spojrzeniem. Innych dziewcząt w ogóle nie widział, przy niej, przy Ucie.

Peter Wiese siedział przy fortepianie i przewracał nuty. Zagrał najpierw jedną z sonat Haydna, a potem swoje ulubione utwory, marzycielskie, melancholijne kompozycje Schumanna.

Holt raz po raz rzucał ukradkowe spojrzenia na Utę. Część trzecia, allegro moderato? Wszyscy chrząkają, jakie to śmieszne! Czy ona o mnie choć myśli; teraz, w tej chwili, tak jak ja o niej?

Czy to się czuje, gdy ktoś o kimś myśli? Czy z nią byłoby inaczej niż wtedy, tamtego przedpołudnia w kabinie?

Zabrzmiały oklaski. Podporucznik coś szepnął do Uty Barnim. Bałwan! – pomyślał Holt. –

Tak, dziękuję. – Pozwolił sobie nalać jeszcze herbaty. Właściwie powinienem już sobie pójść, pomyślał, ale został. Peter Wiese zamknął fortepian.

– Robisz ostatnio duże postępy – powiedziała do niego pani Wiese miękko. – Ale wolelibyśmy, żebyś mniej ćwiczył, a pilniej uprawiał sporty. – Radość na twarzy Petera Wiesego natychmiast zgasła. – Bardzo nam przykro, że i tego roku uznali cię za niezdolnego do akcji żniwnej – mówiła dalej pani Wiese, jeszcze cieplej niż przedtem. – Panie Holt, może by pan tak rozruszał trochę Petera, jest pan świetnie wysportowany, słyszałam o pańskich włóczęgach po okolicy, pan przynajmniej spędza cały wolny czas na powietrzu.

– Ale to się, proszę pani, fatalnie odbiło na moim świadectwie – powiedział Holt. Goście się uśmiechnęli. – W czasach, w których nie decyduje mózg, lecz pięść – powiedział dobitnie podporucznik Kiefer, zadzierając do góry brodę – nabijanie sobie głowy tak zwaną wiedzą jest zupełnie niepotrzebne. Führer domaga się, żeby hartować młode ciało jak stal, aby nie było za miękkie, gdy życie je zaskoczy. – Uta, siedząca obok niego, patrzyła przez otwarte drzwi werandy gdzieś w dal, jakby nie słuchała.

Pani Wiese zostawiła młodzież samą. Odchodząc, podała Holtowi rękę. – Taki chłopiec jak pan byłby odpowiednim przyjacielem dla Petera. Mój mąż chce za wszelką cenę, żeby Peter stał

się zdolnym do służby wojskowej. Musi go pan tylko dobrze potrzymać w wodzie i razem ze swymi przyjaciółmi wziąć solidnie w obroty, to mu dobrze zrobi! – I prawie zaraz potem opuściła pokój. – Nie można z kozła zrobić ogrodnika! – powiedział Holt ubawiony. – Ja jestem moralnie niedojrzały, mam to napisane na świadectwie. – Uta, chyba po raz pierwszy, spojrzała na niego.

Podporucznik, który wyszedł z siostrą Wiesego do ogrodu i siedł właśnie dróżką wśród krzaków róż, zapytał przez ramię, jak się nazywa opiekun ich klasy. – No tak, wiadomo, Massa się przecież zna! –

Holt znalazł się nagle sam u boku Uty, Była od niego tylko trochę niższa.

Idąc obok niego spytała: – Jak pan doszedł do tak zaszczytnej opinii? – Pytanie to było czystą ironią. – Och, to tylko pozornie tak strasznie wygląda – odparł Holt. Jej ironia go złościła, tracił

pod jej wpływem pewność siebie. – Co tam nauczyciele o nas wiedzą! Naszych prawdziwych myśli żaden nie odgadnie.

– Czy pańskie prawdziwe myśli są aż takie straszne? – zapytała z jeszcze bardziej wyraźną ironią. Odczuł to jak wyzwanie. – Ależ skąd, wcale nie! Często nawet całkiem... niewinne. Tylko wtedy, kiedy Peter grał, byłem rad, że nikt nie jest w stanie zajrzeć w moje myśli.

Słowa jej były teraz błyskotliwe, jakby wyczelowane, ale nie było w nich już ironii, wyczuwało się w nich jedynie to, że się świetnie bawi. – Jestem teraz dosłownie zobowiązana zapytać: O czym pan myślał?

– O pani – odpowiedział porywczo i przyłgął wzrokiem do wyżwirowanej ziemi. Jej milczenie dodało mu odwagi. – Jest pani najpiękniejszą dziewczyną w mieście. – Dopiero po paru krokach odpowiedziała: – Świadectwo, które wystawił panu pański nauczyciel, ma braki.

Pan potrafi być również miły.

Goście stali pod drzewkiem morelowym. – Kto wdrapie się na drzewo i narwie dla pań moreli? – zawołał podporucznik i rzucił Holtowi i Wiesemu zachęcające spojrzenie. Holt wszedł

na trawę, złapał za drzewo i potrząsnął nim. Pozbierał największe i najpiękniejsze morele i podał

je Ucie. Podziękowała bez słowa, ale przez sekundę patrzyła na niego w zamyśleniu. Rozłamała na pół jeden z najdojrzałych owoców, wyrzuciła pestkę na ziemię i podała połowę moreli Holtowi. Potem odwróciła się na pięcie, wzięła podporucznika pod ramię i zniknęła z nim w głębi domu.

Holt spakował rzeczy, jakie miał u sióstr Dengelmann, powiedział im coś niecoś o zaciągu na akcję zniwną, o wyjeździe zaraz potem na wakacje i że kiedyś tam wróci... i pobiegł z wypchany plecakiem do Wolzowa.

Spędzali wieczór w hallu przy kominku. Holt przemilczał przed Wolzowem swoją cichą umowę z Wiesem, ale powiedział mu, że poznał Utę Barnim. – No a ta Krüger? – zapytał

Wolzow ze złośliwym uśmiechem. – To jest przecież całkiem coś innego! – odpowiedział Holt urażony.

– Mój plan działania w sprawie Meissnera jest gotów – oznajmił Wolzow. – Zrobimy to w piątek. – Musieliby więc najpóźniej w czwartek wieczorem urwać się ze zniw. Holt nie miał

nic przeciwko temu. Wolzow uważał, że najodpowiedniejszym miejscem do tego będzie bezludna Krucza Skała. Sfingowany list miał tam zwabić Meissnera. Jak się Wolzow dowiedział, Meissner umizgał się obecnie do pewnej rudej panny imieniem Suse. Pracowała ona u fotografa i, co każdy tu wiedział, była zaręczona.

Holt nakreślił parę wierszy i przeczytał Wolzowowi: – „Drogi Panie Meissner, muszę z Panem natychmiast pomówić, zanim jeszcze pójdzie Pan na wojnę, i chyba mi Pan tego nie odmówi. Nikt mnie nie powinien z Panem widzieć, co Pan sam chyba rozumie; proszę więc, niech Pan przyjdzie w piątek wieczorem o godzinie dwudziestej pierwszej na Kruczą Skałę, ale koniecznie! Pańska Suse”.

– Na nic, kochana Suse, z tego od razu się facet zorientuje, co w trawie piszczy – powiedział

Wolzow.

– Nonsens. To, że nikt jej z nim nie powinien widzieć, zrozumie jako ostrożność ze względu na narzeczonego.

– No dobra. Jej pisma na pewno nie zna, bo dotychczas była jak skała.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Mam swoje źródła – odpowiedział Wolzow. – Każdy wódz ma swoich tajnych agentów.

Holt przepisał cały tekst na różowym papierze listowym, Wolzow skropił kopertę perfumami. Holt napisał list kaligraficznym pismem – litery były spiczaste, wyczelowane, lekko pochylone w lewo. Zredagował także treść oświadczenia, które Meissner powinien podpisać. – „Oświadczam, że utrzymywałem z Ruth Wagner potajemny stosunek miłosny i gdy znalazła się w odmiennym stanie, zastraszyłem ją i przepędziłem...”

– To „w odmiennym stanie” jest dobre! – przerwał Wolzow. Holt czytał dalej: – „...w rezultacie

czego popełniła samobójstwo. Podpis”. – Holt opuścił papier na kolana. – Wydaje mi się, że on nigdy tego nie podpisze.

– Podpisze. Zostaw to już mnie.

Holta obleciał nagle strach. W co ja się wdaję? Ale Wolzow wsunął papier tak obojętnie do portfela, że Holt z miejsca przestał się tym przejmować.

Na drugi dzień rano Gomulka przyniósł swoje obie strzelby. Do ciężkiego, staroświeckiego sztucera należała jeszcze wielka torba z dodatkami: formą na kule, tygłem, łuskami do naboju, spłonkami, z dwoma skórzanymi torebkami prochu strzelniczego i malutkim, ręcznie poruszonym mieszkiem kowalskim. – Potrzebna mi jest jeszcze saletra i siarka, czy macie forszę?

– Wolzow nosił w kieszeni kurtki banknoty, które znalazł wśród rzeczy swojego ojca. – Ołowiu też brak? – zapytał. – Zresztą z tym nie ma zmartwienia, wyrwę tu gdzieś pierwszy lepszy kawałek rury wodociągowej, tej ruderze to już i tale ani nie pomoże, ani nie zaszkodzi! –

Wyrwał rzeczywiście rurę w łazience, przylegającej do jego pokoju, i zatkał otwór drewnianym kołkiem.

Po południu przytaszczyli swój bagaż również Vetter i Zemtzi. W hallu piętrzyły się teraz plecaki, toboły i paczki. W kuchni na maszynie gazowej Gomulka odlewał kule, pękate, prawie trzydziestogramowe, a Holt uczył się przy okazji umieszczać spłonki w dnie łusek, napelniać łuski prochem, a potem wpychać do nich drewnianym pociski. Należy się liczyć z tym, że będzie jakieś dwadzieścia procent niewypałów, oświadczył Gomulka, ale to jest stosunek jeszcze całkiem znośny.

Około wieczora byli gotowi do drogi. Biwakowali na dywanie w hallu. Rano o piątej zarzucili plecaki na ramię. Po drodze na dworzec Holt wrzucił sfingowany list do skrzynki.

Przed dworcem było już pełno uczniów, w mundurach H J i Jungvolku.

Zabrzmiał przeraźliwy gwizdek. – Bacność! W szeregu... zbiórka! – To Otto Barth tak się pieklił. Stanęli w szeregu na lewym skrzydle.

Otto Barth, z zielono-białym sznurem führera u ramienia, stał przed frontem wielki i masywny, z pryszczatą, czerwoną od krzyku gębą. Miał siedemnaście lat i tak jak Herbert Wurm, ich stammFührer, był z powodu swojej funkcji zwolniony od służby pomocniczej w artylerii przeciwlotniczej. Wolzow nie mógł im tego darować i gdy bannführera nie było w pobliżu, dawał upust tej swojej do nich awersji.

– Bannführer! – pisnął nagle Zemtzi. Istotnie, przed frontem kroczył wolno bannführer Knopf.

Barth złożył meldunek Wurmowi, Wurm zaś bannführerowi. Bannführer zaczął głądzić coś o akcji, o powinności i obowiązku.

Gdy Holt wcisnął się wreszcie do zarezerwowanego wagonu, wszystkie przedziały były już zajęte, ale Wolzow przepędził z ławek paru czwartoklasistów. Vetter rozdał karty do skata.

Wolzow wyciągnął z plecaka pudełko cygar. Odgryźli koniuszki, wypluli je na podłogę, i przedział napełnił się kłębamii dymu. Czwartoklasiści stali w korytarzu, pełni szacunku. – Jak wszystko dobrze pójdzie – powiedział Wolzow – to za cztery tygodnie będziemy już w obronie przeciwlotniczej. Wurm i Barth mogą nas pocałować... nie damy sobie już w kaszę dmuchać.

– Każdy z nas też już przecież od dawna mógł być stammführerem – odparł Holt.

W pół godziny później Wurm i Barth zaczęli przeprowadzać inspekcję wagonu. Wurm był

wysokim chudzielcem o jajowatej twarzy, z czarnymi włosami, mocno przylepionymi do głowy pomadą. Dolna szczęka zawsze mu opadała i te wiecznie otwarte usta nadawały jego twarzy wyraz nieopisanej głupoty. Teraz zaś Wurm całkiem zgłupiał. – Czy to możliwe? – zawołał. – Ci panowie palą cygara. – Wolzow podsunął mu pudełko pod nos. – Chcesz też jedno? – Wurm pacnął ręką w pudełko i cygara poleciały na podłogę. Wolzow wstał i odłożył kar ty. – Za to dostaniesz po pysku, stammführerze! – Wurm wycofał się z przedziału, Barth krzyknął: – Daj spokój, Wolzow, bo jak nie, to złożę meldunek do dowództwa!

– Ale on musi pozbierać najpierw te cygara – upierał się Wolzow. – Dość! – krzyknął Barth i rozkazał czwartoklasistom: – Prędko, pozbierajcie to! – Wolzow usiadł. Vetter rzucił z hukiem pierwszą kartę na stolik przy oknie. W sąsiednim przedziale ktoś opowiadał: „Führer i Duce spotkali się w jakimś mieście w północnych Włoszech, sądzą, że to coś znaczy, może zatrzaśnie się teraz ta pułapka na Sycylii”.

Po pięciu godzinach jazdy, na jakiejś małej wiejskiej stacyjce, Barth wypędził chłopców gwizdkiem z pociągu.

Na szosie wirowały tumany kurzu, słońce prażyło niemiłosiernie, kolumna śpiewała w marszu: „Błękitni dragoni mkną co koń wyskoczy...” [*Przekład Włodzimierza Lewika.] Po lewej i prawej stronie szosy ciągnęły się pola, na których żyto stało już w snopach.

Po dwóch godzinach marszu dotarli do jakiejś dużej wsi. Na błoniach przed gospodą Barth podzielił kolumnę na grupy. Wurm asystował mu z rozdziawioną gębą. Zakwaterowali się w szkole.

– Żarcie dostaniemy dopiero jutro rano – meldował Vetter. – O wpół do piątej zbiórka na placu we wsi. Musztra! Wieczorem Barth chce urządzać wieczorek towarzyski. – Postanowili ten program zignorować. Zemtzi i Vetter mieli co prawda skrupuły, ale Wolzow wybił im je z głowy. Gdy na dole rozległ się gwizdek i wszyscy wypadli na dwór, Holt zamknął drzwi; oderwał listwę od tablicy ściiennej, przełamał ją na kolanie na pół i jedną jej połowę wsunął pod kłamkę. Po tym zabiegu położyli się spać.

Obudzili się wieczorem około ósmej. – A teraz wszyscy do gospody! – rozkazał Wolzow.

W ciemnym, zatechłym szynku siedziało przy piwie paru chłopów. Za bufetem stała ciemnooka dziewczyna, mniej więcej dwudziestoletnia.

Wolzow swoim szorstkim głosem zawołał w jej stronę: – Niech mi pani powie, czy tu robi się

trochę ludniej?

– Po obrządzeniu bydła – odpowiedziała. Holt pomyślał w duchu: Jest ładna... Vetter już znowu rozdawał karty. W kącie podniósł się jakiś chłop, Holt podsunął mu krzesło. – Cygaro? –

spytał Wolzow. – Proszę pani, jeszcze jedno piwo! – Po chwili siedziało już z nimi paru chłopów, palili cygara i pili piwo, które Wolzow im fundował. Szynek zaczął się powoli napełniać ludźmi. Ktoś bębnił na rozstrojonym pianinie. Lampa u sufitu paliła się słabym światłem, powietrze było szare od dymu cygar.

Holt nie odrywał oczu od dziewczyny, która roznosiła piwo. Czasami, gdy pochwyciła jedno z jego spojrzeń, uśmiechała się albo podnosiła nieznacznie ciemne brwi. Zemtzi, Gomulka i Vetter grali w skata. Kibicujący chłopci zaglądali im w karty i kłócili się między sobą po każdej rozgrywce.

Wolzow wodził rej. Wypił prędko jeden po drugim pięć kufla piwa. Pokazywał swoje bicepsy i w końcu zaczął składać się na rękę z czeladnikiem kowalskim, który miał tylko jedno oko i łytał nim jak korsarz. Chłopi uznali tę walkę za nie rozstrzygniętą. Wolzow nie mógł się z tym pogodzić. Przyniesiono gruby na palec ożóg, Wolzow zgiął go w kabłąk za jednym zamachem, czeladnik kowalski wyprostował go z powrotem, szczerząc zęby. W końcu stanęli naprzeciwko siebie na środku szynku. Szczepili się wzniesionymi w górę dłońmi i jeden usiłował

drugiego rzucić na kolana. Obaj sapali jak miechy kowalskie, ale żaden z nich nie mógł uzyskać nad drugim przewagi. Chłopi bili brawo.

Zemtzi, Vetter i Gomulka rzucali karty na stół, jakby to, co się wokół nich dzieje, nic ich nie obchodziło.

Wolzow objął kowala ramieniem. – Beczkę piwa! – krzyknął. W gospodzie zawrzało.

Holt zauważył, że bufetowa mrugnęła na niego. Wstał od stołu. Jedne drzwi prowadziły na podwórze. Stał naprzeciwko niej w półmroku korytarza. – Czy pański przyjaciel ma przy sobie dość pieniędzy? – spytała. – To kosztuje sześćdziesiąt marek!

– Sądzę, że tak – odpowiedział Holt. Od dziewczyny bił zapach potu, włosów i ziemi. – Co tak na mnie patrzysz? – zapytała i uśmiechnęła się. Złapał ją za ramiona i przez chwilę czuł

ciepło jej skóry. Ale ona wyrwała mu się. – Mam robotę! – Widział, że gdy zniknęła, uśmiechnęła się do niego, błyskając zębami.

Po omacku szedł wzdłuż korytarza. Po lewej stronie były drewniane, strome schody, które prowadziły na górę. Potem znalazł się na podwórze. Oparł się o wrota stajni. Na niebie świeciły gwiazdy. Odetchnął głęboko i nagle się zawstydził, ale w opuszkach palców jeszcze czuł

podniecające ciepło jej skóry.

Szynek z tym całym swoim rejwachem, z ryczącym radiem, gryzącym dymem tytoniowym i nieustannym hałasem nagle mu obrzydł. Gdy Wurm i Barth pojawili się w drzwiach, Zemtzi rzucił

właśnie na stół asa kier. Zawisł oczyma na drzwiach, ujrzał obu führerów i pisnął

przerażony: – Psiakrew, zagnają nas teraz na służbę.

Wurm i Barth zatrzymali się przy drzwiach i długo się o coś spierali. Potem z pewnym wahaniem podeszli do stołu. Wurm pochylił się trochę do przodu i powiedział zduszonym głosem: – Natychmiast opuszczać lokal i na służbę albo złożymy meldunek do dowództwa!

Holt zauważył, że dziewczyna z podniesionymi brwiami patrzy w ich stronę... Gwar ustał.

Wolzow stał przy stole. Chłopi patrzyli w napięciu, co się dzieje. – Zostawcie nas w spokoju – powiedział Wolzow, choć język mu się już plątał.

– Wolzow, człowieku – szczechnął Barth – to dekownictwo... – Wolzow przerwał mu w pół

zdania: – Kto tu jest dekownikiem, he? Kto powinien być już dawno w artylerii przeciwlotniczej? – Twarz Bartha oblała się rumieńcem. Wolzow odwrócił się i poszedł

z powrotem do bufetu. Znowu zrobił się gwar. Ktoś zaczął bębnić na pianinie. Zemtcki już zdążył ochłonąć z przerażenia i rozdawał karty. Wurm jednak raz jeszcze pochylił się nad stołem i powiedział rozkazującym tonem: – Jazda! Zabierajcie się stąd!

– Osiemnaście! – powiedział Vetter, pocąc się jak mysz, i rozejrzał się za Wolzowem, jakby szukał u niego pomocy. – Mam też – powiedział Gomulka.

Wurm spróbował innego sposobu: – Nie słuchajcie Wolzowa, nie dajcie się podbechtywać!

Jak będziecie robić tak dalej, czeka was dom poprawczy!

– Dwadzieścia – powiedział Vetter. – Mam też – powiedział Gomulka.

– Złożymy na was meldunek do dowództwa. Jeżeli mnie usłuchacie, wszystko wam daruję!

– Dwadzieścia cztery – powiedział Vetter. – No, nareszcie! – ucieszył się Gomulka.

Holt czuł na sobie oczy dziewczyny, odsunął krzesło i powiedział: – Zostajemy! – Wurm wymienił z Barthem spojrzenie. Holt wciągnął głowę w ramiona... Potem jednak złagodniał

i usunął się na bok, ale widać było, że nie pójdzie na ustępstwa.

– Tylko ty nie zaczynaj! – szepnęła szybko bufetowa. Widział jej oczy: były ciemnoszare, i na wargach miała parę malusieńkich kropelek śliny. Rzuciła okiem na bufet, bo ktoś ją stamtąd wołał. Z twarzą tuż przy jego twarzy szepnęła: – Po dwunastej... prosto korytarzem i schodami na górę, ostatnie drzwi na lewo... będę tam czekała... jeżeli teraz dasz temu wszystkiemu spokój!

– Widział ją potem za bufetem, patrzył na nią zdumiony i oszołomiony, i myślał: To chyba wszystko

jakaś pomyłka...

– Pasuję! – zapiął Vetter, któremu opór Holta i Wolzowa dodał odwagi. – Grand! Krawiec.

Ja wychodzę – powiedział Gomulka. Wurm poprawił sobie pas. – Dobra jest. Sami sobie będziecie winni. Chodź, Otto!

– Precz z tym bubkiern! – powiedział Gomulka i rzucił na stół waleta. Za Wurmem i Barthem drzwi się właśnie zamykały.

Wybiła północ. Holt powiedział do Gomulki: – Pójdę przodem. – Wyszedł głównym wyjściem na drogę.

Sylwetki zagród chłopskich rozplływały się w ciemnościach nocy. Gdzieś daleko szczekał pies. Z gospody dolatywał przytłumiony hałas i tu na dworze wydawał się prawie nierzeczywisty. Holt, drżąc z zimna, wtulił głowę w ramiona.

Schody na górę, ostatni pokój na lewo... Był całkiem spokojny. Marzenia kłamią. Życie jest zupełnie inne. Na co mam czekać? Odszedł parę kroków od gospody i wtopił się w noc, hałas został gdzieś za nim, naokoło niego była teraz cisza. Z szynku wyszło paru chłopów. Holt obszedł dom i dostał się przez wrota na podwórze. Ciemny korytarz wydał mu się jakoś dziwnie swojski, jakby chodził po nim od dzieciństwa, po tych schodach też już ze sto razy się wspinał...

A teraz jedne drzwi, drugie... drzwi z surowych desek, zupełnie jak w domu na strychu, gdy potajemnie szperał po skrzyniach, drżąc ze strachu, żeby go ktoś na tym nie przydybał...

Zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się po małej izdebce. Po omacku przeszedł koło łóżka i zastygł bez ruchu przy otwartym oknie; stał przy nim tak długo, dopóki głosy jego przyjaciół

nie ucichły w oddali.

Właściwie zawsze byłem sam, nawet w domu, u matki. Właściwie zawsze była we mnie tęsknota, za kimś, za czymś nieznanym. Strach i tęsknota. Chodź! Nareszcie jesteś, roztopiona w ciemnościach.

Odciągnęła go od okna, potem odrzuciła pierzynę. Suknie jej wydawały cichy szelest.

Rozpinał je bezwiednie, jakby nie był zupełnie świadom tego, co robi, i dopiero gdy jakaś zaplątana tasiemka wystawiła jego cierpliwość na próbę, serce zaczęło mu nagle w piersi łomotać i łomotało tak długo, dopóki nie znalazł się przy niej i nie poczuł jej nagiej przy sobie.

Spoza dachów chłopskich chałup wstawał poranek. Holt spał w szkole zaledwie godzinę, gdy obudził go gwizdek Bartha.

Wsadził głowę pod kran. Potem pracowali w polu.

Przez dwa dni ładowali snopy zboża na drabiniaste wozy. Ręce i ramiona bolały piekielnie.

Na trzeci dzień Wolzow miał dosyć. – To zbyt mało wojenne zajęcie dla mnie! – oświadczył. –

Pójdziecie się ze mną kąpać? – Nie wrócili już więcej na pole. Po obiedzie spakowali niepostrzeżenie swoje plecaki i pomaszerowali na stację. Holt raz tylko obejrzał się za siebie i rzucił okiem na wieś, na gospodę. Przez drogę siedział milczący przy oknie. Nie słyszał wcale, że Wolzow zadawał mu jakieś pytania.

Zastanawiał się nad tym, czy rzeczywistość sprostала temu, co obiecywały marzenia i fantazja... Nie znał nawet jej imienia. Myślał o Marii Krüger. Myślał o Ucie.

Gdy następnego dnia zrzucili w willi Wolzowa swoje bagaże na kupę i gdy wieczorem Holt pomyślał o Meissnerze, o nadchodzącej nocy, o ucieczce w góry, ogarnął go taki niepokój, że niewiele myśląc powiedział: – Muszę jeszcze wyjść.

– Dokąd chcesz iść? – spytał Wolzow zdziwiony.

– Do Barnimów.

Wolzow popatrzył na niego niezadowolony. – Wiecznie te romanse – powiedział. – No to jazda, zmykaj, ale żeby nikt cię nie widział! – Holt umył w kuchni ręce, wyczyścił finką paznokcie i przyczesał się. Kiedy dzwonił do Barnimów, zdjęła go nagle ochota zawrócić.

Kazano mu »poczekać w hallu. Gdy zobaczył Utę, zapomniał o wszystkim. „Zjawiała się jak bogini”, pomyślał. Tak śpiewał Cavaradossi, w jedynej operze, jaką Holt widział. – Kogo ja widzę? – powiedziała, i jej uśmiech oczarował go całkowicie. – Myślałam, że jest pan na żniwach.

– Nawiałem. A teraz odchodzę... daleko stąd. Przedtem jednak chciałbym z panią porozmawiać.

– O ile pana znam, musi to być sprawa życia i śmierci. Wobec tego proszę do mnie. – Szedł

za nią po schodach na górę. Tam otworzyła jakieś drzwi i zaprosiła go do środka. Pokój był

zalany słońcem. Na podłodze leżał gruby kilim. Przy tapczanie stał stolik do herbaty, a dokoła niego kilka wyściełanych stołków. I były kwiaty, wszędzie, na oknie, na drzwiach od balkonu, na stoliku, przy tapczanie, róże, goździki, bujne festony jakiejś pnącej się rośliny, które opuszczały się wzdłuż firanek aż na dywan, i wybijała tradescantia. Na balkonie stał leżak, a obok niego mały stolik z papierosami. – Niech pan sobie przyniesie fotel – powiedziała Uta i rozłożyła się na leżaku, z rękami skrzyżowanymi pod głową. Holt przyniósł sobie wyściełany stołek i usiadł koło niej. Podała mu bez słowa mosiężne pudełko z papierosami. Zapalił.

– Czy złożył mi pan wizytę jeszcze z jakiegoś powodu, czy też przyszedł pan tylko po to, żeby się na mnie gapić? – spytała. Jej ironia zdetonowała go. Mruknął coś w rodzaju: „...jestem całkiem sam w tym mieście...” i „...w ogóle ani jednego człowieka...” Powiedziała na to: – No to niech pan opowiada! Dlaczego nie jest pan z rodzicami?

– Nie chciałem być już dłużej z matką. A ojciec...

– Nie chce pan o tym mówić?

– Ależ tak – odparł. – Ale tylko z panią. Ojciec mój jest kontrolerem środków żywnościowych w pewnym urzędzie miejskim. Ale właściwie to jest lekarzem.

Spojrzała na niego z zainteresowaniem. – I jakim to okolicznościom zawdzięcza tę całkowicie wyraźną degradację?

– Nie wiem tego dokładnie – powiedział wolno Holt, i jak zawsze przy pytaniu o ojca poczuł

niepewność i wstyd. – Przez dłuższy czas siedział w krajach tropikalnych, a potem był

profesorem uniwersytetu w Hamburgu i pracował równocześnie w instytucie chorób tropikalnych. Moja matka pochodzi ze sfer przemysłowych, i gdy się z nią ożenił, przeniósł się do Leverkusen. Przeprowadzał badania nad bakteriami chorobotwórczymi czy coś w tym rodzaju. Potem chciano mu powierzyć jakąś inną pracę, coś ważnego... dla wojny. Ale on odrzucił tę propozycję, no i musiał odejść ze swego stanowiska. Potem nie mógł znaleźć w ogóle żadnej pracy. Matka się z nim rozwiodła, sądzę, że dlatego... To znaczy mówiło się, że jest politycznie niepewny. Jest podobno strasznie uparty. Woli głodować.

– W każdym razie – powiedziała Uta – ten pański ojciec wydaje się być człowiekiem z charakterem.

– Słowa te tak Holta zaskoczyły, że się zmieszał. – Tak... ale... – powiedział, lecz ona mu przerwała:

– Dlaczego nie jest pan u niego?

– Sąd opiekuńczy odebrał mi prawo do opieki nade mną. Ja zresztą też nie chcę. Wolę być sam!

Dlatego właśnie odszedłem od matki. To i tak nie był żaden dom, dawniej też nie. Ojciec miał ciągle w głowie swoją pracę. A matka była o wiele młodsza od niego, wiecznie miała gości i wiecznie gdzieś wychodziła. Raz już jej uciekłem, ale policja mnie odprowadziła z powrotem do domu. Wreszcie wiosną tego roku matka pozwoliła mi wyjechać. Z początku miałem pojechać do wuja do Hamburga, on jest tam w radzie nadzorczej jakiejś wielkiej fabryki tytoniu.

Potem jednak matka oddała mnie tu na stację. Przysyła mi cci miesiąc pieniądze, ma ich zresztą dosyć, jest bogata. – Umilkł. I pytał samego siebie: Po co ja jej to wszystko opowiadam?

– I teraz szuka pan u mnie czegoś w rodzaju ciepła domowego, macierzyńskiej opieki?

– Dlaczego pani drwi sobie ze mnie? – zapytał. – Jeżeli jestem dla pani uciążliwy, mogę sobie iść. Może pani akurat ma jakiegoś człowieka, któremu może się pani zwierzać, ale...

– No nie, dlaczego zaraz taki urażony? Bardzo dziwny z pana człowiek! – powiedziała. – Po tym, co mówił Peter Wiese, sądziłam, że pan to taki pędziwiatr, ale ta głębia uczuć, jaką tu pan przede mną roztoczył, jakoś nie pasuje do tamtego obrazu.

– Wiese mnie przecież wcale nie zna – powiedział Holt pogardliwie. I dopiero teraz uświadomił sobie, co ona powiedziała. Po tym, co mówił Wiese... A więc go wypytywała! – Że się drażni i buja nauczycieli – ciągnął dalej – to przecież tylko jedna...

– A ta druga dusza w pańskiej piersi siedzi od czasu i do czasu u Petera i każe sobie grać *Wręczenie srebrnej róży*, choć w wyciągu fortepianowym brzmi to obrzydliwie! – roześmiała się.

– Cieszę się, że przynajmniej mnie nie zamierza pan bujać. A więc proszę bardzo. Może mi się pan całkiem spokojnie zwierzyć. Ale do tych drwin będzie musiał się pan przyzwyczaić. Sądzę, że one panu nie zaszkodzą. – Podniosła się z leżaka i podeszła do balustrady balkonu. Oparta plecami o drewnianą poręcz mówiła dalej: – Jeżeli jednak pan sądzi, że ze mną jest inaczej niż z panem... – Umilkła. Potem, jak gdyby czymś ubawiona, dodała: – To się pan myli. – Wiatr zwiewał jej włosy na twarz. – Gdy mi nie wystarcza kieszonkowe, mogę się oczywiście

„zwierzyć” mamie, jak to pan pięknie powiedział... – Nie umiała nie drwić. – Ale co to ma za znaczenie? Żadne, to jedynie drobnostki. Niech pan poczeka. – Przyniosła z pokoju jakąś książkę i usiadła znowu na leżaku. – „...bo w gruncie rzeczy i właśnie w najgłębszych i najważniejszych sprawach – czytała – jesteśmy niewypowiedzianie samotni...” – Przeczytał na grzbiecie książki tytuł: Rilke, Listy.

W najgłębszych i najważniejszych sprawach, powtórzył w duchu, i: niewypowiedzianie samotni... Dlaczego? – Ale przecież trzeba kogoś mieć, komu można by całkowicie zaufać!

Postanowiliśmy coś zrobić. Może niedługo będę potrzebował jakiegoś bliskiego człowieka. Czy pomogłaby mi pani, gdyby mi pomoc była potrzebna?

– W pańskim zaufaniu jest coś zniewalającego – powiedziała, znowu ni to żartobliwie, ni to drwiąco. – No dobrze. Niech pan robi. Zobaczę, co będę mogła dla pana uczynić.

Późnym popołudniem Holt siedział przy kominku milczący. Wszelkie pytania Wolzowa zbywał machnięciem ręki. Vetter grał z Zemtzkim i Gomulką w skata. Teraz gdy ta przygoda była już całkiem bliska, Holt zmagął się z nieprawdopodobnym wprost zdenerwowaniem.

Wolzow dał mu w pewnym momencie znak oczyma. Gdy znaleźli się w jego pokoju, Holt zapytał: – Gilbert, czy tylko wszystko się uda?

– Słuchaj teraz uważnie. – Wolzow wyjął z szuflady waltera i podał go Holtowi. – Ty go będziesz trzymał w szachu. Gdyby chciał uciekać, bez względu na wszystko będziesz za nim strzelał. Ja wezmę parabellum. Czy ci nerwy dopiszą?

Holt ścisnął kurczowo pistolet w dłoni.

– On nam nie może uciec – ciągnął Wolzow dalej. – A więc będziesz go trzymał w szachu tak długo, dopóki nie podpisze. Potem możesz schować spluwę do kieszeni. A żeby podpisał, to już ja się o to postaram. Ta reszta potem to też moja sprawa. Tak, a teraz chodź. Nie denerwuj się, to się nie może nie udać. – Holt układał sobie w myślach zdanie, które zamierzał

w decydującym momencie wypowiedzieć: Pozdrowienia od Ruth Wagner... I mówił sobie w duchu: Tu chodzi o sprawiedliwość... o sprawiedliwość!

W głosie Wolzowa, już na dole w hallu, zabrzmiał ostry ton komendy. Wolzow kazał

wszystkim porównać czas i uregulować zegarki. Była godzina dziewiętnasta dwadzieścia osiem.

– Sepp! O ósmej przybijesz łodzią rybacką do brzegu wyspy parkowej, przy Czarnym Źródle, i nie zapomnij o linie holowniczej. Jak się zacznie ściemniać, przytaszczycie swoje bagaże do łodzi, chyłkiem przez ogrody. Do tej pory będziemy już z powrotem. Tylko bez pytań. Wszystko jasne? Chodź, Werner.

Okrążyli Kruczą Skalę i podeszli do niej od północy. Las ciągnął się aż do podnóża spiętrzonych zwałów bazaltu. Wąskie przejście między drzewami, porośnięte sięgającymi aż do pasa wachlarzami paproci, wiodło bezpośrednio do stromej ściany skalnej. Słońce zdawało się tu w ogóle nie docierać. Ziemia była wilgotna i błotnista. Wolzow przyczał się na skraju lasu.

Pod skałą panował mrok. – Idzie! – zawołał Wolzow po długim oczekiwaniu. Holt wcisnął się w jedną z najbardziej mrocznych rozpadlin skalnych. – Idzie skrajem lasu – usłyszał znowu – schowaj się, weźmiemy go w dwa ognie! – Potem Wolzow zniknął w gęstwinie lasu. Holt stał bez ruchu, przywarty do skały, ściskając w kieszeni pistolet. Jeżeli zacznie uciekać, z miejsca strzelać! Tu chodzi o sprawiedliwość.

Holtowi zdawało się, że upłynęła cała wieczność, zanim na skraju lasu rozległy się kroki.

Wreszcie w zaroślach ujrzął postać Meissnera, a z tyłu za nim skradającego się Wolzowa.

Meissner był już tylko o parę kroków od Holta. Właśnie się zatrzymał, zwrócił głowę najpierw w prawo, a potem w lewo. – Halo! – Spojrzał na zegarek. Holt wyszedł z rozpadliny.

Meissner podniósł wzrok, poznał Holta i powiedział zaskoczony: – No, no! – Holt zaszedł

Meissnera z boku, tak że miał go teraz między sobą a skałą. Ze zdenerwowania ścisnęło go w gardle. Nagle wyłonił się Wolzow. Meissner, aby mieć Holta na oku, obrócił się na pięcie o sto osiemdziesiąt stopni. Gdy zobaczył Wolzowa, powiedział jeszcze raz: – No, no... To panowie są tu obydwaj!

– A tyś myślał, że to będzie Suse, co? – zapytał Wolzow i roześmiał się drwiąco. Holt tymczasem krok za krokiem szedł na Meissnera, ciągle jeszcze z pistoletem w kieszeni. Wolzow, jakby wcale nie brał w tym udziału, trzymał się o parę kroków z boku. Holt stał już tuż przed Meissnerem. – Suse nie przyjdzie – powiedział. – Złapałeś się na nasz lep. Ten list ja pisałem. –

Meissner głosem drżącym z wściekłości zawołał: – Ach... więc to tak! Na nic innego nie było was stać, zabrakło wam odwagi, co? – Holt wyciągnął pistolet: – Pozdrowienia od Ruth Wagner!

Meissner zaczął się powoli cofać do tyłu. Holt postępował za nim. Meissner patrzył przerażony na broń. Głos mu się nagle załamał: – Czego chcecie?

– Tylko jednej małej drobnostki – powiedział Holt.

– Uwaga! – krzyknął przeraźliwie Wolzow. Holt odskoczył instynktownie na bok, Meissner jak cień przeleciał tuż koło niego, strzał huknął w ciemnościach, i Meissner, któremu Wolzow podstawił nogę, rymnął jak długi w paprocie. Wolzow już klęczał mu na plecach. Meissner usiłował go z siebie zrzucić, ale Wolzow przygniótł go mocno do ziemi i uderzył dwa, trzy razy pięścią w twarz.

– Ja ci pomogę! – powiedział Wolzow. – Zwiąż mu stopy, Werner! – Holt ściągnął pasek od swych skórzanych spodnek i skrępował Meissnerowi nogi. Wykręcili mu ręce do tyłu i związali je w łokciach. Potem zawlekli go po paprociach do skały i posadzili na kamieniach, plecami do zbocza.

Było już ciemno. Wolzow błysnął mu latarką kieszonkową w twarz. Dolna warga była rozcięta i mocno spuchnięta.

– Czego chcecie? – wymamrotał z trudem Meissner. Wolzow wyjął z kieszeni przygotowane wcześniej oświadczenie i zaczął czytać: – „...utrzymywałem.. potajemny stosunek miłosny i gdy znalazła się w odmiennym stanie, zastraszyłem ją i przepędziłem..” – Kiedy Wolzow czytał, Meissner uniósł głowę. Na twarzy jego malowało się przerażenie, strach i wściekłość. – Tak.

Teraz to podpiszesz – powiedział Wolzow tonem nie znoszącym sprzeciwu.

– A... jeżeli nie podpiszę?

– Podpiszesz. Ty wiesz, że istnieje cała masa bardzo miłych sposobów, jeżeli ktoś nie chce.

Milczenie.

– A jeżeli mimo to nie podpiszę?

Wolzow nie odpowiedział. Wyciągnął papierosa, podsunął pudełko również Holtowi, ale Holt potrząsnął przecząco głową. – To cię zaciągniemy kawałek w las i rozwalimy. – Brzmiało to tak obojętnie, że Koltowi zaczęły drżeć ręce. – Masz pięć minut czasu do namysłu. Chodź, Werner!

Zostawili go samego i odeszli. Na skraju lasu Holt zapytał szeptem: – A jeżeli nie zechce?

– Podpisze, bądź spokojny! Nerwy mu nawalą.

– A jeżeli on jednak nie... czy my go rzeczywiście...?

– A co innego nam pozostaje? – Wolzow był w dalszym ciągu najzupełniej obojętny. – Nie możemy go przecież puścić! Nie mamy wyboru! Napad z bronią w ręku na HJ-führera! Na dodatek kiedy teraz wie, że znamy tę historię z Ruth Wagner. Jeżeli go kropniemy, to upozoruję samobójstwo, i wówczas będziemy mieć jeszcze jakąś szansę, że nas nie złapią. Ale jeżeli on zrobi na nas donos, to wpadniemy paskudnie. Chodź, pięć minut już minęło.

Holt szedł obok Wolzowa z powrotem do skały. Mord. Mord z zimną krwią! – myślał po drodze.

– No? Namyśliłeś się?

– Nie podpiszę – powiedział Meissner. Wolzow uderzył go pięścią w twarz. Meissner krzyknął: – Mordercy! Bandyty! – Wolzow huknął na niego wściekły: – Zamkniesz ty mordę czy nie?! – Złapał go pod pachy i posadził prosto. Potem znowu uderzył go w twarz, i jeszcze raz.

Meissner skulił się w sobie i jęknął: – Choćbyście mnie nawet zabili!

– Przeszukaj mu kieszenie – powiedział Wolzow zimno – nie powinni znaleźć przy nim naszego listu! – Holt sięgnął ręką najpierw do lewej górnej kieszeni, potem do prawej, znalazł

list i wsadził go sobie w kieszeń. – Rozwiąż mu nogi – rozkazał Wolzow. Wyrwał im się.

Zawlekli go głębiej w las. Wolzow podciął mu kopniakiem nogi. Meissner zwałił się na ziemię.

– Teraz to już koniec! – Wolzow przyłożył mu lufę pistoletu do skroni. Meissner zaczął krzyczeć: – Przestańcie! Weź ten rewolwer! – Wrzeszczał przeciągle: – Przestańcie! Na pomoc!

Wolzow przycisnął mu lufę pistoletu jeszcze mocniej do skroni. – Podpiszesz czy nie? –

Meissner wrzasnął: – Ależ tak... Tak! Weź ten rewolwer!

Posadzili go i rozwiązali mu ręce. Wolzow przyświecał latarką, w drugiej ręce trzymał pistolet w pogotowiu. Meissner podpisał. – Postaw jeszcze datę – rozkazał Wolzow – mamy dziś dwudziesty czwarty lipca czterdziestego trzeciego. Ten dzień zapamiętaj sobie dobrze! –

Schował pistolet i wsunął podpisany papier pieczętowany do portfela. – Człowieku, wstań wreszcie! Możemy zaczynać. Teraz my załatwimy między sobą nasze porachunki.

I Holt był teraz świadkiem, jak Wolzow zaczął grzmocić tego wielkiego, jasnowłosego dryblasa, który tylko przez chwilę się bronił i zaraz potem znowu upadł na ziemię. Wolzow kopał go niemiłosiernie. Wreszcie pochylił się nad nieruchomą już postacią, odwrócił ją na plecy i oświetlił latarką zniekształconą twarz. Meissner, nieprzytomny, ciężko dyszał. – A teraz w nogi, Werner! Niebo tymczasem zdążyło się zachmurzyć. W lesie panowała ciemna noc.

Umykali co sił. – Byłbyś go rzeczywiście zastrzelił? – spytał Holt. – Naturalnie, a coś ty myślał?

– odpowiedział Wolzow zdumiony. Później, w willi Wolzowa, która stała pośród nocy ciemna i bezludna, Holt siedział z głową podpartą rękoma.

Tamten leży pobity w lesie i krwawi. Jestem stanowczo za miękki. Muszę się hartować!

Boję się Wolzowa. On ma to, czego mi ciągle jeszcze brak: tę „zimną krew, która pozwala mordować z czystym sumieniem” i o której tyle czytałem, jak ja się przebiję przez tę wojnę?

Muszę się stanowczo zahartować.

Gdzieś na dworze trzasnęły drzwi. Wolzow zarzucił sobie plecak na ramię. Szli wolno uliczkami w dół nad rzekę. Wolzow taszczył ze sobą jeszcze teczkę wypchaną książkami. Mówił

o swoich planach. – Musimy dobrze wykorzystać ten czas. A więc nocą marsze według azymutu, dużo sportu i ciągły trening w strzelaniu do celu. Musimy pogłębić naszą wiedzę wojskową.

Musimy umacniać w sobie cnoty żołnierskie.

– Tak, Gilbert – powiedział Holt.

Holt i Gomulka od wielu już dni ćwiczyli się w strzelaniu. Zemtcki miał tego przedpołudnia wartę. Ze szczytu skały wartownik mógł kontrolować okolicę na przestrzeni wielu kilometrów.

Vetter siedział na składanym stołeczku przed pieczarą i pogwizdując obierał grzyby.

W pieczarze, do której poszerzono wejście, wisiał nad ogniskiem kociołek z wodą. Wczoraj Wolzow złapał w sidła zająca. Vetter, kuchmistrz, jak go Wolzow nazywał, nie mógł tego zająca upiec. Vetter miał zmartwienie. Nie było już tłuszczu ani chleba, z ostatniego funta mąki żytniej gotował dziś zupełną grzybową. Holt i Gomulka strzelali na dole w parowie do wielkiej jak głowa ludzka, napełnionej piaskiem blaszanej puszki. „Nie ma jeszcze sensu chodzić na polowanie, wypłoszycie tylko zwierzynę – powiedział Wolzow. – Nauczcie się najpierw trafiać do celu.” Gomulka strzelał ze sztucera na stojąco, z wolnej ręki, po każdym strzale znikał w obłoku śmierdzącego dymu, – Trafiłeś! – powiedział Holt z lornetką przy oczach. Gomulka ładował

i strzelał, z odległości siedemdziesięciu pięciu metrów. – Trafiłeś – powiedział znowu Holt – na każde trzy strzały masz dwa trafienia, więcej chyba nie.

– Do żywego celu lepiej się strzela – powiedział Gomulka i oparł sztucer o ziemię – to prawda stara jak świat. Teraz kolej na ciebie. – Podeszli jakieś trzydzieści metrów w kierunku puszki. Holt strzelał z lewej ręki. Odgłos strzałów przypominał trzaskanie z bicia, w porównaniu z hukem sztucera dźwięk ten wydawał się wysoki i słaby. – Dobra jest – powiedział Gomulka. –

Sądzę, że możemy już zacząć polować. – Przewiesili strzelby przez ramię i wyszli z parowu na szczyt kredowego płaskowyżu.

Przed pieczarą stał Wolzow, w spodenkach kąpielowych. Holt i Gomulka zaczęli czyścić broń. – Tylko zupa grzybowa! – oznajmił Vetter. – Jeżeli dziś nic nie zdobędziecie, od jutra zaczniemy pościć. – Wolzow kąpał się w strumyku, na skórze perliły mu się jeszcze kropelki wody. – Strzelajcie do wszystkiego, co wam się tylko nawinie pod lufę! Nawet wrony można jeść, w zupie. Ja wypuszczam się dziś wieczorem z Zemtckim i nakopię parę plecaków kartofli.

Spenetruję też przy okazji okoliczne wsie. – Ubierając się wydawał coraz to nowe zarządzenia. –

Zbierać grzyby i suszyć. Tam po drugiej stronie parowu są nawet jagody, racz to zauważyć, Christian! – Vetter mówił do Wolzowa „szefie” i słuchał go niewolniczo. – A ponadto – ciągnął

dalej Wolzow – powinniśmy łowić w rzece ryby.

– To jest niebezpieczne – powiedział Gomulka. – Tam na dole może nas ktoś zobaczyć!

– Ale nocą moglibyśmy je łapać na gruntówkę – powiedział Holt, który przypomniał sobie swoją umowę z Wiesem. – Pozwólcie robić to mnie. Ja się zajmę rzeką. – Vetter znowu uderzył

w swój płaczliwy ton. Potrzebny mu jest tłuszcz. – Gotujcie sobie sami bez tłuszczu!... Dobrze byłoby

zorganizować jakąś uczciwą świnię – powiedział marzycielsko.

Jedli zupę grzybową. Vetter zaniósł całą menażkę tego specjału Zemtzkemu na szczyt. Holt i Gomulka zaczęli się przygotowywać po obiedzie do swego pierwszego polowania. –

Wyglądacie jak dwóch Robinsonów – roześmiał się Wolzow, – Gdyby to zależało od rynsztunku, to powinniście ustrzelić mamuta. – A kiedy odchodzili, zawołał za nimi: – Darz bór!

Zeszli stromą ścieżką w dół i szli potem wzdłuż parowu tak długo, aż rozwarła się przed nimi jakaś dolina. Z bronią gotową do strzału powędrowali teraz na wschód, przez gęsty zdziczały las. Zarośla i niskie drzewa utrudniały im drogę. Jakaś sójka wrzasnęła przeraźliwie, ostrzegawczo. Holt złożył się do strzału. – Czy sójki można jeść? – szepnął. – Tak. Ale zostaw ją, bo możesz spłoszyć jakiegoś grubszego zwierza!

– Ten wrzask już i tak wszystko przepłoszył. To przecież policja lasu. – Ptak przysiadł na gałęzi dębu, przez listowie przeświecały jego jaskrawe piórka. Wstrzymać oddech, palec na spust, wziąć na muszkę. Strzał huknął. W chmurze wirujących piór ptak spadł na ziemię. Holt załadował broń. – Pierwsza zdobycz! – Schował sójkę do plecaka. Powędrowali dalej.

Gdy zapadał wieczór, wyszli na jakąś rozległą polanę. Szemrał na niej strumyk, spływający gdzieś w dolinę. Postanowili odpocząć i rozłożyli się obozem na skraju lasu.

Powiał na nich chłodny wiatr.

– Czy myślisz czasem o domu? – spytał Holt. – Nie, nie – powiedział Gomulka. – A ty, Myślisz o mieście? – Holt potrząsnął przecząco głową. – A... o tej gospodzie, tam gdzieśmy byli na zniwach? – Holt uciekł oczyma w bok i patrzył intensywnie przed siebie. Zaskoczyło go to pytanie. – Czasami – szepnął po długiej chwili milczenia. Nagle zamarł. Niedaleko od niego siedział w trawie zajac, stał słupka, strzygł uszami i wytrzeszczał ślepkę... Holt powoli, bardzo ostrożnie, składał się do strzału. Musiał siłą nakazać sobie spokój, celował starannie, Gomulka już też trzymał przy policzku swój sztucer, aby strzelić, gdyby Holt chybił. Zmierzch, nie celować za nisko! Łeppek z długimi uszami tańczył na muszce. Gdy huknął strzał, zajac wyleciał

w górę i opadł na ziemię. Ale w tym samym momencie wyskoczył z zarośli, tuż prawie przy nich, jakiś grubszy zwierz i sadył teraz długimi, sprężystymi susami przez polanę. – Strzelaj! –

krzyknął Holt. Sztucer wypalił. Gomulka zniknął w kłębach śmierzącego dymu. Po lesie niosło się echo. Gomulka skoczył przed siebie. Pochylony do przodu, ładował w gorączkowym pośpiechu nowy nabój. Ale wielki, uciekający zwierz zniknął już po drugiej stronie polany w lesie. – Prędko! Goń ją! – krzyknął Holt. – To była sarna, a może nawet rogacz! – Gnali przez polanę, jednym susem przesadzili strumyk. Na skraju lasu Gomulka krzyknął tryumfalnie: –

Tutaj! – Holt ujrzał wielką rozpryskaną kałużę krwi, szeroki krwawy ślad, który się nagle urwał.

– Tam, w zaroślach! – Obiema rękami rozgarniali gałęzie. Wtem znowu coś wyskoczyło z krzaków, jakiś chwiejący się cień, całkiem blisko, prawie tuż spod ręki. Z zarośli, gdzie postrzelone zwierzę

leżało, ciemny ślad krwi prowadził dalej. W nagłym przestraszu Gomulka złapał Holta mocno za ramię: – Tam!

Jakieś trzydzieści metrów przed nimi, wśród zarośli, przesłonięte mrokiem zwierzę raz jeszcze zerwało się do ucieczki i odwróciło w ich stronę głowę z potężnymi rogami. Gomulka przyklęknął na jedno kolano i przycisnął broń do ramienia. Holtowi zdawało się, że upłynęła cała wieczność, zanim huknął strzał i odbił się echem o szczyty drzew. Holt poczuł w ustach i w nosie gryzący smak spalonego prochu. Jeleń padł. Gomulka wypuścił sztucer z rąk, pognął

do niego i zaczął krzyczeć z radości.

– Cicho! Jeżeli teraz ktoś nadejdzie... – Zamarli bez ruchu i nasłuchiwali. Cisza. – Kto by miał tu przyjść? Mężczyźni są na wojnie, a kobiety boją się lasu. – Gomulka podniósł z ziemi swój sztucer i załadował go na nowo. Potem stanęli nad zabitym zwierzęciem. Jeleń w walce ze śmiercią zrył swymi mocnymi rogami ziemię i leżał teraz na boku. Gomulka liczył odgałęzienia wieńca. – Dwanaście – powie dział – a zatem dobry, łowny jeleń... I fachowo, po myśliwsku ustrzelony... Mógł nas właściwie roznieść, bo przecież nie mamy ze sobą psa! – Pierwszy pocisk przeszedł jeleniowi pod łopatką i utkwiał w boku. Drugi przebił mu na wylot szyję tuż pod samą nasadą głowy. – Z góry wiedziałem, że dobrze celuję – powiedział Gomulka zadowolony – sam mi wlaż na muszkę... – Holt pobiegł z powrotem i przyniósł zająca. Potem zaciągnęli jelenia głębiej w las, w niskopienną dębinę. – Będzie tego dobre dwa cetnary, piękna waga!

– Myśliwy nigdy nie mówi „piękna waga”, jeśli ustrzeli jelenia – poprawił Holta Gomulka. –

Mówi się „wspaniały” albo „kapitalny”, to samo o wieńcu. A kto się językowi myśliwskiemu sprzeniewierzy, tego kładzie się za karę na ubitym jeleniu i wlepia mu się trzy blaty.

– Co? Jak? – zapytał Holt.

– Trzy uderzenia kordelasem. I przy pierwszym uderzeniu nadłowczy mówi: „Jo-ho, to dla mojego jaśnie oświeconego księcia i pana!” Przy drugim: „Jo-ho, to dla rycerzy, ludzi i knechtów!” A przy trzecim: „Jo-ho, to święte prawo myśliwskie!” Holt śmiał się do rozpuku. Potem nie mogli się zdecydować, czy oprawić zdobycz, czy nie. –

Czyś odzierał już kiedy jelenia ze skóry? Nie damy rady tego zrobić. Musimy go stąd zabrać! –

Zatarli ślady juchy na skraju lasu i w zaroślach, związali jeleniowi nogi, ścięli młodzikutką jodłę i przeciągnęli ją między związanymi nogami jelenia. – Teraz możemy go nieść – stwierdził

Gomulka. – Na wojnie będziemy wlec o wiele większe ciężary – powiedział Holt.

Gomulka rozpałił małe ognisko. Upiekli sobie przy nim sójkę, a ponieważ była niewiele większa od gołębia, nadziali zająca na rożen i piekli go nad ogniem.

Była noc. Holt rozpostarł płachtę namiotową i ułożył się na niej, oparłszy głowę o jelenia.

Gomulka przykucnął przy nim i podsyczał ogień. Gdy jakaś kropla tłuszczu spadła w ogień, płomień

syczał. Między wierzchołkami drzew świeciły gwiazdy.

Holt patrzył w niebo, tak jak parę dni temu przez okno obcej i ciemnej izby, tamtej nocy.

Właściwie już dawno o niej zapomniałem. A gdy wracam do tego myślami, widzę całkiem inną twarz... – Tyś mnie przedtem o coś pytał – powiedział głośno. – Ja wcale tego nie chciałem, tam w tej gospodzie. To znaczy właściwie chciałem; ale nie tak! Całe życie przecież musiałbym się uważać za tchórza. Do dziś nie wiem, czy mam się tego wstydzić.

Gomulka grzebał w ognisku. – Dawniej myślałem, że to będzie tak jak w książkach –

ciągnął Holt dalej. – Wszystko z miłości i tak dalej. Jak u Novalisa. Znasz to? Ona jest królewną, najpiękniejszą dziewczyną w całym państwie, a on ostatnia nędza, poeta, który żyje ze swoim ojcem w lesie. Ojciec jest niesłychanie wykształcony, prawie uczony. Młodzi kochają się potajemnie. Któregoś dnia idą na spacer i w drodze zaskakuje ich burza, muszą się schować do jakiejś pieczary i tam właśnie się to dzieje, z miłości oczywiście. Ale ona nie ma już odwagi wrócić do króla na zamek i zostaje przy tym uczonym i jego synu. Król kazał przeszukać cały kraj, na próżno. Po roku ów młodzieniec odprowadza ją do domu, ona ma już dziecko, i ten poeta zrobił z tej historii pieśń i śpiewa ją królowi. Ten jest niesamowicie wzruszony i przebacza im. Mnie się to wydaje piękne. Ale rzeczywistość jest zupełnie inna.

– Daj no mi sól – powiedział Gomulka. – Często nachodzą cię takie myśli? – Zdjął zająca z ognia, pokrajał go i podał Holtowi kawał dymiącego jeszcze mięsa. – Jestem ciekaw – mówił

Holt, odrywając zębami mięso od kości – czy w życiu jest ze wszystkimi... ideałami tak, jak z Novalisem i rzeczywistością. Miłość, to brzmiało dla mnie zawsze bardzo uroczyście. Ale to wcale nie jest uroczyście, to jest... całkiem inaczej. Mnie co prawda ogarniają wzniosłe uczucia nawet wtedy, kiedy słyszę przez radio uroczyste apele HJ, w niedzielę rano na przykład.

Niedawno słyszałem audycję o jakimś młodym ochotniku, o tym oszałamiająco wzniosłym uczuciu, jakie się w człowieku budzi, gdy poświęca życie dla ojczyzny... Albo w tej książeczce Sörensena *Głos przodków*, którą ostatnio przyniósł nam Knack; ochotnik, o którym tam piszą, nazywa się Ekke. Pamiętam prawie dosłownie to, co o nim pisano: „z okrzykiem na ustach rzucił

granat w gniazdo karabinów maszynowych. A gdy go w biegu dosięgła kula i padał na ziemię, ostatnią jego myślą było:...to, co mi najdroższe... za Niemcy...”

– Rzuć to świństwo w ogień – powiedział Gomulka – nie możemy tu zostawiać po sobie kości! Popiół rozrzucimy później na cztery wiatry... I myślisz sobie teraz, że z tym mogłoby być tak samo, jak z miłością? Wolzow mówi, że wojna jest zupełnie niepoetyczna. Wprost naukowo sucha, jak chemia, powiada.

– Ale jeżeli człowiek się już do tego dobije, że gotów jest umrzeć i tak dalej, jak pisze Beumelburg w *Żołnierzu frontowym*, znasz to? to podobno wtedy dopiero ogarnia go prawdziwy zapal i entuzjazm.

– Sądzę, że za rok będziemy to już wiedzieć – powiedział Gomulka. Ułożyli się do snu, głowa przy głowie. – Jest wiele rzeczy, o których z nikim nie można porozmawiać – mówił Holt cicho. – Dawniej myślałem, że ojciec jest po to, aby można było z nim o wszystkim mówić!

– Ci starzy – powiedział Gomulka – sami nie wiedzą, czego chcą! Raz tego, raz tamtego.

Jeszcze po wielu dniach Vetter nie mógł wyjść ze zdumienia. – Jak wyście to zrobili? –

pytał. – Po prostu zastrzeliliśmy i przywlekliśmy tutaj – odpowiadał Gomulka.

Trzy razy dziennie jedli teraz mięso. Wolzow co drugi dzień chodził po kartofle. Całymi dniami siedział w pieczarze, studiował swoje podręczniki strategii i obmyślał pewien plan, z którym jeszcze się nie zdradzał.

Parę razy był w sąsiedniej, dość odległej wiosce, w pobliżu której wykopywał z ziemi na wpół dojrzałe kartofle. Na polach pod lasem pokazywały się często dziki, ale propozycję, żeby zapolować tam na jakiegoś dzika, odrzucono. We wsi na pewno usłyszano by strzał.

Wolzow miał całkiem inny plan. – Jazda! Złożymy radę wojenną.

– W pewnym miejscu w lesie znajduje się samotna, mała zagroda – twierdził Wolzow. –

Mają tam psa, dość dużego kundla, którego trzeba zastrzelić. Potem można zupełnie spokojnie wyprowadzić świnie z chlewa. – Holta ogarnęło przerażenie.

Ale Vetter wykrzyknął: – Świnie? Prawdziwą utuczoną świnie?!

– Zastrzelić psa, zgoda – powiedział Holt. – Ale w dwie minuty potem będziesz już miał gospodarzy na karku!

– Tam przecie mieszka tylko dwoje staruszków – odpowiedział Wolzow. – To chyba musi być leśniczówka. Ci ludzie mają dwie krowy i parę świń. Trzech z nas zakłuje świnie i wywlecze ją stamtąd, dwóch będzie trzymało tymczasem starych w szachu. Można by to nawet zrobić w dzień, gdy oboje wyjadą w pole. Mają dość daleko łąn pszenicy. Ja to jeszcze rozpracuję w najdrobniejszych szczegółach.

Holt przysłuchiwał się w milczeniu. Plan Wolzowa kusił, bo było w nim coś z przygody.

Jednakże włamanie, rabunek, i to rabunek z bronią w rękę... Holt stwierdził rzeczowo: – Za to grozi więzienie! – Zemtcki spojrział na Holta przerażony.

– Gwiżdż na więzienie! Najpierw musieliby nas złapać! – powiedział Wolzow.

– Rekwirowanie... rekwirowanie u chłopów – powiedział Vetter skwapliwie – jest podczas wojny rzeczą normalną! Ojciec mi opowiadał, że wojsko nasze na Ukrainie... w jakiejś tam wsi...

zabrało całe bydło, jakie było w zagrodach, nie tylko jedną świnię, i potem załadowało je na samochody. Ludzie musieli się z tym pogodzić. A tam gdzie nie chcieli, wszystkich postawiono pod mur.

– Widzisz, jak się takie rzeczy robi! – powiedział Wolzow. – Będzie to świetna próba nerwów, przyda nam się na przyszłość. Trzeba wszystko, co nas czeka, najpierw przećwiczyć.

Holt nie potrafił jednak przewyciężyć niepokoju, jaki go ogarnął. Ale wypowiedzieć posłuszeństwo Wolzowowi? To w ogóle nie wchodziło w grę. – Pójdę oczywiście razem z wami

– powiedział. Ale przy tym zastanawiał się już, jakby tu uniknąć konsekwencji. Niestety nic nie potrafił wymyślić; był w nim tylko strach. – Posiedzę sobie cały dzień z lornetką na sośnie –

mówił Wolzow – i wszystko wyszpieguję. Operacja będzie przygotowana pierwszorzędnie.

Holt spotkał się z Peterem Wiesem. Opuścił obóz pod pretekstem, że idzie nad rzekę założyć na noc wędki.

Wiese przyniósł ze sobą wiele wiadomości. Zniknięcia pięciu chłopców nikt jeszcze nie zauważył. W mieście wszyscy myślą, że są na akcji zniwnej, Wurm chyba jeszcze nie wysłał

swego meldunku do dowództwa. – Meissner – opowiadał między innymi Wiese – leży w szpitalu i nie może na razie pójść do SS. Podczas wspinaczki na Kruczą Skałę skręcił sobie kark. Ale ludzie przebąkują, że go tak urządził narzeczony tej rudej Suse, bo on zawsze ją szpiegował. – Holt zbaraniał, ale zrobiło mu się lżej na sercu.

– Duce ustąpił – ciągnął Wiese. – Ogłosił Badoglio swoim następcą. W odezwie do narodu Badoglio oświadczył, że będzie dalej prowadzić wojnę. Przez radio mówili, że naród niemiecki przyjął to oświadczenie do wiadomości.

– Dziwne – powiedział Holt zdumiony – rozumiesz coś z tego? – Peter Wiese wzruszył

ramionami. Opowiadał dalej: – Przez cały tydzień bombardowali bez przerwy Hamburg, co noc.

– Holt, słuchając Wiesego, przez sekundę myślał o krewnych. – Podobno to jest straszne...

fosfor... potworne rany. Ciała spalone na węgiel...

Holt nocował nad rzeką i myślał: Może skierują nas właśnie w taki trudny rejon... Rano pobierał wędki i z paroma małymi węgorzami pomaszerował z powrotem do obozu.

Życie ich było bardzo ciężkie. Dla każdej kropli wody, po którą schodziło się do strumyka, trzeba było narażać się na karkołomną wspinaczkę. Holt i Gomulka penetrowali lasy. Polowali na zające i cietrzewie. Podczas tych dalekich wypraw na łowy przyjaźń ich zacieśniała się coraz bardziej.

Wolzow, który jednego dnia podpatrywał od rana do wieczora leśniczówkę, siedział teraz przed pieczarą i obmyślał plan wyprawy. Gdy Holt próbował myśleć o czekającej ich wyprawie, dostawał

gęziej skórki. Ale nikomu o tym nie mówił, nie mówił nawet Gomulce, z którym nocował często w lesie przy ognisku. Myślał jednak stale o tej sprawie i rozpatrywał ją ze wszystkich stron. Jeżeli plan Wolzowa się nie uda, albo jeżeli ich później złapią, to nikt, nawet stryj Wolzowa ze swoimi rozległymi stosunkami, nie będzie w stanie uchronić ich od kary.

Należało więc zrobić wszystko, żeby tej kary uniknąć. Tak oto dojrzała w nim myśl, żeby zawczasu i na razie potajemnie poszukać pomocy u stryja Wolzowa.

Znowu spotkał się z Wiesem. Teraz już zauważono w mieście, że zniknęli. Policja, opowiadał Wiese, przepytowała paru kolegów z ich klasy, czy wiedzą, jakie ta piątka miała plany na wakacje. Oczywiście szukano chłopców najpierw u krewnych, bo, jak twierdził Wiese, na policję nie wywierano z góry żadnego specjalnego nacisku... Adwokat Gomulka na przykład przypuszczał, że Sepp jest u jego brata, lekarza stomatologa, który mieszkał stale w Dreźnie i spędzał tegoroczne wakacje gdzieś na letnisku. Tym razem Holt wrócił do obozu nieco uspokojony.

Wieczorem siedzieli przy ognisku i gawędzili. Vetter trajkotał: – Dawniej istniała na Atlantyku prawdziwa republika piracka. Czytałem kiedyś o tym, nazywali się fli-bus-tie-rzy. To byłoby coś dla nas. Niechby mnie wtedy moi starzy próbowali łać!

Holt wstał. Nie słuchał paplaniny Vettera. Od kiedy przeniósł się w góry, wracał często myślami do Uty Barnim. Jej obraz wcale nie zbladł mu w pamięci. W tej chwili to wspomnienie było w nim tak silne, że wyciągnął z plecaka blok i wieczne pióro i w blasku ogniska zaczął

pisać do niej list, impulsywny, chaotyczny. Gdy się znowu z Wiesem spotkał, dał mu zapieczętowaną kopertę. Potem niecierpliwie czekał na następne spotkanie nad rzeką. A że Wolzow przygotowywał teraz gorliwie włamanie do leśniczówki, wszystkie myśli Holta skupiały się na jednym: przywołać jak najprędzej przez Utę stryja Wolzowa na pomoc.

Kąpał się w umówionym miejscu, w zarosłej trzciną odnodze rzeki. Potem zarzucił wędki i złowił parę okoni. Miał ze sobą trochę kartofli, rozpalił więc małe ognisko i ułożył kartofle wokół niego. Nadział na patyk okonia i upiekł go nad ogniem. Gdy się najadł, założył na noc duże haczyki na węgorki. Siadł przy ognisku i czekał w napięciu, paląc cygaro i spoglądając na spokojną, nieruchomą tafle wody, połyskującą w zachodzącym słońcu. Wreszcie. Wiese przyszedł.

Wręczył Koltowi gazetę. Holt przebiegł szybko oczyma notatkę. „Pięciu gimnazjalistów w wieku lat szesnastu i siedemnastu... Za późno zauważono, że zniknęli... Akcja żniwna HJ... Jak twierdzi komendant obozu, zdezerterowali już po kilku dniach... Policja kryminalna przypuszcza, że jest to zorganizowana ucieczka spod kurateli rodzicielskiej... i jest już na tropie...”

– Na tropie... – powiedział Holt w zamyśleniu, chowając gazetę. – Mój ojciec już rozmawiał

z sędzią do spraw młodocianych – mówił dalej Wiese. W ogóle nic nie wiedzą. – Holt odetchnął.

– Wrzuciłeś ten list do skrzynki?

– Tak. Przedwczoraj Uta była u mojej siostry, Rozmawiały o was. Ale o liście nie wspomniała ani

słowem. O tym, że siedzicie tu, w górach, nikt nie ma nawet pojęcia. Uta powiedziała, że policja powinna spokojnie czekać, dopóki sami nie wróćcie.

– Czy ona zechce się tu ze mną spotkać? – spytał Holt. Wiese zamyslił się. – Sądzę, że tak.

Dobrze o tobie mówi.

Holt usiłował przybrać obojętny wyraz twarzy. – Muszę z nią jak najprędzej pomówić.

Przyprowadź ją następnym razem. W niedzielę wieczorem. Idź do niej po południu, tak na wszelki wypadek, żeby nie miała okazji wystawić nas do wiatru.

Gdy został znowu sam, sprawdził wędkę, czy nie złapała się jakaś ryba, a potem położył się i natychmiast zasnął. W nocy zaczął padać deszcz. Holt przykrył się płachtą namiotową aż na głowę i spał dalej. W obozie dowiedział się, że Wolzow znowu podpatrywał leśniczówkę.

Gomulka powiedział: – Jutro ma się to odbyć.

Było już późne popołudnie, gdy Wolzow zwołał radę wojenną. – Psa już... – Przejechał

sobie ręką po gardle. Przyczał się na skraju lasu i czekał, dopóki staruszek nie wyjedzie w pole.

Pies, przysadzisty bokser, biegł z tyłu za wozem. – Musiał mnie zwietrzyć, bo nagle skoczył

w zarośla. Wziąłem nogi za pas i uciekałem coraz głębiej w las, pies za mną. No to złapałem jakiś kij, pies się dał na niego nabrać, capnął za koniec, a ja wtedy finką przejechałem mu się po gardzieli. – Wolzow opowiadał to zupełnie spokojnie. Potem przedstawił im dokładnie swój plan. Podwórko wraz z zabudowaniami stanowi prostokąt. Dom mieszkalny stoi naprzeciwko stajni, obory i chlewa. W murze są wrota. Z tyłu za stajnią, za niewysokim ogrodzeniem, świnię latają od rana do wieczora.

– Zrobimy to w dzień – powiedział Wolzow. – Starzy wyjeżdżają rano około siódmej w pole i wracają dopiero gdzieś w południe. Przez ten czas nikt zagrody nie pilnuje... Werner, ty i ja będziemy stać na straży, żeby nas ktoś nie zobaczył. Sepp, Fritz i Christian załatwią się ze świnia i odtransportują ją. – Według Wolzowa było to całkiem proste.

– Mamy tę świnia zarznąć czy też mam wziąć ze sobą sztucer? – zapytał Gomulka. – Weź

lepiej sztucer. Wybierz sobie wcale nie tę największą. A potem związać nogi, tak jakście to zrobili z jeleniem. Gdy świnia będzie w lesie, Sepp pchnie kogoś z was do nas, i my wtedy podążymy za wami.

Na drugi dzień rano Holt i Wolzow wyczyścili pistolety. Gomulka wypucował swój sztucer.

Vetter i Zemtzi przygotowali sobie odpowiedni drogę. Głęboką nocą wyruszyli w drogę.

O świcie przybyli do celu, ukryli się w zaroślach i siedzieli tam tak długo, dopóki wóz drabiniasty, zaprzężony w dwie krowy, nie wyjechał w pole. – Mam nadzieję, że nie sprawili sobie jeszcze

nowego kundla i nic nie capnie mnie za dupę! – powiedział Vetter. – Ja pierwszy przeleżę przez mur i otworzę wrota – postanowił Wolzow.

Poczekali jeszcze godzinę. Potem umazali sobie twarze utłuczonym węglem drzewnym.

Wolzow poszedł naprzód. Reszta czekała pod bramą.

– Psa nią mają! – szepnął Wolzow. – W przeciwnym razie już by musiał narobić hałasu! –

Natarł na bramę, jakby przypuszczał szturm do muru warownego. Teraz zobaczymy, czy zdadzą się na coś te nasze wyczyny na torze przeszkód, pomyślał Holt. Gdzieś wrzasnęła gęś. Wrota rozwarły się z impetem. Wolzow krzyknął coś niezrozumiale i wskazał na prawo.

Odpowiedziało mu wielogłose paniczne gęganie.

Holt stał za rozwartymi wrotami; gdy się odwrócił, ujrzał trzy postacie biegnące przez podwórze w kierunku chlewa. Wolzow obchodził w tym czasie zagrodę dookoła. Holt miał pełne uszy gęsiego gęgania i przeraźliwego kwiku, który dolatywał z chlewa: Nagle zagrzmiał sztucer tyrolski, i Holt odetchnął z ulgą. Był spocony jak mysz. Gęsi ciągle jeszcze gęgały jak opętane.

Wreszcie Wolzow zawołał: – Werner... chodź! – Holt wyskoczył z podwórza za wrota. Wolzow stał już na drodze i pomógł mu zamknąć bramę. Potem przyleciał Vetter i krzyknął: – Mamy taką świnię, że palce lizać!

Napięcie nerwowe rozładowało się w paroksyzmie histerycznego śmiechu... W lesie spotkali się z Zemtzkim i Gomulką, którzy czekali z łupem. Zawinęli świnię w pospinane płachty namiotowe; z szarego tłumoka wyzierały tylko powiązane ze sobą świńskie nogi. Zarzucili końce drąga na ramiona i tak we czterech zawlekli zdobycz do obozu. Zemtzki zatknął sobie świński ogonek za czapkę, jako trofeum.

Nadeszły mgliste, posępne i chłodne dni. Nad górami zawisła gruba i szara pokrywa z chmur. Padało godzinami. Vetter piekł bez przerwy mięso. Jedna ze skalnych niecek, znajdujących się w pieczarze, głęboka i do czystą wymyta, pełna była tłuszczu. Nareszcie Holt i Gomulka nie musieli chodzić codziennie na polowanie.

Na dworze lało jak z cebra. Holt siedział przy ognisku, dym uciekał przez szyb na dwór.

– Czy nie zostawiłeś po sobie pustej łuski? – spytał nagle Wolzow. Holt pomyślał: Aha! On też teraz myśli o skutkach! – Nie. Nie jestem przecież nowicjuszem – odparł Gomulka. –

W każdym razie mamy teraz na pewien czas co jeść – powiedział Wolzow i wetknął w kącik ust cygaro. – Możemy teraz leżeć do góry brzuchem.

– Jeżeli tej... historii ze świnią nie powiążą z nami – zauważył Holt. Przez chwilę wahał się, zanim powiedział: – Bo w Dzienniku Powiatowym piszą następująco... – Wyjął gazetę z kieszeni i przeczytał wzmiankę. Potem rzekł: – Teraz już na pewno domyślają się, że jesteśmy tu gdzieś w lesie.

– Lasy są duże – powiedział Wolzow. I dopiero teraz go zatkało. – Do pioruna, skąd ty to masz?

– Od Wiesego.

– Od Wiesego? – Wolzow patrzył zdumiony na Holta. Gomulka przestał czyścić swój sztucer i odstawił go na bok. Holt powiedział: – Spotykam się z nim czasami nad rzeką.

Wolzow zamyślił się. – Właściwie to wcale nie takie głupie – mruknął po chwili. Że też on tak spokojnie to przyjął, że miałem przed nim tajemnicę, zdziwił się Holt. Korzystając z okazji, szybko i jakby mimochodem powiedział: – A jutro... spotykam się z Utą Barnim. – Wolzow przechylił głowę na bok i znowu się zamyślił. – Mów dalej. Bo przecież coś knujesz.

– Chcę ją zapytać, czy nie pojechałaby do twojego stryja. Najlepiej, żeby mu wszystko powiedziała.

Wolzow zagryzł dolną wargę. Długo się zastanawiał. – Stryj Hans będzie cholernie kłął, ale to niezła myśl... Może by tak do niego napisać?

– Nie będziesz przecież przyznawał się do winy na piśmie! – krzyknął Gomulka. Wolzow wstał. – Muszę się z tym jeszcze przespać.

Kiedy Gomulka układał się do snu obok Holta, powiedział: – Widziałeś? Gilbert naprawdę odetchnął!

W niedzielę Wolzow spałaszował na śniadanie potężny kawał mięsa. Swymi mocnymi zębiskami chrupał kości aż trzeszczało. – No to idź – powiedział. – Mam nadzieję, że nie wystawi nas rufą do wiatru. – Holt spojrzał w niebo. Nareszcie pokrywa z chmur zaczynała drzeć się na strzępy, mógł już wyruszyć w drogę.

Skrupulatniej niż zwykle zbadał bagnisty teren wokół miejsca spotkania, obszedł okoliczne trzciny i przetrząsnął każdą kępę wierzb. Z pobliskiego lasu przytaszczył do swojej kryjówki pełną płachtę chrustu. Przy ognisku zjadł kawał świniny, który mu Vetter dał na drogę. Powoli zbliżał się wieczór.

Nie dokładał już chrustu do ogniska, dorzucił jedynie do niego gruby kłoc, aby się powoli tlił. Potem czekał na skraju lasu. Dopiero gdy zobaczył Utę idącą wąską, porośniętą trawą ścieżką między lasem a doliną, uświadomił sobie, jak bardzo jest zdenerwowany.

Kiedy wyszedł z zarośli, Uta wybuchnęła śmiechem. – A więc rzeczywiście bawi się pan w Indianina!

Holt się rozeźlił. – Odwal się, Peter – powiedział. – Czekaj tam pod tym dębem, dobra? –

Wiese posłusznie zawrócił i poszedł ścieżką przed siebie. – Musimy się schować. – Holt zanurzył się w wierzbine i rozsunał przed Utą gałęzie. W zaroślach było już ciemno. Skrzyły się tylko rozżarzone drwa na ognisku. Holt rozłożył na ziemi swój koc. Uta usiadła przy ognisku i patrzyła ubawiona, jak Holt wyciąga z mapnika cygaro, jak je zapala i jak puszcza potężne kłęby dymu. Znowu zaczęła się śmiać.

– Bawić się w lesie w Indian! – Czuł, że się rumieni, więc prędko powiedział: – Mamy właśnie już dość tego nudnego cywilnego życia! Nie może pani tego zrozumieć?

– Właściwie to miałam pana za rozsądniejszego chłopca – odparła.

– Ustrzeliliśmy jelenia – zaczął się przechwalać, i nagle zupełnie cicho dodał: – A potem zrobiliśmy coś strasznego... Ukradliśmy z pewnej zagrody świnię.

– Co pan powiedział?! – przeraziła się.

Próbował się bronić, przez przekorę, ale ta przekora nie była w nim już nawet na tyle silna, żeby jego samego przekonać. – Z kompasem przez las. Po cośmy się tego uczyli? I strzelania?

Albo wdrapywania się na mury, czym zamęczali mnie już w Jungvolku?... To wszystkośmy nareszcie tu wypróbowali.– Spoglądał na nią spode łba.

Patrzyła na niego w zamyśleniu. – Proszę... – powiedział cicho, niemal żałośnie – nich pani pojedzie do Berlina do generała majora Wolzowa. Jak mu pani wszystko opowie, pomoże nam, żeby nas nie zamknęli.

– Właściwie – odparła – powinien pan sam odpokutować za swoje zbrodnie. – Słowo

„zbrodnie” było znowu kpiną w żywe oczy. – Co pani z tego przyjdzie, jeżeli nas zamkną? –

zapytał. – Niech nas lepiej puszczą nareszcie na wojnę. Na wojnie to wszystko jest dozwolone. –

Pokiwała z politowaniem głową. – Niech mi pan wszystko opowie. Całą tę historię, od początku.

– Holt opowiedział. Kiedy skończył, powiedziała: – Dobrze. Pojadę. Ale...

– Co za „ale”?

– Nic. – Wstała. Szedł obok niej wąską ścieżką między lasem a bagnistą łąką; wziął ją pod ramię. Nie zaprotestowała. – Jestem pani taki wdzięczny... – zaczął, jękając się. –

Z sentymentalizmem nie do twarzy bandycie! – zaszydziła. – Ciągle o pani myślę... – powiedział

z uporem. – Dzień i noc o pani myślę...

– I jeżeli już pan coś osiągnął tym swoim rozbójnictwem tu w górach – odparła – to w każdym razie to, że ja też coraz częściej muszę o panu myśleć.– Przycisnął jej ramię mocno do piersi. – Przez panią tracę zupełnie głowę...

– Co Petera oczywiście bardzo interesuje – zaśmiała się. Istotnie, Peter Wiese siedział na skraju lasu. Chłodno i prawie wyniośle powiedziała: – W następną sobotę w tym samym miejscu.

– Sądzę, że już niedługo skończy się to nasze rajskie życie – powiedział Gomulka. –

Właściwie szkoda, nie? – Holt nic na to nie odpowiedział. Pewnej nocy włóczył się sam po lesie, gnany jakimś całkiem nieznanym, bolesnym niepokojem. Życie obozowe, polowania i łowienie ryb przestały go już interesować. Mógłby codziennie odwiedzać Utę, rozmyślał... Oddawał się teraz całkowicie marzeniom, nieokiełznanym marzeniom, kiedy tak leżał rozleniwiony na słońcu. Lubił wcześniej wstawać.

W sobotę rano wymknął się już przed wschodem słońca z pieczary, łąził długo po górach, wykapał się w lodowatym strumyku, a potem udał się w drogę. Zaszył się nad rzeką w wierzbini i spał aż do wieczora.

Z twarzy Uty wyczytał, że wszystko poszło pomyślnie.

Kazali Wiesemu zaczekać i poszli skrajem lasu przed siebie. – Generał Wolzow po prostu szalał – opowiadała Uta. – Potem pewnie doszedł do wniosku, że nie może swemu jedynemu bratankowi pozwolić skończyć marnie w więzieniu. Chce się porozumieć telefonicznie z prokuratorem generalnym i w tych dniach tu przyjedzie. W następnym tygodniu macie się stawić na policji.

– Nie mogę powiedzieć, żeby to było bardzo przyjemne rozwiązanie – powiedział Holt zniechęcony. – Generał Wolzow powiedział – upomniała go Uta surowo – że jeżeli nie podporządkujecie się jego wskazówkom, przestanie się interesować swoim bratankiem i więcej palcem nie kiwnie. – Złapała Holta za ramię. – Niech pan przemówi tamtych do rozumu. Generał

na pewno zrobi wszystko, żeby się wam nic nie stało. Ale skończcie już raz z tą waszą...

pomyloną romantyką. I jeszcze jedno, bardzo ważne. – Mówiła teraz cicho, ale kategorycznie. –

Nie wolno wam przyznawać się do napadu na tę zagrodę! „Tego ci chłopcy nie zrobili!” powiedział generał, bo takiej afery nawet on nie mógłby zatuszować. Musicie przeczyć i jeszcze raz przeczyć, jeżeli w ogóle was o to oskarżą.

To wszystko nie interesowało już Holta. Ta przygoda była już przeszłością. Teraźniejszością była Uta. Przyszłością – wojna.

Patrzył gdzieś w bok. W ostatnich tygodniach wiele rzeczy się zdarzyło. Jeden moment oczarowania, jedna noc na wsi – i zasłona rozdarła się raz na zawsze. Uta szła obok niego, jej piękność nie była już aureolą, która dawniej czyniłaby ją niedostępną. Czyż ona nie jest z krwi i kości tak jak ja? Złapał ją za rękę, i ona pozwoliła na to. Dziękuję również... – powiedział, i poczuł się nagle głupio. – Mam nadzieję... że nie myśli pani teraz o mnie aż tak bardzo źle.

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem. – Wtedy u Wiesego... – mówił – myślałem, że wolno podziwiać panią tylko z daleka... Nie powinna mi pani wziąć za złe, jeżeli...

– Cicho! – zawołała. – Co panu strzeliło do głowy? – i wyrwała mu rękę.

Przy drodze siedział Peter Wiese, podniósł się i zaczął otrzepywać ubranie. – Niech pan nie zapomni: w przyszły czwartek – powiedziała, i już zniknęła za zakrętem.

Holt patrzył za nią speszony.

– Powrót ze skruchą do miasta, dobrowolne oddanie się w ręce policji... trochę żałosny finał, nie? – rzekł Gomulka. Holt również sobie to wszystko inaczej wyobrażał.

Wolzow miał tylko jedno zmartwienie: – Jeżeli zechcą zrewidować nam bagaż, znajdą pistolety! – Natarł je w końcu smarem, owinał w płachtę namiotową i ukrył cały pakunek w kamieniołomie. Vetter od tygodnia nic innego nie jadał, jak tylko pieczone mięcho. – Nie zostawię ani kosteczki – przysięgał. Gomulka wstał i sięgnął po sztucer. – Pójdiesz ze mną, Werner? – Wystrzelali w parowie resztę amunicji. Byli już dobrymi strzelcami. W ostatnią noc siedzieli przy ognisku. Wolzow, Vetter i Zemtzi spali. – Nastrój pożegnalny – powiedział

Gomulka. – Tak, ale tu się coś więcej kończy niż tylko przygoda – powiedział Holt. – Czasy szkolne, jakiś odcinek życia. – Około trzeciej obudzili Wolzowa i resztę, wygasili ognisko i znieśli bagaż nad rzekę. Zaraz po południu odbili łodzią, mocno obładowaną, od brzegu.

Gomulka siedział na rufie i sterował. Płynęli z prądem.

Przybili do brzegu przy pływalni. Powrót był równie żałosny, co cały finał tej przygody.

Z całej plaży zlecieli się ludzie. A więc zjawili się, brudni, obrośnięci, uzbrojeni, obładowani jak wielbłądy, poszukiwani przez policję, ścigani nieomal listem gończym. Drżał jednak tylko Vetter, z obawy przed zemstą swych rodziców. Pakunki złożyli w kabinie Holta i Wolzowa, potem przecisnęli się przez tłum i poszli zameldować się na policję.

Zamknięto ich w dużej celi. Zakratowane okna, sześć drewnianych prycz, kibel. Vetter rozdał karty.

Następnego dnia stawiono ich przed oblicze sędziego. – Ja go znam – szepnął Gomulka. –

To sędzia do spraw młodocianych! – Wielki, gruby i łysy, z nalaną twarzą, siedział za ogromnym biurkiem i chyba z minutę lustrował pięciu chłopców przez szkła swych okularów bez oprawy.

– Tfu, do diabła! – powiedział wreszcie. – Ojczyzna walczy, krwawi, cierpi, a pięciu młodych ludzi dezerteruje! Włóczy się nie wiadomo gdzie! Tfu, do diabła! Dezercja z akcji żniwnej! Włóczęgostwo! Kłusownictwo! Pogwałcenie prawa łowieckiego! Dręczenie zwierząt!...

Zemtzi! – krzyknął, zajrzawszy w leżące przed nim akta. – Niech się pan przyzna! Kto pana do tego namówił?

– Proszę... – powiedział Zemtzi błagalnie, i jego błękitne oczy spojrzały niewinnie na sędziego. – Przyznaję się do wszystkiego. To byłem ja! Ale nie tylko ja, wszyscy inni też!

– Tfu, do diabła! – zawołał sędzia znowu i pokręcił łysą głową. – Wolzow! Co pan sobie przy tym myślał? Pańska matka leży w szpitalu! Pański ojciec padł za Führera i Rzeszę! Pański stryj jest na pierwszej linii frontu! A to ziółko włóczy się i uprawia kłusownictwo! Tfu, do diabła! I ani odrobiny skruchy! Bezwstydne spojrzenie, bezczelna gęba, harda postawa! – Sędzia wsadził nos w akta i

zaczął czytać jak katarynka: – „Na podstawie paragrafu 328 Kodeksu postępowania karnego wszczyta się postępowanie karne przeciwko małoletnim; Gomulce Seppowi, urodzonemu 15 czerwca 1927 roku, Holtowi Wernerowi, urodzonemu 11 stycznia 1927 roku, Vetterowi Christianowi, urodzonemu 30 kwietnia 1927 roku, Wolzowowi Gilbertowi, urodzonemu 23 marca 1927 roku, Zemtziemu Fritzowi, urodzonemu 1 czerwca 1927 roku, zamieszkałym w miejscu, oskarżonym zgodnie z paragrafem 292 ust. 1 i 2 Kodeksu karnego o samowolną ucieczkę z akcji zniwnej Hitlerjugend, o włóczęgostwo, kłusownictwo, zgodnie z paragrafem 127 ust. 1 i 2 Kodeksu karnego o zorganizowanie zbrojnej bandy, o wykroczenia przeciwko Ustawie o ochronie młodzieży, i skazuje się ich na osiem dni aresztu dla młodocianych. Sprawcy przyznali się do winy. Jako okoliczność łagodzącą wzięto przy wymiarze kary pod uwagę fakt, że w poczuciu „winy i spóźnionej skruchy sami stawili się przed sądem. Od powyższego wyroku przysługuje oskarżonym prawo wniesienia odwołania do Sądu Powiatowego, decyzję Sądu Powiatowego zaś można zaskarżyć w drodze pisemnej apelacji do tegoż Sądu, który zarządzi następnie rozprawę sądową”. – Sędzia zamknął akta i rzekł: –

Jesteście aresztowani. Później Gomulka powiedział: – Po co on robi taką szopkę? Czy sobie wyobraża, że mi tym zaimponuje? – Vetter znowu rozdawał karty. Wolzow położył się na pryczy i zagłębił się w czytaniu swego notesu.

Po południu drzwi celi się otwały i wszedł generał Wolzow. Kiwnął ręką i strażnik zamknął za nim drzwi. – Gilbert – powiedział generał ostro – ostatni raz wstawiałem się za tobą! Nie kiwnę już więcej palcem! Zrozumiano? – Wolzow podniósł się ze swej pryczy, reszta stała w milczeniu, przestępując z nogi na nogę, onieśmielona taką masą złota i orderów na generalskim mundurze... – Postarałem się o to, żeby was zagoniono do roboty – powiedział

generał już nieco łagodniej. – Będziecie rąbać drzewo i ładować żużel.

Następnego dnia wyprowadzono ich na podwórze. Piłowali grube kłody sosnowe i rąbali drzewo na opał. Podczas pracy dowiedzieli się o strasznych nalotach bombowców na Berlin.

Niemcy w Nadrenii i Zagłębiu Ruhry są przykładem, jak należy się zachowywać wobec takich nalotów.

W tydzień później zostali zwolnieni.

Był parny, deszczowy dzień późnego lata. Siostry Dengelmann przywitały Holta krzykiem i wyrzutami. Holt poszedł na górę do swego pokoju. Dni w więzieniu pozostawiły w nim uczucie pustki i kacenjamer. Na stole czekało na niego parę listów od matki, a wśród nich jeden w szarej kopercie ze stemplem: „wolny od opłaty pocztowej”. Holt rozerwał kopertę. „W ramach...

powołuje się... do służby pomocniczej w artylerii przeciwlotniczej... z klasy... zgłosić się 14 września... Na Stadionie...”

Nareszcie! Szarpnął drzwi i wrzasnął na cały dom: – Biorą nas! W poniedziałek idę do wojska!

Poleciał do Wolzowa. Po drodze przyszła mu na myśl Uta. Zatrzymał się przed willą Bamimów. Ale potem przypomniał sobie, jak Uta zostawiła go bez pożegnania, i pobiegł dalej.

Wolzow otworzył mu drzwi z butelką czerwonego wina w ręku. – W tej chwili podali przez radio, że Włochy trzeciego września potajemnie skapitulowały. Banda zdrajców! „Holtowi ręka z listem opadła bezwładnie. Tak bardzo się przeraził, że list drżał mu w palcach.

– I do tego nie mieli wcale powodu – powiedział Wolzow. – Kto zawarł pakt z Niemcami, nie potrzebuje przecież kapitulować! – Wcisnął wino Holtowi w rękę. – Prost! – Potem opowiadał: – W tych Włoszech dzieją się rzeczy, powiadam ci. Duce został porwany, powołali nowy faszystowski rząd narodowy, i my teraz sami będziemy strzec wybrzeży Europy... Chodź.

– Zamknął dom na klucz. – Pójdziemy teraz do okręgowej komendy uzupełnień i zgłosimy się ochotniczo. Potem do Seppa i Christiana. Musimy uczcić jakoś to powołanie do wojska!

Na rynku spotkali Vettera, z oczyma zaczerwienionymi od płaczu. – Mój stary zbił mnie okropnie – powiedział, wstrząsany jeszcze łkaniem – ale zemściłem się i ukradłem rodzinie wszystkie kartki na tytoń! Proszę, idę właśnie kupić sobie za nie papierosów, attyki – przednie albo nie. – Poszli razem z nim do sklepu tytoniowego. Jakaś kobieta, która weszła po nich do sklepu, zniecierpliwiona zaczęła pyskować: – Proszę trochę prędzej! Mnie się spieszy do domu!

Führer przemawia!

Formalności w okręgowej komendzie uzupełnień załatwili bardzo szybko. Holt, zdeprymowany wiadomościami z Włoch, postanowił jednak pójść do Uty.

Po południu stał długo, niezdecydowany, przed willą Barnimów, nie mogąc się zdobyć na odwagę. Potem jednak zadzwonił. Wprowadzono go na górę. Uta leżała w swoim pokoju na tapczanie i czytała. Gdy Holt wszedł, obrzuciła go znad książki szybkim spojrzeniem. – Ach...

Odpokutowaliśmy już karę?

Był rozczarowany tym chłodnym przyjęciem. – Chciałbym... chciałbym... – powiedział

behradnie – prosić panią o przebaczenie. – Buntował się przeciwko temu upokorzeniu. –

Zachowałem się... niewłaściwie, myślałem... – Nagle bunt w nim przygasł, był nawet gotów upokorzyć się jeszcze bardziej, ale ona zaśmiała się tak szyderczo, jak jeszcze nigdy. – Co pan opowiada? Niewłaściwie się zachował? Nic mi o tym nie wiadomo. – Podniosła się z tapczanu, książka zleciała na podłogę. Uta podeszła do okna i wyjrzała przez nie znudzona. – Nie powinien pan się brać tak strasznie na serio, mój chłopcze.

Ogarnął go nagle gniew. Złożył lekki ukłon i znalazł się za drzwiami. Nie widział już jej zdumionej twarzy. Gdy był na dole i siedł przez hali, usłyszał, jak woła na niego z góry:

„Niechże pan poczeka!”, ale opuścił ten dom. Uciekać stąd, jak najprędzej!

W hallu willi Wolzowa zastał już pół klasy. – No, jest ten kłusownik! – wykrzyknął

Rutscher, gdy zobaczył wchodzącego Holta. – Sepp opowiadał właśnie o tym jeleniu!

Holt rozejrzał się po obecnych. Z miejsca zorientował się, że oblewają tu powołanie do wojska, wódką... Bardzo mu było na rękę. Jego złość na Utę już dawno się rozviała, był teraz tylko śmiertelnie nieszczęśliwy.

Wszyscy wrzeszczeli jeden przez drugiego. – Gilbert poszedł do szkoły i nabujał woźnemu, że z kotłowni centralnego ogrzewania wydobywa się dym. No to ten poleciał do piwnicy, a Gilbert ściągnął mu w tym czasie klucz i dostał się do gabinetu chemicznego.

– Ja! Ja! – krzyczał Zemtcki. – Ja byłem przy tym! Gilbert spuścił na sznurku butelkę spirytusu na podwórze, a ja hop z tym przez mur!

– A ja – opowiadał Wolzow – poszedłem z powrotem do woźnego i powiedziałem, że widocznie mi się przywidziało, skoro z kotłowni dym się wcale nie wydobywa, ale może ten dym idzie z piwnicy spod sali gimnastycznej... No to facet podrałował jeszcze raz do piwnicy, a ja powiesiłem klucz z powrotem na haku i całkiem spokojnie się ulotniłem!

– Zrobiliśmy fajny likier, pięćdziesięcioprocentowy! – powiedział Vetter, któremu język się już plątał.

Holt przytknął butelkę do ust. Ciepławy, lepki napój palił w gardle. Holt pil haustami, drugi, trzeci tyk... Powoli robiło mu się piekielnie gorąco, naokoło niego zaś przestronnie i jasno...

Wolzow przyniósł kilka butelek czerwonego wina. – Pij, Werner! – I Holt pił, wszyscy pili.

Zmartwienie i gniew ulatniały się jak dym. Do diabła z Utą! Ktoś wrzeszczał: – Koledzy!

Zaczyna się! – Holt pił z butelki czerwone wino, życie było znowu łatwe. – Precz z Badogliem!

– krzyczał ktoś. – Nigdy nie opuścimy F-F-Führera w potrzebie!

– Nigdy! – ryczał Holt, wszyscy ryczeli: – Ni-gdyyyy! – Grzmiący głos Wolzowa: – „Jedna prawdziwa wieszczba: bić się za Ojczyznę!”* [*Przekład F. K. Dmochowskiego.] – To jest Iliada, pomyślał jeszcze Holt, i gdzieś na samym dnie mózgu słaby przebłysk świadomości: Jestem pijany... A potem była już tylko jedna kotłowanina: wrzaski, krzyki, wybuchy śmiechu, do diabła z Utą... Obrazy zmieniały się jak w kalejdoskopie... hali w willi Wolzowa, jakaś ulica, rynek, i Wolzow paraduje z długim, cienkim kaktusem w klapie, z kaktusem, można się uśmieć do łez... Zemtcki ma nagle na głowie cylinder, skąd on wzięł ten cylinder?...Czego ci ludzie tak głupio się śmieją?... Na miłość boską, bannführer! I naturalnie wrzeszczy, zmykajcie do domu...

Kto to mnie łapie za ramię? Wiese? Ten Miesepeter, ten nędzny dekownik... O co chodzi!

Pijany? No dobra, już idę!

Holt był po raz pierwszy w życiu w tak oplakanyim stanie i leżał następnego dnia w łóżku jak otumaniony. Głowa go bolała. W żołądku miał paskudne uczucie rewolucji. Nie mógł zupełnie przyjść do siebie. Słońce wpadło do pokoju z lewej strony, a więc było wczesne popołudnie.

Młodsza siostra Dengelmann, Weronika, z głową w papilotach, stała przy łóżku z herbatą i wyrzekała: – Taka hańba... Szesnaście lat i pijany w sztok! Całe schody pan zarzygał!

– Precz! – jęknął słabym głosem Holt. – Jestem chory.

– Ma pan kaca! – powiedziała Weronika ze złośliwą satysfakcją. – Proszę wyjść! – krzyknął

Holt. Potem był sam i rozkoszował się gorącą herbatą miętową. Powoli zaczynał sobie wszystko po trochu przypominać. Aleśmy narozrabiali!

Wstał. Jak ja się dostałem do łóżka? Przy otwartym oknie zaczął trenować przysiady, gdy nagle ktoś zapukał.

Wszedł Peter Wiese. – Jak się czujesz? – zapytał.

– Dziękuję... – mruknął Holt. – Człowieku... Co to się wczoraj działo?

– Byliście wszyscy pijani – powiedział Wiese z lekkim wyrzutem. – Na rynku wpadliście prosto w objęcia bannführera. Kazał posłać po policję. Przypadkowo akurat tamtędy przechodziłem i zdążyłem cię w samą porę zabrać, w tym rozgardiaszu nikt nawet tego nie zauważył.

– Pewnie się bezwstydnie wobec ciebie zachowałem, co? – spytał Holt potulnie. – Ujdzie –

uśmiechnął się siato Wiese. Jak zwykle. Dekownik, ostrożniś, Miesepeter.

– Jest mi naprawdę przykro – powiedział Holt. – Już dobrze. – Wiese sięgnął do górnej kieszeni marynarki. – Uta Barnim mnie prosiła, żebym ci doręczył list.

Holt podszedł do okna i odwrócił się do Wiesego plecami. „Kochany Wernerze”, przeczytał

nagłówek skreślony energicznym piśmem. „Nie chciałam wcale Panu wczoraj dokuczać, ale to też nie było ładnie, że Pan tak zaraz uciekł. A teraz dowiaduję się, że dostał Pan powołanie do wojska. Jeżeli w ciągu tych ostatnich dni swego cywilnego życia nie ma Pan nic lepszego do roboty, to zapraszam Pana serdecznie do nas na wieś, dokąd pojechalibyśmy w sobotę. Pogoda zapowiada się ładna. Tam też są piękne lasy, choć żadnej pieczary niestety nie ma...” Roześmiał

się, jej ironia uszczęśliwiała go. „Niech więc Pan przyjdzie w sobotę nie później jak o dwunastej i niech mi Pan da odpowiedź przez Petera”.

– Co mam jej powiedzieć? – spytał Wiese. – Że przyjdę – odparł Holt.

Wiese wszedł. Holt myślał gorączkowo: Muszę jej zanieść kwiaty! Róże, astry, goździki, to wszystko już ma. Nagle przypomniał sobie o orchideach, które doktor Zickel hodował

w szkolnym ogródku. Muszę się włamać do oranżerii, postanowił... Ale gdy w godzinę później zajrzał przez szparę w płocie, zobaczył co najmniej pół tuzina ludzi pracujących w ogródku, a nocą, gdy po raz drugi tam zajrzał, biegał po ogrodzie duży dog. Trudno, otruję psa, pomyślał, ale orchidee muszę mieć!

W sobotę wcześnie rano znowu ponowił swoje próby i tym razem zastał cieplarnie nie strzeżone.

Spakował już swoje rzeczy, bo dostał ze szkoły zaproszenie na poniedziałek rano na

„uroczyste pożegnanie klasy VII, powołanej do służby pomocniczej w artylerii przeciwlotniczej...”

Ogród ciągnął się daleko za szkołę. Holt przesadził płot. Schylony wpół biegł między wysokimi grządkami szparagów do cieplarni z orchideami.

Ciężki, oszałamiający zapach buchnął mu w nozdrza. Od sufitu zwieszały się uplecione z łyka koszyki z dziwacznie wybijałymi roślinami; na kruchych łądogach bieleły się kwiaty, także wśród mchu i wachlarzy paproci... Wyciągnął scyzoryk z kieszeni i ściał te najpiękniejsze, śnieżnobiałe gwiazdy na długich łądogach, z delikatnym nalotem czerwieni na wewnętrznych płatkach. „Paphiopedilum villosum, Our King”, przeczytał na tabliczce. Opuścił cieplarnię i przez nikogo nie zaczepiany wymknął się z ogrodu.

Przed willą Barnimów stał otwarty powozik myśliwski; stangret uwiesił obu koniom u pyska worki z owsem. Holt zadzwonił niecierpliwie; przesadzał po dwa stopnie naraz, biegnąc na górę.

Uta stała przed lustrem. Bez słowa podał jej orchidee.

– Czegoś tak pięknego jeszcze nigdy nie widziałam – powiedziała i szybko odwróciła się do niego plecami. Czesła się. Przyglądał się jej, jak okręca swoje ciężkie włosy wokół głowy i przypina je szpilkami.

Opuścili dom. Stary stangret wdrapał się bez słowa na kozioł i zaciął konie; powozik potoczył się wzdłuż alei i za ostatnimi domami skręcił w polną drogę, gnał dalej przez rżyska, pod górę i z górki na dół, a potem z godzinę jechał lasem mieszanym. Uta opowiadała. Gdy jej ojciec został odkomenderowany do tego garnizonu, wynajął w mieście willę i na wsi domek weekendowy. Konie i powozy, ten i dogcart, stały u jednego chłopca w pobliskiej wsi. Ona sama pochodziła ze Schwarzwald.

Domek stał na skraju lasu, piętrowy drewniany domek na podmurówce z polnego kamienia.

Wszędzie dokoła był las. Holt wszedł za Uta do hallu, skąd jakaś stara mrukliwa kobieta zaprowadziła go na piętro i wskazała mu pokój, w którym stało tylko łóżko żelazne, umywalka i szafa. Dęby i sosny sięgały gałęziami otwartego okna. Kobieta skinęła mu głową i zostawiła za sobą uchylone drzwi.

Z pokoju naprzeciwko wyszła Uta. W hallu siedzieli przy stole też naprzeciwko siebie.

Kobieta wniosła kartofle w mundurkach i miskę kwaśnej śmietany. Szum wiatru buszującego w konarach drzew wdzierał się przez otwarte drzwi, które prowadziły wprost do lasu.

Wyszli z domu. W dolinie wśród pól leżała wieś. Zapadał łagodny letni wieczór. Na wachlarzach paproci i krzakach tarniny połyskiwała pajęczyna, w powietrzu snuły się nitki babiego lata.

Uta szła pół kroku przed nim. Na skraju lasu usiadła na trawie. Wszędzie naokoło rosły krzaki jeżyn i leszczyzny, tylko na zachód był otwarty widok; niebo nad górami mieniło się wszystkimi barwami tęczy. Od polanki wiatr nawiewał zapach siana. Holt objął Utę ramieniem, pozwoliła popchnąć się na trawę i upadła na plecy. Później siedział obok niej i patrzył, jak gra barw na niebie powoli gaśnie. Uta miała oczy zamknięte. Zapadał zmierzch. Drżała z zimna.

Gdy dotarli do domu, była już noc.

W hallu kolacja stała na stole. Uta przyniosła jeszcze koszyk pomidorów. Podczas jedzenia powiedziała nagle ni stąd, ni zowąd: – To, co mi opowiadałeś o twoim ojcu, bardzo mnie interesuje. Wolał więc popaść w niełaszkę niż pracować dla wojny?

Popatrzył na nią zdumiony. Jej głos brzmiał obco i rzeczowo. – Przydałoby się więcej takich ludzi z

charakterem.

– Ja tego nie rozumiem – powiedział.

Kącki jej ust zadrgały ironią. – Czegóż jeszcze ci potrzeba po Stalingradzie, żeby się obudzić?

Szarpnął się jak narowisty żrebak. Siłą zmusił się do spokoju. Potem powiedział znowu: – Ja ciebie nie rozumiem... A... Niemcy... Co będzie z Niemcami?! – krzyknął.

Popatrzyła mu długo w oczy. – Zapomnij o tym, co powiedziałam. – Odsunęła talerz od siebie. – Zapomnij. Musisz iść na wojnę. A ona może jeszcze długo potrwać. – Patrzyła teraz gdzieś mimo niego. – Prawda jest dla was za trudna: to przecież wszystko na próżno. – W jej spojrzeniu był teraz niepokój i decyzja. – Musisz ten weekend zapomnieć. – Zawahała się na chwilę. – Możliwe, że wkrótce wyjdę za mąż. A więc proszę, zapomnij to wszystko. – Ale pozwolić się przewrócić na trawę i leżeć w niej, to było w porządku! Wszystko się w nim przeciwko temu buntowało. – Ja muszę iść na wojnę. A ty mi wyrywasz grunt spod nóg... Więc...

W jakiś szczególny, sobie tylko właściwy sposób chwyciła się lewą ręką za szyję i w napięciu czekała na dalszy ciąg tego urwanego zdania.

– Więc wpuść mnie przynajmniej dziś w nocy do siebie – powiedział.

Zerwała się jak oparzona, że aż naczynia na stole zadzwięczały.

Słyszał, jak trzasnęły na piętrze drzwi. Siedział wzburzony i rozdygotany. Potem zamknął okna i zgasił światło.

W całym domu panowała śmiertelna cisza. Stał bez ruchu w swoim pokoju.

Zmagał się ze sobą.

Wreszcie wyszedł na korytarz. Jeszcze raz zatrzymał się na sekundę pod przeciwległymi drzwiami. Potem nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły.

Przez otwarte okno wpadało słabe światło księżyca. Zarzuciła mu ręce na szyję i pociągnęła go za sobą w ciemność. Ale widział pod sobą jej twarz, te szeroko otwarte oczy. Widział po drzeniu jej ust, że sprawia jej ból. Rozkosz i ból.

Został przy niej aż do brzasku. Świtający dzień nie był niczym innym jak tylko plamką światła między dwiema nocami. Po raz pierwszy z całą świadomością napawał się widokiem żywego piękna, a ona wcale mu tego nie broniła.

Nagle w jego świadomości doszedł do głosu inny obraz, tak przemożny, że na kilka sekund aż cały zamarł przy niej: Fosfor. Potworne rany. Ciało spalone na węgiel.

Ukrył głowę na jej ramieniu. Później słyszał, jak ona mówi: – Broniałam się przed tobą. Ale tak już

musiało być. Jest wojna. Nie wiemy, co nas jeszcze czeka.

W auli, w pierwszych rzędach, zajęli miejsca uczniowie klasy VII, w mundurach HJ. Holt siedział w trzecim rzędzie, za Wolzowem, pod gotyckim oknem. Spóźnił się. Dyrektor gimnazjum już zaczął swoje przemówienie. Holt go nie słuchał. Zobaczymy się jeszcze na dworcu! Wyskoczył z dogcarta i pobiegł prosto do szkoły. Jeszcze się zobaczymy. Jego pielmy sen potrwa już tylko godzinę. Ciągłe jeszcze miał przed oczyma, jak koń z dwukólką rwie przez pola. Z przymkniętymi powiekami wsłuchiwał się w to, co zostawił za sobą: Skoro już raz zacząłem, to muszę brnąć dalej!

Zabrzmiały oklaski. Na parkiecie zahuczały teraz podkute buty. Bannführer wchodził na mównicę. – Koledzy! – Zemtzi, który już zdążył zasnąć, wzdrygnął się przerażony. Knopf miał

ostrzy, komenderujący głos. – W poważnej godzinie wzywa Führer swoją młodzież do akcji... na froncie wschodnim śmiertelnie ugodzony nieprzyjaciel czyni gigantyczne wysiłki, aby się wyrwać z żelaznego uścisku... – Vetter smarknął głośno w chusteczkę, ale Wolzow huknął na niego: – Przestań! Od dziś obowiązuje dyscyplina!

– ...jak Führer parę dni temu w swoim wspaniałym przemówieniu powiedział... wojna powietrzna... istnieją już techniczne i organizacyjne przesłanki, że raz na zawsze powstrzymamy naloty terrorystyczne i pomścimy je! Zanim to nastąpi, koledzy, wam się powierza obronę niemieckich przestworzy! – Bannführer zszedł z hukiem z podium i ścisnął teraz każdemu rękę.

Przy wyjściu skupili się wszyscy nauczyciele. Doktor Zickel prychnął: – Kh-kh... Kh!

Nieprawdaż, tak jak ja to widzę, to to przecież są jeszcze dzieci, nieprawdaż, kh... kh... rozpacz, że one muszą już iść na wojnę!

Na ulicy rodzice i krewni pierwsi rzucili się na dworzec. – Nic na świecie już mnie nie zaciągnie do szkoły! – powiedział Wolzow. Na dziedzińcu zabrzmiał ostry gwizdek. – Bacność!

Wyrównać... Oddział naprzód marsz! – To Otto Barth. A na dworcu czekała Uta.

Holt maszerował w kolumnie i śpiewał: „Pójdziemy zwycięskim marszem, niszcząc za sobą ślad...” Na dworzec nie było daleko. Pociąg właśnie wjeżdżał na peron. Holt mógł się nareszcie odłączyć od kolumny. Rozglądał się na wszystkie strony i szukał Uty. Stała z dala od tłumy, przy ciemnozielonym ligustrowym żywopłocie, który oddzielał teren dworca od placu przed nim.

– Nie mogłem się doczekać, kiedy mnie wezmą – powiedział. – A teraz chciałbym zostać z tobą.

– Prędko by ci się to znudziło, gdyby tak miało już zostać na zawsze – odparła, ale patrzyła gdzieś mimo niego.

Gwizd lokomotywy, pociąg ruszył. Po uścisku jej dłoni pozostało mu w ręce jakieś małe pudełeczko tekturowe. Oderwał się od niej. Przesadził żywopłot i biegiem przez tory skoczył do odjeżdżającego pociągu. Gomulka wciągnął go do wagonu.

Ktoś wrzasnął na cały korytarz: – Wiadomość nadzwyczajna! Duce uwolniony przez skoczków

spadochronowych! – Holt słyszał te słowa, ale ich nie rozumiał.

Pociąg w ślimaczym tempie pełził przez góry. Holt pozostał w korytarzu. Obok niego, sztywny i nieruchomy, stał Gomulka.

Holt otworzył pudełeczko. Na czarnym aksamicie leżał złoty łańcuszek z krzyżykiem misternej roboty. Z trudem odczytał wygrawerowaną na nim niewyraźną datę, rok 1692, i napis:

„Miłość jest naszym bogiem, wszystko wszak żyje miłością. O, jakże szczęśny jest człowiek, co w niej zbuduje swój kościół”.* [*Przekład Włodzimierza Lewika.] To było wszystko, co mu po niej zostało. I wspomnienia.

Za oknem przesuwały się góry; głęboko w dole lśniła wstęga rzeki. Z wzrastającą szybkością pociąg toczył się, ku dolinie. Holt jednym szarpnięciem otworzył drzwi przedziału i wcisnął się w kąt. Już na wpół przez sen słyszał, jak Vetter mówi: – Teraz jesteśmy wolni jak ci fli-bus-tie-rzy!

Księga pierwsza

Miasto było przerażająco obce. Brak mu było tła gór; na horyzoncie ciągnęły się tylko wzgórza. Zatrwożona, osowiała i przygnębiona klasa zebrała się przed dworcem, szablonowym budynkiem z czerwonej cegły, nad którego płaskim dachem świeciło popołudniowe słońce.

W karcie powołania było napisane: „107/III bateria ciężkiej artylerii obrony przeciwlotniczej kraju, Stadion”. Brzmiało to dość tajemniczo. Wolzow zapytał jakiegoś przechodnia. Stadion?

To za miastem, daleko stąd, stadion sportowy. – Masz ci los! – powiedział Holt do Gomulki. –

Czego to ja się pod tym już nie domyślałem! I masz teraz, boisko piłki nożnej! – Dlaczego nikt się o nas do tej pory nie zatroszczył? pomyślał równocześnie. Jeszcze nigdy nie czuł się tak strasznie bezdomny jak po tym rozstaniu z Utą. Wolzow oświadczył: – Bez rozkazu nie zrobię ani kroku dalej. Oni przecież wiedzą, że mieliśmy przyjechać! – Wokół niego skupili się Holt, Gomulka, Vetter i Zemtzi, a także Rutscher, Weber Branzner, Kirsch, Glaser, Gutsche, Kattner, Moebius, Schachner i Thiele. Pozostali, świta Nadlera, Schenke, Schönfeldt, Schulz, Götze, Grubert, Hampel, Kieback, Klein, Kühlmann, Ebert, Kunert i Schlemm, oświadczyli zgodnie, jakby się umówili, że lepiej na własną rękę pomaszerować do baterii. Nadler, z zielonym sznurem HJ-führera u munduru, zrobił zbiórkę, i w chwilę potem mały oddział zniknął za rogiem.

– Niech sobie idą, te przekłete lizusy! – powiedział Wolzow, machnąwszy ręką. Chwilę się nad czymś zastanawiał, a potem poszedł do budki telefonicznej.

Holt siedział nad swoim kuflem piwa i nie słuchał, o czym reszta mówi. „Ciągle jeszcze cierpiał z powodu rozstania. Kto wie, co nas czeka... Już się zaczynał rozłamać. Tylko twarda ręka Wolzowa trzymała jeszcze klasę w kupie. To wszystko, co tu siedzi przy stole, to tylko statyści, którzy na razie podporządkowali się władzy Wolzowa, ale którzy przecież z miejsca przeszliby do przeciwnego obozu, gdyby to miało dać im większe korzyści. Na Gomulce można polegać, rozmyśla! Holt. Ten się mnie i Gilberta nigdy nie wyrzeknie. Vetter również nie, ten się przywiązał do Gilberta jak pies. A Zemtzi? Kto wie?

Wolzow przysiadł się do Holta. – Zrobione. Za pół godziny przyjedzie po nas ciężarówka. –

I opowiedział wszystko po kolei. Telefon odebrała jakaś babka, strugał przed nią wielkiego waźniaka, nagadał jej coś o „kierownictwie transportu i tak dalej”. – Mówiła do mnie „panie poruczniku”. – Tak? Może jeszcze wszystko będzie dobrze!

– Ale tamci będą wściekli! – wykrzyknął Vetter.

Gomulka bawił się w zamyśleniu przykrywką kufła. – Musimy mieć się na baczności, bo inaczej marny nasz los! W domu mogliśmy w razie konieczności mówić: dajcie nam spokój, za cztery tygodnie idziemy do obrony przeciwlotniczej... Ale tu...?

Wolzow huknął kuflem w stół. – Ja będę pierwszorzędnym żołnierzem, to więcej niż pewne.

Na dworze słońce rzucało już długie cienie na plac przed dworcem. Zza rogu wypadła z hałasem pomalowana na szaro ciężarówka. Z szoferki wyskoczył jakiś żołnierz, z czerwonymi patkami artylerii przeciwlotniczej na kołnierzu i trójkątem bombardiera na rękawie. – Mam stąd zabrać niejakiego podporucznika Wolzowa i dwudziestu siedmiu ludzi.

Wolzow udał zdziwienie. – Ta panienska musiała się widocznie przesłyszeć! – Bombardier popatrzył na niego z niedowierzaniem. – Jazda... ładować się na wóz! – Wrzucili na ciężarówkę swój bagaż. Wolzow i Holt wdrapali się na nią pierwsi. Siedzieli po trzech na twardych ławkach.

W mieście były wąskie, kręte, wybrukowane kocimi łbami uliczki i samochód cały czas podskakiwał na nich z hałasem, zanim wreszcie wyjechał na długą szosę, prowadzącą między altanami i ogródkami działkowymi. Bombardier siedział za kierownicą milczący i ponury.

Wolzow wyciągnął garść cygar. Bombardier wsunął je obojętnie do górnej kieszeni munduru.

Ale równocześnie odtajał.

– Jak tam u was jest? – zapytał Wolzow. – Spokojnie – odpowiedział bombardier, który mógł mieć najwyżej dziewiętnaście lat. – Tu się przecież nic nie dzieje!

Samochód wdrapał się pod górę. Mieli teraz przed sobą otwartą przestrzeń. Nadler, markotny, maszerował ze swoimi ludźmi szosą. – Jedź dalej! – rozkazał Wolzow. Bombardier dodał gazu. Za nimi rozległ się krzyk rozczarowania.

W dali przed nimi, na wzgórzu wśród łąk i pól, zarysował się owal stadionu sportowego i wysokie trybuny.

Na ich płaskim dachu widać było kilka małych, szarych postaci i jakiś wielki, przykryty plandeką sprzęt.

– Wygląda jak aparat nasłuchowy, nie? – powiedział Holt.

– Aparat nasłuchowy? – Wolzow prychnął pogardliwie. – Nonsens! Po pierwsze, to się nazywa aparat podsłuchowy, a po drugie, nikt się już czymś takim nie posługuje. To jest radiopelengator.

– My to nazywamy peleng – powiedział bombardier. Samochód zjechał z szosy na jakąś szeroką, wysypaną żuzłem drogę. Zbliżali się do stadionu.

Tu, na wzniesieniu, zachodzące słońce świeciło jeszcze jaśniej i jeszcze bardziej mieniło się w oczach, Holta wprost oślepiało. Taka sama światłość zalewała ziemię, gdy szedł z Utą przez las... dwadzieścia cztery godziny temu i – Zaraz będziemy na miejscu – powiedział bombardier.

Holt ujrzał kilka baraków. Z drugiej strony stadionu, w pustym polu, majaczyło wokół

jakiegoś większego kopca ziemi sześć szarych pagórków. Bombardier zatrzymał wóz przed jednym z baraków. – Wysiadać! – Patrzyli w ślad za odjeżdżającą z hałasem ciężarówką. Tu też nikt na nich nie czekał.

– To pewnie – będzie tu! – powiedział Wolzow. Wszedł pierwszy do baraku. Wąski korytarz i dwoje położonych naprzeciwko siebie drzwi, dwie duże izby, z piętrowymi łózkami i szafkami, nie zamieszkałe, zaśmiecone i brudne. – W najgorszym wypadku będziemy musieli się przeprowadzić. Ale takie bezczynne stanie w miejscu demoralizuje. – Wolzow zarekwirował

izbę, która znajdowała się po stronie południowej.

Holt zarezerwował sobie górne łóżko przy oknie, z dala od drzwi, osłonięte z obu stron szafkami, Wolzow zajął sąsiednie, Gomulka zadowolony się dolnym. Holt był załamany, bo wszędzie leżały kupy śmieci. Ale Wolzow z miejsca wziął się do dzieła. – Jazda do roboty, precz z tym świństwem! Zobaczę, czy się nie da gdzieś zorganizować jakiegoś wiechcia.

Wszyscy nagle przycichli jak myszy pod miotłą, ale Wolzow nie mógł widzieć, że w drzwiach stanął w rozkroku jakiś przysadzisty, może trzydziestopięcioletni człowiek, w czapce połowej zsuniętej na bakier i niebieskoszarym, kapiącym od srebra mundurze. Chłopcy patrzyli na niego wytrzeszczonymi oczyma. Holt usiłował dać Wolzowowi jakiś znak, ale ten bez opamiętania grzmiał za szafkami dalej: – Co za świński chlew! Tu chyba musieli mieszkać Hotentoci! – I dopiero teraz Wolzow zauważył, że do izby ktoś wszedł.

– Wcale nieźle – powiedział przybysz. – Hotentoci, rzeczywiście wcale nieźle! – Wszedł

między szafki, jego spojrzenie prześliznęło się gdzieś ponad chłopcami i zatrzymało się na Kirschu. – Nazwisko?

Kirsch przełknął prędko chleb, który właśnie przeżuwał, i chcąc się pochwalić, że wie, co oznacza rozetka na obramowanych srebrem naramiennikach, odpowiedział: – Kirsch, panie sierżancie!

– Szkoda. U nas sierżant nazywa się ogniomistrzem. A więc jeszcze raz: wasze nazwisko?

– Kirsch, panie ogniomistrzu!

– Jaka szkoda! Nurek? Ginekolog? Kalifaktor? Wolzow poważił się roześmiać, i to roześmiać się przełożonemu prosto w twarz. Ten ściągnął lekko brwi. Kirsch, po raz trzeci, wrzasnął: – Junak obrony przeciwlotniczej Kirsch, panie ogniomistrzu!

– Wspaniale! – Przełożony promieniał. Holt nie odrywał od niego oczu. – Dobrze! Całkiem poprawnie! Zapamiętam was sobie! Ale piątki za to nie będzie, bo dopiero za trzecim razem wam się udało. Dostaniecie czwórkę! – Ogniomistrz wyjął z kieszeni notes i coś sobie zanotował. Potem zwrócił się do Wolzowa. – Nazwisko?

– Junak obrony przeciwlotniczej Wolzow, panie ogniomistrzu!

– Zawód ojca, Wolzow?

– Pułkownik, panie ogniomistrzu! On...

– Au! – wykrzyknął ogniomistrz. – Zupełnie nie tak, jak być powinno; ja w każdym razie tego nie

słyszałem! Wymieńcie szybko swojego stryja, może będzie lepiej pasował!

– Generał major, panie ogniomistrzu!

– Straszne!

Holt zastanawiał się, co może być w tym straszego, i usłyszał, jak ogniomistrz zmartwiony mówi: – Teraz już muszę dać wam „niedostatecznie”. Wiecie dlaczego?

– Nie, panie ogniomistrzu!

– Ci młodzieńcy – wskazał na stojących wokół niego chłopców – mogliby sądzić, że was faworyzuję, ponieważ macie stryja wśród generalicji! – Znowu coś zapisał w notesie. –

Niezmiernie żał mi was, Wolzow. Będzie wam u mnie bardzo ciężko! – Potem wsunął notes pomiędzy dwa guziki swego munduru i zaczął lustrować wzrokiem każdego po kolei. – Jestem Gottesknecht* [*Gottesknecht – dosłownie: sługa boży.]. Ogniomistrz Gottesknecht, instruktor szkolenia... – Twarz jego była w dalszym ciągu poważna i beznamiętna. – Ci, co mnie znają –

ciągnął dalej – mówią, że jestem rzeczywiście sługą bożym, ale kto zechce tu udawać ważniaka, ten może sobie pomyśleć, że jestem sługą szatana.

Zaczął spacerować po izbie tam i z powrotem. – Ja nigdy nie wrzeszczę, ale bez przerwy stawiam oceny, od piątki do dwóji, jak w szkole. Kto pięć razy pod rząd ma piątkę, ten dostaje dodatkową przepustkę na miasto. Ale to się rzadko zdarza. – Zatrzymał się przed Holtem, obejrzał go od stóp do głów i zapytał: – Wasze nazwisko?

– Junak obrony przeciwlotniczej Holt, panie ogniomistrzu! – Gottesknecht wyjął notes i zaczął zapisywać. – Zawód ojca?

– Kontroler środków żywnościowych, panie ogniomistrzu – powiedział Holt ostrożnie. –

Pierwszorzędnie! No to musicie mu wysłać tutejszy serek harceński, podobno jest w nim gips i...

coś tam jeszcze, żeby mocniej śmierdział.

Holt parsknął śmiechem, Gomulka i Wolzow roześmieli się również, reszta miała na twarzy wyraz zakłopotania. Ogniomistrz promieniał. – Rzeczywiście! Oni się śmieją z mojego dowcipu!

Dostaniecie za to „bardzo dobrze”! – Spytał Gomulkę o nazwisko i zanotował. – U mnie wolno się śmiać. Ale kto się śmieje nieszczerze, dostaje „dostatecznie” z minusem. Kto zaś w ogóle się nie śmieje, ten dostaje bez przerwy „niedostatecznie” za tchórzostwo... Gomulka, zawód ojca?

Po krótkim wahaniu Gomulka odpowiedział: – Pracownik sądowy, panie ogniomistrzu!

– Sędzia? – spytał Gottesknecht podejrzliwie.

– Nie, panie ogniomistrzu, adwokat!

– No to macie szczęście! Synowie wysokich dygnitarzy nie mają u mnie co się śmiać! –

Skierował się do drzwi. – Dwóch ludzi pójdzie ze mną. Po miotłę i po koce. Reszta porządkuje teren, potem wieczór wolny. – Rutscher i Branzner poszli za nim.

Holt zwrócił się do Gomulki: – Powiedz mi... co ty o nim sądzisz?

– To wszystko komedia, udawanie – odparł Wolzow. – On jest całkiem inny. Jest zimny jak lód!

Izba była już czyściutko wysprzątana, gdy w korytarzu zahuczały wreszcie kroki Nadlera i jego ludzi. Nadler był rozgoryczony i przybity, i nie miał już u ramienia sznura Führera.

Wolzow wskazał mu izbę naprzeciwko. – To było bardzo nie po koleżeńsku, żeście nas nie zabrali – skarżył się Nadler. – Kto odrywa się od sił głównych, ten musi się liczyć z przykrymi następstwami! – oświadczył Wolzow. Płowowłosy Kattner zatrzasnął Nadlerowi przed nosem drzwi. – Te oferty – opowiadał Rutscher – wpadły prosto Gottesknechtowi w ramiona. Dał im wszystkim dostatecznie minus, bo się zjawili później n-n-niż my! Nadler dostał niedostatecznie, bo junakowi obrony przeciwlotniczej nie wolno nosić sznura f-f-führera.

Holt kiwnął na Gomulkę, żeby wyszedł z nim na dwór. Przed barakiem rozejrzał się przezornie na wszystkie strony. Słońce już zachodziło i jak wielka krwawa, zamglona tarcza znikało za wzgórzami. Tuż przy baraku biegła szeroka, wysypana żużlem droga, ciągnąca się wzdłuż czterech czy pięciu baraków, za którymi wznosił się stadion. Na prawo, po stronie północnej, znajdowały się stanowiska ogniowe.

Od drogi na stanowiska dział prowadziły chodniki z desek. Przed jednym z szarych wałów ziemnych Holt i Gomulka zatrzymali się. Wał był wysoki na jakieś dwa metry i wyposażony w zygzakowate przejście, oszalowane porządnie deskami.

Holt szedł pierwszy. Ściany okopu na stanowisku działa podparte były belkami, dno wysypane żużlem. Wejście do schronu ziało czarną pustką. Działo przykryte było płachtą ochronną koloru ziemi, wyglądała spod niej tylko smukła lufa i ramiona lawety. Przy dziale stał

wysoki, chudy chłopak, który mógł być niewiele starszy od Holta, ubrany w zwykły, szaroniebieski mundur bez odznak i naramienników. Przy prawym uchu miał słuchawkę obłożoną grubą gumą, na szyi laryngofon z przełącznikiem przymocowanym do bluzy polowej.

Chłopak ten wykonywał jakieś niezrozumiałe czynności. Odchylił płachtę maskującą, wetknął

jakiś kabel do któregoś tam kontaktu, przyłożył do lewego ucha drugą słuchawkę, nasłuchiwał

przez chwilę w napięciu, odłożył słuchawkę i w trakcie włączania laryngofonu powiedział: –

Anton... Zapalnik dobry! – Potem przełazi przez jedno z ramion lawety, odchylił w innym miejscu plandekę i na nowo zaczęła się ta niepojęta zabawa. – Anton... Kierunek dobry! –

Wreszcie ściągnął szaroniebieską czapkę polową, zdjął słuchawki oraz laryngofon i powiesił to wszystko w schronie. Potem, spojrzawszy na Holta i Gomulkę, powiedział:– No?

– Myśmy dziś dopiero przyjechali. Nazywam się Holt.

– Starszy junak Berger. – Nieznajomy zamarkował coś w rodzaju ukłonu.

– Długo już tutaj? – spytał Holt.

– Pół roku.

Holt wyjął papierosy. Zapalili. – Coś ty przed chwilą robił? – zapytał Gomulka. – Próbę przewodów. Wiecznie to samo świństwo. Trzy razy dziennie, rano, w południe i wieczorem.

– A poza tym? – spytał Holt. – Co robicie poza tym?

– Tu się nic nie dzieje – powiedział Berger. – Cisza i spokój. Przed południem szkolenie, po południu służba.

– A strzelanie? Czy strzelacie czasami?

– Strzelanie? Tu się najwyżej zabłąka czasem jakiś samolot rozpoznawczy. Strzelaliśmy tylko podczas szkolenia, do rękawa.

– Marne widoki – powiedział Holt. Ale Berger skrzywił na to usta. – Będziecie mieli jeszcze tego po dziurki w nosie – rzekł. – Nie zostaniecie przecież tutaj!

Holt wymienił z Gomulką spojrzenie. – No to powiedz, dokąd pójdziemy?

– Tu będą was szkolić, bo w tej okolicy jest spokojnie – odparł Berger. – Jesteście baterią 107/III, a my 329/XII, nie macie z nami nic wspólnego. Wasza podgrupa znajduje się gdzie indziej.

– Gdzie? – spytali Holt i Gomulka jednocześnie. – Dotychczas była w Hamburgu. Tam właśnie zbombardowano waszą baterię. Jedenastu zabitych, szesnastu ciężko rannych.

Zabici? Ciężko ranni? Holt spytał: – Może to tylko plotki?

– Są tu przecież ludzie, którzy będą was szkolić, ogniomistrz i trzech bombardierów. Zapytaj ich! – Holt usiłował się pocieszać. – No cóż, przyszła kolej na Hamburg. Ale na pewno nic nadzwyczajnego się tam nie działo.

– Właśnie, właśnie – powiedział Berger, zaciągając się papierosem, i spojrzał na Holta szyderczo. – Dlatego też uzupełnia się baterie i przenosi je do Zagłębia Ruhry. – Holt spostrzegł, że ręka, w której trzyma papierosa, zaczyna drżeć. – Tam się dopiero dzieje – mówił Berger. –

Kolonia i Essen przeżywają pierwsze nocne naloty... tysiące bombowców naraz... A więc to spokojne życie tutaj jest jednak coś warte – twierdził Berger dalej, ale Holt szybko powiedział: –

Strach ma wielkie oczy! – i: – Poczekajmy jeszcze trochę – i: – Kto wie, co jeszcze będzie! –

Berger uśmiechnął się. Gomulka zapytał: – Jak bateria mogła ponieść takie straty?

– Jak? Spróbuj wytrzymać taki nalot dywanowy... Potem możesz już tylko szukać swoich kosteczek!

– Nocą? Czy to był jakiś głupi przypadek?

– Przypadek?! – wykrzyknął Berger. – Już oni wiedzieli, w co celują! Czy myślisz, że oni tam na górze są ślepi? Jak takie szpryce strzelają, to widać je nawet spod księżyca! – Rozdeptał

niedopałek papierosa. – Zaczekaj jeszcze chwilkę – powiedział Holt. – Czy wszyscy będziemy obsługiwać działa, czy też niektórzy z nas zostaną przydzieleni do łączności?

– Jak popadnie – powiedział Berger. – Do radiopelengatorów, do przyrzędu centralnego, dalmierzy, do służby obserwacyjno-meldunkowej, sygnalizacji, telefonów... najsilniejsi pójną do obsługi dział, najlepsi matematycy do sekcji pomiarowej, tak was poprzydzielają, jak im to będzie potrzebne. Wszędzie to samo świństwo. Ja tam wołę działa. – Wskazał na warowne wzniesienie pośrodku stanowiska ogniowego. – Na SD2 pęta się wiecznie dowódca, i jeżeli coś nie gra, to aplikuje zaraz żabkę. Tam widzi się trochę więcej, ale przy działach jest się przynajmniej między swymi. Cisza, spokój, oczywiście jak działonowy jest swój chłop.

Zapadła noc. Jakiś samolot z kolorowymi światłami pozycyjnymi przeleciał z szumem nad nimi. Berger pożegnał się pod barakami przy stadionie. Holt i Gomulka poszli przed siebie drogą.

W ciemnościach stał nieruchomo Gottesknecht. Z głową zadartą w górę śledził samolot, który krążył nad miastem. Musieli obok niego przejść. – Chodźcie no tutaj!

– Oberwiemy za to „dostatecznie” z minusem! – szepnął Gomulka... – Na rozkaz, panie ogniomistrzu!

– Mały spacerek wieczorny, co?

– Chcieliśmy zbadać sytuację, panie ogniomistrzu!

– No i dowiedzieliście się czegoś? W sprawie... przydziału i tak dalej?

– Tak jest, panie ogniomistrzu! – Po co kłamać? pomyślał Holt.

– Opowiadajcie! Ciekaw jestem, czegoście się nasłuchali.

– O Hamburgu, panie ogniomistrzu – odparł Holt – że tam podobno... był koniec świata...

I o Zagłębiu Ruhry.

– No toście rzeczywiście wszystko wyniuchali! A w ogóle z tym końcem świata to dobrze powiedziane... Was już przecież znam – zwrócił się do Holta. – Nazywacie się Holt, a wy...

czekajcie... wasz ojciec jest uczonym w prawie, to sobie zapamiętałem, ale wasze nazwisko...

– Junak obrony przeciwlotniczej Gomulka, panie ogniomistrzu! – wrzasnął Gomulka.

– Dlaczego tak krzyczycie? Jesteście chorzy? Kto to krzyczy w taki cichy wieczór? –

Gottesknecht wyjął papierosa, i Holt po krótkim wahaniu podał mu ogień.

– Posłuchajcie – powiedział Gottesknecht. – Dam wam dobrą radę. Uczcie się dostrzegać różnice, w pruskim wojsku to najważniejsze! Przed zebraniem w szeregu żołnierzem i u mnie musi iść wszystko piorunem, na służbie jest to konieczne, bo w przeciwnym razie jednostka wojskowa wyglądałaby jak banda Papuasów. – Holt i Gomulka roześmiali się. – Widzicie! Ale wieczorem, kiedy rozmawiam z wami prywatnie, i nie widzi tego akurat żaden generał, pokażcie, że macie dobre maniery, dobrą kindersztubę, bon ton, no, wiecie już.

– Postaramy się o tym pamiętać, panie ogniomistrzu! – powiedział Holt.

– Doskonale! Dam wam teraz piątkę, za to, że jesteście takie zmyślne chłopaki! –

Gottesknecht wyciągnął notes. Ale wtem stało się coś dziwnego, i Holt patrzył na to ze zdumieniem. Gottesknecht ważył przez chwilę z namysłem notes w ręce, a potem powoli wsadził go z powrotem pomiędzy guziki munduru i zapatrzył się przed siebie. Patrząc nieruchomym wzrokiem gdzieś w próżnię poruszył ramionami, jakby mundur na nim był za ciasny, poruszył głową, jakby uciskał go kołnierzyk, i na jego twarzy zaszła przedziwna zmiana: zmienił mu się wyraz twarzy, wygląd, ba, nawet głos, jakby Gottesknecht zrzucił nagle jakąś maskę. Podszedł do nich bardzo blisko, już teraz wcale nie młody, lecz bardzo zmęczony człowiek, z przestrawieniem na twarzy i głęboką troską w oczach.

– Tego, czegoście się dowiedzieli – powiedział cicho – nie wolno wam wiedzieć.

Przyrzeknijcie mi: nikomu o tym ani słowa! Jak dojdą was jakieś słuchy... występujcie ostro przeciwko nim. Musicie to zrozumieć. Zabronię ludziom z innych baterii z wami rozmawiać.

Jesteście na to za młodzi. Nie może dojść do tego, żeby osłabiono w was ducha, zanim się to wszystko zacznie. Zrozumieliście mnie?

– Nie powiemy nic... Mur beton! Może pan na nas polegać!

– W porządku – powiedział Gottesknecht. – Idźcie teraz prosto do łóżka. Czekają was jeszcze ciężkie czasy. Mam z was zrobić wojsko tak prędko, jak tylko się da. Tommy nie czeka.

Zrzuca bomby co noc. Bateria ma być możliwie jak najszybciej zdolna do walki. Oszczędzajcie siły, będą wam jeszcze bardzo potrzebne. Dobrej nocy... Macie jeszcze coś na sercu, chcecie może czegoś?

– Ja nie wiem, czy nam wolno o to prosić... Chcielibyśmy obaj dostać się do obsługi dział!

– Zrobione, zgadzam się! – Gottesknecht prawie natychmiast się oddalił; szedł powoli, z rękami założonymi do tyłu, z głową opuszczoną na piersi.

Holt odprowadzał go wzrokiem. Naokoło była nieprzenikniona ciemność. Holt usłyszał głos Uty: To wszystko przecież na próżno. Mróz mu przeszedł po krzyżu.

Holt stał już ubrany na dworze. Lubił tę ranną godzinę, ten krótki odcinek czasu między bladym świtem a nastaniem dnia, gdy zaczynały się odzywać pierwsze drozdy i na trawach skrzyła się rosa. Myślał o Ucie.

Wczoraj wieczorem chciał napisać do niej list, ale zwałił się na swój siennik śmiertelnie zmęczony. Obudziły go pierwsze przebłyski świtu. Dziesięć przysiadów, jak zwykle, potem umył się na dworze pod kranem, ubrał się i potrząsnął Gomulkę i Wolzowa za ramię. Właśnie gdy odezwał się dzwonek w baraku, Gomulka wyszedł do Holta na dwór. – Wspaniale, co, tak wczesnym rankiem? W izbie biją się teraz o miednice!

Holt gwizdał piosenkę: „A świt poranny – nasza pora” i podpowiadał sobie w duchu tekst.

Nagle umilkł. – Dlaczego nie gwizdziesz dalej? – spytał Gomulka i wyrecytował dalsze wiersze piosenki: – „...Głód nowych ziem, i głód ten w bój nas porywa”... Właściwie od przedwczoraj nie słyszałem ani jednego komunikatu wehrmachtu...

– Rosjanie odbili całe Zagłębie Donieckie.

– Sycylia też jest nieodwołalnie stracona – mruknął Gomulka.

– To wina tych zdrajców Włochów – powiedział Holt. Gomulka milczał i rył nogą czarną ziemię. Holt czuł się okropnie, i jego podły nastrój jeszcze bardziej się wzmógł, gdy Gomulka rzekł: – Jeżeli się pomyśli o tej... kapitulacji Włoch, to... ja nie wiem, ale to chyba zły znak.

– Trzeba mieć też brać w skórę – odparł Holt. – Führer powiedział, że bez Włoch jesteśmy silniejsi. – Gomulka, zamyślony, kiwnął w milczeniu głową.

Holt pomyślał sobie: Nie mogę się poddawać tym pesymistycznym nastrojom, muszę się wziąć w garść.

O godzinie siódmej wsadził głowę przez drzwi jakiś bombardier. – Wychodzić, ino ździebko prędzej, o wiela mogę prosić! – Kiedy byli już na dworze, wrzasnął: – W dwuszeregu zbiórka, wedle zwrostu, Turki zatracone! Jezdem bombardier Schmiedling i wypraszam se, żebyście mnie, instruktora, nazywali panem, kto... co tu je do śmichu? Nie gapcie się tak jak ciele na malowane wrota, wy, wy, trzeci z brzegu w drugim szeregu!

– Ja się nie śmiałem! – odkrzyknął Nadler urażony. Schmiedling wrzasnął: – Ja se wypraszam! Tu je desceplina! – To słowo sprawiało mu najwyraźniej pewne trudności. –

Uwaga! Będę tera czytał nazwiska tych, co tu mają być, i jak przeczytam takie nazwisko, to ten, którego nazwisko wyczytam, zawoła „jezdem”, rozumiano?

– Tak jest! – wrzasnął Holt razem z innymi. Bombardier przeczytał wszystkie nazwiska, poczynając od Eberta, a na Zemtzkim kończąc. – Tak! Nic nie brakuje i wszystko je w porządku.

Tera najpierw dostaniecie mundury.

W magazynie jakiś kapral, właśnie w złym humorze, zmierzył Holta pobieżnym spojrzeniem i rzucił mu trzy pary długich, szarych kalesonów, podkoszulki, bieliznę z szorstkiego, zgrzebnego płótna, parę spodenek gimnastycznych i trzy pary wełnianych skarpet. – Rozmiar butów? – i już frunęła ku niemu para wysokich, czarnych sznurowanych trzewików i para brezentowych spinaczy.

– Wynocha! – W następnym pomieszczeniu dano mu drelich, szaroniebieski mundur bez odznak i naramienników, szaroniebieski dwurzędowy płaszcz, czapkę polową, hełm, pas ze sprzączką, menażkę, maselniczkę z żółtego plastyku i komplet bielizny pościelowej w niebieską kratkę. – Wychodzić! Na co jeszcze czekacie?

Na dworze Wolzow zaczął pyskować: – A gdzie mundur wyjściowy? – Schmiedling z miejsca go osadził: – Myślicie, że dostaniecie przepustkę, tera podczas jak jeździecie na przeszkoleniu?! – Miał zwyczaj kończyć czasem zdanie inaczej, niż je zaczął. – Na co jeszcze czekacie? – Kiedy odchodzili, zawołał za nimi: – Zafasujcie sobie drelich, musi mi być noszony na ćwiczeniach, o wiele mogę prosić!

– Ten nie jest taki zły – powiedział Wolzow. – Bombardier w wojsku nic nie znaczy. Więc on myśli, że musi nam pokazać, kim jest.

– Mnie wydaje się całkiem sympatyczny – stwierdził Holt. Nagle znowu zagrzmiało:

„Zbiórka!”

Dwaj pozostali bombardierzy stanęli na prawym skrzydle. Gdy Gottesknecht zjawił się przed barakami, gorliwość Schmiedlinga jeszcze się podwoiła, i jego pomarszczona twarz zastygła w napięciu. – Grupa szkolna... baaaczność!.” Naaa praaawo patrz! – Zasalutował i złożył

meldunek. – Dziękuję, wydajcie komendę – „spocznij!” – Gottesknecht zachowywał się z godnością generała. – W tym pamiętnym momencie rozpoczyna się wasze szkolenie. Długo trwać nie powinno, cztery, sześć tygodni najwyżej. Zajęcia będą bardzo wyczerpujące, od siódmej rano do ósmej wieczorem, z jednogodzinną przerwą na obiad. Godzin snu od dziesiątej do szóstej należy surowo przestrzegać, w przeciwnym razie pokażę wam, gdzie raki zimują.

Hazardowa gra w skata i tym podobne rzeczy są zabronione, czyście mnie zrozumieli?... Prawda, wy jeszcze tego nie wiecie... Kiedy mówię „zrozumiano”, to to jest tylko takie gadanie, ostatecznie wolno mi mieć swoje powiedzonka, Ale jak mówię: „Czyście mnie zrozumieli?”, to oczekuję odpowiedzi! Czyście mnie zrozumieli?

– Tak jest, panie ogniomistrzu!

– No więc! Dwa razy w tygodniu trzy godziny nocnych ćwiczeń. Wasze szkolenie polegać będzie wyłącznie na przyswajaniu sobie umiejętności obchodzenia się z działem i przyrządami, a więc na przyswajaniu sobie tego wszystkiego, co jest niezbędne do osiągnięcia gotowości bojowej. Poza tym będę musiał wam wbić do głowy trochę teorii z zakresu strzelania artylerii przeciwlotniczej,

będziecie mieli więc okazję pokazać, że jesteście inteligentnymi ludźmi!

Z resztą, to znaczy z tym wszystkim, co dotyczy różnicy między przełożonym a zwykłym śmiertelnikiem, obrony przeciwgazowej, obrony przed szpiegostwem i tym podobnych drobiazgów, załatwimy się raz dwa. Dziś i jutro będziecie mieli dwie godziny musztry, to powinno wystarczyć; jeżeli po tym nie będziecie jeszcze umieli porządnie równać w szeregu, to nadgonimy to w niedzielę po południu. Trochę ruchu dobrze wam zrobi. Wy, tak, wy, ten grubasek ze świńskimi oczkami, jak się nazywacie?

– Junak obrony przeciwlotniczej Vetter, panie ogniomistrzu!

– Świetnie! – zawołał Gottesknecht. – Wspaniały, wprost nieoceniony! Tłusty jak świnka z trzody Epikura i nazywa się Vetter* [*Gra słów wynikająca ze zbieżności fonetycznej za słowem fetter – tłustszy!]. Za to należy się „bardzo dobrze”! – Wyjął notes i notując mówił: –

Miejmy nadzieję, że więcej nie utyjecie, Vetter, bo nie mielibyśmy tu z was żadnego pożytku! –

Wybuch śmiechu skwitował kiwnięciem głowy. – A teraz ciąg dalszy: Jeżeli będziecie chcieli pisać do domu, to wystarczy podać nadawcę, nazwę miejscowości, w której jesteście, i słowo Stadion, znaczka nie potrzebujecie naklejać, bo to pójdzie poczta polową. Nie pisać nic na temat służby. – mam prawo otwierać listy i będę raz po raz sprawdzał. Suchy prowiant będziecie zabierać z kuchni wieczorem po zajęciach. Obiad jadać będziecie w kantynie, – Skinął na bombardierów, żeby się do niego zbliżyli. – Potrzeba nam osiemnastu ludzi do dział, reszta do plutonu dowodzenia.

W szeregach zrobiło się poruszenie. Schmiedling wrzasnął: – Będziecie mi tu zara...!

– Schmiedling – przerwał mu Gottesknecht, i choć mówił przytłumionym głosem, chłopcy usłyszeli, co powiedział. – Macie przed sobą nie rekrutów, tylko junaków, jak często mam wam to powtarzać? – Holt trącił Gomulkę, i Gomulka skinął niepostrzeżenie głową.

Ogniomistrz wybrał z szeregów najmniejszych i najsłabszych (Zemtzi znalazł się też między nimi) i spojrzał na zegarek. – Do dwunastej działocznicy i praca na przyrządach, po obiedzie dwie godziny musztry, to dobrze robi na trawienie. – Skinął na chłopców, którzy zostali wyznaczeni do przyrządu centralnego, i razem z nimi oraz z jednym z bombardierów oddalił się.

Wolzow, Holt, Gomulka i Vetter uważali, żeby ich nie rozdzielono. Rutscher, Weber, Branzner, Kirsch i Kattner przyłączyli się do nich. Dwoma grupami po dziewięciu ludzi pomaszrowali w kierunku stanowiska ogniowego.

Dziewięciu ludzi i jeden bombardier stanowili obsługę działa. Na stanowisku działa Schmiedling ustawił ich w szeregu, kazał odkryć dział i zaczął.

Kim on może być z zawodu w cywilu? zastanawiał się Holt. Tacy ludzie jak Schmiedling byli mu zupełnie obcy. Może ma gospodarstwo w górach, tam taki chłop nie potrzebuje przy pługu i sianie nic mówić, a teraz musi prowadzić wykłady... Wolałby pewnie zostać na swojej gospodarce, traci przecież zupełnie głowę ze zdenerwowania. Ale jest wojna, musi robić, co każą.

Schmiedling kazał otworzyć bunkier z amunicją. Skwapliwie weszli za nim do środka.

Wszystko tu było nowe, wszystko interesujące. Działo, prawdziwe działo, to było przecież coś całkiem innego niż szkoła ze swoimi nieregularnymi czasownikami i matematycznymi formułkami!

– Czy to jest ostra amunicja? – zapytał Vetter, patrząc z szacunkiem na wielkie jak dłoń, błyszczące dna łusek, które wyglądały z koszy. Schmiedling nie odpowiedział. Pokazywał im schron dla obsługi, pokazywał drewniane tarcze z cyframi od jeden do dwanaście, które tu na stanowisku działa stały wszędzie dokoła i wytyczały kierunki, dwunastka – północ, szóstka –

południe, trójka – wschód, dziewiątka – zachód. Jeżeli zabrzmiał komenda: „Alarm lotniczy, samolot dziewięć”, to lufę trzeba natychmiast wycelować w kierunku dziewiątki. Schmiedling podrapał się po głowie i zarządził pięciominutową przerwę, którą spędzili w schronie dla obsługi.

Schron, do którego wszedł Holt, pochylony, przez wąskie wejście, zajmował całą szerokość stanowiska ogniowego działa. Wzdłuż ścian stały drewniane ławki. Holtowi rzuciła się od razu w oczy apteczka podręczna, zawieszona na żelaznych hakach hełmofony dla celowniczych i działonowego, skrzynka z narzędziami i szmatami do czyszczenia działa, a w kącie ciężki stalowy młot. Wolzow, Holt i Gomulka palili papierosy.– Trzeba temu Schmiedlingowi ułatwić życie – powiedział Holt – to dobry chłop...

– Ale jak nie będzie gadał trochę składniej – powiedział Wolzow – to ja poprowadzę dalej wykład. – Schmiedling wsadził głowę do bunkra i zawołał: – Wam palić nie wolno! – Holt podsunął mu pudełko z papierosami; rzeczywiście, Schmiedling poczęstował się...

A potem zaczął się męczyć dalej: – Tera będzie to okropnie trudne. To je działo przeciwlotnicze, nieprawdaż. Ale to działo nie je działem, rozumiecie? – Wolzow rozwił ten węzeł gordyjski i Schmiedling był zachwycony. – Jak wy się tak dobrze na tym znacie, to może sami to objaśnicie, a ja se zaoszczędzę zbytniego gadania! – Działo to pojęcie ogólne ciężkiej broni ogniowej, działa w ścisłym tego słowa znaczeniu są ciężką bronią artyleryjską, przeznaczoną do prowadzenia ognia pośredniego przy dużych kątach podniesienia – tak mniej więcej zaczął swój wykład Wolzow. – To tu jest armata przystosowaną do prowadzenia ognia torami płaskimi, ma długą lufę i wielką prędkość początkową pocisku. Tylko idiota więc może wywnioskować z dużych kątów podniesienia, że działa przeciwlotnicze prowadzą ogień pośredni, bo przecież cel znajduje się w powietrzu!

Schmiedling kiwnął zadowolony głową i dalej ciągnął już sam. Armata ta jest działem przeciwlotniczym kalibru osiemdziesiąt pięć – osiemdziesiąt osiem. Zostało ono zbudowane w latach dwudziestych u Kruppa i było dostarczane Rosji. Dziwne, pomyślał Holt, bolszewicy są naszymi śmiertelnymi wrogami, tak przecież każdy mówi, a Krupp dostarczał im armat?... Miało ono wówczas kaliber 76,2 mm, Rusek jednak zmienił lufę na inną o kalibrze 85 mm i ponieważ lufa ta dla jego łoża była zbyt wielkiego kalibru, zaopatrzone ją w hamulec odrzutu. – Co to je, dowiedcie się potem. – Kiedy w 1941 zdobyto te działa, przerobiono je na normalny kaliber 88

mm. Stąd nazwa „działo przeciwlotnicze 35 88”, przezwane „ruską szprycą”. – Ale jak przyjdzie inspekcja, to trza podać właściwa nazwę!

Na wyjaśnienie tego Schmiedling potrzebował pół godziny. – Jak przyjdzie inspekcja –

mówił – to musicie to umieć na wrywki, nieprawdaż! – Często i z głębokim zafrasowaniem mówił o inspekcji.

Dalszy ciąg wykładu przejął już Wolzow, któremu tempo Schmiedlinga wydawało się za wolne. – Jeżeli powiem coś źle, to możecie mnie poprawić – powiedział. Schmiedling nie miał

prawie co korygować, gdy Wolzow mówił o łożu górnym i dolnym, o lawecie i urządzeniach oraz mechanizmach działa.

– Ale macie główkę! – pochwalił Schmiedling, gdy Wolzow objaśniał sposób przytwierdzenia lawety do ziemi i przeznaczenie urządzenia ustawczego. Wolzow przeszedł do mechanizmu podniesieniowego. Usadowił się na stalowym siedzeniu mechanizmu kierunkowego, który znajdował się na prawej stronie łoża górnego, postawił stopy na podpórkach, uruchomił pokrętło i zaczął się kręcić z armatą w kółko jak na karuzeli. Każdy chciał tego spróbować, ale Schmiedling przegonił ich z powrotem za działa.

Wolzow prowadził – wykład tak, jakby nigdy w życiu nic innego nie robił; objaśniał

opornik, który znajdował się na lufie, objaśniał powrotnik, dzięki któremu lufa wracała po wystrzale na swoje miejsce i które należało napełniać „brązowym olejem wrzecionowym”.

Stanął z lewej strony mechanizmu podniesieniowego, skierował lufę stromo w górę i z powrotem ją opuścił w dół, a potem zaczął wyjaśniać działanie mechanizmu do nastawiania zapalnika. I tak szło dalej. Dla Schmiedlinga musiało to być tempo „niemożliwe”, bo co chwila kazał sobie coś powtarzać.

– Dobra, a wiecie, jak działa hamulec odrzutu? – spytał w końcu. Wolzow odparł: – To przecież całkiem proste. – Nagle na stanowisku działa wyrósł Gottesknecht; licho wie, jak długo już się tak temu przysłuchiwał. Schmiedling wrzasnął: – Baczość! – Gottesknecht skwitował to niedbałym machnięciem ręki. – Więc mówicie, Wolzow, że to jest całkiem proste? No, no, słuchamy zatem! Ale jeżeli okaże się, że się na tym nie znacie, to dostaniecie „niedostatecznie”, Wolzow popatrzył na ogniomistrza zmrużonymi oczyma i z odchyłoną na bok głową. – Panie ogniomistrzu, czy mogę przedtem coś powiedzieć?

– Mówcie, bardzo jestem ciekaw – rzekł Gottesknecht. Wolzow zamrugał oczyma, głowę wysunął po woli do przodu. – Ja się tego nigdy nie uczyłem. Fachowych terminów nie znam.

Jeżeli jest pan sprawiedliwy, to powinien pan zwracać uwagę tylko na to, czy w moim objaśnieniu zgadza się wszystko pod względem merytorycznym.

– Jeżeli jestem sprawiedliwy, to powinienem... – powtórzył Gottesknecht rozmarzony.

A potem rzekł: – Zaczynajcie.

– Hamulec odrzutu – zaczął Wolzow, koncentrując się w sobie i akcentując wyrazy tak, jakby

wygłaszał co najmniej jakiś utwór poetycki – przyśrubowany jest do wylotu lufy i przy wystrzale pocisk przelatuje przez niego. W tym momencie gdy pocisk blokuje sobą wylot lufy, gazy prochowe, napierające na niego z tyłu, w samym dążeniu do rozprężania się...

Teraz się zaklinuje, pomyślał Holt.

– ...zmuszone są uchodzić na zewnątrz przez boczne otwory hamulca. Te otwory wycięte są w hamulcu pod takim kątem, który, jeżeli przyjmiemy za punkt wyjścia kierunek lotu pocisku, rozwiera się do tyłu. To znaczy – mówił Wolzow, już teraz pewny zwycięstwa – gazy prochowe wylatują przez hamulec skosem do tyłu i nadają w ten sposób lufie impuls do przodu, który osłabia częściowo siłę odrzutu.

Schmiedling odetchnął głęboko i z ulgą. Gottesknecht popatrzył na Wolzowa, Wolzow na Gottesknechta.

– Zgadza się co do joty – powiedział Gottesknecht. Wyjął swój notes. – Piątka... Ale wyście rzucili wyzwanie mojemu poczuciu sprawiedliwości, a zatem nie mogę dopuścić do tego, żeby junak kreował mi się tu na podporucznika, aby tylko jak najprędzej zrobić karierę.

Twarz Wolzowa pobladła.

– Będziecie się więc co wieczora u mnie meldować punktualnie o dwudziestej pierwszej do czyszczenia butów. Musicie przyznać, że kara ta jest sprawiedliwa.

Milczenie.

Potem Wolzow: – Panie ogniomistrzu, musi pan przyznać, że nie ma pan prawa wyznaczać mnie za karę do posług osobistych. Proszę o taką karę, która byłaby zgodna z przepisami wojskowymi.

Oj, niedobrze, pomyślał Holt.

– Wolzow – rzekł Gottesknecht – mam ochotę dać wam jeszcze jedną piątkę za tyle odwagi.

Ale to żadna odwaga. To nieznajomość rzeczy! Sami nie wiecie, coście sobie narobili. – I teraz już innym, obojętnym, zwykłym głosem dokończył: – Zameldujecie się u mnie po zajęciach dla otrzymania kary.

– Tak jest, panie ogniomistrzu! Gottesknecht powiedział jeszcze przyjaźnie: – Jedźcie dalej!

– i opuścił stanowisko ogniowe działa. Zaledwie zniknął z pola widzenia, Schmiedling odetchnął

tak głośno, że Holt pomyślał: Dlaczego on się tak boi? Jest instruktorem i nie ma się czego bać.

– Paskudna sprawa, Wolzow, napytaliście sobie biedy!

– Ach, sram... – powiedział Wolzow z lekceważącym machnięciem ręki.

Granaty odłamkowe, szrapnele, zapalnik... zapalnik czasowy, maksymalny czas palenia się ścieżki prochowej trzydzieści sekund... W łuskach proch dwuglikolowy... to była już reszta dzisiejszej dawki.

Potem chłopaki z obsługi dział i przyrządów do kierowania ogniem spotkali się w kantine, byłej gospodzie, czynnej dawniej na stadionie, gdzie starsi junacy z innych baterii siedzieli jeszcze przy obiedzie. Na tacach z nie malowanego drzewa piętrzyły się łupiny od kartofli, a wśród nich leżały niedopałki papierosów i obgryzione kości. Wolzow za jednym zamachem zmiotł te śmiecie ze stołu starszym junakom na kolana. Krzyk protestu zdławił pogrózką: –

Zamknijcie się, bo jak nie, to zobaczycie, Na obiad były kartofle w mundurkach i rzadki sos, w którym pływało parę kawałków mięsa. – Świństwo, paskudne świństwo! – pyskował Vetter.

Zemtzi, Schenke i Grubert, których uczono obsługiwać przyrządy do kierowania ogniem, siedzieli w pobliżu i przerzucali się wzajemnie niezrozumiałymi dla reszty terminami: wysokość punktu wyprzedzenia, podziałka odczytu wstępnego, podziałka odczytu dokładnego. Strugali strasznych waśniaków. Zemtzi opowiadał: – Ja jestem przy dalmierzu... Te przyrządy optyczne powiększają wszystko dwudziestoczerokrotnie!

– Przestań się wygłupiać, kogo to interesuje? – powiedział Wolzow. – Kto uważa, że jest coś niecoś wart, idzie do dział!

Przy sąsiednim stole ciągle jeszcze rozprawiano o „zamachu” we Włoszech, o jakiejś rozmowie telefonicznej Hitlera z Mussolinim, a wreszcie o nowych nalotach. – Essen znowu bombardowane! Sygnalizowali stamtąd o wielkich stratach i zniszczeniach.

Holt mechanicznie opychał się kartoflami. Myśl o zniszczeniach, o Essen i Zagłębiu Ruhry nie opuszczała go ani na chwilę, nawet potem, gdy leżał już na swoim łóżku, a Gomulka siedział

przy stole, pochylony nad papierem listowym. Muszę koniecznie jeszcze dziś wieczorem napisać do Uty, pomyślał. Ale myśl o Ucie nie zagłuszała strachu. Wręcz przeciwnie. Wszystko na próżno... dźwięczało mu bez przerwy w uszach. I... co będzie z Niemcami?

Był rad, kiedy do izby wdarł się głos Schmiedlinga: – Wychodzić na zbiórkę! – Po dwóch godzinach musztry tak długo powtarzano na stanowisku działa tę dzisiejszą porcję mądrości artyleryjskich, że Holt takich słów jak łożo, hamulec odrzutu i zapalnik czasowy nie mógł już po prostu słuchać. To musi tak mocno siedzieć, żeby klapowało nawet przez sen, twierdził

Schmiedling. Musi niezależnie od rozumu i pamięci wejść w krew, powiedział wieczorem również Wolzow. – Rozum może wysiąść, pamięć może cię zawieść, a mimo to musi to wszystko w tobie funkcjonować, niezależnie od woli, automatycznie jak odruch.

Zbierał się właśnie do odejścia, żeby zameldować się u Gottesknechta po karę. Był jednak na tyle przezorny, że zasięgnął przedtem rady u Schmiedlinga. – To je przecie raport! Włóżcie mundur służbowy, a zaś potem hełm! – Wieść o starciu Wolzowa z ogniomistrzem już się zdążyła roznieść po baraku. Nadler przez chwilę przyglądał się w milczeniu, jak Wolzow pucuje pasek i buty na glans, a

potem zaszydził: – Jak Gottesknecht rozkaże, Wolzow będzie skakał na dwóch łapkach! – Vetter rzucił w niego butem. Nadler zaklął siarczyście.

Holt wyciągnął blok z papierem listowym. Ale nie mógł wybrnąć poza nagłówek, a i to było już problemem. Wolzow wrócił spokojny, jak zwykle, ale wewnątrz aż kipiał ze złości, – Trzy miesiące koszarniaka! Taka podła świnia! – Później opowiedział im szczegóły. – Był wprost rozczarowany, bo przyszedłem w przepisowym mundurze. Dał mi piątkę, ten fałszywy pies, za nienaganne ubranie i równocześnie pozbawił mnie na trzy miesiące przepustki na miasto.

Gomulka roześmiał się.

– A potem jeszcze sprawdził, czy ta kara jest rzeczywiście zgodna z przepisami. Takie ścierwo!

Holt znowu został oderwany od listu. – Ja mu bym tam czyścił buty przez czternaście dni i miałbym spokój – powiedział Branzner, chudy, czarnowłosy chłopak z garbatym nosem i latającą grdyką. Gomulka zaś rzekł: – Ja sądzę, że Gottesknecht wcale nie jest taki zły. Jak wreszcie będziemy w akcji...

W akcji! Znowu to cholerne słowo, które wyprowadzało Holta z równowagi. Przyłapał się na tym, jak bardzo tęskni do tamtego małego, bezpiecznego miasteczka, i znowu próbował się włączyć. Na arkuszu papieru ciągle jeszcze nie było nic poza nagłówkiem „Kochana Uto”...

Mówiłem, że chcę iść na wojnę, a teraz opuszcza mnie odwaga!

Napisał w końcu rzeczowe sprawozdanie z pierwszego dnia; pisał oczywiście tylko o tym, o czym – jego zdaniem – pisać mu było wolno.

Rozstanie, czy to rzeczywiście było dopiero wczoraj? Jest już tak daleko poza nim!

Skończyło się, na zawsze. Wszystko inne jest złudzeniem. Jestem prawie o trzy lata młodszy od niej. Ona jest zaręczona. Ale teraz, kiedy pisał, okłamywał samego siebie. To się nie może skończyć! „Nie opuszczaj mnie – pisał. – Może czeka nas jeszcze wiele strasznych rzeczy. Nie zostawiaj mnie samego”.

– Krąg artyleryjski – mówił Schmiedling – ma sześć tysięcy czterysta krysek!

Gomulka i Branzner, w szkole dobrzy matematycy, zapalili się do tego, przeliczali tysięczne na stopnie i w ten sposób dostarczali swoim mózgom, zmęczonym już tym drylem, trochę rozrywki. Jeden gadał przez drugiego.

– Mechanizm podniesieniowy nastawiamy na jakiś stopień – pouczał ich Schmiedling –

a każdy stopień ma cztery kryski!

Na podziałce mechanizmu do nastawiania zapalnika nazywa się to „stopniem od krzyża”; trzydzieści sekund, w ciągu których pali się ścieżka prochowa, od powiada trzystu sześćdziesięciu stopniom, które Gomulka usiłował zaraz przeliczyć na sekundy i tor lotu pocisku. – Szkoda... do tego potrzebny

jest pewnie rachunek różniczkowy!

Schmiedling jeszcze nigdy w życiu nie miał takuczonych rekrutów. – Pocisk... o wielką się rozchodzi o prędkość początkową, to on ma największą! Nazywa się to inaczej V_0 ! Ta szpryca nadaje pociskom V_0 osiemset sześćdziesiąt...

– metrów na sekundę – uzupełnił Wolzow.

Schmiedling nie miał zamiaru dłużej znosić takiego rozgardiaszu. Zapędził obsługę do szeregu i kazał powtarzać: krąg mechanizmu kierunkowego, łuk zębatego mechanizmu podniesieniowego, mechanizm nastawczy zapalnika. Upłynęło wiele dni, zanim nauczyli się obsługiwać dział.

Chłopcy ciągle rozmawiali ze sobą o tej formie drylu. Wolzow mówił: – Zdarzają się sytuacje, że myślenie zawodzi. Dlatego wszystko musi się zautomatyzować, wejść w krew.

Metody szkolenia są pomyślane dla wszelkiej możliwej zbieraniny, dla śmieciarzy, zamiataaczy ulic... A ci są tacy durni, że nigdy by tego sami z siebie nie skapowali, dlatego to wałkowanie jednego i tego samego sto pięćdziesiąt razy, że aż rzygać się chce. – I Wolzow powoływał się przy tym na pułkownikowski autorytet. – Mój ojciec zawsze mówił, że regulaminy wojskowe są tak pomyślane, aby nawet największy bałwan mógł je zrozumieć.

Ci, których uczono obsługiwać przyrządy do kierowania ogniem, udawali ważniaków. –

Z nami ogniomistrz przerabia przez cały dzień teorię strzelania z dział przeciwlotniczych, to jest niezwykle interesujące!

Gomulka, stojąc kiedyś sam na sam z Holtem przed wejściem do baraku, powiedział: –

Musimy pamiętać i o tej odwrotnej stronie medalu. Dryl osładza nam przecież to, co nas czeka, jak już będziemy w akcji.

– Masz rację. Kiedy na początku zdarzało mi się czasem pomyśleć o akcji, było mi jakoś dziwnie... Dziś, kiedy Schmiedling pytał już po raz pięćdziesiąty chyba, jaką nastawę ma kierunek siedem, pomyślałem sobie: Choćby w tym Zagłębiu Ruhry miało być sto razy gorzej...

w każdym razie skończy się raz na zawsze ten tępy idiotyzm tutaj!

– To jest właśnie to, o co im chodzi. – Gomulka pokiwał głową. – Tu jest naprawdę spokojnie – ciągnął dalej. – Dziwię się wprost, że tak przyzwoicie się tu z nami obchodzą.

Rekruci w koszarach tak dostają w kość, że front wydaje im się rajem... Kto zaś raz tam był, ten woli już tu dostawać w tyłek – dodał. Holt roześmiał się: – Nastąpi jeszcze wielki zwrot!

– Pytanie tylko: jaki?

– Ależ Sepp! – powiedział Holt z wyrzutem. – Tak nie wolno mówić!

– Mówię tak przecież tylko do ciebie – odparł Gomulka. – Czasami myślę sobie, czy my wszyscy... nie zamykamy przypadkiem oczu na to, czym jest ta wojna.

– Takie rozmowy – powiedział Holt – ...i takie myśli... osłabiają ducha, Sepp!

Kanonierzy nazywają się k1, k2... aż do k9 i podlegają rozkazom działonowego. Każdy ma swoje miejsce i swoje obowiązki. Działonowy pozostaje w stałej łączności telefonicznej ze stanowiskiem dowodzenia, skąd otrzymuje komendy, z komendą otwarcia ognia włącznie.

Dzwonek sygnału ogniowego jest dla k3, ładowniczego, sygnałem do ładowania i otwarcia ognia. – To się nie zwie strzałem, ino serią – wyjaśniał Schmiedling i dziesięć razy powtarzał, że działonowemu trzeba być absolutnie i bezwzględnie posłusznym! Czasami się zdarza, że funkcję działonowego przejmuje zwykły junak, i wówczas trzeba mu być tak samo posłusznym.

Cała dziewiątka musiała się najpierw nauczyć swych obowiązków, każdy kanonier musiał

umieć swoją formułkę na pamięć. K1 nazywał się podniesieniowym, k2 kierunkowym, k6

nastawniczym, k3 ładowniczym i był zaraz po działonowym najważniejszą osobą. K4, k5, k.7, k8 i k9 nazywali się amunicyjnymi i mieli o wiele mniejsze znaczenie. To wszystko, powtarzał

bez przerwy Schmiedling, musi być tak opanowane, żeby klapowało nawet we śnie.

– Wiesz co? – powiedział któregoś wieczora Wolzow do Holta. – Mam pomysł, jak to zrobić, „żeby klapowało nawet we śnie”. Musimy to wypróbować! – Gomulka, który obudził się w nocy o wpół do drugiej, zbudził Holta, i obaj razem wyciągnęli Wolzowa z łóżka. – Kogo bierzemy na początek?

– Tego barana Branznera – mruknął Wolzow.

Cała trójka obstała łóżko Branznera. Zabłysła kieszonkowa latarka Wolzowa. Koszule nocne, okropnie sprane i połatane, sięgały im tylko do kolan. Holt spojrział na Wolzowa, który miał na sobie koszulę o wiele za ciasną. Zdawała się wprost: pękać na jego potężnej klatce piersiowej. Spod koszuli wystawały mu obrośnięte najeżonym włosiem nogi.

– Jazda! – Gomulka i Holt złapali Branznera z obu stron za ramiona i posadzili go na posłaniu, Wolzow zaś zaświecił mu latarką w twarz i wrzasnął: – Jazda! K2!

– K2 nastawia ciągle... ciągle... – wymamrotał Branzner przerażony i nieprzytomny ze snu, ale potem przyszedł do siebie i teraz poszło mu jak z płatka: – K2 nastawia ciągle na bieżąco krąg mechanizmu kierunkowego według wartości przekazywanych mu przez przyrząd centralny i obserwuje strzałkę wskaźnikową! – Tak, to byłoby już wszystko, i Branzner dodał: – Ludzie, czyście zwariowali... tak w środku nocy?!

– Gębę na kłódkę! K6, jazda! – Ale Branzner tym razem im się nie dal. Rozejrzeli się wobec tego za jakąś inną ofiarą, której wrzask Wolzowa jeszcze nie obudził. – Rutschera, prędko, on się tak fajno jąka! – I powtórzyła się ta sama zabawa, już przy udziale tych, którzy się pobudzili i którzy mieli cholerną satysfakcję, że to nie ich spotkało. Rutscher, zaspany, zwiśł im na sekundę w ramionach, ale

Wolzow dał mu kuksańca w żebro i wrzasnął: – Jazda, ty patałachu, k6, no już!

– K6... nastawia... zapalnik na czas palenia się ścieżki prochowej według danych podawanych przez przy-przy-przyrząd centralny i uruchamia nastawnicę! – wyjąkał Rutscher.

– Rzeczywiście! – wykrzyknął Wolzow. – Klapuje nawet we śnie!

Nagle drzwi się otworzyły z impetem, zabłyśło światło, i w progu stanął Gottesknecht, w czerwonym płaszczu kąpielowym, z gołą głową, w rannych pantoflach. – Aaa, mam was! –

powiedział rozniewany. – Czy nie przykazywałem wam wyraźnie, że należy surowo przestrzegać ciszy w czasie nocnego spoczynku? A wy co? Awanturujecie się o wpół do drugiej w nocy! – Gomulka pierwszy się zreflektował i chciał złożyć meldunek, ale Gottesknecht powiedział: – Nonsens meldować mi w nocnej koszuli, następnym razem złożycie mi jeszcze meldunek w latrynie! – Ktoś się roześmiał, ale Gottesknecht krzyknął: – Spokój! – I zwrócił się do Holta: – Co się tu dzieje? Tylko uczciwie: kogo chcieliście tu nalać i dlaczego?

– Panie ogniomistrzu – odparł Holt – nikogo nie chcieliśmy nalać! Myśmy chcieli tylko sprawdzić, czy kanonierzy znają swoje obowiązki na pamięć i potrafią wyrecytować je przez sen, tak jak wymaga tego bombardier Schmiedling. – Gottesknecht popatrzył przez chwilę, na Holta i twarz mu się rozchmurzyła. – No i? Wszystko gra?

– Tak jest, panie ogniomistrzu. Branzner wyrecytował przez sen obowiązki k2, a Rutscher bez chwili namysłu k6.

– Macie poczucie humoru! – powiedział Gottesknecht. – Jazda do łóżek! – Jego spojrzenie zatrzymało się na Wolzowie. – Chodźcie no tutaj! Holt i Gomulka włożyli przynajmniej buty, więc mogą ich posłać do łóżka, ale wy bosy na tej brudnej podłodze...

– Panie ogniomistrzu – powiedział Wolzow – pan i tak by się mnie czepiał. – Gottesknecht, z pionową fałdą na czole, krzyknął: – Wolzow, teraz mam już tego dość! – Ujął się pod boki, jego głos był znowu zupełnie spokojny: – Kazałbym wam umyć nogi i posłałbym was do łóżka.

Ale teraz... kładźcie na siebie drelich i jazda ze mną, ale migiem, teraz dopiero zobaczycie, jak to jest, kiedy ja się kogoś „czepiam”!

Holt i Gomulka wśliznęli się posłusznie do łóżek. Gottesknecht zgasił światło. Wolzow ubierał się po ciemku, mruczając coś pod nosem. Holt już zasypiał, gdy usłyszał, jak wraca, klęcząc na czymś, i kładzie się do łóżka.

Na drugi dzień wiedział już o tym także Schmiedling. – Jazem jeszcze nie widział, żeby nasz ogniomistrz brał kogo do galopu, a już tym bardziej po nocy! – Okazywał Wolzowowi prawdziwe współczucie.

W przerwach między zajęciami rozmawiał z chłopcami coraz bardziej szczerze i opowiadał im o sobie. Tak więc Holt dowiedział się, że Schmiedling był robotnikiem w jakimś wielkim majątku

i w domu „czekała na niego żona z czworgiem dzieci. Był jedynym żołnierzem w baterii, który przeszedł wyszkolenie bojowe, a więc już od dawna dojrzałym dla frontu.

Twierdził, że do tej pory uchował się w kraju tylko dzięki temu, że major, „co je naszym dowódcą”, jest mu życzliwy. To się może każdej chwili zmienić, bo sympatię majora łatwo stracić. Dlatego jego działon musi być najlepszy, nie może nigdy „podpaść” przy inspekcji i musi mieć najlepsze wyniki w strzelaniu. Holt słuchał w zamyśleniu tego wszystkiego, co im Schmiedling opowiadał.

– Jak się ktoś temu nie zechce podporządkować – powiedział w końcu – to będzie miał

z nami do czynienia! – Schmiedling kiwnął mu z wdzięcznością głową. – Kraj to zawsze kraj, nawet w Zagłębiu Ruhry.

Holt i Gomulka wymienili ze sobą szybkie spojrzenie. Dotychczas chodziły pogłoski o przydziale do Berlina, ale Holt i Gomulka dementowali je. Teraz Schmiedling ze wszystkim się wygadał. Podziałało to też odpowiednio. Chłopcy zmartwieli i patrzyli przerażeni przed siebie. – Diabli nadali, że tyż mi się to wypsło. Tego nie wolno wam wcale wiedzieć!

W czasie przerwy obiadowej wiedzieli już wszyscy.

Holt czekał niecierpliwie na list od Uty. Jestem jej obojętny, mówił sobie, ona już na pewno o mnie wcale nie myśli. Gdy podczas rozdawania poczty wywołano wreszcie jego nazwisko, otrzymał tylko małą paczuszkę od matki. Przysłała mu upragnione papierosy. Dlaczego Uta nie pisze?

Do matki nie chciał już wracać. Za to myślał teraz więcej niż dawniej o swoim ojcu, którego nie widział już prawie od czterech lat. Słowa Uty: „W każdym razie ten pański ojciec wydaje się być człowiekiem z charakterem” mocno podziałały na niego. Może nie miał wcale powodu wstydzić się swego ojca. Ale przepaść, jaka się między nimi wytworzyła, wcale się od tych myśli nie stawała mniejsza. Ojciec dalej był mu obcy.

W czasie obiadu ogniomistrz znowu rozdawał pocztę. Ostatni list był dla Holta. Nie miał wprost odwagi otworzyć koperty. W izbie położył się na łóżku i zaczął czytać. W małym miasteczku życie szło dalej swoim torem, jak gdyby chłopcy z siódmej klasy nigdy nie istnieli.

Słowa, które Holt przebiegł szybko oczyma, były błyskotliwe i ironiczne jak zawsze. Ale przy końcu stawały się już poważne. „Nie myśl – pisała Uta – że to lato przeszło po mnie bez śladu, ale nie mówmy o tym. Woda pomiędzy nami «królewskimi dziećmi» jest głęboka. Ale jak długo będzie Ci to sprawiało przyjemność, możesz liczyć na pewnego rodzaju przywiązanie z mojej strony; jak Cię znani, będzie to dla Ciebie bodźcem do wspaniałych patriotycznych czynów”.

Usiadł jeszcze tego samego wieczora i odpisał, zakochany i rozegzaltowany.

Od tej pory regularnie wymieniali listy. Na jego zakochanie Uta odpowiadała szyderstwem i ironią. Nigdy nie pisała więcej niż dwie strony, ale też nigdy mniej. Przechowywał troskliwie te listy; krzyżyk nosił stale w kieszeni na piersi.

Któregoś dnia Wolzow oświadczył: – Jedyna konkretna rzecz to ładowanie! – Ładowanie działa ostrą amunicją było junakom zabronione. „To za ciężka robota lo takiego chłopoka”, powiedział Schmiedling. Każdy nabój ważył jakieś trzydzieści funtów i musiał być również przy siedemdziesięciu – albo i osiemdziesięciostopniowym kącie podniesienia załadowany i wystrzelony; Ale Wolzow przeprowadził swoje, tak że w końcu wolno mu było włożyć na prawą rękę ogromną, uszytą z grubej na palec skóry rękawicę ładowniczego i zademonstrować to, co Holt już po raz setny, posługując się pięknie spreparowaną formułą, recytował na stanowisku działa: – K3 wraz z odezwaniem się sygnału ogniowego chwytą przygotowany na mechanizmie do nastawiania zapalnika nabój prawą ręką za dno łuski, a lewą w punkcie ciężkości i wprowadza go prawą dłonią do komory naboju. Przy równoczesnym skręceniu w lewo górnej połowy tułowia odciąga prawą ręką dźwignię mechanizmu spustowego.

Od tej pory w czasie działocznów przyrząd centralny podawał działom nastawy, a nad miastem ryczała – jako cel – przestarzała maszyna szkolna typu Kemm.

Wkrótce czuli się już jak doświadczeni, wypróbowani w boju żołnierze artylerii przeciwlotniczej. „My stare wiarusy”, mawiał coraz częściej Wolzow. To, czego nauczyli się przy działach, weszło im

już w krew. Codziennie uczyli się czegoś nowego. Prowadzili stały i ruchomy ogień zaporowy. Prowadzili ogień na małą odległość, do którego używano specjalnej amunicji, to znaczy naboju znaczonego żółtymi pierścieniami. Często w trakcie ćwiczeń bojowych musieli rozbierać naprędcę trzon zamkowy, ponieważ złamał się rzekomo grot igliczny, co się w praktyce prawie wcale nie zdarzało; ale Schmiedling wołał łamiące się groty igliczne, bo to był jeden z ulubionych numerów popisowych podczas inspekcji... Stał przy tym z zegarkiem w rękę i kontrolował czas. Takim samym ulubionym numerem były niewypały, które trzeba było wynieść ze stanowiska na odległość stu metrów, co obsługa musiała przeczekać w ukryciu...

Czyszczenie dział i amunicji było jeszcze całkiem znośne. Schmiedling siedział przy tym i opowiadał. Pokazywał fotografie swojej żony i swoich czworga dzieci. Jakie „krzepkie” chłopaki, chwalono zwykle. To określenie pochodziło od samego Schmiedlinga. Schmiedling pokazał zdjęcie żony Koltowi, małą, zniszczoną od wielokrotnego pokazywania fotografię. –

Obejrzyjcie se, okrutnie krzepka kobita, drugiej takiej nie znajdziecie! – Dlaczego on tak podkreśla, że ona jest krzepka? pomyślał Holt. U kobiety to przecież wcale nieważne! – Ona była dziewczką folwarczną w tym samym majątku, gdzie ja byłem oborowym... To wielkie szczęście, kiedy kobita tyle potrafi! Można do czegoś dojść! – Powtórzył kilkakrotnie: – Można do czegoś dojść... Te dwa chłopszki tyż już chodzą do roboty, pasą bydło, nieprawdaż.

Holt znowu popatrzył w zamyśleniu na bombardiera.

Ale te godziny przy dziale, kiedy tak się siedziało razem, nacierało naboje „niebieskim smarem lotniczym” i gadało, zdarzały się bardzo rzadko. Zwykle zmęczeni i rozbici padali chłopcy wieczorem na łóżka i po paru godzinach znowu zrywali się na równe nogi, skoro tylko zabrzmiał dzwonek alarmowy na nocne ćwiczenia; Gottesknecht nigdy ich o tych ćwiczeniach nie uprzedzał.

Przy dziale Schmiedling wykazywał niewyczerpaną wprost pomysłowość. „Tego nie potrafiłby sam z siebie wymyślić! – mawiał Gomulka. – To wszystko musi być przewidziane w programie szkolenia”. W trakcie nocnych ćwiczeń Schmiedling potrafił nagle eliminować z akcji radiopelengator: Zakłócenia! „To na wypadek, gdyby ci tam z góry zaczęli zrzucać złotko choinkowe, znaczy się paski staniolu, bo wtedy peleng nie może robić namiarów!” Zarządzał

jakiś nowy rodzaj ognia zaporowego. Rozkaz wówczas brzmiał: „zapora, ognia!”, i ładowniczo wie przy raz podanych nastawach musieli ładować i strzelać, bez przerwy ładować i strzelać... „A teraz amunicja się kończy, przynieście no naboje z magazynu zapasowego, tylko migiem!” Biegali więc po nocy, z ćwiczebnymi nabojami pod pachą, ze stanowiska działa do dalekich bunkrów magazynu zapasowego i z powrotem, całą godzinę tam i z powrotem, aż z przemęczenia ledwo zipali i kolana im się trzęsły. Schmiedling na dobitek wydawał co chwila komendy gwizdkiem, tale że musieli z nabojami pod pachą padać na ziemię – a biada temu, kto dotknął przy tym nabojem ziemi! – bo każdy gwizdek oznaczał jedną bombę.

Podczas takich właśnie ćwiczeń gruby Vetter dorobił się przyzwiska „trup”. Schmiedling nakazał im odeprzeć ogniem z bliska pozorny nalot bombowca nurkującego; przy prowadzeniu takiego ognia kierunkowi muszą celować wzdłuż lufy. („Przy czym pociski padają o kilometr od celu”, wyjaśnił Wolzow.) Wszystko pięknie grało, sto razy już przecież zostało przećwiczone; ale nagle pojawił się

całkiem nisko stary klemm, nadleciał od południa nad stadion, zaterkotał

nad stanowiskiem, i Schmiedling wrzasnął: „Nalot bombowca nurkującego kieronek sześć! Kryj się!” To już też było ze sto razy przećwiczone. Ale dziś Vetter się zgapił. Nie rzucił się pod osłonę wysokiego wału ziemnego, a więc w kierunku, z którego nadlatywał samolot, tylko przez chwilę miotał się niezdecydowany po stanowisku działa, a potem poszukał sobie osłony po przeciwnej, a więc złej stronie, podczas gdy klemm huczał im wszystkim nad głową.

Schmiedling wściekł się. Przepędził ich z powrotem do działa, a Vetterowi krzyknął: „Vetter, będziecie mi tam leżeć czy nie! Jezdziecie zabici! Zabici, słyszycie! Ty głupi trupie, ty głupi...”

Holt powiedział później do Gomulki: „Diabelnie nieprzyjemne przezwisko...” Ale tak już zostało, i nawet Gottesknecht wołał na niego: „Vetter, ty trupie, widocznie jesteście już zmęczeni życiem!”

W ogóle ten Gottesknecht! Wszystko wiedział, wszystko widział i słyszał i zjawiał się zawsze w najmniej pożądanym momencie. W „dniach gazowych”, gdy od rana do wieczora trzeba było ganiać w masce przeciwgazowej, Gottesknecht był po prostu plagą. Dano im zdobywcze maski francuskie, z większym i cięższym pochłaniaczem, który nosiło się w torbie przewieszanej przez ramię i który – był połączony z maską gumowym węzłem. Chłopcy poszli na pewne ułatwienie: odkręcili trochę pochłaniacz, żeby mieć więcej powietrza. Ale nagle ni stąd, ni zowąd zjawiał się Gottesknecht, łapał za torbę, i wlepił „niedostatecznie”.

Podczas tej twardej służby chłopcy ze szczególnym zainteresowaniem śledzili wiadomości o wojnie powietrznej. Dzień i noc przelatywały przez granice bombowce, zwłaszcza w nocy

„samoloty nękające”, choć co się pod tym terminem kryło, nikt właściwie nie miał pojęcia.

Coraz częściej wymieniano „teren nadreńsko-westfalski” jako cel nalotów. – To my –

powiedział Holt do Gomulki. Był już październik. – Słyszałeś? Dzisiejszej nocy znowu bombardowali większą ilość miast, szczególnie Bochum. – Wolzow czytał w gazecie, że nawet bitwa powietrzna, jaka wywiązała się nad Bremą, nie mogła powstrzymać tych ataków.

Holt rozmyślał o swoich krewnych w Bremie. Brat przyrodni jego matki był tam naczelnym dyrektorem; jednej ze stoczni. Jego hamburscy krewni jak dotąd wychodzili z tych nalotów jakoś zdrowi i cali.

W parę dni później gruchnęła wieść o jakiejś zwycięskiej bitwie powietrznej nad Schweinfurtem. – „14 października niemiecka obrona przeciwlotnicza dała znowu dowód swych stale wzrastających sił i pokazała nieprzyjacielskim zespołom bombowców, że ich furii niszczycielskiej kładzie się nareszcie tamę” – czytał Wolzow głośno. Wiadomość ta wywołała optymizm. – „Stwierdzamy z całą trzeźwością, że jest to słup graniczny w rozwoju wojny powietrznej...” – I dalej: – „Piloci zestrzelonych maszyn byli całkowicie zdemoralizowani ogniem naszej artylerii przeciwlotniczej i mówili, że to było piekło I” – Wobec tych wiadomości zbladły komunikaty z frontów. Kogo już dziś interesuje „rozwój walki na wschodzie”? – Sądzę, że zdążymy jeszcze akurat na ten wielki moment zwrotny w wojnie powietrznej – powiedział

Holt. – Żeby tylko skończyło się nareszcie to szkolenie!

Schmiedling straszył ich codziennie, że marny będzie ich los, jeżeli podczas inspekcji wszystko nie wypadnie tak jak należy. Program szkolenia był właściwie już przerobiony, nie czekało ich już nic nowego.

Bateria, na której działach trenowali, miała przez cały ten czas parę alarmów. „Pogotowie bojowe” było alarmem pierwszego stopnia; kiedy zbliżały się bombowce, zarządzano

„pogotowie ogniowe”, ale w ciągu tych pięciu tygodni nie zdarzyło się to jeszcze ani razu.

Alarm dla baterii 329 do tej pory jeszcze chłopców ze 107/III nie dotyczył.

Jednego dnia, gdy siedzieli jak zwykle na szkoleniu w kantynie, Gottesknecht dosiadł swego ulubionego konika, którym była teoria strzelania z dział przeciwlotniczych. Nieco ciężko myślący Hampel zafasował właśnie trzecią z kolei dwójkę, gdy rozległ się dzwonek alarmowy.

Gottesknecht zwinął swoje instrukcje i powiedział: – Wiecie co? Dziś my się też włączymy. –

Zadrżeli z przejęcia.

Bateria, w dzień gotowa do otwarcia ognia tylko z czterech dział, była na noc wzmocniana przez robotników i urzędników z miasta – członków tak zwanej cywilnej obrony przeciwlotniczej, tak że wszystkie sześć dział miało nocą pełne obsługi. Dziś do tych dwóch dział popędzili chłopcy. Gottesknecht poszedł ze swoimi ośmioma ludźmi na stanowisko dowodzenia.

Działon Schmiedlinga był zdenerwowany, ale najbardziej zdenerwowany był sam Schmiedling. – Ino mi nie zróbcie wstydu, proszę was! – Chyba z dziesięć razy zapewniał ich: –

Jak przyjdzie co do czego... Strzylanie nie je takie straszne, wcale nie! – Ponieważ nie dostali jeszcze ochraniaczy słuchu, rozdał im watę.

Na ładowniczego przydzielono im jednego bombardiera od „gryzipiórków”. Wolzow zabrał

mu rękawicę ładowniczego, na co Schmiedling przez mikrofon działonowego powiedział: – Nie bądźcie no tacy cwani! Pierw musiałbym złożyć meldunek o specjalne pozwolenie, żebyście mogli ładować ostrą amunicją. – „Alarm bojowy odwołany!”, wrzasnął ktoś z SD2.

Na drugi dzień podczas apelu porannego Gottesknecht oświadczył: – Mam dla was niespodziankę! Nasz dzisiejszy rozkład zajęć przewiduje cztery godziny działoczynów, zaczynamy punktualnie o dziesiątej ćwiczeniem w strzelaniu do celu. Będzie latał specjalnie dla nas prawdziwy bombowiec; pokażcie nareszcie, czegoście się nauczyli! Nie śmieście się, Holt!

Czego się śmiejecie?

– Panie ogniomistrzu, tym prawdziwym bombowcem będzie znowu ów przedpotopowy klemm, który na pewno zleci nam kiedyś na łeb!

– „Niedostatecznie”! – krzyknął Gottesknecht. – Dziś będzie latał prawdziwy Ju-88, bo to już ostatni raz!

Zaczyna się, pomyślał Holt, już jesteśmy tak daleko! I spojrzął na Wolzowa, który promieniował spokojem i obojętnością. Gottesknecht ciągnął dalej: – Podczas ćwiczeń obejrzę sobie obsługi dział, ze wszystkimi szykanami. Jeżeli będzie grało... – zawahał się na chwilę, a potem sucho i rzeczowo dokończył – ...to poznoście wszystkie swoje klamoty na izbę. Nasza bateria zajęła stanowisko w rejonie Essen, Wattenscheid i Gelsenkirchen, idealna okolica! Dziś w nocy wyjeżdżamy.

Wszyscy już o tym wiedzieli, a jednak gdy Gottesknecht to powiedział, spadło to na nich jak grom. Gottesknecht zawołał: – Święty Antoni! Co robicie takie miny! Nie wyobrażacie sobie nawet, jak wam tam będzie świetnie! Przysięgam wam całkiem spokojny żywot, jeżeli akurat nie będzie się strzelało, albo jeżeli akurat nie będziecie mieli wykładów szkoleniowych, które tam nadal będą prowadzone, albo jeżeli akurat nie będzie się wyładowywało amunicji, albo jeżeli akurat nie będziecie musieli zasypywać lejów po bombach, albo jeżeli akurat nie nadarzy się co innego. Spokój w szeregu! Wolzow, przestańcie gadać! Wy jesteście synem oficera? Zakałą baterii jesteście, rozumiecie!

– Panie ogniomistrzu – powiedział Wolzow – tę „zakałę” sobie wyprasza, to jest...

– Wolzow! Wystąp! W lewo biegiem marsz... padnij... powstań... padnij! – Gottesknecht zwrócił się w kierunku prawego skrzydła: – Schmiedling, prowadźcie to dalej, jazda, weźcie choć z raz trochę do galopu tego waszego pupilka, co za zuchwałe chłopaczysko, przez dziesięć minut, ale z wszystkimi szykanami! – A do Wolzowa, który leżał bez ruchu na ziemi: – Gaaaz!

Tak, pięknie, nie, nie wy, tylko Wolzow, żeby sobie dobrze zapamiętał zakończenie szkolenia i Wolzow poprawił sobie maskę przeciwgazową. Gottesknecht krzyknął: – Schmiedling, sprawdźcie, czy maska przylega mu szczelnie do twarzy, Wolzow jest przebiegły! Chryste Panie, Schmiedling, jak wy to robicie? Trzeba po prostu ścisnąć wąż. Jeżeli po pięciu minutach będzie jeszcze żył, to znaczy, że maska nie siedzi jak należy!

Chłopcy pękali ze śmiechu. – Gzy to nie przyjemnie – powiedział ogniomistrz – że wszyscy mamy taki wspaniały humor? Holt! Dlaczego nie śmiejecie się razem z nami?

– Panie ogniomistrzu, Wolzow jest moim przyjacielem, więc nie może pan ode mnie oczekiwać, abym się cieszył, gdy dostaje w kość!

– Jaka to musi być wspaniała rzecz taki wierny przyjaciel! – wykrzyknął Gottesknecht. – Jak wyście to powiedzieli? Że nie mogę oczekiwać? Czy wy macie pojęcie, co ja mogę?! Holt, jazda, gaaaz! – Holt wyrwał z torby maskę przeciwgazową i założył ją sobie na twarz. – Schmiedling, zabierajcie również z Kastorem Polluksa! Co, nie rozumiecie, o co chodzi? Macie wziąć również trochę w obroty Holta! – I Gottesknecht zawołał: – Cierpieć we dwójkę, Wolzow, to cierpieć o połowę mniej. Widzicie, jaki ja dla was jestem?

Holt i Wolzow uganiali bez tchu po polu. Po upływie kwadransa Schmiedling odesłał ich do baraku. – Do diabła, czy wam to było potrzebne?

W izbie rozmawiano wyłącznie o przydziale. Chociaż starali się tego nie okazywać, podniecenie graniczyło ze strachem. Wolzow przekonywał: – Czy cię coś ma spotkać, czy nie, jedno jest pewne: nic na to nie poradzisz! Jak ci się ma coś stać, to tak czy owak cię to nie ominie, obojętne czy będziesz w artylerii przeciwlotniczej na terenie Zagłębia Ruhry, czy na froncie wschodnim.

– Allah jest wielki – powiedział Gomulka – wszystko jest zapisane w księdze przeznaczenia! W tym twoim poddawaniu się losowi coś jest.

– Mój ojciec mógłby ci opowiedzieć niejedną historię – zawołał Wolzow – z dwóch wojen, o ludziach, którzy wierzyli, że unikną swojego losu!

Będzie, co ma być, pomyślał Holt.

Krótko przed dziesiątą Schmiedling zawołał ich do dział. Gottesknecht przez pół godziny bawił przy działach Schmiedlinga. Nie mógł im nic zarzucić. Jeszcze raz przećwiczone wszystko od początku. Holt, tak się już przyjęło, był k2, Gomulka nastawiał mechanizm podniesieniowy, Vetter tkwił przy mechanizmie do nastawiania zapalnika, Wolzow był k3.

Gottesknecht widział, jak łatwo Wolzow wsuwa ciężki nabój do komory nabojojowej nawet przy maksymalnym kącie podniesienia. – No, Schmiedling, wyszkoliliście sobie całkiem niezłą obsługę! – Schmiedling przekazał tę pochwałę dalej: – Jezdeście zmyślni chłopaki! Musiem trzymać się razem!

W tych samych mundurach HJ, w których tu przyjechali, leżeli teraz na gołych siennikach i pisali w pośpiechu listy. Około wieczora zafasowali prowiant, a wkrótce potem stanął też w drzwiach Gottesknecht. – Moi panowie, jeżeli wolno mi uprzejmię prosić... Wóz już zajechał!

Uderzcie w płacz i żegnajcie się.

Wielka, trzyosiowa ciężarówka popędziła w noc. Po upalnym, suchym lecie nastąpił

chmurny październik, padały deszcze, było zimno. Siedzieli za działem w deszcz i mżawkę, potem znowu nastaly słoneczne dni jesienne, ciepłe i bezchmurne. Ale ta noc była ciemna, zimna i bezgwiazdka. Z zaciemnionymi światłami wóz pędził na zachód.

O świcie ciężarówka zatrzymała się na jakimś wzgórzu. Było to około piątej nad ranem.

Powietrze, nasycone białą mgłą, zalatywało sadzą i dymem. W stwardniałych jak skorupa ubraniach, zeszywniali z zimna, stali wokół samochodu. We mgle Holt dostrzegł niewyraźne zarysy paru blisko przy sobie stojących baraków. Trząśnięty z zimna i nie mógł przyjść do siebie.

Z mgły wyłonił się jakiś bombardier, z żółtym sznurem podoficera dyżurnego u lewego ramienia. – Serwus, Fritz! – zawołał Schmiedling uradowany. – To je nasz puszkarz, bombardier Macht!

– Ciszej! – powiedział Macht, mały, gruby blondyn lat około trzydziestu pięciu. – Ciszej!

Tam śpi dowódca! – I zwrócił się do chłopców: – Dostaniecie zaraz mundury.

– Działo się coś dziś w nocy? – zapytał Schmiedling.

– Tu był spokój – odpowiedział Macht. – Ale na północy grzali solidnie.

– A poza tym?

– Co noc – odparł puszkarz. – I prawie co dzień. – A do chłopców: – Chodźcie ze mną!

Magazyn mundurowy znajdował się w jednym, z baraków. Przez okiennice prześwitywało światło. Gdzieś w pobliżu rozległo się wściekłe szczekanie. Jakiś gniewny głos zawołał:

„Człowieku, zamknij się!” – To dowódca! – szepnął Macht. – Tylko bądźcie cicho!

Dostali umundurowanie, mundur wyjściowy wraz z jednorzędowym, wciętym w tali płaszczem, a także blaszane puszki z ochraniaczami słuchu. Bombardier Schnitzler, podoficer mundurowy, był to chudy, zwinnie facecik, gadający szybko jak katarzynka. – Tylko mi tu nie płaczcie! Jak coś nie pasuje, to zaraz wymienimy! – Obładowani ubraniami opuścili magazyn i weszli do jakiegoś stojącego pustką baraku.

Barak mieszkalny A, zwany Anton, stał o jakieś pięćdziesiąt metrów od magazynu. Holt był

wkrótce gotów. Przeszedł parę kroków drogą, przystanął i rozejrzał się dokoła.

Dniało. Niedługo powinno wzejść słońce. Wiatr poranny zdmuchiwał zasłonę z mgły na jedną stronę, widok na stanowisko był otwarty. Holt zapoznawał się z położeniem baterii. Łysy grzbiet wzgórza, ziemia brudnoszara, gleba chuda i kamienista. Na wschodzie był las, suche, nagie pnie, żalosne w porównaniu z tamtymi bujnymi, nieprzebytymi lasami w górach. Cztery pojedynczo stojące baraki mieszkalne tworzyły wielki prostokąt, którego boki biegnące z zachodu na wschód mogły mieć po jakieś sto pięćdziesiąt metrów, a boki biegnące z południa na północ nie więcej niż jakieś siedemdziesiąt pięć metrów. W świetle poranka Holt widział na lewo od siebie Antona, na prawo Bertę, i nieduży murowany domek, na którym widniało słowo Kantyna. Między Antonem a Bertą stała

cała kupa baraków – magazyny, kancelaria, kuchnia i kwatery dowódcy. Na lewo, do Antona, prowadził chodnik z desek, na prawo, do Berty i do kantyny, szeroka droga, która skręcała tu na południe, przecinała w dolinie tor kolejowy i biegła potem do szosy. Po drugiej stronie szosy, ze wschodu na zachód ciągnął się kanał; wisiała tam jeszcze biała, nieprzenikniona mgła. Na północ od Berty, na zachodnim zboczu wzgórza, Holt zobaczył barak Cezar, na północ od Antona dojrzał barak Dora, a przed nim – wielki, samotny srebrny świerk. Pośrodku tego prostokąta znajdowało się stanowisko dowodzenia baterii, wysokie usypisko ziemi, tak zwane SD2, okolone sześcioma stanowiskami ogniowymi dział. Za SD2 wkopany był w ziemię radiopelengator. Na zachód od stanowiska dowodzenia baterii wystawały z ziemi ciągnące się w jednym szeregu z północy na południe cztery wielkie bunkry zapasowego magazynu amunicji.

Dokoła, w dolinie, rozciągała się przed oczyma Holta panorama ogromnego kompleksu przemysłowego. Wszędzie kominy, potężne kominy fabryczne, plujące szarym dymem, i znowu kominy, wysokie piece, ziejące w niebo czerwonymi płomieniami buchającymi z wytapianej rudy, piece koksownicze, potężne hale stalowni na horyzoncie, pomiędzy tym wieże wyciągowe z kołami linowymi, olbrzymie retorty rafinerii, hałdy węgla i żużlu, przypominające rodzime góry, i to wszystko osnute wyziewami i dymem, chmurami dymu odpływającego leniwie z wiatrem, powiązane labiryntem urządzeń kolejowych i otoczone ze wszystkich stron nie kończącym się morzem domów mieszkalnych: Essen na południu i zachodzie, Gelsenkirchen na północy i północno-wschodzie, Wattenscheid na wschodzie. Miasta te zachodziły wzajemnie na siebie, a domy, zakłady przemysłowe, kominy, hale i tory kolejowe ciągnęły się bez końca, jak tylko okiem sięgnąć.

To wszystko powierzono teraz i mnie pod opiekę, pomyślał Holt. I czuł, że budzi się w nim duma. W tym samym momencie odezwał się za jego plecami ostry głos: – Czego tu stoicie?! –

I nagle wyrósł przed nim jakiś kapral, mniej więcej trzydziestoletni człowiek w czapce polowej, wciśniętej mocno na czoło. – Nazwisko? – A potem: – Na co czekacie, Holt? Zjeżdżaj stąd, pętaku, za dziesięć minut apel!

Bateria ustawiła się na szerokiej drodze, która biegła skrajem stanowiska ogniowego od kancelarii do kantyny. Na prawym skrzydle stanęła „władza”: jeden kapral i dziesięciu bombardierów. Dwudziestu ośmiu „nowych”, jak ich nazywali „starzy”, ledwo stało w szeregu, tak byli zmęczeni po nie przespanej nocy. Holt zerkał ukradkiem na starszych junaków, którzy już dłuższy czas byli w baterii, i myślał z respektem: Oni mają za sobą Hamburg!

Podczas zbiórki nie obeszło się bez tarć. Wolzow starł się z jakimś starszym junakiem, który chciał go zwyczajnie odsunąć na bok. – Zachowuj się! – powiedział Wolzow w końcu.

– Te, nowy, zamknij pysk!

– Nie bądź taki wielki, bracie – odciął się Wolzow – bo cię przerobię!

– Spokój w szeregu! – huknął kapral o nazwisku Engel. – Zamkniecie jadaczki czy nie? –

Z tyłu zaszemrano: – Zostaw go, Günsche, zrobimy go innym razem!

Będzie draka, pomyślał Holt. Widział, jak Wolzow skrzywił pogardliwie wargi. Z tyłu ktoś mruczał:
– Ten nowy jeszcze zobaczy!

Engel składał raport ogniomistrzowi. Gottesknecht, przed frontem, patrzył w milczeniu na stojących w szeregu chłopców. Nagle z kwatery dowódcy, przy baraku kancelarii, wyskoczył ze strasznym ujadaniem seter, pognął prosto na zebraną w szeregu baterię, obleciał ją naokoło, nie przestając szczekać, i popędził z powrotem do kancelarii, skąd w tym samym momencie wyszedł

dowódca baterii kapitan Kutschera.

– Bateria... baaaczność! – wrzasnął Gottesknecht. To on krzyżeć też potrafi, pomyślał Holt.

– Na prawo patrz! – Gottesknecht zasalutował i zameldował: – Panie kapitanie, ogniomistrz Gottesknecht melduje baterię w składzie dwóch podoficerów, dziesięciu kanonierów i osiemdziesięciu junaków.

Kapitan przyłożył niedbale rękę do daszka czapki, podszedł bliżej i ryknął niesamowitym głosem: – Dobry, bateria!

– Dobry, panie kapitanie! – zabrzmiało w odpowiedzi zgodnym chórem.

– Wydajcie komendę „spocznij” – powiedział Kutschera. Nawet gdy mówił cicho, jego głos grzmiał na cały plac. Gottesknecht rzucił komendę: – Bateria... spocznij! – Potem stanął z lewej strony za dowódcą. Kutschera przez chwilę spokojnie wodził wzrokiem po dwuszeregu.

Holt z zainteresowaniem przyglądał się temu olbrzymowi. Był to potężny chłop, wysoki na dwa metry, około pięćdziesiątki, postać wzbudzająca wprost postrach. Szary, obszerny płaszcz skórzany sięgał mu aż do kostek i nie miał żadnych odznak. Tylko na czapce widniał srebrny bączek oficerski. Czapka siedziała na bakier na podłużnej, bladej czaszce, wyrastającej ze skózanego płaszcza, i rzucała cień na pociągłą, ostro zarysowaną, końską twarz; wszystko w tej twarzy było ponad normę wydłużone, zarówno mięsisty nos, jak i pełne, męskie wargi. Oczy, pograżone w cieniu daszka od czapki, patrzyły zimno i groźnie. Seter leżał mu u stóp, z głową opartą na przednich łapach.

– Słuchajcie – powiedział kapitan. Ust prawie wcale nie otwierał, a mimo to jego głos był

grzmiący i donośny. Ręce trzymał w kieszeniach płaszcza. – Dostaniecie teraz przydział. Ale jeżeli mi to wszystko razem potrwa dłużej niż pół godziny, to zobaczycie, co się będzie działo.

Punkt ósma... – wyjął lewą rękę z kieszeni i spojrział na zegarek – melduję baterię gotową do akcji. Zresztą już najwyższy czas, bo tu się zaczyna robić gorąco. Rzygać mi się chce, kiedy te świny krążą tam na górze, a ja im nie mogę nic wlepić. – I wyjaśnił zadanie bojowe: – Obrona okolicznych zakładów przemysłowych i dzielnic mieszkaniowych. – Potem nagle zamilkł, zamierzał widocznie odejść, bo zrobił ruch, jakby chciał się odwrócić – pies także zerwał się już na równe nogi – ale w połowie tego ruchu zatrzymał się i zagrzmiał: – Jeszcze słówko do nowych! Jeśli ktoś podczas pierwszej walki narobi pełne spodnie, będzie mi to obojętne. Ale biada temu, kto nawali! Jak się nie przystosujesz, bratku, to będziesz miał ze starszymi junakami do czynienia. Takie samowychowanie

jest ciągle jeszcze najpewniejsze.

Daje im wolną rękę, pomyślał Holt, i zerknął ukradkiem na boki; widział, jak starsi junacy uśmiechają się i wymieniają ze sobą spojrzenia... Przywołał go znowu do porządku głos kapitana: – Jeszcze jedno! Dziś po południu bateria będzie ćwiczyła strzelanie do celu. Przy tej okazji obejrzę sobie nowych. Może też nadleci przypadkiem paru amis, to jest zawsze najlepszy sprawdzian... Ach, co tam! – powiedział nagle ni stąd, ni zowąd i odwrócił się. Pies dał susa i głośno zaszczekał. – Człowieku, bądź cicho! – Kapitan oddalił się w kierunku kancelarii.

Gottesknecht zaczął przydzielać im funkcje. Schmiedling krzyknął: – Wolzow, Holt, Gomulka! I cała reszta, prędko, chodźcie tutaj! – Byli znowu razem i mieli stanowić trzon obsługi działła Anton, łącznie z Weberem, Kirschem, Branznerem i Kattnerem, którzy w nocy należeli do obsługi działła Berta. – Ale klawo! – powiedział Schmiedling uradowany, gdy zobaczył znowu całą swoją obsługę przy sobie. Gottesknecht przydzielił im jeszcze jednego starszego junaka, na zastępcę działonowego. Nowo przydzielony nazywał się Gunter Ziesche i był krępy, jasnowłosym chłopakiem w wieku lat siedemnastu, trochę przytłustym, o kobiecych rysach, nieczystej cerze i z wielką kurczawką na lewej skroni.

Ponieważ zakwaterowano ich działonami, po służbie również przebywali razem, i Ziesche przeniósł się do nich jako starszy izby. Zainstalowali się w jednej z dwu małych izb w baraku Dora, sześciu ludzi: Ziesche, Wolzow, Holt, Gomulka, Vetter i Rutscher. Izbę położoną naprzeciwko zajęła na kwaterę obsługa działła Cezar; a trzecią, wielką, na końcu korytarza zarezerwowano dla cywilów z obrony przeciwlotniczej.

– Barak Dora ma najlepsze położenie – powiedział Wolzow – stoi sobie pięknie na uboczu, tale że podoficer dyżurny nieczęsto tu będzie zaglądał! – Ziesche opowiadał im, że nie wszyscy znajdujący się tu starsi junacy mają za sobą Hamburg, że tylko dwunastu „hamburczyków” jest tutaj, obsługa radiopelengatora i dwóch dalmierzystów, z którymi kapitan Kutschera nie chciał

się rozstać; reszta pozostała w Hamburgu. Jakie pięćdziesięciu starszych junaków pochodzi stąd, z okolicznych miast. Zostali pościągani z innych baterii i przed ośmioma dniami wcieleni do 107. Bo bateria dopiero od tygodnia zajmuje te stanowiska.

– Straszna harówka – opowiadał Ziesche, gdy się urządzali w swej małej izbie. – Całymi dniami kopaliśmy i budowaliśmy, a potem znosiliśmy amunicję. Najcięższą robotę odwalili Rosjanie, z jednego obozu, musieli się solidnie przykładać do dzieła, bo wartownicy popędzali ich bykowcami.

– Bykowcami? – zapytał Holt. – Czy to faktycznie istnieje?

– Ty chyba żyjesz na księżycu! – powiedział Ziesche. – Dlaczego nie ma istnieć?

– Czy słyszałeś kiedy o prawie międzynarodowym? – spytał Gomulka.

– Nie pleć głupstw! W tej wojnie chodzi o być albo nie być i wszelkie wywody prawnicze nie mają żadnego znaczenia! Rosjanie są tak czy owak tylko zwierzakami!

Nie było to nic nowego, Holt słyszał to już ze sto razy.

Zadzwonił przeraźliwie dzwonek, raz, dwa, trzy... – Alarm bojowy! – krzyknął Ziesche. –

Prędko, hełmy, maski, ochraniacze! Otwierać okna, bo szyby pójdą do diabła... Nie wariujcie tak, na alarm ogniowy będą dwa dzwonki!

Biegli już drewnianym chodnikiem. Gdy Holt dopadł stanowiska działa, paru junaków rozkładało właśnie na środku stanowiska ogniowego płachtę sygnalizacyjną, wielki biały kwadrat z krzyżem pośrodku, który dla wszystkich niemieckich samolotów był sygnałem rozpoznawczym. Schmiedling już obluźował na dziale plandekę, którą chłopcy ściągnęli na dół

i zwinęli. Potem Schmiedling założył sobie na szyję laryngofon, a na uszy słuchawki. Mały Weber warował już przy mechanizmie kierunkowym, Gomulka był kl i polerował błyszczącą skalę mechanizmu podniesieniowego, a Vetter, nieco blady, tkwił już przy mechanizmie do nastawiania zapalnika.

Schmiedling włączał i wyłączał laryngofon. – Anton... odbiór dobry!... – Znowu go wyłączył. – Oni tam wypróbują połączenie z pelengiem! – Weber meldował: – Kierunek dobry! – Gomulka za nim: – Wysokość dobra! – Również Vetter meldował przepisowo: –

Zapalnik dobry! – Wolzow uśmiechnął się, poklepał go po ramieniu i powiedział: – No, trupie, tylko nie trać głowy! – i nałożył rękawicę ładowniczego.

Holt stał w kącie na uboczu. Dobra jest, mogę być tym razem amunicyjnym. To też ma swoje dobre strony: więcej się widzi. Czy mam pietra? zapytał się nagle sam siebie.

Spojrzał w niebo. Na zachodzie wisiała nisko ścisła pokrywa z chmur, ale nad nią był świetlisty błękit. Jeszcze piętnaście minut, pomyślał, i wszystko przestonią chmury.

Schmiedling wsłuchiwał się w słuchawki, wreszcie zawołał: – Jeszcze jedna próba przewodów z przyrządem centralnym! – Kanonierzy obsługujący mechanizmy naprowadzania złożyli meldunki.

Nagle z SD2 zagrzmiął głos kaprała Engla: „Alarm ogniowy!” W tym samym momencie zawyły naokoło syreny, w całej sieci splecionych ze sobą miast: cres-cendo-decrescendo, crescendo-decrescendo, głośno i denerwująco. Ziesche siedział na jednym z ramion lawety. –

Tak od razu alarm na całego? Widocznie coś się dzieje! – Holt ujrzał kapitana. Z gołą głową, z hełmem w ręku, spowity w skórzany płaszcz, szedł w towarzystwie swego psa na SD2, rycząc jednocześnie tym swoim lwim głosem: – Może byście tak zwinęli płachtę sygnalizacyjną, wy bandyci! – Paru junaków skoczyło na pole i prędko zwinęło białe chusty.

– Prędko, otwórzcie bunkier z amunicją! – rozkazał Schmiedling. Holt podniósł jedno z ciężkich wiek drewnianych, położył je na ziemi i wyszarpnął do połowy parę naboí, tak że łatwo było już je teraz z koszy wyciągać. Był zdenerwowany i bez przerwy musiał sobie dodawać odwagi. – Cicho! – wrzasnął Schmiedling. – Podają komunikat sytuacyjny! – Słuchał

tak intensywnie, że aż twarz mu się wykrzywiła. – Kilka zespołów ciężkich bombowców leci przez południową Holandię w kierunku granic Rzeszy!

– Przez południową Holandię? No to zaraz ich tu będziemy mieć – powiedział Ziesche, W tym samym momencie zjawił się na stanowisku działła bombardier Macht, z żółtym sznurem podoficera dyżurnego, z fajką w zębach. Hełm dyndał mu u ramienia. – Będziesz k3, Fritz? –

zawołał Schmiedling uradowany, po czym rozkazał: – Wolzow, dajcie no mi tu rękawice! –

Wolzow zaczął protestować: – Powiedzieliście, że ja będę ładował! – Schmiedling zrobił się czerwony jak rak. – Tylko mi tu nie pyskować! – Wolzow, mruczac coś pod nosem, zdjął

rękawicę ładowniczego i rzucił ją zbaraniałemu podoficerowi dyżurnemu.

Schmiedling był bardzo zdenerwowany. Od momentu gdy zarządzony został alarm ogniowy, bez przerwy powtarzał: – Ino mi nie zróbcie wstydu... proszę was! – I nagle: – Mam przeczucie, że dziś coś będzie! – A potem znowu: – Strzylanie nie je takie straszne! Ino ździebko przy tym hałas, nieprawdaż... Nie stójcie mi aby pod lufą, bo tam je największy podmuch!

Niepokój Schmiedlinga udzielał się również Holtowi, który stał oparty o drzwi bunkra z amunicją, skąd poprzez wał ziemny stanowiska mógł widzieć, co się dzieje na SD2. Nad przedpiersiem stanowiska górowała olbrzymia postać kapitana Kutschery. Dowódca stał z gołą głową i przez lornetkę obserwował niebo.

– Komunikat sytuacyjny! – wykrzyknął Schmiedling. – Formacje bombowców lecą na Zagłębie Ruhry! Zara się zacznie! – Na SD2 rozległo się wściekłe szczekanie, które wzbudziło nerwowy niepokój w całej sekcji pomiarowej. – Piorun kapitana – powiedział podoficer dyżurny, który siedział obok Zieschego na ramieniu lawety. – Ten już naprzód czuje strzelaninę! –

I podoficer dyżurny zaczął wkładać rękawicę. Na SD2 Kutschera odjął lornetkę od oczu i huknął

na psa: „Człowieku, bądź cicho, bo wylecisz stąd!” Szczekanie umilkło.

Nagle, jeszcze gdzieś nieprawdopodobnie daleko, dał się słyszeć jakiś delikatny szum. Holt poczuł bicie serca aż w skroniach. Ławica chmur ciągle jeszcze stała na zachodzie. Z SD2

zagrzmiał na całe stanowisko głos kapitana: „Lufy kierunek dziewięć!” Działło obróciło się lufą na zachód. Holt bez przerwy obserwował stanowisko dowodzenia, skąd dolatywał jakiś wysoki chłopiący głos: „Buczenie silników na dziewiątce!” – „Człowieku! – ryknął Kutschera –

a obserwatorzy, czy ci idioci śpią?” – Zapalnik ma namiar! – krzyknął Vetter, blady jak ściana z przerażenia. Nastawnica mechanizmu zapalnika zawyła jak syrena. Holt wcisnął hełm na głowę, wyrwał nabój z kosza i zaniósł go Wolzowowi, który sprawnie osadził go na mechanizmie nastaw zapalnika i podziękował Holtowi skinieniem głowy... ach, jak mu to dobrze zrobiło! Schmiedling wrzasnął: – Strzylać według namiarów radiowych! – Weber już meldował:

– Kierunek gotów! – Gomulka za nim: – Wysokość gotowa!

– Zapalnik! – wrzasnął Schmiedling. – Co je z zapalnikiem?!

Holt patrzył na to i przeżywał wszystko jakby przez mgłę, bo jednak złapał go strach. Strach przed pierwszym strzałem, strach przed bombami, strach przed wszystkim, i ten strach tak go omotał jak pajęczyna. Lufa działa kierowała się całkiem wolniutko na północ, Holt, z nabojem w rękę, stał za Wolzowem, szum na niebie stawał się coraz silniejszy, i nagle zagrzmiało i zahuczało, jak burza z piorunami. Podoficer dyżurny, stojący w rozkroku za działem, powiedział: – To baterie z Mühlheim! – I wreszcie odezwał się głos Vettera: – Są w zasięgu zapalnika! Zapalnik gotów!

– Anton gotów do otwarcia ognia! – krzyknął Schmiedling.

Nagle wszystko zaczęło grać jak podczas ćwiczeń. Holt usłyszał na SD2 głos Kutschery:

„Ognia!” Potem Schmiedling dał komendę: – Seria... – Holtowi serce zamarło. – Ognia! – syknął

Schmiedling. Dzwonek sygnału ogniowego dzwonił jak opętany, Macht porwał nabój z mechanizmu do nastawiania zapalnika i wsunął go do komory nabojoyej, trzon zamkowy poszedł w górę, ręka w skórzanej rękawicy złapała za dźwignię mechanizmu spustowego...

Otworzyć usta! – zdążył jeszcze pomyśleć Holt, a potem błysk w oczach, grzmot jak od piorunu, straszliwy, rozsadzający uszy huk, kurz i dym naokoło, i jak we śnie Holt zobaczył, że lufa wraca na swoje miejsce i wypluwa dymiącą łuskę. Grzmot i huk nie ustawał. Nagle cały strach go odszedł, jakby ręką odjął. Holt pomyślał: To strzelają baterie sąsiednie! Uporczywe buczenie samolotów wisiało gdzieś daleko w ławicy chmur i mieszało się z hukiem wybuchających granatów przeciwlotniczych.

– Ognia! – krzyknął Schmiedling. Holt podał Wolzowowi nabój. Wolzow odbierając go uśmiechnął się, i ledwo padł strzał, Schmiedling zawołał: – Przerwać ogień!

Holt wyciągnął głowę w kierunku SD2. W tym samym momencie powstało tam zamieszanie. „Formacja na dziewiątce!”, krzyczał ktoś. Holt spojrzał w niebo. Jest! Cała gromada malusieńkich punkcików, mieniących się srebrzyście w słońcu, napływała z ławicy chmur na błękit nieba, a naokoło niej, jak wyczarowane, rozkwitały wybuchy granatów przeciwlotniczych. Przechodzą bokiem! – pomyślał Holt z ulgą. A potem wszystko poszło piorunem: „Jest cel!”, zagrzmiało przeraźliwie z SD2, i znowu głos Kutschery: „Ognia!” –

Strzylać przy pomocy przyrządu centralnego! – wrzasnął Schmiedling, a Macht powiedział: –

Teraz będziemy strzelać na optykę, i damy im bobu!

– Seria! – krzyknął Schmiedling. – Ognia! – Otworzyć usta! – pomyślał znowu Holt.

Widział Vettera, jak kręci pokrętle niczym kataryniarz, widział, że twarz podoficera dyżurnego wykrzywiła się podczas wystrzału jak w ataku epilepsji, i widział również, że Schmiedling jest już zupełnie spokojny. – Ognia! – Holt pobiegł po nowy nabój do bunkra. Schmiedling miał

więc tylko stracha, że my możemy nawalić.

– Przerwać ogień! – Schmiedling wyjaśnił: – Tera ci na północy mają już ich w zasięgu zapalników. – I promieniejąc radością: – Ale zuchy z was, chłopoki! To dobrze!... Samolot dziewięć! – krzyknął nagle przerażony. Weber skierował działo znowu lufą na zachód. Przelot z lewa na prawo, strzelać przy pomocy przyrządu centralnego, jak na szkoleniu, pomyślał Holt, tylko że raz po raz huczy... Liczył puste łuski, jednaście, dwanaście sztuk, odsuwało się je nogą we wszystkie kąty stanowiska. I znowu: – Ognia! – Nowa formacja mijała ich od północy. Po co ja się tak bałem? pomyślał Holt i uśmiechnął się do Wolzowa, który odpowiedział mu również uśmiechem.

– Przerwać ogień! – Lufa obróciła się z powrotem na północ, przy czterdziestopięciostopniowym kącie podniesienia. Szum samolotów słabł coraz bardziej. Na północy grzniały ciężkie działa. – Teraz mają gorąco w Recklinghausen i – powiedział Macht.

Ziesche, który podczas strzelania stał beczynnie przy Schmiedlingu, zauważył: – Jeżeli nie nadleci nowa fala, to znaczy, że tędy już przeszli! – Schmiedling składał SD2 meldunek o zużyciu amunicji, dwadzieścia jeden pocisków. Potem zapalił papierosa. – Jak te bratki polecą nazad, tą samą drogą, to wszystko musi tak samo grać!

Wyrzucali ze stanowiska puste łuski. Schmiedling wsłuchiwał się w swoje słuchawki. –

Anton, zrozumiano!... Alarm ogniowy odwołany! – Holt zobaczył Kutscherę, jak razem z psem opuszcza SD2 i oddala się w kierunku kancelarii.

Junacy, klnąc pod nosem, nosili teraz w koszach świeżą amunicję do dział. Taki kosz z nabojami ważył prawie cetnar. – Strzelanie to wspaniała rzecz! – stwierdził Wolzow. Czekali przy działach. Schmiedling odbierał nowy komunikat sytuacyjny. – Te formacje, nieprawdaż, poleciały prawdopodobnie na Berlin, nieprawdaż, to może tędy wcale z powrotem nie polecą!

– Z Berlina przy dobrej pogodzie wracają przeważnie do Anglii przez Zatokę Kilońską –

powiedział Ziesche. Wolzow zapytał: – A jeżeli jeszcze raz tędy polecą, to pozwolicie mi ładować?

– Zapytam się dowódcy – odparł Schmiedling. – Tera mam już do was zaufanie.

Ale formacje bombowców odleciały przez Niemcy północne.

Gdzieś w parę dni później Holt, Wolzow i Ziesche szli drewnianym chodnikiem przez stanowisko ogniowe. Nagle z SD2 wyszło trzech starszych junaków, którzy jakby umyślnie tam czatowali, trzech wielkich, krzepkich chłopaków. Wiedzieli, że jeden z nich nazywa się Günsche, bo nazwisko jego padło wówczas na apelu; ci dwaj pozostali, pomyślał Holt, patrząc na nich podejrzliwie, mogliby być bliźniakami, tak są do siebie podobni. Ziesche skręcił szybko w lewo i bez słowa poszedł swoją drogą. Holt i Wolzow zatrzymali się.

– Te, nowy, słuchaj no... – powiedział Günsche północnoniemieckim dialektem; był tylko trochę mniejszy od Wolzowa, który mu natychmiast przerwał: – Nowy? Nazywam się Wolzow, racz sobie to łaskawie zapamiętać! – Cudownie beczelnie! – pomyślał Holt. Tylko nie dać się zastraszyć! Günsche podniósł brwi i oczy mu się zaiskrzyły. Bliźniaki, dwa masywne dryblasy, sapnęły potężnie

i wyjęły ręce z kieszeni.

Günsche powiedział groźnie: – Jeżeli jeszcze raz pozwolisz sobie na taką grandę, to ci zasuniemy samowychowanie! – Holt widział, jak Wolzow sprężył się w sobie i szybko powiedział: – Zostawcie nas w spokoju, wy, wielcy hamburczycy! – Günsche wściekł się: –

Zamkniesz pysk, ty pętaku, bo jak nie, to...

– To co? – krzyknął Wolzow, i teraz wszystko poszło już piorunem. Holt dostał pięścią w twarz, ale równocześnie przerzutem powalił Günschego na deski; widział jeszcze, jak Wolzow rzucił się na bliźniaki i jak potem ni stąd, ni zowąd skoczył na nich ze wściekłym ujadaniem seter, a zaraz za nim wyrósł jak spod ziemi kapitan. – Człowieku, co się tu dzieje – ryknął swym niesamowitym głosem – na co te obwiesie sobie pozwalają?!

Holt puścił oszołomionego Günschego, który natychmiast stanął na nogi. Również Wolzow stał już przed kapitanem wyprostowany jak struna. Jednemu z bliźniaków ciekła z nosa na usta i mundur gęsta, ciemnoczerwona krew; drugi wił się na ziemi i z trudem łapał powietrze. Gilbert trafił go widocznie w żołądek, pomyślał Holt.

– Przywiązać do drzewa i wychłostać! – zagrzmiał głos Kutschery. – Nowi leją starych, widział to kto?! – Jego sympatia była wyraźnie po stronie hamburczyków.

Nagle wyrósł obok niego Gottesknecht, i Kutschera, aczkolwiek niechętnie, odwrócił ku niemu głowę. Jeżeli on nam teraz podstawia nogę, pomyślał Holt, to Gilbert będzie miał rację, że Gottesknecht to ścierwo. Ale Gottesknecht powiedział cicho, tak jak to było jego zwyczajem: –

Przepraszam, panie kapitanie, ale ja to obserwowałem z SD2. Nowi tym razem nie są winni.

Günsche pierwszy uderzył.

– Tak! – powiedział Kutschera niezadowolony, i przez moment zdawało się, że ma zamiar objechać ogniomistrza. Ale w końcu powiedział: – No to ja się w to nie mieszam.. Günsche! –

huknął, a do bliźniaków: – Pingelowie, wy dupy wołowe! Jak się tak głupio Marnujecie, to jechał was sęk, niech was te pętaki leją! – I zabrawszy psa, poszedł sobie. – A teraz spokój, moi panowie – powiedział Gottesknecht – bo jak nie, to ja się w to wdam i ukarzę was wszystkich razem!

Günsche, gdy Gottesknecht się oddalił, syknął: – To was będzie drogo kosztowało!

– Zamknij pysk... – powiedział Wolzow. I nagle, pochylając się do przodu i zaciskając pięści (Holt jeszcze nie widział, żeby Wolzow był kiedy taki wściekły), krzyknął: – Wy mnie dopiero teraz poznacie! Tak was urządzę, że zabiorą was stąd prosto do szpitala!

– Dosyć! – powiedział Holt i pociągnął Wolzowa za sobą.

W izbie Holt i Wolzow robili porządek w swoich szafkach. – Jeżeli nas nie zostawią w spokoju, będę ich załatwiał pojedynczo – odgrażał się Wolzow. – Tylko nie obiecuj sobie za wiele –

zauważył Ziesche z lekką ironią. – Między hamburczykami są mocne chłopaki!

– Chcesz ty też oberwać? – Wolzow zmierzył Zieschego z góry na dół. – A tyś wtedy po prostu nawiał! – powiedział Holt. – Jesteśmy przy jednym i tym samym dziale czy nie? Żyjemy razem w jednej budzie czy nie?

– Ja jestem starszym junakiem i nie będę sobie psuł stosunków z moimi kolegami.

– Za pół roku każdy z nas będzie starszym junakiem! – odparł Holt.

Wolzow z hukiem zatrzasnął szafkę. – Ja już i tak wszystko sobie u ogniomistrza przesrałem, choć sam nie wiem dlaczego. I przesrałem, jak tylko można było przesrać, u dowódcy. Teraz już mi wszystko jedno! Mogę mieć przeciwko sobie nawet całą baterię. Każ im się ustawić w rzędzie, tym twoim panom starszym junakom, wedle mnie mogą zjawić się tu wszyscy naraz... Myślisz może, że będę sobie coś z tego robił, jak dla odmiany ja dostanę po mordzie? Choćby mnie mieli nawet zatłuc na śmierć, ale jeżeli już, to oko za oko, ząb za ząb, dopóki będę mógł choć palcem ruszać!

– Czy mam to jakoś załagodzić? – zapytał Ziesche. – Jeżeli prędko nie staniesz po naszej stronie... – powiedział groźnie Holt – to zrobimy z ciebie marmoladę, ty pajacu! – zawołał gdzieś z kąta Vetter.

– Tylko tego nie róbcie! – powiedział Gottesknecht, który stanął nagle w otwartych drzwiach. – Bo mamusia pana starszego junaka wypłacze sobie oczy. – Głowę daję, że już od dawna stał w sieni i podsłuchiwał, pomyślał Holt... Po co w takim razie siedzimy w takim odosobnionym baraku? Trzeba by wymyślić jakiś system ostrzegawczy!

Gottesknecht rozglądał się po izbie. Wreszcie Ziesche krzyknął „baczność!” i zameldował.

Gottesknecht węszył przez chwilę nosem. – Panowie palili! A fuj! to jest zabronione! – Potem podszedł do otwartej szafki, a była to szafka Zieschego, wziął w dwa palce jakąś książkę, wyciągnął ją z szafki i spojrział na tytuł. – Flex – powiedział – Wędrowiec między tym a tamtym światem, aha! Kto tu czyta takie rdzennie niemieckie książki?

– Ja, panie ogniomistrzu!

– Tak, tak! A w ogóle to ja mam też coś dla was do czytania, od mojej żony, która się wiecznie myje mieszanką z piasku morskiego i otrąbków migdałowych, obejrzyjcie sobie kiedy prospekt, może znikną wam od tego te krosty! – Chłopcy wybuchnęli śmiechem, Ziesche zaczerwienił się po same uszy. – Wolzow, Holt... chodźcie ze mną! – powiedział Gottesknecht.

Szedł chodnikiem przed nimi. – Tak. Zrobimy sobie teraz... Na północ biegiem marsz!

Na sekundę Holt i Wolzow zawahali się, nic z tego nie rozumiejąc, a potem puścili się biegiem ze wzgórza na dół. – Baczność! – Wrosli w ziemię jak drzewa, frontem do Gottesknechta, który stał w rozkroku na chodniku. – Padnij! – Rzucili się na ziemię. – Tak, a teraz migiem na czworakach do mnie! – Wdrapali się po stromym zboczu na górę. – Powstań!

– rozkazał Gottesknecht.

Spojrzał im w oczy, nie był wcale zły. – Ten Wolzow ciągle jeszcze pieni się ze złości!

Szkoda! – I prawie z troską w głosie: – Mam chyba rację, Wolzow, prawda? jesteście wściekli!

– Tak jest, panie ogniomistrzu!

– A widzicie! Poznają to po oczach! nauczyłem się tego od jednego owczarza, który też wszystko poznawał po źrenicach: ciążę, bóle brzucha, przepuklinę... A więc potrenujemy sobie jeszcze trochę, dopóki Wolzowowi złość nie przejdzie, wcześniej nie będę mógł z nim przecież spokojnie rozmawiać. Holt, dotrzymacie mu towarzystwa, żeby nie czuł się taki osamotniony.

Chyba macie ochotę potrenować sobie razem z nim, co? – zapytał, i znowu w jego głosie była troska.

– Tak jest, panie ogniomistrzu i – Cudownie! Widzicie, Wolzow, to jest przyjaźń!

Pokłusujecie teraz zboczeni w dół, aż do szosy, sto dwadzieścia metrów, wszystko dokładnie wymierzone! A później z powrotem, po zboczu w górę, żabką, znacie to?

– Tak jest, panie ogniomistrzu!

– Doskonale! Ale porządnie robić przysiady, ręce przed sobą, pięknie zginać kolana!... Ze zdrowiem chyba jesteście w porządku?

– Tak jest, panie ogniomistrzu!

– No więc! Wolzow, wy będziecie musieli chyba skakać całe popołudnie, bo robicie się coraz bardziej wściekli. No, ruszajcie!

Pokłusowali w dół. – Gilbert, on coś chce! Nie denerwuj się! – Niech mnie pocałuje w dupę!

– odpowiedział Wolzow.

I żabką wdrapali się na górę. Holt czuł, że uda zaczynają go już boleć, mięśnie łapie skurcz, a kolana drżą mu jak galareta. Wolzow go wyprzedził. Zbocze było strome. Koltowi zaczynało już brakować tchu. To od papierosów, przeszło mu przez myśl. Walczył ze sobą, żeby nie paść na ziemię i nie odpocząć. Dotarł do chodnika prawie bez ducha, nie czuł już wcale nóg, plecy go piekielnie bolały, słowem: był wykończony.

– No, jak było? – zapytał Gottesknecht. Palił papierosa, czapkę miał zsuniętą na kark, był

najwyraźniej w doskonałym humorze. – Prawda, Wolzow, że to idiotyczne?

– W każdym razie mocno wyczerpuje – odpowiedział Holt. – Człowiek jest jednak za mało wytrenowany!

– Tak? To musimy to częściej robić, nie mam nic przeciwko temu! – I Gottesknecht zwrócił

się do Wolzowa: – No, ciągle jeszcze jesteście źli?

Wolzow nie odpowiedział. Gottesknecht przymilnie się uśmiechnął. – Panie ogniomistrzu – powiedział Wolzow. – Melduję posłusznie, że mam tej żabki po dziurki w nosie!

– Po dziurki w nosie! Holt, słyszeliście? Wolzow, nareszcie jakieś mądre słowo, za to należy się „bardzo dobrze”, sprawiliście mi tym ogromną radość! – Gottesknecht wyjął swój notes. –

Panie ogniomistrzu! – powiedział Wolzow. – To „bardzo dobrze” nic mi nie pomoże, mam przecież koszarniaka!

– Mieliście! – powiedział Gottesknecht. – Od dziś wolno wam wychodzić na miasto, boście mi sprawili ogromną radość! To, że mieliście dziś po raz pierwszy wojska po dziurki w nosie, trzeba poza tym jeszcze jakoś uczcić, a zatem zapraszam was w sobotę wieczorem do kantyny na piwo, was też, Holt, za to, że jesteście takim wiernym Polluksem dla tego Kastora. Wiecie co, Wolzow? Zawrzyjmy pokój, macie teraz u mnie wielkie fory! Czy wiecie, dlaczego – tak się na was uwzięłem?

– Mogę sobie wyobrazić – mruknął Wolzow całkiem nie po wojskowemu. – Z powodu stryja Hansa!

– Te oficerskie synki – powiedział Gottesknecht – ach, jak ja ich lubię! Było raz tu takie ziółko, miał ojca majora, no i z miejsca się zaczęło; ja byłem jeszcze wtedy kapralem. Wiecznie się skarżył tatusiowi, a stary szpuntował dowódcę, tak że bez przerwy dostawałem opeer. Od tamtej pory jestem podejrzliwy, chyba potraficie to zrozumieć. Jeśli chodzi o was, Wolzow, to myślałem sobie: ten mi ściągnie całe OKL* [*OKL: Oberkommando der Luftwaffe – Naczelne Dowództwo Wojsk Lotniczych.] na kark. Nie! Nie zrobił tego! Tak głupi to on nie jest, myślałem sobie, żeby podjudzać generalicję w listach, które przechodzą przez moje ręce. Osiem dni temu pojechałem specjalnie autem za tą babką z kantyny, której daliście list na pocztę. Teraz go mam, myślałem sobie. No i guzik! „Tu jest pierwszorzędnie”, pisał w liście. Byłem rzeczywiście rozczarowany! – Wolzow i Holt śmiali się serdecznie. – Dlaczego właściwie nie wysłaliście tego listu pocztą polową?

– Dlatego, że pisałem, aby mi przysłano coś do palenia – odparł Wolzow. – I dlatego, że przetrzymuje pan zawsze pocztę przez trzy dni w kancelarii i – Waszej już nie będę – powiedział

Gottesknecht. – Będzie odchodziła teraz z miejsca przez specjalnego kuriera! Wasza też, Holt! –

I uśmiechnął się porozumiewawczo: – To musi być wspaniała dziewczyna, ta wasza Uta!

– Panie ogniomistrzu... – Holt czuł, że się rumieni. – Bardzo pana proszę... To jest – naprawdę prywatna korespondencja!

– A w ogóle jest do was list – powiedział Gottesknecht. Sięgnął do górnej kieszeni i wcisnął

Koltowi w rękę wąską, nieprzezroczystą kopertę. – Widzicie, jaki ja dla was jestem? Poszukajcie drugiego takiego przełożonego, który będzie waszym postillon d'amour. – Nagle spoważniał. –

Schmiedling złożył meldunek, żeby wam pozwolono ładować, Wolzow, i dowódca już się zgodził, ale podczas najbliższego alarmu sam się chce temu przyjrzeć. To tak na wszelki wypadek, żebyście wiedzieli!

– W porządku, panie ogniomistrzu.

– A teraz wracając do rzeczy – powiedział Gottesknecht szczerze zafasowany. –

Utrudniacie mi życie, Wolzow i Narobiliście sobie wśród starych, to znaczy wśród starszych junaków, wrogów i oni przy najbliższej okazji dadzą wam teraz paskudnego łupnia! Dowódca to lubi. Nazywa to samowychowaniem.

– Panie ogniomistrzu – powiedział Wolzow – ja nie chcę się przechwalać, ale tam nie ma nikogo, kogo mógłbym się bać.

– Ale będzie ich cały tuzin!

– Ja też mam przyjaciół. Holt zna dżiu-dżitsu, a Gomulka, jak już raz wyjdzie z nerw, to potrafi też całkiem zdrowo się łać!

– A widzicie – powiedział szef – to jest właśnie to, czego się boję! Nie tego, że wam dadzą w tyłek, bo to by mi nawet sprawiło szaloną przyjemność. Ale te walki partyjne, jak w starożytnym Rzymie... te rewolucje pałacowe, może nawet i ranni... A kto wie, czy kogoś nie zabijecie, Wolzow! I to wszystko z uszczerbkiem dla gotowości ogniowej! Dotychczas było tu całkiem spokojnie, ale tu też padają bomby! I taka bateria musi być w dobrej formie.

– Panie ogniomistrzu, myśmy nie zaczynali! – powiedział Holt.

– Ja wiem...

– Niech nas zostawią w spokoju! – wykrzyknął Wolzow. – My wcale nie strzelamy gorzej niż ci starzy. Ja nie mam nic przeciwko nim, ale niech nas zostawią w spokoju i niech nas wreszcie raz uznają.

– Byłem w Bercie u hamburczyków – rzekł Gottesknecht. – Wolzow dostanie wycisk, i Holt razem z nim”, powiedzieli. Surowo im tego zabroniłem, ale co to pomoże? Dowódca nie ma nic przeciwko temu!

– No to wszystko musi pójść swoim biegiem, panie ogniomistrzu!

– Jest wyjście – powiedział Gottesknecht, zastanawiając się nad czymś, i wparł się w Wolzowa oczyma. – Cała ta komedia się skończy, jeżeli ktoś im to wyperswaduje. Jeżeli dowódca im tego zabroni! Ale ktoś z góry musiałby dowódcę... rozumiecie? Zostawię was w kancelarii zupełnie samego i możecie całkiem swobodnie porozmawiać przez telefon ze swoim stryjem!

– Generał ma inne zmartwienia, panie ogniomistrzu.

– Szkoda – powiedział Gottesknecht, i poprawił sobie pas. – Powiedzcie reszcie, że bateria nie będzie dziś miała działoczynów. Będzie czyszczenie broni, a potem wolne.

Wtajemniczyli we wszystko Gomulkę i dla ostrożności poszli wieczorem na stanowisko, na próbę przewodów, we trójkę. Ze starego chodnika oderwali parę desek i trzymali je w izbie na podporządku. Ziesche przyglądał się tym przygotowaniom w milczeniu. – Jeżeli szpiegujesz dla hamburczyków – powiedział Holt – to... – Vetter wpadł z miejsca na pomysł: – To będziemy cię co noc wsadzać do beczki z wodą! – Ziesche nie odezwał się ani słowem.

Holt odebrał z kancelarii swój znak tożsamości i zarazem pocztę dla Wolzowa. Nareszcie miał teraz czas, żeby przeczytać list od Uty.

– Mój stryj dostał awans na generała porucznika! – wykrzyknął Wolzow. – To się nazywa kariera oficerska! – Ziesche był zaskoczony. – Generała? A więc to dlatego taki wielki pysk!

– Tylko bez zazdrości! – mruknął Wolzow, najwyraźniej w doskonałym humorze.

Holt leżał na łóżku. Jest bardzo osamotniona, pisała Uta. Od czasu do czasu chodzi do Wiesów, to są jedyni ludzie, z którymi utrzymuje stosunki towarzyskie. Z wielkim zainteresowaniem śledzi się tam wszelkie wiadomości o życiu w jednostkach obrony przeciwlotniczej kraju. Dlaczego ona pisze tak rzeczowo? pomyślał. Dlaczego trzyma się tak w ryzach? No, nareszcie kilka serdeczniejszych słów: Jego listy sprawiają jej wiele radości, niech on sobie będzie, jaki jest, ale w jej monotonne, bardzo szare życie wnosi jakiś promyk ciepła... Leżał bez ruchu i marzył... Gdy się ocknął, była już prawie dziewiąta wieczór. Gomulka zamiatał. O dziesiątej był capstrzyk. Vetter, Rutscher i Wolzow grali w skata. Wolzow powiedział przez ramię: – Te, śpiochu! Twój suchy prowiant jest w szafce.

Według przepisów szafki należało trzymać zamknięte, otwarta szafka oznaczała

„prowokację do kradzieży koleżeńskiej”. Tu nie brano tego tak dosłownie.

Holt chciał jeszcze tego samego wieczora Ucie odpisać, ale akurat rozległ się dzwonek alarmowy. Zostało ich tylko sześciu junaków przy dziale, Kirsch, Branzner, Kattner i Weber należeli nocą do Berty. Na zastępstwo tej czwórki przydzielono im pięciu ludzi z obrony przeciwlotniczej, jako amunicyjnych. Niewyspani, spracowani ludzie siedzieli w schronie obsługi działa i palili papierosy.

Holt siedział jako k2 na mechanizmie kierunkowym. Ziesche był działonowym. Schmiedling sięgnął po rękawicę ładowniczego, ale Wolzow zaprotestował. W tym samym momencie ogłoszono alarm ogniowy, a w miastach zawyły syreny... Ziesche odbierał pierwszy komunikat sytuacyjny: Silne formacje samolotów bojowych lecą przez Holandię na Kolonię-Essen... Tu padają bomby! – pomyślał Holt słowami Gottesknechta. Owinął się szczelniej szorstkim płaszczem.

– Samoloty nieprzyjaciela biorą kurs na wschód – meldował Ziesche. Na SD2 czekał już seter, kapitan kłął w ciemnościach. W kilka sekund później w powietrzu zahuczało denerwujące wycie silników. – Strzelać według namiarów! – zawołał Ziesche. Ale nieprzyjaciel był daleko poza zasięgiem skali zapalnika. Przez pół godziny przelatywały stroną północną formacje bombowców. Stożki reflektorów kłuły na horyzoncie niebo. A gdzieś daleko grzmiała ciężka artyleria

przeciwlotnicza.

– Münster! – informował Ziesche. – Tam stoją baterie kadrowe, a także 128–

i 150-milimetrowe działa kolejowej artylerii przeciwlotniczej! – Za piętnaście jedenasta alarm ogniowy odwołano. W miastach zawyły znowu syreny.

Holt patrzył przez wał ziemny w noc. Nad SD2 widać było bladą smugę światła. Postać kapitana, podobna do upiora, pojawiała się i znikła na stanowisku działa. Reflektory przeszukiwały niebo i rozświetlały pokrywę z chmur. – Zespoły bombowców zrzucają bomby w rejonie Hanower-Brunszwik – meldował Ziesche.

– Odwał się, śpiąca królewno – pyskował Wolzow. – Rutscher, jazda, zapychaj jako k7, ta oferta z obrony przeciwlotniczej jeszcze mi tu zaśnie!

Holt spojrział na zegarek. Tarcza była ledwie widoczna. Do łóżka! – pomyślał, ale Ziesche zawołał: – Anton, zrozumiano! Znowu alarm ogniowy! – Holt jeszcze raz sprawdził na mechanizmie kierunkowym maleńką żaróweczkę, która oświetlała skalę. Syreny na nowo zawyły na alarm.

– Lufy kierunek trzy! – zawołał Ziesche. – Macie rękawicę, Wolzow? – zapytał

Schmiedling. – Związki bombowców ominęły swoje cele w Niemczech środkowych i nadlatują od wschodu nad rejon Kolonia-Essen – meldował Ziesche. – Trzymać w pogotowiu amunicję! –

krzyknął na cywilów z obrony przeciwlotniczej. – Cicho! Komunikat sytuacyjny! – Nasłuchiwał.

Naokoło była czarna noc, słycać było tylko stłumiony warkot silnika, który zaopatrywał

akumulatory radiopelengatora w prąd. – Anton, zrozumiano!... Eskadry myśliwców nadlatują nad Dortmund, towarzyszą im zespoły bombowców. – Schmiedling wyjaśnił: – Te eskadry to będą pewnie lightnigi albo mosquity, my je zwiemy tropicielami, bo lecą naprzód i wskazują cel Flarami!

W tym samym momencie niebo na zachodzie rozbłysło czerwoną łuną. Płomień buchał aż po same chmury. – To wielki piec stalowni! – zawołał Ziesche. Teraz palić wielki piec, pomyślał

Holt, gdy nadlatują bombowce!

Wolzow upominał Rutschera: – Słyszysz!... Biada, jak nie będę miał naboju na nastawnicy!

Ziesche! Pilnuj dopływu amunicji!

– Zespół myśliwców minął Dortmund! – zawołał Ziesche. – Bombowce szukają teraz jakiegoś celu, żeby pozbyć się swego ładunku! – Dortmundzkie baterie, komunikował

Schmiedling, nie strzelały do tropicieli. – Kutschera strzyło, jak ma do czego strzylać...

Widzicie... – mówił – bombowce nie miały gdzie się pozbyć tego świństwa, to tera lecą na nas! –

Ziesche zawołał: – Dowódca baterii stawia dwie butelki wódki dla obsługi, która odda wszystkie serie!

– Wolzow! – krzyknął Schmiedling. – Dajcie no lepiej mnie rękawice! – Holt słyszał

w swoim hełmofonie trzaski i huki. Ziesche wrzasnął: – Samolot trzy! Strzelać według namiarów! – Jakiś wyraźny, spokojny głos mówi w hełmofonie Holta: „Piętnaście-zero-zero, piętnaście-zero-zero, piętna-ście-dziesięć...” Mały obrót pokrętle i Holt zawołał: – Kierunek gotów! – Usłyszał jeszcze głos Zieschego: „Anton gotów do otwarcia ognia!” oraz „Seria...

ognia”, a potem już huknął strzał, błyskawica rozdarła noc, podrzuciło go na siedzeniu i opadł

ciężko na nie z powrotem.. – Ognia! – Dzwonek sygnału ogniowego dzwonił jak opętany, znowu padł strzał, i znowu w hełmofonie zabrzmiał wyraźny głos: „Kierunek piętnaście-dziesięć!” – Zmiana punktu celowania! – wrzasnął Ziesche. Holt obrócił się razem z działem o sto osiemdziesiąt stopni. „Kierunek czterdzieści siedem-dziesięć...” – Cel ruchomy... Ognia! – Znowu huknęło i Holt usłyszał równocześnie wystrzały pozostałych pięciu dział, jak ciężki grzmot...

Nagle zrobiła się śmiertelna cisza. Ogień innych baterii w ogóle się nie liczył wobec piekła własnych wystrzałów. – Przerwać ogień! – Ziesche mruknął: – To nonsens strzelać do mosquitów! One są przecież o wiele za szybkie. – Wolzow pieklił się. – Kopnę cię w dupę, jak mi nie będzie lepiej grało z amunicją!

– Spokój! – wrzasnął Ziesche.

– Popatrzcie no tam! Tam! – Holt zamarł z przerażenia.

Na zachodzie noc dygotała od ognia ciężkiej artylerii przeciwlotniczej. Ciemności rozstąpiły się, było oślepiająco jasno. Pokrywa z chmur na zachodzie połyskiwała jak srebro, a z nieba lał

się deszcz promienistego światła... było to wspaniałe, zatykało dech i napawało człowieka obezwładniającym strachem... – Sygnały świetlne! Teraz dopiero zacznie się piekło! Głos Vettera dolatujący od strony mechanizmu nastaw zapalnika: – Werner, Gilbert, o Boże! –

Schmiedling jęczał: – Jezus... Maryja... apostołowie i wszyscy święci... miejcie w swojej opiece tych biednych ludzi!

– To nad Oberhausen! – wykrzyknął Ziesche. Oberhausen, uświadomił sobie nagle Holt zadziwiająco wyraźnie, to zaledwie piętnaście kilometrów stąd...

Nagle, w smudze światła, pojawił się na stanowisku działa kapitan, z gołą głową, otulony w swój obszerny skórzany płaszcz. Walnął Wolzowa pięścią w żebra, i twarz Wolzowa wykrzywiła się w wymuszonym uśmiechu. – Zaraz się zacznie! – huknął. – Schmiedling, bądź

w pogotowiu, bracie, jak Wolzow nawali! – Potem odszedł. Schmiedling zawołał: – Te dwie flachy muszą być nasze!

Ogień artylerii przeciwlotniczej na zachodzie umilkł. Teraz odezwał się huk dział gdzieś blisko na wschodzie. – Bochum strzela! Bombowce nadlatują! – I już też niebo zadygotało od ryku silników. – Samolot trzy! Strzelać według namiarów, nalot bezpośredni! – Znowu ten uspokajający, wyraźny głos w hełmofonie Holta: „Kierunek szesnaście-osiem-dziesiąt!” Holt zameldował gotowość. Usłyszał głos Gomulki! kto wie, jak długo już tak brzmiał w hełmofonie.

I znowu: „Seria...” Ognia! – pomyślał Holt i otworzył usta, ale zamiast tego słowa głos w hełmofonie powiedział z ubolewaniem: „Zakłócenia... Cel zniknął z zasięgu pelengatora...”

Przerwa!” – Pelengator wysiadł! – krzyknął Ziesche. – Stały ogień zaporowy, kierunek szesnaście-osiemdziesiąt, wysokość pięćdziesiąt pięć, zapalnik dwieście dziesięć! – „Gotowe!”, odkrzyknięto mu, a potem znowu głos Zieschego, zmieniony prawie nie do poznania: „Ogień zaporowy... ognia!” I już też błyskawica w oczach, huk i grzmot bez ustanku, a między wystrzałami wrzask Wolzowa: „Amunicję, prędeż!” – Zapora stój! Kierunek czterdzieści osiem-sześćdziesiąt! – Holt obrócił działo znowu o sto osiemdziesiąt stopni. – Zapora... ognia! –

W hełmofonie zatrzeszczało: „Mamy ich znowu, włączamy się! Kierunek czterdzieści osiem-dwadzieścia!” – Kierunek gotów! – Czy to mój głos? Strzelać według namiarów, ognia!

Otworzyć usta, i znowu te nie do zniesienia grzmoty wystrzałów, a między nimi wrzask Wolzowa: „Amunicję, prędeż!”

Jak długo mogło to trwać? Zmiana punktu celowania i punktu wyprzedzenia, a pomiędzy tym ogień zaporowy, bo z nieba leciały skrawki staniolu i pelengator raz po raz wypadał

z akcji... godzinami, latami, całą wieczność? Teraz była grobowa cisza. Na zachodzie, gdzie rozświetlała niebo bajkowa feeria sygnałów świetlnych, biły w górę aż po pokrywę z chmur krwistoczerwone łuny pożarów. – Przeszły! – powiedział ktoś. A Ziesche, zupełnie ochryłym głosem: – Oberhausen... pali się i pali!

Z SD2 doleciało poprzez noc wołanie: „Alarm ogniowy odwołany!” Holt wstał ze swojego siodełka. Chwiał się na nogach i potykał o puste łuski, które leżały wszędzie naokoło. Był prawie głuchy. Zrzucił hełmofon i zdjął ochraniacze słuchu. Twarz miał zupełnie mokrą. Czyżbym płakał? Od ogromnej, niesamowitej łuny na zachodzie padał słaby odbłask na stanowisko działa.

Holt zapatrzył się w to dalekie morze płomieni. Tam są ludzie, w tym ogniu, pomyślał. Ale myśl ta nie potrafiła wywołać w nim żadnego wyobrażenia... Twarz Gomulki była obca i postarzała. –

Zużycie amunicji?! – pytał Ziesche, – Kto by tam liczył łuski po nocy! – powiedział Wolzow.

Ziesche krzyknął niecierpliwie: – Przecież możecie policzyć puste kosze w bunkrach!

Schmiedling siedział na ramieniu lawety i o nic się nie troszczył; paląc papierosa mówił do Holta: – Wygrałem wielgi los, że mi się trafiła taka obsługa.

– Zużycie amunicji? – zawołał znowu Ziesche. – Ci cywile z przeciwlotniczej są tacy leniwi jak zaraza! – pyskował Wolzow. Wreszcie nadszedł meldunek: „Trzydzieści cztery kosze!” Oznaczało to,

że oddano dwieście dwa strzały. Ziesche podał jeszcze ostatni komunikat o sytuacji w powietrzu: – Wszystkie zespoły odlatują przez Holandię. Pogotowie bojowe odwołane. – Junacy mogli pójść do łóżka. Grupa zaopatrzenia i cywile z obrony przeciwlotniczej znosili w pobliże dział kosze z amunicją i naprawiali szkody, jakie powstały na stanowiskach dział i w barakach wskutek podmuchu.

Holt siedł razem z Gomulką przez czerwoną od pożarów noc. – Uczciwie, Sepp... miałeś stracha? – Gomulką zwlekał chwilę z odpowiedzią, ale wreszcie się przyznał: – Tak, balem się...

– To zresztą żadna hańba – powiedział Holt, – Trzeba tylko umieć to w sobie zdławić.

– Słuchajcie! To, co się dziś w nocy działo z Friedą, kwalifikuje się na sąd polowy! –

Kutschera stał przed zebraną w szeregu baterią, z rękami w kieszeniach płaszcza. – Macht, co z was za puszkarz, że przy takiej zabawce jak dzisiejsze strzelanie szpryca rozlatuje się w drobny mak? – Zawsze ryczał jak lew, ale teraz jego głos był wprost niesamowity: – Jeżeli ta armata nie będzie lepiej strzelać, zamknę całą obsługę! – Pies podniósł się na przednich łapach i zaczął

warczeć. Kutschera trącił go butem. – Zamknij pysk, człowieku!... Inne działa były w porządku.

Przy Antenie wszystko szło pierwszorzędnie, tam strzelali jak wściekli! – Starsi junacy zaczęli szeptać między sobą. – Ten Wolzow to szatani – zagrział Kutschera. A do Gottesknechta: –

Dajcie mu dodatkową przepustkę. – Parę sekund stał niezdecydowany przed frontem baterii. –

Ach, głupstwo! – powiedział wreszcie, odwrócił się na pięcie i zniknął we mgle poranka.

Na drodze czekały wozy z amunicją. Chłopcy aż do obiadu znosili w koszach naboje do bunkrów magazynu zapasowego. Popołudnie przespali.

We dnie i w nocy pędził ich dzwonek do działa. Takie było ich życie, przez długi czas.

W listopadzie noce przyniosły ze sobą trzaskający mróz. Uporczywa mgła, która rankami wisiała nad stanowiskiem ogniowym, utrzymywała się często aż do późnego popołudnia.

Codziennie ciągnęły niebem formacje bombowców. Ciągłe alarmy, noce przy dziale i ogień, którym kapitan Kutschera częstował każdy samolot, stały się prędko dla dwudziestu ośmiu chłopców rzeczą normalną. W południe 5 listopada bombardowano Essen, Gelsenkirchen i Munster, i bomby, przeznaczone dla okolicznych zakładów, przemysłowych, padały prawie tuż przy stanowisku ogniowym.

W tydzień później Holt leżał pewnego popołudnia na łóżku” Wolzow czytał swoje podręczniki strategii, inni grali w skata, Ziesche czytał na głos gazetę: – „W Niemczech jest najwyżej paru zbrodniarzy, którym marzy się zwycięstwo aliantów, bo mogliby na nim coś zyskać, ale my sobie z tymi zbrodniarzami poradzimy!”... Co to jest? – powiedział na pytanie Gomulki. – Ty pewnie śpisz, co? To jest mowa Führera z dziewiątego listopada! – I czytał dalej:

– A teraz co do wojny powietrznej! „...czy ci panowie wierzą, czy nie, godzina odwetu nadejdzie!”, „...żołnierze zerwali się z miejsc, podnieśli ręce do pozdrowienia i z błyszczącymi od łez oczyma, dumni i szczęśliwi, krzyknęli heil-heil swemu ukochanemu Wodzowi...”

– Poczytaj sobie lepiej komunikat wehrmachtu – powiedział Gomulka spokojnie. – Upadek Kijowa też cię może przyprawić o błyszczące od łez oczy! – Ziesche rzucił mu wściekłe spojrzenie i czytał dalej, tym swoim ochrypłym, nieco za wysokim głosem: – „Słońce każdy potrafi znieść, ale dopiero podczas burzy i piorunów okazuje się, kto ma mocny charakter, a kto jest słabeuszem...” – Holt był tak zmęczony, że już tylko strzępki zdań docierały do jego świadomości: – „...na ostatku czeka nas zwycięstwo... nigdy nie tracić nadziei... wyjść stąd z fanatyczną ufnością... z fanatyczną wiarą... że nic innego nas nie czeka, tylko zwycięstwo!” –

Zabrzmiał dzwonek alarmowy. Vetter szpetnie zaklął i otworzył okna.

Przed wieczorem do baraku Dora przyszedł jak zwykle w odwiedziny Zemtzi. Bardzo szybko awansował na pomocnika szyfranta i ponieważ nocą odbierał meldunki z sieci, która łączyła wszystkie baterie i podgrupy ze sobą, był zawsze dobrze o wszystkim poinformowany. –

Doszło do mnie właśnie z podgrupy – powiedział – że ten handley page halifax, którego zestrzelono we wtorek, poszedł na konto myśliwców! – Vetter oburzył się: – Myśliwców? Coś takiego!

Ostatnio strącono gdzieś w pobliżu trzy czterosilnikowe bombowce. Za każdym razem dochodziło między bateriami do zażartych kłótni, ale Kutschera machał na to ręką i nie domagał

się, żeby zestrzelone samoloty zaliczono na konto jego baterii. Schmiedling tłumaczył to tak:

„Ten, co je naszym dowódcą, major Behling, nie może znieść naszego starego”. Kłótnie między bateriami doprowadzały z reguły tylko do tego, że pretensje do zestrzelonych samolotów zgłaszały stacjonujące w pobliżu eskadry myśliwców, i w końcu im je przyznawano.

Ale dziś zirytowało to już Wolzowa. Miał chrapkę, jak zresztą wszyscy, na strzelecką odznakę przeciwlotniczą, którą przyznawano ciężkim bateriom po sześciu zestrzeleniach.

– To jest podłość! – zapał Zemtzi. Potem odchrząknął i nadał swemu głosowi możliwie jak najgłębsze brzmienie, bo Gottesknecht dał mu kiedyś za ten zupełnie „niewojskowy piskliwy głos” niedostatecznie. – Ja byłem we wtorek obserwatorem! Ten Halifax spadł dopiero w godzinę potem, jak myśliwce odleciały!

– To jest świństwo wołające o pomstę do nieba! – pyskował Wolzow. Rozebrał się i położył

do łóżka. Zgodnie z rozkładem zajęć pobudkę robiono o wpół do siódmej rano, ale po każdym nocnym alarmie wolno im było spać dłużej. Przeważnie jednak służbowy, junak, który był

przydzielony podoficerowi dyżurnemu na pomocnika, wyciągał ich z łóżek około wpół do ósmej. O ósmej rozpoczynały się lekcje. Do tej godziny łóżka musiały być już zasłane, a izby sprzątnięte, bo w przeciwnym razie podoficer dyżurny, wywracał wszystko do góry nogami.

Lekcje były jedną wielką farsą. Prawie codziennie uniemożliwiał je alarm. Pięć razy w tygodniu pojawiali się rano w baterii nauczyciele z gelsenkircheńskiego gimnazjum i uczyli przez trzy godziny każdy swego przedmiotu. Wtorek był tak zwanym „dniem szkolnym”.

Wszyscy junacy z baterii chodzili na lekcje chemii i fizyki do Gelsenkirchen; bateria była w tym czasie niezdolna do walki.

Przez te trzy godziny lekcji, które nauczyciele prowadzili w barakach mieszkalnych baterii, chłopcy męczyli się okropnie i czekali z utęsknieniem na dzwonek alarmowy.

Pierwszy „dzień szkolny” junacy z klasy Holta spędzili w gelsenkircheńskiej szkole tylko dlatego, że nie znali jeszcze panujących tu zwyczajów. Starsi junacy co prawda też jeździli do miasta, ale wysyłali do szkoły jedynie paru spośród siebie. Teraz także klasa Holta zaczęła uważać przedpołudnia wtorkowe za święto. Od dziewiątej do pierwszej siedzieli w kawiarni, gdzie pili oranżadę i spotykali się z przyjaciółkami, to znaczy z uczennicami esseńskich, gelsenkircheńskich i wattenscheideńskich szkół żeńskich. Kutschera kazał prowadzić w szkole listę obecności, którą od czasu do czasu sprawdzał, ale Branzner, który sam nigdy nie opuszczał

lekcji, usprawiedliwiał zawsze Holta i swoich przyjaciół tysiącem wymówek w rodzaju: „chory” albo „niezbędny w baterii”. Szczególnie ulubioną wymówką były usprawiedliwienia całkowicie nonsensowne: „Holt musi dziś myć lufę”, „Wolzow i Gomulka są nieobecni z powodu odczytu dokładnego”.

Wyszukali sobie małą kawiarenkę w Gelsenkirchen, Cafe Italia, przy Rotthausener Strasse, która prowadziła do Essen. Dokoła wszystko leżało w gruzach. Ta kawiarenka jakoś dotąd przeżyła wszystkie nocne naloty. Był tam, ku radości Wolzowa, nawet bilard. Zadzierzgnęli też kontakty z pewnym żeńskim gimnazjum. Wśród siedemnastoletnich uczennic – młodsze roczniki ewakuowano – przyjaźnienie się z junakiem należało do dobrego tonu. Nawet Vetter nawiązał

znajomość i puszczał mimo uszu wszelkie dwuznaczne docinki; dokuczali mu, bo dziewczę, które go sobie wybrało, było chude jak tyka. Także Wolzow siedział tam pewnego dnia z jakąś pulchną blondynką i chwalił się wieczorem w izbie, że się z nią umówił i co to się wtedy będzie działo. Ale radość ta trwała niedługo. – Wszystko skończone! – powiedział do Holta. – Chciałem jej tylko trochę zajrzeć za dekolt, ona zaczęła nagie odstawiać hrabiankę! – Wrócił na nowo do swoich podręczników strategii. W następny wtorek poszedł nawet do szkoły i postawił tym samym w głupiej sytuacji Branznera, który już zdążył go usprawiedliwić, że jest nieobecny, bo musiał, „obserwować odrzuty lufy”.

Doktor Klage, nauczyciel matematyki z Essen, miał jakieś trzydzieści pięć lat; był to spokojny i poważny człowiek, który mimo nie sprzyjających warunków usiłował czegoś chłopców na lekcjach nauczyć. Przez swój zdecydowany, a przy tym wyszukanie uprzejmy sposób obchodzenia się z uczniami zyskał sobie niemal coś w rodzaju szacunku i był jedynym spośród nauczycieli, którego cotygodniowe wizyty w baterii traktowano nie jak cczą formalność. Holt podziwiał w głębi duszy cierpliwość, jaką Klage wykazywał nawet w stosunku do pozostających w tyle i tak trudnych uczniów jak Wolzow i Vetter. Według planu lekcji uczyli się właśnie trygonometrii i doktorowi Klage rzeczywiście udało się wzbudzić w Holcie, po raz pierwszy od lat, zainteresowanie do lekcji.

Ale Wolzow miał tylko wyzwiska dla tego już siwowłosego człowieka, który uchodził za chorego, choć nikt właściwie dokładnie nie wiedział, jakiego rodzaju jest choroba, na którą doktor Klage cierpi; przebąkiwano tylko, że to kamica nerkowa. Bywały dni, że doktor Klage siedział za swoim stołem blady, z zapadłą twarzą, nękany kolką, od której występowały mu na czole perliste krople potu. „Wszystko komedia, udawanie – mawiał wówczas Wolzow. – Facet usiłuje wykręcić się od frontu!” Nienawidził Klagego, z którym zadarł już w pierwszych dniach.

Miał wówczas rozwiązać zadanie przy tablicy, ale choć został wywołany, siedział dalej na swoim miejscu, jakby go lekcja w ogóle nie obchodziła. Doktor Klage, któremu ordynarne zagrania Wolzowa nie były jeszcze znane, stanął tuż przy jego ławce i powtórzył: „Wolzow, proszę iść do...” – „Niech mi pan da święty spokój!”, krzyknął Wolzow i zerwał się tak gwałtownie z miejsca, że nauczyciel cofnął się instynktownie i uczynił ruch, jakby chciał się zasłonić rękoma; ale w tym geście samoobrony dotknął niechcący piersi Wolzowa.

„Bić mnie pan chce?! – krzyknął Wolzow. – Bić...?” Holt, który siedział za nim, złapał go za pas: „Gilbert, daj spokój!” – „Bić, co to za zwyczaj?!” wrzasnął Vetter ze swego kąta. Wolzow, który na skutek interwencji Holta nieco się opamiętał, opuścił barak ze słowami: „Mnie, najlepszego ładowniczego w baterii, nie będzie taki bił!”

Doktor Klage poskarżył się Kutscherze. Kutschera zwykle w takich wypadkach objeżdżał

jeszcze nauczycieli: „Strzelanie jest ważniejsze niż łacina!” Tym razem jednak, tylko dlatego, żeby formalnościom stało się zadość, przesłuchał jednego świadka, przy czym wybrał sobie akurat Vettera, i podczas popołudniowego apelu ryknął: „Słuchajcie! Wolzow pobił się z jednym z nauczycieli! Niesłychane wprost!” A potem: „Przesłuchałem jednego, i ten opowiada niestworzone rzeczy, ale on kłamie! Doktor Klage znów mówi co innego, ale on też kłamie!”

Jeżeli obie strony kłamią, nie widzę powodu, żebym miał się w to mieszać! Rzekłem.” Gwizdnął

na psa i wycofał się do swojej kwatery. Wolzow tryumfował: „Dowódca też przejrzał na wylot tego dekwownika”.

Gdzieś z początkiem grudnia Klage pojawił się w 107 baterii jako członek cywilnej obrony przeciwlotniczej. Noc była akurat zimna i gwiazdzista. Ziesche miał przepustkę na noc, Rutscher leżał z zapaleniem migdałów na izbie chorych. Ponieważ więcej junaków było chorych, obsługiwano tylko pięć dział. I nagle przy dziale Anton pojawił się doktor Klage i powiedział: –

Dobry wieczór! – Wszystkich zatkalo. Klage chyba znowu miał – te swoje kolki, bo wyglądał na chorego i wymęczonego.

Wolzow szybko jednak ochłonął ze zdumienia, ściągnął z ręki rękawicę ładowniczego i powiedział przeciągle: – No to w takim razie... – po czym zwrócił się do Schmiedlinga: –

Stłukłem sobie łokieć! – I przejął funkcję działonowego.

Dali kilka serii do grupy szybkich samolotów bojowych. Podczas przerwy w strzelaniu przysunął się do Wolzowa Vetter i zaczął go judzić: – Klage siedzi cały czas w bunkrze!

– Dobra jest! – powiedział Wolzow zadowolony. I krzyknął: – Gdzie jest Klage? – Klage, trzymając się rękoma za brzuch, wyłonił się ze schronu dla obsługi. – To tam się pan zadekował!

Niech pan pozbiera prędko te łuski, jazda!

– Wolzow – powiedział nauczyciel – ja...

– To jest działonowy – wrzasną! Vetter – i należy go słuchać! – Wolzow ryknął: – Dziesięć razy naokoło stanowiska! Biegiem marsz! – Zanim Holt zdążył się w to wmieszać, Klage, mruknąwszy coś pod nosem, skierował się już na SD2.

Ale nie znalazł u Kutschery poparcia. Kapitana właśnie pytał major, po co właściwie strzelała sto siódma, skoro był zakaz strzelania, przecież, do jasnej cholery, nieprzyjaciela atakują nasze myśliwce! Kutschera był więc w złym humorze i objechał nauczyciela: –

Zwariował! Nie wykonać rozkazu... widział to kto! Niech pan złoży skargę jutro drogą służbową!

Radiopelengator miał już w swoim zasięgu jakąś nadlatującą formację. – Zemtzi – ryknął

Kutschera – zameldujcie podgrupie, że nic nie mogliśmy zrozumieć! Gottesknecht, otworzyć ogień, piorunem!

Klage, wróciwszy na stanowisko, wpadł prosto pod wylot lufy i akurat w trakcie pierwszego strzału.; fala sprężonego powietrza rzuciła oślepiętego biedaka w kąt stanowiska.

– On się znowu dekuje – stwierdził Wolzow i opętany wprost żądzą władzy pognął swojego nauczyciela matematyki naokoło stanowiska. Holt i Gomulka nosili naboje. Gdy spostrzegli, co się przy dziale dzieje, było już za późno.

Doktor Klage poszedł następnego dnia do majora i poprosił o przeniesienie do innej baterii.

Holt sporo myślał o tym zajściu. Przypomniawszy sobie przy tym niektóre swoje rozmowy z Peterem Wiesem – Nauczyciele – powiedział do Gomulki – powinni być właściwie naszymi wychowawcami... – Gomulka milczał. A potem powiedział: – Wiesz, ten Wolzow... – I zamilkł, zaciskając zęby.

W stosunkach Wolzowa ze starszymi junakami nic się nie zmieniło. Poprzestawano w dalszym ciągu na groźbach, z których Wolzow pokpiwał: „Nie odważą się!” Ale nagle doszło znowu do awantury.

Każdemu junakowi przysługiwał raz na rok czternastodniowy urlop wypoczynkowy, tak zwany „wielki urlop”. Niezależnie od tego dawano regularnie przepustki na jeden dzień albo na jedną noc tym, którzy tu mieszkali. Przepustka dzienna zaczynała się o drugiej po południu, a przepustka nocna o szóstej wieczór i trwała do siódmej rano. Nowi otrzymywali przepustki od wieczora albo od południa do dwunastej w nocy.

Z powodu tych przepustek właśnie wybuchła jednego dnia awantura. Wilde z Hamburga, serdeczny przyjaciel Günschego, prowadził ewidencję przepustek. Holt dość prędko wyniuchał, że hamburczycy rozdzielają przepustki przede wszystkim między siebie. Wobec tego Wolzow wziął sprawę w swoje ręce. Gdy Ziesche dostał przepustkę na noc, złożono radę. Vetter powiedział: – Nie powinniśmy robić o to, piekła! Jak my będziemy starymi, to też będziemy tylko sobie dawać przepustki! – Gomulka zaprotestował: – Jak ja będę kiedyś prowadził listę, to wszystko musi być sprawiedliwie! – Holt go poparł. Postanowili więc przyłapać starszego junaka Wildego na gorącym uczynku. Przez trzy tygodnie prowadzili ewidencję przepustek na własną rękę, aż wreszcie zebrali dostateczny materiał dowodowy. W ciągu trzech tygodni Günsche dostał przepustkę trzy razy, Holt raz, Pingel Otto cztery razy, Kirsch dwa razy.

Wieczorem dziewięciu ludzi z obsługi działła Anton pisało zażalenie. Kolektywne zażalenia uchodziły za bunt; nie wolno też było zbiorowo składać zażaleń. Wobec tego każdy pisał osobno swoją skargę, a potem, przez półtorej godziny, jeden po drugim, zjawiali się w kancelarii i oddawali swoje raporty osłupiałemu podoficerowi dyżurnemu. Treść wszystkich raportów była prawie jednakowa, materiał dowodowy identyczny. Zgodnie z regulaminem wszelkie zażalenia musiały dotrzeć do Gottesknechta. Gottesknecht przyszedł do nich do baraku jeszcze tego samego wieczora. Dla zachowania pozorów zrobił przegląd szafek, poprzewracał nawet niektórym wszystko do góry nogami i zaaplikował Wolzowowi i Vetterowi dwadzieścia pięć przysiadów za „niedozwolone uśmieszki podczas przeglądu szafek”. Potem dał wszystkim

„bardzo dobrze” za to, że „mają główkę”.

Kapitan przez dwa dni milczał. „Nie chce swoim ulubieńcom robić przykrości”, mówił

Wolzow. Ale na trzeci dzień podczas porannego apelu Kutschera ryknął: – Starszy junak Wilde, wystąp! Ci bandyci od Antona złożyli zażalenie, że fałszujecie listę przepustek. Zbadałem sprawę. Skarga jest słuszna! – A do Gottesknechta: – Wilde ma czternaście dni koszarniaka! –

I teraz dopiero huknął na zgłupiałego junaka: – Człowieku, jak już robisz kanty, to tak, żeby potem

mnie tym świństwem nie obciążano!

Ziesche, który poszedł tego dnia do hamburczyków i obijał się przez cały wieczór po baraku Berta, powiedział po powrocie: – Aleście sobie nawarzyli piwa! Są wściekli jak diabli! – Dla ostrożności Holt, Wolzow i Gomulka chodzili teraz już tylko we trójkę po stanowisku.

Holt dostał przepustkę. Była sobota. Pojechał tramwajem do Essen. Może spotkam którąś z tych dziewczyn, myślał sobie, snując się z hełmem u ramienia po Kaiserstrasse. Ludzie dziwnie się spieszyli. To rezultat tych ciągłych alarmów, pomyślał Holt. Paru HJ-führerów, którzy go pozdrowili wyciągnięciem ręki, nie raczył w ogóle zauważyć, ale jakiemuś majorowi wojsk pancernych z Niemieckim Złotym Krzyżem zasalutował z całym szacunkiem. Potem stanął przed kinem. Wielki król Yeita Harlana, na – fotosach Gustav Fröhlich i Kristina Söderbaum. Narodowa chała, pomyślał.

Nagle zauważył jakiegoś junaka przy boku diabelnie zgrabnej dziewczyny. To przecież Ziesche! – pomyślał i przyspieszył kroku. Wyprzedził ich i zasalutował.

To nie była żadna dziewczyna, z którą jasnowłosa, nieco przytłusty Ziesche szedł pod rękę, to była ciemnowłosa kobieta lat jakichś dwudziestu pięciu. Zwróciła do Holta wąską, dziewczęcą twarz i swymi ciemnymi oczyma spojrzała najpierw na niego pytająco, zanim odpowiedziała na jego pozdrowienie skinieniem głowy. Stali na środku chodnika, a z obydwu ich stron płynął

strumień ludzi. Ziesche odchrząknął, a potem dokonał prezentacji: – Kolega, Werner Holt. Moja matka!

– Może byś tak łaskawie dodał – powiedziała szybko i trochę prowokująco, z południowoniemieckim akcentem, zgrabna kobieta – że jestem twoją macochą. Bo ktoś może jeszcze pomyśleć – zwróciła się do Holta – że ten niedźwiedź – trąciła Zieschego łokciem – jest moim rodzonym synem!

Ziesche roześmiał się wymuszenie: – A więc moja macocha.

Teraz dopiero, trzymając dalej Zieschego pod pachę, podała – Koltowi rękę. Spojrzenie jej oszołomiło go. Przez tę sekundę, kiedy schylił głowę, był w nim zupełny chaos: Matka Zieschego, macocha, a jest jak dziewczynka, delikatna i smukła. Podniósł głowę. Nie mogę na nią przecież tak patrzeć. Był zupełnie nieprzytomny.

Szli już teraz we trójkę. Po kilku krokach Ziesche powiedział kwaśno: – Mieliśmy iść do kina! – Odpowiedziała niegrzecznie i kapryśnie jak dziecko: – Już mi się odechciało. Właściwie i tak nie miałam ochoty. – Ziesche wykrzyknął oburzony: – No to mogliśmy przecież od razu zostać w domu!

– Wiesz co – powiedziała pani Ziesche, już teraz w lepszym humorze. – Wróćmy się.

Zaparzę herbaty i trochę sobie pogadamy!

– Nie! – Ziesche przystanął. – ja idę do kina, a ty rób co chcesz. Heil Hitler! – Wściekły, obrócił się na pięcie i zniknął w tłumie.

Holtowi było bardzo nieprzyjemnie z powodu tej sceny. Nie wiedział, jak ma się teraz zachować. Pani Ziesche szła obok niego i mówiła zupełnie swobodnie: – Ja mam krzyż z tym chłopakiem! Wie pan, jego matka, to było coś superblond... rasowa Aryjka...

Ze mną jakoś ciągle jeszcze nie może się pogodzić! – Przystanąła. – A pan! Czy pan mnie też zostawi tak po prostu samą? – Była mniejsza od niego i patrzyła nań z dołu tymi swoimi ciemnymi oczyma, przestraszona nagle i bezradna.

Jej sposób bycia, jej całkiem wyraźna kokieteria peszyły go coraz bardziej! – Jeżeli pani pozwoli – powiedział nieśmiało – to odprowadzę panią... – Uśmiechnęła się. Ta szczupła twarz stała mu się nagle tak bliska, jakby od dawna widywał ją co dzień. – Dokąd? – spytał.

– Do domu! – Musiał drobić kroki, żeby się do niej dostosować, – Pan nie jest stąd? Co pan robi, jak ma pan przepustkę? – Chodzi się do kina, siedzi się po kawiarniach i gra w bilard... –

A dziewczęta? – spytała. – Te pannice z liceum?

Dla niektórych to... – prawie jedyna rozrywka... On to nawet może zrozumieć, powiedział. –

Dla niektórych? To znaczy dla pana nie?

– Nie – uciał chłodno. Nie podobało mu się to wypytywanie.

– W szesnastym roku życia być zapakowanym do artylerii przeciwlotniczej, to straszne!

Jesteście przecież jeszcze dziećmi! – Szukał w myślach jakiejś odpowiedzi, powinna być odpowiednio cięta, dowcipnie ironiczna... Milczał i myślał. Czy tak koniecznie muszę pozwalać się obrażać?... Ale gdy przed bramą jakiejś wielkiej kamienicy czynszowej zapytała: „Nie zechciałby pan ze mną wypić filiżanki herbaty?”, odpowiedział uszczęśliwiony: – Ależ chętnie...

– i poszedł za nią.

Pomógł jej zdjąć futro i zobaczył ją teraz w brązowej wełnianej sukience, szczupłą i wąską w biodrach jak chłopak. Wprowadziła go do pokoju, gdzie na środku barwnego dywanu stanął

jak wryty. Spojrzenie jego natknęło się na dużą fotografię w ramkach, stojącą na stoliku pod wysoką lampą i przedstawiającą mężczyznę około pięćdziesiątki, wielką ordynarną gębę nad kołnierzem munduru esesmana, trochę nabrzmiałą, i ta gęba, pod daszkiem kapiącej od srebra czapki z trupią główką, przypominała twarz Güntera Zieschego... To musi być jego ojciec! Holt odwrócił zdjęcie i przeczytał: „Mojej ukochanej Gerdi” – „ukochanej” było napisane przez samo

„h”, i to odrażająco obrzydliwymi kulfonami – „na 26 urodziny od Erwina”. Data: „Kraków. 14

Hartmond* [*Hartmond – według starogermańskiego kalendarza: styczeń.] 1942”. A więc ona ma prawie dwadzieścia osiem lat. Zdenerwowany, wpatrywał się w fotografię, w nabrzmiałą, brutalną gębę, i czuł, jak go zalewa nienawiść do tego człowieka w pretensjonalnym mundurze, który nawet pisać dobrze nie umiał i był mężem tak wspaniałej, dziewczęco uroczej kobiety...

Gdzieś za nim otwarły się drzwi. Poruszając się zwinnie jak tancerka pani Ziesche nakrywała stolik do herbaty. Uśmiechała się czarująco i szczebiotała: – Tu już nie jest tak przytulnie jak dawniej. Prawie wszystkośmy stąd wywieźli. Któregoś dnia dostanie się przecież i temu domowi.

Siedział naprzeciwko niej milczący i rozgoryczony. W pewnym momencie zapytała troskliwie: – Co panu jest?

– Nic. Jestem czegoś niespokojny. Na pewno będzie alarm. – Pochyliła się nad radiem.

Z odrazą popatrzył na jej szczupłe ramię. „...Nad obszarem Rzeszy nie ma w tej chwili żadnych samolotów nieprzyjacielskich”. Nastawiła muzykę. – Uspokoilo to pana? – Usadowiła się wygodnie w fotelu.

Muszę stąd natychmiast iść! – myślał Holt. Lepiej, żebym był poszedł do kina! Czuł na swoich plecach spojrzenie tego jasnowłosego mężczyzny o szerokiej twarzy. Nie może przecież bez przerwy patrzeć w podłogę, musi na nią spojrzeć. Siedziała w fotelu z nogą założoną na nogę. Subtelny profil i długie, ciemne włosy, związane na karku w luźny węzeł... – Będzie lepiej, jak już sobie pójdę. – Wstał. – Jestem jednak niespokojny. – Spojrzała na niego zdziwiona.

Potem powiedziała nieobowiązująco uprzejmie: – Jeżeli już pan tak koniecznie chce. Nie będę pana zatrzymywać!

W korytarzu prędko wśliznął się w płaszcz. Podała mu rękę. Nagle wyjąkał: – Proszę... niech się pani na mnie nie gniewa...

Zdumiona, podniosła brwi. Nie miał odwagi na nią spojrzeć. – Czy będę mógł przyjść kiedyś znowu? – Odpowiedziała po prostu: – Dlaczego nie? Mam telefon. Günter poda panu numer!

Zbiegł szybko ze schodów i włączył się potem bez celu po ulicach. Wreszcie wsiadł w tramwaj i pojechał z powrotem do baterii.

Tego wieczora długo nie mógł zasnąć. Vetter cicho chrapał. Holt patrzył w ciemność.

Ciągle miał przed oczyma te migdałowe oczy i te ciemne włosy, zwinięte w luźny węzeł na karku.

A Uta?

Postanowił unikać pani Ziesche.

W niedzielę rano Kutschera był w złym humorze i pod pretekstem, że przywitano go zbyt niedbale, zadręczał baterię przez półtorej godziny musztrą. Wyzwolił chłopców z tego dzwonek alarmowy.

Po zwykłym niedzielnym obiedzie, czyli po pieczeni wołowej w sosie zwanym „wodą po pieczeni formatu A4”, z kwaszoną kapustą i kartoflami w mundurkach, zaczął napływać do baterii strumień gości, rodziców i znajomych tych junaków, którzy pochodzili z okolicznych miast.

Vetter rznął z Kirschem i Rutscherem, jak zwykle w niedzielne popołudnie, w skata i zapewniał wszystkim: – Tu jest rajskie życie! No, niech mnie moi rodziciele spróbują w przyszłości tknąć! – Wolzow „czytał Clausewitza. Gomulka leżał na łóżku i spał.

Holt pisał list do Uty. Nagle ktoś wsadził głowę do izby i powiedział: – Ziesche, odwiedziny w kantynie. – Ziesche zniknął. To może być tylko ona! – pomyślał Kolt. W jednej chwili zapomniał o Ucie. Może by tak pójść zobaczyć, czy to rzeczywiście ona? Do izby wszedł

Zemtzi. Vetter liczył swoje punkty: – Pięćdziesiąt osiem, sześćdziesiąt dwa, wystarczy!

– Gilbert – wrzasnął Zemtzi – masz pójść do działła Cezar, starsi junacy wypróbują tam dosyłacz hydrauliczny! – Wolzow zamknął książkę. – Muszę sobie to obejrzeć! – Trzasnął za sobą drzwiami.

Nie mogę polecieć tak po prostu do kantyny, bo się ośmieszę, rozmyślał Holt. – Co to właściwie jest: ten dosyłacz hydrauliczny? – zapytał ktoś.. Vetter próbował mu to wyklarować: –

Naboje do 128- i 150-milimetrowych dział przeciwlotniczych są tak ciężkie, że nie można ich ładować ręką. Przy 88-milimetrowych czegoś takiego nie ma – Nie, przy 88 tego nie ma, pomyślał Holt. Dosyłacz hydrauliczny, to przecież bzdura... – Sepp! – krzyknął nagle, zrywając się na równe nogi i tarmosząc Gomulkę za ramię. – Sepp! Tu jest coś nie w po rządku! Prędko! –

I w sekundę potem biegli już drewnianym chodnikiem.

Działo Cezar stało na zachodzie, na zboczu wzgórza, trochę niżej niż SD2. Holt, biegnąc, widział więc z góry całe stanowisko działła. Armata była odkryta. Postacie w czapkach polowych, a więc junacy! Pobiegł na przelaj przez pole i po chwili był już u celu. Stanowisko ogniowe roilo się od starszych junaków.

Obezwładnili Wolzowa i powalili go na jedno z ramion lawety, górna połowa jego ciała była owinięta aż do pasa plandeką. Na tym tłumoczklu klęczało czterech, pięciu ludzi i przypierało go do ziemi. Za każdą nogę trzymało Wolzowa po trzech junaków, a Günsche, który stał nad nim, walił go po plecach bykowcem.

Holt rzucił się między nich. Tuż za nim przyleciał Gomulka, miał ze sobą grubą lagę i walił

nią gdzie popadło. Koltowi udało się na chwilę uwolnić od napastników, niestety w sekundę potem już go znowu obezwładniono. Ale Wolzow był wolny.

Odrzucił plandekę, jego twarz była zupełnie sina, oczy wystąpiły mu z orbit, kilka razy otworzył usta jak ryba, łapiąc chciwie powietrze, a potem rzucił się na napastników. Najpierw oswobodził Holta, który dostał straszne lanie, a potem pobiegł do Günschego, chwycił go w pól

i cisnął w kąt stanowiska. Dotychczas wszystko odbywało się bezgłośnie, ale teraz Wolzow zaczął ryczeć z wściekłości.

Nagle wyrósł przed nimi Gottesknecht. Koltowi krew leciała z nosa. Upłynęła spora chwila, zanim Wolzow nieco się uspokoił; z wykrzywioną twarzą stał przed Gottesknechtem i wytrzeszczał na niego oczy.

Paru starszych junaków leżało na ziemi. Günsche był nieprzytomny. Jeden z bliźniaków siedział na wysypanej żużlem drodze i jęczał, przyciskając obie ręce do twarzy, a pomiędzy palcami leciała mu krew; grzmotnął głową w działo. Oprócz tego jeszcze dwóch wilo się na ziemi, nie mogąc złapać powietrza. Ale to było niegroźne. Rozkwaszone nosy czy też rozcięte wargi mieli wszyscy. Tylko Gomulka wyszedł cało; połamał swoją lagę na kawałki i trzymał

jeszcze w ręce nędzny kikut.

– Gomulka! – powiedział Gottesknecht. – Lećcie po sanitariusza! – Potem popatrzył na Günschego, który ciągle jeszcze nie dawał znaku życia. Dopiero gdy podoficer sanitarny przytknął mu do nosa amoniak, otworzył oczy i zwymiotował, ale nie potrafił o własnych siłach wstać.

– Wstrząs mózgu! – Bliźniak miał rozciętą twarz, rana była głęboka i biegła od czoła aż do kości policzkowej; lewe oko było podbite. – Panie ogniomistrzu, Günsche i Pingel muszą iść na izbę chorych.

– No to jazda! – powiedział Gottesknecht. Nagle został na placu boju tylko Holt, Wolzow i Gomulka. Nakrywali działo plandeką. Gottesknecht przyglądał się im w milczeniu. – Panie ogniomistrzu – powiedział w końcu Wolzow – to było w obronie własnej! – Gottesknecht nic nie odpowiedział. – Zwabili mnie tutaj i napadli w jedenastu.

– Zamknijcie buzię, Wolzow – powiedział Gottesknecht zmęczony – to mnie nie interesuje.

Interesuje mnie tylko to, że w ciągu najbliższych dni brak będzie przy pelengatorze dwóch ludzi!

– To niech ci inni panowie od pelenga nie dostają przez ten czas przepustek! – wybuchnął

Holt wściekły. Ogniomistrz pokiwał tylko głową. – Ależ mam z wami los! Jak ja to teraz wytłumaczę dowódcy?

Kapitan, jako NSFO* [*NSFO – nationalsozialistischer Führungsoffizier.], czyli,

„narodowosocjalistyczny oficer polityczno-wychowawczy”, miał co poniedziałek w kantine

„wykłady polityczno-wychowawcze”. Tym razem zdjął skórzany płaszcz, rzucił go Gottesknechtowi i ujął się pod boki. – Słuchajcie! Wczoraj się paru pobiło. Dwóch musiało pójść na izbę chorych!

Słyszał to kto?! Nie interesuje mnie, kto zawinił. Bateria ma osiem dni koszarniaka. Podziękujcie za to tym huncwotom, którzy was tak urządzili! – Potem rozpoczął

swój wykład. Sytuacja na frontach, sytuacja polityczna, walki czołgów pod Żytomierzem, najcięższy dotychczas nalot na Berlin, fanatyczny opór... Holt wcale tego nie słuchał. To dotyczy nas: tym, którzy was tak urządzili, pomyślał.

Wieczorem Wolzow powiedział: – Mam tego już dość. Idę do Berty i pogadam ze starszymi junakami.

– Do jaskini lwa? – zapytał Gomulka. – To przecież nic nie pomoże!

– Ale trzeba spróbować – upierał się Wolzow. – W żadnym wypadku nie pójdziesz do nich sam! Jazda, Sepp, Christian, idziemy z nim! – zdecydował Holt.

Starsi junacy byli zaskoczeni, gdy ta czwórka weszła do izby. Leżeli na łóżkach, paru siedziało przy stole. Całkiem przytulna chata, pomyślał Holt. Szafki zsunięte były razem i tworzyły coś w rodzaju ściany, zasłaniającej łóżka. Pod jednym oknem stało wielkie akwarium z rybkami, na parapetach okien kwitły azalie i fiołki alpejskie.

Wolzow stanął na środku izby. – Co za zaszczytna wizyta! – zakpił ktoś. Wolzow powiedział spokojnie: – Powinniśmy w przyszłości żyć ze sobą w zgodzie!

– W zgodzie? – zawołał drugi – z bliźniaków i aż się poderwał na łóżku. – Teraz, gdy mój brat został na całe życie oszpecony?

– Ja na nikogo nie napadłem – odparł Wolzow. Na to podniósł się starszy junak Wilde. –

W wojsku istnieją pewne prawa niepisane. Możemy żyć w zgodzie dopiero wtedy, gdy będziecie mieć już za sobą wycisk, jaki wam się od nas należy! – Wolzow zrobił krok w stronę Wildego, który prędko odgrodził się od niego stołem, i krzyknął: – Jeszcze jeden taki podstępny napad...

a strzegł was Bóg! – Starsi junacy wybuchnęli szyderczym śmiechem, ale zabrzmiało to niezbyt swobodnie.

– To do niczego nie prowadzi – powiedział później Holt. – I to się nazywa koleżeństwo: jeden zwalcza drugiego. Inaczej to sobie wyobrażałem. Jeden zwarty kolektyw...

– Głupia mowa! – ofuknął go Wolzow. Vetter zawołał: – Zwarty kolektyw tak, ale najpierw musisz znieść te pięćdziesiąt batów!

Holt i jego przyjaciele znaleźli się nagle w izolacji, Chłopcy z ich klasy, którzy obsługiwali przyrządy pomiarowe, zdążyli się już wkraść w laski starszych junaków.

Grudzień przyniósł ze sobą ciężkie nocne naloty dywanowe, od których pobliskie miasta bardzo ucierpiały.

Holt dostawał od czasu do czasu paczkę od matki, otrzymywał regularnie od wuja z Hamburga paczki z papierosami i czasami prosił o pieniądze, bo pięćdziesiąt fenigów dziennie

„symbolicznego żołądka” mu nie wystarczało. Jego podanie o parodniowy urlop na Boże Narodzenie zostało pozytywnie załatwione. Zastanawiał się długo, co z tym urlopem i zrobić.

Uta, o której pomyślał najpierw, pisała mu już w listopadzie, że jej rodzina spotyka się na Gwiazdkę w Schwarzwaldzie; do matki jechać nie miał ochoty. Postanowił w końcu zadzwonić do pani Ziesche. Gottesknecht siedział w kancelarii i rozmawiał z pulchniutką telefonistką, która, jeśli wierzyć bateryjnym plotkom, była kochanką kapitana. Holt, onieśmielony obecnością Gottesknechta, zezował raz po raz nieśmiało w jego stronę. Strasznie długo trwało, zanim zwolniła się jedna z linii służbowych i zanim dostał połączenie. Wreszcie usłyszał głos pani Ziesche, zniekształcony i brzęczący. „Naturalnie, niech pan przychodzi, właśnie mam gości, więc się świetnie składa!” Szedł do niej pełen cichych nadziei.

Przed domem stały dwa rozklekotane samochody. Drzwi otworzyła służąca i pomogła mu zdjąć płaszcz. Hełm położył na podłodze i z ulgą stwierdził, że płaszcz wojskowy wiszący na wieszaku nie miał żadnych odznak oficerskich. Usłyszał muzykę taneczną i śmiechy.

Znał ten pokój. Dwuskrzydłowe drzwi do sąsiednich pokoi były otwarte. Z grona jakichś dwudziestu osób, mężczyzn i kobiet, wyłoniła się pani Ziesche i szła ku niemu uroczyście, niedostępna, pani domu. Podała mu koniuszki palców. Do właściciela wojskowego płaszcza, wielkiego jasnowłosego i bladego kaprala, z naszywkami dywizji piechoty zmechanizowanej Grossdeutschland na rękawach munduru, wszyscy tu zwracali się per „Grossdeutschland”.

Gdy służąca podchodziła do niego z kieliszkiem likieru na tacy i kapral brał jeden z nich, zawsze ktoś wołał: „Grossdeutschland jeszcze nie ma dość”, i wszyscy wybuchali śmiechem.

Holt siedział w fotelu, ciągle jeszcze onieśmielony. Pani Ziesche, obok niego, tłumaczyła mu uprzejmie i nie bez cienia pewnej poufałości: – To moi dawni koledzy po fachu, śpiewacy z Opery. Pan jeszcze nie wie, że jestem tancerką? Byłam tu przez parę lat primabaleriną... Nie byłam wcale zła! Wyjeżdżałam nawet za granicę na występy gościnne. Jeżeli to pana interesuje, pokażę panu zdjęcia. – Zaśmiała się. – Boże drogi, to były czasy!

Holt siedział bez ruchu i słuchał jej słów, uszczęśliwiony dowodem takiego zaufania.

Bliskość jej ciała oszałamiała go i podniecała. – Niech się pan dobrze bawi – usłyszał w pewnym momencie, i zaraz potem żartobliwe: – Tylko niech się pan ma na baczności przed dziewczętami! To są tylko chórzystki, niezbyt chętnie widzę je w swoim domu, ale mężczyźni muszą mieć przecież z kim tańczyć. – Został nagle sam.

Nie odrywał od niej wzroku. Miała na sobie strój domowy z brązowego jedwabiu, obszerne i długie szarawary z prostym kasakiem, którego rękawy były tak szerokie, że chwilami opadały aż za łokcie, ukazując jej białe, nagie ramiona. Włosy były upięte wysoko w grecki węzeł. Nie miała na sobie żadnej biżuterii z wyjątkiem małych, lśniących kamieni w uszach. Holt był

zazdrosny o tych wszystkich mężczyzn, którzy ją otaczali. Był zazdrosny o każdy jej uśmiech i o każde słowo.

– Kolego, napijmy się! – Był to ów blady kapral i podał Holtowi kieliszek koniaku. Naokoło tańczono przy muzyce z płyt. – Urlop? – zapytał kapral, już dobrze pod gazem. – Czy też tu pan służy? Ja... przyjechałem z frontu na urlop... Wie pan co? – Wypił swój koniak. – Makabra!

Bracie... kolego... – Otarł sobie czoło rękawem. – Za trzy dni wracam na front wschodni... Prost!

– Kieliszki znowu zostały napełnione. – Kolego... To jest rzeczywiście makabra! Świat jest tak strasznie zażydzony, że oni nas w końcu rozniosą!

Nagle znalazła się przy nich pani Ziesche i ofuknęła kaprala: – Czy ci nie zabroniłam mówić o wojnie? Idź tańczyć! – Kapral niepewnym krokiem przeszedł przez pokój. Pani Ziesche przysiadła się do Holta i udając urażoną powiedziała: – Jest pan źle wychowany! Panią domu należy prosić do tańca!

– Ja nie umiem tańczyć – przyznał się ze wstydem. – Fokstrot! – rzuciła panience przy patefonie. Potem wzięła go za rękę i pokazała mu krok podstawowy. Pojął bardzo prędko. –

Idzie doskonale – pochwaliła. Z bijącym sercem trzymał ją w ramionach, ostrożnie i delikatnie, jakby była z porcelany. Prawą ręką czuł przez jedwab jej łopatkę; Płyta się skończyła. – Jeszcze raz... proszę! – powiedział impulsywnie. Pochłonięty całkowicie tańcem, popadał w coraz większe podniecenie i zachwyty. Przyciągnął ją lekko do siebie, a potem trochę mocniej, i sam się tego przeraził.

Gdy i ten taniec się skończył (stanowczo za prędko!), wydała mu się bardziej nieosiągalna niż kiedykolwiek. Z zazdrością patrzył, jak tańczy z kimś innym. Obnoszono tacę z kanapkami.

Sardynki! Ale nie wziął nic, choć był głodny. W końcu przysiadł się do chórzystek, pozwolił

sobie nalać kieliszek koniaku i zaraz potem jeszcze jeden, ale paplanina tych dziewcząt, te wymalowane twarze, wszystko to było mu wstrętne.

Podniósł się i poprosił panią Ziesche znowu do tańca. Koniak dodał mu odwagi, tak że jakiegoś aktora, który go próbował ubiec, odsunął całkiem zwyczajnie na bok. Zaśmiała się: –

Widzisz, Fritz, dzielni wojacy mają pierwszeństwo! – Patrzył na nią z góry. Alkohol szumiał mu już we krwi. Gdybym był z nią sam na sam, tobym ją pocałował! Nagle rozległ się głuchy stuk, jakby ktoś upadł, brzęk tłukących się kieliszków i wrzask chórzystek. To ów kapral przewrócił

się i leżał teraz na podłodze. Dwóch aktorów podbiegło, żeby go podnieść. Pani Ziesche ledwo raczyła odwrócić głowę. – Zaprowadźcie go do łazienki!... Jest pijany – powiedziała do Holta. –

Tak bardzo boi się frontu, że bez przerwy pije! – Spojrzała na zegarek. – Za dziesięć minut wyrzucę tę bandę!

W radiu zastukało. Nadawano przy pomocy klucza zaszyfrowane telegramy. Potem odezwał

się głos spikera: „...Zespoły nieprzyjacielskich bombowców nadlatują nad obszar Rzeszy...” Alarm bojowy! – pomyślał Holt. Precz stąd! Zatrzymać jakieś auto... potem już jakoś dam sobie radę! Ale w twarzy pani Ziesche ujrział strach... Zostanę! Był zwyczaj, ale nie przepis, wracać w wypadku alarmu do koszar. Zostaję!

Goście już biegli z hałasem po schodach na dół, zalanego kaprała ciągnięto do jednego z tych aut stojących na ulicy. Pani Ziesche w tym czasie wydawała rozkazy dziewczynie, odrabiającej u niej roczny nakaz pracy: – Proszę zostawić te naczynia i znieść walizki do schronu! – Opadła, otulona w futro, na fotel. Zawyły syreny alarmowe. Holt otworzył

w ciemnym pokoju wszystkie okna. Do zadymionego mieszkania wdarło się zimne powietrze.

Słysząc było, jak ludzie z całej kamienicy biegną na dół do schronu.

Pani Ziesche była bezradna i przerażona jak dziecko. – Kto to zdoła wytrzymać! Te ciągłe alarmy! To doprowadza do rozpacz!

– Po co pani siedzi tu w Essen? – spytał Holt.

– Mój mąż uważa, że to by zrobiło złe wrażenie...

– Nonsens! Jak pani zginie, czy robi to lepsze wrażenie? – Znowu odżyła w nim nienawiść do tego grubego, jasnowłosego człowieka.

Syreny zawyły po raz drugi, wycie wzmagało się i cichło. – Musimy zejść do schronu!

– Tylko bez pośpiechu – powiedział z pewnego rodzaju wyższością w głosie, majstrując przy radiu. – Są dopiero w odległości stu pięćdziesięciu kilometrów... Czy łapie pani na tym aparacie stację obrony przeciwlotniczej?

– Przecież tego nikt nie potrafi zrozumieć i – Ja potrafię!

Uklękła obok niego przy radiu. Skala aparatu oświetliła jej twarz. Zemtzi objaśniał kiedyś Holtowi wielką mapę z siatką kodową. „Formacja myśliwców z Martha-Heinrich sześćdziesiąt cztery na Biegun Północny-Ida siedemnaście...” – To są tropiciele, mniej więcej w rejonie Dinslaken... Jeżeli nie zmienią kursu, to miną nas od południa... – Szyfr umilkł, znów odezwał

się głos spikera: „Formacja myśliwców z...” – Mijają nas bokiem.

– A kiedy to może być niebezpieczne? – zapytała. – Wy tłumaczę to pani dokładnie kiedyś przy okazji. – Słuchał głosu spikera. – Bombowce lecą za nimi, a więc dadzą nam spokój.

– Ten Ziesche mógł mi to już dawno wytłumaczyć! – powiedziała. Na dworze odezwały się ciężkie działa przeciwlotnicze, zatrważająco blisko, huk wystrzałów wdierał się przez otwarte okna. Holt nadstawił uszu. – Ktoś tam strzela do tropicieli!

– Ależ ma pan nerwy! Ja chcę do schronu, boję się! – Uczepiła się jego ramienia i nalegała, żeby ją sprowadził na dół.

Dyżurny obrony przeciwlotniczej stał ponury przy bramie i obrzucił Holta ciekawym spojrzeniem. -

Już najwyższy czas, żeby pani zeszła! – Schron znajdował się głęboko w piwnicy i był

umocniony belkami. W przejściach tłoczyła się kupa ludzi. Pani Ziesche otworzyła drzwi gdzieś na samym końcu korytarza. – Nie mogę siedzieć między tymi wszystkimi ludźmi. – Strop małej, czystej piwnicy był również podparty solidnymi belkami. To wszystko niewiele pomoże, pomyślał Holt przygnębiony. Wolałby być teraz na stanowisku dział, pod gołym niebem.

Usiedli. Trzymała się wciąż jeszcze kurczowo jego ramienia i drżąc na całym ciele przysunęła się do niego. W korytarzu piwnicznym tliła się słaba żarówka. Huk dział był tu nieco przytłumiony.

Siedzieli obok siebie w milczeniu. W pewnej chwili powiedziała: – Ci ludzie tam doprowadzają mnie zawsze do szału. Ale pan działa na mnie uspokajająco. – Odparł na to: – Ja tu na dole też bym się bał. Ale jestem taki szczęśliwy, że mogę być z panią. – Czuł, że spojrzała na niego, a potem znów zapatrzyła się przed siebie.

Z korytarza dolatywał szum rozmów i krzyki dzieci. Ale Holt tego prawie wcale nie słyszał.

Widział jedynie młodą, uroczą kobietę obok siebie, otuloną w futro, z którego wyglądała teraz tylko jej szczupła, bardzo blada twarz. Węzeł się rozleciał i lekko połyskujące włosy opadały jej teraz ciężko na kark i mieszały się z futrem. Głowę miała opartą o ścianę piwnicy. – Dlaczego pan wtedy uciekł? – zapytała w pewnej chwili na wpół szeptem.

– Dziś znowu o mało co bym sobie nie poszedł... – A to dlaczego?

– Jak... pani tańczy z innymi, nie mogę tego znieść... – Uśmiechnęła się. – Nic na to nie poradzę... – powiedział. – Ja wiem, że to głupie... – Nie dostał na to żadnej odpowiedzi.

– Alarm odwołany! – wrzasnął dyżurny w korytarzu.

Holt spojrział na zegarek. Było parę minut po jedenastej. – Muszę iść. – Tak jak za pierwszym razem stał przed nią z pochyloną głową, zatrzymał w dłoni jej rękę i zapytał: – Czy mogę przyjść kiedyś znowu? – Odpowiedziała wolno: – Właściwie jest pan wystarczająco dorosły, żeby wiedzieć, co pan może, a czego nie. – Jeszcze nigdy nie widział tak nieprzeniknionej twarzy.

Bez przerwy myślał o tej dziwnej znajomości. Podczas bezczynnego warowania przy działach i podczas lekcji w szkole myśli jego wiecznie krążyły wokół tej ciemnowłosej kobiety.

Z początku przeszkadzała mu w tym pamięć o Ucie. Ale później skapitulował przed tym nowym uczuciem, które widocznie było silniejsze. Nie obyło się oczywiście bez tego, żeby nie robił sobie wyrzutów.

W przededniu otrzymania następnej przepustki zatelefonował do pani Ziesche. Czy może do niej przyjść? „Naturalnie, jeżeli nie ma pan nic lepszego w planie”.

Sama otworzyła mu drzwi, w domu nie było nikogo. Znowu okazała się zupełnie inna niż dotychczas; była przerażająco rzeczowa. Gdy znaleźli się w jej pokoju, usiadła z podkulonymi nogami na tapczanie. Przysunął sobie fotel. Zapalili papierosa. – Dlaczego powiedziała pani:

„Jeżeli nie ma pan nic lepszego w planie?” – zapytał. – Nic nie jest w stanie sprawić mi większej przyjemności niż odwiedzanie pani!

– Tak? – powiedziała przeciągle i wyciągnęła się na tapczanie. – Nawet pisanie listów do niejakiej panny Barnim?

Tak bardzo się zmieszał, że w swojej bezradności przyjął postawę zaczepną: – Pani mnie szpieguje?

– Troszeczkę – odparła i rzuciła papierosa do popielniczki. – W każdym razie wydobyłam z mojego pasierba jedną ważną rzecz.

– A mianowicie?

– Że absolutnie nie jest pan z tych, co się chwala swoimi sukcesami u kobiet – powiedziała wolno i spojrzała mu przy tym wyzywająco w oczy – że, krótko mówiąc, umie pan trzymać język za zębami.

Siedział w fotelu jak sparaliżowany, aż wreszcie jego spojrzenie padło na tę dużą, stojącą w ramce fotografię. Zdenerwowanie, od którego krew mu się w żyłach burzyła, przemieniło się w jednej sekundzie w bezsensowną wściekłość. Grzmotnął fotografię tego grubego, jasnowłosego mężczyzny o podłogę tak, że szkło rozprysło się na wszystkie strony. Wydała z siebie okrzyk przerażenia. Z kolei wyciągnął ręce po nią. Przyciągnęła go do siebie. Wziął jej żądzę za wybuch wielkiego uczucia.

Pozostał u niej aż do późnego wieczora. Leżeli w sypialni na szerokim łóżku. Wpatrywał się w jej twarz, na której malowało się całkowite odprężenie, jak gdyby chciał odczytać jej myśli.

Nagle ni stąd, ni zowąd zapytał: – Kochasz mnie?

Zaskoczona, otworzyła oczy. Pod wpływem jej spojrzenia całkowicie zapomniał, jak głupie było jego pytanie. Ale już znowu zamknęła oczy, westchnęła i powiedziała; – Tak. – Potem uśmiechnęła się, z zamkniętymi oczyma.

Kłamie! – To nieprawda, ty mnie nie kochasz!

Zwróciła ku niemu głowę. – Miłość... – powiedziała pogardliwie – co to jest właściwie miłość? Nie jestem przecież podlotkiem! Oddanie... czego jeszcze chcesz?

– A... serce? – zapytał bezradnie. Przyciągnęła jego głowę do piersi. – Cicho, nie mów nic! –

Zanim odszedł, zapytała: – Czy nie mógłbyś wziąć sobie kiedy przepustki na noc, tak jak inni?

„Mój pasierb w żadnym wypadku nie może się o nas dowiedzieć”, powiedziała pani Ziesche do Holta. Ponieważ wracał teraz czasami dopiero o świcie do baterii, wymyślił sobie

„przyjaciółkę”, rzekomo służącą w Gelsenkirchen. „Żeby tylko Ziesche nic się nie dowiedział –

upominała go ciągle pani Ziesche – bo to byłaby katastrofa!... On mnie nienawidzi, pilnuj się przed nim”.

Był taki okres, że Holt próbował zbliżyć się do Zieschego i kiedyś go zapytał: „Kim jest twój ojciec?” Ziesche dał mu na to odpowiedź: „Pełnomocnikiem Rzeszy do umacniania memieckości w Generalnej Guberni”. Holt nie bardzo mógł sobie wyobrazić, co się pod tym kryje. „Co on tani właściwie robi?” Ziesche wyjaśnił mu to dokładnie: „Wiesz przecie, że Polacy to jedna z tych gorszych ras. Ale istnieje pewna gradacja, na przykład jasnowłosi Słowianie, w których domieszka krwi germańskiej z dawnych czasów jest bardzo duża. Mój ojciec wyszukuje właśnie takie dzieci w obozach koncentracyjnych, no i w ogóle. Oddawane są one potem rodzicom niemieckim albo tu w Rzeszy wychowywane na Niemców. A później mają być nordyzowane; odpowiednio kierowany przyrost naturalny może dać w rezultacie typy rasowo doskonalsze”. – „A ich rodzice?”, zapytał Holt. Ziesche wzruszył ramionami.

Skończyło się na tej jednej próbie zbliżenia się. Pewne spostrzeżenie, jakie Holt przypadkowo poczynił, doprowadziło wkrótce do zerwania, a nawet do wojny z Zieschem.

Ziesche miał w baterii „przyjaciela”, małego blondynka o miękkich włosach i rozmarzonych oczach. Nazywał się Fink. Holt nakrył ich jednego wieczora na gorącym uczynku w bunkrze na stanowisku działa, ale tak, że oni go nie zauważyli. Nie mówił o tym nikomu.

Gdy w parę dni później diabelnie zmęczony wśliznął, się około szóstej nad ranem do baraku, Ziesche popatrzył na niego zgorzony i pokiwał głową, a po południu skierował rozmowę na ten temat. Wolzow, Vetter i Gomulka byli przy tym. „Masz dopiero siedemnaście lat – powiedział

Ziesche – a już się łajdaczysz z babami!”

Holt milczał zmieszany. Wolzow roześmiał się. „To nikogo nic nie obchodzi”, powiedział

wreszcie Holt. Ziesche odparł: „Dziwię się tylko, że w bagnie może się człowiek tak dobrze czuć”. Oparł się plecami o szafkę i spojrzał na Holta z góry. „Ja w każdym razie kieruję się słowami, które Flex postawił swojemu *Wędrowcowi* za dewizę: Pozostać czystym i osiągnąć dojrzałość to największa i najpiękniejsza sztuka życia!”

Zawstydzenie Holta przemieniło się nagle we wściekłość. „Ty zakłamane ścierwo! To ty nazywasz *pozostać czystym*, kiedy ty z Finkiem...” Ziesche, gdy Vetter ryczał ze śmiechu, rzucił

się na Holta rozwścieczony, ale był za ciężki, żeby dać sobie z nim radę. Od tej pory byli śmiertelnymi wrogami.

Holt opowiedział tę scenę pani Ziesche. Wysłuchała go uważnie, a potem powiedziała: – To było niemądre, zrobiłeś sobie teraz z niego wroga.

– Co tam mądrze czy niemądre... Ty jesteś taka... wyrachowana! Zmieszał mnie z błotem, no to ja go też, i sprawa załatwiona!

Siedzieli w jej pokoju. Położyła swoją dziecinnie małą rękę na jego rękę, westchnęła ciężko i powiedziała: – Jesteś w wieku burzy i naporu... A wyrachowanym także się jeszcze zrobisz, jak poznasz lepiej życie, albo...

– Albo?

– Albo nie dojdiesz do niczego.

Podczas wieczornego alarmu siedzieli w mieszkaniu, przy radiu. Niech sobie artyleria przeciwlotnicza strzela, co to ich obchodzi. – Jeżeli nie rozpoznają celu – wyjaśniał jej – to spadnie najwyżej parę przypadkowych bomb. – Dyżurny obrony przeciwlotniczej dzwonił na alarm. Zachowywali się cicho, mieszkanie było dobrze zaciemnione. Służąca z nakazu pracy przychodziła teraz tylko cztery razy w tygodniu.

Holt lubił te godziny alarmu. Było wtedy cicho w całym domu, daleki huk baterii przeciwlotniczych zagłuszał wszystkie odgłosy. Holt klęczał obok pani Ziesche na podłodze przy radiu. Aparat wystukiwał tajemniczy szyfr, słabe światło skali oświetlało jej twarz. Objął ją za szyję i patrzył na nią, i im dłużej się w nią wpatrywał, tym bardziej poddawał się jej urokowi.

Oparła się o niego, każdy ruch przyspieszał jej oddech. Po alarmie leżeli w sypialni na szerokim łóżku.

„Można spokojnie o tym mówić”, lubiła powtarzać; był to tytuł pewnej modnej powieści.

Z początku buntował się przeciw jej rzeczowości, ale gdy ją kiedyś nazwał bezwstydną, wyśmiała go sromotnie. „Pozbawiam cię iluzji! – powiedziała. – Na co mogą się przydać iluzje?

Na nic! Będziesz mi jeszcze za to kiedyś wdzięczny”. Wdzięczny? Nie mógł tego zrozumieć.

„Większość ludzi – twierdziła – zachowuje się w sprawach miłości prymitywnie jak zwierzęta”.

– „Zwierzęce jest to wówczas – oponował – kiedy nie ma w tym serca, uczucia...” Nazywała to

„gadaniem”. „Po co to puste gadanie! Zwierzę nie potrafi się tym rozkoszować, to jedyna różnica. Człowiek też musi się najpierw tego nauczyć, większość nigdy się zresztą nie nauczy, a zwłaszcza wy, mężczyźni, jesteście nieprawdopodobnymi egoistami, wy...” – „A miłość?” pytał z uporem. „To wszystko gadanie – odpowiadała. – Nie ma żadnej miłości, jest tylko pożądanie”.

Czasami napawała go przerażeniem. „Miłość, uwielbienie, szacunek – mówiła – to wszystko jest bardzo piękne, ale z czasem staje się nudne. Kobieta nie chce być uwielbiana i kochana, kobieta chce być ujarzmiana i chce odczuwać rozkosz. Z początku może sama jeszcze nie zdaje sobie z tego

sprawy, ale gdy mężczyzna jest do rzeczy, bardzo prędko sobie to przy nim uświadomi. Zapamiętaj to sobie! Mężczyzna nie powinien prawić kobietom duserów i wiele prosić, tylko je ujarzmić, i raczej siłą niż gadaniem. Miłość? Każda kobieta będzie męża zdradzać, jeżeli będzie tylko kochaną, a równocześnie nie zaspokajaną.

„Jak można mieć do was szacunek?” pytał Holt.

„Szacunek... – mówiła leniwie – po co? Poczytaj sobie Weiningera, ta książka jest co prawda na indeksie, ale przeczytaj ją sobie kiedyś. Ten znał kobiety. Poczytaj sobie, co on pisze.

A wówczas ten szacunek sam ci przejdzie”.

Holta odpychały, a równocześnie pociągały te słowa, ta jej rozpasana zmysłowość. Czasami przeważał w nim wstręt, tak jak na przykład w tym momencie. Ale ona rozładowywała tę oziębłość czuлыми pieszczotami. A gdy już jej uległ, rozpalala się w nim na nowo zazdrość.

Był wczesny ranek, kiedy zapytał ze złością: – Dlaczego wyszłaś za tego człowieka za męża?

Z głową oparta na dłoni popatrzyła mu, zaskoczona, w twarz. – Ty go nienawidzisz, prawda?

To dziwne. Ty przecież go wcale nie znasz. – Sięgnęła po papierosy i zapalki, leżące na nocnym stoliku. Poszedł oczyma za ruchem jej nagiego ramienia. Włożyła mu w usta zapalonego papierosa.

– To jest rzeczywiście najbardziej godny nienawiści człowiek, jakiego tylko mogę sobie wyobrazić – powiedziała.

Musiał ją widocznie źle zrozumieć. – Uważasz, że jest tak silną indywidualnością, że można go tylko uwielbiać albo nienawidzić...?

– Nonsens! Jest całkiem po prostu świnia! Zwyczajny brutal o zbrodniczych skłonnościach.

Gdyby nacyści nie zrobili go taką wielką szychą, kto wie, co by z niego było.

Świnia, brutal, nacyści. To słowo słyszał w ogóle dopiero raz czy dwa razy, przed trzydziestym trzecim było podobno wyzwiskiem. W co ja wpadłem? pomyślał. Ale zachowywał

się zupełnie obojętnie, zaciągał się papierosem, a wreszcie powiedział: – W takim razie tym bardziej nie rozumiem, dlaczego wyszłaś za niego za męża!

– Każdy człowiek raz w życiu stawia wszystko na jedną kartę – odparła. – I pozostaje mu się tylko łudzić, że to była ta właściwa karta.

– I ty wszystko postawiłaś na człowieka, którym się brzydzisz?

– Nie mogłam przecież wiedzieć, że będzie kiedyś robił tak potwornie brudną robotę –

powiedziała. – Poza tym wtedy to i owo wyglądało jeszcze całkiem inaczej. Powiedziałam sobie: on

ci może wiele dać, no i tak się go uczepliłam.

– Ty, która jesteś... taka piękna, przecież nic cię do tego nie zmuszało – powiedział.

Uśmiechnęła się. – Jako tancerka nie wyszłam nigdy poza ramy prowincjonalnej przeciętności. W takiej sytuacji myśli się o tym, co będzie później.

Sprzedawała się, pomyślał, takiemu człowiekowi! – Co to jest za robota?

– Wybiera dzieci z kacetów – odparła – które mają później krzyżować z Aryjczykami, jak zwierzęta! A w ogóle we wszystkim macza palce, gdzie tylko dzieją się takie rzeczy, od których włosy jeżą się na głowie. On decyduje o tym, czy jakieś dziecko ma pójść do Rzeszy czy do gazu.

Holta ogarnęło przerażenie. Jakieś mgliste, bardzo dalekie odgłosy powiązały się nagle w jedną całość... – Nie rozpowiadaj tego – usłyszał w pewnej chwili znowu jej słowa. –

W Generalnym Gubernatorstwie mordują Polaków i Żydów tysiącami, robi to SS. Ziesche nazywa to „osłabianiem niższej rasy”. Żydzi są już właściwie prawie wytępieni.

Niższa rasa. Nordycki typ człowieka-pana. Żyd i Aryjczyk. A więc tak to wygląda, rozmyślał, zupełnie tym wszystkim porażony. – Ale... to wszystko jest przecież zupełnie inaczej... z tymi rasami! – powiedział. – Mój ojciec jest profesorem. Kiedyś słyszałem, jak komuś tłumaczył, że ta cała teoria ras jest religią...

– Wcale niezłe porównanie – powiedziała. – Rzymianie mordowali chrześcijan. Inkwizycja paliła na stosach kacerzy, a teraz my trujemy gazem Żydów i Polaków. O tym wszystkim oczywiście nie wiedziałam, gdy wychodziłam za Zieschego. Był wtedy tu w okolicy kreisleiterem, a potem zrobił karierę. To mnie skusiło. Ostatecznie ja też chcę należeć do tych, co są na górze. – I już zupełnie cicho dodała: – A teraz wszyscy staczamy się na dno. Kto wie, czy któregoś dnia ten cały cyrk zupełnie się nie zawali.

Krótko przed apelem porannym przemykał się tajemnymi ścieżkami do baraku, tak jak to było umówione. Prosił Gottesknechta o przepustkę na noc zamiast na kilka godzin, lecz Gottesknecht mu odpowiedział: „Nie będziecie chyba tacy głupi, żeby dobrowolnie wyrzec się tak pięknego urlopu jak urlop na Boże Narodzenie!” A nieco poufniej: „Weźcie przepustkę jak zwykle. Jeżeli będziecie chcieli wrócić dopiero rano, to dajcie mi znać”. Tak też robił. Dziś wpadł ogniomistrzowi prosto w ramiona. – Muszę wam jednak tego zabronić – powiedział

Gottesknecht.

– Panie ogniomistrzu, jestem w całkiem dobrej formie!

– Tak? Do tego świerka jest osiemdziesiąt pięć metrów, wszystko dokładnie wymierzone.

Zrobimy sobie zatem spacer żabką, osiemdziesiąt przysiadów! A jeżeli się nie przeliczycie, to w nagrodę możecie z powrotem przyczołgać się na brzuchu.

Od Gottesknechta też dowiedział się Holt, że przyznano mu urlop na święta. Miał

początkowo zamiar pojechać z Wolzowem do niego, ale coś mu strzeliło do głowy i kazał sobie wystawić dokumenty na podróż do ojca. Nie widział go już prawie cztery lata. Matce o tym nic nie pisał. Nie zawiadomił również ojca o swoim przyjeździe.

Miał jechać 22 grudnia. Którejś nocy na parę dni przedtem, gdy mieli służbę przy dziale, Schmiedling wziął Wolzowa i Holta na „bok. „Chce wam cosik powiedzieć, nieprawdaż. Ci, co są z Hamburga, i ci z Berty chcą was wszystkich nocą napaść, jak będziecie w baraku!” Na drugi dzień rano, gdy Ziesche poszedł na lekcje do innego baraku, złożyli radę wojenną.

– Widocznie temu Günschemu ciągle jeszcze mało! – denerwował się Wolzow. – Ja już mam tej hecy dość! Przechodzę do ataku. Zaskoczę ich niespodziewanie i rozwalę im budę w drobny mak – Jeżeli uderzymy pierwsi – zastanawiał się głośno Gomulka – to potem my będziemy wszystkiemu winni.

– Nonsens! – powiedział Wolzow i sięgnął do tylnej kieszeni w spodniach. Przez chwilę przewracał kartki swojego notesu, aż wreszcie znalazł to, czego szukał. – Jak Szwedzi pod Gustawem Adolfem szli w 1629 na Niemcy, to Gustaw Adolf wypowiedział przed szwedzkim parlamentem takie oto historyczne słowa: „Mniemam atoli, iż dla bezpieczeństwa naszego, honoru i wiecznego pokoju nic tak pożyteczne nie będzie jak śmiała napaść na nieprzyjaciela”.

Wobec tego zaczęli się przygotowywać, Wolzow i Holt urwali się z niemieckiego i pocięli skórzana teczkę Wolzowa na wąskie rzemienie, które przymocowali potem do mocnych kijów.

Zanim Wolzow schował te dyscypliny do szafki, natarł jeszcze poszczególne rzemienie tłuszczem.

Od wielu dni padał śnieg. Zespoły myśliwców i bombowców, które teraz co noc urządzały naloty na Berlin, w ciągu ostatnich nocy zawracały już nad Holandią. Również i tego wieczora nic nie wskazywało na to, że będzie alarm, bo po południu rozszalała się zawieja śnieżna.

Vetter i Rutscher przyłączyli się do akcji. Na izbie chorych wycięto Rutscherowi migdały, dzięki czemu już prawie wcale się nie jąkał. – Dlaczego niby nie mielibyśmy zrobić tego zaraz!

– powiedział Wolzow. Gdy podoficer dyżurny po obchodzie baraku odszedł, wyskoczyli z łóżek i ubrali się. Mały Kirsch, który mieszkał w Bercie i szpiegował dla Wolzowa, zameldował: –

Poszli już spać!

– Hełmy na głowę! – rozkazał Wolzow. Ziesche przyglądał się temu zdumiony. Wolzow oświadczył mu: – Ci twoi starsi junacy muszą nam teraz święcie przysiąc, że dadzą nam spokój, a jak nie, wywrócę im całą budę do góry nogami!. Ty zostajesz w łóżku! – rozkazał szorstko. –

Kirsch, czynię cię odpowiedzialnym za to, żeby Ziesche nie ruszył się z izby!

Obeszli łukiem barak Cezar i zakradli się do Berty od północy. Przedostali się przez korytarz i wdarli się do największej izby. Wolzow zapalił światło. Rutscher i Vetter przysunęli natychmiast stół do drzwi, które otwierały się na korytarz.

Hamburczycy posiadali na łóżkach przerażeni. – ...bry wieczór! – powiedział Wolzow. –

Słyszałem, że panowie chcą na nas napaść, i to przeważającymi siłami.

– Wynocha stąd! – zawołał ktoś zaspanym głosem.

– Zamknij się! – wrzasnął Wolzow. – Dajecie słowo honoru, że nie urządźcie na nas napadu w nocy? Dajecie czy nie?

Günsche, zbaraniały, wytrzeszczał oczy na Wolzowa, który stał niebezpiecznie blisko jego łóżka, i wreszcie powiedział niepewnie: – Nie pozwolimy się szantażować!

– A więc nie! – krzyknął Wolzow dzikim głosem. – Najlepszą obroną jest atak, mówi Schlieffen! Naprzód, chłopaki! – I kiedy Holt i inni rzucili się na zaskoczonych hamburczyków, z dyscyplinami, Wolzow złapał ogromne akwarium, ważące co najmniej cetnar, i przy akompaniamencie krzyku przerażenia podniósł je w górę i rzucił na łóżko Günschego. Günsche ledwo zdążył usunąć na bok nogi, gdy wielka skrzynia szklana spadła z hukiem na kant łóżka, że aż łóżko się zachybotało, i chlapiąc wodą rozprysła się na kawałki. Pięćdziesiąt litrów wody rozlało się na pościel i na podłogę, wszędzie trzeszczały pod nogami kawałki szkła, a między nimi trzepotały się ryby... Hamburczycy byli jak sparaliżowani. Holt trzy razy smagnął Wildego pejczem przez plecy, zanim ten w ogóle uczynił jakikolwiek ruch obronny ręką. Wolzow, nie zważając już na nic, przewracał szafki, rozbijał o ściany doniczki z kwiatami, a potem zrzucił ze stołu lampę i wziął się za wazon y i popielniczki, jakiś obraz śmignął w powietrzu niczym dysk i rozleciał się w drobny mak. Inni tymczasem walili zajadle dyscyplinami gdzie popadło.

Wreszcie paru hamburczyków ochłonęło z przerażenia i zerwało się z łóżek. Ale byli w nocnych koszulach, a ciosy padały gęsto jak grad, poza tym byli boso, a wszędzie naokoło leżały kawałki szkła.

Nagle drzwi się otworzyły. To starsi junacy z innych izb, również w nocnych koszulach, chcieli wdrzeć się do środka, ale stół tarasował im drogę, a poza tym Vetter i Gomulka, tak jak było umówione, bronili wejścia. Wolzow tymczasem kończył swoje niszczycielskie dzieło.

Połamał drewniany stół, na którym stało akwarium („Będziecie mieli przynajmniej czym palić w piecu!”), podarł na strzępy kalendarz ścienny i rzucił radiem w swego wroga Günschego, który pośród osłabłych, trzepocących się bezradnie rybek siedział oszołomiony na swoim łóżku i zdążył się akurat zasłonić kołdrą przed tym pociskiem.

– Skończyłem! – krzyknął Wolzow. – Życzę przyjemnej nocy! – Izba wyglądała jak po bombardowaniu. Przedarli się przez korytarz, na którym cisnęli się starsi junacy, i pognali z powrotem do Dory.

Na drugi dzień panowała od samego rana atmosfera nerwowego podniecenia. Holt zauważył, że inni starsi junacy boczą się na hamburczyków, a ci na nich. Może dadzą nam wreszcie spokój, pomyślał. Na pewno o tym napadzie nigdzie nie zameldowano, bo istniało takie niepisane prawo, że o metodach tak zwanego samowychowania nie mówi się przełożonym.

Ale kapitan jednak o tym wiedział. – Słuchajcie! – wrzasnął. – Pięciu bandytów z obsługi działa Anton buszowało dziś w nocy po Bercie, zachowali się jak wandale... Rzucić w ludzi akwarium, widział to kto! – I nagle ze znużeniem w głosie, bo widocznie miał już zamiar odejść: – Z tych pięciu trzech chce jechać na urlop... Ja im dam urlop! – W dwa dni później wolno im było jednak zgłosić się do kancelarii po dokumenty urlopowe.

– Jedziecie do ojca? – powiedział Gottesknecht. – Ja też stamtąd pochodzę.

Holt, Wolzow i Gomulka zatrzymali w Essen jakąś ciężarówkę, która zabrała ich do Kassel.

Przy takiej zawierusze, jaka szalała akurat nad światem, samochód mógł się posuwać po zaśnieżonych drogach tylko bardzo wolno. Z Kassel zabrali się pociągiem do Erfurtu, gdzie znowu trafiła im się jakaś ciężarówka. Autostrada nie była oblodzona. Wóz na gazogenerator drzewny włókł się ociężale przez zimowy krajobraz. Wiatr dął z tyłu i gwizdał pod brezentową budą jak szalony. Wolzow siedział na przodzie w szoferce.

Gomulka, który siedział razem z Holtem pod przewiewną plandeką, w pewnym momencie powiedział: Życie bez armat też jest całkiem przyjemne!

Holt, zatopiony w swoich myślach, kiwnął potakująco głową. Jechał do człowieka, którego już prawie nie pamiętał. Cztery lata to jednak kawał czasu! Gdzieś daleko z zamierzchłych czasów dzieciństwa wyłaniał się obraz ojca, matki, i jeszcze dziś robiło mu się zimno na myśl o domu rodzicielskim. Matka Zagrzebałaś się w tym twoim laboratorium jak w grobie. Do tego niepotrzebna ci taka żona jak ja... tak czy siak, ale wiecznie kłótnia... Dlaczego tyle pracujesz, tatusiu? Człowiek ma pewne zadania do spełnienia. Człowiek, który nie wytknął sobie żadnych zadań, wegetuje jak zwierzę.

– Wegetuje jak zwierzę, strzela do jeleni, strzela z armat, bije się ze starszymi junakami...

Jakie ja mam zadania do spełnienia? rozmyślał Holt. Jest wojna. Walczymy za Niemcy. Od dzieciństwa czytało się we wszystkich książkach: Umrzeć za ojczyznę, Langemarck, Schlageter, i tak dalej.

Ciężarówka stanęła. – Tu, zdaje się, chciał jeden z was wysiąść! – Holt pożegnał się z przyjaciółmi. Długo szedł jakąś szosą. Wszędzie leżał śnieg, niebo wisiało nad głową szare i chmurne.

Miasto było obce, nie zniszczone wielkie miasto, do jakiego Holt nie był przyzwyczajony –

przytłaczające, onieśmielające.. Adres zaprowadził go na jakąś wąską uliczkę. Po obydwu jej stronach ciągnęły się rzędy wysokich domów. Będzie się pierwszorzędnie palić! – pomyślał

Holt. Jakaś brudna kamieniczka, trzy piętra, drzwi do mieszkania... Holtowi przypomniawszy się willa w Leverkusen, dom matki w Bambergu, nowoczesny, jasny, okolony drzewami, ściana południowa cała ze szkła. Tu, w tej brudnej dziurze, widniało na kawałku kartonu nazwisko Holt, bez stopnia naukowego „doktor”, bez tytułu „profesor”. Zadzwoił. Mało uprzejma gospodyni dała mu adres jakiegoś urzędu miejskiego.

Tam woźny powiedział: – Holt? Jest jeszcze na górze. Ten zawsze tu tak długo pokutuje.

Niech pan idzie na górę. – Korytarze, laboratoria, mały gabinet, słabo oświetlony. Jakiś człowiek pochylony nad mikroskopem.

A więc to był ojciec! Włosy na masywnej czaszce zrobiły się już białe jak śnieg. Stary Holt wyprostował się i długo przecierał sobie oczy. Potem poznał swego syna. – Werner!

Rzeczywiście Werner! – zawołał zdumiony.

Holt stał sztywno przy drzwiach. Był rozczarowany, sam nie wiedział dlaczego. Ciasnota tej skromnej pracowni działała na niego przygnębiająco, słabe światło lampy na stole, znoszony garnitur ojca... Znowu przyszedł mu na myśl powiedzenia matki: Dziwak... ciągle ma w głowie tylko swoją pracę, nic więcej... – Myślałem, że się ucieszysz – powiedział Holt – gdy mnie po tak długim czasie... Ale nie przeszkadzaj sobie. – Profesor Holt zbierał swoje rzeczy. – Cieszę się bardzo. Wcale mi nie przeszkadzasz, skądże! Wypróbuję tu tylko po pracy parę technik farbowania, dawniej nie było przecież na to czasu. – To prawda, pomyślał Holt, jeszcze bardziej rozczarowany, ma w głowie tylko swoją pracę i nic więcej... Zastygły w bezruchu, oparty o drzwi, przyglądał się ojcu, jak zamyka w szafie butelki, szkiełka z odczynnikami i kolby i jak pieczołowicie chowa do politurowanej drewnianej skrzynki mikroskop. – Tak, mój chłopcze, możemy iść!

Na ulicach było ciemno. Kilka aut z zaciemnionymi światłami przemknęło po mokrym od śniegu asfalcie.

Holt siedł w milczeniu obok profesora, który był o wiele od niego wyższy. Czy warto opowiadać? Jego przecież nic nie interesuje. Jest odludkiem, całkowicie oderwanym od życia...

Opowiadał o sobie niechętnie i bardzo pobieżnie.

W małym, biednie umeblowanym pokoiku stół był przysunięty do okna i zawalony papierami, książkami i tabelami. W korytarzu krzątała się gospodyni, sarkając głośno na niepotrzebny kłopot, niespodziewane wizyty i dodatkową robotę przed świętami. I znowu ponura atmosfera tego pokoju, obcy, nędzny świat, który działał na Holta tak przygnębiająco, zadecydowały o tym, że Holt patrzył z nieprzyjawnym zainteresowaniem na ojca, który spokojnie nabijał krótką fajkę: obcy i stary człowiek, człowiek z charakterem, który zdecydował się na to, żeby żyć w tej dziurze, jak ostatni nędzarz, pomiatany przez niechlujną gospodynię, podczas gdy matka rezyduje w Bambergu w eleganckiej willi... człowiek z charakterem czy uparty dziwak, unikający świata odludek? O czym on mówi?... Po czterech latach znaleźć drogę do niego, i jak do tego doszło...?

– Wszystko co najważniejsze – powiedział Holt – już ci o sobie opowiedziałem. A ty, ojcze, jak się tobie przez te ostatnie lata powodziło? – Czy mnie to rzeczywiście interesuje? pytał się w duchu. Czy też tylko tak gadam, żeby gadać? Czyż ze wszystkich obcych ludzi nie jest mi on najbardziej obcy? Ale potem obudziło się w nim coś w rodzaju ciekawości, żeby wreszcie poznać przyczyny tego losu.

– Jak widzisz – powiedział profesor, nie wypuszczając swej krótkiej fajki z zębów – żyję, pracuję. To, na co dawniej nie było czasu, odrabiam teraz skrupulatnie, w spokoju.

– Dobra, dobra – powiedział szybko Holt – twoja praca... I tak nic z tego nie rozumiem.

Ale poza tym, mam na myśli... – I wypalił już teraz prosto z mostu: – Żyjesz tu dość biednie.

Gdy pomyślę o tym, jak było dawniej... Mam całe mnóstwo pytań. Ostatecznie człowiek już trochę wydorósł... Dlaczego właściwie... Umilkł. Coś mu mówiło: Nie ruszaj tego.

– Dlaczego właściwie – zapytał – twoje małżeństwo się rozleciało?

Profesor zdawał się być nieco zaskoczony, bo przez chwilę pykał tylko fajkę. W świetle lampy stojącej na stole widać było wyraźnie jego twarz i głębokie cienie zmarszczek biegnących od nozdrzy aż poza kąciki ust. – Twoja matka – zaczął ostrożnie – wydaje mi się do dziś kobietą godną miłości, taka jaka jest, naprawdę... Ale właśnie dlatego nie pasowała do mnie.

– Dobra, dobra – powiedział Holt znowu. – Ale powód? Kiedy odchodziłeś, musiał być przecież jakiś powód! Dlaczego zrezygnowałeś wówczas ze swego stanowiska w Leverkusen? –

I znowu pomyślał: Nie pytaj, nie ruszaj tego!

– Ta praca mi nie odpowiadała – odparł profesor. Zabrzmiało to tak, jakby chciał się uchylić od wyraźnej odpowiedzi.

– Ja cię przepraszam – powiedział Holt – wyjechałeś przecież z Hamburga, żeby móc prowadzić pracę na wielką skalę w przemyśle, nie było tak? I nagle ta praca przestała ci odpowiadać?

– Tak. Nagle przestała mi odpowiadać – odparł profesor, kierując teraz swój zamyślony, pełen troski wzrok na syna. – Ale tu – zawołał Holt prowokująco – w takiej dziurze, jako tuzinkowy chemik, to ci odpowiada?

– Tak. To mi odpowiada – powiedział profesor. Jego twarz zniknęła w mroku pokoju.

Zwróconą gdzieś w bok głowę zasłaniała teraz lampa. Tylko białe włosy, prześwietlone światłem, połyskiwały srebrzyście. Holt, jak zaklęty, nie odrywał wzroku od ojca, który z pochyloną głową, zatopiony w myślach, zapatrzył się gdzieś w ciemność.

– W drugiej połowie mojego życia – powiedział wolno profesor – zmuszony byłem pogrzebać całą masę iluzji. Mówisz, że wydorósłaś... no dobrze. Jedną z tych iluzji była wiara, że będzie można gdzieś na marginesie tego całego mechanizmu pracować w spokoju dla dobra ludzkości i jedną z nich było też między innymi moje małżeństwo, a dalej pragnienie, żeby mieć syna i żeby móc go ukształtować według mojego wyobrażenia... Człowiek pozbawiony iluzji może jednak czekać. A na czekanie jest ten pokój tutaj... i moja obecna praca w sam raz.

Holt na próżno usiłował oderwać wzrok od ojca; próbował nie dać się ponieść wrażeniu, ale powaga tej niezrozumiałej wypowiedzi wciągnęła go niespodziewanie we wspomnienia: nagle odżyły w nim dawno minione, bardzo już odległe czasy, czasy wczesnego dzieciństwa.

Wówczas, zanim zaczęły drażnić go te i owe powiedzenia matki, ojciec był dla niego wcieleniem

wszystkich cnót, był wszechwiedzący, wszechpotężny, dobry i mądry, słowem: przyjaciel i nauczyciel. Wówczas. Powoli lody topniały. – Ojciec – zaczął Holt, i teraz w jego słowach był

jakiś cień ciepła – powiedziałeś kiedyś do mnie... to było bardzo dawno temu: Człowiek musi mieć przed sobą jakieś zadanie, bo w przeciwnym razie żyje jak zwierzę... Ty spełniałeś przecież swoje zadanie w Leverkusen. Powiedz mi prawdę: dlaczego to rzuciłeś?

Stary Holt obrócił się nieco i przysunął ze swoim krzesłem do syna; był to jakby gest zbliżenia, i teraz ojciec i syn siedzieli blisko siebie w świetle lampy. -

Zadanie – powtórzył profesor. – Tak. Tak powiedziałem. Ale istnieje coś, co stoi ponad tym.

Sumienie, odpowiedzialność, wierność wobec samego siebie... To się może niektórym wydawać... zwłaszcza dziś może się wydawać jedynie pustym dźwiękiem. Ale to nie są puste dźwięki. Nie mogłem złamać przysięgi, jaką składałem kiedyś, gdy mi wręczano dyplom lekarza, a tego właśnie ode mnie wymagano. Zdaniem moich kolegów i współpracowników...

a także twojej matki!... nie tylko zniszczyłem sobie lekkomyślnie egzystencję, lecz postąpiłem jeszcze niehonorowo i jak zdrajca. Ale za to będę miał przynajmniej czyste sumienie, gdy to wszystko przeminie.

– Gdy... co przeminie? – zapytał Holt. Profesor popatrzył na niego tak, że Holtowi zrobiło się zimno.

– Ta tak zwana „trzecia Rzesza” – odparł.

Holtowi przeleciały nagle przez myśl owe wszystkie tysiące razy wbijane mu do głowy pojęcia: zdrada... defetyzm... Ale trwało to tylko chwilę, bo myśli te prawie zaraz go odbiegły, a na ich miejsce pojawił się strach. – Sądzisz... – Umilkł i słuchał, jak ojciec mówi, spokojnie i rzeczowo, ale jakby gdzieś z daleka: – Nosisz ten mundur, nosisz na rękawie opaskę z tą ich...

swastyką, przyszedłeś do mnie i sam się domagałeś, żebym ci powiedział prawdę. Pod tym znakiem, który nosisz na rękawie, narodowi socjaliści przygotowali i rozpętali największą w historii świata wojnę grabieżczo-zaborczą, a teraz ją przegrywają, całkiem wyraźnie i z kretesem. Wtedy w IG Farben miałem pracować nad pewnymi wynalazkami, które w końcowym efekcie służą do zabijania ludzi, dlatego odmówiłem dalszej współpracy. Poza tym wypróbowywanie trującego działania rozmaitych związków chemicznych, przeznaczonych do zwalczania insektów, na ssakach nazwałem zbrodnią, ponieważ widziałem, do czego te szeroko zakrojone próby prowadzą. Jak się okazało, miałem rację: dziś tą wypróbowaną przez IG

mieszkanką kwasu pruskiego z chlorowęgla metylu SS zabija w obozach koncentracyjnych setki tysięcy ludzi...

Holt uczynił ruch ręką, w którym wyrażała się jedynie bezradność, bezradność i strach.

Profesor go zrozumiał. I zamilkł. Lampa na stole paliła się słabym światłem i rzucała wielkie cienie na pobielone wapnem ściany. Holt przez kilka sekund walczył ze strachem i pokonał go w sobie, ale równocześnie zgasła też w jego duszy owa iskierka ciepła. Wróciło uczucie obcości, znowu był

między nimi przedział, jakby nagle powiało chłodem. Holtowi zrobiło się zimno.

Patrzył na ojca w mdłym świetle lampy, i nagle był to dla niego znowu obcy, stary człowiek, odludek... Rzuca mi prawdę jak psu kość, zwała mnie z nóg i zostawia na łaskę losu...

Jedno było teraz dla niego jasne: że musi stąd jak najprędzej odejść... Ten stary człowiek, pomyślał... pyka fajkę, patrzy gdzieś przed siebie... Tu serce staje się soplem lodu! Co ja tu robię? rozmyślał, co mnie tu przygnało i po co pytałem?

Precz stąd! Dokąd? Do Gertie, pomyślał. Odetchnął z ulgą. W niej... jest ciepło, ratunek, ukojenie.

– Przynajmniej się raz zobaczyli – powiedział. Słowa te udało mu się wypowiedzieć całkiem naturalnie. – Niestety... – zabrzmiało w tym ubolewanie – już jutro rano muszę wracać.

Przy tej napiętej sytuacji w powietrzu... – Profesor zrozumiał. Teraz on z kolei poruszył

bezzadnie ręką, i ręka ta opadła bezsilnie na blat stołu. – No to chodźmy spać. Miejmy nadzieję, że nie będzie dziś w nocy alarmu.

Poranek przyniósł ze sobą trzaskający mróz. Profesor, wysoki i wyprostowany, poszedł do swojego laboratorium. Holt odprowadzał go wzrokiem. Uczucie obcości, rozczarowanie i strach... Wszystko to teraz przerodziło się w rozgoryczenie. Idź sobie, myślał ze złością. Idź!

Nie potrzebuję cię, nie chcę cię, ani ciebie, ani tej twojej... prawdy.

Potem poszedł na dworzec.

Jakiś pociąg pospieszny, zarezerwowany dla urlopowiczów z frontu, zabrał go na zachód.

Przedziały były zapchane żołnierzami wszelakich broni. Pokryte szpeciną zarostu twarze, odprężone we śnie, zmęczone czuwaniem. Dziś była Wigilia!

Magdeburg. Stop! Dalej na północ już nie ma co! Dotarł do Hanoweru i tu utknął, nie mógł

znaleźć nawet samochodu, który by go zabrał dalej. Włączył się bez celu po ulicach.

Zmierzchało się. Usadowił się w poczekalni na dworcu. Nadszedł wieczór. Nastawione na pełny regulator radio, jakieś przemówienie, nie słuchać! A potem: „Cicha noc, święta noc...” Wigilia Bożego Narodzenia. Niemieckie kościoły dzwonią na pasterkę. Holt ukrył głowę w ramionach.

Następnego dnia rano dotarł do Gelsenkirchen, skąd pojechał tramwajem do Essen i stamtąd zatelefonował. Pani Ziesche była zaskoczona. – Czy mogę przyjść? – zapytał. „Nie –

odpowiedziała. – Günter Ziesche przychodzi do domu na urlop”. Zaczął ją błagać: – Spaliłem wszystkie mosty za sobą, nie możesz mnie teraz zostawić samego. – Usłyszał wreszcie:

„Poczekaj!” Czekał. Bardzo długo. „A więc jedź do Borken, to jest za Wesel, już jakoś tam

dojedziesz. Potem pójdziesz szosą i w miejscu, gdzie szosa się rozwidła, skreśisz w prawo do następnej wsi, to tylko parę kilometrów, gospoda nazywa się *U Źródła*. Tam się spotkamy. Niech mnie Ziesche pocałuje w nos. Ktoś ze znajomych podrzuci mnie tam samochodem”.

Był szczęśliwy. „Do zobaczenia – powiedziała. – Ja też się cieszę”.

Dopiero po południu dotarł do umówionego miejsca. Była to całkiem przyjemna wiejska gospoda. Pani Ziesche siedziała w kącie, żeby nie rzucać się w oczy. Wyglądała bardzo dziewczęco. Pochwyił jej rękę. Wolniutko odwróciła rękę, nad którą się pochylił, i zamknęła mu usta ciepłą dłonią.

Szli przez płaską, zaśnieżoną równinę, która ginęła gdzieś daleko w mroku. Typowy krajobraz nizinny. Na łąki, na kępy olch i wierzb, na bagna i torfowiska padały wolniutko płatki śniegu. Do granicy holenderskiej musiało być stąd niedaleko. Szedł mróz. Około wieczora śnieg ustał. W mroku szumiało im coś nad głowami. Gdzieś bardzo daleko strzelała artyleria. Ale to było gdzieś poza nimi. Tu nie było alarmu. Mieli przed sobą całe dwa dni. Brnęli po skrzypiącym śniegu.

– Popatrz tylko na ten zimowy krajobraz – powiedziała. – Czy tu nie pielienie? – To też było w niej czymś nowym. Później opowiedział jej o swoim ojcu. – Trochę za dużo w tym pesymizmu – powiedziała. – Ale w zasadzie ma rację. – Mówiła o bezsilności i o ślepych fatum, jest się tylko pionkiem w tej wielkiej grze. Pasowało to akurat do jego niewesołego nastroju. –

Zapomnij o tym – powiedziała. Uta też tak mówiła: Zapomnij o tym. – Ale ja nie mogę zapomnieć!

– Możesz. Poczekaj tylko! Jak wrócisz do baterii, zapomnisz o wszystkim.

W pustej gospodzie płonęło na choince parę świeczek. Od kaflowego pieca biło przyjemne ciepło. Gospoda była zajęta przez zbombardowanych, ale dla pani Ziesche zawsze był wolny pokój. Przed laty przyjeżdżało się tu z teatrem na wycieczki, opowiadała.

Po kolacji siedzieli przy ciepłym piecu, tuż przy sobie. W radiu zabrzmiała znowu „Cicha noc, święta noc”, ale już ze zmienionym tekstem: „Światłości bóg Balder jest tu”.* [*Przekład Włodzimierza Lewika.] Holt nic nie słyszał; ponieważ na dworze była ciemna i groźna noc, znowu opadły go wspomnienia; był zupełnie bezbronny wobec nich; czy chciał, czy nie chciał, musiał myśleć o tym siwowłosym człowieku i jego słowach... Dość wcześnie udali się do jej pokoju. Holt szukał w niej ucieczki. Musiała się domyślać, co się w nim dzieje, bo oddała mu się bez słowa. Ale on długo jeszcze potem leżał z otwartymi oczyma i walczył ze strachem, który bardzo powoli ustępował. To mnie nie może zwalić z nóg, mówił sobie. Wtedy to w sobie przewyciężyłem, przy Ucie, a – dziś mam przecież Gertie... Nie zwracać uwagi na takie gadanie, to mnie nie może załamać! Ale to się we mnie nagromadza, rozmyślał, jest jakby...

próbą obciążenia, jakby los chciał mnie wystawić na próbę. Los, pomyślał.

Poranek wstał w białej, mroźnej mgle, ale wiatr północno-wschodni wnet ją rozwiął. Na czystym niebie świecili.) zimowe słońce, w którym każda kępka wierzbiny rzucała błękitny cień.

Szli parę godzin przez zaśnieżoną równinę. Kroczył obok niej, ale myślami był od niej bardzo daleko. Los, rozmyślał znowu, to ta wielka tajemnicza niewiadoma, której my ludzie zostaliśmy wydani na pastwę... Pani Ziesche opowiadała o swoim życiu. Uczyła się tańczyć, kiedy była dzieckiem. Gdy miała szesnaście lat, jeździła z baletem po Europie, po Francji, Anglii, Rosji...

Nadstawił uszu. – Byłaś w Rosji? – Ten kraj jest bezbrzeżny jak niebo, co wisi nad nim, mówiła, można się zagubić w przestrzeni, w bezkresie... – Poczytaj sobie Dostojewskiego – powiedziała wreszcie. Spojrzenie jego zawisło na horyzoncie, gdzie roziskrzony śnieg zlewał się z błękitem nieba. Przestrzeń, bezkres, pomyślał, czyż i nasze życie nie jest jak bezkresna, bezsensowna droga, nad którą nasze przeznaczenie przewala się niby burza? – Poczytaj sobie, co Rilke pisze o duszy rosyjskiej – usłyszał. Dopiero teraz pękła całkowicie przęda jego myśli.

Przystanął. – Przecież to podobno wszystko podludzie? – powiedział, i nawet się nie zdziwił, gdy usłyszał nową sprzeczność. – Jakiś pretekst trzeba mieć, żeby ich zabijać – powiedziała.

Dziwne, ale teraz jej słowa już tak silnie na niego nie podziałały. Życie toczy się dalej swoim torem, pomyślał, kiedy wrócił do baterii, nie przejmuje się nami, naszymi rozczarowaniami, naszymi lękami, nie mamy na nie wpływu, jest ponad nami i narzuca nam określoną drogę, którą musimy iść.

Zima tego roku była bardzo kapryśna, przynosiła na zmianę to śnieg i zimno, to znów cieplejsze dni. W styczniu zaczął się jednak okres mrozów. Rtęć w termometrach wskazywała nocą dwadzieścia dwa, a nawet dwadzieścia sześć stopni Celsjusza poniżej zera”. Mimo surowej zimy brytyjskie zespoły bombowców noc w noc przelatwały nad granicą.

Chłopcy siedzieli zeszywniali z zimna przy działach. – Piąta zima wojny! – Gomulka opowiadał: – W domu nie mają czym palić, a jedzenie jest coraz nędzniejsze.

– Ci tam na górze też sobie chyba dupy odmrażają? – zastanawiał się głośno Vetter.

– Nie ma obawy! – mruknął Wolzow. – Im jest ciepło jak w uchu. Te czteromotorowce są hermetycznie zamknięte, piloci w swych elektrycznie ogrzewanych kombinezonach pocą się niezgorzej!

– Przestań! – zawołał Holt. – Pocą się... Głupia mowa! – Obcisnął mocniej wełniany koc wokół nóg, ale zimno pełzło w górę, całym ciałem wstrząsały dreszcze. – W jakimś strąconym stirlingu znaleźli czekoladę i pierwszorzędne papierosy! I prawdziwą kawę też sobie gotują! –

paplał Vetter. – Przestań! To graniczy z defetyzmem! – przerwał mu w pół słowa Ziesche. – Ja i defetyzm! Jesteś kompletny dureń – wybuchnął wzburzony Vetter.

– Cicho! Komunikat sytuacyjny! – Umilkli i zaczęli przygotowywać się do strzelania.

Podczas tych mroźnych nocy Kutschera zjawiał się zawsze na SD2 dopiero przed samą walką i znikał tak prędko, jak tylko się dało. „Jak będzie coś szczególnego, to mnie zawołajcie”, mawiał do Gottesknechta. Potem węszył zwykle przez chwilę po stanowisku, przeganiał bez powodu paru junaków po zamrożonym polu, a wreszcie mówił: „Ach, pocałujcie mnie wszyscy...” i wycofywał się. Kazał przeprowadzić do swojego baraku linię telefoniczną ze stanowiska dowodzenia.

Dopóki było cicho, Gottesknecht, w całkiem niewojskowej czapie futrzanej, chodził od działka do działka i rozdelał pastylki Wyberta. „Weźcie sobie, Holt, to dobrze robi na kaszel i chrypę, w każdym razie tak piszą na pudełku!” Jednej nocy, gdy chłopcy powoli zamieniali się w sopte lodu, Wolzow gotował w bunkrze dla obsługi grog. Schmiedling w pewnej chwili zawołał: – To dobrze nam zrobi, nie? Ale tak beze mnie, powinniście mnie byli zapytać najpierw o pozwolenie, ale niech tam, to będzie coś dobrego, nie? – Spirytus denaturowany Wolzow dostał od puszkarza, ale kto mu dostarczył araku – z tym się nie zdradził. Siorbali napój z nakrywek od menażek i zaprosili również Gottesknechta na jednego. Dał za to Wolzowowi

„bardzo dobrze”. Alkohol uderzył potem chłopcom tak do głowy, że podczas strzelania kanonierzy wprowadzali na przyrządy złe nastawy; gdy bombowce leciały na północ, Anton strzelał na południe. Ponadto rano okazało się, że wystrzelano wszystkie naboje przeznaczone na wypadek ataku bezpośredniego. Tego niestety nie dało się ukryć. Gottesknecht zmienił

Wolzowowi „bardzo dobrze” na „niedostatecznie”.

Jedenastego stycznia Holt obchodził siedemnastą rocznicę urodzin. Krewni z Hamburga przysłali mu paczkę z papierosami, matka tylko kartkę z nakreślonym w pośpiechu zdaniem:

„Serdeczne życzenia szczęścia w nowym roku życia”. Holt prychnął pogardliwie przez nos. – To jest typowe – powiedział do Gomulki. – Półtorej linijki! – Zapalił papierosa, „dehli” nazywał się ten gatunek, i popatrzył w zamyśleniu na zielone pudełko. – Tak, Sepp... Ta tak zwana więź krwi jest właściwie bardzo cieniutka. Nieraz obcy ludzie są człowiekowi o wiele bliżsi.

Paczka z papierosami doszła do Holta już dziesiątego stycznia. Dokładnie jedenastego poczta doręczyła mu małą paczuszkę od Uty. Było to dla Holta niespodzianką. Nie mógł

sobie przypomnieć, żeby jej kiedykolwiek zdradził datę swoich urodzin. Z opakowania wyłoniła się mała, oprawna w jedwab książeczka, wiersze Friedricha Hölderlina. Przebiegł szybko oczyma załączony do niej list. Jej przyjaciółka Helga Wiese, pisała Uta, nazwała ten podarunek

„nędzniętkim” prezentem, uważając, że dobrze uwędzona szynka byłaby żołnierzom o wiele miłsza niż tomik poezji. Ale ona zna go jako naturę poetyczną, a takie natury wołają przyjemności duchowe. Holt się roześmiał, ale umilkł zawstydzony, gdy przeczytał dalsze słowa. Wśród zawartych w tej książeczce wierszy są również ich ulubione utwory. O wyborze tego tomiku zdecydował też w pewnym sensie egoizm. „Może czytając ten czy ów wiersz, pomyślisz przy okazji i o mnie”. Przewrócił kartki tomiku na chybił trafił. „Czyż serce me nie świętsze, pełniejsze czaru życia – odkąd cię kocham?”* [*Przekład Włodzimierza Lewika.]

Gomulka był przy tym i obserwował Holta przez cały czas. Potem wstał i wyszedł z izby.

Przy tej okazji wdarła się przez drzwi fala lodowatego chłodu. Holtowi zrobiło się zimno.

Ale późnym popołudniem, gdy zatelefonowała pani Ziesche, żeby złożyć mu życzenia, i zapytała, czy nie ma nic przeciwko temu, by wspólnie uczcili jego urodziny, polecił jednak do kancelarii. Gottesknecht pozwolił mu wyjść wieczorem do miasta. Zaledwie jednak zapadł

zmierzch, rozległ się dzwonek alarmowy i Holt przesiedział do rana przy dziale.

Bombowce tym razem znowu szukały miejsca, gdzie by mogły pozbyć się swego ładunku.

Około stu czterosilnikowych bombowców zrzuciło swój ładunek na Bottrop, a potem bomby spadły też na północną część Essen; były to przeważnie bomby z opóźnionym zapłonem i zapalające, czerwień pożarów biła aż pod samo niebo, które tej nocy było srebrzyście błękitne od mrozu. Wolzow wdrapał się na wał ziemny, okalający stanowisko działa, i zapatrzył się w morze płonących domów. – Cholera, tam się teraz nikt nie skarży, że mu zimno! – Roześmieli się, złym, krótkim śmiechem. Jakiś cywil z obrony przeciwlotniczej zatrzymał się w połowie swej roboty. – Ach ty szczeniaku! Twoich tam przecież nie ma w tych płomieniach! – Wolzow zeskoczył na stanowisko działa, ale Holt złapał go za ramię. – Gilbert, daj spokój!

W trzy dni później pani Ziesche obchodziła urodziny. Ku swemu zmartwieniu Holt zastał

w mieszkaniu kupę aktorów i baletnic. Był zły. Pani Ziesche przysiadła się do niego na dziesięć

minut i starała się go uspokoić. – Nic na to nieporadzę. Nie mogę ich przecież wyrzucić. No rozchmurz się wreszcie, a ja już coś wymyślę, żebyśmy znowu mogli mieć parę dni dla siebie. –

Ze złości pił masę francuskiego wina, którego pani Ziesche zdawała się mieć zapas niewyczerpany, i umyślnie nie poprosił jej do tańca, tylko szalał z podchmielonymi chórzystkami, bez większego entuzjazmu i coraz bardziej ze sobą w niezgodzie. Czuł się obco między tymi ludźmi, i nawet pani Ziesche była jakaś daleka i obca. Nagle ni stąd, ni zowąd zaczął się szybko żegnać. Szepnęła mu zagniewana: – Poczekaj! Jak zapowiedzą alarm, wyrzucę ich wszystkich!

– Muszę wracać na stanowisko! – powiedział na przekór sobie i jej. Popatrzyła za nim ze ściągniętymi brwiami. Miał diabelną satysfakcję, że ją – jak sądził – obraził.

W ciemnym korytarzu spłoszył jakiegoś wąsatego faceta, który obmacywał tu jedną z chórzystek. Holt był już w płaszczu, gdy rozochocony winem wąsał go zagadnął: – Już odchodzicie, kolego?

– Nie jestem żadnym pańskim kolegą – odburknął Holt, wyrażając w ten sposób swoją pogardę dla pijaka. Tamten, w cywilu, zaśpiewał: – Dziś się żyje... jutro gnije... Nasz

„Grossdeutschland”... pan go też przecież znał, ten z piechoty zmechanizowanej... poległ! – Holt zatrzaskał za sobą drzwi. Przez prawie dwa tygodnie nic nie słyszał o pani Ziesche, a potem jednak do niej zatelefonował.

Mróz trzymał aż do końca lutego. Opału było mało i marzli również w barakach. Wolzow ściągnął z ogródków działkowych jakiś dach i pakował deski razem z papą do pieca. „Wy bandyci – wrzeszczał kapitan, do którego poszkodowani przyszli na skargę. – Palić w piecu altanami, w których mieszkają zbombardowani! Naturalnie znowu Wolzow! Ja was zamknę, jak jeszcze raz zerwiecie mi jakiś dach!” Ale tej groźby nikt nie brał poważnie, bo pomiędzy Kutscherą a Wolzowem panowała już od dawna jak najlepsza zgoda.

W końcu lutego przyszła odwilż i zamieniła stanowisko baterii w jedno wielkie bajoro.

Potem zaczęły się słoneczne wiosenne dni. Chłopcy siedzieli teraz dzień i noc przy dziale.

Brytyjczycy urządzali nocą naloty dywanowe na wielkie miasta, a w dzień ciągnęły po błękitnym niebie setki bombowców amerykańskich. Osłaniane eskadrami myśliwców atakowały miasta, zakłady przemysłowe i węzły komunikacyjne. W roku czterdziestym trzecim przeważały naloty nocne. Teraz to się zmieniło.

Bateria cztery razy na dzień włączała się do akcji, i ciągle Zagłębie Ruhry było bezpośrednim celem nalotów. Zużycie amunicji wzrastało, chłopcy coraz rzadziej mieli teraz zajęcia szkolne, ale za to coraz częściej znosili do dział naboje. W dzień walki powietrzne toczyły się od granicy holenderskiej aż po dalekie ziemie na wschodzie. Codziennie spadały zestrzeliwane samoloty: czterosilnikowe, mustangi, focke-wulfy, meserszmity. Ale bombowce leciały dalej swoją drogą.

Holt leżał na łóżku, pierś go bolała, przed południem znowu ich zaszczepiono, przeciwko tyfusowi czy też dyfterytowi, nikt tego właściwie dokładnie nie wiedział. Wolzow czytał. Vetter grał w skata z

Kirschem i Zemtzkim.

– Znowu strącono im siedem maszyn – zapiał w pewnym momencie Zemtzi – z czasem muszą to przecież odczuć! – Podśluchiwał meldunki z podgrupy. Czasami strącano je na odcinku dziesiątym, nawet dwanaście maszyn dziennie. Gomulka powiedział rzeczowo: – Nasza obrona niszczy mniej więcej pięć na sto spośród przelatujących maszyn nieprzyjacielskich, praktycznie jest to bez znaczenia. – Ziesche zawołał ze swego łóżka: – Gomulka z tą swoją żydowską akrobatyką cyfrową próbuje znowu osłabiać ducha! – Vetter zagroził: – Uważaj, żebyśmy my kiedyś nie osłabili twojego ducha, ale pasem!

Dzwonek alarmowy wypędził ich z izby. Dopiero przy działach, gdy Holt już wcisnął sobie hełm na głowę, nagle się zastanowił: Skąd Sepp wziął te cyfry? Wolzow opowiadał o sytuacji na frontach. – Nie macie nawet pojęcia, co się dzieje na wschodzie! Czytałem kilka komentarzy, bo przecież w komunikatach wehrmachtu jest tyle co nic. Między południowy a środkowy odcinek Rosjanie wbili klin szerokości trzystu kilometrów! Straciliśmy Żytomierz, straciliśmy Kirowograd, straciliśmy Krzywy Róg.

– Ale Führer – zawołał Ziesche, jak zawsze wściekły z powodu rzeczowości Wolzowa –

dziewiątego listopada powiedział wyraźnie: „Co to ma za znaczenie, gdy zmuszeni koniecznością wojenną oddajemy czasem paręset kilometrów...”

– Koniecznością wojenną? Przez Rosjan zmuszeni – powiedział Wolzow – na razie ciągle jeszcze przez Rosjan!... Ach, zamknij się – huknął na Zieschego – takiemu mięczakowi jak ty Führer musi to trochę delikatniej podać. Prawda wojskowa jest tylko dla mężczyzn, dla takich jak ja.

Wytrzasnął skądś mapy wszystkich teatrów wojny i stał teraz prawie codziennie przy stole nad mapą i śledził stale zmieniającą się linię frontu. Ziesche patrzył na to z wiecznie tą samą podejrzliwością.

Starsi junacy z rocznika dwadzieścia sześć, ci z Hamburga i z okolicznych miast Zagłębia Ruhry, spodziewali się lada dzień powołania do arbeitsdienstu. Kapral Engel i dwaj bombardierzy wyjechali już w połowie lutego, aby gdzieś na wschodzie szkolić uzupełnienie, uczniów z rocznika 1928.

Od czasu owej „błyskawicznej akcji” Wolzowa wojna pomiędzy nim a hamburczykami przycichła. Ale teraz wierny Schmiedling znowu ich ostrzegł: „Zanim te z Hamburga, nieprawdaż, to je pewne na mur, że zanim pójdą do RAD-u* [*RAD – Reichsarbeitsdienst –

Niemiecka Służba Pracy.], będą chcieli dać wam jeszcze wycisk!” Wolzow drwił sobie z tego.

Starsi junacy mieli być zwolnieni piętnastego marca. Uzupełnienia spodziewano się na dwudziesty marca. Dwunastego zaś dowództwo podgrupy wycofało 107 baterię na tydzień z akcji. Cztery działa musiały pójść do remontu, pomiędzy nimi również Anton. Zdjęli działo ze stanowiska i ciągnik powlókł je przez pole. Wolzow, Holt i Vetter pojechali z nim do warsztatu.

Vetter przez te pół roku znacznie zeszczupłał. Chłopcy mieli za mało snu i bardzo się to na nich

odbiło.

W warsztacie remontu uzbrojenia Wolzow zaraz wypatrzył jakąś osobliwą armatę. –

Chodźcie no tu! Popatrzcie, 88/410... Z celownikiem do strzelania na wprost! – I zaczął

objaśniać Holtowi i Vetterowi budowę celownika optycznego. Pomagał mu w tym jakiś żołnierz artylerii przeciwlotniczej, z tej baterii, do której armata należała. Kto wie, do czego się to nam jeszcze przyda, pomyślał Holt...

Ponieważ bateria miała być przez kilka następnych dni niezdolna do walki, junacy obiecywali sobie, że się nareszcie uczciwie wyśpią. Ale Kutschera przypomniał sobie nagle, że nastąpiło rozluźnienie dyscypliny, i zarządził musztrę. Wieczorem napalili sobie tak, że aż piec był cały czerwony, i gdy służbowy po obejściu baraku zniknął, padli śmiertelnie zmęczeni na łóżka.

Nagle wpadł do izby Zemtzi: – Hamburczycy idą! I inni też! Trzydziestu ludzi!

– Cholera jasna! – zaklął Wolzow. – Prędko, chłopaki, na dwór! – Objął natychmiast komendę i unieszkodliwił przede wszystkim Zieschego. – Jeżeli nie dasz słowa honoru, że zachowasz neutralność, zamknę cię do mojej szafki! – Ziesche na takie dictum dał słowo honoru, ale ubierał się razem z nimi.

Wolzow organizował obronę. Jego plan, żeby napaść na nadciągających starszych junaków w otwartym polu, nie znalazł poparcia, jakkolwiek Wolzow, przewracając prędko kartki swojego notesu, podbudowywał go klasycznymi przykładami. Niestety, jakie mogło im grozić ze strony pieca, nie byli już w mocy odwrócić. Holt wpakował do pieca całe wiadro węgla. Ogień wprost huczał. Rura była czerwona aż po sam sufit.. Zemtzi relacjonował dalej: – Buchnęli puszkarzowi naboje z gazem łzawiącym.

– Maski przeciwgazowe! – rozkazał Wolzow. – Hełmy! – Gomulka, który urlop świąteczny spędził w domu i przywiózł sobie stamtąd wiatrówkę, ugniótł kulki z komiśniaka i strzelił teraz na próbę Wolzowowi w rękę. – Wcale nieźle – stwierdził Wolzow. – Tylko wał prosto w facjatę, Sepp, bo tak będzie więcej bolało! – Odrzucił dyscyplinę. – Dziś potrzebne są solidniejsze rzeczy! – Prędko wyrwali deski z drewnianego chodnika przed barakiem. Przygotowali sobie też na wszelki wypadek skrzynkę „fanty”; fanta to był rodzaj lemoniady z domieszką kofeiny.

Gomulka postawił stół na sztorc i skrył się za tą barykadą ze swoją wiatrówką.

Wolzow i Holt czekali przed drzwiami baraku. Noc była chłodna. Holt szepnął: – Jak Hagen i Volker z *Pieśni o Nibelungach*.

– Zobaczysz, jak ja tym draniom skórę przetrzępię! – powiedział Wolzow.

Około jedenastej starsi junacy ruszyli do ataku; ciągnęli gęsiego po drewnianym chodniku.

Holt poleciał zaalarmować kolegów. Wolzow czekał w ciemnym korytarzu. Gdy hamburczycy otworzyli drzwi, kopnął pierwszego z brzegu w brzuch tak, że ten, padając, przewrócił dwóch

innych. Ponieważ zaskoczenie spaliło na panewce, żaden nie miał odwagi rzucić się pierwszy na Wolzowa. Ale wzięli się na sposób i zaczęli go bombardować kamieniami i grudkami gliny, wskutek czego zmuszony był wycofać się do izby. Podparł drzwi od środka deską. Korytarz nappełnił się ludźmi. Pod oknami słychać było przytłumione szepty. Ziesche siedział

zdeenerwowany na łóżku.

Przez chwilę było cicho. Potem hamburczycy podważyli kilofem górny filung w drzwiach, tak że powstała mała szpara, wystarczająca jednak, żeby Gomulka mógł w nią szybko wsunąć lufę wiatrówki i nacisnąć spust. „Aaa!”, rozległo się w korytarzu, i filung wrócił na swoje miejsce. Szpara zniknęła. – Wspaniale, Sepp!

Günsche za drzwiami ryknął wściekły: – Jeszcze jeden strzał z wiatrówki, a skujemy wam mordę tak, że pójdziecie stąd prosto do szpitala.

– Zobaczymy! – zawołał Wolzow. Holt pomyślał: Jest ich za dużo, to się musi źle skończyć!

Zemtcki przecisnął się do Wolzowa. – Gilbert... nazwali cię tchórzem! – podzegał. –

Tchórzem! – I uśmiechał się przy tym przebiegle.

Starsi junacy znowu podważyli filung w drzwiach. Gomulka tym razem spudłował i jeden nabój z gazem łzawiącym wpadł do izby, potem drugi... Prędko nałożyli maski przeciwgazowe.

Hamburczycy byli rozczarowani i długo się naradzali. Wolzow wpadł wreszcie w złość, połamał pierwszy z brzegu stołek i w każdą rękę złapał jedną nogę.

Nagle na dachu baraku zadudniły kroki. – Cholera, piec! – krzyknął Gomulka. Hamburczycy chlusnęli wodą do komina, z beczki przeciwpożarowej, i zatkali komin deską. Rozgrzany do czerwoności piec zaczął natychmiast piekielnie dymić. Cała izba nappełniła się dymem. Chwilę wytrzymali w maskach, ale potem zabrakło im tlenu. Holt słyszał szum w uszach, ktoś, kogo nie można było wyraźnie rozpoznać w dymie, już się przewrócił, Holt i Wolzow rzucili się do okien, otworzyli je na oścież, zdjęli hełmy z głów, zdjęli maski i głęboko odetchnęli.

Natychmiast też zaczął się szturm na okna, ale łatwo je było bronić. Wolzow i Vetter kropili drągami ile wlezło, a wiatrówka Gomulki plaskała im do wtóru. Za późno się spostrzegli, że atak na okna był tylko manewrem pozorowanym. Za ich plecami wyłamano drzwi i starsi junacy wdarli się już do izby.

Kilku z miejsca powalono i ci z jękiem wypełzli na korytarz, Wolzow grzmocił nogami od stołka jak szalony. Potem cała kupa starszych junaków przewróciła go na ziemię. Holt dostał

kilkakrotnie w twarz i w głowę i był już na wpół przytomny. Widział, jak Gomulka wali kolbą wiatrówki na prawo i na lewo, widział, jak dostał lagą w twarz i upadł na ziemię. Przed oczyma zamajaczyła mu szeroka gęba Zieschego. Najbardziej godny nienawiści... świnia, brutal...

morderca! Holt zaczął się przedzierać do Zieschego. Widział Wolzowa zmagającego się na podłodze z czterema czy pięcioma przeciwnikami, którzy młócili go bez litości, wzajemnie sobie przy tym przeszkadzając, widział, jak Vetter z umazaną krwią twarzą rzuca butelkami z fantą, i chwiejąc się na nogach przedziera się dalej, do Zieschego. Potknął się o nogi Wolzowa, przewrócił stół, który ciągle jeszcze stał na sztorc, i ciężki blat zwałił się na walczący na podłodze kłęb ludzi. Wolzow, który leżał na samym spodzie, uwolnił się od przeciwników i wypełził spod stołu. Holt widział już to wszystko jak przez mgłę. Rzucił się na zaskoczonego Zieschego, który przycupnął w kącie przy łózkach, i złapał go obiema rękami za gardło.

Nareszcie! Upadli dbaj na ziemię. Ziesche już rzeził. Ty ścierwo, morderco! Wtem Holt dostał

czymś ciężkim w głowę i rozwarł palce. W „izbie zagrział głos kapitana: – Ci bandyci wzajemnie się mordują, widział to kto!

Holt dotknął swej spuchniętej, bolącej głowy. W drzwiach stał Kutschera, z gołą głową, a na dworze, pod oknem, Gottesknecht. Dokoła siedziały na ziemi poturbowane postacie i trzymały się za głowę. Sanitariusz zakładał komuś opatrunek na zakrwawione oko. Wolzow, niemal nie draśnięty, stał przed kapitanem, ciągle jeszcze z nogą od stołka w garści, i mamrotał: –

Napadnięto na nas przeważającymi siłami!

– A huncwot, który tego piwa nawarzył, najmniej oberwał. Myślicie może, że wam u mnie wszystko ujdzie płazem?! – ryknął Kutschera.

Bilans: siedmiu junaków było tak mocno poturbowanych, że musiało pójść na izbę chorych

– Vetter, Gomulka i pięciu starszych junaków, a oprócz nich jeden cywil z dużej izby, który nie mając o niczym pojęcia, zaplątał się przypadkiem w tę całą awanturę. Vetter miał złamaną kość nosową, a Gomulka, bezradnie się uśmiechając, stał ze spuchniętymi ustami; brakowało mu jednego siekacza, wskutek czego jego twarz wydawała się obca, a uśmiech nieprzyjemnym grymasem. Głowę miał lepka od krwi. Za uchem ziała duża rana.

Kutschera, klnąc na czym świat stoi, ulotnił się. Gottesknecht powiedział cicho: – Dokładnie tak to sobie wyobrażałem! – Holt, nie mogąc już opanować szłochu, jęknął: – Taki nonsens!

Taki wołający o pomstę do nieba nonsens!

– Mieliśmy być zwartym kolektywem! – powiedział Ziesche ze swojego łóżka. Holt znowu skoczył do niego: – Jeszcze jedno słowo, ty zakłamany psie!... – Koniec! – powiedział Wolzow.–

– Zostaw Zieschego w spokoju! Jeżeli nie zamknie jadaczki, dostanie ode mnie klapsa! – Holta ogarnął nerwowy śmiech. Klapsa, pomyślał, klapsa...

Kutschera zaaplikował im cztery godziny musztry, i tym samym sprawa była dla niego skończona. Starsi junacy zostali zwolnieni dwa dni przed czasem; postarał się o to Gottesknecht, ponieważ obawiał się kampanii odwetowej ze strony Wekowa.

Holt odwiedził Gomulkę w izbie chorych. Gomulka leżał z grubo obandażowaną głową, z twarzą wtuloną w poduszkę. Ranę zszyto mu bez żadnego środka znieczulającego. – Makabra

– powiedział. – Co słyszeć w baterii? Zastanawiałem się długo nad tym, dlaczegośmy się właściwie tak bezsensownie pobili? To jest przecież straszne!

– Dla zasady – powiedział Holt. – Tylko i wyłącznie dla zasady. U Fontanego jest taki jeden, który nie ma w ogóle ochoty się pojedynkować i wie doskonale, że to błazenada, ale strzela się z przyjacielem swojej żony i zabija go, dla zasady!

Gomulka obrócił głowę trochę na bok. – Jeżeli dla zasady dzieje się coś bzdurnego, to ta zasada jest zła!

– Nie ma sensu za wiele się nad tym zastanawiać – powiedział Holt. – Mamy teraz całkiem wyraźny przepis z góry, jak należy postępować! – Gomulka był już pewnie zmęczony, bo nic więcej nie powiedział. Holt pojechał do pani Ziesche.

– O nieba, jak ty wyglądasz! – zawołała. Opowiedział jej o bijatyce. – O mało co byłbym Zieschego udusił! – Pogładziła go po włosach i powiedziała: – Uspokój się. Chcesz herbaty? –

Pod wpływem dotyku jej ręki zrobił się uległy i bezwolny. Przy niej wszystko staje się łatwiejsze do zniesienia, pomyślał. Podała herbatę i rozmawiała z nim o głupstewkach. Było przyjemnie i ciepło, skóra mu cierpła na myśl o powrocie do baterii. Postanowił zostać tu na noc, choć wiedział, że Gottesknecht nie będzie go w tym wypadku krył. Ale i to było mu obojętne. – Mam przepustkę do jutra rana – skłamał.

– Werner, nie możesz tu dziś zostać – powiedziała zdecydowanie. Najpierw popatrzył na nią jedynie zdziwiony. – Musisz to zrozumieć – prosiła. – Ziesche przyjeżdża na urlop, oczekuję go każdego dnia.

Powoli zaczynał pojmować, że nie młodego Zieschego miała na myśli, ale jego ojca, tego grubego, brutalnego draba. – Co takiego... – powiedział z trudem – a ja?

– Bądź spokojny. Będzie tu przecież tylko parę dni.

Tylko parę dni... A więc to tak, kiedy przyjeżdża – mąż, kochanek idzie w odstawkę...

I dopiero teraz uświadomił sobie, że ten stary Ziesche będzie ze swoją żoną... Zazdrość i odraza zamroczyły mu rozum. Złapał panią Ziesche za rękę, brutalnie, nieprzytomny z wściekłości. –

Jeżeli pozwolisz mi się dotknąć...

Przeraziła się, lecz pod wpływem uścisku jego ręki wyraz jej twarzy złagodniał, powieki przymknęły się. Opanowała się i powiedziała: – Na co ty sobie pozwalasz!

Ach tak! Puścił ją, głowa go znowu bolała, był zmęczony. Wziął z fotela swój płaszcz i wsadził czapkę na głowę. Patrzyła na niego obojętnie. Energia jego już się wyczerpała. Czekał

na jakieś słowo. Ale ona milczała. Gdy schodził po schodach na dół, ogarnęła go rozpacz: Teraz jestem już zupełnie sam! Nie było już w nim ani krzty dumy, zawrócił i zadzwonił. Kazała mu czekać sporą chwilę, zanim raczyła otworzyć. Stał przed drzwiami z czapką w ręce; wciągnęła go do hallu, odgarnęła mu z czoła pasemko włosów i uśmiechnęła się. – Głupie chłopaczysko!

Zadzwoń do mnie, jak dostaniesz znów przepustkę. – Stał przed nią bez ruchu. – Nie możesz...

– Za kogo ty mnie masz! – powiedziała. – Kobieta ma swoje sposoby!

Działa wróciły z warsztatu, mieli teraz roboty a roboty. Anton dostał nową lufę. Całą amunicję wymieniono na naboje z nowoczesnymi granatami. Następnego dnia wrócił Gomulka z izby chorych. Rozkazem podgrupy Holt i jego koledzy z klasy zostali mianowani starszymi junakami obrony przeciwlotniczej.

Po południu nadeszło do baterii uzupełnienie, uczniowie z rocznika dwadzieścia osiem, ze Śląska. Holt, Wolzow, Vetter i Gomulka stali przed kancelarią i przyglądali się, jak nowi złażą z ciężarówek i defilują przed barakiem magazynu mundurowego. – Kiedyś myśmy też tak przyjechali – powiedział Gomulka. Holt kiwnął głową. Było to już przed wiekami. – Ludzie, doczekaliśmy się! – wrzasnął Vetter. – Teraz my jesteśmy starymi!

Bateria ustawiła się na drodze i została odpowiednio podzielona. Świeżo upieczeni starsi junacy z działonów zostali przydzieleni do wszystkich sześciu dział jako działonowi i celownicowie. Schmiedlingowi ledwo się udało zatrzymać Wolzowa, Holta, Gomulkę i Vettera przy Antonie. Kutschera, jak zwykle z gołą głową, z psem u boku, stanął przed frontem. „Słuchajcie!” Tym razem nie powiedział ani słowa o samowychowaniu. Gomulka w związku z tym, gdy wrócili do izby, zauważył: – Już dawno mu to wylazło bokiem. Ale głupio mu przekreślać swoją własną zasadę.

– Samowychowanie pana kapitana – zaśmiał się szyderczo Holt.

Bateria znów osiągnęła gotowość ogniową. Około północy Wolzow raz jeszcze przetarł

nową lufę wyciorem. Czy dlatego, że nowi czuli się jeszcze niezbyt pewnie przy radiopelengatorze, czy też dlatego, że mieli stracha albo stracili głowę z powodu zachodzących teraz prawie stale zakłóceń, strzelanie tej nocy szło im bardzo kiepsko. Bateria strzelała na południe, bombowce przelatywały stroną północną. Wolzow kłął, bo z nowej lufy ciekł żrący smar i przepalił mu rękawicę ładowniczego. W przerwach słyszeli, jak przy radiopelengatorze piekli się Kutschera.

Nowi z rocznika dwadzieścia osiem stanowili dwie trzecie baterii. Oprócz dwudziestu sześciu starszych junaków z Holta klasy pozostało w baterii jeszcze tylko pięciu starszych junaków ze starych, to znaczy Dusenböcker i Hörschelmann – obaj dalmierzyści z Hamburga –

oraz Ziesche i dwaj jego szkolni koledzy z Essen. Obaj hamburczycy przyszli wieczorem do Wolzowa, przynieśli ze sobą papierosy i wódkę i wysłuchali cierpliwie dłuższej przemowy Wolzowa, zaprawionej mocno ironią. Potem oblewano wspólnie pojednanie. Wszystkiemu winien był tylko Günsche!

Przez następne tygodnie Kutschera kazał codziennie wstawiać musztrę do rozkładu zajęć baterii. Nauczycieli posłał na grzybki: „Łacina? Strzelanie jest ważniejsze!” Brytyjczycy urządzali naloty na Niemcy co noc, Amerykanie co dzień; w kwietniu ataki nieprzyjaciela przybrały jeszcze bardziej na sile i już nie słabły. Codzienna musztra zabierała chłopcom cały wolny czas, jaki im jeszcze pozostał. Ale Schmiedling mówił: „To je znak, że będzie inspekcja!” Rzeczywiście, w końcu kwietnia zapowiedział swój przyjazd dowódca podgrupy. Termin ciągle przesuwano i dopiero w maju zajeżdżała przed baterię kolumna samochodów. Major niczym kometa przywłókł ze sobą cały ogon kapitanów i podporuczników i zniknął w kwaterze dowódcy, a ustawiona w szeregu bateria czekała. – Oblewają teraz pierwszorzędną wodą powitanie – powiedział głośno Vetter bez najmniejszej żenady. – Spokój w szeregu! – ofuknął

go ktoś. Wreszcie major Behling ukazał się ich oczom i podszedł do nich wraz z całą swoją świtą, a gdy zaczęło się składanie meldunków, z wyciem klaksonów wtoczyła się na teren baterii jeszcze jedna kolumna samochodów. Gomulka, stojąc na baczność, szepnął: – Ach, kto by się spodziewał! – Z wielkiej limuzyny wysiadł generał artylerii przeciwlotniczej Bergmann, w towarzystwie pułkownika oraz kilkunastu podpułkowników i majorów. Końska twarz Kutschery rozciągnęła się w uśmiechu; o ile u dowódcy podgrupy źle był notowany, o tyle u generała miał dobrą markę. Stał na prawym skrzydle swojej baterii.

Generał kazał sobie pokazać znaczki tożsamości i nie cofnął się nawet przed obejrzeniem chłopcom podeszew u butów. Potem wyraził życzenie, żeby bateria przeprowadziła w jego obecności ostre strzelanie. Był pogodny, ciepły dzień. Jako cel ćwiczebny latał heinkel He-111.

SD2 było tak zapchane oficerami, że junacy ledwo mogli się poruszać przy przyrządach. Generał życzył sobie, żeby Kutschera zajął się taktyczną, a ogniomistrz techniczną stroną strzelania.

Zanim rozkazy generała po krętych stopniach drogi służbowej zdążyły dotrzeć do kapitana, obsługa przyrządów pomiarowych już je zdołała wykonać. – Widzę – powiedział generał

zadowolony – że pańska bateria jest w doskonałej formie! – Po dziesięciu minutach ćwiczeń ogłoszono: „Alarm bojowy!” Gottesknecht kazał rozłożyć płachtę sygnalizacyjną, heinkel przeleciał z szumem nad baterią i pomknął do najbliższego portu lotniczego.

Generał szybko się pożegnał. Pozostał tylko major. Objął dowództwo nad podgrupą i pchnął swojego adiutanta do centrali telefonicznej. W dziesięć minut później komunikat sytuacyjny zapowiedział silne zespoły bombowców, lecące pod osłoną myśliwców przez Holandię w stronę granic Rzeszy. Jednocześnie podano, że w rejonie Kolonia-Essen znajdują się jeszcze w powietrzu własne maszyny transportowe i szkolne. Gdy zarządzono alarm ogniowy, Kutschera zdjął hełm, ściągnął płaszcz i kurtkę i kazał sobie „przynieść z baraku swój skórzany płaszcz.

Miał oczy wszędzie. – Jazda, ściągnijcie prędko płachtę sygnalizacyjną! – Major powiedział: –

Przecież nasze maszyny są jeszcze w powietrzu, kapitanie, nie może więc pan związać płachty sygnalizacyjnej! – Kutschera zwrócił twarz do majora i zmrużył oczy. – Taki jest przepis, panie majorze. Mamy alarm ogniowy. Za parę minut bombowce będą już tutaj!

Na SD2 zapanowała konsternacja, czy należy wykonać rozkaz Kutschery, czy nie. Major, rozdrażniony oporem Kutschery, powiedział: – Niech pan zostawi jeszcze płachtę sygnalizacyjną na polu, tak też robić nie można, jak pan robi! – Kutschera podrapał się zafrasowany po głowie, jak gdyby na SD2 nie było żadnego majora, ale więcej już się nie sprzeciwiał. – Nie można się przecież niewolniczo trzymać przepisów – powiedział jeszcze major. Płachta sygnalizacyjna pozostała więc tam, gdzie leżała – kwadrat dziesięć metrów na dziesięć z oślepiająco białych chust, z krzyżem pośrodku, widoczny doskonale z wysokości dziesięciu, a nawet dwunastu tysięcy metrów, pierwszorzędny cel w samym sercu stanowiska ogniowego – i po kilku minutach nikt, już o niej nie pamiętał.

Od północo-zachodu pojawiła się w zasięgu baterii pierwsza formacja samolotów, na wysokości pięciu tysięcy metrów, i rozkaz Kutschery „ognia!” nie napotkał już żadnego sprzeciwu ze strony dowódcy podgrupy. Bateria strzelała salwami z czterech dział, strzelała bardzo precyzyjnie, tak że major, z lornetką przy oczach, raz po raz wykrzykiwał: „Wspaniale!” Formacja za formacją ciągnęła bokiem w kierunku południowo-wschodnim. Bateria strzelała równomiernie i bez cienia nerwowości. A potem jeden zespół złożony z szesnastu latających fortec zmienił po pierwszych salwach kurs. – Nowy kurs celu! – krzyknął Gottesknecht, i zaraz potem: – Nalot bezpośredni! – Nagle przypomnieli sobie wszyscy o płachcie sygnalizacyjnej, ale było już za późno.

Pociski huczały. Ludzie przy przyrządzie centralnym i przy dalmierzu kulili się w sobie i z wykrzywionymi od huku twarzami przekazywali odczyty, dopóki nie zobaczyli w okularze przyrządu optycznego, że bombowce zrzucają swój ładunek. Wówczas wszystko, co żyło, od majora aż do ostatniego junaka, rzuciło się pod osłonę wału ziemnego stanowiska, tylko Gottesknecht, skulony w sobie, naciskał dzwonek sygnału ogniowego, a Kutschera stał z gołą głową i ryczał: – Może byście tak ściągnęli z pola płachtę sygnalizacyjną, wy bandyci! –

Strzelanie ustało, tylko dwa działa jeszcze waliły w niebo, wypuszczając błyskawicznie i bezsensownie pocisk, za pociskiem.

Nagle wyskoczył Zemtzi, mały Zemtzi, wyleciał pewnie ze schronu, wyrwał się jak Filip z konopi i, dźgając wskazującym palcem powietrze, jak w szkole zawołał: – Ja... ja... panie kapitanie! – Potem pomknął jak wiewiórka na pole i ściągnął chusty. Ale w tym samym momencie paraliżujący ryk silników bombowców zagłuszony został przez jakiś świst, który błyskawicznie urastał do wycia orkanu. Ziemia zadrżała w posadach, działa zakołysały się i obluzowały na swoich podstawach, piorun rozdarł dzień na dwoje, grzyby dymu zlały się z fontannami ziemi i zgasiły słońce. Odłamki gwizdały na stanowiskach dział i na SD2. A potem nastąpiła cisza. I w tej ciszy zagrzmiały działa, jedno, drugie, strzał po strzale, inne działa dołączyły się do nich, przyrząd centralny zaczął na nowo pracować – bateria wściekle, ale chaotycznie strzelała za odlatującymi eskadrami. Żadnego działa nie trafiło. SD2 zdawało się być jakby trochę zdenerwowane, ale i tam nic się nie stało. Tylko Zemtzi, Fritz Zemtzi, leżał

martwy przed stanowiskiem dowodzenia.

Wieczorem Holt włóczył się bez celu po stanowisku ogniowym. Ziemia ziała lejami po bombach, w barakach powylatywały szyby, dachy były miejscami pozrywane, wszędzie naprawiano szkody, budowano, piłowano i stukano młotkami. Przysłani z podgrupy żołnierze zakładali nową linię telefoniczną.

Holt zatrzymał się w baraku puszkarza, gdzie wśród narzędzi i części zapasowych leżał na ziemi Zemtzi, starszy junak obrony przeciwlotniczej Fritz Zemtzi, przykryty kocem. Oczy Holta gorzały. Ciągle jeszcze nie mógł ochłonąć z przerażenia, jakie wywołał w nim ów nalot dywanowy. Długo stał nad tym szarym tłumoczkim. W przypływie ciekawości pomieszanej ze strachem odwinął koc. Oto leżał przed nim Zemtzi. Twarz miał nietkniętą, była czupurna i chłopięca jak za życia. Ale brakowało mu pół klatki piersiowej... Serce już w niej nie biło.

Kiedyś, kiedy jeszcze biło, zmarły, ten oto Zemtzi, okpił starego Grabera: „Bardzo proszę...

Holt jest półprzytomny... on nie jest winien, miał szkarlatynę, która mu się rzuciła na mózg!” Obozował razem z Holtem w górach i zatknął sobie za czapkę świński ogonek” jako trofeum.

Jego niebieskie oczy zawsze patrzyły na człowieka zadziornie i trochę chytrze, i przez całe swoje życie był zadziorny i niewinny. A teraz już nie żył. Skrzypnęły drzwi. Wszedł Gomulka, który szukał Holta, wszedł i skrzywił usta, jakby poczuł w nich gorycz. Dziura po zębie mocno go szpeciła, tak że przy każdym drgnieniu mięśni na jego twarzy pojawiał się przykry grymas. Holt schylił się i przykrył zwłoki kocem.

– Pierwszego czerwca skończyłby siedemnaście lat – powiedział Gomulka. – Tak –

westchnął Holt – skończyłby. Mało brakowało.

Na stanowisku działa Anton Holt przysiadł na ramieniu lawety. Gomulka oparł się o drzwi bunkra dla obsługi. Zapalili papierosa. Gomulka rzekł: – Może ja będę następny!

– Albo ja! – powiedział Holt.

Gomulka seplenił trochę przez tę lukę po zębie. – Z dnia na dzień było mi też coraz bardziej dziwno, że oni nas tak zostawiają w spokoju. Mój kuzyn służy w Darmstadcie. Na początku tego roku było tam czternaście baterii artylerii ciężkiej, dziesięć terytorialnych baterii artylerii przeciwlotniczej i cztery regularne. W pobliżu jest fabryka, gdzie produkują czołgi. Amerykanie wielokrotnie próbowali ją zaatakować, ale te czternaście baterii tak celnie strzelało przy pomocy przyrządu centralnego, że samoloty Amerykanów nigdy nie dotarły z bombami do celu. No to wzięli się na sposób i przez dwa tygodnie urządzali naloty na same baterie. Na każde stanowisko ogniowe zrzucili setki bomb. Rozwalili wszystkie radiopelengatory, tak że z tych czternastu baterii pozostało w końcu tylko dwadzieścia dział.

Co trzeci junak padł, co drugi był ranny. W dodatku zbombardowali jeszcze tę fabrykę. Co im zależy! W Kassel przeszkadzał im półtorametrowy reflektor, przy którym baterie strzelały nocą na optykę, no to na ten jeden reflektor zrzucili więcej niż trzysta czterech bomb burzących.

Ja ci mówię: Na nas też jeszcze przyjdzie kolej!

– Oni nas wykończą – powiedział Holt.

– Oni całe Niemcy wykończą – powiedział Gomulka. Potem długo obaj milczeli. Wreszcie Gomulka znowu zaczął: – Rosjan jeszcze nie zatrzymano. Straciliśmy już Odessę. Jeżeli tak dalej pójdzie...

– Przecież musi się wkrótce naprawdę coś zacząć dziać – powiedział Holt.

– Pytanie tylko: co?

– Nie wiem – powiedział Holt. Z SD2 ktoś wrzasnął: „Próba przewodów!” Gomulka założył sobie hełmofon działonowego. Później mówili już o czymś innym.

Ale w baraku sprzecjali się przez pół nocy, czy major jest winien śmierci Zemtzkiego, czy nie. Ziesche protestował oburzony: – Już w samym pojęciu dowódcy tkwi negacja wszelkiej destruktywnej krytyki. Wy chcecie być zgranym kolektywem żołnierskim? Tego rodzaju uwagi na temat jakiegokolwiek dowódcy są po prostu rozkładową robotą! – Wolzow również objechał

Gomulkę i uderzył pięścią w stół: – Dostyc tego! Jest wojna i każdego może to spotkać, – Po czym rozłożył swoje mapy.

Na drugi dzień rano, gdy po ciężkiej nocnej strzelaninie bateria stanęła do apelu, spotkała ją niespodzianka. Kutschera zjawił się w pełnej gali. – Heil Hitler, bateria! Major był bardzo zadowolony. Pan generał również. Dywizja uporała się już ze sprawdzaniem materiałów i stwierdziła, że spośród trzydziestu czterech zestrzeleń, jakich dokonano od września w zasięgu działania naszej jednostki, cztery idą na nasz rachunek. Spokój w szeregu! Te cztery strącone samoloty zostały nam przyznane. Jeżeli macie farbę, wy fajtlapy, to możecie sobie namalować te swoje pierścienie na lufach. – Ruch, jaki zrobił się w szeregach, był już nie do opanowania.

Kutschera stał przez chwilę niezdecydowany, a potem krzyknął: – Bateria... baczność! Minuta ciszy dla uczczenia pamięci kolegi Zemtzkiego, który poległ za Führera i Ojczyznę... Spocznij!...

Słuchajcie! Bateria poniosła już raz w Hamburgu ciężkie straty. Jeden zabity to nic nowego!

Zemtzki wykazał wiele odwagi i za to major odznaczył go Krzyżem Żelaznym drugiej klasy.

Spokój w szeregu! A teraz powiem wam jedno: Jeżeli to gadanie po izbach nie ustanie, o tej płachcie sygnalizacyjnej i tak dalej... wyłapię buntowników i zamknę! Wojna bez zabitych, czy widział ktoś coś takiego?!

Cztery zestrzelenia! Zemtzki poszedł w niepamięć! Wolzow gotów był teraz góry przenosić.

– Jeszcze dwa zestrzelenia i mamy w kieszeni strzelecką odznakę przeciwlotniczą. – Holt wracał

z Gomulką drewnianym chodnikiem, czuł się tak, jakby dostał coś ciężkim w głowę. – Sepp!

Te cztery zestrzelenia, to tylko dlatego, że major ma nieczyste sumienie!

– Rozejrzyj się naokoło siebie – powiedział Gomulka. – Wczoraj byli wszyscy zdeprimowani, a dziś?

Podczas lekcji Holt siedział na swoim stołku roztargniony i zupełnie nie mógł się skupić.

W końcu poszedł do izby i rzucił się na łóżko. Jeżeli zginę, na drugi dzień już nikt nie będzie o mnie pamiętał.

Nagle drzwi się otwały i stanął w nich Gottesknecht. – A fe! Znowu wagarujecie?! –

powiedział. – Idźcie i wyciągnijcie Gomulkę! – Holt posłusznie wykonał polecenie. – Chodźcie ze mną! Wyście przecież bliżej znali Zemtzkiego, pomóżcie mi napisać list do jego matki. –

W kancelarii powiedział do Holta: – A poza tym telefonowała pewna dama i pytała, czy wam się coś nie stało. Już się rozniosło, że było u nas gorąco. Powiedziałem, że jesteście cali i zdrowi, i Ziesche również!

Martwiła się o mnie, pomyślał Holt uradowany. Ale potem przeraził się: I Ziesche również...

Czyżby Gottesknecht wiedział? Holt zerknął na niego z ukosa. Ogniomistrz pisał pilnie i zachowywał się tak, jakby go nic poza tym nie obchodziło, tylko Gomulka miał jakąś dziwną minę.

– Był ich jedynym dzieckiem – powiedział Gomulka. Na biurku leżał Krzyż Żelazny z czerwoną wstążeczką. Co Zemtzkemu teraz po tym, pomyślał Holt. Gdybym ja miał Krzyż Żelazny... Junak z czymś takim na piersi wzbudzałby sensację!

Gottesknecht zaczął czytać głośno to, co napisał: – „...dzielnie spełniając swój obowiązek...” Czy było jego obowiązkiem rzucić się pod grad bomb? pomyślał Holt. Co go do tego skłoniło? Czyżby chciał się odznaczyć?

– Co tak na mnie patrzycie? – zapytał Gottesknecht. – Przecież tego o tej płachcie sygnalizacyjnej naprawdę nie mogę napisać!

– Oni na pewno się o tym dowiedzą – powiedział Holt.

– No, ale teraz już dosyć! – krzyknął ogniomistrz. – Hereżję macie przecież wyraźnie wypisaną na czole! Holt, w tej wojnie już miliony straciły życie, żołnierze, kobiety, dzieci, dobrze o tym wiecie, i do wczoraj jakoś wam to nie przeszkadzało.

– Panie ogniomistrzu – wtrącił się Gomulka – ja jednak sędzę, że byłoby...

– Zamknijcie buzię! – ofuknął go Gottesknecht. – Sądzicie, że będę z wami tu w kancelarii rozmawiał o tej mgiełce, którą wam wczoraj zdmuchnięto z mózgu?

Holt wytrzeszczył oczy na Gottesknechta, nic z tego nie rozumiejąc. Co to ma znowu znaczyć?

Gottesknecht nachylił się do nich przez stół i powiedział konspiracyjnie cicho: –

Ziesche prowadzi dziennik! Ziesche notuje każde wasze słowo, jakie przy nim pada! „Skąd ma G kropka te dokładne dane o tym, ile nieprzyjacieli traci bombowców... znak zapytania!” Uleganie propagandzie czerwonych jest bez sensu, Gomulka! Ulotka air marshalla Harrisa do narodu niemieckiego, co? Proszę was, żebyście w przyszłości trzymali język za zębami. Nie róbcie mi zmartwienia, mnie i tak ciężko lawirować między wami a dowódcą. Czyście mnie zrozumieli?

Żaden nie odpowiedział.

Ziesche wszystko zapisuje, myślał Holt przerażony. Zastanawiał się gorączkowo, czy w jego wypowiedziach rzeczywiście było coś takiego, co mogło wyglądać na rozkładową czy wrogą robotę... Gomulka powiedział prawie niedosłyszalnie: – Ja rozumiem, panie ogniomistrzu. –

W tym samym momencie weszła do kancelarii telefonistka. Gottesknecht powiedział zupełnie naturalnie: – To wystarczy. Możecie wracać na lekcję.

Trzasnęli obcasami wyrzucając w górę rękę i opuścili barak. Holtowi mąciło się w głowie.

W tej wojnie już miliony straciły życie... i do wczoraj jakoś wam to nie przeszkadzało... Czyżby to był wyrzut? – Sepp, jak ty rozumiesz to, co Gottesknecht powiedział? Co on miał na myśli z tą

„ulotką do narodu niemieckiego”?

– Dla mnie jest to wszystko niepojęte – odparł Gomulka.

– Dawniej wiedziałem, czego się trzymać – powiedział Holt. – Odkąd jestem tutaj, czuję się tak, jakby ziemia usuwała mi się powoli spod nóg.

– Dawniej wiedziałeś, czego się trzymać? – zapytał Gomulka. – Rzeczywiście wiedziałeś?

– Wszystkiemu winna ta głupia wrażliwość, która w nas siedzi – odparł Holt. – Musimy być twardzi. Wszyscy żołnierze są twardzi!

Ta myśl trochę go uspokoiła. Przeznaczenie, zasada działania, fanatycznie wierzyć, pomyślał

znowu; czy rzeczywiście rządzi nami jakiś ślepy los, czy rzeczywiście jesteśmy tylko... pionkami w jakiejś wielkiej grze? – ale takie myślenie i filozofowanie, rozważaj, nic nie daje. Trzeba się zahartować. Wierzyć. Fanatycznie oddać się sprawie. Tak nie może być, żeby mnie parę bomb wyprowadzało z równowagi!

Co się właściwie ze mną dzieje? zaniepokoił się.

Gottesknecht dał mu przepustkę aż do wieczora, „do dentysty”, jak napisał podoficer dyżurny w książce raportów. Holt usiadł na piętnaście minut w kawiarni na Rotthausener Strasse, gdzie przesiadywali zwykle ze swoimi dziewczynami junacy ze wszystkich baterii, którzy dostali przepustkę. Spotkał przy tej okazji paru znajomych. Głównym tematem wszystkich rozmów był nalot

na 107 baterię. Wychudzeni, przemęczeni chłopcy z podkrążonymi od niewyspania oczyma wymyślali na majora. – Podobno on pierwszy rzucił się na ziemię! –

Holt się obruszył: – Tale znowu też nie można! Tego rodzaju gadanie jest robotą rozkładową! –

Były to słowa Zieschego. Holt zły był na samego siebie, że małpuje akurat Zieschego.

Próbował zadzwonić do pani Ziesche, ale wskutek ostatniego bombardowania sieć telefoniczna była uszkodzona. Wreszcie dostał połączenie z jednego z urzędów pocztowych.

„Dlaczego nie przychodzisz? Tak się o ciebie martwiłam!” Słowa jej wprawiły go z miejsca w lepszy nastrój. Ale gdy już siedział z nią i gdy nastawiła radio, w komunikacie wehrmachtu podano wiadomości, które podziały na niego druzgocąco. Bitwa w południowych Włoszech, silne uderzenia na Valmontone... Sewastopol stracony. „Północnoamerykańskie myśliwce atakowały wczoraj rozmaite miejscowości w północnych i środkowych Niemczech... Straty...

Nocne

naloty

terrorystyczne

na

Kilonię

i Dortmund...

Miejscowości

w rejonie

nadreńsko-westfalskim...” – To my – powiedział Holt. – Te bombowce robią się coraz bardziej bezczelne. Pani Ziesche słuchała komunikatu obojętnie i zapytała w końcu, dlaczego tak nagle sposepniał, jest dziś po prostu nieznośny! Próbował otworzyć przed nią swoje serce i opowiedział jej o bezsensownej śmierci Zemtziego. Ale ona też powiedziała: – Weź się w garść. Pomyśl o tych, co walczą na froncie wschodnim, ta twoja bateria to wczasy w porównaniu z tym, co oni tam przechodzą! – Kiedy się żegnał, rozczarowany, powiedziała pojednawczo: – Postaraj się raz wreszcie dobrze wyspać. Nie bierze wszystkiego tak tragicznie!

Wczesnym rankiem pokazały się na bezchmurnym niebie dwa mosquito; nadciągnęły od północy i leciały bardzo szybko na wysokości dziesięciu tysięcy metrów, dwa małe punkciki, ciągnące za sobą krótkie smugi kondensacyjne. Zatoczyły trzy czy cztery wielkie kręgi nad okolicznymi miastami Zagłębia. Gdzieś daleko grzmiała bateria dział 128-milimetrowych.

Wolzow patrzył w niebo i denerwował się: – Fotografują całą okolicę. Czy można się teraz dziwić, że bombowce tak świetnie orientują się w terenie? – Oba mosquito odleciały na północ.

Na stanowisko baterii ciągnęło jakieś sto jeńców wojennych, konwojowanych przez pół tuzina gołowąsów z SS. – Rosjanie! – powiedział Wolzow, gdy zeszli ze stanowiska działa. –

Czego oni tu chcą?

Stereotypowy wykład gramatyki łacińskiej, z której Holt już od dawna nic nie rozumiał, był dziś tak nudny, że Holt wymknął się z lekcji i położył się w izbie na łóżku. Przez okno widział

kilkunastu jeńców, którzy w pobliżu baraku zasypywali lej po bombie. Zapalił papierosa, wyszedł na dwór i zaczął się im przyglądać.

Ziemistej barwy postaci, z wielkim trudem nabierające na łopaty i szpadle ziemię i zasypujące krater, okazały się z odległości kilku metrów ledwo podobnymi do ludzi, wychudzonymi stworzeniami o nadmiernie rozwiniętych czaszkach i zapadniętych twarzach, szarych jak płaszcze, które, o wiele za długie, wisały na ich suchych jak tyki ciałach. Holt, niewiele myśląc, podał zapalonego papierosa pierwszemu z brzegu jeńcowi, który, zanim go wziął, najpierw obejrzał się na wszystkie strony, a także z pewnym wahaniem skierował swoje posępne spój – „rzenie na Holta, potem zachłannie zaciągnął się dymem i podał papierosa dalej.

Holt poczuł jakiś bolesny ucisk w piersi. Litość jest słabością! – mówił sobie, ale mimo to wyłowił z kieszeni napoczętą paczkę papierosów. Z początku chciał ją rzucić jeńcom, ale potem zrobił parę kroków w ich stronę i wcisnął pudełko w szorstką rękę. Przez ten moment, kiedy stał

przy jeńcu, doznał straszliwego wstrząsu, bo zobaczył, że to, co było w tych postaciach zwierzęcego, nie było niczym innym jak ostatnim stadium nieprawdopodobnego wprost wyniszczenia fizycznego. W tym swoim straszliwym zdumieniu chciał jeszcze podarować pudełko zapalek, gdy nagle jeniec z wielkim trudem, jakby mówienie sprawiało mu ból, wyszeptał: – Chleba!

Holt poleciał z powrotem do izby i szarpnął za drzwiczki swojej szafki. Oni głodują! myślał

gorączkowo. W przegródce na jedzenie leżało sporo żywności. Keksy maślane i dropsy, przydzielane im już od tygodni codziennie jako dodatek za stan alarmowy, po prostu piętrzyły się w szafkach. Poupychał wszystko po kieszeniach i włożył na siebie płaszcz, bo tak otwarcie nie mógł wynieść jedzenia. To, co zamierzał zrobić – z tego Holt zdawał sobie sprawę – było karalne. Na chwilę się zawahał, nie wiedział, co robić. Potem wsunął jednak chleb pod płaszcz i pomyślał: Niech to sobie będzie karalne, niech to sobie... będą podludzie, psu też bym nie pozwolił z głodu zdechnąć! Potem przypomniało mu się, że jest ich tam dziesięciu czy dwunastu ludzi. Otworzył szybko szafkę Gomulki. Sepp by to zaaprobował, tego był pewien. Pół krążka suchej kiełbasy, chleb, kostka sztucznego miodu, sporo keksów... Zagarnął wszystko. Potem zobaczył jeszcze pół butelki żytniówki, którą Gomulka chował na swoje urodziny. Zabrał

butelkę ze sobą.

Po cichutku opuścił izbę, bo nie miał ochoty, żeby go z tym przyłapano. Ostrożnie rozejrzał

się na wszystkie strony. Poza pracującymi jeńcami nikogo nie było widać. Kto wie, gdzie się ten wartownik pęta! Okna dużej izby wychodziły na drugą stronę.

Puścił się biegiem przez pole. Jeńcy rozerwali chleb na kawałki i ukryli go pod ubraniem.

Pracowali dalej jak gdyby nigdy nic. Tylko jeden po drugim zjeżdżał na dno leja, żeby łyknąć z butelki żytniówki. Holt wrócił do izby i rzucił się na łóżko. Próbował spać.

Później przyłapał na korytarzu Gomulkę i wyszedł z nim na dwór. Gomulka mimo woli rozglądał się na boki, gdy Holt opowiadał. Potem powiedział: – W porządku... Masz moją zgodę.

– Czy to było słuszne? – spytał Holt. – To są nasi wrogowie.

– Oni nie zaczęli – powiedział Gomulka.

W izbie Wolzow siedział na stołku i obcinał sobie finką paznokcie u nóg. Vetter i Rutscher siedzieli na łóżkach. Ziesche rozprawiał z patosem i entuzjazmem, a reszta go dziś rzeczywiście słuchała.

– Przyjrzyjcie się im uważnie z bliska – mówił właśnie Ziesche, gdy Holt i Gomulka weszli do izby. – To bardzo pouczające. Klarer udowadnia wyraźnie, że chodzi tu o typ rasowo o wiele niższy...

– Mowa o Rosjanach? – spytał Gomulka.

– Tak. Wystarczy wam spojrzeć choćby tylko na same twarze...

Gomulka znowu przerwał Zieschemu. – Rosjanie jako Słowianie są przecież *Aryjczykami* – powiedział.

– Jak to? – zapytał głupio Ziesche, wyraźnie tym zaszokowany. – Ach tak! Aryjczykami?

– Naturalnie – powiedział Gomulka. – Tyle przynajmniej powinieneś wiedzieć.

– Widzisz – odparł Ziesche, zbierając myśli. – Również wśród ras aryjskich, rozumiesz... To znaczy, one nie są jednolite, nieprawdaż! W Rosji, tam jest sprawa jasna, tam czynnik organizacyjny był od niepamiętnych czasów germański, a nie słowiański. Spośród wszystkich Aryjczyków Germanie stoją bezwzględnie najwyżej, ponieważ są najczystszy wcieleniem rasy nordyckiej. – Dopiero teraz Holt spostrzegł, jak bardzo Gomulka zbił Zieschego z tropu.

– To wszystko powinno być właściwie dla ciebie samo przez się jasne... – mówił agresywnie Ziesche – ale ty z tym twoim nazwiskiem słowiańskim jesteś w ogóle cherlawy i zdegenerowany.

Wolzow, z gołą stopą na stołku, z nożem w rękę, dotychczas jedynie się przysłuchiwał. – Co to ma niby znaczyć? Myślisz może, że tylko ty jesteś dobrym narodowym socjalistą?

– Twoje nazwisko jest też niearyjskie! – powiedział Holt.

Vetter roześmiał się umyślnie tak, jakby koza zamęczała. Ziesche zrobił się czerwony jak indyk. Zaperzony, potrząsnął głową. – Moje nazwisko powstało przez zmiękczenie spółgłoski w rdzeniu czysto germańskim! Ale samo nazwisko tu nie decyduje, już raczej...

– Już dobrze – powiedział Gomulka. – Tylko jedno jest dla mnie ciągle jeszcze niejasne: Nawet jeżeli Słowianie nie są tak pełnowartościowymi jak rasa nordycka, to przecież mimo wszystko nie przestają być Aryjczykami! Czy można ich wobec tego nazywać podludźmi?

Ziesche znowu poczuł grunt pod nogami. – W odniesieniu do przeszłości twoje zastrzeżenie mogłoby być nawet słuszne; mam na myśli te czasy, gdy Rosją rządziła jeszcze germańska elita, na której opierał się cały aparat państwowy. Ale wskutek panowania bolszewizmu to się zmieniło. Żydokomuna rozłożyła całkowicie pod względem rasowym i narodowym podstawową warstwę Słowian. Naturalnie bolszewizm dojrzał już do zagłady, bo Żyd jako ferment rozkładu...

– Cooo?! – wykrzyknął Vetter.

– No tak, tak powiedział Führer. Jako siła rozkładowa... nie potrafi utrzymać tale ogromnego państwa, i zmierzch panowania Żydów będzie też zarazem zmierzchem Rosji jako państwa.

Führer powiedział całkiem wyraźnie, że jesteśmy wybrani przez los, aby być świadkami katastrofy...

Aby być świadkami katastrofy, powtórzył Holt w myśli, i to zdanie zapadło mu głęboko w pamięć.

– ...która będzie krwawym potwierdzeniem, że teoria ras w odniesieniu do narodów jest słuszna.

Gomulka powiedział na to: – No tak. Ale przyjrzyj się tak z raz sytuacji na froncie wschodnim.

Ziesche zawołał wzburzony: – To, co tam gnają na nasz front, to tylko sfanatyzowana banda!

Rzucają do walki ostatnie rezerwy, starców i chorych... – Wolzow zasnurował sobie but i zaczął

Zieschego objeżdżać: – Teraz ja ci coś powiem, ty zmięczony Germaninie! W żadnym wypadku nie pozwolę obrażać wehrmachtu! Chcesz może powiedzieć, że nasze dywizje zostały pobite przez starców i chorych?

– Pobite... – próbował zaprotestować Ziesche, ale Wolzow krzyknął rozgniewany: –

Naturalnie, że pobite! W Stalingradzie zniszczone! Pod Radomyślem i Brusilowem pobite! Pod Kirowogradem zniszczone! Pod Szumskiem i Ostropolem pobite! Pod Kamieńcem i Skałą zniszczone! Przez starców, co, i chorych, tak?

Holt, mający z początku jedynie złośliwą satysfakcję, poczuł znowu lodowaty ucisk w gardle. Ziesche poderwał się i krzyknął: – Ta przewaga jest tylko chwilowo tak duża, że...

– Przewaga! – zaszydził Gomulka. – A ilu dopiero muszą mieć młodych i zdrowych przy takiej przewadze starców i chorych! – Wolzow rzucił finkę na stół. – Chryste Panie, ale ty jesteś głupi, Ziesche! – zawołał. – To się nie da wprost opisać, jaki ty jesteś głupi, jaki beznadziejnie głupi!

Trzeba się właściwie litować, kiedy ktoś jest tak bezgranicznie głupi, jak ty! I coś takiego chce być narodowym socjalistą! Plecie, dureń, o rozkładzie i o ostatnich rezerwach! Mam ci pokazać na mapie, co się tej zimy działo na froncie wschodnim?

Ziesche, również doprowadzony do wściekłości, wrzasnął: – Tak! Tale! Tak! Ty myślisz, że... Ty chcesz... Ja sądzę... Führer powiedział! – krzyknął, ale nagle wszyscy się wzdrygnęli: zabrzmiał dzwonek, kłótnia automatycznie ucichła. Hełm, maskę, pomyślał Holt, a potem pobiegł wraz z innymi do działa.

Na początku czerwca aktywność anglo-amerykańskiego lotnictwa nagle osłabła. Tylko samoloty nękające, związki szybkich mosquitów, zapuszczały się jeszcze nocą w głąb Niemiec, a we dnie krążyły nad krajem, na wielkiej wysokości, samoloty rozpoznawcze. Po nie ustających ani dniem, ani nocą nalotach na miasta i pojedyncze obiekty w pierwszych miesiącach roku to słabnięcie ofensywy powietrznej stało się tematem nie kończących się rozmów po izbach i przy działach. Wolzow medytował nad mapą i spodziewał się jakiegoś „nowego diabelstwa”. Ziesche zaś twierdził z nie ukrywaniem tryumfem: „To wszystko dzięki naszej zaciętej obronie! Brak im już tchu!”

Gottesknecht, który z niepokojem śledził stale pogłębiający się u chłopców rozstrój nerwowy, przeforsował u Kutschery projekt, żeby nocą, jeżeli nie zostaną zapowiedziane żadne zespoły bombowców, budzić ich dopiero na alarm ogniowy. Dzięki temu chłopcy po raz pierwszy od miesiący mieli parę nocy spokojnych i mogli się nareszcie dostatecznie wyspać.

Natychmiast też ustały wszelkie kłótnie, ustąpiła nerwowość i w baterii zapanował duch optymizmu. Wolzow znowu żył w zgodzie z Zieschem, a Kutschera już nie wrzeszczał na całą baterię, zdobywał się nawet od czasu do czasu na jakiś kaprański dowcip i baraszkował podczas alarmu ogniowego ze swoim psem Piorunem. Schmiedling znowu zrobił się rozmowny, jak to bywało w okresie szkoleniowym, i cieszył się na urlop. Na wzrost dobrego samopoczucia u Holta wpłynęły jednak przede wszystkim komunikaty wehrmachtu. Na wschodzie – tak twierdził Wolzow, pokazując równocześnie palcem na mapie – front przebiega od Narwy aż po Karpaty. Trwający od miesiący odwrót skończył się. Może Rosjanie – tak mówił Wolzow –

rzeczywiście są u kresu sił. Zgadzał się z Zieschem, że w porównaniu z tym zwycięski pochód Amerykanów we Włoszech nie ma większego znaczenia, i nawet utrata Rzymu nie była w stanie zgasić powszechnego optymizmu. „Włochy – klarował im Ziesche – są tylko drugorzędym teatrem wojny. Los Rzeszy, Führer to wciąż powtarza, rozstrzygnie się na wschodzie!” Wolzow, który dzień w dzień śleczął nad swoimi książkami o strategii i, zachęcony przez Zieschego, czytał teraz też Mein Kampf, wykorzystywał ten okres spokoju również i w ten sposób, że wypróbowywał metodę samowychowania na skórze nowych. Ofiara, którą sobie wynalazł, nazywała się Voigt i była amunicyjnym przy dziale Anton. „Ten Voigt – twierdził

Wolzow – jest jedynym wśród nowych, który nie zgłosił się do wojska na ochotnika. Ale ja mu już wpoję cnoty żołnierskie!” Holt i Gomulka odżegnali się od tego. Tak więc Wolzow tylko z mocno już rozbestwionym Vetterem udał się którejs nocy do baraku Anton, gdzie w dużej izbie, razem z dwudziestoma trzema innymi junakami, spał Voigt. Mając tak wielką przewagę, junacy mogli się skutecznie bronić, niestety zostawili Voigta samemu sobie i tylko biernie się przyglądali, jak Wolzow wdziera się do izby. Voigt usiłował się bronić, ale napastnicy wywlekli go z baraku i wsadzili głową w dół do przeciwpożarowej beczki z wodą. Następnej nocy Wolzow chlusnął mu całe wiadro tej brudnej wody do łóżka. Potem dowiedział się o tym jakoś Gottesknecht i pod surową karą zabronił Wolzowowi maltretować chłopaka.

Pewnego upalnego czerwcowego dnia klasa Holta nudziła się piekielnie na lekcji historii.

Holt patrzył tęsknie na świat przez otwarte na oścież okno baraku. Poleżeć sobie teraz w słońcu nad rzeką! marzył w skrytości ducha. Klasa drzemała. Tylko Wolzow, jak zwykle na lekcji historii, był w swoim żywiole i opowiadał o bitwie pod Kannami. Nagle rozległ się dzwonek alarmowy. Nadzy do pasa, urządzili sobie przy armacie kąpiel słoneczną. Komunikaty sytuacyjne mówiły jedynie o pojedynczych samolotach rozpoznawczych. Na stanowisku dowodzenia pokrzykiwano jak zwykle: – Warkot silników kierunek dziewięć! – Pokazał się Kutschera ze swoim psem. Działa obróciły się lufami na zachód. – Samolot dziewięć! – krzyknął

obserwator przy lornecie przeciwlotniczej. Kapitan ryknął z daleka: – Zapytaj o typ! – Był to lockheed P-38-F lightning, który szybował po niebie na wysokości dziesięciu tysięcy metrów.

Holt patrzył w roziskrzony, oślepiający błękit, gdzie niedostrzegalna maszyna wlokła za sobą krótką smugę kondensacyjną. Wolzow osłonił sobie twarz rękawicą ładowniczego, a potem usiadł zły na ramieniu lawety, bo o strzelaniu nie było co marzyć. Mimo to przyrząd centralny podawał nastawy i kanonierzy obsługujący mechanizm kierunkowy i podniesieniowy meldowali gotowość. Ale dane dla zapalnika pozostawały ciągle jeszcze daleko poza zasięgiem ich możliwości. Smuga kondensacyjna rozwiała się gdzieś w dali. Na SD2 powstało na nowo zaniepokojenie. Obsługa dalmierza, Ebert i Nadler, obserwowoła maszynę gołym okiem i widziała, jak odlatuje na wschód. Ale gdy Dusenböcker, dalmierzysta, oderwał wzrok od dwudziestoczekrotnie powiększającego okularu, pojawiła się w polu widzenia, jako malusieńki punkcik, druga maszyna.

– Panie ogniomistrzu! – krzyknął Nadler. – To jest... lightning spada! – wrzasnął.

Dusenböcker przytknął znowu oko do okularu. – Bzdura – powiedział Kutschera. Ale Dusenböcker potwierdził słowa Nadlera: – Zgadza się... – Była to sensacja. Kutschera odsunął Nadlera na bok i pochylił się nad okularem, przetarł sobie oczy i powiedział: – Macie już halucynacje, ofermę jedną! – Na stanowisku dowodzenia znowu zapanował spokój.

– Zestrzelić lightninga z wysokości dziesięciu tysięcy metrów, kto to mógł zrobić? – spytał

Wolzow. Przezorny Gottesknecht kazał zapytać podgrupę, ale i tam nic nie wiedzieli.

Alarm ogniowy odwołano. Kutschera, jak zwykle, gdy nie dochodziło do strzelania, zaczął

na SD2 robić piekło: Dyscyplina się rozłazi, obserwatorzy śpią, taki Nadler żre na służbie cukierki! I już pierwsi junacy, którym zaaplikował dziesięć rund wokół stanowiska, ganiłi naokoło SD2. „A tym pętałom przy armatach ja już po...” Nagle obserwator przy lornecie przeciwlotniczej zawołał, nie zawołał, wrzasnął: – Samolot trzy! – Potem wskazał w górę: –

Tam! – Nie było słycać żadnego warkotu. Wszyscy zagapili się zdumieni w niebo. Kutschera zawołał: – Zapytaj o typ! – Nareszcie dalmierz i przyrząd centralny zaczęły się obracać. –

Zapytaj o typ! – wrzasnął Kutschera. Sygnalizator nie odpowiedział. Obsługa przyrządów meldowała: – Cel w polu widzenia! – Kutschera ryknął wściekły: – Zapytaj o typ, ośle, ale już! –

Dusenböcker podniósł oczy znad okularu. – Nie mam pojęcia, panie kapitanie! – Sygnalizator wyjąkał: –

– To... ja... – Potem zaczął: – Z grubsza biorąc: średniopłat, bez silnika, bez steru wysokości, bez statecznika poziomego...

– Jesteście chyba pijani! – ryknął Kutschera. – Czyście wszyscy potracili rozum?! –

Gottesknecht podał mu lornetę. – To rzeczywiście jakaś nieznana maszyna...

– W takim razie otworzyć ogień! – krzyknął Kutschera. Mały, srebrzyście mieniący się samolot zataczał na niebie bezszelestnie koła.

„Alarm... Samolot sześć!”, usłyszano przy działach. „Strzelać przy pomocy przyrządu centralnego!... Seria!... Ognia!” Działa zagrzmiały, dym buchnął aż na SD2. Z bunkra ktoś wrzasnął: „Z podgrupy zakaz strzelania! Myśliwce atakują nieprzyjaciela!” – Kto to widział

takie rzeczy! – wykrzyknął Kutschera, podczas gdy na niebie wybuchały z głuchym hukiem granaty. – Panie kapitanie, maszyna ma niemieckie znaki wojskowe! – wrzasnął nagle Dusenböcker.

Nie było nikogo w baterii, kto by nie spojrział teraz w niebo, na ów niesamowity, bezszelestny samolot. – Jeszcze jedna salwa – powiedział Wolzow – a zostałby strącony! –

Maszyna, po ostatnim wirażu, pomknęła na południe.

– To na pewno ten myśliwiec zestrzelił lightniga! – Ziesche zaczął pierwszy mówić o „nowej broni”. Po południu Wolzow popędził z kancelarii do baraku i przebrał się szybko w mundur wyjściowy. Wszyscy obserwatorzy i obsługa przyrządów zostali wezwani telefonicznie do podgrupy. Wolzow poleciał naturalnie z nimi. Wrócił wieczorem w oparach piwa.

Wszyscy już spali. – Jazda, wstawać, śpiochy! – Usiadł na stole i zaczął sprawozdanie: –

Byliśmy na głównym lotnisku. Potem poszliśmy jeszcze całą paką do Italii, i stary wystawił beczkę mocnego piwa, wystawił, ustawił, postawił, chciałem rzec.

– Co z tą maszyną? – zawołał Holt.

– Wielka rzecz. Chodzi o zupełnie nowy typ samolotu myśliwskiego. Myśliwiec o napędzie rakietowym! – powiedział Wolzow. – Nazywa się Me-163. Ma być fantastycznie szybki, ponad tysiąc kilometrów na godzinę... – Jego słowa zagłuszył ogólny wrzask. – Spokój. Ów myśliwiec na zachód od Dortmundu rzeczywiście zestrzelił tego lightniga. Paliwa ma tylko na parę minut, potem maszyna musi gdzieś wylądować na płozie. Pilot klął cholernie. Nie miał nawet znaków rozpoznawczych. Podobno wypróbowuje się też jeszcze jakieś inne nowe typy. Me-262, to znów jest odrzutowiec, ale jak ten działa, nikt nie ma zielonego pojęcia.

Punkt zwrotny w wojnie powietrznej! pomyślał. Holt. Kiedy zasypiał, widział już w półśnie, jak chmary tych nowych myśliwców przepędzają bombowce na cztery wiatry... A jaj pomyślał, tak często wątpiłem i upadałem na duchu...

Na drugi dzień junacy z wszystkich baterii siedzieli w kawiarni Italia. Wczorajsze wydarzenie pobudzało fantazję. Opowiadano niestworzone rzeczy i wierzono, że nowe maszyny zniszczą wszystkie nieprzyjacielskie bombowce. Nagłe załamanie się ofensywy powietrznej przypisywano tym nowym myśliwcom.

Holt siedział na starej pluszowej kanapie. Ogarniała go przyjemna senność, ale pozwalał

dziewczętom opowiadać sobie o służbie sanitarnej, do której się właśnie przygotowywały. Po prostu nie słuchał, tylko zastanawiał się, czy mógłby o tej porze zastać w domu panią Ziesche.

W końcu zostawił dziewczęta i poleciał do niej, przedzierając się przez zbombardowane ulice.

Z Zakładów Kruppa wylewał się strumień ludzi. Druga zmiana. Fabryk jednak nie można zabić, pomyślał.

Pani Ziesche zdawała się być jego wizytą uradowana, i słuchała cierpliwie jego opowiadania o tajemniczym samolocie. – Rzymu w każdym razie nie uratował ten twój myśliwiec raketowy

– powiedziała w końcu, co go mocno rozżłościło. Poszli razem do kina. Stary film kryminalny nie zrobił na Holcie prawie żadnego wrażenia, ale dodatek tygodniowy śledził

z zainteresowaniem. Na kronice pokazywano czołgi, które przedierały się przez ogień dział

pancernych.

Gdy wyszli z kina, wchłonął ich pogodny i ciepły letni wieczór. Wiatr łagodził upał. Szli wolno ulicami jakiejś podmiejskiej dzielnicy willowej. Nigdzie ani śladu zieleni, tylko pył

i sadze, powietrze zadymione i zanieczyszczone...– Holtowi przypomniały się nieprzebyte lasy, góry i kamieniołomy. – Gdyby tak można gdzieś wyjechać teraz latem – powiedział.

Popatrzyła nań badawczo, potem szła przez chwilę obok niego w milczeniu. – Ostatnimi czasy byłeś często arogancki i niegrzeczny.

– Musisz to zrozumieć – odparł Holt. – W kwietniu, w maju to już było tego za wiele.

Nerwy... Poza tym...

– Poza tym?

– Przeżywałem diabelny kryzys – powiedział Holt. – Dopiero teraz, gdy już jest to poza mną, widzę, jak bardzo byłem roztrzęsiony. Zwątpiłem we wszystko. W ostateczne zwycięstwo, w samego siebie. Tak, nie byłem... – Urwał, ale trąciła go zachęcająco łokciem w bok. – Nie byłem nawet pewien, czy cię... lubię.

Roześmiała się w głos i ścisnęła go za ramię. – Na stos z kacierzem! – Zapytał: – Czy bardzo jesteś na mnie zła?

– Strasznie! – powiedziała. – Będziesz musiał uroczyście przysiąc, że już więcej się to nie powtórzy!

Naokoło całe ulice leżały w gruzach. Nad ruinami i pieniącym się na nich zielskiem unosił

się cichy wieczór. – Dziś jest tak jak na początku, kiedy cię poznałem – powiedział Holt. – Coś ty sobie właściwie myślała, wtedy na ulicy?

– Takich pytań się nie stawia – odpowiedziała. – Nigdy się tego nie nauczysz! Nie należy zmuszać kobiety do tego, żeby się zastanawiała nad czymś, nad czym lepiej się nie zastanawiać i co powinno pozostać w sferze niedomówień. Kobiety wolą się nie zastanawiać nad swoimi uczuciami.

– Dlaczego?

– Po co mam sobie uświadamiać moje słabości? Ale ty tego nie jesteś w stanie zrozumieć.

U was wygląda to zupełnie inaczej. Mężczyzna czuje się sobą dopiero wtedy, gdy zaspokaja swoją próżność i żądzę władzy... – Nie bardzo ją rozumiał. – Ja czułem się wtedy jak niewolnik.

– Z biegiem lat to ci prawdopodobnie przejdzie – powiedziała śmiejąc się. – Kobieta też przecież chce się trochę bać mężczyzny, bo inaczej jest nudno.

– Skąd mogłem wówczas przypuszczać – powiedział z goryczą w głosie – że ty...

– No śmiało, powiedz już do końca – odparła. – Że ja, kobieta zamężna, i tak dalej, to miałeś przecież na myśli, prawda? I znowu ten twój brak doświadczenia. W przeciwnym razie byłbyś wiedział, że kobiety zamężne zdobyć jest najłatwiej. – I z przekorą w głosie dodała: – Każdą zamężną kobietę można mieć. Każdą! Mężczyzna musi tylko dać kobiecie odczuć, że opór jest bezcelowy.

Nie była mu w smak ta rozmowa, bo pod jej wpływem przypomniało mu się to wszystko, co było w jego stosunku do niej wątpliwe i podejrzanе. Próbował zmienić temat: – Sądzę jednak, że miałabyś mi za złe, gdybym chciał się zbuntować!

– Bo twój bunt bierze się zawsze z tego samego głupiego powodu! – zdenerwowała się.

– Nie rozumiesz tego? – zapytał. – Dlaczego nie chcesz zrozumieć, jak mi ciężko z tym, że jestem w twoim życiu tylko... marginesową postacią!

– Jesteś głupi! Jesteś zazdrosny o kawałek papieru! Niedługo zaczniesz nienawidzić mojego gospodarza, z którym wiąże mnie tylko formalna umowa! Gdybyś ty, wielkie dziecko, był

bardziej doświadczony – zawołała – to musiałbyś przyznać, że już prędzej on miałby powody... –

Umilkła nagle. – Powiedziałam już stanowczo za dużo! – Przyspieszyła kroku. – Może choć dziś zostawią nas w spokoju!

Noc przeszła rzeczywiście bez alarmu. Wczesnym rankiem, gdy Holt spał jeszcze jak zabity, pani

Ziesche obudziła go niezbyt delikatnie. Tak całkowicie – zapomniał o baterii, o wojnie i armacie, że przebudzenie było dla niego nieomal szokiem. – Posłuchaj! – zawołała pani Ziesche, z ręką na gałce małego radia, które stało na jej nocnym stoliku.

Holt zamrugał oczyma. Z radia padały słowa: „...nieprzyjaciel rozpoczął swój od dawna przygotowywany i przez nas oczekiwany atak na Europę zachodnią... na rozkaz Moskwy wstąpił

na drogę, która będzie go kosztowała wiele krwawych ofiar... udało się nieprzyjacielowi z morza... w wielu miejscach... W Zatoce Sekwany silny desant powietrzny... trafienia w okręty liniowe... Walka z wojskami inwazyjnymi jest w pełnym toku...” Wyłączyła radio i potrząsnęła go za ramię: – Obudź się nareszcie! – Potem powiedziała: – Masz teraz! – Rozdygotany, podciągnął pikowaną kołdrę aż pod brodę. – Będziemy mieli nowe Dieppe! – Nagle jakby mu łuska z oczu spadła. – Teraz rozumiem! To dlatego bombowce zostawiły nas w spokoju!

Pani Ziesche wsunęła mu w usta zapalonego papierosa. – A więc mamy teraz wojnę na dwa fronty! – Walczył jeszcze z rozczarowaniem, ale powiedział: – Nie bądź taka pesymistka! – Pani Ziesche poszła za nim do łazienki. Golił się. Podgarniając sobie włosy w górę zapytała: – Chcesz wracać do baterii?

– Chyba tam jest teraz moje miejsce, nie uważasz? – odparł Holt.

Günter Ziesche stał przed barakiem, w otoczeniu nowych ze Śląska, – Teraz będziemy mogli nareszcie i amerykańskim wojskom dać odczuć nasze miażdżące uderzenia! – Vetter wystawił rozczochną głowę przez okno i zaszydził: – Uważaj, żeby bombowce nie dały ci czasem odczuć swoich miażdżących uderzeń na łbie! – Podczas lekcji Wolzow stał w izbie nad mapami.

W parę dni później pochylał się jeszcze niżej i jeszcze bardziej zamyślony nad stołem. –

Rosjanie atakują Cieśninę Karelską! – Ziesche to zaraz zinterpretował po swojemu: – Ten rosyjski atak w Karelii jest niczym innym jak tylko oznaką słabości.

– W Normandii – ciągnął Wolzow dalej – połączyły się wczoraj oba przyczółki desantowe!

– Tym lepiej! – zawołał Ziesche. – Przynajmniej będziemy mogli ich za jednym zamachem zepchnąć do morza! – Spiker, w małym radiu Zieschego, powiedział: „Atak się zaczął. W piersi wzbiera przecucie naprawdę decydującej godziny”. Wolzow, nad swoją mapą, podrapał się w głowę.

Na popołudniowym apelu raczył się pokazać sam Kutschera. – Słuchajcie! Mam pewną wiadomość, podadzą ją dziś przez radio, zaczęło się! Godzina odwetu nadeszła! Spokój w szeregu! Od dziś rana Londyn znajduje się bez przerwy pod ogniem nowego rodzaju niemieckich pocisków największego kalibru. – Po paru dniach były już znane szczegóły, i nazwa: V-1.

Holt miewał przyptywy zupełnie sprzecznych nastrojów, z radosnego upojenia wpadał nagle w całkowite przygnębienie, i ta ciągła zmiana napawała go przerażeniem. Wiadomości o zastosowaniu nowego rodzaju pocisków pozwalały zapomnieć o przygnębiających meldunkach z Francji. Gdy radio i gazety prześcigały się wzajemnie w podawaniu optymistycznych komunikatów, Gomulka był

jedynym, który przyjmował do wiadomości hiobowe wieści: „Amerykanie zrzucili desant na przyczółku Cotentin”. W dzień później zasygnalizowano taki sam fakt z St. Sauveur.

Ze wzmożoną siłą rozpoczęły się znów brytyjskie i amerykańskie naloty. Amerykanie bombardowali w dzień okoliczne zakłady przemysłowe, Brytyjczycy zaś bombardowali nocą Oberhausen, Duisburg i Gelsenkirchen. Którejś nocy zostały trafione gelsenkircheńskie wodociągi i paliły się przez cały dzień. Strzelanie i noszenie amunicji wypełniało znowu dawnym rytmem życie chłopców. Komunikaty sytuacyjne mówiły teraz ciągle o ożywionej działalności nieprzyjaciela nad wysuniętymi daleko na wschód okręgami Niemiec. Ilość nalotów oraz rzucanych do akcji maszyn bez przerwy wzrastała. Walki powietrzne za dnia zdarzały się już coraz rzadziej, aż wreszcie nadeszła godzina, gdy Wolzow powiedział: „Panują w powietrzu nad całą Rzeszą!” Jednej nocy oddali więcej niż sto salw i potem nosili jeszcze amunicję, aż z wyczerpania zaczęli się słać na nogach. Wówczas Gomulka w przypływie wściekłości napadł na Zieschego: „Ja myślę, że wskutek naszej zaciętej obrony bombowce straciły oddech, czyż nie tak?”

Optymizm i entuzjazm należały już całkowicie do przeszłości, gdy na chłopców padł znowu blady strach. Winna była temu pewna wiadomość, potwierdzona potem oficjalnie: Na północ od Recklinghausen, a także pod Duisburgiem i Dortmundem zostały zbombardowane baterie artylerii przeciwlotniczej. Samoloty rozpoznawcze w biały dzień oznaczały dymem tereny, na których znajdowały się baterie, i bombowce w kilku falach zrzuciły swój ładunek na armaty.

„Na nas też przyjdzie kolej!”, mówił Gomulka. Holt drżał ze strachu. Na dźwięk dzwonka alarmowego ciarki go przechodziły. Uspokajał się dopiero wtedy, gdy zaczynały grzmieć armaty. Muszę zdławić w sobie ten strach, muszę! Po pewnym czasie powiedział sobie: Nie mogę być gorszy od innych. Inni Też mają pietra.

Ziesche słuchał teraz trzy razy w tygodniu komentarzy Hansa Fritzschego i usiłował potem pokrzepiać chłopców na duchu nowymi argumentami o lepszym dowództwie i nadchodzącej godzinie. Wolzow stał tymczasem zamyślony nad mapą. „Wielka ofensywa na wschodzie –

mówił. – Ludzie, tam się dopiero dzieje!” Ta jego zimna krew napawała Holta zgrozą.

Ziesche dostał przepustkę, Rutscher i Vetter grali z Kirschem w skata. Wolzow wyciągnął z szafki swoje mapy. Holt w nagłym zdecydowaniu zerwał się z łóżka i z udaną obojętnością zapytał: – Co tam nowego? – Zaraz też stanął przy nich Gomulka.

– Sprawa wygląda poważnie! – odparł Wolzow. – Półwysep Cotentin jest w rękach Amerykanów. – Rozłożył mapę Francji. Holt poszedł wzrokiem za końcem cyrkla, którym Wolzow uderzył w Cherbourg, i powiedział z ulgą: – To jest półwysep Cotentin? Ależ to przecież tylko małe kawałeczki Francji!

– Niemniej jednak jest to pewien punkt strategiczny – oświadczył Wolzow. – Mogą sobie teraz pozwolić na ofensywę w wielkim stylu. Ale to wszystko jest jeszcze niczym w porównaniu z frontem wschodnim.

– Czy tam jest aż tak źle? zapytał Holt przygnębiony.

Wolzow prychnął pogardliwie. Rozłożył na stole mapę Europy wschodniej. Nagle otworzyły się drzwi. Wszedł Gottesknecht. – Nie przeszkadzajcie sobie! – Rozejrzał się badawczo po izbie.

– Panowie akurat w trakcie omawiania sytuacji, jeśli się nie mylę? No, Wolzow, ciekaw jestem tej waszej oceny sytuacji! Wal, bracie, śmiało!

Wolzow popatrzył na Gottesknechta z odchyłoną na bok głową, jak gdyby chciał rzec: Jeszcze tylko ciebie mi brakowało! Potem z pewnym ociąganiem powiedział: – Ależ ja muszę sobie to wszystko dopiero zrekonstruować, a to nie jest wcale takie łatwe.

– Zrekonstruować? Jak to rozumiecie?

– No jakoś sam sobie dośpiewać. Komunikaty wehrmachtu nie dają żadnego poglądu na całokształt sprawy. Wymienia się tu i ówdzie jakieś lokalne przełamania własnej obrony, tam znów oderwanie się od nieprzyjaciela i od czasu do czasu parę miejscowości. Tylko z komentarzy w *Völkischer* można coś niecoś wywnioskować, jak to naprawdę wygląda, tak że człowiek musi sam sobie wszystko poskładać do kupy, żeby mieć jakiś obraz wypadków.

– No to składajcie – powiedział Gottesknecht. – Słuchamy! Ale jeżeli będziecie gadać głupstwa, dostaniecie niedostatecznie!

– Do dwudziestego czerwca – zaczął Wolzow – front niemiecki wyglądał mniej więcej następująco: od wybrzeży Morza Czarnego, na zachód od Odessy, ciągnął się przez Jassy aż po Karpaty, na północy zaś przez Brody do Prypeci. Tam zaczynał się środkowy odcinek, w kształcie mocno wybrzuszony łuku, który biegł jakieś trzysta kilometrów na wschód wzdłuż Prypeci, potem na północo-wschód do Rohaczewa i Żłobina, stąd zaś łukiem przez Dniepr na północ i z powrotem do zachodniego brzegu Dniepru, wybrzuszając się na wschód wokół

Witebska, a potem wracając kawałek na zachód do Połocka. Tu zaczynał się odcinek północny, który biegł prosto na północ do jeziora Pejpus i dalej aż do Narwy. – Pokazał linię frontu na mapie. – Kiedy się przyglądałem tym lukom, było mi bardzo dziwno, bo przecież w każdym podręczniku strategii i taktyki można przeczytać, że takie wybrzuszenia frontu prawie zawsze ściągają na siebie uwagę, przykładem Stalingrad! To wielkie skrzydło południowe odcinka środkowego, tu gdzie front biegnie z zachodu jakieś trzysta kilometrów na wschód, jest co prawda osłonięte bagnami Prypeci, gdzie latem nie można prowadzić wojny, mimo to luk ten ze swoim potwornie długim frontem jest miękkim jajkiem, jeżeli wolno mi się tak wyrazić.

– Wolno wam.

– Rosjanie rzeczywiście zaatakowali teraz ten łuk, w czterech miejscach, między dwudziestym pierwszym a dwudziestym trzecim, tu z obydwu stron Witebska, potem tu pod Orszą, pod Mohylewem i wreszcie z obydwu stron Bobrujska. Komunikat wehrmachtu mówił

już po pierwszym dniu ofensywy o „lokalnych wyłomach”, które podobno zostały

„zaryglowane”. To było zgodne z prawdą chyba tylko do następnego ranka. Weźmy na przykład te

dwa wylomy na północ i na południe od Witebska: dwudziestego pierwszego rozpoczęło się tam natarcie, najpóźniej dwudziestego trzeciego Rosjanie w obu miejscach przełamali front niemiecki i dwudziestego czwartego oba kliny musiały się już połączyć. Że Witebsk mimo to jeszcze przez cały dzień wymieniany był w komunikatach wehrmachtu, że gadano o ciężkich walkach obronnych i tak dalej, to świadczy tylko o tym, że... – Wolzow zawahał się.

– No o czym? – zapytał Gottesknecht, – Panie ogniomistrzu, jeżeli Rosjanie posunęli się już daleko na zachód, a na wschód od nich w rejonie, Witebska toczą się, jak mówią komunikaty, ciężkie walki, to ja to nazywam kotłem.

Milczenie. Gottesknecht potarł zapałkę i zapalił papierosa.

– Kleszcze wokół Witebska się zamknęły – ciągnął Wolzow dalej. – Rosjanie idą tak prędko na zachód, że aż mi się robi nijako! To samo musiało się rozegrać w rejonie Orsza-Mohylew: mówiło się o „lokalnych wylomach”, a w dzień później padają nazwy miejscowości, które leżą o wiele dalej na zachód. Najgorzej wygląda to jednak tutaj: natarcie na Bobrujsk musiało zostać przeprowadzone z niesamowitym rozmachem. Specjalnie obserwowałem, kiedy Rosjanie na północ od Bobrujska osiągną Dniepr. To brzmi jak dowcip, panie ogniomistrzu, ale Rosjanie musieli rzeczywiście przejść przez tę rzekę równocześnie z naszymi dywizjami! W każdym razie między Mohylewem a Berezyną toczą się obecnie walki obronne, podczas gdy równocześnie prowadzi się działania w rejonie Mohylew, Orsza i Bobrujsk; tam, zdaje się, powstał największy kocioł. – Wolzow odrzucił cyrkiel i oparł obie ręce na stole. – Orsza stracona, Mohylew i Bobrujsk odcięte. Między Dnieprem a Berezyną operują Rosjanie. Lada dzień dojdą do Berezyny. Całkiem wyraźnie mają swobodę działania, podczas gdy na północ front od Narwy po Połock wisi zupełnie w powietrzu, z całkowicie odsłoniętym skrzydłem południowym.

Wystarczy, żeby te kliny, które przedarły się na północ od Witebska, zawróciły teraz na północ, a Połock znajdzie się w okrążeniu, o ile oczywiście nie knują czegoś innego, to znaczy jakiegoś wielkiego manewru okrążającego, żeby odciąć cały środkowy odcinek, aż po Mińsk, a przy tym możliwie jak najprędzej przedrzeć się do granicy Prus Wschodnich.

Gottesknecht był bardzo poważny, gdy zapytał: – Co wobec tego należałoby zrobić?

Wolzow zaczął się śmiać. – To jest pytanie egzaminacyjne dla sztabowca, panie ogniomistrzu! Według klasycznych reguł sztuki wojennej obowiązuje ciągle jeszcze zasada, żeby za wszelką cenę unikać okrążenia przez nieprzyjaciela. Ja bym spróbował stworzyć nowy front na linii Mińsk-Słuck. – Gottesknecht długo wpatrywał się w mapę; potem, nie odrywając od niej spojrzenia, powiedział: – Ale ten wasz nowy front byłoby już diabelnie blisko Prus Wschodnich!

Wolzow wzruszył ramionami. – Przed linią Dyneburg-Mińsk-Słuck, co do tego mogę iść o zakład, nikt już Rosjan nie będzie w stanie zatrzymać!

Gottesknecht wsadził czapkę na głowę, długo ją sobie poprawiał i wreszcie spojrzał na Wolzowa posępnie. – Macie chyba zaufanie do dowództwa, Wolzow, prawda? – zapytał.

– Tak jest, panie ogniomistrzu! Gottesknecht uderzył knykciami w stół. – Ja bym za często nie

urządzał takiego „omawiania sytuacji”! Radzę czym prędzej spojrzeć z niewzruszoną wiarą na naszego Führera, i robić to szczególnie zawsze wtedy, kiedy Ziesche jest w pokoju. Czyście mnie zrozumieli?!

– Tak jest, panie ogniomistrzu!

– Doskonale! No, Holt, a wy? Coście tak przycupnęli zmartwieni w kąciku? – I zwrócił się do Wolzowa: – Popatrzcie no na swojego przyjaciela! Jestem dostatecznie dobrym psychologiem, żeby wiedzieć, że Holt z całkowitym przekonaniem stawia na ostateczne zwycięstwo, i jeżeli teraz siedzi w kącie taki załamany, to tylko dlatego, że znowu przeżywa jakiś romans. Ale Ziesche, czy ktoś jemu podobny, mógłby teraz wskazać na Holta i powiedzieć: To Wolzow go tak moralnie wykończył tą swoją defetystyczną oceną sytuacji! Mógłby polecić do dowódcy i złożyć piękny meldunek: Wolzow osłabia ducha w swoich kolegach! A jak by się to dalej potoczyło, sami chyba wiecie, protokół i wszelki związany z tym komfort... A widzicie?

Ale my przecież za żadną cenę nie chcemy do tego dopuścić, żeby tak się stało, prawda?

– Tak jest, panie ogniomistrzu!

– No więc. A wy, Holt, przybierzcie inny wyraz twarzy, i to natychmiast! Wy w ogóle jesteście bardzo chwiejni! Zaledwie V-1 wzmocniło trochę wasze morale, a już wystarczyło jedno spojrzenie na mapę, żebyście się załamali. Źle z wami, Holt. Bierzcie przykład z Wolzowa, którego cechuje wręcz napoleoński spokój... Ze zdrowiem chyba jesteście w porządku, Holt?

– Tak jest – powiedział Holt: czuł, że z niego kpią, i było mu przykro.

– To ciągle jeszcze najważniejsza rzecz. No to... – Gottesknecht skierował się ku drzwiom – zdrzemnijcie się trochę, chłopcy, bo kto wie, czy uda się wam dziś w nocy spać. Dobranoc!

– Dobranoc, panie ogniomistrzu!

Wolzow bez słowa zwinął mapę. Gomulka podszedł do okna i zapatrzył się w zachodzący letni wieczór. Holt powiedział: – Prawdziwy oryginał, ten Gottesknecht, nie? – Zabrzmiało to bardzo żałośnie. Toteż prędko i cicho dodał: – Gilbert, powiedz tak uczciwie i z ręką na sercu: czy ty się czasem nie mylisz? Czy rzeczywiście jest tak, jak mówisz?

Wolzow odparł: – Mogę się oczywiście mylić. Może być jeszcze o wiele bardziej interesująco, bo przecież nie mam pojęcia, ile dywizji siedzi w tych kotłach i jakie rezerwy stoją do dyspozycji tam dalej na zachód.

– No to zupełnie nie rozumiem, jak ty możesz tak obojętnie o tym mówić! Mój Boże, co to będzie? Przecież tu idzie o Niemcy! Czy nic cię to nie wzrusza?

– Mnie? – zdziwił się Wolzow. – Ależ trzeba umieć rozgraniczać dwie różne rzeczy, czy się samemu siedzi w potrzasku, czy też ocenia się ogólnie sytuację. Tu na mapie jest tak jak przy szachach: człowiek, jako uczciwy gracz, cieszy się z każdego pięknego posunięcia przeciwnika.

A poza tym to nic nie pomoże, jeżeli zaczniemy rozpaczać!

– Ja tak nie potrafię. Ja ciągle muszę myśleć: co będzie dalej?

– Skąd ja mam to wiedzieć? Führer już coś tam wymyśli! Ostatecznie to nie pierwsza wojna, kiedy bierze się w skórę, a mimo to wszystko zawsze dobrze się kończyło. Kiedy Hannibal po bitwie pod Karinami stanął pod bezbronnym Rzymem, nikt już by nie dał złamanego grosza za cesarstwo rzymskie, a jednak potem wszystko wyszło inaczej! Albo Goci, którzy pod wodzą Totili podeszli już pod Bizancjum, i zdawało się, że nikt już nie będzie w stanie ich zatrzymać, a jednak to Narses wygrał wojnę. – Wolzow podawał dalsze przykłady z historii. – Fryderyk II pod Kunersdorfem... Cud nad Marną w 1914, wtedy Francuzi byli w takich samych opałach jak my dzisiaj, i też sobie myśleli: sytuacja jest paskudna!

Te analogie nie minęły się z celem. Holt poczuł się zawstydzony. Jestem taki chwiejny i słaby. Nic jeszcze nie jest stracone, jeżeli tylko każdy potrafi wytrwać na posterunku!

Była lipcowa niedziela, pogoda utrzymywała – się piękna. Panował wprost tropikalny upał.

Niebo zasnuwane było błękitną mgiełką. Nad okolicznymi fabrykami stały nieruchomo szare słupy dymu.

Schmiedling oparty o ścianę bunkra opowiadał, co to on zamierza zwojować w czasie swojego urlopu. Ziesche wsłuchiwał się w słuchawki i mienił się na twarzy. – Liczne i silne związki myśliwców nad Holandią! Trzeba się liczyć z nalotami samolotów nurkujących. –

Naloty samolotów nurkujących?

Holt zbaraniał. Dlaczego nie! pomyślał w końcu, niczemu już się nie dziwiąc.

Wolzow wziął to ostrzeżenie bardzo poważnie. – Od Wielkanocy wszędzie latają samoloty nurkujące! – fuknął. – Sepp, Werner, podłączcie się do sieci! Naboje do strzelania z bliska!

– Do strzelania z bliska? – powiedział Vetter zdumiony. – Nie wygłupiaj się!

Minęło parę minut. Nagle na SD2 ktoś wrzasnął: „Warkot silników kierunek dziewięć!” I zaraz potem: „Grupa samolotów na dziewiątce!” Dość daleko, ale niezbyt wysoko, ciągnęła bokiem eskadra jednosilnikowych samolotów. Wolzow wdział bluzę na gołe ciało. Warkot silników przemienił się nagle w ryk. Ziesche krzyknął załamującym się głosem: – Samoloty nurkujące kierunek dziewięć! – Koltowi serce zamarło. Instynktownie obrócił działo na zachód.

W tym samym prawie momencie buchnęła na niego fala grzmotu. Dwanaście myśliwców typu Mustang śmignęło nad stanowiskiem, znurkowało dopiero nad laskiem po stronie wschodniej i zaczęło walić z działek pokładowych i karabinów maszynowych w ogródki działkowe i kolonię altan. – Nowy nalot kierunek trzy! – wrzasnął Ziesche. Mustangi leciały na nich po raz drugi już bardzo nisko; wypatrzyły baterię, wypuściły parę bomb i zaczęły walić z broni pokładowej w SD2 i stanowiska dział.

Fala powietrza rzuciła Holta na armatę, stanowisko działa napełniło się dymem, w ciemnościach dźwięknęła stal i rozległ się trzask łamiącego się drzewa... Gdzieś daleko, za mgłą, wrzeszczał Wolzow, przekrzykując wycie silników: – Werner, psiakrew, na lewo! – Potem jakiś obcy, nieludzki wprost głos: – Kryć się! – Ciemności rozwiały się, jedna pojedyncza maszyna gnała prosto na stanowisko działa, tak nisko, że za szkłem pancernym kabiny widać było rosnącą coraz bardziej, zastygłą jak maska, twarz pilota. Jeden skok, i Holt był już w bunkrze dla obsługi. Wolzow zaciągał akurat mocniej pasek od hełmu i wrzeszczał: – Armatę diabli wzięli! Szlag trafił oporopowrotnik! Werner, Christian, Seep, jazda... do Berty! – Holt wyskoczył zaraz za nim. Szare baraki przy drodze stały w ogniu. Obok stanowiska działa szeroki płytki lej. Holt gnał co sił w nogach. Ryk silników stawał się już nie do zniesienia. Holt rzucił się na ziemię. Jakby trąba powietrzna przeleciała nad nim. Zerwał się i biegiem dopadł stanowiska działa. Wolzow właśnie otwierał zamek. Vetter i

Gomulka też już tu byli, z gołymi głowami, i otwierali akurat bunkier z amunicją. Wolzow wrzucił nabój przeznaczony do strzelania z bliska do komory naboju. Leciała na nich jedna maszyna, Holt wciągnął głowę w ramiona. Armata zakołysała się, Wolzow krzyknął: – Chybił! – Holt usłyszał wybuch, i na stanowisko działa buchnął dym. – W lewo, Werner, tak, dobra! Jeszcze niżej, Seep! – Huknął strzał, armata drgnęła, Holt pomyślał z ulgą: Gilbert strzela! Vetter wrzasnął: – Nowy nalot kierunek dziewięć!

– Ale maszyna już przeleciała nad chłopcami, tylko z wału ziemnego trysnęła fontanna kurzu.

Wolzow znowu pociągnął za spust, gruchnął strzał. – Wysiadka! Łuska utknęła! – Nagle zrobiło się zupełnie cicho. Gomulka sapał: – Przekłeta... o przekłeta!

Holt podniósł się zupełnie pijany z siodełka mechanizmu kierunkowego. Wolzow śledził zza wału niebo. – Odleciały! – powiedział. I: – Całkiem ładnie się pali... Tylko buda dowódcy jeszcze stoi! – Holt zdjął hełm i pomacał głowę. Ogień trzaskał.

Wyszli na otwartą przestrzeń. Na SD2 roiło się od ludzi. Po stronie północnej, przy działach, krzyczą! ktoś przeciągle: „Sa-ni-taaa-riusz!” Anton przedstawiał jeden obraz spustoszenia.

Schmiedling leżał bez ruchu w kałuży krwi. Stało nad nim paru przerażonych Ślązaków.

„Ratujcie Zieschego!” krzyknął ktoś.

Zachodnia ściana stanowiska była zupełnie zgnieciona. Ziesche leżał na plecach między dwiema poprzeczkami, nogi miał aż do kolan zagrzebane w ziemi; leżał bez ruchu, z otwartymi wybałuszonymi oczyma, dolna szczeka mu drżała. Unieśli z wielkim trudem belkę zburzonego drewnianego oszalowania i wyciągnęli Zieschego. – Nie do wiary wprost! Nogi ma całe!

– Belka zatrzymała się na palu – wyjaśnił Wolzow obojętnie. – Gdyby nie to, zmiażdżyłaby mu gnaty!

Potem wszyscy skupili się wokół Schmiedlinga, który leżał na brzuchu, z rękami wczepionymi kurczowo w żużel pokrywający ziemię. – A mnie nazywał „trupem”! –

wykrzyknął Vetter. – Lepiej, żeby na siebie uważał!

– Zamknij się – powiedział Gomulka. Holt stał w milczeniu i tylko patrzył na zabitego Schmiedlinga. Ma czworo dzieci, pomyślał.

Ziesche wyszedł bez szwanku, ale kiedy wstał z ziemi, trzął się na całym ciele. – Szok nerwowy! – powiedział Wolzow. – To przejdzie! – „Próba przewodów!” krzyknięto z SD2.

Przewody nie działały, nie było prądu. Na stanowisku działa zjawił się Gottesknecht. – Jakie straty?

– Schmiedling zabity – zameldował Wolzow – i Ziesche lekko trzepnięty.

– A działko?

– Oporopowrotnik wysiadł na amen – powiedział Wolzow. Gottesknecht zanotował

i odszedł.

Czterech zabitych i jedenastu rannych – taki był bilans tego niedzielnego przedpołudnia.

Telefonistka zginęła w kancelarii, spaliła się. Cztery działa były uszkodzone, dwa z nich zostały szybko naprawione i na wieczór były już gotowe. Anton i Dora musiały pójść do warsztatu.

Antonowi jakiś pocisk rozwalił Oporopowrotnik. Jeden z odłamków musiał zabić Schmiedlinga.

Dora została trafiona bombą burzącą, dwóch junaków z obsługi było zabitych, a pięciu rannych.

Na SD2 padł Nadler.

Po południu kapitan obchodził z Gottesknechtem izby. Ziesche leżał na łóżku, ciągle jeszcze trzęsąc się na całym ciele. Kutschera otworzył drzwi, kiwnął chłopcom ręką na ich pozdrowienie i zapytał: – Co słychać? – Spojrzenie jego padło na Zieschego, który apatycznie leżał na sienniku. – Człowieku, jak wy wyglądacie? – Gottesknecht szepnął mu kilka słów, po których Kutschera zapytał: – Chcecie pójść na izbę chorych? – Ziesche potrząsnął przecząco głową. –

Nie, panie kapitanie. – Kutschera uśmiechnął się zadowolony. Spojrzenie jego padło z kolei na Holta: – Nie mogliście prędzej udzielić Zieschemu pomocy, wy bandyci?!

– Panie kapitanie – powiedział Holt – ja dopiero potem sobie to uświadomiłem. Biegliśmy do Berty, nikt wtedy o niczym innym nie myślał. – Kutschera znowu kiwnął głową. – No, Wolzow, ale uczciwie: było gorąco? – Wolzow przekrzywił głowę na bok i spojrzał na kapitana:

– Panie kapitanie! Tu potrzebnych jest parę działek dwudziestomilimetrowych! Bliski ogień ma przecież tylko znaczenie moralne!

– Wymądrzać się każdy potrafi – mruknął kapitan i złapał za klamkę. Gottesknecht powiedział: – Przyślę tu później podoficera dyżurnego na próbę przewodów, sekcja budowy łączności przewodowej jest już na miejscu. – Kutschera, już w drzwiach, odwrócił jeszcze raz głowę. – Czy ma ktoś jakieś życzenie?

Cooo? – wykrzyknął Vetter. – No, panie kapitanie, po takiej jatce należałaby się właściwie każdemu flacha sznapsa, a ten nasz kuchenny mógłby też choć raz wybulić puszkę wołowiny.

– Człowieku – zawołał Kutschera – wy wiecznie tylko o żarciu i picciu!

Holt położył się na łóżku. Zamknął oczy. Już po wszystkim, za chwilę może być znowu to samo, wcale nie było tak źle, jak się tego obawiałem. Nie miałem nawet czasu się bać. Nie ma też pewnie czasu poczuć bólu, jeżeli człowieka trafi... Schmiedling miał szybką śmierć. Ale potem zrobiło mu się zimno na samą myśl, że mógłby leżeć tak bezbronny jak Ziesche, z wzrokiem utkwionym w niebo, podczas gdy nad głową śmigająby mu samoloty myśliwsko-bombowe... to musi być straszne!

Sanitariusz przyniósł Zieschemu środek nasenny. Zaledwie wyszedł, Ziesche wyrzucił

tabletki za okno. – Słusznie – powiedział Wolzow.

Holt rozmyślał: Ten nalot samolotów nurkujących był o wiele gorszy niż bomby wtedy, gdy umarł Fritz. Zemtzi, Nadler... już dwóch z naszej klasy. I Schmiedling.

Schmiedling, myślał Holt. Tak się bał frontu, a zabiło go tu, w kraju. Może na froncie by się uchował. A może miał zginąć? Czy było mu to przeznaczone? Znowu pomyślał: Los, przeznaczenie... Czy wszystko jest przypadkiem? Schmiedling był mi zawsze bardzo obcy, człowiek z innego świata. Co to właściwie za świat?

Podoficer dyżurny otworzył z impetem drzwi. – Próba przewodów, prędko! – Holt poszedł

z Wolzowem i Vetterem do Berty. Ciągnik zdejmował Antona ze stanowiska. Jeńcy zasypywali leje po bombach, porządkowali spustoszone stanowisko działa, naprawiali drewniane chodniki i wynosili gruz ze spalonych baraków. Wolzow zaczął przecierać szmatą amunicję. – To, że nam ta łuska zaklinowała komorę naboju, było naprawdę niepotrzebne – powiedział Vetter. Holt podniósł oczy znad roboty. Vetter już nie był płaczącym grubaskiem, który wiecznie czuł się upośledzony. Urósł i zmężniał, a równocześnie stał się brutalny i zawadiacki.

Kutschera kazał rzeczywiście wydać im wódkę, a także „wołowinę we własnym sosie”.

Wolzow otworzył butelkę i podał ją Zieschemu. – Dziś – powiedział – ty pierwszy masz do tego prawo. Gdybyś tylko tak głupio nie gadał, to moglibyśmy być najlepszymi przyjaciółmi. –

Ziesche uśmiechnął się i upił trochę wódki. Wolzow podtrzymał mu rękę razem z butelką: –

Trochę więcej, bracie! – Ziesche zachłysnął się, wódka pociekła mu po twarzy i po piersi. –

Ładny mi z ciebie Germanin – zakpił Wolzow – nie potrafisz nawet porządnie sobie golnąć! –

I podał butelkę dalej. Holt poczuł w gardle palenie alkoholu. Otrząsnął się z obrzydzeniem, ale potem przyjemne ciepło rozeszło mu się po całym ciele, mózg mu się rozjaśnił, i ogarnęło go całkowite zadowolenie. Życie jest jednak piękne! Życie jest niebezpieczne, ale warto żyć!

A teraz zadzwonię do Gertie, pomyślał.

W schronie SD2, który służył tymczasowo za kancelarię, siedział Gottesknecht i czytał

Völkischer Beobachter. Holt nakręcił numer pani Ziesche. „Werner? Dzięki Bogu! Tu ludzie opowiadają niestworzone rzeczy, czy to prawda?” Holt starał się przy Gottes knechcie nie zwracać się do niej po imieniu. „Przyjdź do mnie”, powiedziała pani Ziesche. – To jest dziś niemożliwe. – „Ziesche cały?” zapytała w końcu. – Miał szczęście – powiedział Holt, i teraz Gottesknecht musiał się już zorientować, z kim to on rozmawia. – Nic mu się nie stało, tylko z nerwami coś nie tego. – Zdawało mu się przez moment, że połączenie zostało przerwane. Ale znowu się odezwała: „Szkoda, że nie możesz przyjść! Pokaż się u mnie jak najprędzej!” – Tak.

Naturalnie. – „I uważaj na siebie, słyszysz?” Drży o mnie” pomyślał, odkładając słuchawkę na widełki. Chętnie by do niej pojechał, i nagle mu ta cała niedziela obrzydła. Wielu junaków ma dziewczyny, które ich odwiedzają. Dlaczego ja nie mam takiej przyjaciółki, z którą mógłbym się tu widywać?

Vetter i Rutscher nie dali mu prędkiej spokoju, dopóki nie usiadł z nimi do skata. Vetter zapowiedział: – Osiemnaście... – Wolzow rzekł: – To z wymądrzaniem się nie ma nic wspólnego. Nam koniecznie potrzebne jest choć jedno dwudziesto-milimetrowe działko przeciwlotnicze!

– Dwadzieścia cztery? – powtórzy! Holt niezdecydowanie. – Pasuję. Myślisz, że to by coś pomogło? – Vetter wykrzykiwał: – Cztery, siedem, trzydzieści, trzy, sześć...?

– Jeszcze jak! – powiedział Wolzow. – Gdyby tu stało choć jedno poczwórnie sprzężone działko szybkostrzelne, wtedy by tylko wióry fruwały!

– Oni by nawet szybkostrzelne działko rozwalili w drobny mak!

– Czterdzieści! – zawołał Vetter. Wolzow mruknął: – Ale z tych mustangów co najmniej dwa by je na własnej skórze poczuły!

– Grand! – oznajmił Vetter z dumą.

Grali dalej. Wolzow, z Clausewitzem przed sobą, rozpamiętywał: – Na SD2 mieli przecież dwa kaemy, a żaden nie strzelał! – Gomulka rzucił ze swego łóżka: – To byłoby nawet bez sensu!

– Osiemdziesiąt cztery, osiemdziesiąt siedem, dziewięćdziesiąt jeden, krawiec! – powiedział

Vetter. – Dziś odpadło za jednym zamachem piętnastu ludzi. Czy wobec tego dadzą nam urlop?

– Ziesche mruknął ze swojego łóżka: – W obecnym stadium wojny urlop to trochę za duże wymagania!

– Ledwo Ziesche otworzył usta, – fuknął Vetter – a już głupio gada! Coś podobnego! –

Ziesche krzyknął cały roztrzęsiony: – Nie pozwolę, żeby mnie tak ciągle obrażano!

– A co zamierzasz zrobić? – zapytał Vetter. – Wiesz przecież doskonale, że możemy ci zlać pupę, jak nam się tylko żywnie spodoba! – Ale Wolzow powiedział: – Christian, zostaw Zieschego w spokoju, on teraz należy do nas, starych wiarusów!

Holt wymienił z Gomulka spojrzenie.

Wieczorem Ziesche musiał jednak pójść na izbę chorych. Drżenie nie chciało ustąpić. –

Chyba mu ta trzęsionka na wieki nie zostanie! – powiedział Rutscher. Ale sanitariusz orzekł

fachowo: – Dostanie prontosil i wróci znowu do formy. – Wolzow spędził resztę dnia w kantynie.

Wieczorem opowiadał: – Siedzą tam esesmani od tych ruskich jeńców. Świntuszą, że aż uszy puchną!

W nocy niebo huczało od warkotu bombowców. Daleko na wschodzie opadały sygnały świetlne. – Dortmund! – powiedział Holt. Był tej nocy działonowym przy Bercie. Naokoło strzelała artyleria przeciwlotnicza. Później zaczęła też pluć ogniem 107 bateria.

Nauczyciel nie zastał nazajutrz rano niemal żadnego ucznia. Holt, Gomulka i Wolzow pomagali ustawiać na stanowisku działo Anton. Oporopowrotnik został pospawany. Jeńcy umacniali stanowisko działa. Wolzow zarządził czyszczenie amunicji: – Ja już nie chcę tak prędko przeżyć czegoś takiego jak wczoraj z tą łuską! – Ściągnęli koszule i wzięli się do roboty.

– Tu przy armacie życie jest jeszcze całkiem znośne – powiedział Holt.

Po południu zarządzono pogotowie bojowe. Komunikaty sytuacyjne wymieniały Ludwigshafen, Mannheim i Schweinfurt. Dalsze zespoły bombowców leciały przez Alpy w kierunku południowych i południowo-wschodnich Niemiec. Późnym popołudniem, gdy Holt leżał zmęczony na łóżku, Gomulka wsadził głowę przez drzwi i wywołał go na dwór.

Był zdenerwowany. – Przyjrzyj się tylko temu!

Przy świerku jeńcy zasypywali lej po bombie. Pilnujący ich esesman bił kolbą karabinu jednego z jeńców, bił tak długo, aż ten padł na ziemię, a potem zaczął go kopać.

Holt pobiegł z powrotem do izby, gdzie Wolzow razem z Vetterem i Rutscherem grał przy stole w karty. – Gilbert! Tam na dworze esesman bije jeńców!

– No i...? – zapytał Wolzow przeciągle. – Co mnie obchodzą Rosjanie!

Właśnie. Co nas obchodzą Rosjanie? – Nie powinniśmy na to pozwolić, Gilbert!...

– Daj mi już wreszcie spokój z tymi twoimi idiotyzmami! – huknął Wolzow. Ale Holt krzyknął: – Przysięgałeś mi kiedyś, że jeżeli cię o coś poproszę...

W co ja się wdaję?

Wolzowowi była ta sprawa najwyraźniej nie na rękę. – Dasz sobie przecież sam radę z tym bubkiem! – Holt zrozumiał teraz całkiem wyraźnie: To jest szaleństwo! – Daj mi stryja generała, a nie będzie mi nikt inny potrzebny.

Wolzow ciągle jeszcze się ociągał. A potem zrobił się wściekły. Rzucił karty na stół

i gniewnie spojrzał na Holta. – Ostatecznie wszystko mi jedno, z kim się biję. – Holt widział, jak niechętnie Wolzow dotrzymuje słowa.

Vetter otworzył okno na oścież. Wyjrzeli na dwór. Skatowany jeniec ciągle jeszcze leżał na ziemi. Reszta zasypywała dół. Esesman stał o parę metrów od nich. Wolzow brnął przez pole i wreszcie zawołał: – Ty, możebyś się tak zachowywał jak człowiek cywilizowany!

– To się źle skończy! – szepnął Gomułka.

Nie można było zrozumieć, co wartownik odpowiedział, ale słysząc było, jak Wolzow krzyczy: – Kim ja jestem? Jestem starszy junak Wolzow! Wystarczy? – Wartownik znowu coś powiedział, zrobił krok naprzód i podniósł karabin do strzału, podczas gdy Wolzow mu wymyślał: – Bij sobie iwanów w obozie! Ale nie w naszej baterii... Ty! – krzyknął, podskoczył

do wartownika i złapał go za mundur: – Co ty do mnie z flintą? Czyś zwariował? Niedługo Niemcy będą strzelać do Niemców! – Potrząsnął wartownikiem jak kukłą i potem zwyczajnie go zostawił.

Bez słowa wrócił do izby, siadł przy stole i wziął swoje karty. – Ale trząś portkami! –

powiedział Vetter. – Zamknij jadaczkę! – huknął Wolzow. Potem napadł na Holta: – To było ostatni raz, że dałem się wciągnąć przez ciebie w coś takiego! Ty i te twoje zwariowane pomysły! Jesteś o wiele za miękki!

– A więc tak! Chcesz mi wypowiedzieć przyjaźń, to powiedz to otwarcie! – krzyknął Holt. –

Myślisz, że się ciebie boję?

Wolzow popatrzył na Holta i powiedział skonsternowany: – Ty chyba masz fioła! *Nie z tobą* się przecież biję!

– W jedności si-si-siła! – powiedział Rutscher. Wolzow zawołał: – Ty się znowu jąkasz, bracie, musisz sobie jeszcze raz dać wyciąć migdały! – Wybuch śmiechu rozładował atmosferę.

Noc przy dziale okropnie się im dłużyła. Kutschera miał krótki urlop. W baterii rezydował

tylko Gottesknecht. Później podczas lekcji chłopcy drzemali na stoikach. Nauczyciel monotonnym głosem czytał coś z książki.

W trakcie lekcji przyszedł podoficer dyżurny po Wolzowa i zabrał go na stanowisko dowodzenia, które ciągle jeszcze służyło za kancelarię. Holt, wytrącony nagle z półsnu, zamienił

z Gomułką spojrzenie. W dziesięć minut później ponownie otworzyły się drzwi. Gottesknecht kiwnął na Holta.

Holt jeszcze nigdy nie widział Gottesknechta tak poważnym, zatroskanym i przybitym.

Przypomniał mu się pierwszy wieczór. Wówczas Gottesknecht miał twarz zmęczonego, starego człowieka. Dziś wyglądał na zrozpaczonego.

– Holt, znacie stryja Wolzowa, tego generała? Musimy natychmiast coś przedsięwziąć.

Wolzow zo-został zabrany przed chwilą przez gestapo.

Słowa te podziały na Holta jak piorun z jasnego nieba. Ogarnął go bezsensowny strach. –

Nie mogłem nic zrobić – słyszał, jak Gottesknecht mówi. – Nie podlegacie nawet sądowi wojskowemu, tak to jest głupio urządzone. Według prawa wojennego jesteście cywilami. To skądinąd ułatwia interwencję z góry. – W bunkrze SD2 miał służbę przy telefonie jeden i bombardierów. Gottesknecht wykurzył go z bunkra, kazał połączyć się przez podgrupę z siecią państwową i zamówił błyskawiczną rozmowę z Berlinem. Za chwilę zadzwonił jeszcze raz do podgrupy. – Słuchaj no, mały, zamawiałem błyskawiczną z Berlinem, przełącz natychmiast na sto siódmą!

Holt nie potrafił zebrać myśli. Wreszcie z wielkim trudem zapytał: – Ale dlaczego...

– Tylko nie w ten sposób! – napadł na niego Gottesknecht. – Wy to sami najlepiej wiecie! Ja znam Wolzowa, on by nawet palcem nie kiwnął. To wy się kryjecie za tym, Holt, nikt inny!

– Panie ogniomistrzu, ja... – Zamknijcie buzię! Wyświadczyliście swemu przyjacielowi złą przysługę! – Gottesknecht był wzburzony jak jeszcze nigdy. – Ale żeby z powodu Rosjan zadzierać z SS, to przecież nonsens! Co wyście sobie właściwie przy tym myśleli?

– Dopiero potem zdałem sobie z tego wszystkiego sprawę – powiedział Holt żałośnie. Litość jest słabością, pomyślał. Nad nami te samoloty myśliwsko-bombowe też nie miały litości. Żeby mnie tylko Gilbert nie zdradził!

Zabrzączał telefon, Gottesknecht zamienił się cały w słuch, aż twarz mu stężała. –

Chwileczkę, panie pułkowniku! – Podał słuchawkę Holtowi i szepnął: – Starajcie się dostać do aparatu samego generała!

– Pan pułkownik? – zawołał Holt ochryłym głosem. – Tu mówi starszy juriak obrony przeciwlotniczej Holt. Czy mógłbym prosić do aparatu pana generała porucznika Wolzowa?

Chodzi o jego bratanka!

– Poległ? – zapytał jakiś ostry głos.

– Nie, panie pułkowniku. Ale sprawa jest bardzo pilna!

Gdzieś daleko brzmiał na linii sygnał, że przewód zajęty. Holt powiedział cicho: – Poszedł

po niego. – Gottesknecht szepnął pospiesznie: – Powiedźcie, że zrobił to wyłącznie dlatego, że to się działo bezpośrednio przed barakiem! Może dlatego, że mu to przeszkadzało spać czy coś takiego! Powiedźcie, że to jest nieporozumienie!

Po drugiej stronie przewodu rozległy się kroki i odezwał się spokojny głos: – Wolzow. Co się stało? – Holt, jękając się, opowiedział wszystko, jak tylko umiał. Po drugiej stronie krzyknięto: – Muszę powiedzieć, że mam już dość tych waszych brewerii, smarkacze!

– Panie generale! – zawołał Holt zrozpaczony, ale generał krzyknął wściekły: – Jak wy to sobie wyobrażacie! Że jestem Panem Bogiem? – Potem głos generała zabrzmiał już nieco spokojniej. –

Zobaczę. Do widzenia. – Trzask odkładanej słuchawki. Koniec, już po wszystkim.

Holt otarł sobie pot z czoła. „Gelsenkirchen, mówi się jeszcze?” Holt odwiesił słuchawkę na widełki.

– Co powiedział? – zapytał Gottesknecht niecierpliwie. – Zły? – roześmiał się. – Mogę sobie wyobrazić! – Holt dopiero teraz w pełni uświadomił sobie, co się stało. Jeżeli Wolzow zdradzi, że to on był inspiratorem, to wezmą i jego i żaden wujek generał mu nie pomoże wydostać się z opresji.

– Jak ja to teraz wytłumaczę dowódcy?! – zastanawiał się Gottesknecht. – A wy, Holt, co zrobimy, jeśli i was zabiorą?

– Panie ogniomistrzu – powiedział Holt, i zebrał w sobie całą wolę, żeby pomimo strachu zachować się szlachetnie – proszę pana, niech pan sporządzi protokół, że... to ja byłem inspiratorem. – Modlił się z całej duszy, żeby Gottesknecht odrzucił tę propozycję.

– Jesteście idiotą! – powiedział Gottesknecht. – Brak rozwagi i głupota, Holt, to już trochę za wiele naraz! Wydajecie się sobie teraz pewnie niezmiernie szlachetnym, z tą teutońską uczciwością, co? Wy bylibyście w stanie zrobić i robicie też z głupiej dziecinady jakieś sprzysiężenie, z inspiratorami, poplecznikami, statutami i tym podobnymi bzdurami. To było i ma być głupim, dziecinnym wybrykiem, rozumiecie? Wolzow lubi bić się, to tu każdy wie. Bije się ze wszystkimi, a więc tym razem przypadkiem z esesmanem. Powód? Jemu nie potrzeba powodu. Bije się dla sportu. Przy tym będziemy obstawać, Holt! Nie było żadnego powodu!

Wolzowa denerwuje nawet czasami mucha na ścianie, a ponadto ciągle szuka zaczepki. Tak było również i wczoraj.

– Tak jest, panie ogniomistrzu!

– Pamiętajcie o tym, jeżeli dowódca was zapyta, albo ktokolwiek inny. Co ja mam z wami zrobić? – Gottesknecht zaczął się zastanawiać. – Po prostu znikniecie. Jeżeli by się o was pytano, to powiem, że macie przepustkę. W ten sposób zyskamy na czasie, dopóki generał nie zacznie działać. Jutro rano macie tu być z powrotem. Tylko bądźcie ostrożni. Zaczekajcie na mnie przy dziale Anton, tam wam powiem, jak sprawy stoją. A teraz znikajcie.

– Starszy junak Holt odmeldowuje się na nocną przepustkę!

– Kto jeszcze wie o tej sprawie?

– Gomulka, Rutscher i Vetter.

Gottesknecht pokręcił głową, jakby nie potrafił tego wszystkiego pojąć.

Holt prędko się przebrał i pobiegł przez las do tramwaju. Ale w końcu poszedł piechotą.

Jakie szczęście, że istnieje Gertie! Zatelefonował do niej. Niestety nikt się nie zgłaszał. Usiadł

wobec tego w lokalu w jakimś bocznym zaułku. Może już mnie szukają!

Tajna Policja Państwowa, gestapo, jak się potocznie mówi. Wyobrazenie, jakie się z tym słowem wiązało, było mgliste i niewyraźne. Holt przypomniał sobie, jak Knack objaśniał na lekcjach historii charakter wszelkich organizacji narodowosocjalistycznych, a przy tej okazji również istotę i zadania Tajnej Policji Państwowej. Holt usiłował odgrzebać w pamięci choć kilka z tych definicji. Tajna Policja Państwowa jest nieprzejednanym stróżem bezpieczeństwa państwa, czy coś w tym rodzaju. Odrodzony naród niemiecki strzeże mocno i bezwzględnie swej czystości rasowej, swej jedności i siły przed wszelkimi zakusami światowego żydostwa, i posługuje się przy tym SS i Tajną Policją Państwową. Albo: Gestapo jest ramieniem Führera, które bezlitośnie zwalcza wszelkich wrogów Rzeszy. Albo: Gdyby w 1918 istniało już gestapo typu narodowosocjalistycznego, rewolucja alfonsów i dezerterów zostałaby brutalnie zdławiona w zarodku...

Dopiero teraz Holt zwrócił uwagę na to, że każda z tych definicji opatrzona była takimi przysłówkami jak „bezlitośnie”, „brutalnie” czy „bezwzględnie”, co wokół pojęcia „Tajna Policja Państwowa” wytwarzało otoczkę przerażającej grozy. Na kogo ja się porwałem?! Z kim ja wojuję?! Jak to się skończy?! Wciąż nowe wspomnienia odżywały w jego pamięci, przypominał sobie różne rzeczy z przeszłości, o których tak bardzo chciał zapomnieć: „...Ojciec Ruth już więcej do domu nie wrócił, i nikt nie wie, gdzie teraz jest...”, opowiadała Maria Krüger,

„i nikt nie wie, gdzie teraz jest...” – „W Generalnym Gubernatorstwie mordują Żydów tysiącami, SS...”, mówiła Gertie. A tamten stary człowiek w swoim zatęchłym pokoju: „...SS zabija dziś setki tysięcy ludzi”.

Jakiś straszliwy świat rozwierał się przed nim.

Holt zerwał się z krzesła, rzucił pieniądze na stół i wyszedł na dwór. Pobiegł do budki telefonicznej. Niestety była nieczynna. Biegi bez celu przez zburzone ulice, aż wreszcie natknął

się na jakiś urząd pocztowy. Tym rażeni złapał panią Ziesche przy telefonie. „Dopiero co wróciłam do domu, byłam u Glintera na izbie chorych... Co się stało? Skąd ty dzwonisz?” Powiedział na to: – Nie mogę wrócić dziś do baterii, dopiero jutro rano... Proszę cię, czy mógłbym zostać u ciebie? – Zaśmiała się. Nie rozumiał, dlaczego się tak zaśmiała. „No to przyjeżdżaj!” Odetchnął z ulgą i odwiesił słuchawkę. Na razie był bezpieczny.

Przyjęła go, zdjęła mu hełm z głowy i gdy wprowadziła go do pokoju, wsunęła mu, zadowolona, rękę pod ramię. – Co to za nowa moda? – powiedziała. – Czy ci się naprawdę tak zdaje, że musisz wymyślać Bóg wie jakie historie, jeżeli chcesz u mnie zostać? – Teraz nareszcie zrozumiał, dlaczego się przedtem tak zaśmiała, i powiedział z niechęcią: – Mylisz się. Jestem w paskudnej sytuacji!

Słuchała z zapartym tchem tego, co mówił, i w miarę jego opowiadania twarz jej tężała.

Jeszcze nim skończył, podniosła się z fotela, zamknęła radio i w nerwowym pośpiechu zapaliła papierosa. – A co ty masz z tym wspólnego?

– Ja Wolzowa do tego sprowokowałem – powiedział.

– Ty chyba nie jesteś przy zdrowych zmysłach! – powiedziała wzburzona. – Jak mogłeś coś takiego zrobić? – Spojrzał w jej bladą, wrogą twarz głęboko rozczarowany. – Masz rację – powiedział znużonym głosem. – Wiem, że zrobiłem źle. Ale właściwie powinnaś to rozumieć.

– Nie! – powiedziała ostro. – Pod tym względem mocno się na mnie zawiedziesz. Jestem przede wszystkim Niemką. Dla czegoś takiego nie mam ani odrobiny zrozumienia!

– Jak to... – wyjąkał speszony. – A kto mi w głowie namieszał z tą „duszą rosyjską”?

– Ach... – powiedziała przeciągle i spojrzała na niego w sposób nie dający się wprost opisać.

– Teraz może jeszcze ja będę wszystkiemu winna?

– Tak jest, ty! – krzyknął, nieprzytomny wprost z gniewu. – Wysił się tylko trochę i przypomnij sobie!

– Nie tak, mój drogi – powiedziała cicho, ale z groźbą w głosie. – Tylko nie tak! Chciałbyś może jeszcze mnie wciągnąć w tę całą sprawę, co? Nie rób sobie żadnych iluzji, ja mam trochę mocniejszy kręgosłup niż ty! – Nachyliła się do niego przez stolik, z wykrzywioną z wściekłości twarzą: – Nie doprowadzaj mnie do tego, żebyśmy musiały przeciwko tobie przywołać Zieschego na pomoc!

Holt czuł, że traci do reszty panowanie nad sobą. Chciało mu się krzyknąć pani Ziesche w twarz. Ale nagle ogarnęło go straszliwe zmęczenie. Siedział apatyczny w fotelu. A więc to, co mówiła o „duszy rosyjskiej”, to było tylko takie sobie gadanie, rozmyślał, nie brała tego poważnie...

– Szukaj winy przede wszystkim w samym sobie – powiedziała pani Ziesche –

w podszeptach tego twojego ojczulka bez zmayı, w swoim własnym mazgajstwie, w tej zupełnie nieniemieckiej tolerancji...!

To już przechodzi wszelkie pojęcie! pomyślał Holt, dotknięty do żywego, i teraz już także w nim zaczęły wyzwalać się podłe myśli. – Grozić... – powiedział – grozić mi twoim mężem, toż to bzdura! Ty wcale o tym nie myślisz, żeby mnie nim szachować, bo mógłbym mu przecież powiedzieć parę... interesujących szczegółów z twojego życia. – To był celny cios. Rozgniotła nerwowo papierosa na popielniczce. Stwierdził z satysfakcją, że uderzył we właściwy ton.

– Demaskujesz się w niezwykle sympatyczny sposób – powiedziała. Przerwał jej: – Nie ja grozić zaczynałem!

Oboje przez chwilę milczeli. – Myślałem, że mi pomożesz – odezwał się pierwszy – że będziesz mnie bronić... Ale ty jesteś tak niesłychanie zakłamana, że... – Teraz ona mu przerwała:

– Nie masz prawa tak do mnie mówić!

– Nie? – zapytał. Po raz pierwszy w życiu był cyniczny. – Chciałbym wiedzieć, co jeszcze trzeba z tobą wyczyniać, żeby zdobyć sobie to prawo! – Smagnęło ją to w twarz jak bicz.

– Tak! – powiedział i wstał. – Idę! – Już mu nie sprawiało przyjemności obrzucanie jej błotem, nie czuł już ani wstydu, ani zadowolenia, była w nim w tym momencie już tylko obojętność, a za nią czarny i przeraźliwy strach. W korytarzu nie mógł znaleźć swego hełmu.

Gdy go wreszcie zobaczył na wyplatanych krzesłach, otworzyły się drzwi od pokoju; pani Ziesche była blada jak ściana, i tylko czarne oczy płonęły w tej jej bladej twarzy. Cicho, ale bardzo wyraźnie powiedziała: – Przepraszam cię natychmiast, ty bezwstydnego chłopaczysko! – Popatrzył

na nią trochę zdziwiony i nie mógł już wyzwolić się spod jej wzroku. Powiedział: – Bardzo mi przykro. – Złapał ją za rękę. – Wybacz mi.

– Chciałeś naprawdę odejść? – zapytała później.

– Tak.

– A o mnie to nie pomyślałeś?

– Nie. Ale byłoby mi cię bardzo brak.

– Jesteś głupi, bezwstydnego chłopak – szeptała. – A ty jesteś zakłamana – powiedział, ciągle jeszcze zły. Ale ona przytuliła się tylko mocno do niego. – Teraz nie jestem zakłamana –

szeptała. Syrena wypędziła ich z łóżka.

Zapowiedź alarmu. Gdy Holt wciągał szybko mundur, ona nastawiała w przyległym pokoju radio. Silne zespoły nieprzyjacielskich samolotów bojowych lecą nad Zatoką Helgolandzką.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa to ich nie powinno dotyczyć. – Mogliśmy się tak nie spieszyć – powiedział. Nakryła już stolik do herbaty, siedzieli teraz bez światła przy otwartych na oścież oknach. Krótco przed północą syreny zawyły na alarm. – Powinnam była się jednak ubrać – powiedziała, siedząc ciągle jeszcze w kimonie. – Przelatują przecież bokiem – uspokoił

ją. Bombowce ciągnęły niebem przez dwadzieścia minut. Artyleria przeciwlotnicza grzmiała gdzieś na północy. Stali oboje przy oknie. Odwołanie alarmu! – Teraz zadzwonię do baterii i zapytam o ciebie! – powiedziała, – Tak w środku nocy? Zapytaj tylko w tym wypadku, jeżeli Gottesknecht odbierze telefon, on na pewno będzie jeszcze teraz na SD2!

Holt przytknął ucho tuż do jej twarzy; w ten sposób mógł też słyszeć rozmowę. Odezwał się Gottesknecht. „Holt? Kto to mówi? Ach tak! Nie, ma przepustkę. Będzie dopiero jutro rano.

Czekają tu na niego pomyślnie wiadomości”. Pani Ziesche powiedziała jeszcze: – No to się bardzo ucieszy! – Holt odetchnął z ulgą i rzucił się na fotel.

Rano wsunęła mu pod pachę jakieś zwinięte w rolkę czasopismo. – Przejrzyj to sobie, żebyś wiedział, za kogo nadstawiałeś karku. – Wsunął czasopismo za pas i poprawił sobie czapkę na głowie, pani Ziesche wspięła się na palce i z ustami przy jego uchu szeptała: – Przyjdź jak najprędzej!

W tramwaju zaczął oglądać to pismo. Ze strony tytułowej szczyrzyła zęby ohydna mordą.

Pod tym – wielkie niespokojne litery: „Podludzie...”, „IB – numer specjalny”. Przez wiele stron ciągnęły się te same zezwierzęcone twarze, średniowieczne szatańskie maski, wykrzywione, z wystającymi zębami jak u drapieżnych bestii. Tu i ówdzie krótkie, pouczające podpisy:

„Rzesza zagrożona!” Albo: „Oblicze Judy, żądnego niemieckiej krwi!” Na terenie baterii wznoszono nowe baraki. Gottesknecht kiwnął na Holta, żeby się do niego zbliżył. – Wolzow wrócił. – Szedł obok Holta przez stanowisko ogniowe. – To było nieporozumienie, tak jak myślałem. – Holt powiedział: – Panu mam do zawdzięczenia, że...

– Idźcie do diabła! – zawołał Gottesknecht.

W izbie siedział Wolzow, jadł śniadanie i mówił: – Straciliśmy Mińsk! A więc jednak miałem rację! – Gdy Holt wszedł, zawołał jak gdyby nigdy nic: – Znowu się włączysz? –

Schował chleb i kielbasę do szafki. – Sepp, Werner, chodźcie ze mną na próbę przewodów!

Przy dziale zaczął opowiadać. Zawieziono go samochodem do pewnego urzędu i stawiono przed oblicze jakiegoś obergruppenführera. Obwiniano go o to, że targnął się na esesmana będącego na służbie, i on natychmiast się do tego przyznał. Ale stanowczo zaprzeczał, że zrobił

to z powodu Rosjan. Chodziło raczej o „sprawę czysto prywatną”, i od tego nie chciał odstąpić, nawet wówczas, gdy mu zagrozili, że wydobędą z niego prawdę siłą. Potem zamknęli go w celi w piwnicy, ale po dwóch godzinach wypuścili go stamtąd i znowu zaprowadzili do tego obergruppenführera. Musiał być już chyba telefon z Berlina, bo tym razem obchodzili się z nim o wiele łagodniej. Jeżeli tylko poda prawdziwy powód, dlaczego targnął się na tego wartownika, to go zwolnią. Wolzow przypomniał sobie, że esesmani siedzieli poprzedniego wieczora w kantynie i opowiadali sobie tam w hałaśliwy sposób ordynarne dowcipy o kobietach. To właśnie podał teraz jako powód. To, że esesmani pozwolili sobie lżyć niemieckie kobiety, oświadczył, tak go oburzyło, że postanowił każdemu z nich z osobna dać odpowiednią nauczkę, jednakże wszystko skończyło się następnego dnia na tym jednym wartowniku. Wciągnięto tę odpowiedź do protokołu, jak również jego uwagę, że to oskarżenie było zwyczajnie „podłym aktem zemsty”. – No i po tym mnie zwolnili – zakończył Wolzow swoje opowiadanie. – Ten obergruppenführer jeszcze strasznie na mnie nawrzeszczał, że mam pohamować trochę tę swoją chętkę do bitki, dopóki nie znajdę się na froncie.

– I naprawdę obchodzili się z tobą przyzwoicie? – zapytał Gomulka zaciekawiony. – Tak –

odpowiedział Wolzow. – Ale w tej piwnicy to mają za kluczników takie typy, że... prawdziwi siepacze, bracie!

Holt powiedział: – Bałem się, że mnie zdradzisz!

– Jeżeli na przyszły raz będziesz miał takie zwariowane pomysły, to poszukaj sobie kogo innego, a mnie daj spokój! – najechał na niego Wolzow. – Mam już dość tych twoich napadów humanitaryzmu. Bierz przykład z Zieschego! Jak przyjdzie co do czego, to on będzie miał więcej żołnierskiego hartu

niż ty!

Kutschera pomstował następnego dnia przed zebraną w szeregu baterią na „tę przeklętą zادیorność Wolzowa”. W parę dni później Wolzow dostał wściekły list od swojego stryja, w którym tenże w dosadny sposób przykazywał Wolzowowi i jego przyjacielowi „raz na zawsze zaniechać takich wątpliwych żartów”. Tym samym sprawa była skończona.

Dni lipcowe mijały jeden za drugim, suche i upalne, a potem pochmurne i mgliste. Któregoś dnia bateria została zaatakowana po raz drugi przez samoloty nurkujące. Jedna kolumna samolotów myśliwsko-bombowych typu Mustang rzuciła się na działa Dora i Cezar. Straty były nieduże. Ale na placu boju pozostało dwóch zabitych i sześciu ciężko rannych. Gomulka powiedział: – To dopiero początek. Możesz być tego pewien!

– Holt – powiedział któregoś dnia Gottesknecht – nie zasłużyliście co prawda na to, ale daję wam dobrą radę: złożcie natychmiast raport o urlop, wy, Wolzow i Gomulka, zanim będzie za późno! Jak wygląda nasz stan osobowy, sami wiecie. Jeszcze parę talach ubytków, a o urlopie już nie będzie mogło być mowy! Nad Zagłębiem Ruhry wisiała fala upałów. Błękitna mgiełka przesłaniała południowe słońce. Drzwi i okna baraku stały otworem, ale ani jeden podmuszek chłodzącego wiatru nie wionął przez nagrzane do nieprawdopodobieństwa izby. – Mamy zaraz zwrócić się do dowódcy o urlop – powiedział Holt. – Cicho! – zawołał Gomulka. Wolzow czytał

gazetę: – „...tak więc bitwa na wschodzie staje się próbą wytrzymałości dla każdego poszczególnego żołnierza. Na uderzenia szybkich sił sowieckich nasze dowództwo odpowiada koncentracją wojsk w poszczególnych punktach oporu...” – Gomulka zauważył: – W takim razie miałaś rzeczywiście rację z tą swoją oceną sytuacji! – Wolzow czytał dalej: – „Podczas gdy nieprzyjaciel z południowego wschodu i północnego wschodu wdzierał się do Mińska, na południowym wschodzie aż po Berezynę stały ciągle jeszcze niemieckie wojska, które w nieustannych walkach przedzierają się teraz na zachód”.

– A więc są w kotle! – powiedział Gomulka i wyjął Wolzowowi gazetę z ręki. – Poza tym wynika z tego całkiem wyraźnie, że wojna na wschodzie przeszła w wojnę manewrową:

„Nieprzyjaciel usiłuje – piszą – podtrzymać ten typ działań”.

Holt zerknął na Zieschego, Ziesche spał albo udawał, że śpi. – I ciągle jeszcze żadnych kontrposunięć? – zapytał Holt. – Czytaj komunikat wehrmachtu!

Gomulka zaczął przewracać gazetę. – Kontrposunięcia? – Twarz mu nagle drgnęła. –

Chwileczkę! Front inwazyjny... A wiec: „Na środkowym odcinku frontu wschodniego przy ciągle utrzymujących się uciążliwych upałach nasze wojska toczą również i dla nas obfitujące w straty walki...”

Wolzow mu przerwał: – Tam się dopiero musi dziać! – Ziesche podniósł się na łóżku i powiódł po nich zaspanym wzrokiem.

– Tego jeszcze w całej tej wojnie nie było – powiedział Gomulka. – Nie masz co robić takiej niedowierzającej miny, Ziesche, przejrzyj sobie komunikaty wehrmachtu, od kampanii w Polsce aż po dzień dzisiejszy! To jest pierwszy raz, kiedy się mówi o „również i dla nas obfitujących w straty walkach”. – i czytał dalej: – „Bohaterska załoga Wilna”...

– Wilna? – wykrzyknął Holt przerażony. – No tak:– powiedział Gomulka. – Doszli do Wilna już przed trzema dniami. „Za Wilnem nieprzyjaciel prze dalej na zachód i południo-zachód”. –

Gomulka odłożył gazetę. – Nie zanosi się więc jakoś na kontrposunięcia.

Holt siedział przy stole zdeprimowany. Przed chwilą jeszcze tak się cieszył na urlop. Teraz mu tę

radość zepsuto. Dziwił się tylko coraz bardziej swoim kolegom, że tak beznamyślnie przyjmują te druzgocące wieści, czy też może umieją lepiej ukrywać swoje uczucia. Vetter w każdym razie krzyknął ze swojego łóżka: – Srać na Wilno! Niech nam tu lepiej pozwolą się choć raz dobrze wyspać, to jest o wiele ważniejsze.

Napisali raporty o urlop. Holt znowu się zastanawiał. Co ja pocznę z tym urlopem? Do matki? Nie. Do ojca? Nie. Od Bożego Narodzenia nic o nim nie słyszał i dopiero przed paroma tygodniami, kiedy bombardowane były centra przemysłowe w środkowych Niemczech, dowiedział się z drukowanych w gazetach list, że jego ojciec żyje. Tak więc pozostawało mu tylko przyjąć zaproszenie Wolzowa. Wolzow i Gomulka ciągle go namawiali, żeby jechał

z nimi. Jak długo ma się jeszcze przyjaciół, to jest wszystko dobrze! Przyjaciół, pomyślą!

z uczuciem lekkiego niepokoju. Czyż pomiędzy nim, a Wolzowem nie nastąpiło już pewne oziębienie? Ale potem przypomniawszy mu się opuszczona willa, słoneczne dni nad rzeką... i Uta!

Ta myśl nie była zbyt przyjemna. Pomyślał o pani Ziesche.

Niemożliwe, żeby pojechał na urlop, nie porozmawiawszy z nią przedtem. Może będzie miała czas, może będą mogli gdzieś razem wyjechać, tak jak na Boże Narodzenie... Siedział

zamyślony i zastanawiał się: Czy jeszcze raz mogłoby być jak wtedy? Dziwne, wszędzie to samo wrażenie obcości! Przebrał się prędko w mundur wyjściowy. – Dokąd chcesz iść? – zapytał

Wolzow. – Do dentysty. – Wolzow zaczął się śmiać. Nagle zabrzmiał dzwonek alarmowy.

Wolzow poleciał w spodenkach kąpielowych do działka, z drelichem pod pachą.

Słońce padało prostopadle na stanowisko działka. Holt, w mundurze sukienym, na próżno szukał schronienia przed jego niemiłosiernie prażącymi promieniami w bunkrze dla obsługi, ziemia była tu tak rozgrzana, że z bunkra buchał żar jak z piekarskiego pieca. Ściągnął mundur.

Schröder, jeden ze Ślązaków, siedział zamiast niego przy mechanizmie kierunkowym. –

Pogotowie ogniowe! – obwieścił Ziesche, który również miał na sobie mundur wyjściowy.

Włożyli hełmy na głowy. – Pojedyncze szybkie samoloty nieprzyjacielskie...

– Jak zwykle mosquito – powiedział Gomulka. Wolzow ściągnął rękawicę ładowniczą i usiadł na jednym z ramion lawety.

– De havilland mosquito – powiedział rozmarzony. – Jako samoloty rozpoznawcze są zupełnie nie uzbrojone. Lecą tak szybko, że nasze myśliwce mogą je przechwycić tylko w locie nurkowym.

Ziesche zapytał: – Z jakich źródeł pochodzą właściwie te mądrości? – Wolzow rzucił

niedopałek papierosa na ziemię. – Pisali o tym w Volkischer Beobachter! Ale ty oczywiście czytasz

zawsze tylko tytuły, czytaj komentarze, bracie! Jesteś wprawdzie dobrym narodowym socjalistą, ale mógłbyś sobie nareszcie przyswoić trochę wojskowej rzeczowości.

– Lufy kierunek dziewięć! – krzyknął Ziesche. Gdzieś daleko narastał złowieszczy grzmot. –

Strzelają 128-milimetrowe baterie w Bottrop! – Wolzow znowu naciągnął rękawicę ładowniczego i dalej pouczał Zieschego: – Wystawiasz sobie niepotrzebnie świadectwo ubóstwa, jeżeli prawdę wojskową uważasz za defetyzm. Niedługo jeszcze powiesz, że Führer jest defetystą, bo określa sytuację jako poważną.

W miastach zawyły syreny, ogłaszając odwołanie alarmu. Ziesche włączył mikrofon. –

Anton, zrozumiano. Pogotowie ogniowe odwołane. Szybkie samoloty nieprzyjacielskie poleciały w głąb kraju... Dwóch ludzi zostaje przy dziale. Reszta może iść na obiad.

– Ja zostanę – powiedział Wolzow. – Sepp, przynieś mi tu obiad!

Holt wciągnął mundur i pobiegł na SD2. Gottesknecht zmarszczył czoło. – Punktualnie o siedemnastej z powrotem, zrozumiano? I słuchajcie u tego „dentysty” komunikatów sytuacyjnych; jeżeli zapowiedzą nalot maszyn bojowych, żebyście mi natychmiast wrócili na stanowisko!

Holt pobiegł do tramwaju. Przed Dworcem Głównym wysiadł i poszedł już dalej piechotą.

W dziesięć minut później dzwonił do mieszkania pani Ziesche. Kręciła się po domu w kostiumie plażowym i miała w kuchni piwo postawione na lodzie. – Po tych ostatnich nalotach Ziesche żąda bezwzględnie, żebym stąd wyjechała! Mam jechać do niego do Krakowa! Poza tym wiecznie mi tu życie zatruwają z powodu zbyt dużego mieszkania. Ziesche pisze, że byłoby lepiej, gdybym oddała dwa pokoje, żeby towarzysze nie mówili, że partia robi jakieś kombinacje.

– Właściwie mogłabyś tu zostać przynajmniej tak długo, dopóki nie pójde do RAD-u –

powiedział Holt. – W zeszłym tygodniu stawaliśmy przed komisją. To przecież jeszcze tylko sześć tygodni.

– Akurat do Krakowa! – powiedziała. – Tani przecież niedługo będą już Rosjanie! To już wolę siedzieć tu w piwnicy!

– Posłuchaj wreszcie! – zawołał Holt. – Chcę z tobą o czymś porozmawiać.

Wysłuchiwała urlopowych planów Holta i długo się potem zastanawiała. – To byłoby cudownie – powiedziała wreszcie. – Znam pewne miejsce w Lesie Bawarskim... Nie... To się nie da zrobić! Ty masz urlop i nie jedziesz do domu, a równocześnie ja wyjeżdżam, w nieznanym kierunku... To musiałyby się wydać podejrzane!

Był rozczarowany, – Wymyśl sobie jakąś wymówkę! – Potrząsnęła przecząco głową. – Nie mogę ryzykować. To byłoby wspaniałe, ale nie da rady. – Po chwili dodała: – Gdyby nie było Guntera Zieschego!

– Gdyby, gdyby! – wykrzyknął. – Wszystko mi psuje ten wstrętny typ!

– Bądź rozsądny – powiedziała... – No to zostań tu przynajmniej tak długo, dopóki nie pójde do RAD-u – prosił. – Nie mam już poza tobą nikogo.

– Nie bądź sentymentalny, nie ma do tego żadnego powodu.

Gdy w radiu odezwał się zaszyfrowany komunikat: „Nad obszarem Rzeszy nie ma w tej chwili żadnych nieprzyjacielskich maszyn bojowych”, Holt leżał na łóżku obok pani Ziesche.

Okna były otwarte na oścież. Próbował ją znowu przekonywać: – Czynie masz gdzieś jakichś krewnych, żebyś mogła powiedzieć...

– To naprawdę jest niemożliwe! Mnie samej jest przykro. – Zdawało mu się, jakby usłyszał w mieszkaniu kroki. Musiało to być chyba złudzenie. – A gdybyś ty pojechała naprzód – pytał dalej uparcie – a ja przyjechałbym później? To przecież nikomu nie mogłoby wydać się podejrzane!

Wtem drzwi się otworzyły i na progu sypialni stanął Ziesche, tak jest, starszy junak Ziesche, z hełmem na rzemieniu w prawej ręce; Holt zamarł z przerażenia i zakrył tylko kołdrą panią Ziesche.

Ziesche powiedział bezradnie: – Aha... aha... aha! – i zanim zdążyli sobie to uświadomić, zniknął jak duch. Drzwi zostały otwarte. Potem trzasnęły w hallu drzwi wejściowe. Holt wybuchnął wściekły: – Taka świnią... Taka świnią nie skrobana!

Pani Ziesche drżała ze strachu. Była zupełnie blada. – Na miłość boską! – Próbował ją uspokoić, ale ona nic nie słyszała, tylko jęczała: – Jestem skończona... skończona, on napisze o tym do swojego ojca! – Ta myśl przeraziła teraz i Holta. Zastanawiał się na siłę, co robić.

Gilbert musi mu pomóc, i Ziesche musi przysiąc, że niczego nie zdradzi! pomyślał w pierwszej chwili. Ale ten pomysł był idiotyczny. Na Wolzowa nie było co liczyć, a Ziesche wolałby raczej dać się posiekać na kawałki niż wyrzec się zniszczenia swej macochy razem z Holtem. Holt siedział na łóżku, z kolanami podciągniętymi pod brodę, i myślał: Rozpacz, niech to diabli wezmą!

Pani Ziesche leżała bez ruchu obok niego. W jednej chwili jakby się nagle postarzała. – On mnie wypędzi – szeptała – on mnie zwyczajnie wypędzi!

– Nie martw się – powiedział Holt. – On się o niczym nie dowie, już moja w tym głowa. –

Nie miał wprawdzie jeszcze pojęcia, co należy robić, ale droga do stanowiska ogniowego była długa i po drodze już mu tam coś wpadnie do głowy. Wstał z łóżka, wziął swoje rzeczy i poszedł

do łazienki. Wsadził głowę pod strumień lodowato zimnej wody. Pani Ziesche poszła za nim, drząc mimo upału na całym ciele. – On nie może o tym napisać do swojego ojca – powiedziała, już trochę spokojniej. I powtarzała Holtowi ciągle to samo: – Werner, to jest obojętne, co ty zrobisz. Ale on nie może o tym napisać do ojca! Ty nie znasz starego Zieschego, on jest próżny i mściwy. – Jej strach

udzielił się również Holtowi. Przyczesał się, odrzucił grzebień i powiedział: – Zobaczę, co się da zrobić.

Pojechał do baterii. Naturalnie po drodze też nie potrafił nic wymyślić. Co za bezdenne lekkomyślność! rozmyślał. To się nie powinno było stać! I: Najpierw z nim porozmawiam.

W izbie Wolzow siedział przy stole i wodził cyrklem po mapie. Gomulka czytał, Zieschego nie było. – Zostaw go lepiej w spokoju – powiedział Gomulka. – Miał mieć przepustkę na noc, ale wrócił w paskudnym humorze. Teraz siedzi w kantynie i pisze. – A więc Ziesche już pisze!

Nie ma ani chwili do stracenia.

W pustej kantynie było już prawie ciemno. Za bufetem spał na krześle szef kuchni. Pod jednym z małych, brudnych okien siedział przy stoliku Ziesche i pisał. Gdy zobaczył

wchodzącego Holta, zwinął swoje papiery. Holt bez słowa usiadł naprzeciwko niego. Twarz Zieschego była jeszcze bardziej nabrzmiąta niż zwykle, była blada i pokryta czerwonymi plamami, a oczy patrzyły z nienawiścią.

– Słuchaj! – powiedział Holt. – Odczep się – syknął Ziesche wściekły. – Odczep się natychmiast!

– Wolnego! – powiedział Holt. Ale Ziesche wrzasnął: – Wynoś się, ty... ty... ty świni! Nie rozmawiam z tobą! Tyś honor mojego ojca...

– Głośniej! – powiedział Holt. – Jeszcze głośniej, żeby kuchenny też coś usłyszał! –

Bombardier za bufetem obudził się i popatrzył nie rozumiejącymi oczyma na obu chłopaków.

Potem pozamykał swoje szafki i opuścił kantynę.

– Ja ci coś powiem – zaczął znowu Holt. – Widziałeś coś, czego nie powinieneś być widzieć.

Mamy różny pogląd na te sprawy, nie ma sensu, żebyśmy tu długo ze sobą gadali. Ale żebyś zaraz siadał i na gorąco pisał o wszystkim swojemu staremu, to to jest... podłe z twojej strony!

Jeżeli czujesz się znieważony i masz choć trochę odwagi, to możesz porachować się ze mną, ale nie wciągaj w to swojego ojca!

To była zbawienna myśl: Jeżeli Ziesche da się nakłonić, żeby potraktować sprawę jako coś w rodzaju sprawy honorowej, to będzie wielka wygrana. Ale Ziesche syknął Holtowi w twarz: –

Nie trudź się! – I już znowu zaczął krzyczeć: – Nie pozwolę ci plamić honoru mojego ojca!

Koniec! Teraz już raz na zawsze koniec, dostaniesz teraz za swoje, za wszystko, od pierwszego dnia począwszy, za ten twój zgniły intelektualizm... Za tę twoją nieniemiecką amoralność... za wszystko dostaniesz... – Głos mu się załamał. Holt zaniemówił wobec takiego napadu szału.

Ziesche ciągnął ochryple dalej: – Za to, że zrobiłeś z tej kobiety ku... ku... kurwę, mój ojciec odpowiednio się z tobą porachuje! Z tobą i z nią! I będziecie tego jeszcze żałować... żałować...

gorzko będziecie żałować!

Holt był bezradny. Zerwał się od stołu i złapał Zieschego za pierś. Ale w tym samym momencie rozległ się dzwonek alarmowy. – Udało ci się znowu uniknąć batów! – powiedział

Holt. Ziesche, drżąc z wściekłości, wepchnął swoje papiery za pazuchę i pobiegł do dział.

„Formacja szybkich samolotów bojowych leci przez północno-zachodnią Francję ku granicom Rzeszy”. Na tym się skończyło. Przeszły trzy godziny, zrobiła się noc. Cywile z obrony przeciwlotniczej posnęli w bunkrze dla obsługi. Nagle Ziesche zawołał: – Pogotowie ogniowe! – W miastach zawyły syreny. – Tak, zaraz alarm na całego? – zdziwił, się Gomulka. –

Silne zespoły maszyn bojowych lecą przez Holandię w kierunku Kolonia-Essen! – zawołał

znowu Ziesche. Wolzow wypędził cywilów z bunkra. Ale formacje nieprzyjacielskie zmieniły kurs i przelatywały gdzieś daleko stroną północną. – Naloty pozorne, manewry dla zmylenia czujności! – powiedział Gomulka. – Oni sobie kpią z nas i z nocnych myśliwców! – Zawyły syreny, ogłaszając odwołanie alarmu. Komunikaty sytuacyjne mówiły później o zruceniu bomb w rejonie Wielkiego Berlina.

Holt rozmawiał z Gomulką. Z SD2 dolatywał grzmiący głos Kutschery. Parę reflektorów obmacywało niebo. Noc była jasna. Gwiazdy stały w zenicie. Dokoła wisiały ławice leciutkiej mgielki. Na południu bez przerwy pracował wielki piec, płonące gazy barwiły niebo na krwistoczerwone. – Ile oni już zrzucili bomb! – westchnął głośno Wolzow: – A fabryki ciągle jeszcze pracują! – Ziesche krzyknął: – Spokój!... Dalsze silne zespoły maszyn bojowych lecą przez Kanał na Emden-Oldenburg. – W okolicznych miastach znowu zawyły syreny. W pół

godziny później zakomunikowano: „W pobliżu wybrzeża gęsta mgła. Bombowce próbują pozbyć się swego ładunku gdzie się da”. – W takim razie przy lecą tutaj. – Wolzow rozmawiał

z ludźmi z obrony przeciwlotniczej. – Gdyby zaczęli zrzucać flary, to przede wszystkim znieść amunicję z magazynu zapasowego, rozumiano? – Narastające i słabnące wycie syren: Alami!

I już na niebie zahuczały eskadry bombowców, a niedaleko na wschodzie posypały się flary, świetlice błyszczące, wskazywały osiedle, wciśnięte między fabryki jak wyspa. Reflektory nerwowo przeszukiwały niebo i gasły, zanim jeszcze przyrządy optyczne zdołały uchwycić cel.

Ciężki warkot silników od północo-zachodu narastał coraz bardziej. Naokoło zajazgotał

wściekły ogień artylerii przeciwlotniczej. Sypiące się w dół kaskady świetlne zalewały światłem stanowisko dział. Ziesche krzyknął: – Strzelać według namiarów radiowych! – I zaraz potem: –

Zakłócenia! Stały ogień zaporowy kierunek trzy! – Szybko podał obsłudze dane, i: – Zapora...

ognia! – Wystrzały ziewały się z wybuchającymi gdzieś blisko bombami w jeden przeciągły grzmot. Holt, odwracając raz po raz głowę, widział Wolzowa stojącego w rozkroku za działem, bez hełmu, i widział, jak Wolzow wciąż tym samym miarowym ruchem wsuwa do komory nabój za nabojem.

Przerwać ogień!

Cywile z obrony przeciwlotniczej w milczeniu wyrzucali ze stanowiska puste łuski, które ktoś liczył: – Trzydzieści dziewięć, czterdzieści, czterdzieści jeden. – Holt pomyślał zdumiony: Czterdzieści jeden strzałów? Kaskady świetlne zgasły. Niebo na wschodzie było teraz ogniście czerwone, płomienie biły w górę tuż zaraz za posiekany pociskami laskiem, za ogródkami działkowymi. Głuchy syk dolatywał aż tu, do stanowiska; w dość rozległym, gęsto zabudowanym osiedlu ogień szybko przeradzał się w olbrzymi pożar. Jakiś cywil z obrony przeciw lotniczej kulił się pod ścianą stanowiska z twarzą ukrytą w dłoniach. – Jego rodzina...

jest tam – powiedział ktoś szorstko. – Wszystko jedno! – zawołał Wolzow. – Weź się w garść! –

Smarował zamek. Powietrze znowu zadygotało od ryku silników. – Zakłócenia! – krzyknął

Ziesche ochryłym głosem i Holt pomyślał ze złośliwą satysfakcją: Wrzeszczał, wrzeszczał, aż ochrypl! – Ogień zaporowy! Wysokość trzydzieści pięć-trzydzieści, kierunek czterdzieści osiem-dwadzieścia, zapalnik dwieście stopni od krzyża! – Holt poprawił sobie hełmofon. –

Zapora... Ognia! – krzyknął Ziesche. Znowu za każdym wystrzałem sypał się w twarz suchy pył.

Oczy piekły – oślepienie błyskami ognia. Holt nie słyszał, że Ziesche kazał przerwać ogień.

Naraz zrobiło się wokół niego cicho. I w tej ciszy ciężko dyszał Wolzow: – Teraz te świny rzucili w płomienie bomby burzące!

Znowu nowe naloty. Przez Francję leciały silne zespoły maszyn bojowych na Koblencję-Saarbrücken. – Ale się dziś uwijają! – powiedział Gomulka. Wolzow razem z jednym z cywilów przecierał lufę wyciorem.

Dopiero około czwartej nad ranem, gdy już było jasno, zakomunikowano odlot ostatniej formacji.

Holt nie miał pojęcia, jak załagodzić sprawę z Zieschem. Gdy przykrywali armatę pokrowcem, obserwował Zieschego z boku i odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył, że Ziesche wraca razem z innymi do izby, gdzie rzucił się wyczerpany na łóżko.

Te swoje papierzyska musiał mieć chyba ciągle jeszcze przy sobie. Przez chwilę Holt zastanawiał się, czy siłą nie wyrwać mu rozpoczętego listu.

Ziesche spał, cicho chrapiąc. Wszyscy spali. Tylko Holt, zdenerwowany i przemęczony, leżał z otwartymi oczyma i szukał w myślach jakiegoś wyjścia. Zastanawiał się, czyby jednak nie zwierzyć się Wolzowowi i czyby jeszcze raz nie powołać się na to, że dał mu kiedyś słowo...

Około siódmej rano dzwonek alarmowy znowu pognał ich do działa.

Ranek był pogodny i działał orzeźwiająco. Na wschodzie, tam gdzie bombardowane było to osiedle, nieprzenikniona chmura dymu przesłaniała horyzont. Ledwo skończyli sprawdzać połączenie z przyrządami optycznymi, a już zapowiedziano pojedyncze szybkie maszyny nieprzyjacielskie. Leciały wzdłuż Renu na południe. Ziesche, który odbierał komunikaty, zapowiedział silne zespoły bombowców i myśliwców z południowej Holandii, Gomulka zdziwił

się: – Bombowce pod osłoną myśliwców? A to się nasze myśliwce ucieszą! – Żeby tylko nie było nalotów samolotów nurkujących, pomyślał Holt zaniepokojony. Wolzow zaczął kląć.

Okazało się teraz, kiedy ludzie z obrony przeciwlotniczej zeszli ze służby i chłopcy zostali przy działach sami, że w nocy wystrzelano całą amunicję z bunkra znajdującego się przy działach. – No to prędko po naboje do magazynu zapasowego! – rozkazał Ziesche. – Ale tempo! – Gdy taszczyli kosze przez pole, odezwało się narastające i opadające wycie syren. Równocześnie na stanowisku dowodzenia podniósł się zwykły w takich momentach krzyk. Holt porzucił

cetnarowy kosz na polu i pobiegł do dział. W zdenerwowaniu nie włączył wtyczki od hełmofonu do kontaktu mechanizmu kierunkowego. – Lufy kierunek dziewięć! – krzyknął

Ziesche. Ktoś powiedział: – Tropiciele! – Do uszu Holta docierał tylko słaby warkot motorów.

Spojrzał w górę. Niebem ciągnęły trzy maszyny, bardzo prędko. Prawdopodobnie lightninki!

W przezroczystym powietrzu wykwitły nagle wąskie, wysokie, ostro zarysowane słupy dymu.

Holt nie bardzo jeszcze rozumiał, co to znaczy. – Wskazują nas, bombami dymnymi! – wrzasnął

Ziesche, diabelnie zdenerwowany. Holt rozejrzał się zdumiony dokoła: wszędzie nad stanowiskiem słupy dymu, przed nim, chyba gdzieś nad świerkiem, olbrzymie, i za nim, nad kantyną, i dopiero teraz Holt pojął, że jest to wskazywanie celu, że celem byli oni sami... Nawet głos Wolzowa był ochrypły: – Dziś my jesteśmy na tapecie! – Gdzieś daleko odezwał się szybko narastający warkot silników. – Nalot... samolot dziewięć! – krzyknął Ziesche rozpaczliwie. –

Strzelać przy pomocy przyrządu centralnego, nalot bezpośredni! – W hełmofonie Holta mówił

ktoś czysto i wyraźnie: „Kierunek ustalony na czterdzieści dziewięć-trzydzieści...” – Anton gotów do otwarcia ognia! – krzyknął Ziesche. – Seria...

– Naboje, piorunem! – zawołał Wolzow, a Ziesche wrzasnął, zachłystując się: – Ognia! –

Holt wciągnął głowę w ramiona i przycisnął się do dział. Strzał huknął, armata szarpnęła się do tyłu i łuska uderzyła o ramię lawety. Holt poczuł się nagle spokojny. Gilbert strzela! Zanim zdążył uświadomić sobie ten straszliwy huk, ten wyjący coraz głośniejszy orkan, jasny poranek zgasł, ziemia zadygotała, zakołysała się i uniosła w górę. Holt poczuł, że leci w przepaść... Gdy wstał, nie mając pojęcia, co to się stało, powietrze drżało od ryku bombowców, i nie było już stanowiska dział, tylko zryta ziemia i roztrzaskane belki, pośród tego siedział Wolzow, a przy nim klęczał Gomulka i zakładał mu opatrunek na głowę. Holt wypluł z ust kawałki żużla i ziemię. Gdzie jest armata? Zobaczył ją przewróconą, zamiast smukłej lufy sterczało w niebo ramię lawety, a dalej, na czarnym

żuźlu, leżało bez ruchu parę niebieskoszarych postaci.

Podpełził na czworakach do Wolzowa, który wciskał sobie na obandażowaną głowę hełm: –

Prędko! Do Berty! – Holt z trudem się podniósł, zachwiał się na nogach jak pijany, rzucił okiem na postacie leżące bez życia za i pod przewróconym działem i zaczął biec przez zryte lejami pole. Widział rozpluwające się po niebie dymy, widział nadlatującą na niedużej wysokości kolumnę czterosilnikowych bombowców, i rzucił się na ziemię. Wystrzały z dwóch dział tak go przeraziły, że stoczył się do olbrzymiego leja po bombie. Na dnie leżał już Wolzow, z zakrwawioną twarzą, i krzyknął: – Druga fala! – Ryk nadlatujących nisko bombowców był tak straszliwy, że Holt ledwo Wolzowa zrozumiał. Coś niby trąba powietrzna przemknęła nad nim.

Równocześnie fala uderzeniowa buchnęła na niego z taką siłą, że przez kilka sekund nie mógł

złapać tchu. Przy jego uchu jęczał Wolzow: – Amunicja... Teraz wyleciała w powietrze amunicja... – Ryk silników nie ustawał. Strzelało tylko jedno dział, ale i ono umilkło. Holt i Wolzow wyleźli z leja i pobiegli do działka Berta.

Gomulka i Vetter oraz dwóch Ślązaków schronili się już tam przed bombami i w gorączkowym pośpiechu przygotowywali właśnie armatę do otwarcia ognia. Wolzow otworzył zamek. – Werner działonowym! Sepp k1! Christian k6! No, rusz się, Schröder, nie stój tak, tylko rób to, co robi k2! Ty tam, ty jesteś k7... – Holt założył na szyję laryngofon. Co za cud, w przewodzie był prąd! Z niesłychaną ulgą wsłuchiwał się w głos Gottesknechta. Wolzow zawołał: – Potrzebni nam są amunicyjni!

– Tu Berta! – meldował się Holt. – Obsługę stanowi sześciu kanonierów od Antona.

Potrzebni są nam amunicyjni! – „Zaraz wam przyślę ludzi z obsługi pelengatora – powiedział

Gottesknecht. – Berta! Kto jest działonowym? Czy to wy, Holt?” – Tak jest! – „Jakie są straty przy Antonie?” – Nie wiem. – W przewodzie zaczęło coś brzęczeć. „Działa... meldować się!” –

Tu Berta! – Jeszcze tylko działko Cezar się odezwało. Na SD2 grzmiał Kutschera: „Może byście tak założyli prowizoryczną linię do Dory i Emila!”

Paru junaków wpadło na stanowisko działka. – Co się dzieje na SD2? – zapytał Gomulka.

Powstały tylko niewielkie szkody od podmuchów. Przy działku Frieda wyleciały w powietrze bunkry z amunicją. Ludzie z obsługi pelengatora powiedzieli beznamiętnie: – Tam już nikt się nie rusza! – Ryk silników znowu zaczął się zbliżać. Głos Gottesknechta w hełmofonie, obcy i szorstki: „Alarm! Samolot dziewięć! Nalot bezpośredni!... Trzecia fala!” Holt rzucił komendy wcale o tym nie wiedząc. Kanonierzy zameldowali, że nastawy gotowe. – Berta gotowa do otwarcia ognia. – Holt spojrział w niebo, znowu nadciągnęła kolumna czterosilnikowych bombowców. – Seria!... Ognia! – Wolzow ładował szybko i pewnie. Tylko dwie armaty strzelały. – Ognia! – Wolzow już pociągał za spust. Lufa podnosiła się coraz wyżej w górę. –

Zmiana kierunku! – Armata obróciła się lufą na wschód. Warkot silników ginął w huku wystrzałów, dokoła wylatywały w niebo grzyby dymu i fontanny ziemi, całe stanowisko dygotało. – Ognia! – syknął Holt. Istotnie, Wolzow załadował i pociągnął za spust; głos Gottesknechta w hełmofonie powiedział: „Tym razem poszedł za bardzo w bok!” Wolzow z pasją wsuwał do komory nabój za nabojem i strzelał bez rozkazu i bez przerwy, dopóki Vetter nie zameldował: – Są już poza zasięgiem zapalnika!

– Przerwać ogień! – W hełmofonie głos Gottesknechta: „Chwileczkę! Komunikat sytuacyjny!” Długo trwało, zanim się znowu odezwał: „Wszystkie zespoły odlatują. Alarm ogniowy odwołany”. – Berta, zrozumiano. – Holt poczuł się nagle nieprawdopodobnie zmęczony. Zerwał z głowy hełmofon i wręczył go Wolzowowi, który siedział na ramieniu lawety, podpierając obandażowaną głowę rękoma.

Holt poleciał do Antona.

Stanowiska ogniowego nie mógł w ogóle poznać. Ziemia między poszczególnymi działami była jakby przeorana. Wszędzie ziały leje po bombach. Stanowisko dział Anton było jedną kupą ziemi, z której wystawały tu i ówdzie potrzaskane części drewnianego oszalowania. Holt przedostał się przez resztki wału ziemnego do przewróconej armaty. Natknął się na Rutschera, który, wgnieciony aż po pas między obelkowanie bunkra a łożo armaty, leżał zmiażdżony.

Straszny to był widok. Holtowi zrobiło się niedobrze. Pomyślał prędko o wysokiej i pięknej siostrze Rutschera... Przełaził przez trupa i poszedł dalej. Przed wtłoczonym w ziemię bunkrem z amunicją, z którego wysypała się cała masa błyszczących naboń, leżały dwie dalsze postacie.

Jednej, mniejszej, nie mógł rozpoznać, bo twarz była zmasakrowana i hełm zsunął się aż na oczy. Obok leżał Gunter Ziesche, połączony jeszcze przewodem hełmofonu działonowego z armatą. Leżał na plecach z rozrzuconymi ramionami, w kałuży krwi, i krew ta płynęła mu z uszu, nosa i ust. Twarz była dziwnie rozciągnięta w szerz. Jak to się mogło stać? zastanawiał się Holt... Rutscher i Ziesche, pomyślał... Przykucnął na ziemi, odpiął Zieschemu mundur, wyciągnął papiery i schował je do kieszeni spodni. Potem zdjął mu znak tożsamości, również temu małemu, którego nie mógł rozpoznać.

Nagle tuż przy Holcie znalazł się Gomulka, ponadto jeszcze inni junacy i kilku żołnierzy z etatowego składu baterii. Gomulka zobaczył Rutschera, i twarz mu poszarzała. Na kupie ziemi, która niedawno jeszcze była stanowiskiem dział, stał Gottesknecht z notesem w rękach. Holt podał mu oba znaki tożsamości. – Rutscher... panie ogniomistrzu.

– Już dobrze. Zajmijcie się Bertą.

Gomulka skoczył do najbliższego leja, zrobiło mu się niedobrze, i zwymiotował. Potem powiedział: – Przy Friedzie... cała obsługa... rozerwana w strzepy!

Holt przeniósł się nagle myślami w przeszłość. Miałem dosyć domu rodzicielskiego, miałem dosyć szkoły, nie mogłem się wprost doczekać, kiedy mnie wezmą, tęskniłem do wojny...

Na stanowisku Berty wszyscy siedzieli przy armacie przygnębieni i milczący. Tylko Wolzow

zachowywał się tak, jak gdyby nic się nie stało. – Trzydzieści sześć lejów po bombach

– powiedział. – Bomby po pięćdziesiąt albo po dwadzieścia centarów! A rezultat? Tylko dwa działa wysiadły. Co to znaczy mieć szeroki gest!

– Każ sobie założyć porządny opatrunek – powiedział Holt. Wolzowowi przeciekała przez bandaż krew. Włosy były sklezione, twarz umazana krwią. Wolzow opuścił stanowisko działa.

Holt rozmieścił na nowo obsługę.

Brak porządnego k7, pomyślał, nocą będziemy mieć cywilów z obrony przeciwlotniczej, ale co będzie w dzień? – Jazda! Czyszczenie działa! – wrzasnął. Ślężacy posłusznie zaczęli przeciągać przez lufę wycior.

Na drodze zatrzymały się sanitarki. Gomulka powiedział: – Nigdy chyba nie potrafię zrozumieć, co się stało przy Antonie! – W tym momencie zjawili się na stanowisku Kutschera i Gottesknecht. Kapitan huknął: – Gorący ranek, co? Ci bandyci zabili mi psa, nigdy im tego nie przebaczę! – Holt powiedział: – Potrzebny nam jest k3, k7 i amunicyjni! – Gottesknecht zanotował. – Panie ogniomistrzu – zaczął Holt, gdy Kutschera odszedł – czy mógłbym zatelefonować? – Gottesknecht spojrział na niego roztargniony. – Poczekajcie z tym trochę. Linie są jeszcze przeciążone. – Po chwili namysłu dodał: – Jeżeli będziecie telefonować, to moglibyście... mi oszczędzić wysyłania przynajmniej tego jednego zawiadomienia.

Barak tak ucierpiał od wstrząsów, że jego wnętrze wyglądało jak pobojuwisko. Harowali dwie godziny, zanim udało im się przywrócić jaki taki porządek. Jedna bomba zmiotła latrynę i kał pooblewał ściany baraku. Wolzow, ciągle jeszcze z zakrwawionym opatrunkiem, oparł ręce na biodrach. – To stary jak świat środek walki – powiedział. – Już starożytni Rzymianie ostrzeliwali głównem z tak zwanych balist obłożone miasta.

– Zmiataj natychmiast na izbę chorych! – krzyknął na niego Holt, a sam poleciał do kancelarii, gdzie Gottesknecht siedział nad listą stanu osobowego. – Trzynastu zabitych, Holt, to straszne! – Stukał końcem ołówka w listę. – Obsługa Berty co do jednego. Dziewięciu spośród Ślężaków, wszyscy mieli dopiero po szesnaście lat. – Holt, zupełnie tym przybity, zapytał: – Jak to się stało?

– Bomba. To musiały być chyba dziewięćset-kilogramowe bomby.

– A u nas, przy Antonie? Nie potrafię tego zrozumieć.

– Bomba spadła tuż za wałem ziemnym od północy; wszystko, co stało pod ścianą północną, znalazło się akurat w samym centrum wybuchu... Kto stał dalej, ten się dostał w strefę działania fali uderzeniowej i odłamków.

– W takim razie Sepp miał wielkie szczęście! Stał na lewo od mechanizmu podniesieniowego.

– Wyście wszyscy mieli wielkie szczęście – powiedział Gottesknecht. Wstał. – Zostawiam was samych, wyświadczenie mi tę przysługę...

Holt długo czekał, aż linia się zwolni. Znowu odżywał w nim wczorajszy dzień, ale taki daleki, jakby minął od tego czasu cały rok. Nakręcił numer. Teraz mogłaby ze mną wyjechać, pomyślał, ale na samą myśl o tym krew uderzyła mu do głowy. Odezwała się pani Ziesche:

„Przez całą dobę nie zmrużyłam oka! Co u was? Czy wyście też byli bombardowani? Ludzie opowiadają niestworzone rzeczy!” – Tak. Było kiepsko. Mamy trzynastu zabitych. – „A Ziesche? Co jest z Zieschem? W żadnym wypadku nie powinien napisać do ojca”. Przerwał jej:

– Ziesche już nie może napisać do ojca. Został zabity. – „Zabity! – powtórzyła, przeciągając to słowo ponad miarę. – Czy jesteś pewien, że nie napisał jeszcze wczoraj wieczorem?” Czuł się tak, jakby dostał w głowę obuchem. – Nie. Nie napisał. – Połączenie zostało przerwane, podgrupa chciała rozmawiać z dowódcą. Holt przełączył aparat na barak Kutschery.

Stał przez chwilę bez ruchu. Co za szczęście, że połączenie zostało przerwane! Nagle zaczął

dzwonić zębami. Zrobiło mu się zimno. Wyszedł z kancelarii na dwór.

Stanowisko ogniowe roilo się od jeńców, którzy zasypywali leje po bombach. Przy dziale Anton czekał ciężki ciągnik. Coś ze dwunastu ubranych w drelichy żołnierzy z podgrupy przy pomocy drągów i lin usiłowało postawić przewróconą armatę. Stał tam też Gottesknecht z Vetterem i Gomułką. Paru jeńców już porządkowało zdemolowane stanowisko. Holt podszedł

do Gottesknechta. Wolzow odmeldował się do izby chorych. Gottesknecht popatrzył badawczo na Holta i powiedział: – Musicie teraz mocno zacisnąć zęby! – Holt uciekł stamtąd... Skończyło się! Rzucił się na łóżko.

Wolzow wrócił do baterii już następnego dnia. Wyglądał nietęgo. Wyciągnięto mu z czoła i głowy mnóstwo małych odłamków drzewnych. – Tam na izbie chorych nie ma już ani jednego wolnego łóżka – opowiadał. – Bateria 109 ma pięciu zabitych, a 136 czternastu. Rannych musieli wysłać aż do Bochum, do szpitala rezerwowego.

Wieczorem włączył małe radio Zieschego. – To pudło jest na pewno zepsute! – powiedział

Gomulka. Ale nagle rozległ się z głośnika ostry głos spikera. Holt poderwał się na łóżku, jakby go coś podrzuciło, „...lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego. Na Führera usiłowano dziś dokonać zamachu za pomocą bomby zegarowej. Z jego otoczenia zostali przy tej okazji zranieni: generał porucznik...”

– To jest... – wykrzyknął Gomulka. – Cicho! – huknął na niego Wolzow. „...współpracownik Berger. Lekko ranni zostali generał pułkownik Jodl, generałowie: Korten...” Holt spoglądał to na Wolzowa, to na Gomulkę. Wolzow w napięciu aż się pochylił nad radiem. Gomulka miał usta otwarte i patrzył jak zahipnotyzowany w martwy punkt na ścianie „...Bodenschatz, Heusinger, Scherff...” Vetter podniósł się na łóżku, bardzo powoli, na jego twarzy malowała się zupełna dezorientacja, „...sam Führer natomiast poza lekkim poparzeniem i drobnymi skaleczeniami żadnych większych obrażeń nie odniósł”, powiedział w radio spiker. „Bezpośrednio po tym przystąpił na nowo do pracy i jak było postanowione, przyjął Duce i odbył z nim dłuższą rozmowę...” – Z Duce? – powiedział Vetter. – Przyjął Duce...? – Wolzow wrzasnął na niego: –

Spokój! – „...przybył do Führera marszałek Rzeszy”.

Koniec, kropka.

Ostry głos spikera umilkł. Wolzow stał w milczeniu, z głową odchyloną na bok. Z radia rozległ się marsz. Vetter, jak gdyby nic z tego nie zrozumiał, zapytał: – Zamach? Podłożyli bombę? Taki prawdziwy zamach z bombą? – Wolzow zdecydował się: – Musimy o tym zameldować! Nie wiadomo, czy poza nami ktoś tego w ogóle słuchał! – Sięgnął po czapkę. –

Chodź, Werner!

Na dworze ciągle jeszcze było gorąco. Słońce stało nad horyzontem w ławicach błękitnej mgiełki. Holt złapał Wolzowa za ramię. – Co to ma znaczyć?

– Skąd ja mam to wiedzieć? – odparł Wolzow. Szli drewnianym chodnikiem, który poza stanowiskiem ogniowym biegł dalej przez pole zupełnie nie uszkodzony. Pomiędzy stanowiskami dział pracowali jeńcy, zasypując leje po bombach.

Gottesknecht stał przed kancelarią i pykał swoją krótką fajkę. – No co, Dioskurowie? –

zapytał przyjaźnie. – Holt, jak wy wyglądacie? Czyżby ten wczorajszy szok tak was rozłożył?

Wolzow zrobił krok w stronę Gottesknechta. Ogniomistrz wyjął fajkę z ust i przybrał jakiś szczególny, pełen napięcia wyraz twarzy. Przez chwilę stał tak w milczeniu. Potem powiedział: –

W porządku. Dowódca został wezwany do podgrupy i jeszcze nie wrócił... – Ale nie ruszał się z miejsca. – Mówicie, że... Führer żyje?

– Tak jest. Ale paru generałów zostało zranionych, Jodl, Heusinger, admirał Voss, nie zdołałem zapamiętać wszystkich nazwisk... – Gottesknecht, zatopiony w myślach, kiwnął

roztargniony głową. Potem poprawił czapkę i zniknął bez słowa w kancelarii. Wolzow powiedział: – U majora, tam dowódca już chyba dowie się szczegółów.

– Nie rozumiem tego wszystkiego – westchnął Holt bezradnie. – A myślisz, że ja rozumiem?

– odparł Wolzow.

W izbie radio ciągle jeszcze ryczało marsze. Vetter i Gomulka sprzeczali się ze sobą, zaciętrzewieni jak koguty: – A Badoglio?! – wrzeszczał Vetter. – Jak to było z Badogliem? –

Gomulka machnął niecierpliwie ręką. Wyglądał na wyczerpanego i załamane. – Przestańcie wreszcie gadać trzy po trzy – powiedział Wolzow. Ściszył radio. Holt siedział zgnębiony i osowiały na stołku. Paru ludzi z obrony przeciwlotniczej zatupołało na korytarzu, zmierzając do dużej izby. Holt spojrzął na zegarek, nie było jeszcze ósmej. Nagle Wolzow napadł na niego:

– Siedzi sobie, szczeniak, jak za dobrych czasów! Ładny mi z ciebie działonowy! Czy masz już całą obsługę na noc? – Holt podniósł się ze stołka niechętnie.

Podczas próby przewodów Gottesknecht chodził od działła do działła. – Dostaniecie na razie trzech ludzi od Dory i kilku z obrony przeciwlotniczej. Jutro rano roztasujemy ludzi na nowo.

Holt był tak zmęczony, że myślał już tylko o jednym: Spać, niech się dzieje, co chce! Skoro tylko znalazł się znowu w izbie, rzucił się natychmiast na łóżko. Ale już po godzinie Wolzow dał

mu sójkę pod żebro: – Wstawaj! – Pogotowie bojowe!

Jak zwykle przelatywał nad Zagłębiem Ruhry zespół szybkich maszyn bojowych.

Na stanowisku działła czekali już cywile z obrony przeciwlotniczej, którzy roznieśli wiadomość o zamachu po całej baterii. Vetter powiedział: – A więc teraz jest to dla mnie już zupełnie jasne. Ci bolszewicy to zrobili. – Wolzow wyśmiał go. – A skąd niby „bolszewicy do Kwatery Głównej Führera? Widział to kto takie rzeczy!

– No to w takim razie komuniści – upierał się Vetter.

Jakiś cywil z obrony przeciwlotniczej powiedział cicho i obojętnie: – Komuniści?

Niemieccy komuniści? Ci są wszyscy w kacecie albo w więzieniu.

– Bo tam też jest ich miejsce! – uciął Wolzow ostro.

Dopiero krótko przed północą służba obserwacyjno-meldunkowa zasygnalizowała odlot tego zespołu szybkich maszyn bojowych przez Zatokę Helgolandzką. Wolzow i Holt przykryli armatę pokrowcem. Vetter powiedział: – Dziwni ludzie ci cywile z obrony przeciwlotniczej.

– Plebs – mruknął Wolzow.

W izbie Vetter zaczął manipulować przy radiu, które ciągle jeszcze nadawało marsze. Nagle aż krzyknął z podniecenia: – Führer przemawia! – W tym samym momencie otworzyły się drzwi.

Na progu stał Kutschera, wielki i groźny. Vetter wrzasnął: – Baczość! – Kutschera odmachnął mu tylko ręką. – Wszyscy do kantyny! Na audycję!

Holt ściągnął tylko ciężkie, podkute gwoździami buty i wdrapał się na łóżko w ubraniu.

Przemęczenie i zdenerwowanie tak go zmogły, że przeżywał wszystko na dystans, jak widz w kinie, nie zaangażowany osobiście, jakby z daleka, bez głębszego zainteresowania. To wszystko mnie nie dotyczy, rozmyślał. Nagle się obudzę, a Ziesche siedzi na swoim łóżku i plecie: Człowiek nordycki jest powołany do stworzenia Nowego Porządku w Europie albo coś w tym rodzaju... Holt wyskoczył z łóżka. Czy to rzeczywiście stało się dopiero wczoraj? Jeden dzień jest jak tysiąc lat, ale dlaczego Kutschera nie przysłał po prostu podoficera dyżurnego?

– Vetter! – krzyknął Kutschera, i jego głos zahuczał jak gong. – Co powiecie na ten zamach na naszego Führera Adolfa Hitlera?

– Ja? – zaczął jąkać się Vetter. – Co ja... Chce pan wiedzieć, co ja...?

– Wy pewnie śpicie, co?! – ryknął Kutschera. Gomulka, zupełnie nie pytany, powiedział: –

Panie kapitanie, przez ostatnie cztery dni nie spaliśmy nawet pięciu godzin! – Kutschera zwrócił swoją końską twarz do Gomulki, ale w tym samym momencie Gottesknecht zawołał z korytarza:

– Panie kapitanie, za chwilę zacznie się transmisja przemówienia Führera!

W kantynie cisnęli się przemęczeni junacy, żołnierze i cywile z obrony przeciwlotniczej.

Gottesknecht nastawiał wielki aparat radiowy, który zwykle stał w baraku dowódcy.

Holt zajął miejsce całkiem z tyłu, w kącie, żeby nie rzucać się tak bardzo w oczy. Usadawił

się na twardym krześle tak wygodnie, jak tylko się dało. Wolzow siedział obok niego, Holt był

na wpół przytomny, brzęcząca muzyka z radia działała usypiająco. W tym stanie ciągłej oscylacji pomiędzy jawą a snem fantazja była jakoś szczególnie aktywna. Wreszcie marsze umilkły. Spiker

gadał i gadał. Radio Wielkoniemieckie i wszystkie rozgłośnie... Rozgłośnie i bez przerwy te rozgłośnie, a potem cisza, przez długą chwilę. Holt pomyślał: Zaraz się zacznie!...

Przechylił głowę na bok, w ten sposób widział profil Wolzowa. Jego świadomość balansowała na granicy snu. Wolzow jest najlepszym żołnierzem w działaniu, niemieccy towarzysze i towarzyszki, i takiego ładowniczego każda bateria musiałaby daleko szukać! Nie wiem, po raz który już próbowano na mnie dokonać i dokonano zamachu, po raz który? no, ale to już Führer powinien przynajmniej wiedzieć, dziwne, coś takiego przecież się pamięta, to znaczy ja bym na pewno to dokładnie pamiętał, ostatecznie zamach z bombą zegarową nie zdarza się co dzień...

Holt otworzył oczy. Führer przemawia! pomyślał. Były to magiczne słowa, od dzieciństwa: Führer przemawia! A dziś przemawia nawet z dwóch powodów: po pierwsze, żebyście usłyszeli mój głos i przekonali się, że jestem cały i zdrowy, po drugie, żebyście się też dowiedzieli czegoś bliższego o tej zbrodni, która w historii Niemiec... uwaga, nie zasypiać!... Malutka klika zbrodniarzy, zawistnych, pozbawionych sumienia i głupich oficerów... Holt obudził się... uknuła spisek, żeby mnie usunąć... Holt usiłował otrząsnąć się ze snu, i nawet mu się to udało, tylko oczy go dalej piekły, ale świadomość na parę sekund wróciła. Miał uczucie, jakby mu ktoś wylał

wiadro lodowato zimnej wody na głowę. Oficerów? Spisek niemieckich oficerów przeciwko największemu wodzowi wszystkich czasów?

„Bomba, którą podłożył pułkownik hrabia Stauffenberg, wybuchła o dwa metry ode mnie...” Stauffenberg? Holt, choć bardzo się starał, nie był w stanie śledzić przemówienia słowo za słowem. Tylko poszczególne urywki zdań docierały do jego świadomości. Pułkownik hrabia Stauffenberg? Pułkownik podkłada bombę? Co to ma znaczyć, jak to należy rozumieć, do czego to zmierzało?

„...poza drobnymi skaleczeniami i poparzeniem.

Dla mnie jest to potwierdzeniem misji wyznaczonej mi przez Opatrzność, cel mojego życia...”

Opatrzność, pomyślał Holt i zasnął. Zmęczenie i wyczerpanie było tak silne, że przemogło nawet podniecenie. Nad jego świadomością zapadła zasłona, bezładne myśli ścigały się jak we śnie. Opatrzność, przeznaczenie... Że Ziesche dziś rano zginął, to też była opatrzność, bo gdyby nie to, wszystko skończyłoby się dla mnie paskudnie, dla mnie i dla Gertie... Jednak dobrze, że istnieje coś takiego jak opatrzność... Wiara w opatrzność, wiara w Boga... Ja wierzę w sens historii, to chyba już kiedyś słyszałem, musiał to powiedzieć doktor Goebbels, w jakimś przemówieniu... Ja wierzę... ale mój ojciec, mój ojciec?... ten zawsze się krzywił, jak ktoś mówił

o wierze, o opatrzności... Nic w tym dziwnego: intelektualista nie wierzy, bo wierzyć nie potrafi, to też już czytałem, u Hansa Johsta, a mój ojciec jest w ogóle typowym defetystą, takim prawdziwym malkontentem! Kiedyś w szkole musiałem się nauczyć na pamięć dwóch stron z Hansa Johsta: W sferze wiary nie ma żadnej problematyki, jest tylko łaska, tak, żadnej problematyki, tylko łaska, wtedy tego nie rozumiałem, a dziś rozumiem: trzeba wierzyć w Führera, w opatrzność, w ostateczne zwycięstwo, w Me-163, w V-1, w żywe torpedy, nawet jeżeli Rosjanie pod Wilnem prą dalej na zachód, no, a z tą inwazją, właśnie dlatego: w piersi wzbiera przecucie rozstrzygającej godziny...

– Nie śpij! – Holt dostał sójkę w bok od Wolzowa. Prawda! Führer przemawia! Holt zamrugał oczyma i rozejrzał się naokoło: wszyscy wpatrywali się jak zakłęci w radio. Ochryply głos w głośniku krzychał: „...jak w roku 1918 wbić nóż w plecy...” Racja, nóż w plecy! pomyślał Holt sennie. To była wtedy straszna podłość! Jeżeli tak się nad tym zastanowię, to był to tylko tuzin alfonsów i dezertów, a jednak wytrącili frontowi broń z ręki... ale w wypisach powiedziane było: A jednak wyście zwyciężyli... gdy krew cię zboczy –

stanę za dwóch, śmierć zajrzy w oczy – jam też twój druh...* [*Przekład Włodzimierza Lewika.]

„...malutka klika zbrodniczych elementów, które zostaną teraz bezlitośnie wytępione...” Wytępione – to jeszcze Holt słyszał, a potem zdrzemnął się. Ale Wolzow kuksnął go znowu brutalnie w bok: – Człowieku, słuchaj! – Holt jeszcze raz usiłował się skupić i śledzić głos płynący z radia, „...dlatego rozkazuję w tej chwili: Po pierwsze, żeby instytucje cywilne nie przyjmowały żadnych rozkazów od urzędów, które ci uzurpatorzy sobie podporządkowali. Po drugie, żeby żadne ogniwo wojskowe, żaden dowódca oddziału, żaden żołnierz nie wykonywał

rozkazów tych uzurpatorów...”

Co to właściwie znaczy uzurpatorzy? zastanawiał się Holt, to musi przecież pochodzić z łaciny, ach prawda, usu rapere, Peter Wiese z tego odpowiadał, Peter Wiese, ten ma dobrze, jest w domu i może sobie spać! „...albo natychmiast aresztować, albo likwidować w momencie stawiania oporu...” Likwidować, tępić, pomyślał Holt, i zaczął drzeć na całym ciele, ale to go znowu obudziło, „...przyjąć z zadowoleniem”, usłyszał, nic z tego nie rozumiejąc, bo zgubił

wątek, „że było mi dane uniknąć tego losu, który nie dla mnie krył w sobie coś strasznego, ale który poraził strachem naród niemiecki. Ja widzę w tym palec Opatrzności, że mam swoje dzieło prowadzić dalej, i dlatego też dalej je prowadzić będę...” Cisza. A potem już inny głos: „Radio Wielkoniemieckie...” Koniec!

Dokoła podniosła się gwałtowna, choć przytłumiona wrzawa, jeden gadał przez drugiego.

Holt – dzwonił zębami. – Bateria... – krzyknął Gottesknecht przeciągle, i wrzawa ucichła –

...baczość! – Hałaśliwe szuranie nogami, i już junacy i cywile z obrony przeciwlotniczej stali bez ruchu. Niską izbę kantyny nappełnił głos Kutschery, bardziej ostry i bardziej grzmiący niż kiedykolwiek. – Od tej chwili będziecie wykonywać rozkazy tylko bezpośrednich przełożonych.

– Pauza. A potem: – Sto siódma bateria ciężkiej artylerii przeciwlotniczej obrony kraju pozostaje bezwzględnie wierna Führerowi! Jeżeli ktoś z baterii... – Pauza. A potem: – ...albo ktoś spośród cywilów z obrony przeciwlotniczej sądzi, że można by teraz pozwolić sobie trochę poszemrać czy uprawiać robotę rozkładową... – Pauza. A potem: – ...tego własnoręcznie zastrzelę, z miejsca! Nie będę się wcale patyczkował!

Trzaśnięcie drzwiami. Gottesknecht pozwolił im rozejść się do izb. Holt spojrzął na zegarek.

Była godzina zero minut trzydzieści. Junacy i cywile z obrony przeciwlotniczej rozproszyli się po

terenie baterii i przedzierali się w ciemnościach przez kratery do połowy zasypanych lejów po bombach. Na SD2 stał bez ruchu na warcie jakiś bombardier, z karabinem przewieszonym przez ramię.

Przeszły dwa, trzy dni. Noc w noc huczało niebo od ryku samolotów, noc w noc spadały bomby oświetlające i płonęły łuny pożarów.

Holt spał jak zabity. Gdy go ktoś zaczął potrząsać za ramię, leżał właśnie twarzą do ściany, i długo trwało, zanim się obudził. Przewrócił się na drugi bok, ujrzał żółty sznur, hełm... Przy jego łóżku stał podoficer dyżurny. Holt uniósł się na posłaniu. Bombardier powiedział

półgłosem: – Obudźcie się wreszcie! Natychmiast do dowódcy!

Do dowódcy? Holt popatrzył na bombardiera nie rozumiejącymi oczyma. Po co ja mam być o czwartej rano u dowódcy, czego Kutschera ode mnie chce? – Co ja mam...

– Nie gadać, tylko wstawać! Prędko!

Holt sznurował buty i zastanawiał się. Znowu owładnął nim strach, który przechodził wprost w panikę: Rosjanie! To może być tylko z powodu tych Rosjan! Po co ja zrobiłem wtedy to przekłete głupstwo! Co mnie obchodzili jeńcy!

– Hełm na głowę – powiedział podoficer dyżurny.

Kto mógł mnie zasypać? Teraz, po trzech tygodniach? Odruchowo sprawdził, czy ma wszystkie guziki zapięte. Albo jeżeli nie to... to co on może ode mnie chcieć, teraz po nocy?

Nagle przyszedł mu na myśl pamiętnik Zieschego. Tak, to ten pamiętnik Zieschego! Ale przecież Gottesknecht zatrzymał to przy sobie, i Gottesknecht... Nie!

Było już prawie jasno. Na drodze stał duży samochód osobowy. Przed barakiem dowódcy czekał Gottesknecht. Mijając go Holt spojrzał na niego błagalnie. Czy on przypadkiem nie kiwnął uspokajająco głową?

W zaciemnionej kwaterze dowódcy paliło się słabe światło. Podoficer dyżurny zameldował, że rozkaz wykonany. Potem Holt pozostał sam, sam jak palec. Stał plecami do drzwi. Wreszcie wziął się w garść. Trzasnęły obcasy, prawa ręka frunęła w górę w hitlerowskim pozdrowieniu: –

Starszy junak obrony przeciwlotniczej Holt melduje się na rozkaz! – Sekundy wlokły się niemiłosiernie, wreszcie, odezwał się głos Kutschery: – Możecie spocząć.

Dopiero teraz Holt zauważył rozmaite szczegóły w tym słabo oświetlonym pomieszczeniu.

Powietrze było gęste od dymu tytoniowego. Nie tknięte łóżko polowe, dwa fotele przy stoliku z papierosami, biurko, telefon, wielki aparat radiowy... Za biurkiem tkwił jakiś cywil. W jednym fotelu siedział Kutschera w rozpiętym mundurze, obok niego jakiś obcy oficer, nie, SS-führer, i Holt szybko rozszyfrował naramienniki: stopień porucznika, a więc to musi być SS-obersturmführer...

obersturmführer... żeby się tylko nie mylił! Na szczęście przypomniał

sobie jeszcze, że w stosunku do SS zwrot „pan” odpada.

– Podejdźcie bliżej, Holt – powiedział kapitan. Nawet kiedy mówił cicho, głos jego był porażający. Holt usłuchał. Nieznany SS-führer powiedział: – Wy jesteście Werner Holt?

– Tak jest, obersturmführer!

Pytania i odpowiedzi padały błyskawicznie. Kutschera przysłuchiwał się temu obojętnie i palił papierosa.

– Ochotnik?

– Tak jest, obersturmführer. Wojska pancerne.

– Kim jest wasz ojciec?

– Medykiem, obersturmführer. Obecnie kontrolerem środków żywnościowych.

– Wasz ojciec w 1938 został usunięty... Jaki jest wasz stosunek do tego?

Holt zwlekał z odpowiedzią, ale wreszcie powiedział: – Od lat nie mam z nim prawie żadnego kontaktu. Jest mi zupełnie obcy.

– To dlaczego w takim razie pojechaliście na Boże Narodzenie do niego na urlop?

– On... mnie zaprosił, obersturmführer. – To było kłamstwo. – Czułem się zobowiązany.

– Byliście u ojca tylko jeden dzień i nie zameldowaliście się tam, jak wymagają przepisy wojskowe, w rejonowej komendzie uzupełnień. Gdzie byliście przez następne trzy dni?

Na miłość boską, skąd on to wszystko wie?

– Jazda, odpowiadać!

– Byłem w pewnej wsi w powiecie Wesel... to się nazywało Dingden. Mieszkałem tam w gospodzie. W gospodzie *U Źródła*.

– Czy byliście tam meldowani?

– Byłem wciągnięty do księgi gości i wypisany z niej, obersturmführer.

Ruch ręki na lewo, i cywil za biurkiem skinął głową i zanotował. Będą to sprawdzać, pomyślał Holt, psiakrew, w księdze gości figuruje przecież także Gertie! Ale czego on ode mnie właściwie chce, bo przecież to wszystko to są tylko pytania marginesowe.

– Czy znacie niejakiego pułkownika Barnima?

– Tak jest, obersturmführer, to znaczy nie...

– No więc jak: tak czy nie?

To było to zasadnicze pytanie, Holt czuł to całkiem wyraźnie. Pod hełmem wystąpił mu już pot i leciał mu teraz po twarzy. – Nie znam go osobiście, obersturmführer, nigdy go nie widziałem, ani też z nim nie rozmawiałem.

– Kogo znacie z jego rodziny?

– Obie jego córki, obersturmführer. Starszą córkę znam osobiście, młodszą tylko z widzenia.

– Starszej córce na imię Uta?

– Tak jest, obersturmführer.

– Kiedy byliście z nią po raz ostatni razem?

– We wrześniu, na początku września zeszłego roku, obersturmführer.

– Gdzie przechowujecie listy, które wam od tego czasu pisuje?

Holt przełknął ślinę. – W szafce, obersturmführer.

Uprzejmy gest ręki pod adresem Kutschery. – Gottesknecht! – wrzasnął Kutschera. Za plecami Holta otworzyły się drzwi. – Na rozkaz, panie kapitanie! – Obersturmführer zwrócił się do Holta: – Określcie dokładnie, gdzie te listy leżą!

Holt spojrział na Gottesknechta. – Moja szafka jest otwarta... Na górze po lewej stronie...

w teczce... listy są związane w jedną paczkę...

– Przynieście całą teczkę! – powiedział obersturmführer. Trzasnęły drzwi. Zanim Holt zdołał zebrać myśli, już go zarzucono nowymi pytaniami.

– Znacie niejakiego podporucznika Kiefera? Holt zaczął się zastanawiać. Kiefer, Kiefer, zaraz, zaraz...

– Odpowiadajcie!

– Spotkałem kiedyś na przyjęciu jakiegoś podporucznika, który był z Utą Barnim zaręczony.

Nie mogę sobie już teraz przypomnieć, czy nazywał się Kiefer. Być może. W każdym razie był z wojsk pancernych.

– Kiedy to było?

– Zeszłego roku w lipcu, obersturmführer.

– Co to było za przyjęcie?

– Siostra jednego mojego szkolnego kolegi wyprawiała urodziny. Znalazłem się tam przypadkowo.

– Jak się nazywa ten wasz szkolny kolega?

– Wiese, obersturmführer.

Spojrzenie na Kutscherę. Kutschera poruszył przecząco głową. Ruch ręki na lewo, cywil zanotował.

– Znaliście już wtedy tę Barnim?

– Nie, obersturmführer. Tego popołudnia dopiero ją poznałem.

Tego popołudnia... niezapomniany moment! Holt czuł się tak zgnębiony, jak jeszcze nigdy, zbierało mu się prawie na płacz.

Skrzypnęły drzwi, Gottesknecht powiedział: – Rozkaz wykonany! – i położył teczkę Holta z papierem listowym na stoliku. Obersturmführer wyjął z niej listy i zaczął je przeglądać, była ich spora paczka.

– Czy to są już wszystkie listy, jakieście od niej dostali?

– Tak jest, sturm... przepraszam, obersturmführer, – Żadnego nie brak?

– Nie, ober... sturm... Führer.

– Co wam się stało?

– Nic, obersturmführer.

– Konfiskujemy te listy. – Teraz zaczęto przeglądać jego teczkę, ale zawierała ona tylko czysty papier listowy. Ruch ręki na lewo, cywil wstał i bez pożegnania wyszedł z baraku.

Obersturmführer skierował badawcze spojrzenie na Holta, surowe, przenikliwe spojrzenie jasnoszarych oczu. Holt wytrzymał to spojrzenie. Ale czuł, że robi mu się słabo i że kolana zaczynają mu drżeć. Głos obersturmführera zabrzmiał teraz bardzo ciepło:

– Nie wiecie przypadkiem, gdzie ta Barnim teraz jest? Może moglibyście dać nam jakąś wskazówkę, gdzie ewentualnie może przebywać?

– Naprawdę nie mam pojęcia, obersturmführer – powiedział Holt drżącym głosem.

– Gdyby ta Barnim w przyszłości się do was odezwała, obojętnie czy listownie, czy telefonicznie, czy też w jakiś inny sposób, lub gdybyście coś o niej słyszeli czy też dowiedzieli się, gdzie obecnie

przebywa, macie natychmiast o tym zameldować gestapo, policji lub żandarmerii polowej, a w nagłym wypadku swojemu przełożonemu, z zaznaczeniem, że Barnim jest ścigana. Czyście mnie zrozumieli?

– Tak jest, obersturmführer.

– Stańcie na baczność!

Holt trzasnął obcasami.

– Niniejszym podaję wam do wiadomości, że narazicie się na surową karę, jeżeli w takim wypadku nie złożycie meldunku.

– Tak jest, obersturmführer. Obersturmführer zwrócił się z kolei do Kutschery: –

Skończyłem, kapitanie Kutschera. – Kutschera huknął: – Znikaj, człowieku, i bądźcie łaskawi trzymać język za zębami.

Holt nie ruszał się z miejsca. Zrozpaczony, przyciskał ręce do szwów spodni. – Panie kapitanie... Proszę mi pozwolić zwrócić się zapytaniem do obersturmführera...

– Nie musicie mnie przecież pytać – mruknął Kutschera. Obersturmführer popatrzył na Holta zdziwiony.

-. Czego chcecie?

– Czy wolno mi zapytać – powiedział Holt z wielkim trudem, bo chciał, mieć pewność, bo musiał usłyszeć „nie” – czy... czy Uta Barnim!.. Czy pułkownik Barnim...

– Pułkownik Barnim – powiedział obersturmführer groźnie i szybko – został rozstrzelany.

Został rozstrzelany. Rozstrzelany.

– A wy jako Niemiec powinniście się całe życie wstydzić, żeście w ogóle mieli z tymi szumowinami coś wspólnego!

Kutschera: – A teraz precz, ale prędko!

Ręka w górę. W tył zwrot. Otworzyć drzwi. Zamknąć drzwi. Słońce świeci. Wyłania się z mgiełki. Wszystko toczy się dalej. O ósmej będzie pobudka. Mnie też obudzą, a to wszystko było tylko złym snem. Zemtzi żyje, nie ma żadnych short stirlingów, żadnej armaty i żadnej służby. Wszystko jest znowu tak, jak w odległych czasach dzieciństwa, gdy ojciec przemawiał

do niego uspokajająco. Nie, złe czarownice są tylko w bajkach... A to, co się działo w tym czasie, pomiędzy odległym wczoraj a dziś, było tylko snem. Wszystko jest tylko snem. Musisz tylko wierzyć: jeżeli sen jest nawet przytłaczający jak zmora, kiedyś przecież zabrzmi pobudka, a wtedy wszystko, co cię przytłaczało, zapadnie się w ciemność, a ty będziesz się tylko śmiał

i otrząśniesz się z tego.

Holt poszedł do działła Berta. Gdy około siódmej ogłoszono pogotowie bojowe, był już znowu w formie. Wolzow wziął go na bok. – Musiałem udzielić paru informacji – powiedział

Holt. – To jest naprawdę nieinteresujące i nie ma z nami nic wspólnego.

– No pięknie, jak nie, to nie – zgodził się Wolzow.

Jak zwykle, jakiś ranny ptaszek leciał na rozpoznanie w kierunku południowych Niemiec.

Potem pojawiły się zespoły bombowców i zrzuciły bomby na obszar Bremy. Około jedenastej zasygnalizowano: „Silne zespoły myśliwców nad rejonem Kolonia – Essen”. Podgrupa ostrzegała przed atakami samolotów nurkujących. Holt beznamiętnie przekazywał wszystkie wiadomości dalej, Wolzow i Gomulka uspokajali Ślązaków, u których każde ostrzeżenie przed samolotami nurkującymi wywoływało panikę. Dorsten, Haltern i Lunen meldowały o nalotach samolotów nurkujących na najrozmaitsze cele, również na baterie artylerii przeciwlotniczej..

Vetter zamienił się z jednym ze Ślązaków miejscem i usadowił się przy mechanizmie kierunkowym. Wolzow odwinął z głowy śnieżnobiały opatrunek i wcisnął na zranione czoło hełm. Recklinghausen i Dinslaken zasygnalizowały ataki samolotów nurkujących, a potem także Moers, Krefeld i Düsseldorf. – Zaraz tu będą! – powiedział Holt. „Kryjcie się!” rozkazał im Gottesknecht. Wolzow powiedział: – Będę grzał ogniem z bliska, choćbym miał tu skonać!

Już byli nad nimi. Spadli z nieba jak jastrzębie i mknęli wzdłuż horyzontu, bardzo nisko.

Nagle daleko przed nimi strzeliła w niebo ogromna fontanna ognia. – Nafta! – krzyknął Wolzow.

– Rafineria w Gelsenkirchen! – Gdzieś strzelała bateria ciężkiej artylerii, ale wnet umilkła.

Daleko były dwudziestomilimetrowe działła przeciwlotnicze. Kolumna jednosilnikowych maszyn nadleciała od północy i spadła na baterię. Leciały na pełnych obrotach, i tak nisko, że w odlocie musiały poderwać się w górę, żeby niezawadzić o lasek. Zawróciły i znowu leciały na nich, trzy mustangi. Najpierw zrzuciły bomby, potem zaczęły ostrzeliwać z rakiet i broni „pokładowej SD2

i stanowiska dział. Śmigają nad baterią jak wściekłe, bez opamiętania.

Dwa działła strzelały ogniem bezpośrednim. Cezar umilkł po dwu czy trzech strzałach. Berta strzelała bezsensownie dalej. Myśliwce bombowe bez ustanku przelatywały nad stanowiskiem działła. Jeden, ze Ślązaków upadł na lawetę. Wolzow usunął go na bok. Ładował i strzelał. Potem spadł z siodełka mechanizmu kierunkowego Vetter i Berta również umilkła. Myśliwce pomknęły ostrym skosem w górę i znikły.

Holt i Gomulka zajęli się Vetterem, Odłamek trafił w hełm, ale go nie przebił. Vetter dość prędko odzyskał przytomność. – Ty nas jeszcze wszystkich przeżyjesz, bracie! – powiedział

Wolzow. Odwrócił Ślązaka na plecy i zarzucił na niego plandekę. Gomulka zdjął hełm i westchnął: –

Najwyższy czas, psiakrew, żebyśmy dostali urlop! – Holt zawołał: – Silne formacje spośród lecących na Bremę zespołów maszyn bojowych skręciły na południo-wschód.

Należy się liczyć ze zrzutami bomb na obszarze Westfalii. – Gomulka wsadził hełm z powrotem na głowę. Wolzow zapędził przerażonych Ślązaków do działa. Na północy odezwał się ogień ciężkiej artylerii. Vetter siedział w kącie i trzymał się za głowę. – Musisz nam pomagać! –

krzyknął Wolzow. – Jest nas tylko trzech amunicyjnych. – Bombowce przeszły stroną północno-wschodnią i zaczęły zrzucać bomby na Duisburg. Bateria otworzyła ogień. Koło godziny piętnastej odwołano pogotowie bojowe, ale w godzinę później znowu nadleciały samoloty rozpoznawcze, a za nimi strumień bombowców, zespoły myśliwców i znowu bombowce. Chłopcy siedzieli przy dziale przez trzydzieści sześć godzin. Potem mieli parę godzin spokoju.

– I tak będzie dalej – powiedział Gomulka do Holta. – Już lepiej nie będzie, to nie będzie miało końca. – Holt nic nie odpowiedział.

Mieszkali we czwórce w małej izbie, dopóki Gottesknecht nie wywrócił wszystkiego do góry nogami. Barak Berta został opróżniony dla uzupełnienia, które miało nadejść lada dzień. –

Możecie sobie dobrać do izby kogo chcecie – powiedział Gottesknecht. – Widzicie, jaki ja znowu dla was jestem? – Zdecydowali się na Kirscha i Branznera. Obaj należeli początkowo do trzonu obsługi Antona, potem zostali przeniesieni do Dory i od chwili gdy dwa działa wysiadły, pełnili nocną służbę przy Bercie. – Obaj są zupełnie do rzeczy – stwierdził Wolzow. Gomulka zaś powiedział do Holta: – Ale Branzner przesiaduje ostatnimi czasy stale z Kiebackiem i z tymi... – Od ostatniego ataku samolotów nurkujących – powiedział Holt – cała bateria jest taka... fanatyczna. Ten nalot wywołał prawdziwe rozgoryczenie.

– Chciałbym wiedzieć dlaczego? – powiedział Wolzow. – Jesteśmy przecież celem wojskowym. Toteż całkiem naturalne, że nas atakują.

– Od czasu tego zamachu wszyscy stracili orientację – zauważył Gomulka.

Wczoraj wieczorem Kutschera dał zdrową wciurę żołnierzom, jako że wyrzucanie ręki w górę przy niemieckim pozdrowieniu ciągle jeszcze źle wychodzi! – opowiadał Wolzow.

Branzner okazał się „nader wątpliwej wartości nabytkiem”, jak na drugi dzień po przeprowadzce wyraził się Gomulka do Holta. Pod wpływem wydarzeń, w wyniku reakcji na krwawe walki, Branzner bardzo się zmienił. Jedyнным gwarantem ostatecznego zwycięstwa, jak zaraz pierwszego wieczora mimochodem oświadczył, było dla niego przeciwstawienie wszelkim wysiłkom nieprzyjaciela niewzruszonej i fanatycznej wiary w posłannictwo Führera i w wiecznotrwałość Rzeszy. Naturalnie z miejsca doszło do sprzeczki.

Wolzow przysłuchiwał się wywodom Branznera z przekrzywioną na bok głową. Holt pomyślał sobie: A więc mamy znowu Zieschego! Ale Branzner przewyższał jeszcze Zieschego, bo był bardziej gadatliwy i wygadany, chociaż z uwagi na swoje czarne włosy rzadziej mówił

o rasie i myśl narodoworasowa tylko od czasu do czasu przewijała się w jego argumentach.

– Posłuchaj – powiedział Wolzow na programowe expose Branznera. – Niewzruszoność, fanatyzm... – Wolzow urwał i zamyślił się. – Jeżeli ktoś jest ciut spóźniony w rozwoju, rozumiesz, ograniczony na umyśle, czyli ciemniak, a taka jest większość, to wówczas taka fanatyczna wiara może być mm całkiem pożytecznym sposobem na podtrzymywanie w nim wierności dla sprawy. Bez takiej wiary większość ludzi wiecznie by się załamywała, bo przecież większości brak jest cnót żołnierskich i jakiegoś szerszego poglądu. Ale *my*? Przyjmijmy, że wojna będzie przegrana, tak jednoznacznie przegrana, że nawet ślepiec to dostrzeże: ja pomimo to będę walczył dalej, bez fanatycznej wiary, całkiem zwyczajnie dlatego, że taki jest obowiązek żołnierza. Nic innego nie wchodzi tu w grę. Słuchaj, Branzner! Jak sądzisz, dlaczego ostatnio my jako jedyna armata strzelaliśmy ogniem z bliska, podczas gdy wy z całą tą waszą wiarą leżeliście plackiem na ziemi? Może dlatego, że ja fanatycznie wierzę, że to się na coś zda? Bzdura! Ogień na bliskie odległości na nic się nie zda. Ale tak robić należy! – Wolzow zapalał się coraz bardziej. – Żołnierz musi walczyć, bez gadania, czy to ma sens,

czy nie! Żołnierz jest po to, żeby walczył, do niczego innego! Twoja wiara, mój drogi, jest rzeczą diabelnie niepewną, każdej chwili może pójść w diabły” a wówczas staniesz jak głupi i nie będziesz wiedział, co począć.

U mnie nic nie może pójść w diabły. Dla mnie istnieje tylko jedno: żołnierz musi walczyć.

A więc walczę.

To, co mówił Wolzow, trafiło Holtowi bardziej do przekonania niż domaganie się ślepej, fanatycznej wiary. Teraz wiedział już też, skąd się brał u Wolzowa ten spokój. I pomyślał: Niełatwo jest myśleć tak jak Wolzow i nie zwariować. Na to trzeba widocznie od 1750 roku mieć zawodowych oficerów w rodzinie.

– Walczyć jako cel sam w sobie – powiedział Gomulka – i kurczowo się tego trzymamy.

Walka jest dla ciebie, Gilbert, celem samym w sobie, i można się z tym zgodzić. Przy takim stanowisku niepotrzebna jest ci wiara w ostateczne zwycięstwo czy też w Führera. Ale tu się właśnie nasuwa jedno zastrzeżenie. W twoim rozumowaniu jest sprzeczność. – Gomulka tak natężył myśl, że aż zmarszczył czoło z wysiłku, – Zbyt często wyjaśniałeś nam błędy, jakie popełnili w przeszłości wielcy wodzowie, Terentius Varro. Daun i Karol Lotaryński pod Lutynią, żebyś mógł teraz twierdzić, że *ostatecznym* celem walki, nie jest zwycięstwo: Czy więc twój pogląd nie weźmie w łeb z chwilą, gdy walka okaże się beznadziejna?

– Ale gdzie tam, wcale nie! Naturalnie walka powinna prowadzić do zwycięstwa, zwycięstwo jest solą na chlebie wojny. Jak długo istnieje możliwość osiągnięcia zwycięstwa, tak długo walczy się o zwycięstwo. Ale można walczyć też o remis. A gdy sytuacja jest beznadziejna, walczy się, bo tak trzeba.

Holt zamyślił się. Pod wpływem słów Wolzowa przypomniała mu się pewna książka, *Lasek 125* Ernsta Jüngera. Jedno miejsce w tej książce wywarło na nim wówczas duże wrażenie, i teraz to wrażenie na nowo w nim odżyło.

– Sądzę – powiedział – że Gilbert ma... prawdziwie żołnierską postawę. – I zacytował to, co pamięć jego wydobyła z zapomnienia: – „Ale najszczytniejszy nakaz spełnia ten, kto pośród głuchoj nocy – ginie na straconej pozycji. O was pamięć będzie żyła wszędzie, gdzie kochają gorycz zagłady i ów podniosły sens, którego żaden płomień zniszczyć nie jest w stanie”.

Gomulka, z wyciągniętą naprzód głową, chciwie wsłuchiwał się w ten cytat. Po długim milczeniu powtórzył: – Gorycz zagłady... – Branzner siedział osowiały na sienniku, jemu prawdopodobnie to wszystko nie było w smak. Holt podszedł do okna. Gorycz zagłady, powtórzył sobie jeszcze raz w myślach.

Gottesknecht otworzył gwałtownie drzwi. – Moi panowie, nie zechcielibyście tak trochę wypocząć, zanim zacznie się znowu ten cały cyrk? – Spojrzenie jego padło na Holta. – Co się z wami znowu dzieje? Chodźcie ze mną! Muszę z wami porozmawiać. – Zmierzchało się. Od czasu tego nocnego przesłuchania Gottesknecht poza służbą nie zamienił jeszcze z Holtem ani słowa. W tej chwili

wyglądał bardziej zmęczony i bardziej zatroskany niż kiedykolwiek. – Wasz urlop jest już zatwierdzony – powiedział. – Ale zanim was puszczę, muszę wam jeszcze przemówić do sumienia... z powodu tej... Barnim.

Holt powiedział: – Ja o niczym nie wiem. Nie mogę sobie tego w ogóle wyobrazić. Czy to ma coś wspólnego z tym zamachem?

– Skoro tylko nadejdzie uzupełnienie, możecie jechać. Pojedziecie do Wolzowa, prawda?

A teraz słuchajcie! Trzymajcie się tam z dala od tych Barnimów. Nie dowiadujcie się o nikogo.

Nie rozmawiajcie z nikim. Trzymajcie język za zębami. Zrozumieliście mnie?

– Tak jest, panie ogniomistrzu.

– A teraz uczciwie: Bardzo was ta sprawa obeszła?

– Ja... nie myślę wcale o tym – powiedział Holt. Gottesknecht uśmiechnął się. Był to gorzki uśmiech. – Nie myślcie... – powtórzył. I mruknął pod nosem: – Nikt nie myśli... nikt!... No dosyć, kładźcie się do łóżka!

– Tak jest, panie ogniomistrzu.

W izbie znowu się sprzeczano. Wolzow siedział przy stole, palił papierosa i gdy Holt wszedł do pokoju, właśnie pytał: – No i...?

– Jakiś bolszewicki pisarz – wykrzykiwał Branzner wzburzony – oświadczył... Zdaje się, że się nazywa Erenburg czy jakoś tak podobnie... A więc oświadczył, że istnieje tylko jeden cel, i cel ten nazywa się Berlin! – Branzner leżał na łóżku, ale teraz podniósł się i oparł na łokciach.

– Nie masz się właściwie co dziwić – powiedział Wolzow. – Czy myślisz, że Rosjanie też nie chcą wygrać wojny? Zdobycie nieprzyjacielskiej stolicy jest dla Rosjan celem strategicznym, którego osiągnięcie równa się zwycięstwu. Możesz to znaleźć już u Clausewitza w *Ogólnych zasadach strategii*.

– Ty mi coś za dużo wykazujesz zrozumienia dla Rosjan – powiedział Branzner rozeźlony.

Wolzow tylko się roześmiał. Ale nagle zdenerwował się Gomulka.

– To przecież może człowieka doprowadzić do rozpacz! Ledwieśmy się uwolnili od Zieschego, a już drugi taki leży na tym samym łóżku i czepia się nas zupełnie jak tamten! Czy tych mądrali nigdy diabli nie wezmą?

– Nie! – krzyknął Branzner, i w jego oczach błysnęły złe ogniki, gdy zwrócił się do Gomulki. – Nie! Nigdy ich diabli nie wezmą! Ci, których ty mieszasz z błotem, to są najlepsi Niemcy, prawdziwi narodowi socjaliści, tak jest. Wszyscy myślą tak jak ja, tylko wy jesteście haniebnym wyjątkiem, cała

bateria myśli tak jak ja, cały naród niemiecki tak myśli i wierzy w Führera, bo on jest najwspanialszym Niemcem i największym wodzem, i... i...

– I, i! – powtórzył szyderczo Holt. – Po Führerze idziesz zaraz ty, co? drugi z kolei najwspanialszy Niemiec, drugi największy wódz, drugi największy dureń...

– Spokój! – ryknął Wolzow. – Czyście poszaleli?

Ale Branzner już siedział na łóżku, blady jak wosk, i szukając butów powiedział: – Tak...

Tak! Wszyscyście to słyszeli. Jesteście świadkami! On nazwał Führera durniem! Złożę na niego meldunek!

– Nie pleć głupstw, bracie, to przecież ciebie nazwał durniem! – zawołał Gomulka.

– Drugim największym – powiedział Branzner. – Bądź szczęśliwy, że istnieje jeszcze jakiś większy niż ty! – odparł Gomulka. Ale Branzner, wdziewając buty, potrząsnął głową: – Nie, wcale nie, nie! Żadnych wykrętów! Nie! Stwierdzam wyraźnie, że tu nie może być mowy o żadnej innej interpretacji: Führer jest największym durniem!

W tym samym momencie otworzyły się gwałtownie drzwi. Gottesknecht wszedł do izby. –

Branzner! – powiedział ostro. – Co ja słyszę? Co wy wygadujecie?

Milczenie.

– Przymykam na ogół oczy – ciągnął Gottesknecht dalej – kiedy ktoś pozwoli sobie czasem na jakąś dosadną uwagę pod adresem dowództwa. Ale to, co wyście przed chwilą powiedzieli, to tego już za wiele!

Branzner stał na pół ubrany, z jednym butem w ręce, przy swoim łóżku. – Ja? – wyjąkał. –

Ależ ja... To przecież Holt! Mam na myśli... To jest przecież... – Nagłe krzyknął zrozpaczony: –

Ależ ja przecież tego wcale nie... ja chciałem tylko... to oni przecież... ja nigdy bym nie... ja...

ja...

– Weźcie się w garść! – zawołał Gottesknecht. – Na co wy sobie pozwalacie!

Holt był przekonany, że Gottesknecht od dawna już pod drzwiami podsłuchiwał i wszedł do izby dopiero w odpowiednim momencie. Sposób, w jaki jego pojawienie się obróciło całą tę scenę w groteskę i postawiło wszystko na głowie, pobudzał go do śmiechu, ale zarazem napełniał go przerażeniem.

Branzner był załamany i rzucał błagalne spojrzenia na Wolzowa, na Holta i na Gomulkę.

Wolzow powiedział wreszcie: – Branzner jest na ogół całkiem porządnym chłopakiem, może rzeczywiście tak nie myślał.

– Oczywiście byłoby najlepiej, gdyby nikt tego nie słyszał – powiedział Gottesknecht po pewnym namyśle.

– Ja nic nie słyszałem – powiedział Gomulka. – Ja też nie.

– Ja już spałem.

– Ja jako narodowy socjalista – powiedział Wolzow wspaniałomyślnie – powinienem właściwie obstawać przy prawdzie. Ale powiedzmy, że ja też nic nie słyszałem.

– Pięknie – powiedział Gottesknecht. – Proszę was, żeby mi w przyszłości te bezsensowne spory ustały. Dobranoc!

Milczeli, dopóki drzwi się nie zamknęły. A potem Branzner zawołał: – Ale z was... łotry!

Cyrk, jeden wielki cyrk, pomyślał Holt.

Gottesknecht powiedział: – Przecież widzę, że jeżeli was nie puszczę, to ucierpi na tym mocno wasz duch bojowy! Uciekajcie! – W godzinę później Holt był już u pani Ziesche.

Pakowała się. Na korytarzu stały walizy, skrzynie i kosze. Miała na sobie jaskrawego koloru fartuch. Pakowała w sypialni bieliznę do kosza. Holt przyglądał się temu. – Czy ty żyjesz na księżycu? – wykrzykiwała. – Goebbels został pełnomocnikiem Rzeszy do spraw wojny totalnej.

Wszystkie teatry, varietes, szkoły artystyczne i wydawnictwa mają być zamknięte! Każdego dnia mogą zostać ogłoszone nowe wytyczne w sprawie powszechnego obowiązku pracy, bardzo surowe zarządzenia! Myślisz, że mam ochotę robić granaty? Ręce bym sobie przy tym zniszczyła na całe życie. Sześćdziesięciogodzinny tydzień pracy, nie mam na to najmniejszej ochoty! – Usiadła na łóżku i zapaliła papierosa. – Pozamykam tu wszystko – powiedziała –

rzeczy złożę gdzieś w bezpieczne miejsce... Jak stoi sprawa z twoim urlopem?

– Już zatwierdzony – odpowiedział Holt. – Spodziewam się go każdego dnia.

– Czy pojedziemy w góry, w Las Bawarski? – zapytała.

Nie odpowiedział. Palił papierosa i przyglądał się jej w zamyśleniu. Uśmiechnęła się, bardzo uwodzicielsko, bardzo kusząco. Dziwna rzecz: wcale to na niego nie działało. Nie zapytała nawet, jak to się stało z Zieschem... rozmyślał Holt. Byłoby rzeczywiście szkoda, gdyby dostała na rękach odcisków! Nagle, jakby go coś zmusiło, by sobie to wyobraził, ujrzał wielkie, owłosione ręce Schmiedlinga, wczepione w żużel pokrywający stanowisko działa, i ujrzał ręce Zemtziego, ręce Rutschera... – Nie wiem – powiedział ponuro. – W Las Bawarski? To byłoby pięknie. Ale czy to się da u mnie jeszcze zmienić... – Westchnęła cicho: – Byłoby na pewno bardzo pięknie! – Ale to też jakoś dziwnie nie działało. Jest rzeczywiście piękna jak obrazek, pomyślał. Dlaczego na tę myśl nic

się w nim nie poruszyło, jak kiedyś? – Każ sobie przepisać dokumenty – powiedziała – zmienić miejscowość w rozkazie wyjazdu i na bilecie. – Kiwnął

potakująco głową. Wstała. – Zostawię teraz to wszystko, niech sobie stoi. Chcę koniecznie iść do kina, pójdziesz ze mną? W Wattenscheid grają przypadkiem znowu *Norę*, według Ibsena, przegapiłam ten film w zeszłym roku.

Zmarnowali prawie godzinę, zanim dotarli do Wattenscheid. Wskutek ciągłych nalotów bardzo ucierpiały środki komunikacyjne. W ciasnej, zatęchłej salce kinowej Holt miał cały czas dziwne uczucie niepokoju i nie mógł się go zupełnie pozbyć! Co za głupota wybrać się na wieczorny seans! Na pewno będzie alarm, przy takiej idealnej pogodzie: trochę mglisto, to jest pewną przeszkodą dla myśliwców i artylerii... A my tu siedzimy w tym całkiem obcym miejscu, daleko od domu Gertie, daleko od baterii... Siedział osowiały na twardym, podnoszonym automatycznie krześle, trzymając hełm na kolanach. Film go wcale nie interesował. Odetchnął

z ulgą, gdy wreszcie taśma się skończyła. – Chodź! – Ale ona chciała jeszcze obejrzeć kronikę tygodniową. – Mają być podobno zdjęcia z zamachu! – Usiadł z powrotem na twardym krześle.

Jeszcze nie przebrzmiały fanfary zapowiadające kromkę, gdy taśma się urwała; na ekranie pojawiły się słowa: „Zapowiedź alarmu! Prosimy opuścić natychmiast kino!” – Masz teraz, psiakrew! – warknął wściekły. Powiedziała uspokajająco: – Może to tylko samoloty rozpoznawcze! – Wszyscy cisnęli się do wyjścia.

Była godzina dwudziesta druga. Na dworze opadła ich noc. Poprzez mgiełkę zasnuwającą niebo przebijało nikle światło księżyca. Holt prędko się zorientował: Ta ulica z kupą gruzów i wypalonymi fasadami domów po obydwu stronach prowadzi na północ, prawdopodobnie do Gelsenkirchen; sam diabeł się nie połapie w tym labiryncie miast! Tramwaje już nie jeździły.

Ludzie szybko się rozbiegli. W jednej chwili ulica opustoszała. Holt i pani Ziesche szli prędko przed siebie i wreszcie dotarli do jakiejś nie zniszczonej dzielnicy o wąskich uliczkach. W tym samym momencie crescendo i decrescendo syren chlusnęło w niebo niby gwałtowna fala.

Zaczęli biec.

Odezwała się artyleria przeciwlotnicza, działa waliły najpierw gdzieś daleko, a potem całkiem blisko. Na niebie buczały silniki. Holt pocieszał się: Przelatują tylko nad nami! Nagle krew mu zastygła w żyłach: A jeżeli to są tropiciele? Noc zrobiła się jasna jak dzień. Gdzieś nad nimi leciały w dół kaskady świetlne, musiało to być bardzo blisko, wysokie domy przesłaniały widok, ale niebo mieniło się od światła.

Jakiś człowiek zastąpił im drogę, dziwacznie umundurowany, z maską przeciwgazową dla ludności cywilnej na szyi: – Stać... stać! Zejść z ulicy! Do schronu! – Pani Ziesche, przestraszona, zaczęła coś prędko mówić, ale Holt syknął: – Bądź rozsądna, na Boga! –

Pociągnął ją do bramy. – Pan zostanie tu w bramie – powiedział dyżurny obrony przeciwlotniczej do Holta. Pani Ziesche krzyknęła: – Nie! Ja... jestem chora... zupełnie bezbronna, potrzebuję opieki! –

Pociągnęła go za sobą na dół po stromych schodach.

Korytarz piwnicy zapchany był po brzegi ludźmi. Holt ogarnął spojrzeniem słabo oświetlone pomieszczenie i zobaczył co najmniej setkę twarzy, które majaczyły w mroku jak kredowobiałe plamy, zobaczył walizy i plecaki, zobaczył wanny z wodą. Do jego uszu wdarł się krzyk dzieci.

– Nie tarasować wyjścia! – Ktoś wepchnął Holta do piwnicy. Holt usiłował przedostać się na koniec tego bardzo długiego korytarza, może dlatego tylko, że tam z tyłu było trochę więcej miejsca. Przełazili przez torby z rzeczami i wyciągnięte nogi. Miejsce, do którego dotarli, było wcale nie takie złe, tyle tylko, że znajdowało się trochę za daleko od wyjścia. Siedzieli ostatni w długim szeregu, tuż przy wyłomie w murze. Piaski sufit korytarza piwnicznego był tu jeszcze raz podparty dwoma mocnymi palami, które jak kolumny osłaniały zamurowany po lewej ręce Holta wyłoni w murze. Holt objął opiekuńczo panią Ziesche ramieniem. Drżała pod lekkim letnim płaszczykiem. – Włóż na głowę mój hełm! – Hełm był dla niej za duży, ale dzięki temu chronił także kark i ramiona. Holt miał naprzeciwko siebie rnałą, mniej więcej czteroletnią dziewczynkę. Dziecko było zwinięte w kłębek i spało twardym snem. Obok niego leżało dużo pakunków. Dalej siedziała na ławce jakaś duża, tęga kobieta, w brezentowej bluzie maskującej i granatowych spodniach narciarskich. Holt zaczął szukać po kieszeniach swej małej latarki kieszonkowej; znalazł ją i wsadził z powrotem do kieszeni. Ktoś powiedział przytłumionym głosem.: – Suchy chleb gotowa jestem jeść przez całe życie, oby tylko skończyły się te bomby!

Piwnica znajdowała się bardzo głęboko w ziemi, ale ryk samolotów mimo to do niej docierał. Jakiś trzęsący się kruchy staruszek usadowił się tuż przy pani Ziesche. Siedzieli więc we trójkę, wciśnięci w załom muru. W przeciwległym kącie spało dziecko.

Magie straszliwy huk, że aż cała piwnica zadygotała, potem drugi i trzeci, tak potężny, że Holt czuł, jak drży ściana, o którą się opierał. Silny podmuch omiótł korytarz. Holt słyszał tuż przy swoim uchu mamrotanie pani Ziesche: „O Mario święta... Matko Boska... pod twoją obronę uciekamy się...” Gdzieś od wejścia do piwnicy doleciał donośny głos: „Pali się!” A potem szorstkie wołanie, które natychmiast rozpląnęło się w ogólnym wrzasku: „Wszyscy mężczyźni...” i „...do gaszenia...!” Holt chciał się podnieść, ale pani Ziesche uczepiła się go kurczowo i krzyknęła: – Pali się... ja chcę wyjść... ja chcę stąd wyjść! – Obłąd, pomyślał Holt, obłąd, słyszał głos Wolzowa: „Te świnię... bomby burzące w płomienie...” Wtem coś go uderzyło z taką siłą, że grzmotnął głową o mur, jednocześnie światło zgasło, życie zamarło, Koltowi zabrakło powietrza, zaczął się krtusić, i kaszleć, kaszleć...

Długo trwało, zanim znalazł latarkę. Krążek światła padł na nieprzeniknioną białą ścianę wirującego wapna. Holt odepchnął panią Ziesche od siebie, podniósł się, nadepnął na czyjeś ciało, przeszedł przez nie, zaczął posuwać się po omacku w prawo, natknął się na gruz. Głowa jego uderzyła o coś twardego, „był to sufit piwnicy, który się zawalił. Ciągle jeszcze kaszlał, ale pył wapienny powoli już osiadał. Zasypani! Holt chciał krzyczeć, lecz męczący atak kaszlu mu na to nie pozwalał. Wreszcie złapał oddech, zdławił w sobie panikę, ale w głowie miał chaos. Pył

powoli rzednął. W pierzchliwym świetle małej latarki Holt ujrzał kąt korytarza piwnicznego, w którym byli uwięzieni. Niezupełnie jeszcze zdławiona panika wyzwałała w jego świadomości jakieś słowa bez związku:...głuchą nocą na straconej pozycji. Staruszek podniósł się z jękiem z ziemi.

Dziewczynka dławiała się i wciągała w płuca powietrze z jakimś świszczącym przydechem, jakby miała koklusz. Z gruzów wystawały dwie nogi w granatowych spodniach narciarskich. Pani Ziesche kaszlała i z trudem łapała oddech... Śmierć zajrzy w oczy, jam też twój druh... Holt pomyślał: Muszę... muszę... I znowu: Muszę! A potem: Zaraz zabrzmi sygnał

pobudki... A potem: *Wyłom w murze!*

Holt przetarł ręką oczy – pył wapienny piekł jak kwas. Złapał panią Ziesche za ramię i postawił na nogi; ponieważ chciała go się ucześcić, pchnął ją tak, że upadła na gruz. Odsunął

staruszka za siebie i odsunął tę małą dziewczynkę. Potem złapał drewnianą ławkę, na której siedzieli, i uderzył nią w zamurowany wyłom. Na próżno. Nie miał zbyt wiele miejsca na rozmach, ale walił ławą o mur jak szalony, aż pękła na pół przez całą długość. Rzucił ją na ziemię i zaczął walić pięściami w cegły. Zakrztusił się, kopnął nogą w zamurowany wyłom. – Na pomoc! – ryknął załamującym się głosem. Całym ciężarem ciała natarł na mur, poleciał naprzód i uderzył twarzą o ostre kamienie, zaszeleściło, zatrzeszczało mu w uszach, jęknął z bólu. Potem leżał bez ruchu i oddychał głęboko.

Kiedy wstał, posypały się z niego kamienie. Trzymał jeszcze latarkę w ręce, ale się nie paliła. Potrząsnął nią. Teraz się zapaliła. Przed nim rozciągał się długi pusty korytarz piwniczny.

Gdzieś daleko na przodzie płonęło czerwone, migotliwe światło. Oni się już stąd dawno wydostali, pomyślał, i pomyślał jeszcze: Uciekać! Usłyszał za sobą przeraźliwy krzyk pani Ziesche. Przelazł przez dziurę w murze z powrotem do zasypanej piwnicy, podniósł panią Ziesche z ziemi i krzyknął na nią: – Cicho! Cicho, na Boga! – Twarz jej była szpetnie wykrzywiona. Wziął dziecko jak tłumoczek pod pachę. Pani Ziesche krzyknęła: – Pomóż mi...

No pomóż mi! Zostaw to dziecko! – Znowu musiał ją od siebie odrywać, zanim mógł przeleźć z dzieckiem do sąsiedniej piwnicy. Potem pomógł pani Ziesche, potem również staruszkowi.

Pani Ziesche trzymała go się kurczowo, pociągnął ją przemocą w głąb korytarza. U stóp schodów leżało wiele porzuconych pakunków. Na górze w prostokacie bramy płonęło żółtoczerwone światło. Uderzył w niego silny prąd powietrza. Na dworze huczała nawałnica ognia. Pani Ziesche krzyknęła: – Ja nie chcę w ogień!... ja nie chcę! – Holt, zrozpaczony, rozglądał się za jakimś drugim wyjściem, musiało przecież gdzieś być, bo skąd ten okropny przeciąg, ale nad głową usłyszał już przeciągły trzask walących się murów. Precz stąd! pomyślał.

Gorycz zagłady. Przy schodach, w niszy, stała blaszana wanna, napełniona wodą. Minister doktor Goebbels: *Słowo o wojnie powietrznej*, pomyślał. Mokre koce! pomyślał. – Nie było żadnych kocy. Zanurzył dziecko w wannie, i jeszcze raz, przyszło do siebie i krzyknęło, złożył je na ziemi. Pani Ziesche modliła się na kolanach: – Święty Józefie, Opiekunie... módl się za nami w godzinę śmierci... Najświętsza Mario Panno, módl się za wszystkich, którzy dziś walczą ze śmiercią... – Gdy Holt złapał ją za ramiona, znowu zaczęła krzyczeć: – Tylko nie w ogień! – Siłą wepchnął ją do wanny. Hełm brzęknął o cynkową blachę. Holtem wstrząsał śmiech, a może był

to płacz? Zanurzył jej głowę w wodzie, umilkła, pomógł jej wyjść z wanny, miała w oczach obłęd.

Holt wytarzał się w wannie, mundur mu ciążył cetnarowym ciężarem. Gdzie podział się ten stary? Staruszka nigdzie nie było. Wszyscy, którzy dziś walczą ze śmiercią... – A, teraz uciekajmy! – Podniósł dziecko z ziemi, ale pani Ziesche znowu go się kurczowo uczepiła. –

Mnie musisz ratować. Jezus Maria, zostaw nareszcie to dziecko! – Uwolnił się z jej uścisku, złapał ją za rękę i pociągnął na schody. Dziewczynka zwisała mu bezwładnie pod pachą. Gdy byli już w połowie schodów, na ulicę, przed otwartą bramą, zwały się z hukiem płonące belki.

Iskry sypnęły się aż do sieni. Buchnął na nich nieznośny żar. Holt wyciągnął panią Ziesche na dwór. Huczące morze ognia zwały się na nich i smagało iskrami ich twarze. Dokąd? Gdzie jest ratunek? Wszystkie domy naokoło płonęły, całymi płatami palił się asfalt, wydymając się w bąble pod kałużami fosforu, płuca zatykał swąd, na ulicy, w płomieniach ognia, leżały ciemne postacie, zwęglone czarne belki, żarzące się materace, wszędzie naokoło trupy, za nimi walił się z hukiem jakiś dom, przed nimi runęła na bruk ogromna, płonąca ściana... Z, powrotem! Holtowi paliła się czapka, zrzucił ją, złapał panią Ziesche wpół i zaczął ją wlec za sobą, mokre rzeczy parowały, poczuł, że traci przytomność, potknął się o jakiegoś trupa.

Odnaleźli się znowu na terenie pobliskiej kopalni węgla. Za nimi szalał ogień. Wszędzie obozowali na gołej ziemi ludzie, milczący, jak martwi, słyhać było tylko płacz dzieci. Pani Ziesche siedziała na ziemi, bez ruchu, zdjął jej z głowy swój hełm. Dziewczynka u jego stóp w ogóle się nie ruszała. Wsadził hełm na głowę, żeby mieć obie ręce wolne, i zaniósł dziecko do dużego namiotu sanitarnego. – Rodzice? – Holt odparł: – Nie wiem... – Jakiś lekarz pochylił się nad dzieckiem, wyprostował się, opuścił rękę ze stetoskopem i powiedział przez ramię: –

Koniec. – A do Holta: – Mógł pan sobie oszczędzić trudu. – Holt nie ruszał się z miejsca. Patrzył na dziecko. Miało czerwone bučki.

Jakaś dziewczyna wydawała kawę, w nadtłuczonych fajansowych filiżankach. Holt został zepchnięty na bok. Poprosił o jeden kubek i zaniósł go pani Ziesche: – Masz... pij! – Wypiła posłusznie. – Chcesz jeszcze? – Potrząsnęła przecząco głową.” Odniosł kubek i znowu mu go napełniono. Dziewczyna wydająca kawę powiedziała: – Jak ty wyglądasz? Jesteś ranny? –

Pokręcił przecząco głową. Poszedł z powrotem do pani Ziesche. – Chodź! – Dołączyli się do kolumny, która ciągnęła na zachód. Dotarli do wąskiego kanału, przez który prowadził

drewniany mostek. Dalej! Dworzec towarowy, na skraju jakiegoś terenu fabrycznego. Tam ludzie posiadali na tłumoczkach i walizkach. Holt z panią Ziesche poszedł dalej szosą, na zachód. Była godzina trzecia.

Przez ostatnie kilometry musiał ją prawie nieść. Potem dowlókl ją po schodach na górę. Jego siły też już się wyczerpały. Położył ją na łóżku, zdjął jej popalony płaszcz i przykrył ją kołdrą.

Oczy miała zamknięte. Szczękała zębami. Poszedł do łazienki. Zawołała za nim słabym głosem:

– Zostań przy mnie! – Spojrzał w lustro. Twarz miał umazaną krwią, czoło i brodę poranione.

Ręce, gdy zanurzył je w wodzie, paliły jak ogień, szyja i twarz również. Włosy były osmalone, mundur popalony od iskier, spodnie na kolanach zupełnie zwęglone.

Wrócił do sypialni i znużony, osłabły siadł przy niej na łóżku. – Chcesz zaraz wyjechać? –

Odpowiedziała cicho, nie otwierając oczu:

– Tak.

– Czy wiesz już dokąd?

– Tak. Mam krewnych w Monachium. – Milczał. – Nie odchodź – zawołała – ja się tak boję!

– Wstał. – Muszę wracać do baterii! – Zaczęła znowu płakać: – Zostań, proszę cię! – Powiedział:

– Wszystkiego dobrego. – Zawołała jeszcze za nim: – Werner! – Zatrzasnął za sobą drzwi od hallu i uciekł z tego domu.

Gottesknecht stał na schodkach kancelarii. Holt zameldował swój powrót. Gottesknecht długo mu się przyglądał, od osmalonej, gołej głowy po czubki butów. – Czy czasami nie wpadliście w samo piekło?

– Tak jest.

– W Wattenscheid?

– Tak jest.

Gottesknecht przez chwilę milczał. Potem zapytał – I... nerwy nawaliły? – Holt potrząsnął przecząco głową.

Gottesknecht nabił fajkę i zapalił. – Idźcie do sanitariusza, niech wam da maść na poparzenie i plaster. A może chcecie iść na izbę chorych? Dobrze. Zmieńcie mundur. Czapka przepadła?

Wypiszcie zapotrzebowanie, ja postawię swoją parafę, i niech Wachsmuth załączy je do wykazów. Ta buda z umundurowaniem tak czy owak spali się któregoś dnia.

– Tak jest, panie ogniomistrzu.

Spojrzenie Gottesknechta znowu spoczęło na Holcie. Potem zapytał: – Chybaście w samą porę się wydostali?

– Tak jest.

– Sam?

– Wywlokłem jeszcze jakąś dziewczynkę. I jedną kobietę. Miałem z nią bardzo ciężką przeprawę. Gdy wreszcie to dziecko wyniosłem na dwór, już było... już nie żyło.

– Holt! – powiedział Gottesknecht i zszedł ze schodków, złapał Holta za ramię i odciągnął

go na bok, na stanowisko ogniowe. – Werner... chłopcze... głowa do góry! – Mówił bardzo cicho. – Zaciśnij zęby. Wytrzymać. Nie załamuj się. To jest przecież jedyna szansa! Kilku z was *musi* pozostać przy życiu. Wojna się skończy, może już wkrótce. Wy musicie żyć.

Przystanęli. – Zrozumcie mnie dobrze – ciągnął Gottesknecht przekonywająco dalej. –

Jestem nauczycielem, takich chłopców jak wy prowadziłem do matury, chcę to kiedyś znowu robić. Czy mam prowadzić lekcje z pustymi klasami? Wy musicie przetrzymać! Gdy ta wojna się skończy, wówczas... rozpocznie się jeszcze trudniejsza walka. To nie tylko ta mała dziewczynka, Holt. Nikt już trupów nie zliczy. Za wiele było już tego umierania! Po wojnie będzie tyle roboty. To piwo warzyło się przez pięć lat, a cały wiek trzeba będzie je pić. – Patrzył

Holtowi prosto w oczy. – Kto dziś zgłasza się ochotniczo, jako żywa torpeda, do oddziałów szturmowych lub grup niszczycieli czołgów, ten się wymiguje od o wiele trudniejszej walki, która czeka nas potem. Kto się wszelkimi sposobami próbuje uchować, nie z tchórzostwa, Holt, tylko przez rozsądek, ten się uchowa dla... Niemiec.

Niemcy... pomyślał Holt. Po raz pierwszy w życiu usłyszał to słowo bez akompaniamentu fanfar i buńczucznych okrzyków, jakby odarte z wszelkiego blichtru i złota sztandarów, przepojone głęboką troską. – Niemcy – mówił Gottesknecht – to dziś już nie ten gigant, który panował nad Europą, tylko coś – krwawiącego i bardzo biednego, i to coś będzie jeszcze bardziej biedne, ubogie jak żebrak, i będzie niesłychanie cierpieć, ale nie może się wykrwawić i Umierać za te wielkie, błyskotliwe Niemcy dnia wczorajszego, właśnie to nazywam tchórzostwem, Holt. Ale żyć dla tych biednych, śmiertelnie zranionych Niemiec jutrzejszego dnia: to jest heroizm, do tego potrzeba odwagi. Ja wiem: wy szukacie. Holt... jakiegoś sensu, celu, drogi... Ja nie znam tej drogi. Nie mogę wam pomóc. My wszyscy jesteśmy porażeni ślepotą i musimy się przebijać przez siedem piekieł aż do końca. – Gottesknecht umilkł. Potem powiedział jeszcze: – Tak chyba musi być. Żebyśmy nareszcie mogli stać się sobą.

Holt poszedł dalej sam, do baraków. Poparzone ręce już go nie bolały. Patrzył prosto przed siebie, gdzieś ponad baraki, na horyzoncie widniała mgła. Patrzył poprzez tę mgłę gdzieś w nie kończącą się dal. Nic nie pojmował i nic nie rozumiał. Nadsłuchiwał, czy nie zabrzmi sygnał

pobudki... Ale widać nie nadszedł jeszcze czas.

Zapadł w sen, który graniczył z omdleniem. Koledzy pozwolili mu spać w spokoju i obudzili go dopiero po południu.

Holt znajdował się znowu w znajomej małej izbie, i świadomość ta dawała mu przyjemne poczucie bezpieczeństwa. Słyszał szorstki głos Wolzowa: – Wstawaj, ty śpiochu! Przyniosłem ci coś do zarcia! – Czuł na sobie współczujące spojrzenie Gomulki.

Schron, pył wapienny, nawałnica ognia, czy to w ogóle było prawdą? Cała ta potworność była teraz gdzieś za mgłą, nierzeczywista, nieprawdopodobna i bardzo już odległa... Holt pomyślał: Czy to nie był przypadkiem sen, zły sen?

Podniósł się na posłaniu zupełnie rozbity, nie miał ani jednego miejsca na ciele, które by go nie bolało. Mimo to za jednym zamachem wyskoczył z łóżka i przeciągnął się.

Przy stole siedział sanitariusz ze skórzaną torbą na kolanach i palił papierosa. Uśmiechnął

się z lekka kpiąco: – Wam to nawet składam wizyty domowe, to kosztuje pięć marek! Jazda, pozwólcie się łaskawie opatrzeć! – Na obu dłoniach zrobiły mu się pęcherze od poparzenia. –

Nie będziemy tego ruszać, bo mogłaby się wywiązać ropa. – Założył Holtowi opatrunek z gazy.

– A tu macie prontosil, to uspokaja nerwy!

Holt zdjął wreszcie popalony mundur. – Całe ciało podeszło ci krwią! – wykrzyknął

Gomulka, Holt powiedział tylko: – Nie rozumiem, jak ci ludzie to wytrzymują! – Z miejsca wywiązała się z tego sprzeczka. Holt pomyślał: Teraz zacnie się od nowa to samo piekło.

Branzner zmarszczył czoło i spojrzał na Holta karcącym wzrokiem. – Tak! Nie rozumiesz tego?

No to ja ci to wytłumaczę. – Gomulka powiedział: – Ciekaw jestem jak! – Branzner obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem i zaczął: – Naród niemiecki jest przepojony niezachwianą wiarą w Führera i w ostateczny zwycięstwo. Dlatego z radością znosi wszystkie trudy. Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę! Führer powiedział to całkiem wyraźnie zeszłego roku, w wigilię dziewiątego listopada. Ci zbombardowani są awangardą zemsty!

Holtowi stanął przed oczyma obóz nędzy na terenie owej kopalni węgla, ci wszyscy, którzy przeżyli. Awangarda? Vetter przyszywał sobie długą igłą do cerowania guzik do drelichowej bluzy. Gomulka zapytał Branznera: – Przeżyłeś już kiedy zmasowany nalot?

– Nie.

– No to zamknij się!

– Ale Führer – próbował protestować Branzner. – Masz się zamknąć! – zawołał Gomulka. –

Führer też jeszcze nie przeżył żadnego zmasowanego nalotu! On nie był jeszcze ani razu w żadnym zbombardowanym mieście!

Branzner przełykał ślinę, że aż wielka grdyka skakała mu do góry i na dół. – To... to... teraz już tego dosyć! – powiedział. – Dziś mnie już nie wykołujecie! Teraz już nieodwołalnie złożę meldunek! Idę do dowódcy!

– Gilbert, zrób ty wreszcie coś, żeby tu był spokój! – krzyknął Holt. Wolzow, który właśnie wyciągał

z szafki swoje podręczniki strategii, zapytał obojętnie: – O czym to chcesz zameldować, hm? – i wsadził nos w jedną z książek. Branzner zapinał już pas. – W 1918 tak samo się zaczęło. Uprawiacie robotę rozkładową! Wrogą propagandę...

Gomulka kręcił tylko głową. Branzner krzyknął wściekły: – Wszyscy jesteście jednego diabła warci! Kirsch, ty przecież słyszałeś! – Kirsch, syn stolarza, siedział przy stole i pakował

w siebie całe paczki keksów maślanych.

– Ja? – Ziewnął. – Wszyscy tu mogą zaświadczyć, że spałem akurat twardym snem! –

Gomulka powiedział zadowolony: – Jak widzisz, nic się nie da zrobić, Branzner!

Branzner wsadził czapkę na głowę. – A więc dobrze! Dobrze! Gniazdo spiskowców! Ale ja was wszystkich unieszkodliwię, wszystkich! – I krzyknął: – Jesteście szkodnikami społecznymi, sabotażystami!...

Gomulka popukał się palcem po czole; starannie i zgrabnie obcinał Koltowi osmalone włosy. – Szkodnikami społecznymi? – krzyknął Vetter ze swego kąta. – No wiesz, Gilbert, jako kandydat na oficera nie powinieneś czegoś takiego tolerować! Wyobraź sobie, ta trąba leci do dowódcy.

– Tak jest – powiedział Holt – musisz go raz na zawsze nauczyć, jak się ma zachowywać.

Wolzow podniósł wzrok znad książki. – Jak on mnie nazwał?

– Szkodnikiem społecznym – judził Vetter – sabotażystą... i w ogóle... – Wolzow zerwał się na równe nogi, dopadł Branznera i złapał go prawą ręką za pierś. Branzner chciał się bronić, ale już dostał siarczysty policzek. Vetter zarżał z uciechy, Kirsch wpakował sobie następny z kolei keks do ust. Wolzow podniósł oszołomionego Branznera prawą ręką powoli do góry, był tak silny, że mógł nim potrząsać w powietrzu. Potem postawił go z powrotem, na podłodze, pchnął

go na pierwszą z brzegu szafkę i przyciągnął znowu do siebie. – Słuchaj! Słuchaj dobrze! Te parę tygodni, przez które tu jeszcze będę, chcę mieć spokój! Nie pozwolę ci w żadnym wypadku zniszczyć mi mojej kariery. Masz więc ostatecznie przestać się nas czepiać. W przeciwnym razie... Wiesz, co będzie w przeciwnym razie? Jesteś nocą z nami przy dziale. Przysięgam ci, jakem Gilbert Wolzow, że podczas najbliższego strzelania przetrączę ci kluczem francuskim kark!

Takie wypadki zdarzają się względnie często, możesz to już znaleźć w *Listach wojskowych o artylerii* księcia Krafta zu Hohenlohe! Rozumiemy się? – I puścił Branznera.

Holt miał uczucie, jakby go ktoś ścisnął za gardło. Wziął pogroźkę Wolzowa na serio. Nigdy nie zapomni tej sceny, kiedy Wolzow przy Kruczej Skale przytknął bezbronnemu Meissnerowi lufę pistoletu do skroni... To jest to samo, pomyślał zdjęty grozą. Czy zabija stróżującego psa, czy się z kimś leje, czy strzela ogniem z bliska... to wszystko dla niego jeden czort, wszystko to samo!

Podczas próby przewodów Gomulka ni stąd, ni zowąd powiedział do Holta: – Wyobraź

sobie, co by to było, gdyby Wolzow był naszym wrogiem! – Powiesił hełmofon w bunkrze. –

Gdybyś nie był jego przyjacielem...

– Całe szczęście, że prawie nie słuchał tego, co się mówiło przedtem – powiedział Holt. –

Kto wie, co za heca by z tego wynikła!

Gomulka usiadł na ramieniu lawety. – Powiedz mi wreszcie tak całkiem szczerze: jak to było dziś w nocy?

– Powiem to tylko tobie – odparł Holt. – Było tak strasznie, że to się wprost nie da opisać.

Nie mogę sobie w ogóle wyobrazić, żeby istniało gdzieś na świecie coś jeszcze bardziej okropnego. Wolę już samoloty nurkujące i naloty dywanowe tu w polu.

Gomulka milczał. Potem powiedział zupełnie nie a propos: – Wolzow otrzymał list od swego stryja. Ten znowu dostał awans. Obejmuje dowództwo jakiejś jednostki na froncie zachodnim. Przedtem, w Rosji, miał jakąś dywizję lotnictwa, która znalazła się w okrążeniu. Pod Woroneżem. Ale wymknął się z kotła samolotem.

Pod Woroneżem w okrążeniu, powtórzył w duchu Holt. Nigdy się przecież o tym nie słyszało. Pomyślał zdumiony: Przed rokiem taka wiadomość by mnie zdruzgotała. Gomulka powiedział mimochodem: – Ja też dostałem pocztę z domu. – Holt zapytał ze ściśniętym sercem:

– I... pisali ci coś? Czy to ma jakiś związek z tym zamachem? Zaaresztowali ją? – Gomulka potrząsnął przecząco głową. – Podobno zniknęła bez śladu... – Nie pytajcie o nikogo, przypomniał sobie Holt, nie rozmawiajcie z nikim. – Represje wobec rodziny! – szepnął

Gomulka. – Podobno pułkownik Barnim ze swoim pułkiem skapitulował, i gdy chciał przejść do Rosjan, to go...

Holt zerwał się gwałtownie. – Miejmy nadzieję, że pozwolą nam dziś w nocy spać –

powiedział pospiesznie.

W nocy, przy armacie, Wolzow dowcipkował na temat zespołu mosquitów, który krążył nad krajem i przemierzył go najpierw wzdłuż i wszerz, zanim wziął kurs na Berlin i zrzucił tam bomby. – Zapędzili w kozi róg nocnych myśliwców – mówił – szukają ich teraz w okolicach Monachium!

Następnego ranka nadeszło uzupełnienie. Vetter wrócił o siódmej rano z próby przewodów, kiedy inni jeszcze leżeli w łóżkach, i wrzasnął: – Te szewczyki już przyjechały! To żadni gimnazjaliści, bracie, to piekarczyki, ślusarczyki, słowem hołota ze szkół zawodowych... Jeden mnie zaczepia: „Kolego, ja się tu nie mogę połapać...” Powiedziałem mu: To się musisz zapytać podoficera dyżurnego, ja ci nic na to nie poradzę... A ten mówi mi jeszcze: „Dziękuję!” Ludzie, co to z tego będzie! Jeżeli nie będą umieli się zachować, to ja tu wprowadzę oficjalnie karę chłosty! – Wolzow ze swojego łóżka zawołał: – Z tymi nie będziemy się w ogóle zadawać!

Na poranny apel Kutschera zjawił się dziwnie przepisowo ubrany, w asyście trzech wyższych HJ-führerów. Gottesknecht przyniósł ze sobą z kancelarii jakieś kartonowe pudło.

Wolzow, zaskoczony, szturchnął Holta łokciem. Kutschera zawołał: – Starsi junacy obrony przeciwlotniczej Dusenböcker, Hörschelmann i Wolzow... wystap! – Wręczył tym trzem chłopcom Krzyż Żelazny. Gottesknecht przeciągnął im wstążeczkę przez dziurkę od guzika, HJ-führerzy uścisnęli im dłoń. Potem Kutschera kazał wystąpić z szeregu ich baterii i wyczytał

z listy nazwiska: „Dusenböcker, Ebert, Granulka, Grubert, Holt...” i tak dalej, wyczytał

wszystkich, z dwudziestego siódmego rocznika, którzy do tej pory się uchowali, łącznie z dwoma hamburczykami siedemnastu ludzi. Holt wystąpił przed front. Było nas dwudziestu ośmiu, pomyślał, gdyśmy tu przyjechali... trzynastu zabitych z jednej klasy! Gottesknecht przypiął mu do munduru strzelecką odznakę przeciwlotniczą, tę upragnioną srebrną odznakę, którą nosiło się na lewej piersi.

Skład osobowy baterii przeformowano. Gottesknecht zawołał: – Holt, Wolzow i Gomulka, możecie jutro jechać! – Wolzow, promieniejąc z radości, powiedział: – Panie ogniomistrzu, ale ten Krzyż Żelazny musimy razem solidnie oblać!

– Chybaście zwariowali! – oburzył się Gottesknecht. – Siedemnaście lat i alkoholowe ekscesy, ja tego nie popieram! – Wieczorem Wolzow jednak wytrzasnął skądś butelkę koniaku.

Holt po paru łykach poczuł przyjemne zmęczenie. I myślał uszczęśliwiony: Urlop, spokój, nareszcie!

Podczas wieczornego obchodu izb Gottesknecht zarządził: – Rano musi być wszystko spakowane! Opróżnić szafki! W rejonie naszej baterii artyleria przeciwlotnicza skupi swój główny wysiłek... Zgrupowanie baterii z osiemdziesięcioma albo i stu działami.

Nocą siedzieli rozleniwieni na stanowisku działa i przyglądali się, jak strzelają nowi. Rano spakowali manatki. Vetter musiał niestety zostać. Urlop ich zaczynał się o godzinie dwunastej i miał trwać czternaście dni, wliczając w to dwa dni na podróż. Truchtem pognali do Essen.

Kiedy już wreszcie byli na dworcu, syreny zawyły na alarm. Jakaś ciężarówka wojskowa zabrała ich na południe. W Wuppertalu wladowali się do pociągu osobowego. Gdy minęli parę stacji, pociąg stanął w szczerym polu. Wolzow wyjrzał przez okno. – W nogi, prędko! – I gdy bombowce z hukiem przelatywały nad nimi, gnali prosto na jakąś wielką hałdę śmieci. Artyleria przeciwlotnicza strzelała, dokoła rozlegał się głuchy grzmot. Popędzili pełną drogą na zachód.

Bombowce zrzucały bomby gdzieś za nimi.

Nad willą Wolzowa wstawał posepny poranek. Niebo było zasnute chmurami. Padał deszcz.

Holt i Wolzow wnieśli swoje plecaki do domu. Holt z rozkoszą wyciągnął nogi. Fotel klubowy był miękki. Wolzow zdawał sprawozdanie: – Dom jest pełen obcych ludzi, uciekinierzy, no wiesz już, ewakuowani i zbombardowani. Wstawimy ci więc łóżko polowe do mojego pokoju i będziemy zupełnie sami.

Holt, zmęczony, zasnął i spał tak twardo, że nawet nic mu się nie śniło. Gdy się po południu obudził, Wolzow otwierał właśnie puszkę konserw. Na patelni postawionej na maszynie spirytusowej skwierczał tłuszcz. Holt przeraził się strasznego nieporządku, jaki panował

naokoło; wszystko leżało w okropnym nieładzie, hełmy, mundury, rozwiązane plecaki. Wszędzie masa rupieci, na tym wypchana kuropatwa, pistolety do pojedynku, rozwalona trupia czaszka. –

Musimy tu najpierw posprzątać, Gilbert!

– Po co? Mnie się wydaje tu całkiem przyjemnie. – Wolzow wyrzucił zawartość puszek na patelnię. Pokój napełnił się zapachem smażonego mięsa.

Holt zaczął odwijać bandaże z rąk. – Mój stryj – mówił Wolzow – jest we Francji, przedtem tu jeszcze raz był i zostawił całą kupę zapasów: konserwy, czerwone wino, rosyjski tytoń, nawet kawior, już jedną puszkę otworzyłem, smakuje jak śledź, ale tym się nie najesz, musiałbyś chyba zeżreć co najmniej dziesięć pustek naraz...

– Czy nie powinienem najpierw przywitać się z twoją matką? – zapytał Holt. – Lepiej nie.

Przeszkodziłbyś jej tylko w tym skomlaniu. Powiedziałem jej, że jesteśmy, to wystarczy.

Dom był zaniedbany. Przez ostatni rok chyba w ogóle go nie sprzątano. Tylko na parterze, gdzie mieszkali teraz obcy ludzie, panował porządek. Holt poszedł do łazienki. Ujście wanny było zapchane kłębami włosów. W kranie nad umywalnią nie było wody. Prawda, przypomniał

sobie Holt, Gilbert wyrwał wtedy kawałek rury. Wszedł pod tusz. W lustrze zobaczył, że nabiegłe krwią miejsca na plecach zrobiły się niebieskie i zielone.

Na śniadanie jedli mięso konserwowe z patelni. – Chleb? – powiedział Wolzow. – Mięso jest o wiele zdrowsze. Attyla jadał podobno tylko mięso. – Pierwsze, co wyciągnął z plecaka, to był

mocno sfatygowany Clausewitz. Holt zaczął go przeglądać. – Jeżeli wreszcie chcesz się trochę zająć sztuką wojenną – powiedział Wolzow – to zacznij najlepiej od *Kann Schlieffena*.

Holt zamknął książkę. – Dziękuję – powiedział i wziął podsuniętego mu papierosa.

Wolzow ciągnął dalej: – Jeżeli się nie ma wiedzy wojskowej, to nie można właściwie rozumieć tego,

co się dzieje na frontach. Mam ci powiedzieć, dlaczego tacy ludzie jak Branzner nie chcą słuchać prawdy o sytuacji wojskowej? Dlatego, że w głębi duszy... są niepewni, bo mimo tych wszystkich pięknych słów właściwie tak naprawdę to wojny nie lubią! Popatrz, Führer co prawda ciągle mówi, że wojna została nam narzucona, ale mówi tak tylko ze względu na ludzi. W gruncie rzeczy po 1918 nowa wojna musiała nastąpić, wiem przecież od mojego ojca, że prawdziwy żołnierz nie może pogodzić się z taką klęską, żeby równocześnie nie myśleć o przyszłym rewanzu. To wszystko jest też napisane w *Mein Kampf*, a ponadto i to, że nowe ziemie na wschodzie musimy zdobyć mieczem...

Ledwo Holt odetchnął, ledwo się uwolnił od tego nerwowego trybu życia w baterii, ledwo zaczął się przyzwyczajać do atmosfery małego miasteczka i urlopu, już słowa Wolzowa wtrąciły go znowu w depresję i wywołały wspomnienia: „...przygotowali i rozpętali wojnę zaborczą...”, mówił ojciec; przypomniały mu się również lakoniczne słowa Gomulki w związku z zagłodzonymi jeńcami: „Oni nie zaczęli...”

– Ktoś taki jak ja – mówił tymczasem Wolzow dalej – no, jakby to powiedzieć?... a próbuje wojnę, i gdyby żadnej wojny nie było, trzeba by prędko jakąś zacząć. Musiałaby to być oczywiście jakaś prawdziwa wojna, nie takie zawracanie głowy jak w 1806, wojna według wszelkich reguł sztuki wojennej, jak za Aleksandra czy Napoleona. A więc pytaj, mamy teraz czas. Chcesz, żebym ci objaśnił sytuację? Walki przenoszą się teraz powoli na linię wewnętrzną, to piękne przedpole jest już stracone.

Holt palił papierosa i pozwalał Wolzowowi mówić. Nagle spojrział na zegarek i się przeraził.

– Dosyć! Zaraz zamkną komendę rejonową!

Spotkali na mieście Gomulkę. Ulice już obeschły po deszczu, pokrywa chmur rozerwała się, i od czasu do czasu pojawiało się nad ziemią słońce. Szli do śródmieścia. Po zameldowaniu się w komendzie rejonowej objali się po ciasnych uliczkach miasteczka, zmierzając w stronę rynku.

Przechodzili koło jakiegoś sklepu spożywczego. Wychodziła stamtąd akurat smukła, bardzo młodzianka dziewczyna. Zobaczywszy ich, cofnęła się z powrotem i czekała, aż przejdą.

Dziewczyna miała na sobie ubożuchną kwiecistą sukienkę, a na ręce koszyk na zakupy.

Włosy jej były brązowe. Oczy również były brązowe. Jej spojrzenie musnęło Holta i prześliznęło się po nim. Holt pomyślał: ...stańło dziecko na drodze... Była to fraza z jakiegoś wiersza, który Holt kiedyś czytał: Stańło dziecko na drodze. Przypomniała mu się nagle tamta mała dziewczynka w czerwonych bucikach. Przystanął. Dlaczego jest taka smutna?

Nieznajoma dziewczyna poszła w tę stronę, z której właśnie on przyszedł. Nad nią wisiało ciężkie niebo ze swoimi deszczowymi chmurami. Przez chmury przebiło się słońce i oślepiło Holta. Poszedł dalej. Co to było? *Kto* to był? Wolzow brzęczy: „Ten chłopak śpi w biały dzień!” Na rynku spotkali całą grupę młodych ludzi, byli wśród nich Peter Wiese i Herbert Wurm, na którego widok Wolzow wypiął pierś ze wstążeczką orderową, a ponadto dziewczęta: siostra Rutschera, Friedel Küchler w mundurze, jej przyjaciółka, zwana Putzi, i jeszcze jakieś trzy czy cztery inne. Towarzystwo miało ze sobą kostiumy kąpielowe. „Do pioruna, Wolzow z Krzyżem Żelaznym!”, wykrzyknął ktoś z

podziwem. „A to, co to jest?” – „Strzelecka odznaka przeciwlotnicza, dostaje się ją za tyle a tyle zestrzałów”. Wybierano się na pływalnię. Holt się zatrzymał. – Mieliśmy przecież odwiedzić rodziców Zemtzkiego. – Siostra Rutschera była jeszcze blejsza niż dawniej i odciągnęła Holta na bok. – Pan był przecież z nim przy działach... –

Nic nie opowiadać! Holtowi stało przed oczyma rozbite stanowisko dział, przewrócona armata. Czyżby wojna przyszła za mną trop w trop aż tutaj? Dziewczęta opowiadały o swej służbie w obozie ewakuacyjnym dla dzieci. Umawiano się na następny dzień.

Poszli do Zemtzkich, siedzieli zakłopotani na krzesłach i wmawiali pani Zemtzkiej, że sprawa z płachtą sygnalizacyjną była rzeczywiście tylko plotką. – Podłż plotkż – mówił

Wolzow. Gdy już byli na dworze, poprzysięgł sobie: – To była pierwsza i ostatnia wizyta tego rodzaju! Do mojej matki też nikt nie musi chodzić, jeżeli mnie się dostanie. – Gomulka poszedł do dentysty, żeby wreszcie zapełnić lukę po utraconym siekaczu.

W nocy Holt zerwał się ze snu przerażony. Śniły mu się straszne rzeczy: płomienie, wszędzie płomienie... To będzie jeszcze długo powracać. Było to przecież zaledwie trzy dni temu! Trzy dni. Czas się zupełnie pokręcił. Ile ja mam teraz lat? Siedemnaście i pół. Jeżeli idąc do obrony przeciwlotniczej miałem szesnaście i pół roku, to musiało chyba minąć od tego czasu trzydzieści, pięćdziesiąt lat. Może jeszcze więcej. Sama ta noc ognia w Wattenscheid trwała sto lat. Znowu zapadł w sen, uszczęśliwiony myślą, że nie dzwoni dzwonek alarmowy, że nie ma mosquitów ani żadnej próby przewodów. Zasypiając pomyślał znowu: Stało dziecko na drodze... z koszykiem w ręce.

Następnego ranka Wolzow triumfował: – Wspaniała pogoda! Niebo nie opuściło starych wiarusów! – Przy śniadaniu opowiadał o swoich urlopowych planach: – Tu gdzieś leżą jeszcze pamiętniki mojego ojca, muszę je wreszcie przeczytać. Potem pójdę w góry wygrzebać nasze pistolety. – Holt chciał odwiedzić Petera Wiesego. Wolzow zapytał: – Akurat tego Miesepetera?

Co ty w nim widzisz?! – Umawiali się przedtem, że pójdą się kąpać. Holt miał opory ze względu na swoje poturbowane plecy. – „Tu oto leżą ciała bohaterów – wszyscy z ranami na piersi”*

[*Przekład Włodzimierza Lewika.] – zacytował. – Starożytni Germanie przepędziliby mnie stamtąd sromotnie.

– Wtedy nie było jeszcze wojny powietrznej. – Wolzow wciągał właśnie spodnie. – To były czasy! Wyobraź sobie: walka wręcz, chłop na chłop, o, czego ja bym się w tamtych czasach nie dowojował! Na pewno! – Poniosła go wizja dawno minionego sposobu walki. – Byłbym największym wodzem starożytności – przechwalał się. – Hannibalowi odpowiedziałbym okrążeniem na okrążenie. Co za nonsens! Varro ustawił wojsko w takim szyku, że miał po trzydziestu sześciu chłopów w głąb, i na co mu się zdała ta jego przewaga? Ja bym ustawił hastati*

[*Hastati – rzymscy żołnierze uzbrojeni w hasty (spisy), przednia formacja legionu.] i principes*

[*Principes – w starorzymskim wojsku żołnierze, którzy stawali w drugim szyku.] tylko w dwunastu szeregach, a triarii* [*Triarii – najlepsi, doświadczeni żołnierze w wojsku rzymskim, stawiani w odwodzie w trzecim rzędzie.] trzymał z boku w odwodzie, i zepchnąłbym konnicę Hasdrubala do Aufidusu...

– Albo gdybyś był Napoleonem – zaszydził Holt – zawojowałbyś całą Rosję... – Ale Wolzow odparł: – Nie. – Wciągał właśnie spodnie na brzuch. – Gdybym był Napoleonem, nigdy bym nie napadał na Rosję. Rosjanie mogliby sobie do mnie przyjść, gdyby czegoś ode mnie chcieli. Wówczas byłbym w lepszej sytuacji od nich i mógłbym uderzyć na nich prosto z mojej bazy. – Zapinał spodnie. – Z Napoleonem było co innego. Napoleon jako strateg nie popełnił

żadnego błędu. Jeżeli się nawet mówi, że przed wyprawą na Moskwę powinien był najpierw zdobyć nadbałtyckie twierdze, to to jest tylko głupie gadanie. Napoleon poczynił właściwe posunięcia w Rosji, to już raz na zawsze udowodnił Clausewitz. Wyprawa Napoleona na Rosję dlatego się nie udała, mówi Clausewitz, że nieprzyjaciel miał silny rząd, a naród był wierny i wytrwały, dlatego więc *udać się nie mogła*. Co tak na mnie patrzysz? Co ci jest?

– Nic – odpowiedział Holt. – Śpiesz się. Szkoda takiego ładnego popołudnia!

Pływalnia była prawie pusta. Holt popłynął na drugi brzeg, Wolzow został na plaży. Gdy Holt był na środku rzeki, przewrócił się na plecy i zdał się na prąd. Głupi przykład, rozmyślał, musiałem akurat wleźć na tego Napoleona? Na drugim brzegu leżał przez chwilę w trawie.

A więc to wcale nieprawda, że Führer uniknął błędów Napoleona, jak się to zwykle mówi.

Napoleon, jak wynika z tego, żadnych błędów nie popełnił.

Kiedy z powrotem dopłynął do pływalni, zmęczony uczeplił się schodków i zawisł na chwilę w wodzie. Potem wdrapał się na pomost. Serce biło mu mocno. Na dawnym miejscu ich spotkań przy trampolinie zobaczył wszystkich razem, chłopców i dziewczęta, a między nimi Wolzowa i Gomulkę. Powoli szedł przez pomost. Nie, pomyślał, to chyba niemożliwe! Zupełnie sama, z dala od wszystkich, siedziała ta dziewczyna, którą spotkał przed sklepem, oparta o barierę, z kolanami podciągniętymi pod brodę i zamkniętymi oczyma.

Holt przemknął się do trampoliny i rzucił się na deski. Friedel Kuchler zaraz zapytała, kto go tak obił na zielono i niebiesko. Holt nie odpowiedział. Ale Gomulka, który na ogół nie lubił

mocnych określeń, huknął na nią: – Tam, gdzie Werner to zafasował, to ty, głupia geś, byś się z samego strachu za...fajdała od góry do dołu! – Dziewczętom mina zrzedła. A Wolzow zaczął

się tak śmiać, że aż stary kąpielowy wyjrzał zdziwiony ze swej buciki.

Potem siedzieli milcząco i rozleniwieni na słońcu. Ktoś zapytał: – Jak właściwie wygląda teraz ta wojna powietrzna? – Wolzow roześmiał się drwiąco. – Jak właściwie wygląda teraz ta wojna powietrzna? Ta wojna powietrzna wygląda teraz właściwie całkiem prosto! To najprostsza wojna ze wszystkich wojen. My siedzimy na dole i strzelamy w górę, a oni są na górze i rzucają na dół.

Holt pomyślał: Muszę jeszcze trochę poczekać, zanim zapytam, bo w przeciwnym razie zwrócę na siebie uwagę! I już pytał, niby mimochodem: – Kto to jest ta dziewczyna tam po drugiej stronie? – Wszystkie głowy zwróciły się w tym kierunku. Parę dziewcząt się roześmiało.

Holt powiedział rozdrażniony: – Ale wy jesteście głupie! – Wolzow mruknął: – Wszystkie dziewczyny takie są, skoro tylko zbierze się ich kilka razem! Każda z osobna zaś zapadłaby się najchętniej pod ziemię.

– Dobrze zaobserwowane – powiedział Gomulka.

– Ona nie jest tutejsza – opowiadała w chwilę później Friedel Kuchler, jasnowłosa BDM-führerin. – Jest ewakuowana z Niemiec zachodnich, zdaje się, że ze Schweinfurtu.

Podobno ma tu – popukała się palcem po czole – nie wszystko w porządku. Od jej scharführerin wiem, że nie ma już rodziców i była w Schweinfurcie służącą, to znaczy z nakazu pracy. Ma zresztą dopiero piętnaście lat. Podobno została zasypana podczas jakiegoś nalotu, i gdy po tygodniu dokopano się do tej zawalonej piwnicy, wszyscy już nie żyli, tylko ona się uratowała.

Potem leżała w szpitalu. Teraz ma tu roczny nakaz pracy u jakiejś wielodzietnej rodziny, on jest w SS, dostała się więc w dobre ręce. W maju musiała pójść znowu do szpitala. Teraz ma częściowe zwolnienie i pracuje tylko przed południem.

Wolzow wyciągnął się jak długi na deskach. – Wojna jest wojną. – Holt walczył z dręczącą wizją zasypanej piwnicy, w której wśród zeszywniałych trupów żywy człowiek traci od krzyku rozum. Naokoło siebie słyszał paplaninę dziewcząt. Zapytał ochryplym głosem: – Dlaczego się nią nie zaopiekujecie? – Zapadło ogólne milczenie. – Ona wcale tego nie chce. Ucieka od wszystkich.

Holt zerwał się na równe nogi. – Solidarność narodowa – zawołał drwiąco – wszyscy za jednego... – Widział wiele par oczu skierowanych na siebie, wiele par nic nie rozumiejących oczu. I zdawało mu się, że ta jasnowłosa BDM-führerin przemawia do zgranego kolektywu, a było to niecały rok temu! I słyszał też głos pani Ziesche: Zostaw nareszcie to dziecko! Mnie musisz ratować! Potem szybko odwrócił się i odszedł. Gomulka powiedział za nim: – On sam coś takiego przed paroma dniami przeżył.

To przecież wcale nie to, myślał Holt, gdy szedł przez pomost. Przetrzymałem to i znowu bym coś takiego przetrzymał.

Na końcu pomostu, gdzie były uwiązane kajało i łodzie, usiadł na deskach i opuścił nogi do wody. Rzeka połyskiwała w słońcu.

Osiem dni pod gruzami! pomyślał. Widział się, jak niesie tę małą dziewczynkę w czerwonych bucikach na punkt opatrunkowy, i słyszał, jak ktoś mówi: Koniec. Mógł pan sobie tego trudu zaoszczędzić. Płonące belki padają z trzaskiem na brak i iskry sypią się aż do bramy...

Czy znacie pułkownika Barnima? A potem:...został rozstrzelany. Co się dzieje z Utą? Może już nie żyje... Może nigdy nie żyła. Może Uta mi się tylko przyśniła, tak jak mustangi, jak Schmiedling, jak

naloty dywanowe.

Podniósł się i poszedł wolno w stronę dziewczyny, która ciągle jeszcze siedziała w słońcu, plecami oparta o słupek bariery. Usiadł przy niej na pomoście. – Nazywam się Werner Holt.

Jestem junakiem obrony przeciwlotniczej i mam urlop. – Zwróciła lekko głowę w jego stronę.

Powoli zaczynała się rumienić.

Przynajmniej choć tyle, że mi z miejsca nie uciekła, pomyślał. Twarz jej właściwie nie była mu wcale obca – ani te powieki ocienione długimi rzęsami, ani ciemne brwi i czerwone wargi.

Nie mogę się tak na nią gapić, bo mi jeszcze ucieknie! Tylko co tu powiedzieć? – Ja też nie jestem stąd, przyjechałem tu w zeszłym roku do gimnazjum, byłem tu tylko parę miesięcy, potem poszło się do obrony przeciwlotniczej.

Nie trzeba było mówić o tej obronie przeciwlotniczej, pomyślał. To był błąd. Z tym junakiem to też był błąd, to przypomina o wojnie i bombach. – Nie mogłem już w domu dłużej wytrzymać, nie wiem dlaczego. – W domu, to też jest błąd, bo ona przecież nie ma już rodziców... Właściwie ja też już nie mam rodziców. – Musi mi pani... Musisz mi wybaczyć –

powiedział speszony. – Gadam same głupstwa... Ale to bardzo trudno – powiedział szczerze –

zaczepić obcą dziewczynę. Poza tym bałem się, że uciekniesz.

Nie poruszyła się nawet.

– Widziałem cię już wczoraj, z koszykiem na zakupy – ciągnął dalej. – Najchętniej poszedłbym zaraz wtedy za tobą. Kiedy usłyszałem... – Teraz otworzyła oczy, ale patrzyła prosto przed siebie... – ...że jesteś ze Schweinfurtu... – Co ja wygaduję? pomyślał. – ...kiedy to usłyszałem, pomyślałem sobie, że cię tu w ogóle nikt nie potrafi zrozumieć.

Zamknęła oczy i siedziała dalej bez ruchu.

Zrozumieć, pomyślał Holt, czy można w ogóle zrozumieć drugiego człowieka? –

Stacjonujemy w Zagłębiu Ruhry. Już nawet nie wiem, ile razy słyszałem w komunikatach lotniczych: „Obszar Würzburg-Schweinfurt”... – Przypominał to sobie całkiem dokładnie. Było to w październiku, Amerykanie wysłali wtedy coś z tysiąc myśliwców dla osłony bombowców, i walki powietrzne toczyły się na przestrzeni setek kilometrów, od granicy holenderskiej aż po południowe Niemcy. Stracono ponad sto czterosiłnikowców, ale Schweinfurt był mimo to bombardowany... Holt ujrzał przed sobą morze domów przesłonięte ścianą szarego dymu, a w nim migające bez przerwy błyskawice wybuchów, aż wreszcie czerwień pożarów przebiła się przez dym... Otrząsnął się z tego wspomnienia. Jak to zawsze mówi Gottesknecht? Zacisnąć zęby!

– To dobrze, że nic wtedy o tobie nie wiedziałem. Nie miałbym spokoju. Nie mógłbym ci przecież nic pomóc. – Siedział potem długo obok niej w milczeniu. Onieśmielony jej uporczywym milczeniem

zapytał: – Czy mam sobie iść? – Ledwie dostrzegalnie potrząsnęła przecząco głową.

„Towarzystwo pod trampoliną zbierało się do odejścia. Wolzow przechodząc obok nich, spojrzał przelotnie na dziewczynę, a potem gwar młodzieńczych głosów rozplynał się gdzieś na nadbrzeżnej łące. Zostali sami na pomoście. Zachodzące słońce kryło się już za góry po drugiej stronie rzeki i już nie grzało. Holt zapytał: – Nie wiem jeszcze wcale, jak ci na imię.

– Gundel. Właściwie Gudula. – Wsłuchiwał się w jej głos, niski, załamujący się trochę głós.

Powtórzył za nią: – Gundel... – Zwróciła ku niemu twarz. – A nazwisko?

– Tiess.

Podobał mu się jej głos. – Nie jest ci zimno? – Zamiast dać mu odpowiedź powiedziała: –

Tamci będą źli, że nie poszedłeś z nimi. To są przecież twoi przyjaciele.

– Tylko Gilbert i Sepp – powiedział – reszta mnie nic nie obchodzi.

Uśmiechnęła się. Zobaczył między wargami połyskliwe białe zęby. – O czym myślisz? –

Uśmiech pogłębił się. Powiedziała: – Chciałabym wiedzieć, co ty sobie wczoraj pomyślałeś.

– Ja? – To pytanie go zaszokowało. – Popatrzyłem za tobą. Najpierw przypomniał mi się urywek z jednego wiersza... Stańło dziecko na drodze... – Przechyliła głowę w jego stronę. –

A jak to idzie dalej? – Usiłował sobie przypomnieć. – Stańło dziecko na drodze... i wskazało mu dom... To jest Storm, zdaje się. – Widział, że usta jej się poruszyły; powtórzyła sobie po cichu te oba wiersze. – A ty? – dopytywał się. – Co ty sobie pomyślałaś? – Znowu się zarumieniła i wstała. Był o pół głowy od niej wyższy. Popatrzył na nią, potem pobiegł przez łąkę do swojej kabiny i ubrał się prędko w mundur. Czekał na nią przy wyjściu.

Miała na sobie znowu tę samą wypłowiałą sukienkę. Szedł obok niej bez słowa przez park do miasta. Za mostem, gdzie ulica rozwidlała się na lewo w kierunku dzielnicy rybackiej, przystanąła i powiedziała: – Nie... lepiej, żeby cię nie widzieli. – Pójdiesz znowu jutro się kąpać? – Skinęła potakująco głową. Potem, jakby było już tego za wiele, odeszła i zniknęła w wąskiej, zacienionej uliczce.

Na drugi dzień rano Holt poszedł odwiedzić Gomulkę, Wolzow jeszcze spał. Na stole leżał

stos czarnych, oprawionych w ceratę zeszytów, które Wolzow czytał przez pół nocy, pamiętniki jego ojca. Holt napisał na kartce: „Jestem u Seppa. Może się zobaczymy na pływalni”. Kiedy spojrzenie jego padło na Wolzowa, który chrapał cicho przez sen, miał ochotę wrzasnąć mu w twarz: Alarm bojowy! Zobaczymy, jak się zerwie na równe nogi.

Gomulkowie zamieszkiwali domek na skraju miasta. W ogródku przed domem kwitły gladiole i astry. Gomulka, w płaszczu kąpielowym, sam otworzył Koltowi drzwi i wprowadził go przez sień do

jasnej jadalni. Z przyległego pokoju dolatywały głosy kilku kobiet. Gomulka wyjaśnił: – Krewni przyszli w odwiedziny.

Pokój jego był umeblowany bardzo skromnie. Panował tu straszny, prawie pedantyczny porządek i czystość. Gdy Gomulka otwierał szafę, Holt zobaczył białą bieliznę równiutko poskładaną i porządnie ułożoną, buty ustawione w szeregu, a ubrania, dobrze wyszczotkowane, na wieszakach. Przypomniawszy sobie przy tej okazji bałagan u Wolzowa.

Wyszukali sobie w ogrodzie miejsce w cieniu. – Drzewa morelowe oblepione były dojrzałymi owocami. Gomulka powiedział: – Tego roku jest urodzaj na morele. Zerwiemy je dopiero wtedy, jak będą zupełnie dojrzałe, a nawet przejrzałe, bo wówczas można z nich ugotować marmoladę bez cukru. – Holt podniósł parę leżących opodał moreli, zjadł je i wyrzucił

pestki w krzaki. Rozleniwiony i zadowolony położył się pod drzewem. Gomulka zapytał: – Co robisz po południu?

– Umówiłem się z kimś. – Gomulka zapytał ostrożnie: – Czy to prawda, że ona... jest niezupełnie normalna?

– To jest wstrętne plotka, Sepp! To zresztą typowe dla Kuchler, tej głupiej kozy! – Dalej ciągnął już spokojniej: – Nawet nie wiem, dlaczego jestem na nią taki wściekły. Kiedy ją widzę, to mnie wprost ponosi... – Nagle sobie uświadomił: Ona jest takim żeńskim odpowiednikiem Zieschego i Branznera oraz wszystkich im podobnych. – Powiedz mi, Sepp – zapytał

w zamyśleniu – dlaczego właściwie zawsze mamy coś przeciwko takim, którzy są entuzjastami...

idei narodowosocjalistycznej? Jak ktoś przychodzi, ktoś całkiem obcy, to człowiek myśli sobie: sympatyczny chłopak! Ale ledwie otworzy usta, znów się zaczyna: rasa panów, bezwzględna wiara, fanatyczna wola, wciąż to samo. Ja to zaraz sobie myślę: Boże drogi, to przecież jeszcze jeden taki! A właściwie tacy ludzie jak Ziesche powinni być dla nas przykładem, z tym swoim...

ślepy fanatyzmem.

– Dla mnie osobiście – powiedział Gomulka w zamyśleniu – fanatyzm jest czymś... no, powiedzmy łagodnie, odstręczającym. Dlaczego? Z fanatykiem nie można rozmawiać. Fanatyk przypomina mi wściekłego buldoga. Nie śmieć się, Werner, tak jest naprawdę!

– Ale przecież właśnie fanatyzmu od nas żądają! – wykrzyknął Holt, – I właśnie dlatego, że mam skłonności do analizy, do rozkładania wszystkiego na czynniki pierwsze, zazdroszczę tym, którzy potrafią fanatycznie wierzyć. Dałbym nie wiem co za to, żeby móc stać się fanatykiem!

Byłoby mi o wiele łatwiej. Myślenie i filozofowanie wykańcza człowieka, Sepp! Bardzo bym chciał być fanatykiem.

Gomulka uniósł się na łokciach. – Wtedy nie mógłbym być twoim przyjacielem. Wyobraź

sobie, że coś mówię, a ty się zrywasz z roziskrzonymi oczyma i lecisz złożyć doniesienie... Już i tak

nie można być całkiem szczerym! – Opadł znowu na trawę. – Myślenie – powiedział

z niezwykłą u niego powagą – cię nie wykończy, jedynie głupie myślenie. Szukać trzeba, ale nie szukać głupio, żeby tak rzec, z zawiązanymi oczyma, w ciemnym pokoju...

Z zawiązanymi oczyma, w ciemnym pokoju, pomyślał Holt, tak, całkiem dobre porównanie, często rzeczywiście jest tak, jakby się błądziło po omacku w ciemnościach, i wówczas myślę sobie: ja tego nie rozumiem i nigdy nie zrozumiem... Czego ja w – tym jednym roku już nie przełknąłem. Barnimowie zaaresztowani, stary Ziesche robi w Generalnym Gubernatorstwie jakąś niesłychanie brudną robotę, Żydzi, którzy zniknęli niepostrzeżenie, są zabijani... jakże to się nazywa, chlorowęglań metylu czy jakoś tak, ojciec mi to mówił, a on jeszcze nigdy nie skłamał! Ale o tym nie powinienem nawet myśleć! Bo jakże ja przez to wszystko przebrnę, nie mając pewności ani żadnego oparcia. Co jest w ogóle jeszcze na tym świecie pewne?

– Może nie rozumiemy tych czasów – powiedział. – Ale teraz, gdy Rosjanie stoją u granic Prus Wschodnich, czy nie pozostaje nam przynajmniej to jedno: że walczymy za Niemcy?

Czyśmy do tej pory nie walczyli w Essen i Gelsenkirchen o życie kobiet i dzieci? Może to niewiele pomagało, ale *tego* się zawsze trzymałem: bronimy kobiet i dzieci!

– Tamci przecież też – powiedział Gomulka. – Jeżeli z tego założenia wychodzisz, to w ogóle nie dojdiesz do niczego. Jak myślisz, o co Rosjanie walczą? Pozwól sobie raz powiedzieć, jak SS od samego początku szalało w Rosji, co robiła żandarmeria polowa i wojsko!

Ziesche ci wyraźnie powiedział, że mamy prawo tępić Rosjan, bo to są bolszewicy. A teraz spróbuj wczuć się w takiego bolszewika, któremu może całą rodzinę rozstrzelano albo wywieziono na przymusowe roboty do Niemiec. Czy on nie walczy o życie żony i dzieci?

– Sepp... Mówisz to tak całkiem naturalnie! – wykrzyknął Holt. – Godzisz się z tym tak jakoś po prostu! A co wobec tego tobie pozwala się tak trzymać?

– Mnie? – powiedział Gomulka przeciągle i wymijająco. – To trudno powiedzieć, bardzo trudno...

Holt pomyślał nagle o tej obcej dziewczynie. Muszę znaleźć oparcie w jakimś człowieku, pomyślał. Może mogła być mi je dać Uta, ale ja, idiota, poleciałem do Gertie Ziesche, zamiast znaleźć sobie oparcie i punkt zaczepienia, musiałem przeżyć coś tak okropnego jak całkowite zobojętnienie mi bliskiego człowieka, tak straszliwe zobojętnienie, że jeszcze dziś robi mi się zimno, jak sobie o tym pomyślę.

– Chodź na obiad – powiedział Gomulka.

Na werandzie stół był nakryty do obiadu na osiem osób wykwinną porcelaną i srebrem.

Gomulka przedstawił Holta: – Mój przyjaciel Werner Holt. – Jego matka była postawną kobietą, jasnowłosą i niebieskooką. Holt wysłuchał nazwisk ciotek i siostrzenic. Adwokat doktor Gomulka, mimo że był mężczyzną około pięćdziesiątki, z przerzedzonymi już siwymi włosami i w ciemnych okularach, wyglądał jak sobowtór swojego syna. Powiedział uprzejmie: – Cieszę się naprawdę

bardzo, panie Holt. – Miał zwyczaj wymawiać niektóre słowa z przesadnym akcentem.

Na obiad była zupa morelowa, potem suflet z moreli, kompot z moreli, a zamiast kawy bardzo słaba, ale prawdziwa herbata i do tego ciasto nadziewane morelami. – Jak pan widzi –

powiedziała pani Gomulkowa – ogród żywi swego gospodarza. – Rozmowę przy stole prowadzili prawie wyłącznie Gomulka i jego ojciec. Dość prędko Holt wyczuł lekkie rozdrażnienie w tej rozmowie pomiędzy ojcem i synem. Z grzeczności odpowiadał raz po raz na takie czy inne pytanie, niecierpliwe pragnienie, żeby znaleźć się jak najprędzej sam na sam ze sobą, zgasło w nim dopiero wtedy, gdy zostali przy stole w ściślejszym gronie.

Krewni poszli sobie.

– Już dawno byłby pan u nas mile widziany – zaczął mecenas takim tonem, jakby mówił: Panie przewodniczący, panowie przysięgli! – Pozwoli pan, że będę z panem szczerzy. Wasza klasa miała straty, trzynastu zabitych, o ile jestem dobrze poinformowany... Jak pan sądzi, jakie macie widoki na przyszłość?

– Mieliśmy szczęście – odpowiedział Holt. – Gilbert Wolzow mówi zawsze, że niebo nie opuści starych wiarusów.

– Celowy optymizm – stwierdził mecenas – nie uważa pan? Pan pali? Proszę. Dziękuję, ja wolę co innego. – Zapalił fajkę.

Pani Gomulkowa, z filiżanką herbaty w ręce, powiedziała: – Każda matka chciałaby, żeby jej syn powrócił. – Gomulka zawołał porywczo: – Mamo! Miałaś już nigdy na ten temat nie mówić! – Pani Gomulkowa przywołała go do porządku: – Sądziłam, że cię lepiej wychowałam, na jaki ton ty sobie pozwalasz! – Holt przysłuchiwał się tej wymianie zdań z niesmakiem.

– Pański ojciec – zaczął znowu mecenas, zdejmując okulary – jeżeli dobrze jestem poinformowany, został usunięty... Daruje pan, że o tym mówię. Czy on nigdy z panem nie rozmawiał o perspektywach na przyszłość? Czy nie uzgodniliście panowie ze sobą pewnych zasad co do jakiegoś właściwego sposobu postępowania? – Zanim spojrzał znowu na Holta, wsadził najpierw na nos okulary.

Pewnych zasad? Właściwego sposobu postępowania? Holt odparował: – Mój ojciec jest dziwakiem, nie ma zupełnie zmysłu praktycznego... Sepp i ja, myśmy naturalnie już nieraz myśleli nad tym, jak powinniśmy postępować. Ale zawsze jakoś wychodzi z tego coś innego. Na przykład ta ciągła wojna z hamburczykami, zostaliśmy w nią przecież wciągnięci wbrew naszej woli.

Mecenas pykał niezadowolony fajkę. – Chcę, żeby mnie pan dobrze zrozumiał: jestem przeciwnikiem jakiś ustalonych norm postępowania. Jestem w ogóle przeciwko wszelkim normom. Absolutnie nie powinniście sobie stwarzać żadnego schematu. Istnieją na przykład żołnierze, których myśli wtłoczone są w schemat: Nigdy nie zgłaszać się na ochotnika! Ten jak i każdy inny schemat jest absolutnie zły. Człowiek musi mieć w sobie elastyczność. Chciałbym, żebyście wy, chłopcy, mieli tę elastyczność. Dzisiejsze czasy, albo lepiej teraźniejszość... nasza epoka w każdym razie zmusza do przewartościowania skostniałych zasad, czy jednostka tego chce, czy nie chce.

Holt miał uczucie, że mecenas razem z tymi swoimi słowami krąży dokoła niego jak kot dokoła miski gorącego mleka. Nie miał ochoty mu odpowiadać, czuł narastający w głębi duszy sprzeciw, sam nie wiedział dlaczego; działo się z nim w tej chwili to samo, co podczas Bożego Narodzenia u ojca.

– Pan wybaczy, panie doktorze, ja wcale nie wiem, czy tak jest, jak pan mówi. Podczas tegorocznej ofensywy Rosjan na środkowym odcinku frontu szczególnie właśnie podkreślano rolę każdego pojedynczego żołnierza, to znaczy żołnierza, który jest zdany na własną inicjatywę i samodzielne podejmowanie decyzji.

– Niewątpliwie! – powiedział mecenas z sarkazmem w głosie. – Przy czym ta swoboda działania dana mu jest tak samo niezamierzenie, jak już z góry była świadomie ograniczona.

– Ograniczona? Przez co? – zapytał Holt rozdrażniony.

– No... przez całkowite ukierunkowanie jednostki. Przez to właśnie, co ja nazywam obowiązującymi dziś normami. Walka aż do samozagłady na przykład, uważanie wszelkiej kapitulacji za sprawę niehonorową. I tak dalej.

– Jeżeli nie zachodzi bezwzględna konieczność – powiedział Holt wyzywająco – to moim zdaniem kapitulacja jest rzeczywiście rzeczą niehonorową. – Ale tak zupełnie przekonany o tym nie był. Czyż Sepp nie mówił: Podobno pułkownik Barnim ze swoim pułkiem skapitulował...?

Mecenas popatrzył na Holta badawczym spojrzeniem, zanim znowu zdjął okulary. –

*Persaepe accidit, ut utilitas cum honestate certet** [**Persaepe accidit, ut utilitas cum honestate certet* (łac.) – Często nie da się pogodzić korzyści z honorem.] – powiedział w zamyśleniu. –

Zrezygnujmy z wyjaśniania pojęcia honoru, którym pan tu szermował. Dobrze, dobrze... ma pan rację, to ja nim szermowałem. Wystarczyłoby doprawdy jedno pytanie, czy czuje się pan na siłach określić, kiedy ta „bezwzględna konieczność” zachodzi. Ale dajmy temu spokój.

Gilbert powinien tu być, pomyślał Holt poirytowany, on już by mu wyklarował, w jakich okolicznościach kapitulacja może być usprawiedliwiona! Cała ta rozmowa była dla niego bardzo przykra. Nagle wmieszał się Gomulka: – Daruj, papo, ale taka dyskusja do niczego nie prowadzi.

Tego rodzaju sofizmaty – powiedział podniesionym głosem – mogą dodawać pieprzyku konwersacji przy stole, ale dla nas nie są żadną ostoją.

– Nie, nie – odparł mecenas – zupełnie słusznie, oczywiście; że nie... Ale dopiero wtedy nie będzie żadnej ostoi, gdy nad głęboką rozterką wewnętrzną będzie się przechodziło do porządku dziennego.

– Przy czym jest całkiem prawdopodobne – zawołał Gomulka rozgoryczony – że pewne rozterki, na które długo musiałem patrzeć, podziały istotnie demoralizująco!

Mecenas zaciągnął się dymem z fajki i zmarszczył czoło. Pani Gomulkowa podniosła oczy i powiedziała chłodno: – Wydaje mi się, że w ciągu ostatniego roku całkiem inne rzeczy podziały na ciebie demoralizująco. – Gomulka zdenerwował się: – Dlaczego wy ani trochę nie macie

zrozumienia!

Mecenas wyjął fajkę z ust. – W decydujących sprawach – powiedział spokojnie, jakkolwiek z naganą w głosie – jeszcze nigdy nie widziałeś, żeby twoi rodzice mieli odmienne zdanie.

Twoja aluzja więc do tych pewnych rozterek zasługuje na to, żeby nazwać ją wysoce nietaktowną, w dodatku popełniłeś ten nietakt w obecności gościa. Est adulescentis maiores na tu vereri* [*Est adulescentis maiores natu vereri (łac.) – Młody człowiek winien jest starszym poszanowanie i posłuszeństwo.]. – Wyglądało na to, że to powiedzenie jeszcze bardziej rozgoryczyło Gomulkę, bo zawołał: – Stultus es... qui facta infecta facere verbis cupias!*

[*Stultus es... qui facta infecta facere verbis cupias (łac.) – Głupi jest... kto utożsamia słowa z czynami.] Zostaw te mądre maksymy, papo, twoja łacina, na Boga, już mi dziś naprawdę nie imponuje!

– A jeśli chodzi o ten nasz rzekomy brak zrozumienia dla twoich przeżyć w Zagłębiu Ruhry

– ciągnął mecenas dalej z niewzruszonym spokojem – to chcemy właśnie za ich pomocą rozszerzyć twoje horyzonty myślowe. Ale zostawmy to. Ja już z góry przewidywałem tego rodzaju rozdźwięk i nie mam ci tego za złe. Bo gdzie jak nie w domu możesz bezkarnie zmanifestować swój młodzieńczy bunt?

Dla Holta była ta scena bardzo przykra. Tak potulnie, jak tylko to było możliwe, powiedział:

– Państwo pozwolą, że się pożegnam. – Możliwe, że to on sprowokował tę niefortunną sprzeczkę przez to, że się stawiał. – Mój sprzeciw był zupełnie nie na miejscu – powiedział

szczerze – i wcale nie miałem racji. Często broni się publicznie rzeczy, które... tu w środku wcale nie są takie jasne! Może nawet broni się ich właśnie dlatego! Do widzenia, łaskawa pani.

Dziękuję, jakoś to będzie. Heil Hitler, panie doktorze!

Sepp odprowadził go do furki. Ciągle jeszcze był zdenerwowany. Holt powiedział

uspokajająco: – Nie bierz tego tak tragicznie, Sepp! Ja to znam! Z moim ojcem mam to samo.

– Ale cały nonsens polega właśnie na tym, że on ma rację! – wykrzyknął Gomulka. – Ma rację, tak jest! Ale nie mogę mu jej przecież tak po prostu przyznać, nie mogę!

– Trzymaj się, Sepp – powiedział Holt. – Sami musimy się przez to świństwo przebić!... –

Przez siedem piekieł, dodał w myślach.

Szedł aleją. Teraz już wreszcie koniec z tym zadręczaniem samego siebie. Ani myślę sam się wykańczać! Zapatrzeć się w jakiś wymaginowany punkt, pomyślał, i naprzód marsz!

Przy kortach tenisowych na wyspie parkowej przyglądał się przez chwilę grze jakichś dwu

dziewcząt. Potem czekał na moście. Było już po trzeciej. Oparł się plecami o drewnianą poręcz mostu, w samym słońcu, które prażyło tego dnia niemiłosiernie, i rzucił niedopałek papierosa do zgniłej, stojącej wody. – No przyjdź już – powiedział na głos. Bez przerwy spoglądał na zegarek i dziwił się, że minuty tak wolno mijają. Ten czas zupełnie zwariował! – Przyjdź! – powiedział

znowu. A kiedy wreszcie wyszła z wąskiej uliczki i skręciła na drogę wiodącą do wyspy, przeraził się i stał przy barierze bez ruchu, jakby go ktoś do niej przygwoździł. Szła wolno przez most, jak gdyby go wcale nie widziała. Dopiero gdy zawołał na nią po imieniu, przystanęła.

– Nie wiedziałam przecież wcale, czy bierzesz to na serio – powiedziała naiwnie i spojrzała na niego tymi swoimi wielkimi oczyma. – Byłam wczoraj śmieszna, nie? Musiałam sobie to wszystko dopiero przemyśleć.

– To *ja* byłem śmieszny – zaproponował. – Gadałem straszliwe głupstwa, więc nic dziwnego, że nie wzbudziło to w tobie zaufania. – Roześmieli się oboje; to rozproszyło resztki ich nieśmiałości. – Idziemy się kąpać? Moglibyśmy się też przejść.

– Jak chcesz – odparła.

Zaraz za gmachem sądu prowadziła droga polna pod górę i przechodziła potem w szeroką i cichą drogę leśną. Holtowi dokuczał upał, zdjął więc czapkę i zatknął ją sobie za pas. Na wzniesieniu owiał ich przyjemny orzeźwiający wietrzyk. Holt opowiadał to, co mu się akurat przypomniało, o owej „błyskawicznej akcji” Wolzowa przeciwko hamburczykom, wtedy przed urlopem gwiazdkowym. – Ten wysoki? – zapytała. – To twój przyjaciel? Myślałam, że on...

jest bez serca.

– Jak to rozumiesz? – zapytał zaskoczony. – Wczoraj, kiedy koło nas przechodzili –

powiedziała – spojrzał przecież na mnie. Wydawał mi się taki jakiś... bezwzględny.

– Ale jest wiernym przyjacielem – zaprotestował Holt, i powiedział to w taki sposób, jakby sam chciał to sobie wmówić. Opowiadał dalej i starał się całą sytuację, przedstawić jakoś obrazowo, jak to Wolzow rzucił akwarium na łóżko Günschego... – Straszne! – wykrzyknęła Gundel. – A rybki?

– Nie było żadnych rybek – skłamał Holt – tylko puste muszelki, kamyki i takie tam głupstewka.

– Jestem pewna, że on potrafiłby rzucić to akwarium nawet z rybkami – powiedziała Gundel.

Holt milczał. Ujrzał nagle przed oczyma Wolzowa, jak w gabinecie biologicznym karmi mrużącego kota złotymi rybkami Zickela...

Wchłonął ich las. Na cienistej drodze panował przyjemny chłód. Gdzieś w wierzchołkach drzew szumiały liście. – Nic jakoś nie mówisz. – Powiedział na to: – Zastanawiam się. Czy ja też jestem bez serca?

– Nie powinieneś czuć się dotknięty – powiedziała. – Nie chciałam przecież twojego przyjaciela

obrazić. – Wydawała mu się bardzo pociągająca, jakaś zupełnie inna niż wszystkie dziewczęta, które znał. – Oni mówili – zaczął ostrożnie – że szukasz samotności... że wszystkich unikasz... Dlaczego w takim razie mnie wczoraj nie odepchnęłaś?

– Unikam wszystkich – powtórzyła – tak, to prawda. Jedni nic nie wiedzą i gadają ciągle, żebym się wzięła w garść. Nie mogę tego znieść. Drudzy wiedzą tylko połowę i okazują mi litość, albo tylko tak udają. Litości nie znoszę. A w ogóle... nie pasuję do nich.

– A ja? – zapytał.

– Przy tobie – powiedziała w zamyśleniu – miałam takie uczucie, że ty... rzeczywiście o *mnie* myślisz.

– Nie rozumiem – odparł.

– Ja już wiem, co chcę powiedzieć. Nie umiem tylko tego odpowiednio wyrazić... Poza tym... jestem ci być może potrzebna.

W nagłym przypływie wzruszenia wyciągnął do niej rękę. Odsunęła się od niego, aż na skraj drogi, ale potem poszła za nim przez wysokie po kolana paprocie na skraj lasu, gdzie słońce padało na krzaki jeżyn. Żółte żyto ugięło się pod naporem wiatru, po drugiej stronie doliny, wśród wzgórz, wznosiła się ku niebu Krucza Skała. – Siadaj – powiedział – ziemia jest sucha, mrówek też tu nie ma.

Usiadła z podwiniętymi nogami na trawie i zaczęła skubać jakąś nitkę, która się jej wysnuła z sukienki. Holt wyciągnął się na ziemi i skrzyżował ręce pod głową. – Opowiedz mi coś. –

Widział, że się zastanawia. – Nie masz już rodziców? Opowiedz mi o swoich rodzicach. – Dość długo się wahała, zapatrzona gdzieś w czarne bazaltowe skały. – O ojcu nic nie wiem –

powiedziała wreszcie. – Ledwo go sobie przypominam. Miałam dopiero cztery lata, kiedy został zaaresztowany.

Zaaresztowany? Chyba nie jest dzieckiem przestępcy... Och, po co ja pytałem! pomyślał zmęczony... Obserwowała go z boku.

– To było w lutym 1933 – opowiadała. – Nigdy już nie wrócił, ale jeszcze długo potem żył, w obozie. Miałam już jedenaście lat, gdy przyszło zawiadomienie o jego śmierci, trzeciego sierpnia 1940. Moja matka nigdy nie mówiła o ojcu. Ale gdy przyszedł ten list, zrobiła się blada jak ściana. Jeszcze dziś słyszę każde jej słowo. „Milczałam – mówiła – bo myślałam, że będę mogła mu pomóc, aby wrócił... Ale teraz – powiedziała – teraz nie mogę już dłużej milczeć”.

Nie rozumiałam tego. W parę dni później stanęła wieczorem nad moim łóżkiem i powiedziała:

„Oplwali twojego ojca, i jeszcze oplwają twoją matkę, ale nigdy nie wolno ci uwierzyć w to, co będą o nas mówili”.

Gundel mówiła już tylko szeptem. – Od tego dnia zaczęło się jedno wielkie piekło. Często słyszałam, jak matka w nocy wychodziła z domu, mieliśmy przecież tylko pokój z kuchnią.

W grudniu, dokładnie dziewiątego grudnia, kiedy wróciłam ze szkoły, była już w domu policja.

Wypytywali mnie iypytywali bez końca, a potem zabrała mnie jakaś kobieta i biła mnie, żebym powiedziała, co wiem. Nic nie wiedziałam. Potem oddano mnie do zakładu dla bezdomnych dzieci. Wiosną sześciokrotnie skazali moją matkę na śmierć i niezwłocznie wyrok wykonali. – Umilkła. – Teraz już wszystko wiesz. Mnie też oplwano. W tym zakładzie były dziewczynki, co kradły i robiły jeszcze gorsze rzeczy, ale nawet one były lepsze niż ja.

I wszyscy na mnie wołali: „Ścierwo...” – Na twarzy jej malował się teraz wyraz zaciętości. – Idź!

Idź sobie! Nie potrzebuję nikogo. – Leżał bez ruchu i patrzył w rozstłoneczone niebo, aż go oczy bolały. – Nie mów o tym nikomu! – powiedział wreszcie. – Żeby tylko *tobie* się nic nie stało.

Twarz jego złagodniała. Powiedział cicho: – Nie wiem, jak długo jeszcze wojna potrwa. Nie wiem, co się właściwie na tym świecie wyrabia i co ze mną będzie. Czasami myślę sobie, że to wszystko jest tylko jakimś złym snem. Ale jeżeli wrócę z wojny, ty musisz jeszcze istnieć. Bo w przeciwnym razie nie miałbym dokąd iść. – Powiedziała na to: – Czy ty aby o mnie zaraz nie zapomnisz? – Zerwał źdźbło żyta i rzucił je na pole. – Nie. – Nagle roześmiała się. – Sądzę, że mogę ci teraz powiedzieć i to, co sobie przedwczoraj pomyślałam, wtedy na ulicy. – Popatrzyła na słońce, które stało już nad Kruczą Skałą, i zamrugła oczyma. – Pomyślałam sobie: Ten mógłby być moim bratem.

– Twoim bratem? – Holt zbaraniał, a ona zapytała jeszcze: – Nie chciałbyś być moim bratem?

Usiadł. Ale teraz widział już nie tylko jej twarz z wielkimi oczyma i dziecinnymi ustami, ale również jej gołe opalone ręce, dziewczęce piersi, których ciasna sukienka nie była w stanie ukryć, i małe stopy w drewniakach, wyglądające spod rozpostartej sukni – Nie. Nie twoim bratem – powiedział i zerwał się na równe nogi. – Chodź, już prawie wieczór. – Wyciągnął do niej ręce i pomógł jej wstać, przez chwilę stali bez ruchu naprzeciwko siebie, potem mu się wyrwała. Podążył za nią, szli przez las z powrotem do miasta.

Zmierzchało się. Pomiędzy drzewami panował już delikatny półmrok. Ścieżka rozwidlała się. Holt wybrał dłuższą drogę. Wśród krzaków stała ławka, pociągnął na nią Gundel i pochwycił

jej rękę. Potem posadził ją sobie na kolanach. Głowa jej spoczywała mu na ramieniu. Objął ją lewą ręką, a prawą odgarnął jej włosy z czoła. Zrobiło mu się jej jakby żal, powiedział; – Jesteś jeszcze taka młoda! – Odpowiedziała z zamkniętymi oczyma: – Ty przecież też! – Pocałował ją bardzo delikatnie. – Nie tak – powiedział – nie musisz tak mocno zaciskać ust! Twoje wargi powinny zupełnie miękko przylgnąć do moich... – Zaczęła się nagle śmiać: – Spróbuj jeszcze raz! – Pocałował ją znowu, zrozumiała. – Teraz było dobrze? – zapytała. Odpowiedział: – Nie mnie przecież powinnaś o to pytać, ty głupiutkie stworzenie, jeżeli ci sprawiało przyjemność, to było dobrze. – Nadstawiła znowu usta, zaczęło jej się to podobać. Przyciągnął ją mocniej do siebie. Bardzo ostrożnie, żeby jej nie przestraszyć, położył rękę na jej piersi. Chciała coś powiedzieć, ale mocno przycisnął jej twarz do siebie, a potem rozpiął jej sukienkę aż do paska; miała na sobie tylko kostium kąpielowy. Czuł

pod palcami jej ciepłą skórę, zsunął jej ramiączko od kostiumu z ramienia i koniuszkami palców delikatnie gładził wznórek jej piersi. – Boję się –

westchnęła. Ale swym nagim chłodnym ramieniem objęła go za szyję.

Opamiętał się i tak bardzo przeraził, że ją od siebie prawie odepchnął. – Co ci się stało? –

zapytała. Przyciągnął ją znowu do siebie i z ustami w jej włosach szepnął: – Nic. Podobasz mi się. Jesteś jak... elf. – Powiedziała ni stąd, ni zowąd: – Masz rację.

– Z czym mam rację?

– Że nie chcesz być moim bratem.

To go podbiło. – Jak się wojna skończy – powiedział – przyjdę i zabiorę cię. Jeżeli mnie do tej pory nie zapomnisz!

– Ja miałabym ciebie zapomnieć! – zawołała. Wstał, wziął ją na rękę i niósł parę kroków, a gdy ją stawiał na ziemi, leżała przez sekundę na jego piersi tak jak tamta mała dziewczynka w czerwonych bucikach. Przytulił się do niej bezradnie i ukrył twarz w jej włosach.

Szedł wolno krętymi uliczkami. Wolzowa nie było jeszcze w domu. Długo siedział przy otwartym oknie. Ta letnia noc była tak jasna, że widział nawet rzekę w dole.

Po północy z hałasem wtoczył się do pokoju Wolzow, zakurzony i spocony. – To był

diabelnie forsowny marsz! – Rzucił na stół jakieś ciężkie zawiniątko: – Nasze pukawki! – Skóra futerałów była wilgotna i pokryta pleśnią Holt ważył przez chwilę na rękę belgijski browning, te parę plamek rdzy na ciemnej stali można będzie z łatwością zetrzeć. Zapalili papierosa i zaczęli czyścić broń. Wolzow był jakiś dziwnie małomówny. – Co ci jest? – zapytał Holt. – Mnie? Nic –

odparł Wolzow. Odciągnął zamek u waltera, wprowadził nabój do lufy, wycelował w wypchaną kuropatkę i pociągnął za spust. Strzał huknął w małym pokoiku jak wystrzał z armaty, obłok dymu wyleciał przez otwarte okno na dwór. Wolzow rzucił pistolet na stół. W domu zrobił się ruch. Z dołu ktoś krzyknął: „Co się dzieje, na Boga!” Wolzow skoczył do drzwi i ryknął: –

Spokój! Bo w przeciwnym razie huknie jeszcze raz! – Potem usiadł z powrotem na łóżku. –

A ty? – zapytał skwaszony. – Byłeś u tej małej! Czy ona rzeczywiście jest nie tego...? To są tak zwane nerwice pourazowe, podczas wojny dość częste, „nerwice wojenne”, to są tylko anormalne reakcje, dawniej też się zdarzały, czytałem już o tym u Altgelda w *Służbie sanitarnej na froncie*. Najczęściej to tylko symulacja... Jak myślisz, co robiono z takimi podczas pierwszej wojny światowej w szpitalach polowych 16 korpusu? Aplikowano im forsowne ćwiczenia, trzy razy dziennie po cztery godziny, nie masz pojęcia nawet, jak to pomagało! W ciągu ośmiu dni likwidowano najcięższe nawet przypadki szoków, i ludzie po tych ośmiu dniach byli znowu zdolni do służby liniowej...

Gdy Holt leżał już na łóżku polowym i zasypiał, zobaczył jeszcze na wpół przez sen, że Wolzow znowu siedzi nad tymi czarnymi, oprawnymi w ceratę zeszytami i czyta je z zaszępioną, stężoną w jakiejś zaciętości twarzą.

Na drugi dzień rano około jedenastej obudziło Holta pukanie do drzwi. – Proszę zejść na dół, poczta przysłała i Listonoszka kazała im obu pokwitować odbiór. Holt spojrzął na kopertę.

Przeczytał tylko nadruk:

„Urzędowy, wolny od opłaty pocztowej”. Z uczuciem zawrotu głowy oparł się o futrynę drzwi.

Wolzow rozerwał kopertę i przeczytał na głos: – „Winien pan się...”, człowieku, to było wczoraj!... „zgłosić do RAD-u, jednostka 2/461...” – Poszli z powrotem na górę. Wolzow zaczął

prędko czyścić szczotką swój mundur. Listy były wysłane z Gelsenkirchen do baterii i stamtąd przekazane na adres Wolzowa. Wolzow komenderował: – Ty wstąpisz po Seppa! – Ale Holt już nie słuchał – biegł wąską uliczką w dół.

Odnalazł ów dom, otworzył jednym szarpnięciem bramę i zaczął iść po schodach na górę.

Ciemno tu było i śmierdziało stęchlizną. Na pierwszym piętrze klęczała Gundel i szorowała drewniane stopnie. Gdy go usłyszała, odwróciła ku niemu głowę. Twarz jej się rozpromieniła.

Była boso i miała na sobie szary fartuch. Zmieszana, odgarnęła ręką pasmo włosów z czoła.

– Wyjeżdżam – powiedział. – Muszę z tobą koniecznie jeszcze porozmawiać.

– Wyjeżdżasz? – zapytała skonsternowana. – Już dziś? – Na górze trzasnęły drzwi. Jakiś kobiecy głos zawołał: – Gundel! Z kim ty tani rajcujesz? – Holt widział, jak Gundel się przestraszyła, położyła ostrzegawczo palec na ustach i z wielkim pośpiechem wróciła do przerwanej pracy. Na schodach stało – jakieś wielkie, ordynarne babsko z potarganym włosom i rozsierdzone przechylało się przez poręcz. Kiedy babsztyl ujrzał Holta, zawołał spłoszony. –

Dzień dobry... czego pan sobie życzy?

– Heil Hitler! – krzyknął Holt. Poczekaj, już ja ci dam! pomyślał, trzaskając obcasami. –

Heil Hitler się mówi, a nie dzień dobry, co ta za obyczaje! – Twarz babsztyla zrobiła się czerwona z wściekłości. – Nie potrzebuje mnie pan...

– Widocznie tak! – krzyknął Holt z jakąś złośliwą satysfakcją i próbował naśladować kapitana Kutscherę – Słuchajcie, co to za zachowanie? Zupełnie jak bandyci! – Babsztyl rozżłoszczony zerknął w górę, gdzie otwarły się z hałasem jakieś drzwi, i powiedział: – Ależ niech pan nie robi... – Na schodach zadzwoniły podkute buty i przez poręcz wychylił się jakiś mężczyzna, krępy facet z siwą, przyszyroną bródką i łysiną; miał na sobie czarne bryczesy i wysokie buty, a przez siarkową koszulkę przebijała obrośnięta pierś. – Co się tu dzieje? –

zapytał.

Tylko wytrzymać. Teraz już wszystko jedno! Holt wrzasnął: – Co się tu dzieje? Ta kobieta przyjmuje człowieka tak, że można wprost myśleć, że się jest w jakiejś tam Polsce! Nic, tylko przywiązać do drzewa i siec batem! – To było właściwe zagranie. Facet w czarnych bryczesach powiedział groźnie: – Znowu musiałaś wyjechać z tą twoją niewyparzoną gębą... Jazda, zabieraj się! – A do Holta: – Tylko spokojnie, kolego... O co ci chodzi? – Teraz w nogi, pomyślał Holt, planowo oderwać się od nieprzyjaciela! – Chcę odwiedzić rodziców poległego kolegi –

powiedział. – Nadlerowie, to musi być chyba gdzieś tutaj.

– Nadlerowie? – powtórzył facet na schodach i zaczął się zastanawiać. – Coś ci się chyba pomyliło, boś trafił w niewłaściwe miejsce, ale pozwól na chwilę na górę. – Holt zawahał się.

Ciekawość jednak przemogła i popchnęła go na schody.

Po wielkiej kuchni uganiało się pięcioro dzieci, szóste leżało w koszu przy oknie. Facet wdział czarny mundur SS i powiedział do dzieci: – Hagen, Wulf, uciekajcie... Ty też, Annegret, i zabieraj małych ze sobą, jazda, prędko! – Potem opadł na kanapę: – Siadaj! – Holt studiował

jego dystynkcje. Najwyższy czas, żeby stąd zniknąć. – Proszę mi wybaczyć unterscharführer, nie mogłem oczywiście wiedzieć...

– Siadaj najpierw – powiedział facet. – Już dobrze, masz przecież rację, bo babsko zupełnie się mnie nie słucha, czego to ja już nie próbowałem! Powiedz mi przede wszystkim, skądś się tu wziął?

– Z Gelsenkirchen – odparł Holt lakonicznie.

– No tak, prawda! Chłopaki stąd są teraz przecież wszyscy tam... A jak u was teraz wygląda?

– Jak ma wyglądać – powiedział Holt. – Pracuje się, pomimo bomb, ludzie są zawzięci.

– No więc – powiedział facet uspokojony. – A tu już chodziły słuchy, nie masz nawet pojęcia... o demoralizacji i tak dalej... Nasza dziewczyna udaje nie wiadomo co, tylko dlatego, że ją trochę w Schweinfurcie łupnęło... Ale ja już dawno ją przejrzałem... robić jej się nie chce, ścierwu! Kto jak kto, ale ty chyba najlepiej wiesz, jak tam jest. – Holt podniósł się z kanapy. –

Dostałem dziś powołanie do RAD-u, to chyba musi być gdzieś w Protektoracie, w Słowacji.

– W Słowacji? A to ci się dostał ładny ką! – Facet pokiwał współczująco łysą pałą. – Ci tam na południu są diabelnie beczelni... napady na pociągi, wysadzanie mostów w powietrze i tym podobne rzeczy, aby naprzód! rozzuchwalają się coraz bardziej, a Rosjanie zrzucają im tam jeszcze nocami desanty na spadochronach... No, ale nasi wezmą się teraz za nich i prędko się z nimi załatwią, to pójdzie raz-dwa.

– Przedtem muszę jeszcze wstąpić do urzędu ruchu ludności, po ten adres – powiedział Holt

– mam już tylko bardzo mało czasu...

– No to złam ręce i nogi, bracie! – powiedział facet i odprowadził Holta do drzwi. – Uszy do góry!

Hagen – zawołał – Wulfi, Annegret, Heidrun, możecie już wejść!

Holt zbiegł na dół. W przelocie uściskał Gundel rękę. – Zaraz po trzeciej... znowu na moście, dobrze? – Kiwnęła głową. Holt znalazł się na ulicy, stał chwilę przed domem, wstrząśnięty i wzburzony. Po drodze do Gomulki myślał gorączkowo: Ona musi stamtąd odejść!

U Gomulków nikt mu nie otwierał. W mieszkaniu ryczało radio, muzykę słyszeć było aż na ulicy. Holt dzwonił i pukał, ale nikt się nie zjawiał. Dostał się do mieszkania przez ogród – drzwi od werandy były otwarte. – Sepp! – Wszedł do sieni. Radio ryczało tak głośno, że dzwonił nawet wazon stojący na oknie. Nagle muzyka umilkła. W ciszy, jaka teraz zaległa, Holt usłyszał przez nie domknięte drzwi jadalni głos Gomulki, Gomulka mówił jakimś obcym językiem, powoli i z naciskiem. A teraz głos mecenasa: „Chorwacki sprawia ci najwięcej trudności, musisz co wieczora powtarzać sobie w myślach! A teraz jeszcze raz to samo po rosyjsku!” Dziwne, pomyślał Holt, rzeczywiście dziwne! Znowu usłyszał głos Gomulki wymawiający obce, naszpikowane spółgłoskami słowa...

– Sepp! – zawołał Holt. W tym samym momencie radio znowu zaczęło grać. W drzwiach ukazała się pani Gomulkowa. – Bardzo panią przepraszam, ale dzwoniłem, pukałem, wołałem...

– Wprowadziła go całkiem zwyczajnie do jadalni. – Spodziewaliśmy się pana. Jak pan sądzi, kiedy musicie jechać?

– Jeszcze dziś – powiedział Holt. – Chodź, Sepp, idziemy do Wolzowa! – Gomulka poszedł się ubrać. Holt usiadł przybity na krześle. Ona musi stamtąd odejść, rozmyślał. – Panie doktorze

– po wiedział, decydując się nagle – czy mógłbym pana prosić... o chwileczkę rozmowy?

Mecenas wymienił z żoną spojrzenie. – Ależ naturalnie! – Wprowadził Holta do swojego gabinetu. Przy ścianach stały półki z setkami książek. Holt, w fotelu klubowym, czuł się bardzo onieśmielony. W co ja się znowu wdaję?

– Ja w sprawie... wczorajszego dnia – zaczął jękając się. – Doszedłem do wniosku... Chcę powiedzieć, że czasami można się tak strasznie mylić, ale z panem chyba mogę...

– Ależ proszę pana! – przerwał mu mecenas. – O tej drobnej sprzeczce nie warto nawet mówić... To nam powinno być przykro, a nie panu! Pomiędzy ojcami i synami dochodzi czasem do rozdzwiewku, ale to przecież jeszcze nic nie znaczy. – I mecenas wstał. – Pan mnie źle zrozumiał – powiedział prędko Holt. – Ja chciałem tylko panu wytłumaczyć, dlaczego akurat do pana... dlaczego się akurat panu... to jest... kwestia zaufania.

Doktor Gomulka ponownie usiadł. – No śmiało! Niech pan mówi bez ogródek! Pan wie, że jestem w partii, ale niech pana to nie peszy, nie ma się czego obawiać. Z drugiej strony... mogę pana zapewnić,

że wysłucham pana tak, jakby był pan moim rodzonym synem.

– Mam tutaj przyjaciółkę – powiedział Holt i spojrzał na mecenasa, bo bał się w skrytości ducha, żeby go nie wyśmiano. – To bardzo młoda dziewczyna. Nazywa się Gundel Tiess.

– Tiess, Tiess? – powtórzył mecenas. – Chwileczkę, niech pan poczeka. Coś sobie przypominam. Nie ma się pan wcale co dziwić, znam tu prawie wszystkich. Tiess. Tak, była kiedyś taka sprawa, chodziło o wyznaczenie przez sąd opiekuna...

– To się może zgadzać – podjął Holt skwapliwie – bo ona już nie ma rodziców...

– Przypominam sobie teraz całkiem dokładnie. Straciła oboje rodziców wskutek...

rzeczywiście nieszczęśliwych okoliczności. Niedawno wyznaczono jej nowego opiekuna. Czym mogę panu służyć?

– Byłem dziś tam, gdzie odrabia roczny nakaz pracy – powiedział Holt powoli. Mecenas znowu mu przerwał: – Czy jest pan poinformowany co do tych... wypadków, które pociągnęły za sobą śmierć jej rodziców? Tak? Wobec tego pozwolę panu, że zadam panu najpierw pytanie: czy zamierza pan z tego powodu zerwać z tą dziewczyną?

– Jeżeli tego pan ode mnie oczekuje – powiedział Holt ochryłym głosem i poczuł się rozczarowany – to...

– Nic, absolutnie nic nie oczekuję – odparł mecenas spokojnie. – Pytam tylko. A więc nie zamierza pan zerwać. To się zgadza wobec tego z tym, co Sepp o panu mówił. A teraz dalej.

Proszę.

– Byłem tam dzisiaj. Nie potrafi sobie pan nawet wyobrazić, co to za środowisko i co to za ludzie...

– Potrafię sobie wyobrazić – powiedział mecenas. – Znam tego pana. Zatrudniony jest w specjalnym oddziale więzienia. Cieszy się nawet sławą... przykładnego narodowego socjalisty.

Ponadto jest opiekunem tej dziewczyny. Pewne usiłowania, aby do tego nie dopuścić, spełzły przy tym stanie rzeczy na niczym.

– Czy nie można by jej stamtąd zabrać? – zapytał Holt. – Czy nie można by jej jakoś pomóc?

– Nie – odpowiedział mecenas szczerze. – Jura noscit curia* [*Jura noscit curia (łc.). –

Dosłownie: Sąd zna wymogi prawa.]. Niech mi pan wierzy, nie ma żadnych możliwości, absolutnie żadnych, przynajmniej na razie. Istnieje wiele takich albo podobnych wypadków –

powiedział i spojrzał w wyłożony drzewem sufit. – Istnieją rzeczy daleko gorsze. Może się pan jedynie przyłączyć do tej wielkiej rzeszy czekających.

– Czekać – powiedział Holt – na co?

Mecenas przejechał ręką po swych rzadkich włosach. – Credo rem integram restitutum iri*

[*Credo rem integram restitutum iri (fc.) – Spodziewam się, że wszystko powróci do dawnego stanu.]
– wyszeptał. Potem blado się uśmiechnął i powiedział: – Aż książkę z bajki uwolni nasze zaczarowane dziewczę!

Sepp otworzył drzwi i zajrzał do gabinetu. Holt podniósł się z fotela. – Bardzo panu dziękuję, panie doktorze. – Mecenas powiedział jeszcze: – Niech się pan nie martwi, drogi Wernerze Holt. To dziewczę nie jest aż tak opuszczone, jak pan sądzi. – I odprowadził obu chłopców do furki ogrodowej.

Holt zaczął się zastanawiać nad tym, co usłyszał. Niektóre słowa mecenasa były dla niego niezrozumiałe. Powiedział do Gomulki: – Masz wspaniałego ojca, Sepp! – Gomulka odparł

w zamyśleniu: – Tak... Ja też tak uważam. Tylko czasami... wydaje mu się wszystko zbyt proste.

A w rzeczywistości wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane.

Wolzow siedział pośrodku tego bałaganu, jaki panował w jego pokoju, i czytał czarne zeszyty. Jego plecak stał już zapakowany przy drzwiach. Powiedział: – Mamy pociąg o osiemnastej przez Pragę. Ta dziura leży na granicy słowackiej. Być może, że rzucą nas do akcji przeciwko partyzantom. Telefonowałem do Essen, Gottesknecht kazał was pozdrowić. Nie patrz tak głupkowato, Sepp, tylko wal do domu! Punkt czwarta spotkamy się w kawiarni na rynku.

Gdy Gomulka poszedł, Holt powiedział: – No to nasz urlop diabelnie prędko się skończył. –

Wolzow palił cygaro i w milczeniu czytał dalej. – Te pamiętniki – mówił dalej Holt – też by mnie interesowały. Tam muszą być chyba jakieś niesamowite rzeczy, nie? – Wolzow przekrzywił głowę na bok. – Jak to rozumiesz? – zapytał. – Co to ma niby znaczyć?

Holt spojrział na niego zdumiony: – No... nic! Tylko tak sobie powiedziałem! Twój ojciec był pułkownikiem, to chyba musi być interesujące, co on tam pisze! – Przysunął swój plecak do drzwi. – Poczęstuj mnie też cygarem. Dziękuję. – Zapalił. – Miałbym ochotę o wielu rzeczach z tobą porozmawiać. Na przykład... ten zamach. Ja ciągle jeszcze tego nie rozumiem.

Wolzow zerwał się na równe nogi i popatrzył Holtowi uważnie w twarz, ale potem schylił

się i wyciągnął spod stołu butelkę czerwonego wina. – A teraz posłuchaj – powiedział

napelniając kieliszki. – Teraz ja ci coś powiem. – I wykrzyknął: – Wolzowowie brzydzą się tymi zdrajcami! Wolzowowie dochowają swojemu Wodzowi wierności!... Mój stryj jest od 1930

w partii, a od 1742 jesteśmy wszyscy oficerami, i jeszcze żaden z nas nie złamał przysięgi! –

Trzymał w ręku zeszyty ojcowskiego dziennika. I teraz rzucił je na stół z takim impetem, że aż wino z

kieliszków się rozlało. – Wolzowowie stoją murem przy Führerze – zawołał i uderzył

dłonią w czarne zeszyty – i dają przykład niezłomnej żołnierskiej postawy! Zaczyna się teraz dla nas nowy etap, teraz sprawa jest poważna! Daj Boże, żeby wojna potrwała jeszcze ze dwa lata, a wtedy zobaczysz, co znaczy niemiecki oficer.

On wie czego chce, pomyślał Holt, choć nie zupełnie rozumiał, dlaczego Wolzow tak się podnieca. Wszystko albo nic, połowiczność niech diabli wezmą! Wypili. – Za braterstwo broni!

– zawołał Wolzow. Podał Holtowi parabellum. – Tylko się tym nigdzie nie chwal, dopóki nie będziemy w akcji.

Holt spojrział na zegarek. Wziął kartkę papieru i napisał na niej adres swojego ojca. – Weź

mój plecak też – poprosił Wolzowa – ja przyjdę trochę później. – I pognął ulicami na wyspę parkową.

Czekał dłużej niż pół godziny.

– Muszę pilnować dzieci – powiedziała Gundel, zupełnie bez tchu od szybkiego biegu. –

Mam tylko dziesięć minut czasu... – Pociągnął ją przez most do parku i zaczął jej udzielać ostatnich wskazówek. – Pamiętaj o wszystkim, co ci powiedziałem: ja wrócę! Będę do ciebie pisał na posterestante, zaglądaj tam od czasu do czasu. Pisz do mnie, jak tylko będziesz mogła, dobrze? A tu... jest adres mojego ojca. – Przeczytała kartkę. – Doktor Richard Holt?

– Jest profesorem. Ale teraz ma bardzo nędzne stanowisko, ponieważ... Nie mam z nim prawie żadnego kontaktu. Ale gdybyś kiedykolwiek w życiu tam się znalazła, to powiedz, że się znamy. Możesz mu wszystko powiedzieć, on ci wtedy na pewno pomoże. – Wziął w obie dłonie jej rękę, tę popękaną, spracowaną rękę dziecka. – Bądź zdrowa, Gundel! – Powiedziała: –

Wracaj, Werner... I nie bądź taki... taki, jaki byłeś dzisiaj rano!

– Ja przecież grałem komedię! – zawołał. – Małpowałem mojego kapitana.

– Wiem – powiedziała. – Ale trochę z tego też w tobie jest. Poczuł uścisk jej ręki. Odwróciła się od niego. Przywołał ją jeszcze raz do siebie, wyciągnął z górnej kieszeni munduru malutkie pudełeczko i złożył krzyżyk od Uty, razem z łańcuszkiem, w jej ręce. – Dostałem to przed rokiem w podarunku od jednej dziewczyny, która już chyba nie żyje...

Patrzyła długo na czerwone złoto i odczytała szeptem datę: – Tysiąc sześćset dziewięćdziesiąt dwa...

– Przeczytaj, co tam pisze – poprosił. Przesylabizowała malutki, wygrawerowany ozdobnymi literami napis i odeszła.

Szedł przez park i patrzył na drugą stronę rzeki.

W kawiarni Wolzow i Gomulka siedzieli z dziewczynami. Wurm też był z nimi. Wolzow trzymał wielką mowę, był podchmielony. Gomulka miał twarz zaczerwienioną. Wolzow wrzeszczał: – Stara daje tylko piwo!... No to stammführer Wurm poleciał do domu i przyniósł

flachę! Jesteś jednak porządny chłop, Wurm! – I klepnął Wurma mocno po ramieniu. Wcisnęto Koltowi kieliszek do ręki... Ktoś zawołał: – Toast! – Wolzow zerwał się i wrzasnął, że aż żyły mu nabrzmiały na czole: – Gdy krew cię zboczy, stanę za dwóch, śmierć zajrzy w oczy, jam też twój druh!

– Musimy już iść na dworzec – przypomniał Gomulka. Kufel od piwa spadł ze stołu i rozbił się w kawałki. Holt zarzucił plecak na ramiona. Hełm dzwięknął o krzesło. Zapatrzyć się w jakiś wyimaginowany punkt, tam, powyżej drzwi, i: naprzód marsz!

W pociągu Wolzow wyjął z plecaka mapę. – Trzeba zapoznać się z tą miejscowością. Marna okolica! Góry, lasy, głębokie wąwozy. W sam raz na gerylasówkę! Dobrze, że choć wziąłem ze sobą klasyczne dzieło Bogusławskiego o piechocie!

Księga druga

W połowie września utrzymywało się jeszcze w północno-zachodnich Beskidach łagodne późne lato.

Gomulka powiedział do Holta: – Właściwie nie powinniśmy się uskarżać. Pamiętasz, jakieśmy podczas szkolenia w artylerii przeciwlotniczej rozmawiali o tym, po kiego diabła jest ten cały ogłupiający dryl? Po to, żebyśmy zatęsknili za frontem.

Siedzieli razem w latrynie – jedynym miejscu, gdzie można było spokojnie zamienić parę słów. Gomulka był od czasu urlopu milczący i zamknięty w sobie. Palili papierosy. Nad obozem zapadał już zmierzch.

– Masz rację – odparł Holt. Essen miałem już po dziurki w nosie, pomyślał, a teraz wolałbym być tam niż tu. Wszystko, co nas może jeszcze spotkać, będzie sto razy lepsze niż ten obóz!

Chodziły już słuchy, że niedługo rzucą ich do akcji. Z początku każdy myślał z niepokojem i strachem o tej akcji, a dziś mało było już takich, którzy by sobie jej nie życzyli. – Człowiek diabelnie prędko wszystko zapomina – powiedział Holt. – Któregoś dnia jeszcze zatęsknimy za tym obozem! – Dotychczas trafialiśmy za każdym razem z deszczu pod rynną – powiedział

Gomulka. Holt zaciągnął się papierosem. – Gottesknecht to był jednak fantastyczny przełożony!

– W ogóle cała ta artyleria przeciwlotnicza: – to były cudowne wczasy – odparł Gomulka. –

Tam nas przynajmniej jeszcze traktowano jak ludzi. – Holt kiwnął głową.

Tu od piątej rano do siódmej wieczór dokładnie wyliczony i ściśle przestrzegany rozkład zajęć wyczerpywał chłopców do ostateczności. Holt jakoś to wytrzymywał, był zdrowy i silny, przystosował się do tego, że obervormann Schulze gania go po dwadzieścia razy z karabinem i ekwipunkiem polowym na tor przeszkód, i traktował te wszystkie szykany jak zaprawę sportową. Tylko hart, myślał, pozwoli mi znieść wszystkie trudy wojenne! Ale ton, jaki tu panował, te wszystkie szykany, ten wymyślny, a przy tym prymitywny system łamania woli jednostki, doprowadzał go do rozpacz.

Obóz mieścił się na terenie jakiegoś ogrodnictwa i okolony był wysokim murem z cegły.

Przy samej bramie stał duży barak administracyjny, z wartownią, aresztem i mieszkaniem dla kadry. Za nim rozpościerał się plac zbiórek, sto metrów kwadratowych, wysypanych żużlem.

Ogrodnictwo, rozciągające się wokół trzech baraków mieszkalnych, przekształciło się w teren ćwiczeń z torem przeszkód, rowami wypełnionymi wodą, polowymi, urządzeniami inżynieryjnymi, ukryciami, rowami strzeleckimi i zaporami z drutu kolczastego. Junacy RAD-u przechodzili szkolenie wojskowe. Łopatę wyparł karabin.

Holt wraz z Gomulka, Wolzowem i Vetterem należał do drużyny obervormanna Schulzego i mieszkał razem z nimi w wielkiej, nieprzytulnej izbie jednego z baraków, w jakiej zakwaterowywano zwykle

piętnastu junaków razem z starszym izby. Do tej samej drużyny wcielono jeszcze paru innych uczniów z baterii i byłej klasy Holta.

Obervormann Schulze był to drab jak byk, w wieku lat dwudziestu. Czoło nad bezmyślną, tępą twarzą uciekało mu jakoś płasko do tyłu. Wodniste oczy, pozbawione wszelkiego ludzkiego wyrazu, patrzyły na człowieka z taką zwierzęcą tępotą, że Holt nie mógł „pozbyć się uczucia, iż ma do czynienia z ubraną małpą. To deprymujące wrażenie wzmagały jeszcze nieproporcjonalnie długie ręce, pokryte węzłami mięśni, i niezwykle obficie owłosione ciało, które rano przy myciu ciągle na nowo napełniało Holta wstrętem. Inteligencja obervormanna wystarczała akurat do przekazywania otrzymywanych z góry rozkazów; przekazywał je na dobitek jakimś dziwnie zduszonym, charczącym głosem, który czasami przechodził w ochryply ryk. Miał wykuty na pamięć parę przepisów regulaminu i tylko nimi się posługiwał, mimo to przy całym swym ograniczeniu umysłowym nie był pozbawiony przebiegłości, a przy tym był

bezwzględny i niesprawiedliwy. Prześladował swoją podejrzliwością i nienawiścią każdego, kto tylko był choć trochę od niego inteligentniejszy.

Tego wieczora przyczepił się do Vettera. Christian Vetter nie był już gruby i pulchny, wyrósł i przewyższał teraz wzrostem Holta. W ciągu tych sześciu tygodni bardziej niż Holt i Gomułka przyzwyczał się do ordynarnego tonu i przyswoił sobie cały szereg nawyków, których jeszcze w artylerii przeciwlotniczej na pewno by się wstydził. Bekął głośno po jedzeniu, puszczał bez żenady bąki i świnił okropnie razem z innymi, gdy mowa była o kobietach, co było dla Holta tym bardziej wstrętne i głupie, że Vetter ciągle jeszcze rumienił się na widok każdej istoty płci żeńskiej.

Obervormann Schulze w swoim ubóstwie słownikowym posługiwał się ciągle dwoma tymi samymi wyzwiskami: „ty bydlaku” i „ty szczyłu”. Holt uważał, że określenie „bydlak” pasuje najlepiej do samego Schulzego, kiedy tak stał przed nimi, pochylony do przodu, z wysuniętą naprzód martwą twarzą i długimi rękami, wspartymi na biodrach. – Ty szczyłu! – ryknął na Vettera tym swoim zduszonym, charczącym głosem. – Ja cię tego jeszcze oduczę, a teraz padnij, prędko, ty bydlaku, dwadzieścia razy, ja ci dam się ze mnie śmiać! – Vetter rymnął posłusznie na podłogę i liczył głośno każde „padnij”: – Raz... dwa... trzy...

Holt rozebrał się i pieczołowicie składał swoje ubranie w kostkę. Niepotrzebnie zadają sobie tyle trudu, myślał przy tym. To i tak jest loteria, komu się dostanie! Prawie wszyscy leżeli już na siennikach, brakowało jeszcze tylko Wolzowa. Holt wdrapał się na swoje łóżko. Wolzow zdobył

sobie tu wyjątkową pozycję. Dla oka trzaskał przed Schulzem obcasami jeszcze głośniej niż inni, ale pod przykrywką tej subordynacji pełnił faktycznie rolę suflera i podpowiadał

obervormannowi w sprawach służbowych wszystko, co mogło podnieść wartość drużynowego w oczach przełożonych. Wolzow pomagał Schulzemu dorabiać się opinii, że jego drużyna jest najlepsza w całym oddziale. Wolzow organizował zajęcia służbowe, a obervormann wydawał

jedynie rozkazy, przy czym wyrażał za pomocą tego swojego ubożuchnego słownika tylko to, co Wolzow uprzednio przemyślał. Faktycznym dowódcą drużyny był właściwie Wolzow. Schulze

chętnie się temu poddawał i miał złudzenie, że to on jest przełożonym, a Wolzow swojego rodzaju adiutantem. Jediną rzeczą, na którą Schulze zdobywał się samodzielnie, było wymyślanie, wrzask i szykanowanie ludzi.

Od czasu urlopu Wolzow był ponury i zamknięty w sobie, co Holt składał na karb panującego tu drylu. Kto wie, czy ja też się tak nie zmieniłem.. Holt palił papierosa, choć palenie w łóżku było zabronione. Nie mógł się zdecydować, żeby go zgasić. Vetter i jeden płowowłosy, poczciwy chłopak ze wsi, z Harzu” mieli dyżur i pilnie zamiatali naoliwioną drewnianą podłogę. Obervormann siedział w ubraniu przy swoim stoliku obok drzwi. Wreszcie z hałasem wszedł do izby Wolzow. Przepisywał w jadalni rozkład zajęć i wręczył go teraz Schulzemu. Obervormann zawołał: – Przeczytam wam teraz rozkład zajęć na jutro! – po czym oddał z powrotem papier Wolzowowi. Wolzow zaczął czytać: – O 5.00 pobudka. Od godziny 5.20 do 5.29 śniadanie. O 5.30 apel poranny. Od 6 do 8.45 musztra. Od 9 do 10.44 wykład o broni: pancerfaust. Od 10.45 do 10.50 przerwa. Od 11 do 11.55 wykład dla całego oddziału: Jak ustrzec się chorób wenerycznych grupy II. Od 12 do 12.45 obiad, potem cisza poobiednia.

O 13.30 zbiórka i wymarsz na ostre strzelanie z karabinu. Strzelanie nr III i IV. O 20 kolacja.

O 21 cisza nocna. – Wolzow pochylił się nad Schulzem i szepnął mu parę słów. Obervormann zawołał: – Strzelanie nr IV odbywać się będzie w maskach przeciwigazowych, do jutra rana zameldować mi, komu potrzebne są nowe tarcze! – Holt chował papierosa w skulonej dłoni.

Schulze nigdy by na to nie wpadł! Jeżeli te bubki coś przeoczą i dadzą się nabrać, to potem, gdy się to wyda, jest zaraz piekło!

Schulze podał im jeszcze do wiadomości porządek dyżurów: – Wenskat i Huber... Żebyście mi tylko wcześniej wstali i polecili zaraz po kawę. – Chodził od łóżka do łóżka, za dziesięć minut zaczynał się obchód izb. – Gomulka, naturalnie jak zwykle, to ma być ubranie złożone w kostkę, to jest głównie nie kostka, wstawaj, ty bydlaku, przez was znów wpadnie cała drużyna.

– I rozrzucił części garderoby Gomulki po całej izbie. Gomulka wyskoczył bez słowa z łóżka i pozbierał swoje rzeczy.

Holt wreszcie zgasił papierosa i już bardzo senny powtórzył sobie w myślach rozkład jutrzejszego dnia. Musztra, normalna codzienna udręka. Ćwiczenia z bronią, pancerfaust, to może być interesujące. Wykład dla całego oddziału, znowu te choroby weneryczne, ale ta jedna godzina prędko zleci. Potem wymarsz na strzelnicę, rozpacz, to wieczne maszerowanie.

Schulze, na straży przy drzwiach, składał meldunek: – Izba piąta gotowa do przeglądu!

Jeden obervormann plus czternastu junaków! – Unterfeldmeister Böhm, dowódca plutonu, przeprowadzał jako „inspekcyjny” wieczorną kontrolę baraków. Musiał być w dobrym humorze, bo zwykle zaraz od drzwi zaczynał ryczeć: „Śmietnik! Świński chlew!” Dziś wszedł bez słowa do izby. Może da nam spokój, pomyślał Holt. Ale właśnie już się zaczęło: – Pokazać nogi! –

Holt wystawił nogi z łóżka. Gomulka wyskoczył przed chwilą boso na naoliwioną podłogę i potem

przetarł sobie tylko stopy onuca. – Wieprz, brudas! – wrzasnął unterfeldmeister. –

Schulze, obejrzyjcie sobie tylko tę świnię!

– Wstawaj, ty bydlaku! – ryknął Schulze. Gomulka wciągnął spodnie i pobiegł do umywalni.

Böhm stał niezdecydowany na środku izby. Teraz się zastanawia, czy na dziś już dość, pomyślał Holt i zobaczył, że unterfeldmeister myszkuje wzrokiem po izbie... Teraz się zacznie, teraz na pewno coś znajdzie! – Co to takiego jest? – wycedził Böhm. – Karabin bez pokrowca? –

I ryknął: – Czyj to karabin? – Holt wychylił się z łóżka, żeby zobaczyć stojak z bronią: Dzięki Bogu nie mój! Ktoś wyskoczył z łóżka. – Ty kopnięta w mózg kreaturo! Ty głupie bydle! Ty idioto! – Teraz jest w swoim żywiole, teraz będzie szalał! – Pięćdziesiąt przysiadów, karabin przed sobą, ja was nauczę, jak należy obchodzić się z bronią, ty ślepiate straszydło! – Ma talent do wynajdywania ciągle nowych wyzwisk, pomyślał Holt. – A to co? Kurz pod stojakiem z bronią! A tam: niedopałek w popielniczce, Jezus, Maria, Józefie święty, pet! – Teraz da dopiero dyżurnym, pomyślał Holt, biedny Christian! I ogarnęła go wściekłość. Tego papierosa zgasił przecież Schulze, kiedy Böhm wchodził do izby! – Brudy, wszędzie brudy! – szalał

unterfeldmeister. – Te gnoje srają pewnie jeszcze po kątach, bo to przecież stajnia, świński chlew, śmierdzący małpi sracz, psiakrew! – Cisza. – Wszyscy na dwór, prędko na dwór, wszyscy! – Holt wyskoczył z łóżka, cztery, pięć ruchów i już by! ubrany, już sznurował buty. –

Schulze! Piętnaście minut nocnej musztry, ale na trzecim biegu. I żebyście mi pamiętali o żabce!

– I znowu ryk: – Będziecie skakać tak długo, aż się wam pępek spoci! Holt wypadł na dwór w ciemną noc i biegł wolno przed siebie, dopóki Schulze nie wrzasnął swoim zduszonym głosem: – Bacność! – Biegali po ogrodnictwie gęsiego w kierunku toru przeszkód. Skakali po żuźlu żabką, z rękoma wyciągniętymi w przód, potem czołgali się na brzuchu, było ciemno, więc można było szachrować. Z powrotem do izby: ręcznik, mydło, do umywalni. Teraz da nam już pewnie spokój, teraz jest usatysfakcjonowany!

Wśliznęli się do łóżek. Unterfeldmeister stał na środku słabo oświetlonej izby. Ja was nauczę porządku! – mówił nieomal łagodnie. – Ja wam pokażę, co to jest czystość, wy nieokrzesane prosiaki, ja was jeszcze wyprowadzę na ludzi... choćbyście mieli przy tym zdechnąć! –

Skierował się do drzwi. – Dobranoc! – Holt owinał się w koc. Spać, nic tylko spać!

– Wstawać! Wychodzić! – Holt na wpół przez sen wyskoczył z łóżka i obudził się dopiero w umywalni, gdy puścił sobie na kark i ramiona strumień zimnej wody. Każda minuta, jaką teraz zaoszczędzi, wyjdzie tylko na dobre jego łóżku. Z powrotem do izby! Było na wpół ciemno, światła nie wolno było palić. Słanie łóżek w kostkę, było w jego obecnym życiu *problemem*. Źle zasłane łóżko oznaczało rozrzucenie pościeli, a to pociągało za sobą represje ze strony Schulzego. Obervormann miał prawo zburzyć mu łóżko dwa, trzy albo i cztery razy, zabrać mu przerwę obiadową i każdą minutę już i tak bardzo skąpego wolnego czasu, miał prawo robić to ciągle od nowa, aż do capstrzyku, a nawet i po capstrzyku. Zdarzały się wypadki, że łóżko słano piętnaście, a

nawet dwadzieścia razy na dzień, a Schulze stał przy tym i rozrzucał pościel po raz piętnasty czy dwudziesty. Źle zasłane łóżko oznaczało, że będą człowieka zadrećzać przez cały dzień.

Było bardzo trudno zasłać łóżko tak, żeby inspekcyjny był zadowolony, a już zupełnie niemożliwe, jeżeli ten inspekcyjny nazywał się Böhm. Sienniki leżały tu na żelaznych łóżkach i były widoczne ze wszystkich stron. Miały stanowić geometrycznie dokładną kostkę o gładkiej jak stół powierzchni, równiutkich bokach i kantach załamanych ściśle pod kątem prostym. Toteż wkładano pod prześcieradło deski albo paski kartonu. Na bezkształtnych siennikach,

„obudowanych” deskami i kartonem, nauczono się tak obciągać prześcieradła, że wszystko wyglądało wprost idealnie. Ale Böhma nie można było zwieść. Böhm nie patrzył na łóżka, Böhm je obmacywał.

Holt staczał właśnie z łóżkiem swe codzienne boje, nie czuł się dziś w formie, i to go zniechęcało. Ugniatał, klepał i wygładzał złożone równiutko co do milimetra koce.

Równocześnie wlewał w siebie kubek letniej kawy i żuł bez apetytu kromkę chleba posmarowaną sztucznym miodem. Jeszcze tylko dziesięć minut! Wenskat, czeladnik rzeźnicki z Westerwaldu, skrętnie zamiatał. Jeżeli to łóżko nie znajdzie teraz łaski w ich oczach, to już wola boska albo losu czy wreszcie samego nawet Böhma, ale to już wszystko jedno. Holt wciągnął drelichową bluzę. Pas, czapka, paznokcie, buty na glans, kołnierzyk – wszystko w porządku! Przejechał jeszcze raz szczotką po swoich buciskach. Potem zamknął dla ostrożności szafkę. Tu był człowiek narażony nie tylko na to, że go ukarzą za „prowokowanie kolegów do kradzieży”, tu się było ciągle pod strachem, że tytoń rzeczywiście zniknie, a wtedy najlepiej milczeć, bo tu winien był nie złodziej, ale ten, którego okradzione.

Gotowe! Holt spojrzął na Schulzega, Schulze spojrzął na Wolzowa, Wolzow spojrzął na zegarek. Siennik Schulzega wyglądał jak półtora nieszczęścia! Nic dziwnego, jego łóżko było łóżkiem obervormanna! – Kończyć i wychodzić na zbiórkę! – Ktoś wpadł w ostatniej chwili do izby z głośnym szemraniem: – Nie można się tu nawet spokojnie wysrać!

Przez otwarte okna wdarł się przeraźliwy gwizdek. Zdażyło się już rozwidnić. Na wschodzie za górami płonęło niebo. Ze wszystkich baraków ludzie pędzili na plac zbiórki. Zbiórka nie wypadła gorzej niż zwykle, mimo to Böhm wrzasnął: – Funkcyjni, wystąp! Reszta w tył zwrot...

Biegiem marsz! – Stu osiemdziesięciu ludzi kłusowało po placu, aż żużel pryskał. – Padnij! –

Powstań i padnij, dziesięć, dwanaście razy, tak długo, dopóki nie zabrzmiał gwizdek. –

Bacność! Ja was, świnię, postawię na nogi! – ryczał Böhm. – W tył zwrot... Biegiem marsz! –

Böhm dał za wygraną dopiero wtedy, gdy w – drzwiach baraku komendy pojawił się oberfeldmeister Lesser, dowódca oddziału.

Zwykła codzienna ceremonia: składanie meldunków, wciąganie flagi na maszt, podanie hasła... Wskazówki co do ostrego strzelania?... Wolzow już tego przypilnuje! – Oddział...

w prawo zwrot! Naprzód marsz! – Kolumna maszerowała wokół placu zbiórki, taki już był

porządek rzeczy. – Oddział śpiewa! – Na czele kolumny zaintonowano: „Mam szczerą chęć...” Holt zanucił pod nosem: „Mam szczerą chęć”. Z tyłu krzyczano: – Śpiew! – Była to ulubiona piosenka Lessera. – Trzy... cztery! – Maszerowało się rzeczywiście łatwiej i nie było tak nudno, kiedy się śpiewało. Holt myślał: Teraz już tak będzie przez półtorej godziny, a potem wezmą nas do galopu w drużynach! „Mam szczerą chęć...” Holt wrzasnął: „By wroga skruszyć w pył!” Spać się powinno, pomyślał, zamiast tu w kółko maszerować! Zduszony głos Schulzego, fałszujący straszliwie melodię, trąbił mu w ucho: „...I bić, i siec...” Taki instruktor ma całkiem niezłe życie, myślał Holt, śpiewając: „...I rąbać ile sił!”

– Przestać śpiewać! – ryknął Böhm. – Wy to nazywacie śpiewem, wy wykastrowane szczury? Poczekajcie, ja wam już otworzę gardziele! Funkcyjni, wystąp! Reszta w lewo zwrot...

Biegiem marsz! Padnij! Powstań! – Tale szło przez pięć minut.

A potem znowu: – Trzy... cztery! „Mam szczerą chęć...” – Holt był jeszcze okropnie zdyszany, ale darł się, jak tylko mu na to płuca pozwalały. Nagle pomyślał: Böhm zniknął, może rozwała teraz moje łóżko! „Łopoce flaga – w bój!”, śpiewał Holt, i: „Dopomóż Bóg, Wiktoria nagródź znój!”* [*Przekład Włodzimierza Lewika.]

Łóżko Holta nie zostało zburzone. Holt włożył hełm i zdjął karabin ze stojaka. Drużyny szukały sobie na terenie ogrodnictwa odpowiedniego miejsca, jedne, usadowiły się w rowie, inne pod resztkami muru zburzonej cieplarni. Rozkład dnia przewidywał teraz „wykład o broni”.

Schulze zjawił się z ćwiczebnym pancerfaustem. Słyszano fantastyczne rzeczy o tej broni. – Jest niezwykle skuteczna – powiedział Wolzow – jeżeli trafisz. – Holt i Wolzow stali z boku i palili papierosy; palenie przed obiadem było wzbronione, ale Schulze nie zwracał dziś na to uwagi. Za bardzo był zajęty samym sobą. – T-34/85– wykladał Wolzow – który od zeszłego roku jest w akcji, ma przednią płytę pancerną grubości siedemdziesięciu pięciu milimetrów, a taki pancerfaust przebija ją na wylot, jeżeli celnie w nią trafi. – Schulze rzucił komendę: – Zbiórka!

W kozły broń! -: Otoczyli go półkolem. – Pancerfaust! – zaczął Schulze. – Pancerfaust jest przeciwczołgowym środkiem walki. Przeciwczołgowym środkiem walki piechoty i nazywa się pancerfaust. Jedźcie dalej, Wolzow! – Wolzow mówił treściwie, lekko pouczającym tonem.

Schulze raz po raz mu przerywał: – Powtórzcie to, Wenskat! – Wenskat nie był głupi, ale leniwy, rozdziawił gębę: „He?” i musiał za to przelecieć się parę razy po torze żuźlowym. Wolzow objaśniał zasadę działania ładunku kumulatywnego; pancerfaust jest pociskiem z ładunkiem kumulatywnym, który, wystrzelony do czołgu, wybucha w momencie zderzenia się z pancerzem.

Czy Schulze nie mógł już dłużej znieść swej roli biernego widza, czy też chciał uśmierzyć w sobie strach, jaki odczuwał przed tym tematem, nie wiadomo, faktem jest, że nagle wrzasnął

na junaka Kranza: – Padnij, pięćdziesiąt razy! – Wszyscy przyglądali się z zainteresowaniem, jak Kranz się męczył i powoli opadał z sił.

Zza węgła wyłonił się unterfeldmeister Böhm. – Nie przerywajcie sobie! – Był średniego wzrostu i miał może jakieś trzydzieści lat. W jego wodnisto-niebieskich oczach czaiła się wiecznie podejrzliwość. W cywilu był właścicielem piwiarni w jakimś nadreńskim mieście przemysłowym. Dziś też obmacywał tym swoim podejrzliwym wzrokiem jednego po drugim i kazał im raz po raz powtarzać materiał. Nie obeszło się oczywiście bez wrzasku: – Holt, czego się tak głupio uśmiechacie?

– Panie unterfeldmeister, to tylko twarz mi drgnęła!

– Brzuszysko – wrzasnął Böhm – ten obżarty kałdun będzie wam drgał, jak sobie teraz trochę poskaczecie. Przysiad! Żabką do tamtego rowu! – Holt się nie spieszył. To wzmacnia mięśnie, wmawiał sobie w duchu z uporem. Kiedy wrócił, Böhm był już przy sąsiedniej grupie.

Schulze niezdarnie objaśniał sposób obchodzenia się z pancerfaustem. Wolzow demonstrował to w praktyce. – Werner, Sepp, Christian, uważajcie! Pancerfaust jest ważniejszy niż wszystko inne! – Wykład kończył się jak zwykle powtarzaniem w kółko jednego i tego samego. Cztery ruchy ręką, dziesięć razy powtarzane i dziesięć razy już przećwiczone. Po pierwsze wyciągnąć zawleczkę, po drugie podnieść ramkę celownika... Podnieść ramkę, bzdurne, że aż rzygać się chce, pomyślał Holt. Po trzecie przesunąć dźwignię bezpiecznika w położenie

„odbezpieczony”... Mam już tego po dziurki w nosie! Po czwarte nacisnąć spust, po pierwsze, po drugie, po trzecie, po czwarte, zawleczką, celownik, bezpiecznik, spust, nie zapomnę tego do końca życia, choćbym miał żyć nawet sto lat! Sposoby prowadzenia ognia, z tyłu co najmniej dziesięć metrów wolnej przestrzeni ze względu na strumień płonących gazów, odrzutu nie ma, i znowu po pierwsze... po czwarte, od zawlecзки do spustu, sposób prowadzenia ognia, jazda, zademonstrujcie to jeszcze raz, teraz wy, teraz wy tam, ty, ty, bydlaku, teraz wy jeszcze raz, biada, jeżeli to nie będzie dobrze szło następnym razem, biada! Ale czy się trafi, pomyślał Holt, to na razie nie wiadomo. Czy nerwy mi pozwolą wystrzelić coś takiego do czołgu z odległości pięćdziesięciu metrów?

– Nie ma obawy! – powiedział Wolzow, gdy się to wszystko wreszcie skończyło. – Jak taki sherman ze swoimi trzydziestoma trzema tonami będzie walił prosto na ciebie, zrobisz to automatycznie!

– W portki! – wybuchnął Wenskat.

Wykład w kantynie. – Konował! – powiedział ktoś. – Baczność! – Ktoś komuś składał

meldunek. – Dzisiejszy temat wykładu dla oddziału brzmi: Jak ustrzec się chorób wenerycznych grupy II... Siadać! – Przed oddziałem stanął szczeniakowaty medyk ze służby sanitarnej i usiadł

niedbale na krawędzi stołu. Zaczął wykład w formie frywolnej pogawędki. Frywolność ta była raczej cyniczna niż ordynarna. Lubił przy wymienianiu drastycznych rzeczy posługiwać się zdrobnieniami i zaopatrywał je w milutkie określenia jak na przykład: „To, co my lekarze nazywamy pierwszym stadium syfilisu, jest całkiem przyjemniutką wysypeczką...” Jeżeli wywoływał kogoś do odpowiedzi, to zawsze określał go jakąś niezrozumiałą nazwą choroby:

„Wy, tak, struma z oczętami Basedowa!”

– Zresztą widzieliśmy – powiedział medyk – że można ten brzydki syfilis złapać także przypadkiem w klozecie. A jak wygląda sprawa z tryprem? Czy tryperka też można nabawić się w ustępie? Wy... tak, wy tam, mam na myśli tego przyjemniaczka z kwitnącym impetigo contagiosa staphylogenes, wstań, ty zakaźny liszaju, i odpowiadaj!

Z przednich rzędów podniósł się junak z pokrytą liszajem twarzą i wyjąkał: – Nie, skądże, to niemożliwe.

– Mylicie się, fatalnie się mylicie – powiedział medyk. – A w ogóle dlaczegoście nie zgłosili, że jesteście chorzy. Zarazicie przecież cały Protektorat! Siadać. Naturalnie, że trypra można złapać w klozecie, ale tylko wtedy, jeżeli ktoś zabawia się tam w te rzeczy ze swoją dziewczynką. – I w tym stylu ciągnął dalej...

Jutro sprzątanie baraku, mycie naczyń i tym podobne rozrywki, myślał Holt, na pewno będzie przegląd szafek, i muszę schować gdzieś parabellum. Żeby tylko rano czymś się nie narazić, bo wtedy będę musiał po południu szorować latrynę! Zmienić bieliznę, może magazynier wyda mi nowe onuce...

Na szczęście ta godzina jakoś szybko przeszła. Umyć ręce, doprowadzić do porządku ubranie, umyć menażkę, łyżkę, nóż, widelec, przczesać włosy, wyczyścić paznokcie, bo może Böhm będzie stał przy wejściu i każe sobie pokazać ręce... – Wychodzić na obiad! –

Rzeczywiście, Böhm stał przy drzwiach: – Pokażcie no swoje pazury! – Holta przepuścił, ale zaraz za nim ryknął: – Czy to możliwe, o Boże, co za brudas! Wynoście mi się do wszystkich diabłów! Dwie drużyny jadały razem przy jednym długim stole, zbitym z desek, trzydziestu ludzi ściśniętych jak śledzie w beczce. Dyżurni przydźwigali michę kartofli w łupinach i wiadro szarobrazowego sosu, w którym pływały jakieś niewyraźne ochłapy mięsa. – Baczość! –

Dowódca oddziału, oberfeldmeister Lesser, w asyście feldmeistra Böttchera kroczył między rzędami krzeseł do swojego stołu, gdzie jadał wspólnie z dowódcami plutonów. – Hasło dnia! –

Ktoś wrzasnął z kąta w saksońskim narzeczu: – Kartofle, sos i cebula, jak przysłowie rzecz, wylatują portkami, aż po nogach ciecze! – Oberfeldmeister wybuchnął rżącym śmiechem, a potem krzyknął: – Wszystkim co do jednego...

– ...smacznego! – odwrzasnął oddział. Holt uważał, że jedzenie jest nędzne, ale był głodny i zjadł całą kupę kartofli.

Panował zwyczaj, żeby opowiadać w czasie jedzenia najrozmaitsze obrzydliwości i jeść mimo to dalej – poczytywano to za oznakę żołnierskiej cnoty. Böhm wszedł do kantyny z plikiem listów pod pachą. Dziś powinno być też coś dla mnie, pomyślał Holt. Do tej pory dostał już cztery listy od Gundel. Böhm rozdał pocztę dowódcom drużyn. Holt zezował na Schulzego. Ten jednak usiadł z powrotem na swoim miejscu i położył listy pośród łupin kartofli na zachlapany sosem stół. Rozdał je dopiero w izbie. Holt spojrział na zegarek: Zaraz pierwsza.

Przyciągnął sobie stołek do okna i zapalił papierosa. Niecierpliwie rozerwał kopertę. Gdy ostatnim

razem pisał do Gundel, pofolgował sobie za bardzo. Były dni, kiedy te wszystkie szykany, wrzask i dryl doprowadzały go do rozpacz. Będąc właśnie w takim nastroju zwierzył

się ze wszystkiego Gundel. Do zniechęcenia i przygnębienia dołączyło się jeszcze sporo smutnych wspomnień, a wynikiem tego były jedynie zagmatwane, nie powiązane ze sobą słowa, których już na drugi dzień żałował.

Przebiegł szybko wzrokiem jej list, na samym końcu pisała: „Rozumiem, że ci czasami smutno”.

Pismo jej było dziecinne i mało wyrobione. W pierwszych dwóch listach jej sposób wyrażania się był niezgrabny i kulawy, ale teraz pisała tale naturalnie, jak zawsze mówiła.

„Kochany Wernerze, wyobraź sobie, co mnie wczoraj spotkało! Kiedy kupowałam coś w sklepie, zaczepiła mnie jakaś dama”. Najpierw napisała „pani”, ale potem to słowo przekreśliła. „Wymieniła mi swoje nazwisko: Gomulka”. Dziwne! Holt zaciekawiony czytał

dalej: „Potem zapytała, czy mam może chwileczkę czasu. Na ulicy powiedziała, że jesteś przyjacielem Seppa. Tak na imię jej synowi. Na pływalni mówiłeś mi, że twoi przyjaciele nazywają się Gilbert i Sepp. Więc jej uwierzyłam. Podobno opowiadałeś mężowi pani Gomulkowej, że byłeś u nas i że wcale ci się tam nie podobało. Ani ci ludzie. Jeżeli tak mówiłeś, to musisz chyba pana Gomulkę dobrze znać. Potem mnie zapytała, co robię, kiedy mam wolne.

I czybym nie zechciała jej kiedy odwiedzić. Była bardzo miła. Nie mam zupełnie pojęcia dlaczego. Powiedziała, że niestety nie ma córki i takie młode dziewczę bardzo by jej się przydało, czasami wieczorem, a także w niedzielę. Jako gość. Jeżeli nie chcę, to nikomu o tym nie powie, i mogę przyjść tą drogą od wzgórz, przez ogrody, żeby nikt mnie nie widział.

Powiedziałam, że muszę się nad tym jeszcze zastanowić, ale że może rzeczywiście kiedyś przyjdę, jeżeli jej naprawdę na tym zależy. Kochany Wernerze, musisz mi napisać, czy mam tam iść i co to za ludzie. Ty przecież wiesz, dlaczego nie chcę mieć do czynienia z wieloma ludźmi”.

Co Gomulkowie mają za powody, żeby zapraszać Gundel? Filantropia? Holt nagle sobie przypomniał... to dziewczę nie jest aż tak opuszczone, jak pan sądzi... Ma bardzo wiele pracy, pisze mu, ale do roboty jest przecież przyzwyczajona. Dzieci sprawiają jej wiele radości, choć są dla niej niegrzeczne, bo ona bardzo lubi dzieci, nawet niegrzeczne. Jego prośby o fotografię nie może niestety spełnić, bo nie ma żadnego zdjęcia. Potem końcowe zdanie i na samym końcu prośba: „Odpisz mi jak najprędzej, jeżeli ci to nie sprawi zbyt wiele kłopotu”.

– Zbiórka, wychodzić! – Holt powiedział do Gomulki: – Przeczytaj to, Sepp! – Opowiadał

kiedyś Gomulce losy Gundel. Gomulka wziął list do ręki. – Dlaczego twoja matka ją zaprasza? –

zapytał Holt. – Czy ja wiem? – odparł Gomulka.

Zbiórka ciągnęła się w nieskończoność. Wymarsz na ostre strzelanie opóźniał się.

Oberfeldmeister Lesser kazał na siebie czekać. Do obozu wpadł goniec na motocyklu i mówiono, że dowódca telefonuje. Oddział stał z bronią u nogi, zaczęły krążyć najrozmaitsze pogłoski, feldmeister Böttcher i dowódcy plutonów zostali wezwani z placu zbiórek do kancelarii. Nagle to już nie były pogłoski: Wchodzimy do akcji!

Przez następne parę godzin wszystko w obozie tylko fruwało. – Wolzow, Wenskat, Holt, Gomulka, Huber... chodźcie ze mną! – krzyknął Schulze. Przynieśli trzy skrzynki amunicji.

Kiedy w izbie ją rozdzielano, Vetter zaczął kręcić nosem: – Dwieście naboji na chłopą, kto to udźwignie? – Ale Wolzow przywołał go do porządku.

Wczesnym wieczorem oddział stanął na placu gotów do wymarszu. Holt podpierał się karabinem. Tornister go uwierał. U pasa ciążyły mu pełne ładownice, bagnet, łopátka saperska, maska przeciwgazowa, chlebak i manierka. Zgodnie z rozkazem pozdejmowali z rękawów opaski ze swastyką. Przed frontem stanął oberfeldmeister Lesser. – W sprzymierzonej z nami Słowacji – wrzasnął – wrogowie Rzeszy, wspierani przez bolszewickich skoczków spadochronowych, chcą naszemu frontowi, staczającemu ciężkie boje, zadać cios w plecy!

Prezydent Słowacji w odezwie do narodu oświadczył, że ruszyły się wszelkie szumowiny społeczne, aby rozpętać w Słowacji chaos i przygotować grunt dla bolszewizmu! Ponieważ siły słowackie są za słabe, prezydent Tiso zwrócił się z prośbą do swego wielkiego niemieckiego sprzymierzeńca o wojsko, które pomogłoby mu pokonać bolszewickie hordy. – Stał przed frontem w rozkroku, ze ściągniętymi brwiami. – My przyjmujemy służbę wartowniczą i załadowywanie oraz wyładowywanie transportów dla wojska, a w razie konieczności wspierać będziemy także wojsko w walce. Teraz możecie pokazać, czegoście się nauczyli. – Dowództwo przejął gruby feldmeister Böttcher i dał trzem plutonom rozkaz do wymarszu: Na dworcu stały już przygotowane wagony bydlęce.

Lokomotywa ciężko dysząc wytoczyła się powoli ze stacji, potem, w nocy, pociąg stał przez wiele godzin na torach. Holt spał, owinięty w koc, na twardej podłodze. Następnego dnia pociąg znowu stał przez parę godzin na torze. Po wagonach rozeszła się pogłoska: „Maszynista uciekł!” Gomulka śmiał się skrycie. Wreszcie po południu ruszyli. W nocy pociąg zatrzymał się tak gwałtownie, że junacy powpadali wzajemnie na siebie. Na dworze słychać było krzyki, huknęło kilka strzałów. – Wychodzić! – wrzasnął Wolzow. Holt wyskoczył z karabinem w noc. Na przodzie błyskały strzały. Wolzow strzelał na stojąco w ciemność. Przy lokomotywie wrzeszczał

ktoś jak opętany: – Przerwać ogień! – Po torze skakało światełko latarki kieszonkowej. Wolzow pobiegł naprzód, gdzie teraz płonął czerwony sygnał. – Wy dranie! Wy przekłęci idioci! – ryczał

oberfeldmeister Lesser.

Junacy stali na podtorzu przy pociągu. Wolzow, który wrócił już z rekonesansu, zdawał im relację: –

Most. Naturalnie strzeżony. Z posterunku dano sygnał, że trzeba jechać wolno, maszynista zahamował, a wartownicy z pierwszego wagonu zaczęli zaraz strzelać jak szaleni.

Posterunki na moście odpowiedziały im naturalnie też strzałami, nie wiedzieli w końcu, co się dzieje. – Lokomotywa ruszyła i wszyscy powłazili przez rozsuwane drzwi z powrotem do wagonów. Holt zobaczył na moście kilka postaci z karabinami przewieszonymi przez ramię. –

Czy się komuś coś stało?

– Dziwnym zbiegiem okoliczności nie – powiedział Wolzow. – Ale to niepokojący objaw, że nikt nikogo nie trafił!

Następnego dnia dotarli wreszcie do celu. Pociąg zajechał na dworzec towarowy. Tory, remizy i bocznice ciągnęły się aż gdzieś do lasu. Parę kilometrów dalej nad wąską, bystrą rzeką przerzucony był most kolejowy. – To jest Hron – oświadczył Wolzow, rzuciwszy okiem na mapę. Miasto oddalone było o jakieś pół godziny drogi od dworca towarowego i położone pośród gęstych lasów liściastych, małe ospale miasteczko z nielicznymi ulicami. Maszerowali przez wąskie zaułki. Choć było południe, ludzi prawie wcale się nie widziało. Śpiewali: „...do nas, aż rozpoczniemy żniwa, w oczach żarzy się głód, głód nowych ziem, i głód ten w bój nas porywa”. Przemaszerowali przez miasto i wyszli z krętego labiryntu ulic na otwarty wielki plac.

Tam Böttcher kazał stanąć. Zobaczyli duży, oddzielnie stojący budynek, zwrócony frontem do placu i wylotu ulic, dwupiętrowy budynek szkolny, okolony rozległym ogrodem, który, ogrodzony niskimi sztachetami, przylegał do placu. Szczytowe ściany były gołe i bez okien.

Okna parteru od strony frontowej opatrzone były gęstymi kratami, okna piwnic również.

– Kwatera główniana! – zauważył Wolzow, zdejmując broń z ramienia. – Trudna do upilnowania! – Böttcher razem z dowódcami plutonów obejrzał budynek i zaczął wydawać rozkazy. – Pierwszy pluton na wartę. Drugi pluton posprząta szkołę; trzeci pluto pójdzie po słomę. Jazda, złożyć bagaże na podwórzu, broń nosić zawsze ze sobą. Na pas broń! W lewo zwrot! Plutonami w prawo swobodnym krokiem za mną marsz!

Holt wszedł po kilku schodkach przez frontowe wejście do budynku, mury jakby się rozstały i oczom jego ukazał się obszerny hall. Rozchodziły się z niego na prawo i na lewo korytarze, z których wchodziło się do klas. Na wprost wejścia szerokie drewniane schody prowadziły na górę. Na prawo od nich parę stopni wiodło w dół, a potem, mijając po drodze wejście do piwnicy, można było przez tylne drzwi wyjść na podwórze. Z hallu widać było przez uchylone drzwi po lewej stronie, jeszcze przed korytarzem, małą klitkę. Stał tam woźny, ciemnowłosy człowiek około pięćdziesiątki. Böhm wrzasnął na niego: – Klucze, prędko!

I wynoście się stąd! Precz! – ryknął. Woźny najwyraźniej nie rozumiał po niemiecku. Opuścił jednak budynek szkoły, wyszedł na podwórze.

Holt harował „aż do wieczora. Pomagał wynosić ławki i katedry na podwórze. Trzeci pluton

przywiózł cały wóz słomy. Pownosili snopki do klas.

Następnego dnia drugi pluton miał wartę. Böhm podzielił ich na grupy. Pierwsza drużyna z obervormannem Schulzem strzeże kwatery, druga drużyna z obervormannem Rösslerem patroluje na mieście, trzecia z obervormannem Bergerem przejmuje wartę na dworcu, czwarta z obervormannem Lachmannem strzeże mostu. Böhm przeszedł do objaśnień: – Warta na moście od godziny dwudziestej do szóstej rano strzela bez ostrzeżenia, w tym czasie obowiązuje ludność zakaz wychodzenia na ulicę. Warta strzegąca kwatery i dworca strzela po jednorazowym ostrzeżeniu. Patrole na mieście zatrzymują wszystkich cywilów, jakich spotkają po godzinie dwudziestej pierwszej na ulicy. Na posterunku policyjnym, gdzie mieści się wartownia, są odpowiednio zabezpieczone cele. Policja nie patroluje nocą. W dzień należy ciągle kontrolować dowody osobiste, wykaz obowiązujących dokumentów wisi na wartowni. Czy są jeszcze jakieś pytania? – Nikt się nie zgłosił. Böhm ciągnął dalej: – Słowacja jest naszym sprzymierzeńcem, ale ludność jest krnąbrna i nieprzyjaźnie nastawiona do Niemców. Miejscowym organom policji ufać nie można, gdyby się coś stało, należy policjantów aresztować i rozbijać. We wszystkich przypadkach, gdy zachodzi konieczność aresztowania, należy postępować bezwzględnie! Opór łamać wszystkimi sposobami! Lepiej zrobić użytek z broni niż wypuścić z rąk podejrzanе elementy. – Wyjął notes i zaczął czytać: – „W miarę możliwości należy pamiętać o tym, że ta część ludności, która sympatyzuje z Rzeszą, powinna być traktowana przyzwoicie”. – Następnie wydał rozkaz: – Na pas broń! – Wyprężył się jak struna: – Drugi pluton... baczność! Hasło: Jutrzenka. – I wyrzuci! przepisowo rękę w górę. – Służba wartownicza! – Drużyny pomaszerowały na zmianę warty.

Schulze ze swoimi ludźmi zainstalował się na parterze, po lewej stronie, w klitce opuszczonej przez woźnego, która służyła teraz za wartownię. Stało tu kilka skrzyń z amunicją, ustawionych jedna na drugiej; na stole leżał dziennik warty. Holt razem z Gomulką miał stać na warcie od północy do drugiej nad ranem. Oba pozostałe plutony pomaszerowały przed południem do kilku okolicznych wsi, gdzie miały zarekwirować siano i słomę i dostarczyć je na dworzec. Tak więc drużyna Schulzego była sama w szkole.

W południe Holt siedział z Wolzowem na wartowni. Wolzow wytrzasnął skądś niemieckie gazety, co prawda już nie najświeższej daty. Wolzow palił papierosa i czytał. – Co słychać na frontach? – zapytał Holt. Wolzow opuścił gazetę na kolana. – Że Finlandia skapitulowała, to chyba ci już wiadomo? Bułgaria też zerwała stosunki z Rzeszą. A na froncie inwazji musiały zajść jakieś paskudne historie, bo ten front zdaje się rozlatywać. Jeszcze tylko na Riwierze jakoś się trzymamy. Lyon padł, doszli do Mozeli. Wystarczy? – mruknął. – Na wschodzie wypadki toczą się w piorunującym tempie. Na środkowym odcinku stoją już pod Warszawą...

– Pod Warszawą? – wykrzyknął Holt przerażony.

– Tak. Powstanie wciąż jeszcze nie stłumione. Na północnym odcinku Rosjanie ciągle atakują, nad Narwią przerwali front. Na Ukrainie też przeszli teraz do ofensywy, tak że wkrótce mogą być już w Karpatach, tuż za ścianą, że tak powiem. Siedmiogród już wzięty. Uderzenie skierowane jest najwyraźniej na Węgry... Jeszcze coś? Ach, prawda, V-2! Brytyjczycy zdają się ją znosić nie gorzej niż V-1. Holt zapytał, jak to już nieraz robił: – Na litość boską, jak tak dalej pójdzie, to co to będzie?

– No, kiedyś położy się temu kres – powiedział Wolzow. – Taka wojna jest na szczęście

długotrwała, i teraz robi się wszystko, żeby dać jej znowu – jakiś solidny zastrzyk! Goebbels poczynił radykalne pociągnięcia w sprawie mobilizacji do wojny totalnej, zamyka się szkoły i wydawnictwa, likwiduje się pruskie ministerstwo finansów i tak dalej. Tu, w *Völkischer Beobachter*, jest to co prawda numer lekko przestarzały, wydrukowane jest przemówienie podsekretarza stanu doktora Naumanna, które ten wygłosił w Gdańsku, kiedyśmy wchodzili w szósty rok wojny. Piszą tu, że doktor Naumann dał...

– Pozwól, ja sam przeczytam! – powiedział Holt. Wolzow podał mu gazetę. Holt przebiegł

oczyma wstęp: „...dał prawdziwy, niczym nie zafałszowany ani też nie upięszony żadnymi wykrętami obraz sytuacji... żarliwy, ożywiony głęboką wiarą narodowy socjalista... potrafił

jednocześnie dać swoim słuchaczom przekonujące uzasadnienie szansy Niemców na zwycięstwo... wypowiedź ta była jednym wielkim manifestacyjnym opowiedzeniem się po stronie Führera i jego idei...” Gdzie jest to uzasadnienie naszych szans na zwycięstwo? Muszę to koniecznie przeczytać! Przebiegał wzrokiem tekst przemówienia: „...całkowity sukces możliwy jest do osiągnięcia tylko przez całkowite poświęcenie...raz pod wozem, raz na wozie... Moment, w którym wchodzimy w szósty rok wojny, zbiegł się akurat z taką sytuacją, kiedy jesteśmy pod wozem... podać naszym nieprzyjaciołom do wiadomości kilka faktów, w których zawiera się potencjalne przewyciężenie wszelkich kryzysów... po pierwsze: Führer i naród niemiecki to jedna niepodzielna całość, naród niemiecki stoi murem przy nim... Po drugie: naród niemiecki jest narodem narodowosocjalistycznym, i to nie tylko w pomyślnych, ale przede wszystkim w ciężkich dniach... Po trzecie: nie ma mowy o tym, żeby nasza ojczyzna, pewna zwycięstwa, w jakiś sposób zawiodła...” Tak, ale gdzie jest to uzasadnienie szans na zwycięstwo? Holt czytał

łapczywie dalej: „...bijemy się o czas, który potrzebny nam jest jeszcze do zmobilizowania naszych rezerw...” Aha! Wolzow zapytał: – Zagrasz ze mną w oficerskiego skata? – Holt potrząsnął przecząco głową. Czytał: „Nasi przeciwnicy myślą się, jeżeli w przededniu zwycięstwa sądzą... na front wyruszają nowe dywizje... twierdza Niemcy będzie broniona, jak nigdy przedtem nie była broniona jeszcze żadna twierdza, a wtedy nadejdzie nasza godzina...” Wtedy, pomyślał Holt, wtedy... kiedy? „...naród niemiecki stoi... uodporniony jak jeszcze nigdy i zahartowany w ogniu walki jak stal... zdecydowany fanatycznie i żarcie bronić aż do ostatniej kropli krwi swego kraju, swego życia i swego światopoglądu... Światopogląd... walczyć o niego, w złych dniach z jeszcze większym uporem niż w dobrych i pomyślnych...” Koniec. Kropka.

– Masz tu ten swój *Völkischer* – powiedział Holt – mnie to na dziś wystarczy, Gilbert, mnie to rzeczywiście wystarczy! Kto to jest ten Naumann?

– Generał SS, dowódca brygady SS, nazywają go „zahartowanym na froncie żołnierzem politycznym”...A więc, jeżeli nie grasz ze mną, to sobie postawię pasjansa!

Na wartownię wszedł Gomulka. – Werner, musimy już zmienić wartę! – Holt włożył hełm na głowę i wziął karabin. Stali na warcie przy tylnym wejściu. Duże kwadratowe podwórze otoczone było z trzech stron ogrodem, a ogród ten, pełen drzew owocowych i dekoracyjnych krzewów, graniczył z pobliskim lasem. Na środku podwórza stała pompa, na prawo przy płocie szopa, obok której była furka do ogrodu. Za pompą, na wprost wejścia na podwórze, w małym domku z czerwonej cegły

mieszkał woźny. Koło pompy kręciło się paru junaków, którzy akurat nie mieli służby: Wenskat, Baruffke, Zöllner i Meermann, Vetter również był z nimi, wszyscy na wpół goli, myli się właśnie. – Na razie wygląda na to, żeśmy wyciągnęli wielki los, taki przydział to wprost wczasy w porównaniu z tamtym życiem obozowym! – powiedział Holt.

Gomulka milczał. Holt zobaczył, że z domku woźnego wychodzi młoda dziewczyna i zmierza przez podwórze do szopy. Mogła mieć jakieś dwadzieścia lat i miała długie jasne włosy. –

Popatrz tylko, jakie ładne dziewczęta mają ci Słowacy! – powiedział do Gomulki. Ale Gomulka milczał uparcie.

Przy studni Wenskat gwizdnął przeraźliwie na palcach, ktoś inny zaś zawołał przeciągle: –

Heeej, lalka!

– Wstydziliby się trochę – powiedział Holt, – Co oni sobie o nas pomyślą! – Wyszedł na podwórze. Gomulka podążył za nim. – Widziałeś, Holt? – zapytał ktoś. – To byłby chyba mój rozmiar, co? – Holt powiedział: – Zachowujcie się przyzwoicie!

– Nie pleć głupstw, bracie – powiedział Wenskat. – Też coś, robić zaraz takie piekło o Słowaczkę!

Dziewczyna wyniosła z szopy dwa cynkowe wiadra i z pewnym wahaniem zbliżała się z nimi do pompy. – Ona idzie po wodę! – wrzasnął Vetter. Gdy do nich podeszła, Holt zobaczył, że ma wielkie niebieskie oczy. Twarz jej była nieprzenikniona. Dziewczyna przypominała mu wszystkim, chodem, postawą i sposobem trzymania głowy, Utę. Jeżeli oni dalej będą tacy bezwstydni, pomyślał, to... Ale równocześnie pomyślał też: Ostrożnie, żebym znowu się w coś nie wplątał...

Dziewczyna postawiła jedno z wiader pod pompą. Wenskat zawołał: – No, mała, chcesz, żebyśmy ci trochę napompowali? – Dziewczyna nie rozumiała chyba po niemiecku i przyjmowała ordynarne śmieszki z kamienną twarzą. Chciała złapać za rączkę od pompy, ale Wenskat szybko wysunął nogę i krzyknął: – Nic po niemiecki, co? Nie rozumiesz? To, czego od ciebie chcemy, jest międzynarodowe! – Nie rozumie rzeczywiście ani słowa, pomyślał Holt i ofuknął Wenskata: – Zabieraj tę girę... i to prędko! – Wenskat zgłupiał.. – Czego chcesz? Ty chyba... – Holt powiedział groźnie: – Albo cofniesz natychmiast nogę, albo dam ci w zęby.

– Ten chłopak ma chyba fioła – powiedział Wenskat, cofnął jednak nogę. Dziewczyna podeszła do pompy, nabrała pełne wiadra wody i skierowała się z nimi do czerwonego domku.

Junacy odprowadzili ją wzrokiem. Wenskat powiedział wściekły: – Co ty sobie myślisz, że z powodu takiej nalatujesz na mnie, co? – Z progu szkoły wrzasnął Schulze: – Holt, Gomulka!

Zmiana warty!

Przez dwie godziny stali markotni na chodniku przed wejściem. Miasto było jak wymarłe.

Późnym wieczorem wróciły na kwaterę oba plutony ze wsi i napełniły podwórze szkolne zgiełkiem. O północy Holt i Gomulka wyszli na patrol wokół szkoły i ogrodu. Gomulka ni stąd, ni zowąd zaczął:

– To jest córka woźnego, na imię jej Milena. Schulze ma na nią chrapkę.

– Schulze? – wykrzyknął Holt. – Ten ohydny pawian?

– Kiedy o niej mówił, po raz pierwszy zobaczyłem w jego twarzy coś jakby przeblysłk jakiegoś ludzkiego wyrazu. Zresztą nie wróżący nic dobrego. – Czego ja się denerwuję?

pomyślał Holt. Nic mnie, ona nie obchodzi! Ale... powinna wiedzieć, że nie wszyscy tu są głupi i ordynarni. Gomulka mówił dalej: – Dlaczego tam przy pompie wzięłeś ją w obronę?

– Ja ci coś powiem! – zawołał Holt wściekły. – Jeżeli Schulze... A więc nic z tego nie będzie!

– Uważaj – powiedział Gomulka ostrzegawczo. – Atak na przełożonego to sąd wojenny, ale nawet do tego nie dojdzie, z Schulzem nie masz żadnych szans, ukręci ci zwyczajnie łeb.

Wolzow już prędzej dałby mu radę, ale na niego lepiej nie licz. A poza tym...

– Stój! – krzyknął Holt i przerażony uskoczył pod osłonę muru. Podniósł karabin do strzału.

Z ciemności padło hasło. Był to Böhm. – Zamknijcie gębę! I nie wrzeszczcie tak! – Holt meldował, że nic szczególnego nie zaszło. Böhm zaczął zrzędzić: – Na warcie nie miele się ozorem! Uważajcie lepiej! – Na szyi miał zawieszony pistolet maszynowy, i jak nagle się z nim wyłonił, tak też nagle zniknął w ciemnościach. Ruszyli znowu przed siebie, kontynuując dalej swoją rundę. Po jakiejś chwili Holt zapytał przytłumionym głosem: – ...a poza tym?

Gomulka przystanął i rozejrzał się na wszystkie strony; penetrował wzrokiem noc. – Odkąd zaczął się tu ruch powstańczy – szepnął – obowiązuje tu podobno, jak i na całym wschodzie, nie tylko rozkaz o komisarzach, ale także dyrektywa Führera w sprawie specjalnego traktowania przestępstw popełnianych przez członków wehrmachtu i organizacji paramilitarnych wobec mieszkańców tego kraju... To znaczy, że jeżeli, ktoś dopuści się jakiegoś przewinienia w stosunku do Słowaków, to będzie karany nie przez sąd wojenny, lecz tylko dyscyplinarnie. –

Rozkaz o komisarzach, dyrektywa Führera? – Skąd ty to wiesz? – zapytał Holt przerażony. – Ta dyrektywa jest już przecież tajemnicą poliszynela – odpowiedział Gomulka wymijająco. –

Możesz się spytać Wolzowa, ten przecież wszystko wie! Tej dyrektywy już się nie podaje wojsku do wiadomości, tylko dowódcom, bo kiedy żołnierze się o niej dowiedzieli, tak się rozbestwili, że dyscyplina na tym diabelnie ucierpiała.

– Skąd to wiesz? – zapytał Holt ponownie. – Nieważne – odparł Gomulka. – Mówię ci o tym tylko po to, żeby cię ostrzec. Nie będziesz się mógł nawet odwołać do prawa wojennego, jeżeli zechcesz bronić tej dziewczyny przed Schulzem. – Poszli dalej. Ten wstrętny Schulze, myślał

Holt z nienawiścią, ten ohydny goryl! Ale jego nienawiść pomieszana była z bezradnością. –

Mam więc spokojnie patrzeć, jak on ją gwałci, tak? I to ty mi to mówisz, ty? – zaciętrzewiał się coraz bardziej. Gomulka nie miał początkowo zamiaru odpowiadać, ale w końcu powiedział

jednak: – Tylko dlatego się tale wściekasz, nie bierz mi tego za złe, Werner... że tu chodzi o kobietę.

Holt poczuł się dotknięty. – Tak... – mruknął. – A ci Rosjanie, wtedy w baterii, też byli kobietami? – Gomulka w zamyśleniu powiedział: – Nie... Masz rację. Nie gniewaj się na mnie, myślałem tylko... – Ma rację, pomyślał Holt, nie, jednak nie ma racji... Może ciągle jeszcze jest tak, jak przed rokiem, kiedy wydawało mi się, że muszę razem z Gilbertem... walczyć o sprawiedliwość, wtedy, kiedy Maria Krüger tak mnie oczarowała, że chciałem skoczyć Meissnerowi do gardła... To była dziecinada. Nie, to nie była dziecinada, ale... To nie ma sensu, pomyślał. Co to jest sprawiedliwość? Może wszystko jest złudą... albo może litość jest rzeczywiście słabością, i Ziesche jednak miał rację, a prawdziwa sprawiedliwość jest gwałtem, skoro my Niemcy... Z zamkniętymi oczyma w ciemnym pokoju, pomyślał...

Następne dni przyniosły ze sobą ciężką pracę. Na dworzec nadeszły transporty –

z jednostkami SS. Junacy wyładowywali wagony: broń i sprzęt, samochody, konie i wozy, lekkie działa polowe i moździerze. – Teraz się wezmą za te bandy! – cieszył się Vetter. – Teraz to już nie potrwa nawet osiem dni! – Wolzow kłął, gdy tak godzinami dźwigali skrzynie z amunicją i kosze z granatami: – Mogliby to równie dobrze robić Słowacy, ten leniwy naród próżnuje przecież po chałupach!

Podczas przerwy obiadowej jadł wolno z menażki pozbawioną zupełnie smaku zupę. – To jest frontowa dywizja SS. Słyszałem, że to mają być jakieś oddziały specjalne, ta dywizja na bagnach Prypeci przepędziła partyzantów na cztery wiatry, mają już w czymś takim doświadczenie! – Ładowali dalej skrzynie z amunicją na samochody. Parę skrzyń z amunicją do karabinów wyładowano przed szkołą.

Minał tydzień, a ta cała „akcja”, dla której tu przyjechali, nie przyniosła im jeszcze nic innego jak tylko samą pracę. Wrzesień miał się już ku końcowi, ale ciągle jeszcze było ciepło jak w lecie. Tylko noce były już zimne i mgliste.

Holt leżał jednego dnia w ogrodzie szkolnym na słońcu i patrzył w niebo. Nagle usłyszał

kroki. Jasnowłosa dziewczyna szła przez ogród, z kluczką i wielkim koszem o dwóch uchach.

Holt powiedział głośno: – Dzień dobry. – Spojrzała przelotnie na niego, a potem patrzyła już tylko prosto przed siebie, ale odpowiedziała na jego „dzień dobry” lekkim skinieniem głowy.

No więc! pomyślał Holt zadowolony, jednak widzi różnicę pomiędzy tamtymi a takim jak ja!

W nocy stał z Wolzowem na moście kolejowym na warcie. – Posłuchaj! – powiedział

Wolzow. Gdzieś daleko grzmiały ciężkie działa. Było coś około trzeciej nad ranem, nad górami rysował się wąski sierp księżyca. Holta przeszedł dreszcz. – To wygląda na prawdziwą bitwę!

– Z gór ich tak prędko nikt nie wyciągnie! Góry na dwa tysiące metrów... Tylko ogniem i mieczem możesz zrobić z tym porządek! – odparł Wolzow. Holt zastanawiał się, czyby nie zapytać Wolzowa, jak to jest z tym „rozkazem o komisarzach”, ale coś go od tego powstrzymywało – ta narastająca

między nimi obcość i jakaś dziwna obawa... Huk działał słycać było aż do rana. Gdy w południe wrócili do miasta, przed szkołą stało kilka zakurzonych ciężarówek. Na podwórzu obozowało jakie dwustu esesowców, pomiędzy karabinami ustawionymi w kozły i kupą bagażu. Wolzow przysiadł się do nich. Wrócił potem do izby z nowinami. – Co do tego załatwienia się z nimi w osiem dni – powiedział – to była iluzja!

Wszędzie powstanie, pół kraju już objęła ta ruchawka, tu gdzieś w pobliżu roznieśli cały garnizon. SS dostało już nieraz dobrze w skórę. Partyzanci, mówią esesowcy, nie są wcale gorsi od wojska regularnego, czasami nawet jeszcze bardziej zawzięci, bo SS z zasady się z nimi nie patyczkuje. Rosjanie zrzucają im broń, partyzanci są niekiedy lepiej uzbrojeni niż SS, wszyscy mają pistolety maszynowe. Jestem ciekaw, kiedy się to tu u nas zacznie.

– Pierwszy pluton dziś przed południem przetrząsał domy w mieście w poszukiwaniu broni.

Nic nie znaleźli – oznajmił Vetter.

Wczesnym popołudniem SS odjechało. W budynku szkoły pozostała tylko drużyna wartownicza trzeciego plutonu i drużyna Schulzego, która po warcie na moście była wolna od służby. Junacy leżeli na słomie i spali. Ale Holt nie mógł wytrzymać w klasie. Włóczył się bez celu po podwórzu i po ogrodzie.

Tam spotkał znowu jasnowłosą Słowaczkę. Dźwigała wielki kosz, napełniony drzewem, gałęziami i chrustem. – Niech pani pozwoli, ja to poniosę! – zaproponował Holt. Odebrał jej kosz i wyniósł go na podwórze. Zapytał przez ramię: – Do szopy?

– Tak.

A więc ona jednak rozumie po niemiecku, pomyślał zaskoczony. Otworzyła drzwi. Postawił

kosz w kącie, tam gdzie leżała kupa drew. Weszła za nim do szopy i powiedziała przyjaźnie: –

Dziękuję. – Wyprostował się. I stracił zupełnie głowę, bo stała tuż przy nim. Złapał ją nagle za ramiona i przyciągnął do siebie, ale w tym samym momencie uderzyła go tak mocno w twarz, że się zatoczył. Porwała go wściekłość. Na sekundę pomyślał o przemocy. Ale gdzieś w głębi jego duszy odezwał się głos: Coś z tego jest w tobie też! Ogarnął go wstyd.

Dziewczyna odgrodziła się od niego pieńkiem do rąbania drzewa, wyrwała z niego siekierę i stała teraz przyczajona, podana lekko do przodu. Prawą ręką ścisnęła stylisko siekiery, lewą zaś wyciągnęła powoli w bok i wskazała drzwi. Powiedziała tylko jedno jedyne słowo: – Precz! –

Chciał coś powiedzieć, żeby ją przeprosić, coś na swoje usprawiedliwienie, coś o nieporozumieniu, ale z oczu jej strzeliła błyskawica tak bezgranicznej nienawiści, że opuścił

szopę bez słowa.

Poszedł z powrotem do ogrodu. Widział, jak dziewczyna szybko biegnie przez podwórze do czerwonego domku, ciągle jeszcze z siekierą w ręce. Ale to wszystko nie docierało wcale do jego

świadomości. Stał w ogrodzie pośród krzaków jak nieprzytomny. Usiłował uwolnić się od tego dławiącego uczucia wstydu. Mówił sobie: Niech ona nie udaje takiej księżniczki! W końcu jestem Niemcem, a ona... I w tym momencie zdjął go wstyd wprost nie do zniesienia. Twarz go paliła jak przypiekana ogniem.

W trzy dni później drużyna Schulzego znowu miała wartę. Holt siedział akurat na wartowni, gdy Schulze opuścił pokój i zszedł po schodkach na dół, zmierzając do wyjścia wiodącego na podwórze. W parę minut później wrzasnął Böhm od wejścia do piwnicy: – Schulze!... Schulze! –

wrzasnął jeszcze raz. Wenskat wszedł na wartownię i powiedział z ironicznym uśmiechem: –

Schulze teraz nic nie słyszy, zakradł się za tą małą do ogrodu, tak już go wzięło!

W Holta jakby piorun strzelił. Ale Böhm stał już w otwartych drzwiach: – Czy cała warta śpi? Jazda, Holt, Gomulka, chodźcie ze mną! – Wenskat znikł na podwórzu, Holt zszedł po schodach do piwnicy. Wyciągnął, spod stosu skrzyń z nabojami skrzynkę z amunicją do pistoletów maszynowych, która była potrzebna Böhmowi, i zaniósł ją razem z Gomulka na wartownię. Wtem wpadł do izby Wenskat. Twarz miał wykrzywioną przerażeniem. – Warta!...

Schulze, w ogrodzie, panie unterfeldmeister... zabity!

Böhm patrzył na Wenskata osłupiałym wzrokiem, jego usta otwierały się i zamykały.

Wreszcie wrzasnął załamującym się głosem: – Za mną! – Biegli przez podwórze do ogrodu.

Schulze leżał w krzakach. Widok był straszny. Wolzow z niewzruszonym spokojem pochylił się nad trupem. Czoło rozwalone było siekierą. Schulze leżał na plecach, nogi miał jakoś dziwnie podwinięte pod siebie. Mundur i spodnie były rozpięte. W lewej, kurczowo zaciśniętej, garści trzymał gęsty kłębek jasnych włosów. Wolzow wyprostował się: – Nie żyje. – Rozejrzał się naokoło, jakby czegoś szukał. – Tam! – Holt zobaczył leżącą w trawie siekierę, tę samą siekierę.

– Panie unterfeldmeister! – wrzasnął Wenskat. – Ta blondyna od woźnego! On poszedł za nią, a gdy chciałem zobaczyć, gdzie się podział, leżał już tutaj!

Böhm już biegł. Popędzili za nim. Z budynku szkoły wylęgało na podwórze coraz więcej ludzi. Böhm szarpał za klamkę czerwonego domku. – Wyłaniać drzwi! – Wolzow zaczął walić w nie kolbą karabinu, że aż huczało, walił bez przerwy, aż wreszcie zamek puścił. Zobaczyli przed sobą pusty korytarz. Wenskat rzucił się pierwszy do środka, przesadził paroma susami przedpokój i szarpnął za drzwi.

Na środku pokoju stał woźny, ze strzelbą myśliwską wycelowaną prosto w drzwi. Huknął

strzał. Wenskat z krzykiem padł na podłogę. Böhm wyrwał dozorcę broń z rąk i zaczął go walić kolbą i ryczeć przy tym jak zwierz: – Morderca! Bandyta! Słowiańskie bydlę! – Woźny upadł na podłogę, Böhm kopał go teraz swymi podkutymi butami i wrzeszczał: – Pod mur... Z miejsca pod mur! – Dziewczyna stała przy otwartym oknie, z wypchanym do połowy plecakiem u stóp.

Böhm huknął na nią: – Ręce do góry, ty ścierwo! – Dziewczyna podniosła ręce. – Vetter, Wolzow! – krzyknął Böhm. – Wenskata na izbę chorych! Gomulka, Schwedt, postawić tego bandytę na nogi, ale

prędko, pod mur, twarzą do ściany... Holt, czego stoicie, odprowadzić to ścierwo, twarzą do ściany... Będziesz mi trzymała łapy w górze, ty kurwo jedna, czy nie!

Meermann, Runge... za mną! – I wyleciał na dwór. Gomulka i Schwedt podnieśli woźnego, zataczał się, kiedy szedł przez korytarz na podwórze. Dziewczyna sama, bez rozkazu, podążyła za nim.

Holt szedł parę kroków za nią. Trzymała drżące ręce z tyłu na karku, włosy spływały jej po nich na ramiona. Szedł z odbezpieczonym karabinem pod pachą. Lewa ręka ścisnęła kolbę karabinu, palec spoczywał na spuście. Jeżeli zacznie uciekać, będę musiał strzelać. *Będę strzelał.*

Szukał oczyma jakiegoś punktu między łopatkami. Trochę bardziej w lewo, myślał, wówczas nic nie poczuje.

Woźny oparł zmasakrowaną głowę o mur szkoły. Dziewczyna stanęła obok niego. Holt stał tuż za nimi, z karabinem w rękach, i myślał: Zaraz wróci Böhm, i będę musiał strzelać...

Böhm wrzasnął od wejścia: – Do piwnicy! Jazda, może byście się tak trochę zwawiej ruszali! – Na dole Böhm otworzył jakiś ciemny loch, jakąś komorę o masywnych ścianach i żelaznych drzwiach. – Schwedt, zostaniecie tu na straży, dopóki nie przyślę zmiany. Reszta za mną!

Na wartowni stała cała drużyna. Wolzow meldował: – Wenskat nie żyje. Czterech ludzi na warcie! – Böhm przebiegał wzrokiem po twarzach i mamrotał pod nosem nazwiska: – Gomulka, Holt, Vetter, Zöllner, Meermann, Matzke, Runge... Schwedt w piwnicy, Wolzow, wy obejmiecie drużynę! Rozmawiałem już telefonicznie z oberfeldmeisterem. Jest w tej chwili na dworcu. Jak wróci, weźmie tamtych dwoje na przesłuchanie. Powiedział, że w powietrzu coś śmierdzi, że śmierdzi wszędzie, a tu już diabelnie śmierdzi... Pierwszy pluton został odwołany z posterunków. Trzeciego plutonu nie można już było złapać. Dziś w nocy warty będą podwojone. Wolzow... Schulzego na izbę chorych. Potem usunąć z parteru słomę, jest zbyt łatwopalna, wszyscy na górę na pierwsze piętro, tylko wartownia tu pozostanie. Ja muszę iść teraz na most. Jak oberfeldmeister wróci, zameldujecie się u niego po rozkazy.

– Pierwsza drużyna na moją komendę! – zawołał Wolzow. – Vetter, zawiadomić wartowników, że na razie nie będzie zmiany! Zöllner i Meermann, przynieść Schulzego! –

Vetter skierował się do drzwi. Wolzow zawołał za nim: – Junak Vetter, nie macie zamiaru powtórzyć rozkazu?

– Tak jest – powiedział Vetter skonsternowany, bo go najwyraźniej zatkało.

– Należy zwracać się do mnie per „drużynowy”! – Tak jest, drużynowy!

– Jazda, odmaszerować!. Porządek musi być! – krzyknął Wolzow. – My zwalniamy klasy na parterze.

Wrócił pierwszy pluton. W całym budynku rozbrzmiewały młotki. Zabijali od środka okna parteru powyrywającymi z zawias drzwiami. Ktoś kazał nawet zużytkować na ten cel dwuskrzydłowe drzwi głównego wejścia i drzwi prowadzące na podwórze. – Najważniejsze, że nie będą mogli teraz rzucać

nam przez okna bomb – powiedział unterfeldmeister Rischka, który dowodził pierwszym plutonem – Około wieczora wrócili Lesser i Böttcher. Wolzow zameldował

się u nich na pierwszym piętrze. Kiedy schodził z powrotem na dół, powiedział do Holta: –

Możesz teraz nosić parabellum przy sobie, on nie ma nic przeciwko temu. – Wieczorem znalazł

się także Böhm, i Holt widział, jak schodził za oberfeldmeisterem do piwnicy. Wolzow przyniósł

wiadomość: – Oboje zostaną przekazani jutro SS. – Holt nic nie odpowiedział.

Nareszcie w budynku uspokoiło się. Pierwszy pluton pod dowództwem Rischki objął dwoma drużynami ochronę dworca, a dwoma – służbę patrolową w mieście. Drugiemu plutonowi przypadła w udziale warta na moście i w rejonie zakwaterowania. Wieczorem Böhm zabrał na most jeszcze jedną z dwu drużyn pełniących wartę w szkole. – Trzy drużyny na most –

powiedział Gomulka – a dla szkoły tylko jedna?

– Wy leniwe śmierdziele! – wrzasnął Böhm. – Korona wam z głowy nie spadnie, jak będziecie się zmieniać co trzy albo co cztery godziny, mnie tam ludzie są bardziej potrzebni!

Most jest ważniejszy niż kwatera, poza tym tak kazał oberfeldmeister! – Z bólem serca zostawił

im w końcu obervormanna Rösslera. Wolzow wystawił trzy podwojone posterunki, przed wejściem od ulicy i od podwórza. Trzeci z nich patrolował okolice szkoły.

Siedzieli na wartowni, Wolzow, Holt, Gomulka, Vetter, a także obervormann Rössler, cichy, spokojny człowiek, który tylko czasami w przypiływie gniewu pozwalał sobie na brzydkie wyrazy. Wolzow Palił grube cygaro i komentował wydarzenia dnia. – Jest nas tu czternastu, do tego Böttcher i Lesser.

W nocy ma wrócić trzeci pluton, będziemy mieć wtedy dosyć ludzi. – Vetter powiedział: –

Ale ta nerwowość, coś takiego! Jak się tak denerwują, to zwykle nic się nie dzieje.

Holt wyszedł z wartowni. Drażniła go ta cała gadanina.

Chwilę stał na schodkach głównego wejścia i patrzył na obydwu wartowników stojących nieruchomo w ciemnościach... Myślał o tej dziewczynie w piwnicy; myśl ta sprawiała mu wprost fizyczny ból. Byłbym ją rozstrzelał, zadreślał się. Nie mógł sobie dać wprost z tym rady. Na pierwszym piętrze rzucił się na słomę, ale nie mógł zasnąć.

O jedenastej poszedł razem z Gomulką zluzować patrol. Gomulka na odchodnym upomniał

jeszcze kolegów: – Tylko przypadkiem do nas nie strzelajcie! – Szli powoli wyznaczoną trasą, wzdłuż ulicy, przy której stała szkoła, wokół ogrodu i podwórza, i znowu ulicą, na którą wyszli z drugiej strony. Płot przylegający z obydwu boków do szkoły został usunięty. Milczeli i nasłuchiwali

w napięciu, czy się coś nie dzieje w ciemnościach.

Była północ. Wyszli właśnie z ogrodu na ulicę. W mieście, gdzieś całkiem blisko, huknął

strzał. Holt zamarł. Zaczęła się dzika strzelanina. Szybkie, krótkie serie ognia z pistoletów maszynowych, pomiędzy tym, w coraz krótszych odstępach czasu, strzały karabinowe. Przy wejściu do szkoły padło ostre: „Stój!” Potem tam też huknął strzał. Gomulką rzucił się pędem w tym kierunku. Holt usłyszał za sobą szybkie kroki i trzask łamanych krzaków w ogrodzie.

Strzelił. W ciemnościach błysnęła mu przed oczyma ziejąca ogniem lufa pistoletu maszynowego.

Po drugiej stronie szkoły, tam gdzie ulica prowadziła między domami do miasta, rozpętała się wściekła strzelanina, która chwilami milkła, chwilami wybuchała na nowo. Teraz już też zaczęły padać strzały ze szkoły.

Holt usłyszał dudnienie kroków po bruku, ktoś biegł od strony miasta prosto w kierunku ogrodu, przewrócił się i krzyknął: – Na pomoc! – Parę kroków, i Holt był już przy nim. Junak leżał na brzuchu, ale uniósł głowę i wyrzeźił: – Warta na mieście... Patrole... Wszystko... –

Potem głowa w hełmie dźwięknęła o bruk. U wylotu ulicy, po drugiej stronie placu przed szkołą, zaczął strzelać jakiś karabin maszynowy, krótkimi seriami.

Holt uciekał przez ogród, kryjąc się między krzakami. Ale strzelano również na podwórzu, a także za nim w ogrodzie, całkiem blisko, wszędzie. Popędził z powrotem na ulicę, biegł tuż pod murem szkoły, rzucił się na ziemię i zaczął się czołgać do drzwi. Jeden z wartowników leżał

przed wejściem, drugi na progu. Holt wczołgał się przez niego do środka. U stóp schodów leżał

Rössler. Bez ruchu.

– Nie strzelać! – krzyknął Holt. Odczołgał się na bok, żeby zejść z pola ostrzału karabinu maszynowego, który słał serię za serią prosto w drzwi szkoły. Pociski obijały się bez przerwy o ściany. Na górze w hallu błyskały w regularnych odstępach wystrzały z karabinu.

Holt, przyciskając się do ściany, wczołgał się po schodkach na górę do hallu i tu wreszcie znalazł osłonę za występem muru. Przy drzwiach wartowni klęczał Wolzow, z podwiniętymi rękawami u koszuli i z gołą głową, i strzelał raz za razem przez drzwi wejściowe na dwór. Holt zobaczył także Vettera, który ciągnął z wartowni otwartą skrzynię z nabojami ku Wolzowowi.

Wolzow załadował broń i krzyknął do Holta, w tym huku nie milknących strzałów można się było porozumiewać tylko krzykiem: – Przedarłeś się, Werner? Leć do tylnych drzwi. Tam stoi tylko Kranz!

– Gdzie jest Sepp?! – odkrzyknął Holt. Wolzow wskazał łokciem na wartownię. – Drasnęło go w twarz! Vetter go już opatrzył!

Holt liczył: Gilbert, Christian, Sepp i ja, to czterech, Rössler zabity – pięć. Wartownicy zabici –

siedem. Jeden przy tylnych drzwiach – osiem. Schwedt i Schwerdtfeger stali na podwórzu, ci też pewnie padli – dziesięć. Brak sześciu ludzi.

– Gdzie jest reszta? – krzyknął. Wolzow odebrał od Vettera załadowany karabin i podał mu swój, z którego już wystrzelał naboje. Wskazał kciukiem przez ramię. Szerokie drewniane schody, które prowadziły na piętro, znajdowały się na wprost wejścia. Pociski bez przerwy bombardowały drewniane stopnie. Wolzow znowu strzelał. W błysku wystrzałów Holt dojrzał na posiekanych kulami stopniach trzy nieruchome postacie, czwarta leżała u stóp schodów w halki.

Dziesięciu i czterech to czternastu. – A Lesser i Böttcher?! – krzyknął. Wolzow odpowiedział między jednym a drugim strzałem: – Są na górze. Nie mają odwagi zejść po schodach na dół! –

Pocisk pacnął tuż przy jego twarzy w występ muru, posypał się tynk. – Vetter, mój hełm! – krzyknął Wolzow. Vetter podał mu hełm.

Holt skoczył wreszcie na schodki prowadzące w dół na podwórze. Po jego prawej ręce wiodły schody do piwnicy. Przez otwarte drzwi od podwórza też bez przerwy padały do środka pociski i waliły w mur. Kranz stał przyciśnięty do futryny i strzelał na podwórze. Holt słyszał, gdy strzelanina na moment ustała, jak Böttcher na górze krzyknął głośno „Uwaga!”, a potem na podłogę hallu spadł z brzękiem jakiś przedmiot.

Oczy Holta już się przyzwyczyły do ciemności. Wolzow przysunął sobie lufą karabinu owiniętą w papier przedmiot, przeczytał kartkę i rzucił zawiniątko Koltowi. Potem bez słowa strzelał dalej. Holt podniósł zawiniątko – na podłogę spadł pęk kluczy. Wcisnął się mocno w kąt między wyjściem na podwórze a drzwiami od piwnicy, zapalił zapałkę i przeczytał: „Rozkaz oberfeldmeistra. Natychmiast rozstrzelać więźniów! Klucz na kółku. Böttcher”.

Holt rzucił zapałkę. Niech lepiej zjedną na dół, pomyślał sobie. Zmiał kartkę w rękach.

Widział Kranza ciągle jeszcze przyciśniętego do futryny drzwi i strzelającego raz po raz w kierunku pompy. Karabin maszynowy z ulicy strzelał wściekłymi seriami przez drzwi. Prosto w schody. Tędy nikt nie zjedzie na dół, pomyślał Holt, ani Lesser, ani Böttcher. Zarzucił karabin na ramię.

Gdy schodził po omacku do piwnicy, serce waliło mu ze strachu jak szalone. Wyciągnął

parabellum i odbezpieczył je. Trzymając się ściany zmierzał do żelaznych drzwi. Gdy je znalazł, przystanął na chwilę i nadstawił uszu. Musiał się najpierw uspokoić, tak drżał ze strachu i zdenerwowania. Z góry dolatywały go przytłumione strzały. Wyciągnął klucz i otworzył drzwi.

Padło na niego światelko ogarka świecy.

Woźny osłaniał swoim ciałem córkę. Holt wykrztusił: – Musicie stąd uciekać! Ale ja was nie mogę wypuścić, bo wtedy mnie rozstrzelają! – Dziewczyna wybałuszyła na niego oczy. Teraz może wreszcie zrozumie, że mnie skrzywdziła, pomyślał Holt. Woźny zaczął coś mówić do córki. Ale ona zawołała: – No strzelaj, faszysto! – Holt, nie panując już nad nerwami, podrażnionymi jeszcze na

dobitek tym niezrozumiałym zachowaniem, krzyknął brutalnie: – Nie gadaj głupstw! Mam was rozstrzelać, i co będzie, jeżeli teraz ktoś przyjdzie, przecież wtedy mnie zabiją, więc co mam robić?

Dziewczyna zaczęła coś szybko mówić do woźnego, który nieufnie patrzył na Holta i na pistolet, a potem coś jej odpowiedział. – No prędeż! – zawołał Holt niecierpliwie. – Ma pan klucze? – Holt kiwnął głową potakująco. – Tu naprzeciwko jest narzędzie... Łom żelazny! – Holt spojrzał na małe, zakratowane okno w górze. Zrozumiał. Zaczął dopasowywać klucze do drzwi naprzeciwko. Dziewczyna stała już obok niego. – Niech pan pozwoli! – Otworzyła drzwi, a woźny, odsunął Holta na bok i zaczął czegoś szukać w ciemnej komórce, aż wreszcie znalazł

duże, zgięte w kształcie podwójnego „u” żelazo. Dziewczyna zamknęła komórkę i oddała Holtowi klucze z powrotem. Holt schował pistolet. Woźny wdrapał się na skrzynię i zaczął

podważać sztaby w oknie. – W ciągu pięciu minut musicie stąd zniknąć, wówczas będę mógł

zameldować, że gdy zszedłem na dół, już was nie było. – Skinęła głową. Chciał już zamknąć żelazne drzwi, ale nagle powiedział ochryple: – A jeżeli wasi dziś w nocy nas... to pamiętajcie o mnie! – Spojrzała mu twardo w oczy. – Zabijcie swoich przywódców! Powiemy naszym, żeby wam nic złego nie zrobili! – Pomyłona, pomyślał Holt, ona jest zupełnie pomyłona! Zatrzasnął

drzwi, przekręcił klucz w zamku i pobiegł na górę.

Wypadł do sieni akurat w tym momencie, gdy Kranz przy drzwiach od podwórza wypuścił

z ręki broń, przechylił się do przodu, skulił się w sobie, a potem upadł bez jęku na bok, prosto w otwarte drzwi. Holt przykląkł za murem i wystawił lufę karabinu na dwór. Przy pompie znowu zaczęły błyskać strzały. Kranz wyprężył się i znieruchomiał. Holt wystrzelał cały magazynek.

Załadował znowu broń i czekał. To wszystko nie ma sensu, pomyślał.

W budynku zrobiło się nagle cicho. Nawet Wolzow już nie strzelał. Ale na ulicy ciągle jeszcze terkotał karabin maszynowy. To trwa już chyba z godzinę, pomyślał Holt. Spojrzał na zegarek. Nie było jeszcze pierwszej. Wolzow wrzasnął: – Werner? – Na podwórzu strzały umilkły. Słychać było teraz zupełnie wyraźnie dalekie odgłosy walki. To będzie pewnie na dworcu, pomyślał Holt. W ogrodzie trzaskały łamane krzaki. Na podwórzu ktoś wołał w obcym języku. Ustępują, pomyślał Holt. – Werner! – wrzasnął Wolzow znowu. Holt odpowiedział: –

Kranz też już nie żyje! A tych więźniów nie mogłem rozstrzelać, bo uciekli!

Wolzow poderwał karabin do strzału, Vetter również strzelał, bardzo szybko następowały po sobie strzały z waltera. Potem znowu zaległa cisza. – Byli już przy drzwiach! – zawołał Vetter. –

Chcieli zwyczajnie wejść do środka, coś takiego! – Nagle karabin maszynowy na ulicy umilkł.

Potężna detonacja wstrząsnęła, budynkiem szkoły, jedna, druga, trzecia, czwarta. Podłoga zadrżała, z sufitu posypał się tynk. Potem zapadła, śmiertelna cisza. W tej ciszy znowu głos Wolzowa: – Panie oberfeldmeister!... To było na górze! – Nikt nie odpowiedział. – Dym! –

krzyknął Wolzow. – Pali się!

Holt oparł się o mur. Koniec. Wszystko skończone. Słyszał, jak Wolzow woła: – Nie wpuszczajcie nikogo! – Potem popędził schodami na górę. Na podwórze padał migotliwy odblask ognia. Wolzow biegł już z powrotem na dół, wyłonił się zza występu muru, podszedł do Holta wciśniętego w kąt i powiedział: – Koniec, Lesser i Böttcher nie żyją... Granaty ręczne!

Wszędzie pali się słoma.

– Gilbert! – krzyknął Holt.

– Bądź cicho! – Wolzow zdjął hełm i przejechał ręką po włosach. – No to kto w końcu został? – spytał Holt. – My czterej od Antona, nikt więcej – odpowiedział Wolzow.

Coraz jaśniejszy odblask ognia padał na podwórze, na schodach również migotało czerwone światło. – Po ciemku byłaby jeszcze jakaś szansa – powiedział Wolzow – a tak wystrzelają nas jak zające, jeżeli będziemy uciekać w tej łunie, tylko na to przecież czekają. – Zastanawiał się przez chwilę. – Już dawno powinno nas tu nie być! Jak się tylko zaczęło, powinniśmy byli natychmiast przedrzeć się do wartowników na dworzec, tak byłoby najśluszniej, możemy to teraz wyryć Lesserowi na grobie... Ach ten Lesser – powiedział nagle ze złością – wiedział

przecież, że to się dziś zacznie. – Vetter krzyknął: – Tu leci z sufitu jakieś wapno!

– Niech leci! – odkrzyknął Wolzow. – Uważaj lepiej na wejście! – Znowu nad czymś się zastanawiał. – Powiedz mi, czyś ty czasem nie pomógł temu woźnemu drapnąć?

– Nie.

– Dziwne. W jaki sposób w takim razie umknęli?

– Przez okno.

– Ale przecież okna są zakratowane!

– Sztaby były wyłamane! – zawołał Holt. – Boże drogi, co z nami będzie? Mamy się tu żywcem usmażyć?

– Bądźże cicho! – powiedział Wolzow. – Dokąd prowadzi to okno? Na podwórze?

– Nie, do ogrodu pod szczytową ścianą.

– Daj mi klucz – powiedział Wolzow – muszę sobie to obejrzeć! – Zbiegł po schodach na dół do piwnicy. Nad Holtem syczał i trzaskał ogień, szyby z okien leciały z brzękiem na podwórze.

– Człowieku! – zawołał Vetter wzburzony. – Tam, po drugiej stronie placu, latają jak opętani! Pewnie myślą, że nas już tu nie ma! – Strzelił, strzał huknął, w odpowiedzi karabin maszynowy plunął serię przez drzwi, że aż ze schodów posypały się drzazgi. Holt również widział, za pompą i przy

czerwonym domku, jakieś postacie, oświetlone blaskiem ognia, ale nie strzelał.

Z drzwi piwnicy wyłonił się Wolzow. – Jak będziemy mieć trochę szczęścia, to przedostaniemy się do ogrodu. Potem już pomyślimy, co dalej. – A więc jednak jest jeszcze przed nami jakieś „dalej”, pomyślał Holt, jeszcze nie wszystko skończone... – A Sepp?

– Szok pourazowy. Weźmiemy go ze sobą. Słuchaj! Christian musi wiać razem z Seppem.

My jeszcze tu trochę zostaniemy. – Znowu się nad czymś zastanawiał, z przekrzywioną na bok głową. Holt krzyknął niecierpliwie: – No prędzej!

– Chwileczkę! Tylko bez hysterii! Co się z tobą właściwie dziś dzieje? Zastanawiam się tylko, bo może oni nam tu przyjdą jeszcze na odsiecz. Właściwie nie mieliśmy żadnego zadania bojowego. Myślę, że można zaryzykować próbę przełamania się.

– Gilbert! – krzyknął Holt. – Przestań! Bo będę uciekał sam!

– Nie zrobisz tego – powiedział Wolzow, i widać było, że jest zły. – W żadnym wypadku.

Zorganizowany odwrót: tak. Ale nie ucieczka!

Holt zbaraniał. Czterech ludzi, pomyślał, i... zorganizowany odwrót!

Vetter i Gomulka czołgali się przez hall. Podnieśli się z podłogi dopiero wtedy, gdy znaleźli się przy Holcie. Gomulka oparł się o Vettera i na swoim karabinie. Był wyczerpany, jego twarz, widoczna spod opatrunku, była zapadnięta i popielata, wargi sine, a czoło pokryte zimnym potem. – Boli cię? – zapytał Holt. – Prawie wcale – odparł Gomulka słabym głosem. Zniknął

razem z Vetterem w piwnicy. Na ulicy znowu zaczął strzelać kaem. Wolzow odpowiedział mu strzałami z karabinu i wrzasnął: – Strzelaj, Werner! – Ktoś wyskoczył ze smugi światła i przepadł w ciemnościach ogrodu. Holt wystrzelał cały magazynek; w górze nad nim szalał

ogień, cegły i belki waliły się z trzaskiem na podwórze... Wolzow był przy nim i nasadzał bagnet na karabin. – Załaduj! wiejemy! – Pomknęli do piwnicy. Holt wskoczył na skrzynię i przecisnął

się przez okno. Wolzow podał mu karabiny. Potem zanurzyli się w zarośla ogrodu. Uratowani!

Holt obejrzał się za siebie. Ogień szalał, płomienie buchały z okien i biły w górę aż hen ponad dach.

Bez przeszkód dotarli do nasypu kolejowego i pod jego osłoną szli na dworzec. Za nimi, w mieście, strzelanina cichła. Musieli podtrzymywać Gomulkę i dlatego posuwali się bardzo wolno naprzód. Około drugiej nad ranem dotarli do dworca, gdzie ciągle jeszcze huczały strzały.

Ukryci w lesie, spory kawałek od dworca, czekali, aż się zrobi jasno i również tutaj ogień ustanie. Niedobitki warty dworcowej zabarykadowały się w nastawni.

Dokoła było cicho, jak gdyby w nocy nic się nie działo. Zameldowali się unterfeldmeistrowi

Rischce, który siedział wśród swoich ludzi blady i zupełnie załamany.

Gomulka przychodził powoli do siebie. Holt założył mu na głowę świeży opatrunek. Pocisk drasnął policzek i rozdarł go na skos aż do ucha; rana była długa mniej więcej na palec i z początku mocno krwawiła.

Wolzow i Vetter wybrali się tymczasem z paroma ludźmi do miasta i zastali je opuszczone i bezludne. Około dziesiątej rano znalazł się na dworcu – przychodzili poszczególnymi drużynami – również trzeci pluton, bez dowódcy i mocno przetrzebiony. Został zaatakowany i rozbity wieczorem, kiedy znajdowali się w drodze powrotnej, daleko od miasta. Dowódca plutonu poległ. Poszczególne drużyny kryły się po lasach. Trochę później zjawił się na dworcu także Böhm, pod osłoną tylko pięciu ludzi. Posterunki na moście również zostały, zaatakowane.

Böhm objął dowództwo oddziału, uganiał po dworcu z notesem w rękę i próbował ustalić rozmiar strat. Oddział, który liczył przedtem stu osiemdziesięciu pięciu ludzi, skurczył się do stu trzydziestu jeden.

Holt drżał na myśl o zbliżającej się nocy. Leżał w jakimś spichrzu. Wolzow kręcił się gdzieś na dworze; po południu powiedział: – Jak się zrobi ciemno, znowu wrócą.

Ale późnym popołudniem przyjechała do miasta zmotoryzowana jednostka SS. Junacy cisnęli się przed dworcem wokół ciężarówek. – Popatrzcie tylko, co za fantastyczną broń oni mają! – wykrzyknął Vetter.

– Karabin szturmowy wzór czterdzieści cztery – powiedział Wolzow. – Nowy typ pistoletu maszynowego.

– Gdybyśmy my mieli coś takiego – zawołał Vetter – tobyśmy dziś w nocy na pewno zwyciężyli!

Holt nie brał w tym wszystkim udziału, siedział osowiały na betonowej rampie przed jakimś magazynem. Jeżeli wrócą, to znowu stracimy pięćdziesięciu ludzi. I jutro znowu. I najdalej pojutrze na mnie przyjdzie kolej. Jeszcze dwa dni... Böhm kazał zrobić zbiórkę, po czym junacy wdrapali się na ciężarówki. SS stało z bronią u nogi przed dworcem i tam już zostało.

Ciężarówki zjechały w jakąś dolinę i posuwały się drogą, która biegła równolegle z bystrą rzeką. Daleki huk dział, który rozlegał się od rana po górach, stawał się coraz bliższy.

Wieczorem dotarli do wsi położonej w rozległej kotlinie. We wsi było pełno esesowców.

Oddział dostał na kwatery jakąś walącą się stodołę. Nareszcie znowu ciepła strawa i suchy prowiant. Oddział stracił wszystek swój bagaż w szkole. Holt uratował tylko swój chlebak i napchał teraz do niego konserw i chleba. Dostali także papierosy i tytoń, co wpłynęło od razu na poprawę nastroju. Holt zaprowadził Gomulkę na punkt opatrunkowy. Ranę obejrzał mu jakiś sanitariusz i powiedział pogardliwie: – Ślad jakby wsza ugryzła, a tyle krzyku... Co ci było?

Szok po takim draśnięciu? Jesteś chyba stuknięty.

Na drugi dzień większość esesowców odjechała, pozostały tylko sztaby i tabory. Böhm wyspał się i teraz dwoił się i troił. Okazało się, że jest bardzo zaradny. Z zapasów SS oddział

otrzymał nowe wyposażenie, to znaczy najniezbędniejsze rzeczy: chlebaki, manierki, łopatki saperskie i każdy jedną płachtę namiotową. Trzy plutony, każdy po cztery drużyny, miały już teraz tylko po czterdziestu jeden ludzi; dowódcami drużyn wyznaczeni zostali zwykli junacy, dowódcami plutonów obervormanni, którzy mieli najdłuższy staż służby. Pozostało jeszcze sześciu ludzi na zbyciu, z których Böhm utworzył drużynę dowodzenia i przekazał ją Wolzowowi; Wolzow wybrał sobie Holta, Vettera, Gomulkę i jeszcze dwóch innych. Po południu Wolzow przyniósł wódkę. Alkohol tylko na krótko przywrócił Koltowi energię i dodał

mu ducha. Potem znowu opadło go przygnębiające uczucie osamotnienia i strachu.

Böhm włączył drużynę dowodzenia wiecznie ze sobą. – Drużynę dowodzenia? Straż przyboczną chciał mieć! – powiedział Holt. – Jesteśmy strażą przyboczną Adolfa Böhma! –

wykrzyknął Vetter, na którym ostatnie wydarzenia nie pozostawiły żadnego widocznego śladu.

Oddział otrzymał nowe zadanie. Wolzow opowiadał: – Dzisiaj w nocy SS zajęło wieś, gdzie krzyżują się jakieś drogi, i natychmiast poszło dalej. Mamy zająć tę miejscowość i strzec tego skrzyżowania. Nareszcie jakieś konkretne zadanie bojowe, przynajmniej wiadomo, czego się trzymać!

Maszerowali po gęsto zalesionych, bardzo stromych zboczach górskich, przez nieprzebyte lasy liściaste, leśnymi ścieżkami i po tropach myśliwych. Böhm orientował się według mapy.

Jedna drużyna szła przodem jako szpica, reszta podążała za nią gęsiego w dużych odstępach.

Gdy po południu wyszli – na szczęście bez walki, niemniej jednak zmęczeni marszem – na szeroką bitą drogę, byli właściwie już u celu.

Przed nimi rozpościerała się zielona dolina, która, szeroka mniej więcej na trzy kilometry, ciągnęła się ze wschodu na zachód. Droga wyłaniała się z lasu od strony południowej, biegła stromym zboczem w dolinę i po przeciwnej stronie, na północy, ginęła znowu w zalesionych górach. Środkiem doliny, ze wschodu na zachód, płynął przez bagniste łąki szeroki potok górski, równoległe z nim biegła droga, która za zakrętem doliny ginęła gdzieś na zachodzie. Wolzow ochrzcił ją mianem „droga w dolinie”. Tam gdzie obie drogi przecinały się pod kątem prostym, widać było z jakieś pół tuzina domów, a nad potokiem kilka niskich zabudowań. To była już cała miejscowość.

U stóp góry, na łące, Böhm kazał się im zatrzymać. Rozciągnięty w długi wąż oddział

powoli się zbierał. Skrzyżowanie znajdowało się jakiś kilometr przed nimi. – Pierwszy pluton –

krzyknął Böhm – okopie się po obydwu stronach drogi, frontem na południe, do gór! Drugi i trzeci pluton na pas broń! Naprzód marsz! – Jakies sto metrów przed skrzyżowaniem kazał im znowu stanąć. – Trzeci pluton przejdzie przez skrzyżowanie i przez most, pomaszeruje mniej więcej jakiś kilometr za wieś i tam się okopie, frontem na północ, do zbocza gór. Trzeci pluton odmaszerować! – Böhm wyciągnął mapę i zaczął się naradzać z Rischką.

Holt rozejrzał się naokoło. Łąki były bagniste. Żadna przyjemność tu się okopywać, pomyślał. Mniej więcej pięćdziesiąt metrów przed nim, na prawo od drogi, stał jakiś dom, pewnie gospoda. Na lewo Holt ujrzał trzy samotne zagrody, potem drogę w dolinie, a za nią potok, przez który przerzucony był niski drewniany most. Budynki po drugiej stronie potoku, dom mieszkalny i zabudowania gospodarskie należały chyba do tartaku, jak się Holt zdążył

zorientować po stosach desek leżących na podwórzu. Na wschód od wsi była na potoku tama.

Woda rozgałęziała się w tym miejscu w dwie odnogi, przepływała pod drogą, a potem przez teren tartaku i wpadała znowu do potoku. Na prawo, przy drodze w dolinie, jakieś dwieście metrów na wschód od skrzyżowania, Holt ujrzał jeszcze jedną samotną zagrodę, która była spalona i leżała w gruzach.

Obydwaj unterfeldmeisterzy ciągle jeszcze się naradzali. Wolzow najzwyczajniej w świecie dołączył się do nich. Drużyna dowodzenia poszła w jego ślady i obstała kołem obu dowódców.

– A więc dobrze – powiedział Böhm – drugi pluton staje we wsi na kwaterze. – Wolzow wyprężył się na baczność i zapytał: – Dlaczego pierwszy i trzeci pluton okopują się kilometr za wsią? Nie powinniśmy niepotrzebnie osłabiać naszych sił!

– Przestań, ty skończony idioto! – ryknął Böhm wściekły. – Kto wam w ogóle pozwolił się tu wymądrzać? – Wolzow wsadził manifestacyjnie hełm na głowę. Böhm wrzeszczał dalej: –

Drugi pluton, jak przykazałem, do wsi, jako odwód! Plutony pozostaną tam, gdzie są, w otwartym polu mamy nad nimi przewagę, już się nie dam więcej wciągnąć w walkę między domami. Na drodze w dolinie wystawię podwójne posterunki, a wy, idioto, ze swoją drużyną dowodzenia będziecie stać na warcie, aż wam flaki dupą wyjdą! – To ostatnie powiedział już nieco łagodniej, złość mu przeszła. – W kozły broń! Wolno palić! – Rzucił się w trawę i odkręcił

manierkę. – Wolzow! Drużyna dowodzenia idzie na poszukiwanie kwatery!

Człapali zakurzoną drogą. – Popatrz no tam! – powiedział Wolzow i wskazał ręką na prawo.

Pod szczytową ścianą gospody, przy drodze, leżała szara kupa skostniałych trupów. – SS

wykończyło jeńców! – I zawołał przez ramię: – Vetter, przepatrzcie tamte trzy zagrody na lewo!

Wolzow, Holt i Gomulka zatrzymali się na skrzyżowaniu. Potem poszli przez most do tartaku. Holt wszedł za Wolzowem do mieszkania. Gomulka otworzył drzwi do warsztatu. We wszystkich pomieszczeniach domu, do którego wszedł Wolzow z Holtem, ściany posiekane były pociskami. Wolzow poczłapał po schodach ma piętro. Holt zobaczył pod wybitym oknem leżącego trupa, ze zmasakrowaną twarzą. Wybiegł na dwór.

Z innych drzwi, które znajdowały się o parę kroków dalej i prowadziły do warsztatu, wyszedł w tym samym momencie Gomulka, nie, nie wyszedł, wytoczył się jak pijany. Uczepił

się tak mocno klamki, że mimo woli zatrzasnął za sobą drzwi, potem oparł się o mur. Jego twarz była zielonożółta. Skulił się i ukrył twarz w dłoniach.

– Sepp! – „zawołał Holt przestraszony.

Gomulka opuścił ręce. Z piersi wydarł mu się jęk. Popatrzył na Holta. W jego oczach było nieprawdopodobne wprost przerażenie. – Nie wchodź tam! – krzyknął. – Na miłość boską, nie wchodź tam! – I znowu zakrył twarz dłońmi.

Holt był zupełnie bezradny. Jakieś straszliwe przecucie ścisnęło mu gardło. Gomulka powiedział głucho: – A zresztą... wejdź... No idź!

Holt zdjął karabin z ramienia i z powrotem zarzucił go na ramię, wyciągnął parabellum i odbezpieczył je. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi i zajrzał do wąskiego korytarza. Wszedł

do środka. Drzwi się za nim zatrzasnęły. Ostrożnie zajrzał do małego biura. Nic. W końcu wszedł do warsztatu.

Upłynęło parę sekund, zanim oczy jego przystosowały się do panującego tu mroku. Potem zobaczył. To, co ujrzał, było tak potworne, że musiało się najpierw ułożyć w jego mózgu jak kamyczki mozaiki w jeden obraz. Wtedy zrozumiał. Wszystko wokół niego zaczęło wirować, przed oczyma pojawiły się czerwone, a potem czarne plamy. Złapał się futryny drzwi. Chciał

uciekać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa i zaczęły bezsensownie drżeć.

Zobaczył piłę tarczową. Na usianej wiórami, zbryzganej krwią polepie leżały porzrzucone części rosyjskich mundurów, a wśród tego kilka nóg odpiłowanych powyżej kolan, jakaś ręka, kawałek uda. Na stole tarczówki leżał nagi ludzki korpus bez rąk. Na piersi wycięta była wielka gwiazda radziecka. Okrągła tarcza piły wyrwała z ciała jelita i wnętrzności, strzępki ciała i kał

napełniały całe pomieszczenie smrodem nie do zniesienia.

Ktoś wpadł z hałasem przez drzwi i odskoczył w tył. Był to Wolzow. On również zrobił się szary jak popiół. Skurczył się w ramionach, głowa opadła mu na bok. Potem złapał Holta za ramię i wyciągnął go na dwór.

Holt zatoczył się jak pijany, uszedł parę kroków i odetchnął głęboko wieczornym powietrzem. Czuł, że wszystko, co ma w żołądku, podchodzi mu do gardła. Zwymiotował.

Wolzow, obok niego, powiedział: – Rzygaj, rzygaj... Zaraz będzie ci lepiej! – Potem grzmotnął

Holta pięścią w plecy: – Jazda, precz stąd!

Szli z powrotem tą samą drogą i spotkali Vettera z dwoma pozostałymi członkami drużyny dowodzenia.

– Dwie zagrody są całkiem do rzeczy – powiedział Vetter – ale ani jednej świni w chlewie, nie ma nawet ani jednego królika!

– Zamknij się! – powiedział Wolzow. Poszedł do Böhma. Böhm zapytał: – Gdzie? -

Wolzow wskazał ręką na wieś. Böhm wzruszył ramionami i pokręcił głową, ale Wolzow wykrzyknął: – My też mamy nerwy, niech pan pójdzie i zobaczy, co tam narobiło SS! – Rischka pociągnął Wolzowa na bok i odkorkował swoją manierkę, Wolzow wziął ją i napił się. Holt patrzył na to wszystko zupełnie otępiały. Wolzow podał mu manierkę. – Pij! No pij, to jest wódka, to dobrze robi, łyknij jeszcze raz, ty też, Sepp! – Holt upił parę haustów i podał manierkę dalej.

Vetter poprowadził pluton do dwóch stojących na uboczu zagród. Było już ciemno. Böhm postawił drużynę dowodzenia na drodze w dolinie. Holt i Gomulka patrolowali teren w kierunku wschodnim, przy tej samotnej, spalonej zagrodzie.

Wolzow przemierzał wieś. Około północy przyszedł Böhm, żeby skontrolować posterunki; był

mrukliwy i w złym humorze. Kiedy się oddalił, z kolei Wolzow przyszedł do Holta i Gomulki, na papierosa. Opowiadał: – Jeszcze raz zaproponowałem mu, żeby ściągnąć te dwa plutony do wsi. Zaraz wtedy mu powiedziałem, że powinniśmy ten tartak spalić, ale on nie chce.

Jeżeli wezmą tę wieś i zobaczą te kwiatki w tartaku, to wyładują całą swoją złość na nas.

Zupełnie nie rozumiem SS! Jak się już coś takiego robi, to się przecież tego potem tak nie zostawia na oczach wszystkich. – Rozdeptał papierosa. – Jeszcze tu do was przyjdę. – I zanurzył

się w noc.

Gomulka tego wieczora nie odezwał się jeszcze ani słowem. Poruszał się jak automat. Teraz, gdy stali w ciemnościach jeden obok drugiego, powiedział nagle: – Ja o tym wiedziałem. Ale nie wierzyłem. – I dopiero po paru minutach dodał: – Teraz wierzę we wszystko, Holt zdjął karabin z ramienia i oparł go o ładownicę. Oko za oko, ząb za ząb, pomyślał. – Niech nas wszystkich ręka boska broni, jeżeli nie zwyciężymy!

– Zwyciężymy! – prychnął Gomulka pogardliwie. – Do tego nie dojdzie! Nie może do tego dojść, żeby coś takiego zwyciężyło!

Holt nic na to nie powiedział. Minęło pół godziny. Było cicho, tylko potok szumiał.

– Od kiedy zacząłem chodzić do szkoły, przestałem wierzyć w Boga – zaczął znowu Gomulka, i w tym, co mówił, był jeden wielki chaos. – I nie potrafię już nigdy w Boga uwierzyć... Ale że jest diabeł, w to wierzę. – Mówił jakimś nie swoim głosem. – Kiedy dziś to zobaczyłem... i kiedy sobie pomyślę, co będzie z Niemcami, to słyszę zaraz moją matkę, jak mi kiedyś czytała Biblię. „A w one dni szukać będą ludzie śmierci, a nie najdą jej: i będą żądać umrzeć, a uciecze śmierć od nich...” I widzę już koniec wojny... koń blady, o którym napisano:

„a który siedział na nim, imię jemu Śmierć, a piekło szło za nim...” Holta przeszedł dreszcz. Teraz już wiedział, jak wytłumaczyć sobie to uczucie, które nie opuszczało go już od wielu godzin. Był to strach przed śmiercią. Wszystkimi zmysłami wsłuchiwał się w ciemność. Księżyc wszędzie dopiero nad ranem. Wszystko zagłuszał szum potoku. Pośród głuchoj nocy, na straconej pozycji.

Wolzow rzucił hasło, zanim jeszcze usłyszeli jego kroki. – Działo się coś? Nie? Dochodzi już pierwsza. – Stał bez ruchu. – Böhm się położył. Pójdę teraz jeszcze do trzeciego plutonu.

Gdyby coś było... strzelajcie lepiej za wcześniej niż za późno.

Znowu wchłonęła go noc.

Robiło się coraz bardziej zimno. W ciemnościach majaczyła już biała mgła, która wstawiała z potoku i powoli pełzała na łąki. Gomulka szepnął Holtowi do ucha: – Ja coś słyszę! – Holt wyteżył wzrok i wpatrywał się w noc. – Tam przed nami! – Holt nic nie widział i nic nie słyszał.

Gomulka podniósł karabin do strzału.

– Poczekaj! – Holt ruszył przed siebie. Szedł wolno drogą. Zrobiłem głupstwo, w razie czego Sepp nie będzie mógł strzelać. Ale mimo to szedł dalej. Wreszcie zatrzymał się i zaczął

nasłuchiwać. Nic. Tylko potok szumiał. Holt obrócił się twarzą na południe i zaczął wsłuchiwać się w łąki. Nic.

Nagle coś ciężkiego dźwięknęło o jego hełm, ześliznęło się po nim, uderzyło go w ramię i przewróciło na ziemię. Padając, okręcił się naokoło własnej osi, i otrzymał drugi, silny cios kolbą. Dźwięk jakiegoś potężnego, spiżowego dzwonu huczał mu w uszach, unosił go gdzieś wysoko ponad dolinę, tak że już tylko z daleka słyszał narastającą strzelaninę, krzyki walczących i wrzask Wolzowa na moście, który prowadził trzeci pluton pod grad kul. Ale to wszystko już-już cichło. Miał jeszcze tylko uczucie, że ogarnia go jakaś wielka błogość.

Silne wstrząsy i nieustające kołysanie powodowały nieznośny ból. Holt jęczał. Przekręcił

głowę na bok. – Leż spokojnie! – powiedział Wolzow szorstko. – Złamali ci prawdopodobnie kilka żeber. – Holt leżał na ciężarówce. Obok niego ktoś rzeził. Zamknął, znowu oczy. Głowa go tak bolała, jakby mu miała pęknąć. Nie wiedział, co się stało. – Gdzie Sepp? – zapytał słabym głosem. – Też tutaj. Ma postrzał w ramię. Mnie pocisk przebił łydkę. Poza tym mam rękę przekłutą bagnetem. Leż spokojnie, bo diabli wiedzą, co ci tam jeszcze poharatali! – Holt przewrócił się na bolący bok. Tak mu się lepiej leżało. Rzęzenie obok niego stawało się nie do zniesienia.

Samochód dość prędko dotarł do punktu opatrunkowego.

Ale punkt nie przyjmował rannych. Główny punkt opatrunkowy również nic nie chciał

o nich wiedzieć i odprawił ich z kwitkiem. Samochód pojechał dalej. Rzęzenie obok Holta ucichło. Dopiero późną nocą dotarli do jakiegoś miasta. Tu ich wyładowano.

Rano zrobiono Holtowi zdjęcie rentgenowskie. „Proszę pisać: Zdjęcie rentgenowskie lewego stawu barkowego. Wyrostek barkowy wykazuje linię przełomu bez przemieszczenia..” I dalej:

„Obraz rentgenowski klatki piersiowej. Przepona wolna, serce normalnej konfiguracji, złamanie trzeciego, czwartego i piątego żebra w linii łopatkowej bez wyraźnego przemieszczenia...” Odwieziono go na wózku i znalazł się znowu w prawdziwym łóżku z białą powleczonej pościelą.

Pokój był nieduży. Jedno z trzech łóżek było puste, na drugim leżał jakiś starszy człowiek o zapadniętych policzkach. Przez otwarte okno widać było ogród.

– Tu już jest Protektorat, przyjacielu – powiedział człowiek z sąsiedniego łóżka – możesz spać całkiem spokojnie! – Holt czuł się jakoś dziwnie odurzony. Wieczorem stanęła nad jego łóżkiem młoda, jasno ubrana pielęgniarka i zapytała: – Ile pan ma lat?

– Prawie osiemnaście.

– A więc siedemnaście! – powiedziała obojętnie. – Ma pan bóle? – Odwrócił głowę na bok i spojrzał przez okno w ciemne wieczorne niebo.

Później pielęgniarka przysłała znowu i dała mu zastrzyk w przedramię. – Jutro wszystko będzie wyglądało już całkiem inaczej!

– Jak się pani nazywa? – szepnął Holt.

– Siostra Regina. Ale teraz trzeba spać!

Następnego dnia, po krótkiej wizycie – lekarskiej, przykuśtykał do pokoju Wolzow, w tak doskonałym humorze, w jakim go Holt już dawno nie widział. Spodnie miał wciągnięte na, nocną

koszulę, lewa nogawka była ucięta. – Jak się czujesz, stary wiarusie? – Przysiadł się do Holta na łóżko. – Po mnie spłynęło wszystko jak woda po psie, kość nienaruszona, zwykła czyściutka rana, niebo nie opuściło starych wiarusów. Lekarz naczelny nie chciał mnie tu wcale zatrzymać, miałem iść do szpitala garnizonowego, no to musiałem troszkę symulować!

– Symulować? – zawołał człowiek z kąta i uniósł się na posłaniu. Był strasznie wychudzony.

– I on się na tym nie poznał? Ja myślę, że lekarze zawsze się na tym poznają, jak ktoś symuluje?

– Ale gdzie tam – powiedział Wolzow. – Ja wiem co i jak, sprawa ta została dokładnie zanalizowana już podczas pierwszej wojny światowej i jeszcze wcześniej, wszystko to można znaleźć w pracy Peltzera *Z doświadczeń szpitala polowego* albo w *Medycynie wojskowej* Frölicha, zresztą to nieważne. No więc powiedziałem, że nie mogę sobie przypomnieć, jak się to wszystko stało, nagle ocknąłem się na ziemi i zwymiotowałem, bez przerwy wymiotowałem, podczas drogi też wszystko zarzygałem, i byłem taki jakiś zamroczony, a potem miałem, straszne bóle głowy, ale jeżeli mam być tak całkiem szczery, to te bóle głowy jakby trochę ustąpiły! No to po czymś takim musiał stwierdzić silny wstrząs mózgu i kazał mi co najmniej dwadzieścia jeden dni leżeć spokojnie w łóżku, bo co miał robić?

Holt nie mógł powstrzymać się od śmiechu, ale śmiech wywoływał ból w piersi. – Niech no cię tu tylko przy łapie! – Wolzow potrząsnął głową. – Tu jest tylko dwóch lekarzy i obaj teraz operują. Naczelny kocha operować, jak tylko coś kwalifikuje się do operacji, to bierze zaraz pod nóż! To wcale nie jest szpital polowy, to całkiem przyjemny szpitalik powiatowy.

Do pokoju weszła siostra Regina. – Wolzow – zawołała zgorziona. – Widział to kto biegać po szpitalu, tego nie wolno! Natychmiast do łóżka!

– Siostro – powiedział Wolzow – jesteśmy starymi przyjaciółmi jeszcze ze szkoły, ja się wśliznę tam do tego wolnego łóżka, dobrze? – Zawahała się chwilę, a potem roześmiała się: –

Pielenie. W takim razie otwieramy oddział dziecięcy. – Wolzow oburzył się: – Oddział

dziecięcy! Z powodu... – Ale siostra powiedziała rozkazującym tonem: – Natychmiast kłaść się!

– Potem dała Koltowi jakąś tabletkę. – To na bóle.

– Jak to robiłem? – zapytał Wolzow. Ale chudzielec w kącie tak był tym podniecony, że nie dał mu dojść do słowa: – Słuchaj, przyjacielu, a może znasz jeszcze więcej takich sposobów, na których lekarze nie potrafią się wyznać? – Wolzow zrobił się nagle powściągliwy. – Musiałbym najpierw wiedzieć, w jakim jesteś wieku i gdzie służysz.

– Pospolite ruszenie – powiedział człowiek na sąsiednim łóżku. – Do czterdziestego trzeciego byłem zdolny tylko do służby garnizonowej, potem uznali mnie za zdolnego do służby liniowej. Służyłem w Pradze przy dowództwie korpusu, tam kazali mi pojechać do jakiegoś majątku w Słowacji po świnie, tuczoną świnie, dla kwatermistrza korpusu, wiozłem tę świnie opel-blitzern, no i po drodze mnie postrzelili, akurat wtedy, kiedy się to tam zaczynało. Świnie mi zabili. Tu jest jak w niebie,

przyjacielu! Kula przeszła mi koło płuca, ale za trzy dni już mnie stąd zwalniają, to jest straszne, kwatermistrz podobno szalał, że świnia przepadła, groził, że mnie każe wysłać na front. Nazywam się August Meier, mam pięćdziesiąt trzy lata, ewangelik, żonaty i mam czworo dzieci. Ale w partii nie jestem, bo dawniej byłem socjalistą.

– August Meier! – powiedział Wolzow i roześmiał się na całe gardło. – Akurat August Meier, twoim rodzicielom nic mądrzejszego pewnie do głowy nie wpadło, co? A więc, stary socjalisto, czy czym ty tam byłeś, Stahlhelm, Partia Narodowa, to i tak był jeden diabeł, gdybyś miał czterdzieści lat, tobym ci nic nie mógł poradzić, sam bym cię pognął na front, ale z twoimi pięćdziesięcioma trzema latami i czworgiem dzieci, to już nie będę taki i wykombinuję ci zapalenie ślepej kiszki. Masz chyba jeszcze ślepą kiszkę, co? Dobra. Po operacji musisz sprawę jak najdłużej przeciągać, można wszystko tak sprytnie urządzić, żeby rana pięknie ropiała, już ja cię tego nauczę. Od dziś zaczniesz odkładać sobie wszystko masło, jakie tu dają, musisz mieć co najmniej ćwierć funta...

– Już mam – powiedział Meier – nawet więcej, bo wysyłam je zawsze do domu.

– No to możesz być już dziś w nocy operowany! Posłuchaj! Nagle dostajesz bólów brzucha, ale okropnych! Będziesz jęczał i krzywił się, jak tylko potrafisz, takie masz straszne bóle brzucha, i spadło to na ciebie nagle, jak piorun z jasnego nieba...

– A jeżeli to tak bardzo boli – powiedział Meier z wykrzywioną twarzą – to może nie to, a co innego...

– Jesteś głupi! – wykrzyknął Wolzow. – Człowieku, to przecież wcale nie boli, będziesz tylko udawał, że cię boli!

– No tak, racja! – powiedział Meier. Wolzow ciągnął dalej: – Akurat chciałeś zobaczyć, która godzina, czy już czas iść spać, była za piętnaście dziewiąta czy coś koło tego, to zawsze działa przekonywająco, jak się pamięta jeszcze godzinę. I boli cię cały brzuch, nie tylko z prawej strony, ale przede wszystkim pośrodku, tu mniej więcej pod pępkiem...

Holt leżał bez ruchu. Znowu naszły go wspomnienia. Ostatnia warta we wsi. Walka o szkołę.

Tamta Słowaczka. Obóz RAD-u. Gundel. Noc, kiedy było bombardowanie Wattenscheid.

Zamknął oczy.

– Tak, tak, mów dalej! – powiedział Meier.

– Nie kładź się tylko nigdy na lewy bok, pamiętaj! bo wtedy jeszcze bardziej boli!

Podkurczysz prawą nogę, bo to ci pomaga łatwiej znosić ból, a jak ci ją raptownie wyprostują, jękniesz z bólu i prędko podkurczysz ją z powrotem. Rozumiesz?

Sam tego szukałem, tej... przygody, rozmyślał Holt. Nie mam – co teraz jęczeć i narzekać, choćbym miał nawet przy tym zdechnąć. Ale wyobrażałem to sobie zupełnie inaczej: że to będzie jakieś oczyszczające, wyzwalające i heroiczne... a nie takie bezsensowne. Langemarck, jak pisano w

lekturze szkolnej, to był zawsze ten ideał. Z pieśnią na ustach ginąć za Niemcy...

Wszystkie te książki stały mu teraz przed oczyma, widział przed sobą otwartą stronę z gotyckimi literami: „...z okrzykiem na ustach rzucił granat w gniazdo karabinów maszynowych... gdy go w biegu dosięgła kula i padał na ziemię, ostatnią jego myślą było:...Niemcy... Wypił ten kielich goryczy z dumnym śmiechem prawdziwego bohatera...” Kłamstwo! Wszystkie te książki kłamały.

– Po lewej stronie nic nie boli, przy ucisku, ale po prawej... Potem całkiem wolnusięko wciśnie ci głęboko brzuch, po prawej stronie również, i gdy nagle puści... to krzykniesz „au!” A gdy go znowu naciśnie, to będziesz udawał, że nic nie czujesz, ale gdy znowu puści, jękniesz tak przeraźliwie, jak tylko potrafisz...

Wspomnienia z dzieciństwa były dziś wyraźniejsze niż zwykle. Nie miałem jeszcze wtedy dziesięciu lat, jakeśmy bawili się w wojnę! Mówiłem wtedy: Jak będę duży, to też pójdę na wojnę! No i teraz mam to, czego chciałem.

– ...żeby morfologia krwi się zgadzała, musisz na dwadzieścia minut przed pobraniem krwi opędzlować to całe masło, tak prędko, jak tylko potrafisz. Dasz radę?

– Myślę, że tak – powiedział Meier. – Raz się najeść tak uczciwie do syta masła, dlaczego nie?

Ale dorośli patrzyli na to z aprobatą! To oni mnie w to wciągali. Popatrz tylko na tego Wenera, będzie z niego na pewno dzielny żołnierz! Ja nie jestem winien, skąd miałem to wszystko wiedzieć? Dorośli powinni byli lepiej wiedzieć niż ja. Z ładnymi haselkami wyprawili mnie w drogę, w taką drogę.

– I jak wszystko zrobisz tak jak trzeba, to cię muszą operować, i nikt na świecie nie będzie ci mógł nic udowodnić!

Holt odwrócił twarz do okna. Liście na wierzchołkach drzew robiły się już brązowe.

Gadanina Wolzowa znowu wdarła się do jego świadomości. Na drugi dzień, kiedy się obudził, sądził przez chwilę, że udało mu się uciec. Ale życie dopędziło go. Przyszło za nim w postaci Wolzowa, życie, wojna. Gdybym się już więcej nie obudził, pomyślał, wszystko już byłoby teraz skończone. Nie było wcale tak źle. Było pięknie. Tylko strach jest okropny, przedtem, ale samo umieranie jest przyjemne.

Wolzow jeszcze raz powtarzał swoje wskazówki wbijał je Meierowi do głowy. – Najlepiej będzie, jak zrobimy to dziś wieczorem – powiedział Meier – bo wtedy będziesz mógł mi jeszcze jakoś pomóc!

Holt nie słuchał. Bóle już mu przeszły. Zamroczenie ustąpiło. Czuł teraz ulgę i spokój.

Wydarzenia z ostatnich lat przesuwały mu się przed oczyma jak obrazy, wydarzenia, z których każde samo przez się było dla niego niewiele więcej niż szokiem, może nawet ograniczało się tylko do strachu, ale teraz, gdy tak je ogarniał jednym spojrzeniem, były ze sobą zespolone jak ogniwa jednego łańcucha, i ten łańcuch wiązał go z życiem, nie chciał go puścić.

To się zaczęło od Marii Krüger, rozmyślał. Dopóki jej nie poznałem, wszystko było łatwe i jasne. Jak mi powiedziała to o Meissnerze, zaczęło się. Potem, w górach, opowiadał ktoś, jak to na Ukrainie rekwirowano bydło i rozstrzelano jakiegoś chłopca wraz z całą rodziną. Potem Uta: To przecież i tak wszystko na próżno! Potem pani Ziesche i ta nieprawdopodobnie brudna robota jej męża. Potem ojciec:...SS zabija w Polsce w obozach koncentracyjnych setki tysięcy ludzi...

Potem ta historia z Rosjanami w baterii. Potem ta noc w baraku Kutschery. Potem los Gundel.

Potem ta Słowaczka. Potem tartak.

Wiem teraz wszystko. Komuniści są skazywani na karę śmierci, Żydzi truci gazem, jeńcy wojenni bici i zagładzani na śmierć, dzieci polskie wywożone do Rzeszy, Ukraińcy deportowani do Zagłębia Ruhry, młode dziewczęta rozstrzeliwane, partyzanci torturowani na śmierć. Wiem wszystko. Próbowałem o tym zapomnieć. Ale zawsze, gdy już prawie zapominałem, zdarzało się coś nowego. To idzie za mną, to na mnie czy, ja w tym tkwię, nie mogę się od tego uwolnić, teraz już nie ma odwrotu. Nie mogę się wycofać. Muszę przejść przez te siedem piekieł. Dopóki się to nie skończy, dopóty nie będzie spokoju, nie będzie zapomnienia.

Ja to nie tylko wiem, pomyślał, ale: Coś z tego jest i we mnie. Coś? Ja przecież biorę w tym wszystkim czynny udział. Gdyby mi Böhm rozkazał: rozstrzelać ich! – byłbym ich rozstrzelał.

Jeżeli taki sam rozkaz przyjdzie jutro... będę ich rozstrzeliwał.

O Boże, Boże!

Ale ten, który by ich rozstrzelał, filozofował Holt, nie byłby już mną. Dostałem przecież rozkaz od Lessera, tamtej nocy, a jednak go nie wykonałem, pozwoliłem im uciec, wziąłem także Rosjan w obronę, wtedy. Ten, który w duchu już celował: między łopatki, trochę w lewo, to nie byłem ja. A jednak obaj, on i ja, będziemy dalej robić tak, jak każe rozkaz.; Patrzeć prosto przed siebie, obojętne gdzie, i naprzód marsz!

Może tak musi być... żebyśmy wreszcie mogli stać się sobą. Może musi tak być, żeby to wszystko na nas samych spadło: nędza, zniszczenie, ból i śmierć, nocą, od bomb, a teraz już chyba niedługo wszędzie, w całych Niemczech. Holt był jak w półśnie.

– Gdzie Sepp? – zapytał Holt. – Gdzie Christian? Co to w ogóle było? Gilbert, kto ci przebił rękę bagnetem?

Wolow jadł właśnie i z ustami pełnymi jedzenia powiedział: – Sepp też jest tutaj.

A Christian? Na pewno gdzieś się tam zadekował, wesół i szczęśliwy, ten nas jeszcze wszystkich przeżyje, Schmiedling go przecież uczynił nieśmiertelnym, przez tego „trupca”. Byłem z nim do ostatniej chwili. Nigdy bym go o to nie posądzał, że wyrośnie kiedyś z niego taki dzielny chłop.

– Jak myśmy się dostali na tę ciężarówkę?

– To było tak: Te podwojone posterunki padły bez jednego strzału. Tamci już byli we wsi.

Jak się rozpoczęła strzelanina, byłem akurat przy trzecim plutonie. Pognaliśmy tam co sił

w nogach. Gdyśmy byli nad potokiem, tamci już opanowali całą wieś, tylko z jednej zagrody jeszcze trochę strzelano. Nie puścili nas przez potok. Dwa razy próbowaliśmy zejść, ale nas ostrzeliwali. Tam też, na moście, zafasowałem to świństwo, pocisk przeszedł przez but.

Cofnęliśmy się więc do tartaku, było nas jeszcze dwudziestu jeden ludzi.

– A pierwszy pluton?

– Leżał na łące i przyglądał się. Myśmy bronili tartaku. Posłałem łącznika do pierwszego plutonu, przez łąki, później jeszcze jednego, ale żaden nie przeszedł. Walczyliśmy całą noc. Dwa razy byli na podwórzu i raz już w korytarzu, tak że musieliśmy odeprzeć ich bagnietami, Vetter rzucał się w najgorszy wir, jak dziki. Biliśmy się jak berserkerzy, bez rozkazu, bez żadnego celu bojowego, wyłącznie tylko dlatego, żeby nas nie dopadli akurat tam, gdzie na dole leżało jeszcze to całe świństwo. Pokazałem to przedtem ludziom. Patrzcie, powiedziałem, teraz wiecie, że musicie walczyć do ostatniej kropli krwi! I walczyli. Ze strachu! Jak się zaczęło rozwidniać, widzieliśmy już co prawda trochę lepiej, ale oni za to odpędzali nas od okien kulami, tak grzali, że aż radość brała patrzeć, takich dobrych strzelców mieli. Nam już kończyła się amunicja.

W końcu jeszcze tylko dziewięciu ludzi było zdolnych do walki. Zastanawiałem się przez cały czas, co robić, żeby mnie w tym tartaku nie złapali. Wreszcie drogą w dolinie nadszedła ze wschodu kolumna ciężarówek, razem z nią trzy transportery opancerzone dla osłony, a na nich piechota zmechanizowana, karabiny maszynowe i jedno działko dwudziestomilimetrowe, to oni roznieśli ogniem całą wieś i wyciągnęli nas z tartaku, że tak powiem, w ostatniej chwili.

Pierwszy pluton siedział tymczasem w okopach i wcale nie strzelał, bo nie mieli rozkazu, wyobrazasz sobie coś takiego?! Jak się zrobiło jasno, chcieli wdrzeć się do wsi, ale na otwartym polu atak się naturalnie załamał. Kiedy pojawiła się piechota zmechanizowana, partyzanci puciekali do lasów. Było ich najwyżej trzydziestu, ale wszyscy pierwszorzędni strzelcy. A teraz posłuchaj, co się przydarzyło Seppowi. Dostał postrzał w ramię i wlaź do tej spalonej zagrody, zaszył się tam w piwnicy. Nad nim, w tych ruinach, partyzanci ustawili karabin maszynowy i grzali z niego do nas w tym tartaku. I przez całą noc znosili tych straconych jeńców, co to leżeli pod gospodą, do tej właśnie piwnicy. Sepp siedział jak mysz pod miotłą za kupą rupieci, o mało co nie umarł ze strachu. Ciebie znaleźliśmy na drodze w dolinie. Jedna ciężarówka zabrała rannych, czterech po drodze zmarło. Resztę naszych piechota zabrała na swoje samochody. –

Wolzow założył ręce pod głowę, Holt leżał znowu z zamkniętymi oczyma. A więc Sepp ocalał.

I ja ocalałem. Po co właściwie?

Wczesnym wieczorem Meier zaczął rzeczywiście symulować. Wolzow nim kierował.

Siostra Regina pełniła tym razem jakoś opieszale swój dyżur i nie dopilnowała wszystkiego jak trza,

kto wie, jak dawno już nie miała wolnego. Stała teraz nad łóżkiem Meiera. – Niechże pan wreszcie wyprostuje tę nogę!

– Nie! – jęknął Meier. – To podobno jeszcze więcej boli!

– Tak, tak – powiedziała siostra Regina – będę musiała w takim razie zawołać lekarza!

– Dobrze było? – zapytał Meier. Wolzow zawołał: – Ty ośle dardanelski, nie masz mówić, że to podobno boli, tylko musisz mówić, że *boli!* I jak cię będzie badał, to musisz wrzeszczeć

„au!”

Lekarz asystent, jeszcze bardzo młody człowiek, w – silnych szklach w ciemnej rogowej oprawie, pochylił się nad łóżkiem Meiera, odwrócony plecami do Wolzowa. Odrzucił kołdrę.

Siostra Regina stała przy nim. – Czy tu boli?

– Wszędzie! – jęknął Meier i odwrócił twarz do Wolzowa. Wolzow klęczał na łóżku i dawał

Meierowi jakieś znaki. Meier nie rozumiał, o co mu chodzi. Miał tak wielkiego pietra, żeby nie poznano się na jego symulacji, że wyglądał rzeczywiście na cierpiącego.

– A tu boli?

– Jęczeć!! – zawołał Wolzow niecierpliwie. Meier jęknął. Lekarz odwrócił się do Wolzowa.

– A panu co znowu się stało?

– Jęczeć jęczy bez przerwy – powiedział Wolzow prędko – tak jęczy, że ja sam jestem w strachu! – Lekarz powiedział z przekąsem: – Ma pan widocznie słabe nerwy! – Potem badał

Meiera dalej. – Tu boli?

– Nie... Au! – wrzasnął Meier.

– Niech się pan odwróci twarzą do ściany! – Meier przewrócił się na lewy bok i jęknął, – Co jest?

– Boli... coraz bardziej, na tym boku – bełkotał płaczkliwie Meier. – Klasyczny przypadek –

powiedział lekarz do siostry Reginy. – Wszystko jak trzeba, dziwne tylko, że nie ma obrony mięśniowej, ale to często się zdarza. Możemy sobie oszczędzić badania rektalnego, sprawa nie ulega żadnej wątpliwości.

– I wymiotuję! – powiedział Meier nieśmiało. – Przedtem było mi tak niedobrze, i boli mnie cały brzuch, nie tylko po prawej stronie.

– Niech siostra da mu w drodze wyjątku dolantynę – powiedział lekarz. – A jutro zaraz z rana

przygotować go i na salę operacyjną, naczelny z zasady nie operuje w okresie podostrym, jeszcze dziś będę go widział i porozumiem się z nim. Ale przedtem potrzebna mi jest leukocytoza, da się to zaraz zrobić?

Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, Wolzow zawołał: – Masło! Prędko, zryj masło! –

Meier drżącą ręką wyciągnął z nocnego stolika żółte bakelitowe pudełko, zanurzył w nim dwa palce i zaczął sobie pakować żółte masło do ust, jeszcze i jeszcze. Potem wrzucił pudełko do szuflady i zaczął przełykać ślinę. Oczy wylazły mu na wierzch. Łykał ślinę i dławił się. – Tylko nie rzygać! – zawołał Wolzow.– Zmusz się i przełknij! – Meier przycisnął ręce do ust. Dławił się i męczył coraz bardziej. Do pokoju weszła siostra Regina i natychmiast zrobiła w tył zwrot, ale gdy wróciła z nerką, Meier już wszystko przełknął i leżał zlany potem i zupełnie wyczerpany na łóżku. – Już lepiej? – zapytała współczująco. – Niech pan poczeka, przygotuję panu najpierw zastrzyk!

– A widzisz! – triumfował Wolzow. – August Meier będzie operowany! A potem elegancko rozdrapiesz sobie ranę, będzie się paskudziło jak złoto! Ale teraz musimy koniecznie zyskać jeszcze dwadzieścia minut na czasie, najlepiej będzie, jak cię zaprowadzę do klozetu i tam przeczekamy ten czas. Jazda, prędko! – wyskoczył z łóżka. – Przyjacielu – powiedział Meier – ja ci tego nigdy nie zapomnę! Jak się wojna skończy, musisz koniecznie do mnie przyjechać, ty też, Holt, mam kawałek ziemi, zabiję na waszą cześć najlepszą gęś! To jest między Erfurtem a Weimarem... – I zniknęli w drzwiach, obaj w nocnych koszulach.

Siostra Regina popatrzyła zdumiona na puste łóżka: – A to co? – Odłożyła strzykawkę na mały stolik opatrunkowy przy oknie, potem stanęła w nogach przy łóżku Holta. Ściemniało się. –

A my jak się czujemy? – zapytała. – Dziękuję. Do tej pory nie miałem żadnych bólów. Ta tabletki podziałała na mnie cudownie uspokajająco.

– Taaak? – powiedziała przeciągle. – Ależ ja nic nie chcę słyszeć o żadnym uspokajającym działaniu, bo więcej już nie dam, to był przecież eukodal! – Gdy tak stała przy jego łóżku, w ostatnich blaskach – światła dziennego, wydawała mu się jakąś nieziemską zjawą, w tym swoim jasnym stroju i w czepku na jasnych włosach. Patrzył na nią w milczeniu i myślał: Jeżeli jest sprawiedliwość na świecie, to i za jej plecami ktoś kiedyś stanie i wyceluje: między łopatki, trochę w lewo.

– Siostrze Regino... – powiedział – siostra jest przecież dobrym człowiekiem, na pewno... –

Uśmiechnęła się. – Do czego pan zmierza? – Powiedział: – Ale to na nas wszystkich przyjdzie, na siostrę też. – Spuściła głowę, a potem usiadła przy nim na brzegu łóżka. – Co pan wygaduje!

Patrzył gdzieś mimo, nie na nią. Przed jego oczyma rozplływały się w mroku kontury okna. –

Jedna dziewczyna... taka jak siostra – powiedział – tak samo młoda, Słowaczka, też blondynka...

zabiła we własnej obronie jednego z nas... chciał ją zgwałcić. Miała być za to rozstrzelana.

Gdybym ja dostał ten rozkaz... byłbym go wykonał.

– Ale... nie zrobił pan tego przecież – powiedziała cicho. – Więc może pan spokojnie spać.

– Pozwoliłem jej nawet uciec – powiedział Holt ledwo dosłyszalnie. – Ale to się nie liczy.

Bo wiedziałem, że to się nie wyda, w przeciwnym razie nie miałbym odwagi... Co to jest?

Siedziała długo w milczeniu. Potem powiedziała: – Niech pan spróbuje... się modlić!

Nic na to nie odpowiedział. Potrząsnął tylko przecząco głową. Przeznaczenie, opatrność, Bóg... Coś się w nim zbuntowało: Ja nie chcę żadnego Boga! Ludzie muszą być temu winni, może dlatego, że są niedoskonali, czy ja wiem zresztą dlaczego. Bóg tu nie może być winien, bo jeżeli tak, to chyba tylko wyć z rozpacz!

Nagle siostra zdecydowanie wstała, poszła po strzykawkę, wzięła go za rękę i wbiła mu igłę pod skórę.

Reakcja po zastrzyku nastąpiła bardzo prędko, – Mam jedną prośbę siostrzyczko –

powiedział już sennym głosem. – Czy Sepp Granulka nie mógłby jutro zająć łóżka Meiera?

– Ten z przestrzelonym ramieniem? – Kiwnęła głową na znak zgody. – Ale teraz powinien pan już spać. – I zaczęła mówić do niego uspokajająco: – Ma tędy podobno przejeżdżać pociąg sanitarny. Pójdzie do Rzeszy. Postaram się zrobić wszystko, żeby pana też nim odesłano. – Leżał

już z zamkniętymi oczyma. Pogłaskała go po czole. Zасыpiając słyszał jeszcze szorstki głos Wolzowa, który pakował Meiera z powrotem do łóżka.

Następnego ranka Granulka rzeczywiście leżał pod oknem, z twarzą oblepioną plastrami i obandażowanym ramieniem. Na pytania Holta odpowiadał mono sylabami. Wolzow, który tu po raz pierwszy od czasu urlopu zdradzał coś w rodzaju dobrego humoru, powiedział: – Meier jest po operacji! Naczelnny nie mógł sobie odmówić tej przyjemności. – Holt przez cały dzień drzemał. Dopiero wieczorem, gdy do pokoju wpełził zmrok, obudził się z tego letargu. Siostra Regina, która miała znowu dyżur, zapytała: – Co słychać na oddziale dziecięcym? – Nie raczyła nawet zauważyć protestu Wolzowa, roześmiała się i oparła plecami o otwarte okno. – Czy to, co siostra wczoraj mówiła o tym pociągu sanitarnym, to rzeczywiście prawda? – zapytał Holt. –

Oczekujemy go już jutro rano – powiedziała. – Zabierze pana. Mam już na to podpis.

– Ale jeżeli Sepp i Gilbert...

– Już o tym pomyślałam. Przy panu, Wolzow, doktor zmarszczył trochę czoło, ale potem jednak podpisał. Mam was wszystkich skierować do kliniki dziecięcej. – Znowu się roześmiała.

– Przecież siostra jest tylko o parę lat starsza od nas! – mruknął Wolzow.

Nagle ze swego łóżka odezwał się Gomulka: – Wcaleśmy sobie nie zasłużyli na to, żeby stąd odjeżdżać, i w ogóle na to, że znowu nam się tak dobrze powodzi.

– Zasłużyli? – Wolzow roześmiał się. – Ty masz chyba gorączkę! Od kiedy coś takiego zależy od zasług? Stosunki trzeba mieć! Tym razem Werner ma stosunki. Jeśli chodzi o kobiety...

– Gilbert! – krzyknął Holt zły. Ale Wolzow ciągnął niewzruszenie dalej: – Nawet ślepy by zauważył, siostrzo, że Holt swoją elokwencją owinął sobie siostrę koło palca! – Siostra Regina oparła się rękoma o parapet okna i roześmiała się, aż jej zęby błysnęły. – Nie podoba się panu, że ja Holta faworyzuję? Ja zawsze kogoś faworyzuję. On przynajmniej nie wrzeszczy tak jak pan i jest bardzo miły, nie taki żołdak jak pan!

– Jedziecie prawdziwym wagonem sypialnym – powiedziała na drugi dzień i zaczęła pakować ich rzeczy. – Ja też bym chciała z wami pojechać, ale na razie jeszcze nie mogę, dopiero jak skończy mi się nakaz pracy, poszukam sobie wtedy czegoś tam u nas w Schwerinie.

– Gdy zjawili się pielęgniarze z noszami, siostra Regina wyszła z pokoju. Holt, gdy go znoszono po schodach na dół, pomyślał: Chętnie bym jej powiedział „do widzenia”...

Zajął z Gomulką dwuosobowy przedział sypialny. Wolzow leżał obok. Przez cienką ściankę przedziału Holt słyszał go, jak komuś wymyśla: „Posuń się trochę, ofermo jedna!” Personel pielęgniarski był mrukliwy i nieuprzejmy.

Na drugi dzień rano dojechali do Pragi. Holt prawie wcale nie spał; cierpiał bardzo, bo wagon trząsał niemiłosiernie. Gomulką również czuł się kiepsko. Między Pragą a Dreznem pociąg często się zatrzymywał w szczerym polu i za każdym razem długo stał. Do Schandau jechali dwadzieścia cztery godziny, tam stali cały dzień na bocznicy. Następnego dnia rano pociąg dotarł wreszcie do Drezna. Sanitarki zawiozły ich do dużego szpitala rezerwowego. Holt, Wolzow i Gomulką znówu leżeli łożko przy łożku. Z okien widać było w dole Elbę. Ruch panujący w tym szpitalu przypominał raczej koszary niż szpital. Po kilku dniach Wolzow powiedział: – Mam tego dość. Idę zameldować, że jestem już zdrow! – Po południu dostał list od Vettera. Reszta oddziału jest znówu w jakimś obozie, powiedział im po przeczytaniu listu. –

Vetter pisze, że w połowie października prawdopodobnie go zwolnią.

Na drugi dzień Wolzow stanął przy łożku Holta gotów do drogi. Po raz pierwszy rozstawali się ze sobą.

Gomulką prawie nic nie mówił. Leżał w łożku i patrzył gdzieś przed siebie. Od czasu do czasu odwiedzał go jego wuj, który tu w Dreźnie był dentystą. Holt czytał poezje Hölderlina.

Trudno mu było przyzwyczać się do antycznego metrum. Tylko niektóre z tych wierszy rozumiał. Przeważnie docierał do niego tylko ich nastrój, jakaś głęboka melancholia. Jednak piękno i melodyjność języka poetyckiego działały nań nawet wówczas, gdy nie rozumiał słów.

Niektóre z tych wierszy wbiły mu się w pamięć na zawsze, zwłaszcza gniewne słowa Młodzieńca do mądrych doradców, a jeszcze bardziej elegia Do natury. Czytał te strofy tak długo, aż nauczył się ich na pamięć. Że marzenia młodości umierają, rozmyślał, to ja teraz widzę po samym sobie: Nadzieje i pragnienia obracają się wniwecz, iluzje znikają jak zdarta zasłona, za którą kryje się życie. Co

pozostaje? Samotne, drżące ja, któremu nie dane jest zaznać na tej ziemi spokoju.

„Zwycięstwa gońcy zeszedli z gór: – czytał Holt. – Bitwa jest nasza!” To go wzruszyło. „O, żyj Ojczyzno, i nie licz poległych. Ni o jednego nie padło za wielu...” Gdyby można było tak mówić! pomyślał. Gdyby można było traktować wojnę jako straszną, a mimo to czystą i świętą sprawę, tak jak się kiedyś o tym marzyło... Gdyby się wiedziało: Jest sprawiedliwa i dlatego słuszna i pożyteczna! Bo nie sama walka jest zła i straszna, tylko jej bezsens, wszczynanie jej bez powodu, czynienie bezprawia... Walka Wolzowa w tartaku, teraz dopiero to sobie uświadomił, była symbolem. Bić się bez powodu i celu, tylko po to, by kryć potworną, krwawą zbrodnię. Kto jest winien, że nasze siły, nasze życie, wszystko, co mamy, musimy tak bez sensu marnować, że walczymy niepotrzebnie i na próżno, jedynie dlatego, żeby utwierdzić tę noc, która zawisała nad tysiącem takich tartaków?

Tak rozmyślał całymi dniami. Wypożyczał z biblioteki szpitala książki i czytał, co mu w ręce wpadło, książki, które tu stały naokoło i których nikt nie czytał: kosmogonię grecką od Hezjoda do orfików, rozprawę o kantowskich antynomiach czystego rozumu, Fausta Goethego i masę powieści, tomy, które nie wiadomo jak się do tego szpitala dostały. Gdy już wolno mu było wstawać i gdy Gomulka też już podnosił się z łóżka, znowu zaczęli prowadzić ze sobą długie rozmowy. Któregoś pięknego październikowego dnia spacerowali po skwerach przyszpitalnego ogrodu. Słońce już nie grzało. – Zastanawiam się nad tym, co to będzie dalej –

powiedział Holt. Gomulka wzruszył ramionami. – Skąd ja mam to wiedzieć?

Raz odwiedził w szpitalu swojego syna adwokat Gomulka. Przywiózł wówczas Holtowi list od Gundel. Powiedział przy tej okazji, takim tonem, jakby gratulował swemu klientowi, że sąd go uniewinnił: „Co się tyczy tego młodego dziewczęcia, mój drogi Wernerze, to przesyła ona panu... Właściwie – przerwał sobie – powinienem powiedzieć ono, ale w tym wypadku można chyba użyć *genus naturalis** [*Genus naturalis (łc) – rodzaj naturalny.] zamiast rodzaju gramatycznego... a więc przesyła ona panu ten oto liścik z najlepszymi życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia. Moja żona naprawdę bardzo się cieszy, że Gundel ją raz po raz odwiedza”.

Kiedy wyjeżdżał i przyszedł się pożegnać, pochylił się nad łóżkiem Holta. „A w ogóle... niech się pan nie martwi. Wszystko jest już obmyślane, *in casum casus** [*In casum casus (łc.) – na wszelką ewentualność.]. To, co czeka ewentualnie opiekuna, w żadnym wypadku nie spotka podopiecznej, zapewniam pana!”

Holt czytał list Gundel z wdzięcznością, ale równocześnie zawstydzony. W myślach o Gundel było coś przygnębiającego. Jak ja się jej kiedyś pokażę na oczy? Nie mogę się jej nigdy przyznać, że strzelałem, wtedy, na tym podwórzu szkolnym... Myśl ta była jak rana, która nie chce się zagoić. A jeżeli teraz taki rozkaz rzeczywiście... i jeżeli go wykonam... Wówczas...

Znowu odezwał się w nim głos: Jak będziesz żył z tym kainowym znamieniem na czole?

Zadręczał się tymi myślami. I teraz, w ogrodzie, powiedział do Gomulki: – Muszę cię o coś zapytać. Jak stałeś wtedy przed szkołą za tym woźnym... gdyby Böhm ci wtedy kazał... –

Gomulka uczynił przeczący ruch ręką. Holt zamilkł.

– Nie wiem, czy jest sens zastanawiać się nad tym – odparł w końcu Gomulka. – Nie wykręcaj się! – powiedział Holt. – Rozstrzelałbyś go? Tak czy nie?!

– Wtedy: tak.

– A dziś?

– Dziś...? – Gomulka nerwowo łapał oddech. – Strzelałbym do Böhma! Strzelałbym za siebie! Tak czy tak byłbym przecież zgubiony, gdybym odmówił wykonania rozkazu. Ale razem ze mną poszedłby jeszcze do ziemi ktoś z tej bandy, która każe nam coś takiego robić.

Holtowi zabrzmiał w uszach głos tamtej Słowaczki w piwnicy: Zabijcie swoich przywódców! Z zapartym tchem zapytał: – Rzeczywiście byś to zrobił, Sepp?

Gomulka milczał. – Chciałbym – powiedział wreszcie. – Ale... czy miałbym odwagę... Nie wiem...

– Czy istnieją tacy, co odmawiają wykonania takiego rozkazu?

– Chyba tak.:

– Ale my przecież musimy wykonywać wszystkie rozkazy! – wykrzyknął Holt. – To jest przecież świętym obowiązkiem żołnierza! Do czego by wojsko doszło, gdybyśmy nie chcieli wykonywać rozkazów! Rozkaz to rozkaz!

Gomulka roześmiał się. – Do czego by wojsko doszło? A do czego już doszło, Werner? A to, co ty nazywasz „świętym obowiązkiem”... Wszystkie prawa przestały już dawno obowiązywać, tylko to jedno jeszcze nie! – Wyciągnął z górnej kieszeni munduru mały notesik i zaczął

przewracać w nim kartki. – „Żaden kodeks prawa wojennego nie przewiduje – czytał – żeby żołnierz popełniający haniebne przestępstwa wolny był od kary dlatego tylko, że powołuje się na swoich przełożonych, zwłaszcza gdy ich rozkazy są wyraźnie sprzeczne z moralnością ludzką i międzynarodowymi sposobami prowadzenia wojny”. Jak ci się to podoba? – To? – powiedział

Holt zbity z tropu. – To jest... konwencja genewska, tak?

Gomulka zaśmiał się gorzko, desperacko. – Pomyśl o tym tartaku! – wykrzyknął. – A to...

Goebbels napisał z okazji Zielonych Świątek w *Völkischer Beobachter*! Pod adresem amerykańskich lotników, którzy bombardują nasze miasta.

– Ale... to jest przecież słuszne!

– A kto decyduje o tym, co jest „haniebnym przestępstwem”? I co to jest „ludzka moralność”? W ogóle... – szydził Gomulka – „ludzka moralność”, Ziesche by nam to wybił

z głowy, istnieje tylko moralność panów, moralność nordyckiego człowieka i nic poza tym!

Co za straszliwy chaos! Czegoś tu brak, pomyślał Holt, *brak jakiegoś kryterium...* ! – Brak kryterium, Sepp – powiedział głośno – według którego można by mierzyć, co jest słuszne, a co niesłuszne!

– Każdy twierdzi, że ma rację – odparł Gomulka -. Wszystko zależy od tego kryterium.

Istnieje jedno bardzo proste kryterium, kryterium Zieschego: my, Niemcy, mamy rację, zawsze, nawet w tym tartaku, nam wszystko wolno.

– Ale tak... przecież być nie może.

– Jeżeli będziesz słuchał tego, co ci... tu u nas gadają – ciągnął Gomulka dalej – to będziesz miał w głowie coraz większy mętlik i w końcu już nic nie będziesz wiedział. Oni tak wszystko potrafią wykręcić, jakby to oni mieli rację.

– Brak archimedejskiego punktu odniesienia – powiedział Holt.

– Tak... Masz rację. Powinna być jakaś granica, poza którą nikt by już nie mógł kłamać, gdzie fakty przemawiałyby same za siebie. Wtedy można by powiedzieć: Bądź spokojny, tu jest dowód, nie masz racji, jesteś winien. Pierwszy strzał nią nie jest, takie... zewnętrzne fakty można zaaranżować, upiększyć, zawoalować. To musi być coś immanentnego, coś, co tkwi w samej istocie świata!

– A nie czasem poza nim? – zapytał Holt.

– Masz na myśli Boga? Tak wielu mówi. Bez przerwy gada się o Bogu, o opatrności, o przeznaczeniu. Mnie to nie odpowiada. Ci starzy, Werner, jak czegoś nie wiedzą, to zaraz zasłaniają się Bogiem!

– Dawniej każdy piorun był bogiem – odparł Holt – i cholera też. Mój ojciec mówił, kiedy byłem jeszcze zupełnie mały: Bóg to wirus... Niewiadome jest bogiem, Sepp, dopóki pozostaje niewiadomym. Nauka już zdarła z Boga płaszcz i zedrze mu jeszcze także koszulę.

– Ale to on podobno ma być winien temu, że jest wojna! – powiedział Gomulka. – Nie, to jest przecież tak samo prymitywne, jak ten „Żyd kosmopolita”, pod tym też każdy może sobie wyobrażać, co chce. – I znowu popadł w zamyślenie. – Dopóki się tego nie – wie, trzeba trzymać się przynajmniej oczywistości.

– Sprawa tartaku? – zapytał Holt cicho.

– Tak. To przecież wystarczy. – Gomulka siedział zaszepcony obok Holta na ogrodowej ławce. – Mój ojciec – powiedział – robi, co może. Ale mnie, bardzo trudno się z tym pogodzić, że starzy nam tego piwa nawarzyli, a my musimy je wypić.

– I przy tym zdychać! – powiedział Holt.

Holt dostał list od Wolzowa. Wolzow, zwolniony z arbeitsdienst, siedział w swojej opustoszałej

willi i grał z Vetterem w oficerskiego skata. Jego matka, pisał, została już definitywnie oddana do domu wariatów, po tym, jak narobiła „skandalicznych jak na żonę oficera rzeczy”... Reszta klasy rozproszyła się na cztery wiatry. Dostał teraz powołanie na 20

października do 26 zapasowego batalionu czołgów, Vetter także. W rejonowej komendzie uzupełnień dowiedział się, że taki sam przydział, do tej samej jednostki, czeka również na Holta i Gomulkę.

Holt poszedł się zapytać do kancelarii szpitala. Tani już leżały karty powołania dla niego i dla Gomulki. W ostatnim tygodniu października zostali zwolnieni. Z oddziału przysłano im ich stare mundury junaków. Według orzeczenia lekarskiego byli znowu, jak przedtem, „zdolni do służby liniowej w rezerwie pierwszej kategorii”. Urlopu na rekonwalescencję, którego się spodziewali, nie dostali. Wyjechali z Drezna pociągiem osobowym na wschód.

Po przyjeździe na miejsce wchłonęły ich koszary. Przeszli przez pół tuzina najrozmaitszych kancelarii, dopytując się o kompanię sztabową. „Teraz jest obiad. Zameldujcie się za dwie godziny u podporucznika Wehnerta. Odmaszerować!” W jednym z korytarzy natknęli się na Wolzowa. Szedł właśnie w ich stronę, wielki, ponury, w drelichu, z pełną menażką w ręce.

Bardzo się na ich widok ucieszył. – Zrobiłem dla was wszystko, co się dało. Powiedziałem Revetckiemu, że jeżeli chce mieć najlepszą drużynę, to musi koniecznie zatrzymać dla was miejsce. Poszedł na to. Revetcki to nasz kapral. Straszne bydlę, na pół dzika świnia, na po!

blazen. Peter Wiese też tu jest, uznali go za zdolnego do służby liniowej! Wszędzie jest ostatni i instruktorzy mają go za nic. Vetter jest oczywiście z nami. Stare wiarusy znowu są razem!

Na dworze ktoś wrzasnął: „Wooolzow!” – To on! Muszę zobaczyć, czego chce. Jestem znowu czymś w rodzaju adiutanta. Dowódca naszego plutonu nazywa się Wehnert, podporucznik, zupełnie młody chłopak, po napola* [*Napola: Nationalpolitische Erziehungsanstalt – Narodowosocjalistyczny Instytut Wychowawczy, szkoła partyjna.], zapalony żołnierz. Trzeba zobaczyć, czego ten Revetcki chce.

Holt rozejrzał się po izbie i zajął jedno z dwóch wolnych łóżek. Z dolnego siennika podniósł się jakiś rostry chłop. – Starszy strzelec Kindchen – przedstawił się. – możecie mówić mi „ty”.

Tylko jak czasami będę musiał występować w charakterze służbowym, to wtedy lepiej „wy”...

Jestem tu starszym izby. Poza tym instruktorem strzelania. – Podał im rękę. – Dorobiłem się tu –

opowiadał, lekko zatrącając o gwara saksońską – fantastycznie sztywnego kolana, jestem, zdolny tylko do służby garnizonowej, będę starszym strzelcem aż do skończenia świata. Jestem w wojsku od trzydziestego ósmego. – Usiadł z powrotem na łóżku, musiał się przy tym mocno zgarbić, taki był wielki. – Jestem fabrykantem, produkuję piękne upominki, powiadam wam: cacuszka, małe świnki z życzeniem „Wiele szczęścia” i fajansowe figurki w styryjskim stroju z napisem „Pozdrowienia ze Styrii”, a także karzełki ogrodowe. Nasz dowódca, major Reichert, ta świnia nie skrobana, jest moim przedstawicielem! Poczekajcie! Po wojnie jeszcze zadzwoni do moich drzwi. Ja siedzę sobie akurat

przy śniadaniu. Moja żona mówi: „Fritzel, przyszedł

niejaki pan Reichert!” Biorę filiżankę. Upijam trochę kawy. Ziewam.– „Niech poczeka!” mówię wreszcie. To będzie coś cudownego!

Holt rzucił plecak na łóżko. Wszystko idzie dalej swoim trybem, pomyślał.

Holt był rekrutem. Nazywał się strzelcem wojsk pancernych. „Strzelec wojsk pancernych Holt!” Z pistoletem maszynowym na ramieniu śpiewał na całe gardło: „Da-le-ko pod Se-dan-giem! Na wzgóóó-rzach! Pan-cer-niak stał na czatach!” Wszystko, co było dotychczas, było zabawą, preludium, wstępem do szkolenia wojskowego. Teraz już bardzo rzadko pozwalać mógł sobie na rozmyślania. Szkolenie było wyczerpujące, życie nieludzko ciężkie. Ale strzelec wojsk pancernych Holt nie pragnął wcale wydostać się z tych ogromnych koszar, choć przeklinał

je jak więzienie, nie pragnął oderwać się od swych przełożonych, choć czuł do nich wstręt. Do wszystkiego starał się przystosować, do drylu, do służby i do szykan. Bo już się nauczył: będzie jeszcze gorzej, niż jest. Tym razem czekał go front wschodni, piekło łamiącego się frontu na wschodzie. 11 dywizja pancerna, dla której szkolono tu uzupełnienie, należała do wojsk kierowanych na wschód. A na wschodzie Rzesza drżała w posadach. A więc: nie pragnij, żeby ci kazali pakować plecak!

Holt szkolił się w obsłudze radiostacji czołgowej. Piorunem przerabiali obszerny program.

Sprzęt radiowy, nadajniki i odbiorniki na fale ultrakrótkie i średnie. Funkcjonowanie aparatury, obchodzenie się z nią, dostrajanie, zmienianie częstotliwości, nadawanie fonią i kluczem, konserwacja, użytkowanie i zagłuszanie. Codziennie dwie godziny morse’a. Po południu wytaczali z koszar dwukółkę, na której zamontowana była aparatura radiotelegraficzna, i udawali się na wieś, gdzie wyszukiwali sobie, jakieś zaciszne, osłonięte od wiatru miejsce, za jakąś stodołą albo na podwórzu u jakiegoś chłopca. I zaczynało się. Nadawanie i odbiór. Ale zaledwie znaleźli sobie przytulne miejsce, już rozkaz pędził obsługę dwukółki dalej, po szosie, na której gwizdała listopadowa zawieja.

Wieczorami wkuwali znaki szyfrów, jak kiedyś w szkole słówka. QZL oznaczało: „Szyfr niezrozumiały”, fraza pomocnicza: „Quatsch zum Lachen”.* [*Quatsch zum Lachen. – Gadanie bzdur dla śmiechu.] Już nie mówiono: „Która godzina?” Żądano: „QTR”, „Podajcie czas!” Uczyli się posługiwać szyframi i kryptonimami.

Szkolenie na czołgach, na przestarzałych, nie nadających się już do użytku gratach, które ze względu na brak benzyny nigdy nie wyjeżdżały z garaży, na dwudziestotrytonowym czołgu Pzkw III. Wsiadanie i wysiadanie, opuszczanie go po unieruchomieniu przez nieprzyjaciela, wmontowywanie i wymontowywanie aparatury radiotelegraficznej, karabin maszynowy radiotelegrafisty i uzbrojenie znajdujące się w wieży, naprowadzanie i ładowanie działa. Jadący czołg, pomijając już te rozklekotane, bez wieży, wraki, przeznaczone do nauki jazdy, które miały z tyłu wmontowany dziadowski gazogenerator, Holt przez te wszystkie tygodnie widział tylko jeden jedyny raz. Było to wtedy, gdy ćwiczyli „najechanie przez czołg”, siedząc w małym okopie z głową wciągniętą w ramiona i karabinem między kolanami. Szeroka gąsienica czołgu przetaczając się przez okop przykryła go na chwilę całkowicie, nasypała do niego piachu i ziemi i pomknęła dalej. Holt wylazł z okopu z oczyma pełnymi piasku i musiał jeszcze na rozkaz wskoczyć na odjeżdżający czołg... Potem ćwiczenia z bronią. Karabin, granatniki, karabin maszynowy wzór 34 i 42, pistolet wzór 08 i 38, pistolet maszynowy, karabin szturmowy wzór 44, granaty ręczne, obronne i zaczepne: z trzonkiem i

jajka, ładunki wydłużone i skupione, środki bojowe do walki z czołgami, świece dymne, miny talerzowe, granaty magnetyczne z ładunkiem kumulatywnym, pancerszrek i pancerfaust. Najbardziej męczące było szkolenie pojedynczego strzelca. Nocne marsze według azymutu, męczenie się całymi dniami w ogródku strzeleckim, ostre strzelanie, trójkąt błędów, walka z czołgiem na bliską odległość, dwustronne ćwiczenia drużyn, podczas których można było rzucać petardy z zapasów starszego strzelca Kindchena, w szczerym polu albo nocą w mieście, gdzie zbudzeni mieszkańcy wyglądali strachliwie przez zaciemnione okna. Szkolenie w walce z bliska, walka na bagnety, na łopatkę saperską, zadawanie ciosu kolbą karabinu, granaty ręczne jako broń zaczepna, strzelanie z kaemu biegu: jedna ręka na dwójnogu, druga na spuście. Krzyczało się przy tym z całych sił

„huraaa!” Szkolenie chemiczne, skażenie i odkażenie, zmiana pochlaniacza, pierwsza pomoc.

A poza tym wykłady na najrozmaitsze tematy, których było ponad dwa tuziny, działalność kontrwywiadowcza, choroby weneryczne, służba rozpoznawcza oddziałów pancernych, taktyka walki czołgów, przerabiana w skrzyni z piaskiem.

Czternaście godzin zajęć dziennie! Jednego tylko tej zimy 1944 roku już nie było: musztry, koszarowego drylu. Skracano też coraz bardziej okres szkolenia, a dryl w spotęgowanej formie zawarty był w szkoleniu strzeleckim. Dwie godziny w ogródku strzeleckim równały się sześciu godzinom musztry na placu ćwiczeń. Ale nie było już chwytów bronią ani żadnej musztry, tylko parę zwrotów, trochę maszerowania i salutowania.

Skoro tylko opuszczali budynek koszarowy, musieli się zachowywać tak, jakby byli „w warunkach zbliżonych do działań wojennych”. Ogromne, kilkuhektarowe podwórze koszar było zryte lejami i zamienione w sztuczne pole walki, pośrodku którego stał jak groźne widmo sto razy już wypalony T-34, okropny wrak, na którym wypróbowywali podczas szkolenia świece dymne i ćwiczebne pancerfausty. Kto wyszedł z drzwi koszar wyprostowany, ten ścigał na siebie zemstę podoficerów. Nawet kiedy szli po jedzenie, to z pustymi czy pełnymi menażkami przesadzali leje pochyleni, szybkimi susami.

Instruktorzy nie musieli wcale stosować musztry, żeby rekrutom „dać w kość”, jak się tu fachowo wyrażano; wystarczyło im w trakcie szkolenia strzeleckiego „pokazać, co to jest pruski duch”, „wypruć bebechy”, „wyskrobać mózg”, „wyciągnąć duszę”. Podoficer dyżurny dbał o to, żeby w izbach nie było za przytulnie, i rozrzucał pościel nie tylko po izbie, ale szmyrgał ją nawet przez okno, z drugiego piętra na dół. Szczególnie lubił wywracać szafki i wyrzucać z nich wszystko na podłogę. Nocą odbywały się „bale maskowe”, to znaczy szorowanie korytarza szczoteczka do paznokci lub do zębów, bezwstydne przeglądy pewnych określonych części ciała, a także przeglądy broni, które potrafiły zacząć się w sobotę wieczorem, a skończyć w niedzielę wieczorem.

Holt znosił to w milczeniu, Gomulka również potrafił wszystko zamilczeć. Vetter robił się na to coraz bardziej głuchy. Wolzow traktował wszystko jako „zaprawę przedfrontową”, bo przecież na froncie będzie „o wiele mniej przytulnie”. Ale mały, słabowity Peter Wiese marniał

z dnia na dzień i coraz bardziej upadał na duchu. Wolzow powiedział kiedyś obojętnie do Holta:

„On się wykończy, tak czy tak. Tylko mocni wytrzymują taką próbę”.

Patrząc na tego szczupłego chłopca, Holt często sobie myślał: Trzy miesiące szkolenia, jeszcze osiem tygodni, jeszcze cztery tygodnie... Ma więc jeszcze dwa miesiące, jeszcze miesiąc życia przed sobą. Wiese marzył o konserwatorium. – Teraz już na mur postanowiłem sobie zostać pianistą! Chciałbym grać przede wszystkim Chopina i Rubinsteina... Tak, Rubinsteina odkryłem dopiero w zeszłym roku. Sam nie wiem, co mi się w nim tak podoba. Może dlatego, że w jego młodzieńczych utworach jest tyle... temperamentu, którego mnie samemu brak... Albo taki *Bal costume*, muszę ci to kiedyś zagrać, tego się wprost nie da opisać! Masz rację, Schumann właściwie bardziej mi leży, grałem go z szaloną przyjemnością, ale w tym właśnie sęk, że on mi za bardzo leży, zatracam się przy nim.

– No to będę chodził kiedyś na twoje koncerty – powiedział Holt. Wiese spojrzał na zegarek.

– Muszę jeszcze Revetckiemu i Boekowi wyczyścić buty.

Obydwaj dowódcy drużyn plutonu szkolnego byli postrachem rekrutów. Kapral Revetcki nazywał siebie „pruskim kapralem”. Wolzowa określenie: „straszne bydlę, pół dzika świnia, pół

blażen”, było jeszcze zbyt łagodne. Revetcki był nieobliczalny, zupełnie bez serca, a przy tym podły, czasami afektowany i głupio dowcipny, potem znowu ordynarny i tępy, a równocześnie brutalny i do obrzydliwości sentymentalny, dziś taki, jutro siaki, a pojutrze jeszcze całkiem inny.

Był bardzo elokwentny i szeptem wygłaszał stateczne przemówienia, to znów wrzeszczał, wykrzykując sprośne i bezwstydne wyrazy. Był z zawodu aktorem. Ciągłe grał, i nikt nie wiedział, jaki w gruncie rzeczy jest. Peter Wiese drżał przed nim, Holt nazywał go szaleńcem, Gomulka mówił: „On jest perwersyjny!”

Revetcki dobiegał trzydziestki, był mały, mógł mieć najwyżej metr sześćdziesiąt wzrostu, i wątej budowy. Bardzo dbał o swoje wąskie ręce i perfumował się. Jego twarz była zmięta, porysowana zmarszczkami; pośrodku, nad brzydkimi czerwonymi ustami, zwisał ogórkowaty nochał. Potrafił tę swoją twarz marszczyć tak, jak się marszczy naklejona na płótno mapa, potrafił ją rozciągać w uśmiechu jak świeżo wyprane prześcieradło. Ale jego spojrzenie było zawsze zimne i złe. Skala jego mimicznych możliwości była bezgranicznie rozległa. Posługiwał

się na zmianę jambami, rymami i najgorszą koszarową łaciną. Jego fryzura, długa, pofalowana dzięki trwałej ondulacji grzywa, była zaprzeczeniem wszelkich regulaminów wojskowych, i tę paziowską czuprynę wieńczyła furażerka; spod niej na wszystkie strony wymykały się przepiękne loki. Było zagadką, jak on to robi, że mu ta fryzura uchodzi płazem. Zresztą wiele rzeczy było w nim zagadką.

Holt miał zaszczyt poznać go zaraz pierwszego dnia. Nie był jeszcze nawet pół godziny w koszarach i wyprzątał właśnie szafkę, gdy otworzyły się drzwi i do izby wszedł mały człowieczek, którego skłonny był w pierwszej chwili wziąć za starą babę. Ale dystynkcje kaprala na naramiennikach kazały mu poderwać się na baczność i wrzasnąć: „Strzelec wojsk pancernych Holt melduje swoje przybycie!” Kapral trzymał w swych wypielegnowanych rączkach cienką trzcinkę. „Kapral Revetcki – powiedział i uśmiechnął się słodziutko. – Bardzo mi przyjemnie!

Jestem waszym dowódcą drużyny”. Zatoczył trzcinką łuk. „Przychodząc tutaj, musicie wyzbyć się wszelkich nadziei!” Zaczął obracać trzcinkę w rękach. „To jest mój kij kapralski, u mnie stosuje się

jeszcze chłostę”. Potem, zadowolony, kiwnął głową. Obszedł Holta dwa razy naokoło i trzepnął go przy tym trzcinką po spinaczach. „Jaki zgrabny rekrut – powiedział miękko – jaki śliczny rekrut, ajajaj, aż oczy bolą!” Potem stanął znowu przed Holtem, rysy jego zmiętej twarzy stężały, i szepnął z jakimś groźnym podtekstem w głosie: „Nie uważacie mnie chyba za pedała?” Zzymnął się ze wstrętem. „Za homoseksualistę?” – „Nie, panie kapralu!” wrzasnął Holt.

Revetcki kiwnął głową. „Co za szczęście, że choć jedno ludzkie serce mnie rozumie!” wydeklamował patetycznie ze ściągniętymi brwiami. Jego twarz była znowu rozpustnie zmięta.

Wskazał trzcinką na Wolzowa. „Wolzow wie, że jestem heteroseksualistą. On zna moją starą, tę podłą zmię, która wysysa ze mnie wszystkie soki żywotne!” I twarz mu się rozjaśniła.

Holt myślał, że śni. Revetcki zakaszłał. „Nie przeszkadzajcie sobie!” I skierował się do drzwi. „Jeżeli mi zaświnicie izbę tymi swoimi brudnymi ciuchami! – krzyknął nagle, potem zakwilił słodko: – Na tym punkcie mam bzika! – i znowu wrzasnął: – Jeżeli później przyjdę na inspekcję i znajdę choć jeden pyłek, to już nie będziecie więcej oglądali swoich łóżek, nie będziecie oglądali szafek, nie będziecie oglądali stołów, nie będziecie oglądali krzeseł, zobaczycie tylko, jak drzazgi będą fruwały!”

To był Revetcki. Nie zawsze był taki szczerzy. Potrafił być także podstępny: „Gomulka, ty zmijo fałszywa, chciałbym znać – wasze myśli, zedrzyć wam tę maskę z gęby, co by to była dla mnie za rozkosz tak was całkowicie zdemaskować, ty zakamuflowany buntowniku! Ale poczekajcie, napiszę wam taką opinię, że skończycie jeszcze w kompanii karnej!” I był podły:

„Wiese, wychuchany maminsynku, chłopię słabosilne, kiedy będziecie pisać do swojej mamuńci... ale tak z ręką na sercu? Tak, dziś wieczorem? No to ja wam ździebko w tym poprzeskadam!” A wieczorem po zajęciach: „Wiese, wy nigdy tego liścika do swojej mamuni nie skończycie! Jazda, prać mój drelich!” I, choć to było wprost nie do wiary, Revetcki bił! Jeśli ktoś na wykładzie odpowiedział nie tak, jak trzeba, Revetcki szalał, a potem robił się nagle słodziutki. „Dziś wieczorem, mój miły, wezmę ja was prywatnie do galopu, a wówczas niech się niebo nad wami zlituje! Choćby wam nawet miała nawalić otrzewna!” Stawał przed zastraszoną ofiarą i syczał: „Dawniej... już bardzo dawno temu, jeszcze w zamierzchłych czasach... wszystko było o wiele prościej, stosowano mianowicie kary cielesne! Mnie tego robić nie wolno, boby mnie zamknęli. A więc stanie na tym, że to wy mnie prosicie, abym wam z litości i dla kawału przetrzepał skórę!” Zwykle delikwent zgadzał się natychmiast: „Bardzo o to proszę, panie kapralu!” Revetcki wykrzykiwał wówczas: „Wszyscyście słyszeli! On sobie tego życzy, i to jest żart!” Potem podnosił pręt i walił nim po rękach, ze złymi błyskami w oczach, i z wykrzywionymi sadystycznie ustami mówił: „Chciałeś tego? Dobrze, to masz! masz! masz!”

Tak cię tym kijem spiorę, że się krwią zalejesz!”

„Jak będziemy kiedyś to opowiadać, nikt nam nie uwierzy!” powiedział Holt do Gomulki.

Gomulka wziął Holta na bok. „Revetcki był kiedyś instruktorem w kompanii rekonwalescentów..

Sam wiesz, że się tych ludzi ze szpitali bierze zdrowo do galopu. Tam zamęczył na śmierć jednego

starego wygę frontowego. Chłop chciał się zgłosić jako chory, bo miał takie bóle brzucha, że ledwo się trzymał na nogach. Revetcki gonił go za to po ogródku strzeleckim tak długo, aż facet zemdlął. Miał ostre zapalenie wyrostka robaczkowego i ropa mu się rozlała, a operacja przyszła za późno, wiesz, jacy tu są lekarze. Z kompanii posypały się skargi do władz.

Revetcki został karnie przeniesiony. Nie na front, nie, do nas”. – „Skąd ty to wiesz?” zapytał

Holt. Gomulka wykręcił się od wyraźnej odpowiedzi. „Zapytaj się, to ci też powiedzą. Ja ci mówię, on jest zboczony, to jest sadysta. Tacy są im tu potrzebni”.

Przy Revetckim karykaturalna postać unterfeldmeistra Böhma, łącznie z jego wrzaskiem, który dał im się tak mocno we znaki, całkowicie bladła. Obok Revetckiego tylko kapral Boek, drugi z kolei dowódca drużyny, student teologii, mógł się od czasu do czasu poszczycić wybuchami tak straszliwej wściekłości, i tym, że jest prawie tak samo zniechęcony i prawie tak samo wszyscy go się boją. Dwaj starsi strzelcy, którzy tu byli młodszymi instruktorami, stanowili tylko tło dla popisów Revetckiego. Revetcki ponadto pełnił funkcję kata przy dowódcy plutonu. Wymuskany podporucznik nie był materiałem na dręczyciela rekrutów. Nawet jeżeli kipiał ze złości, mówił cicho i opanowanym głosem: „Nie będę sobie przecież brudził wami rąk!

Revetcki, weźcie no tych pięciu ludzi do galopu! Przełońcie ich, ale zdrowo, aż upadną na nos!” Revetcki wyprowadzał zwykle delikwentów na najgorszy teren ogródka strzeleckiego, gdzie były rowy, żywopłoty, parowy i pagórki, albo na zryte lejami podwórze koszarowe, wydymał

usta i syczał: „To są dni, o których mówimy, że się nam nie podobają, apostoł dwunasty, werset pierwszy”. Potem spacerował sobie wolniutko po polu, trzcinka w rękę, ręce założone do tyłu, i kazał swoim ofiarom biegać truchtem naokoło siebie i skandować pod maską przeciwigazową:

„Całowała-babka-całowała-babka-całowała-babka-dziadka-w-nos!”, aż im tchu zabrakło.

Revetcki wcale się przy tym nie spieszył, wiedział, że przy odpowiednim tempie coraz trudniej pod maską oddychać. Zdarzało się, że ludzie się przy tym całkowicie wykańczali i mdleli. Po jednej z takich „kuracji specjalnych” Holt powiedział: „To jest taka podłość, że chyba gorszej już nie ma!” Ale podporucznik lubił mawiać: „Tym chłopaczkom drżą zaledwie kolana!

Revetcki, weźcie no mi zaraz tych bohaterów jeszcze raz w obroty, bo sobie pomyślą, że to sanatorium!”

Najohydniejsze u Revetckiego było to, że lubił rekrutów publicznie upokarzać. Holt odczuł

to na własnej skórze. W tym roku wcześniej zaczęła się zima, a wraz z nią obfite śniegi i ostre mrozy. Pięć godzin szkolenia w zaśnieżonym ogródku strzeleckim, daleko w Polu, między pagórkami, było jedną wielką mordęgą. Któregoś dnia wyruszyli znowu na ów sławetny teren ćwiczeń. Holt maszerował na czołe plutonu, z kaemem na ramieniu, Vetter był strzelcem nr 2, włókł za sobą parę skrzynek od amunicji, napełnionych petardami. Później leżeli na śniegu za kaemem. Holt widział w pobliżu masywną postać starszego sierżanta Burgkerta, w zabłoconym skórzanym płaszczu; Burgkert kręcił się to tu, to tam, od czasu do czasu widywało go się w mundurze obwieszonym orderami, ale

nic o nim nie wiadano, z wyjątkiem tego, że jest podobno ulubieńcem dowódcy jednostki i ma taką swobodę jak ci, o których zwykło się mówić, że są na wariackich papierach. Wyglądał na wykolejeńca i wiecznie był pod gazem. Teraz stał

bez ruchu na pagórku, tam gdzie najbardziej wiało, i patrzył na śnieg, który go powoli zasypywał; zaspą sięgała mu już do kolan. Holt zapatrzył się na niego i jakoś nie dosłyszał

rozkazu Revetckiego. Revetcki przyskoczył do niego. – Zmienić lufę! – Liczył czas według stopera. – Pięć sekund! – Ręce Holta były zgrabiące z zimna. – Dziesięć sekund... piętnaście...

– Gotowe! – zawołał Holt.

– Kiepsko, marnie, nędznie! – wrzasnął Revetcki. – Niezdarny, gnuśny, leniwy, upośledzony!” Świnia, nie skrobana świnia, dzika świnia, trwało o jedną sekundę za długo! –

Holt ani drgnął. – Ja ci nogi z dupy powyrywam, poczekaj! Jazda, wstawać! – Holt podniósł się ze śniegu. Revetcki obszedł go dwa razy naokoło, bijąc się przy tym trzcinką po cholewach. –

Nie, mam coś lepszego dla was! Będziecie prosić niebiosą, żeby mi się w tej wojnie nic nie stało! Będziecie się codziennie za mnie modlić! Zameldować się u mnie dziś wieczorem razem z Vetterem.

Na godzinę przed capstrzykiem Holt udał się z Vetterem na trzecie piętro, gdzie znajdowały się pokoje podoficerów. Revetcki mieszkał razem z Boekiem i jeszcze jednym, spokojnym, niemłodym już kapralem nazwiskiem Winkler. Revetcki leżał w dresie na łóżku. Podsunął sobie pod plecy całą kupę kolorowo powleczonych poduszek i miał ręce złożone na piersi. Kapral Boek siedział przy stole, golił się i uśmiechał się znacząco. Kapral Winkler leżał już w łóżku.

Twarz Revetckiego drgnęła. – Od tej chwili chcę słyszeć codziennie wieczorem modlitwę przed snem – powiedział. – Postanowiłem zrobić się pobożny, ponieważ wśród was, diabły, zmuszony jestem wieść takie życie, jakie się Bogu nie podoba. Holt, zmówcie pacierz!

Boek pękał ze śmiechu.

– A wy, Vetter, módlcie się po mahometańsku – rozkazał Revetcki – na wszelki wypadek, jeżeli Allah jest większy niż Jehowa!

Holt długo się nie zastanawiał i zaczął mówić, co mu akurat przyszło na myśl: – Chociaż jestem nieduży, Bogu serce nie służy...

Ale Revetcki wrzasnął: – Idiota! Wariat! Kopnięty w mózg! On to nazywa modlitwą wieczorną za pruskiego kaprała? – I zaczął go przedrzeźniać: – „Chociaż jestem nieduży...” Czy on zamierza sobie kpić ze swojego kaprała z powodu jego niewielkiego wzrostu?

– Nie, panie kapralu!

– Odmaszerować! – ryknął Revetcki. – Za pół godziny znowu tutaj! Ale z jakąś przyzwoitą modlitwą! Musi się ona składać z dwóch części! Pierwsza część musi być smutna, żebym mógł

sobie przy niej myśleć o mojej ukochanej matce i płakać! Druga część musi być soczysta, jak przystoi na modlitwę za żołnierza! Wynocha, odmaszerować!

Gdy się znaleźli za drzwiami, Holt powiedział do Vettera: – On jest umyślowo chory!

Umyślowo chory błazen!

– Ależ skąd – odparł Vetter. – To tylko tak dla draki, on się z nas nabija, bo przecież musimy robić wszystko, co rozkaże!

W izbie zaczęli się wspólnie naradzać. Zainteresowanie było wielkie, bo już jutro mogło to spotkać każdego z nich. Problem został rozwiązany z pomocą Kindchena. – Trzy papierosy, i zaraz to zrobię! Umieć przecież pisać wiersze, już jako mały chłopak płodziłem gazetki świąteczne i wiersze weselne! – Wziął papier i ołówek do ręki. – Dwie części? Pierwsza poważna, druga soczysta? – Zaczął pisać. Nagle zapytał: – Jaki jest rym do „bździć”?

– Gnić! – zawołał Wolzow. – Kić! – krzyknięto z kąta. Kindchen prędko się z tym załatwił, przeczytał, co napisał, i zebrał oklaski. Holt nauczył się tych rymów na pamięć. Kindchen zwierzył już w tym interes. – Jeżeli będzie chciał mieć taki utwór co wieczór, i wy zamawiać będziecie je u mnie z góry na cały tydzień, to od siedmiu kawałków odpalę wam trzydzieści procent rabatu, powiedzmy: piętnaście papierosów tygodniowo.

Holt i Vetter zameldowali się ponownie u Revetckiego. – Zapadł już wieczór – zaczął Holt –

gwiazdy migocą, na niebie świeci łagodnie luna. – Twarz Revetckiego rozjaśniła się. Holt ciągnął dalej: – A tam w ojczyźnie głęboką nocą matka się modli o powrót syna.

– Piękne! – szepnął Revetcki. – Och, jakie piękne! – Holt zrozpaczony zastanawiał się, jak to idzie dalej. – Strzeż od zagłady go Panie Boże. Nie dajcie nieba mu w rowie zgnić. –

Revetckiemu drgnęły brwi. Holt dokończył: – Niech go bezpieczny, dobry sen zmoże, by mógł

śnić słodko i zdrowo bździć! Kapral Boek wybuchnął gromkim śmiechem. Revetcki krzyknął: –

Vetter! Na kolana! Twarzą do Mekki! Jazda, zawodzić jak derwisz: Allah il Allah! – Vetter podniósł w górę ręce i zaczął wrzeszczeć, jakby go zarzynali: – Aaallah il Aaallah!

Holt patrzył na zmianę to na Revetckiego, któremu twarz promieniała jakimś podejrzanym zachwytem, to na Vettera, który przedstawiał żaloszny widok, to na Boeka, który pękał ze śmiechu, ścisnął ręce między kolanami i rżał: – Litości, bo się posikam w spodnie! Później Holt powiedział do Wolzowa: – Mam do niego chodzić co wieczór. Czy ja koniecznie muszę? –

Musisz nie musisz – odparł Wolzow. – Możesz pójść na skargę i będziesz miał stuprocentową rację. Ale zanim to zrobisz, zastanów się sto razy. Instruktorzy będą potem na ciebie wściekli, że im psujesz zabawę. – Holt nie poszedł na skargę, choć pogardzał sobą za to. Revetcki ściągał na te wieczorne przedstawienia wszystkich podoficerów kompanii sztabowej. Kindchen płodził

coraz to nowe pacierze, które pierwszą część miały coraz bardziej sentymentalną, a pointy coraz pikantniejsze. Wreszcie Revetcki się tym znudził i oświadczył, że woli już prowadzić „bezbożne, łajdackie życie”.

Starszy strzelec Kindchen przy tej okazji powiedział: – Ty masz przecież maturę, Holt.

Powinieneś zostać po wojnie krytykiem! Pojechać do tego miasta, gdzie Revetcki będzie grał

w teatrze, i napisać w gazecie: „Statysta Alois Revetcki, ten mierny aktorzyzna, nie dysponuje prawie żadnymi środkami wyrazu, żeby rolę zagrać z życiem”. A potem go dobić: „Revetcki okazał się znowu całkowicie wątpliwym nabytkiem dla teatru, pan dyrektor dobrzeby zrobił, gdyby z niego zrezygnował!” Widzisz, ja mam małą fabryczkę, a nasz stary, Reichert, fest się kiedyś po mnie przejechał! Z zawodu jestem agentem handlowym. Ale po wojnie... – I znowu zaczął opowiadać, jak to on po wojnie zemści się na dowódcy jednostki.

Dowódca plutonu szkolnego, podporucznik Wehnert, miał dwadzieścia jeden lat, był wysoki i smukły, jasnowłosy i niebieskooki. Jego czarny mundur ze srebrnymi trupimi główkami na naszywkach kołnierza był zawsze aż do przesady czysty i starannie wyprasowany. Wehnert mówił często o sobie: „Jestem żołnierzem w każdym calu!” Albo: „Jestem żołnierzem politycznym... My żarliwi narodowi socjaliści – mawiał – znamy tylko jeden nakaz: wierność dla Führera!” Mówił chętnie i często. „Naród niemiecki za miskę soczewicy wyrzekł się swojej najwartościowszej cechy, swojej nordyckiej wierności, na rzecz obcego mu humanizmu. Führer naprawia teraz fatalne skutki tej zamiany. Musimy wrócić do dawnej zasady: Nasz honor to wierność! Ja to nazywam niemieckim odrodzeniem”. Mówił nie tylko chętnie, mówił także porywająco. Często cytował *Mein Kampf*, a jeszcze częściej *Mit Rosenberga*. Był

narodowosocjalistycznym oficerem politycznym. Z zapałem prowadził swoje „wykłady polityczno-wychowawcze”. Holtowi Wehnert przypominał Zieschego. „Nie zapominajcie nigdy o tej pięknej misji, jaką my, Niemcy, spełniamy!” mówił. „Od dwóch tysięcy lat ludzkość pragnie, zbawienia. Świat czeka na Zbawiciela. My, naród Niemców, jesteśmy tym Zbawicielem. Ale my się nie damy, jak owi fałszywi zbawcy, ukrzyżować. My już prędzej ukrzyżujemy wszystkich innych. Naszą ewangelią jest siła”.

Do rekrutów mawiał zwykle: „Strzelec Reimann!

Jesteście tylko malutkim pyłkiem! Wy nigdy tego nie pojmiecie, jaka to dla was łaska żyć w takich czasach. Nigdy nie spłynie na was światło, jaki to honor umrzeć za Adolfa Hitlera!

Żyjecie jak bydłę, tylko żreć i chlać. Jesteście jedynie nawozem dla roli, którą narodowi socjaliści, orzemy mieczem, żeby Rzesza mogła rosnać i rozkwitać”. Jego konikiem były wykłady na temat taki jak: „Heros a historia”, „Niemcy a idea heroizmu”, oraz gry wojenne w skrzyni z piaskiem. Wprowadził cały szereg piosenek, które śpiewane były przez SS. „Kolego, gdzie jesteś”, zaczynała się jedna, i potem coś tam było o „małej przyjaciółce”. Peter Wiese powiedział kiedyś do Holta: „Uczuciowość tych piosenek jest zakłamana!” Holtowi było to obojętne. Śpiewał głośno, jak tylko mógł, bo jak dobrze śpiewali, to pozwalano im spokojnie maszerować. A to było najważniejsze.

Na froncie podporucznik Wehnert był tylko bardzo krótko, parę tygodni we Francji. Wolzow powiedział raz: „Mówić potrafi bardzo pielenie. Zobaczymy tylko, co z tej jego idei heroizmu wyjdzie na froncie. Pod wszystkim, co mówi, podpisuję się obiema rękami. Mógłby być moim ideałem. Ale ciągle mam uczucie, że to tylko maska, a w gruncie rzeczy... No, ale nie uprzedzajmy faktów. Przyjdzie czas, to zobaczymy!” Kiedyś starli się ze sobą. Wolzow zaczął

się popisywać przed nim swoją wiedzą wojskową. Wehnert w pewnej chwili zawołał: „Jesteście blagier, Wolzow! Znałem już paru chełpliwych tchórzy”.

Wolzow powiedział wieczorem: „Chełpliwy tchórz... Nie zniosę tego!” W parę dni później po raz pierwszy rzucali w ogródku strzeleckim bojowymi granatami ręcznymi. Pod osłoną jakiegoś krzaka Revetcki wręczył Holtowi jeden granat zaczepny, to znaczy taki z trzonkiem, i jeden obronny, czyli tak zwane jajko. Holt musiał włożyć zapalnik do jajka, potem uwiesił sobie ten z trzonkiem u pasa i zaczął czołgać się przez pole do okopu strzeleckiego, gdzie czekał podporucznik Wehnert.

Podporucznik, siedząc w ciasnym okopie tuż obok Holta, objaśniał jeszcze raz: – Przy tym się nie liczy! Zrywa się zawleczkę i rzuca. – Jakies dwadzieścia metrów przed okopem był

wkopany w ziemię pał, w który mieli celować. – Jazda! – Holt odkręcił trzonek, sznurek z porcelanową główką spadł mu na dłoń. Szarpnął go i rzucił granat. Podporucznik i rekrut przywarli do ziemi, w sekundę potem omiótł ich podmuch wybuchu. Holt rzucił także jajko.

Wolzow siedział z drużyną w zaroślach i czekał. Jak zwykle popisывał się swoją wiedzą. –

Działanie granatu ręcznego jest znikome – mówił. – Taki granat ma przede wszystkim znaczenie moralne.

– Jeszcze dziś na własnej skórze odczujecie to znaczenie moralne, jak was tak prywatnie wezmę do galopu! – wydekłamował Revetcki. Wolzow milczał. – Jazda! – rozkazał Revetcki.

Wolzow wczołgał się do okopu, gdzie Wehnert znowu powtórzył swoją sakramentalną formułkę: – Przy tym się nie liczy. Szarpie się za sznurek i rzuca.

– Tak jest – powiedział – Wolzow. Potem rzucił granat zaczepny. Gdy przygotowywał jajko, zapytał: – O ile dobrze mnie uczono, zapalnik pali się pięć sekund, prawda?

– Nie gadajcie! Rzucajcie!

Wolzow ceremonialnie podciągnął rękaw płaszcza i munduru, tak aby mógł widzieć tarczę swojego zegarka, spojrzął na podporucznika i zerwał zawleczkę. Potem trzymał granat w ręce i spoglądał na zegarek. – Jeszcze cztery sekundy...

– Wolzow! – krzyknął podporucznik w śmiertelnym strachu.

– Jeszcze dwie sekundy... jeszcze jedna... Podporucznik skulił się w sobie, zupełnie szary na twarzy. – Precz z tym! – krzyknął Wolzow i rzucił granat przed siebie, jajko wybuchło w powietrzu, do okopu sypnął się tuman piasku.

Wehnert dygotał. Również Wolzow teraz dygotał. – Panie poruczniku, następnym razem, zanim mi pan zacznie wymyślać od „chełpliwych tchórzy”, niech sobie pan przedtem obejrzy moje drzewo genealogiczne.

Tylko Holt i Granulka dowiedzieli się o tym zajściu. Wolzow powiedział: – Teraz muszę odczekać, czy złożę meldunek.

– Dlaczego go tak prowokujesz? – zapytał Holt.

– Ty tego nie rozumiesz. Od opinii Wehnerta zależy moja kariera oficerska. Muszę jak najprędzej zostać podoficerem. Albo on mnie teraz wykończy, albo... Sądzę, że mu zaimponowałem. – Wziął Holta na bok: – Jak go w tym okopie wzięła ta drżączka... Teraz jestem już całkiem pewny. To wszystko bluff! On udaje, wmawia sobie to wszystko, bo się boi!

Wehnert dla mnie się skończył!

Holt nic nie odpowiedział. Rozmawiał z Wolzowem już tylko o sprawach służbowych, Wolzow robił się coraz bardziej brutalny, coraz bardziej bezwzględny, o wielu sprawach, które nurtowały Holta, nie powinien nic wiedzieć. Holt nigdy już z nim szczerze nie rozmawiał

o przeżyciach w Karpatach. Siłą bezwładu ulegał jeszcze Wolzowowi i szedł wszędzie, gdzie go ciągnął, ale coraz bardziej stawali się sobie obcy.

Podporucznik Wehnert nie złożył meldunku, tylko zaczął Wolzowa coraz bardziej faworyzować. Wolzow stał się jego ulubionym rekrutem. Przyczyniły się do tego w dużej mierze gry na piasku. Szkolenie przewidywało od czasu do czasu wykłady z „taktyki walki wojsk pancernych”; temat ten ograniczano do informacji z zakresu taktyki marszów i ugrupowań bojowych czołgów oraz z zakresu terenoznawstwa. Ale Wolzow staczał z Wehnertem na piaskownicy bitwy iście gigantyczne, szachowe rozgrywki strategii, w których osaczał i niszczył

podporucznika patetycznymi tyradami. Aranżował klasyczne Kanny raz za razem, wzorowo łączył swoje rozdzielone wojska na polu bitwy. „To najwyższy kunszt, na jaki wódz może się zdobyć!” A potem, z głową przekrzywioną na bok, meldował: „Panie poruczniku, muszę panu powiedzieć, że dostał pan mata! Obie pańskie grupy bojowe w tamtym miejscu zostały już dawno wybite do nogi!”

Holt też dawał się w to wciągać i chętnie im kibicował, cierpliwie wysłuchując poszczególnych analogii historycznych. Piaskownica miała dziesięć metrów na pięć, wchodziło się do niej po schodkach, którymi opatrzone były wszystkie jej boki. Gdy taka gra miała się odbyć, Wehnert wzywał do siebie Holta i Vettera i kazał im odpowiednio kształtować teren, tak aby były na nim rzeki, góry i miasta. Potem, po południu, wyznaczał zwykle Revetckiemu jakiś zapadły kąt na ćwiczenia oddziałów czołgowych i wołał Wolzowa do siebie. „Mamy dziś piękny problem do rozwiązania. Wy bierzecie kolor czerwony, ja niebieski, i ja atakuję”.

Potem zaczynał rozstawiać makietki czołgów, transporterów opancerzonych, armat, symbole większych jednostek. Holt stał obok z dwumetrowym kijem, żeby te makietki przesuwać na odpowiednie miejsce. Wehnert siedział wymuskany na najwyższym schodku. – Zaatakowałem

znieca wasze linie powaźnymi siłami i przedarłem się przez nie z dwoma korpusami pancernymi, z piechotą, artylerią i tak dalej. Moje odwody są wam nie znane. Wy sami nie macie żadnego powaźniejszego odwodu. – Wolzow zaczął narzekać: – Zawsze muszę operować słabszymi siłami, a potem pan krytykuje, że uprawiam morderczą strategię! Jaka jest sytuacja w powietrzu? Mogę palić? – Wehnert kiwnął potakująco głową. – Moje siły w powietrzu akurat wystarczą, żeby osłaniać własne wojska lądowe, to ułatwia trochę sprawę, przyznaję.

– To miasto tutaj ma być moją stolicą?

– Tak. Zaczynajcie.

– Nie – powiedział Wolzow, wcale się do tego nie kwapiąc. – Muszę zobaczyć przecież najpierw, w jakim kierunku pójdzie uderzenie! – Podporucznik Wehnert podciągnął szpicę klina pancernego trochę bardziej pod miasto. – Tak. Wieczór, czwartego dnia natarcia. – Wolzow długo się zastanawiał, chodził naokoło piaskownicy i palił papierosa. – Idę panu naprzeciw.

Muszę mieć na to osiem dni. Niech pan tymczasem posuwa się dalej... Nie, panie poruczniku, nie tak prędko, mam tam mimo wszystko parę umocnionych miejscowości i artylerię, musi się pan przecież z nimi najpierw załatwić. Tylko do rzeki, dalej pan przez te osiem dni nie dojdzie. –

Wolzow rozstawił swoje figury i oświadczył: – Pański atak skierowany jest na moją stolicę, sytuacja podobna do tej, jaka była w czerwcu 1940 we Francji. – Wehnert popatrzył na niego z coraz większym zdumieniem. – Co wy robicie?! To przecież nonsens! Nie rzucicie swoich sił

do obrony stolicy?

– Gdzie to jest napisane, że muszę koniecznie osłaniać swoją stolicę, panie poruczniku?

W literaturze pan tego też nigdzie nie znajdzie. Mogę robić przecie, jak mi się podoba! Mam tam silny garnizon, który został oczywiście zaalarmowany.

– I nie zamierzacie bronić mi dostępu do rzeki? To jest przecież ostatnia bariera przed waszą stolicą!

– Nie będę przecież poświęcał dla tego ździebka wody i piachu moich najlepszych dywizji!

– powiedział Wolzow. – Tu za stolicą zostawię jedynie słaby korpus, którym w każdej chwili mogę wzmocnić załogę garnizonu. Ogłaszam moją metropolię twierdzą, musi ją pan teraz oblegać, panie poruczniku! – Wehnert podciągnął swoją szpicę pancerną aż do rzeki. –

Wywalczam sobie dostęp do przejścia przez rzekę; i przekraczam ją. – Proszę bardzo! –

powiedział Wolzow. – Niech: pan ciągnie prosto na stolicę, to mi wcale nie przeszkadza. Ja maszeruję na pańskie skrzydło północne, z siłami głównymi moich dywizji pancernych i dywizji piechoty, zobaczymy więc, czy pan się odważy pójść dalej!

Teraz podporucznik zaczął się zastanawiać, zbity z tropu takim obrotem rzeczy. Wolzow ciągnął dalej: – Gdybym pochopnie rzucił moje dywizje pancerne w tym kierunku i stanął panu na drodze,

zostałbym pobity i byłbym skończony. Tak sobie pan przecież wyobrażał.

Podporucznik milczał, jeszcze bardziej skonsternowany. – Ale że mi tak bez niczego dajecie wolną drogę, czy to nie jest czasem wbrew wszelkim zasadom?

– Zasady, czego wolno, a czego nie wolno – oświadczył Wolzow mentorskim tonem –

w ogóle w strategii nie istnieją. Jakieś ogólne założenia oczywiście tak, ale poza tym obowiązują tylko jedno: w danej sytuacji robić wszystko, co się tylko da. Moltke nazwał strategię systemem wybiegów. Przed Moltkem mówiło się: Wódz musi przede wszystkim zabezpieczyć swoje bazy, musi osłaniać sobie skrzydła i tyły, musi trzymać swoje siły ześrodkowane, przed bitwą powinien utworzyć kułak uderzeniowy i czym prędzej uderzyć na siły główne nieprzyjaciela...

Wódz powinien, wódz musi i tak dalej, w dziewiętnastym wieku to były rzeczywiście żelazne kanony. Moltke odrzucił wszystkie kanony i mimo tego straszliwego przestępstwa zwyciężył.

Wtedy właśnie Schlieffen postawił pytanie: Czy to było tylko, szczęście? To było coś więcej. To był właśnie ów system wybiegów Moltkego.

– Dobrze, już dobrze – powiedział Wehnert. – Ale teraz ja muszę znaleźć jakiś wybieg.

Przeliczyliście się, jeżeliście sądzili, że zaatakuję was tam na tej waszej mocnej pozycji.

Maszerujcie sobie na moje skrzydło, ja oczywiście część sił skieruję na północ, a w ogóle idę dalej na waszą stolicę i natychmiast przystępuję do oblężenia. Holt, podciągnijcie no te pierwsze osiem jednostek bliżej miasta! – Wolzow pomyślał chwilę, a potem pociągnął ze swoimi czołgami łukiem na wschód. Wehnert powiedział: – Tak... ale...

– Szybko dziś poszło, co? Widzi pan, co się teraz stało?

Wehnert patrzył na piaskownicę jak wół na malowane wrota. Jego twarz stała się purpurowa.

– Ale ja przecież jestem wystarczająco silny, żeby wytrzymać każdy cios w plecy! W okolicy tych wzgórz poważna część moich sił zajmuje umocnioną pozycję tyłową.

Wolzow roześmiał się bezwstydnie. – Wszędzie poważna część sił! Część sił obraca się na północ, część sił zajmuje pozycję wśród tych wzgórz, część sił oblega moją stolicę, wobec tego ja wysyłam teraz mój korpus pancerny na urlop, panie poruczniku, na pańskie części sił wystarczy mój garnizon! Przepędzę te pańskie części sił, gdzie tylko zechcę! – Wehnert patrzył

zupełnie oglupiały na Wolzowa, który z kolei zapytał: – Czy mogę powiedzieć coś zasadniczego? Panu marzyło się coś takiego jak Cezar pod Alezją. Osłona oblężenia przed odsieczą i niedopuszczenie jej do oblężonych jest jednym z najtrudniejszych zadań dla wodza, na tym już wielu wielkich ludzi połamało sobie zęby, a udało się to tylko nielicznym. – Wyjął

notes. – Po raz pierwszy problem ten został rozwiązany przez Cezara. Gdy Galowie z przeważającymi siłami szli na odsiecz Wercyngetoryksowi, Cezar nie zrezygnował z oblężenia

Alezi, tylko otoczył swoje oblegające wojska siłami i rowami obronnymi... Moltke nazwałby to genialnym wybiegiem. Czy dziś coś takiego jest w ogóle możliwe, to sprawa bardzo problematyczna. W każdym razie Rosjanom pod Stalingradem udało się nie dopuścić odsieczy Mansteina, bez rozluźniania pierścienia okrążenia. Ale nieumiejętność rezygnowania z osiągniętych już sukcesów Kara Mustafa na przykład przypłacił w 1683 wymknięciem mu się oczywistego zwycięstwa z rąk! Nie mógł się zdecydować na to, żeby rzucić swoich janczarów na idące z odsieczą wojska Karola Lotaryńskiego, no i skończyło się! Podobnie było z Fryderykiem pruskim, gdy z częścią swoich sił ciągnął na Kolin. Tylko Napoleon to dobrze rozwiązał.

W 1797 zrezygnował z oblegania Mantui i zniszczył Austriaków pod Rivoli, pod Coroną i La Favoritą, po czym Mantua przypadła mu automatycznie. Ja tutaj uniknąłem błędu, który Napoleon popełnił w 1813. Napoleon – mówił z nieprawdopodobną wprost pewnością siebie –

powinien był tak jak ja ustawić swoje wojska gdzieś z dala od Paryża, wówczas Prusacy nie odważyliby się pchnąć na Paryż ani jednego korpusu. Oni jednak odważyli się. Gdyby pan mimo mojego marszu na pańskie wojska skręcił na północ, miałbym bardzo ciężką sytuację.

– Macie fenomenalną pamięć, Wolzow – powiedział Wehnert – to naturalnie bardzo pomaga, jak się ma w pamięci takie precedensy. Awansuję was na podoficera, wyślę was na kurs oficerski. Najpierw musicie naturalnie przejść przez tygiel frontu. Bo nie myślcie – mówił, poprawiając swój jasny pas – że sama wiedza wojskowa wystarczy, żeby być wodzem, do tego potrzeba, ma się rozumieć, czegoś więcej, i nie każdy może zostać podporucznikiem! – Pochylił

głowę. – Spójrzcie na mnie. Bezwzględność posunięta aż do okrucieństwa, niewzruszona wiara w wielkoniemieckie posłannictwo, a przede wszystkim absolutna wierność wobec Führera aż po śmierć... To są najważniejsze cechy narodowosocjalistycznego oficera... – Wskazał głową na piaskownicę. – Jutro jesteście zwolnieni ze szkolenia strzeleckiego, przeciwiczymy sobie jeszcze raz, co by było, gdybym zaatakował waszą stolicę. – Wolzow wrzasnął: – Tak jest, panie poruczniku!

Podporucznik Wehnert miał wykład. Temat: „Czy rasa jest przeznaczeniem?” Holt siedział

na sali wykładowej zawsze daleko z tyłu, obok Petera Wiese. Za jego plecami wierzili się na twardej stołkach Wolzow i Vetter. Wehnert wyprostowany jak struna spacerował przed rekrutami, za nim królował na katedrze Revetcki, jedno oko na w pół przymknięte, drugie szeroko otwarte, spojrzenie utkwione w salę.

Wehnert miał przypięty do munduru czołgisty okrągły znaczek partyjny. Jego zimne oczy patrzyły gdzieś ponad głowami rekrutów. Ręce trzymał założone do tyłu. Teraz się koncentruje, pomyślał Holt. Oparł łokcie o blat stolika, ale Revetcki podniósł groźnie brew.

– Czy rasa jest przeznaczeniem? – zapytał Wehnert dźwięcznym jak dzwon głosem. Holt z ciekawością nadstawił uszu: Czy teraz wreszcie wytłumaczy, co on rozumie przez to przeznaczenie? Wiecznie tylko przeznaczenie, Pan Bóg, opatrność...

– Przeznaczeniem rasy jest stanowienie o sobie – zaczął podporucznik. – Bo nordycka krew... – Holt słuchał niezbyt uważnie... – ...każda poszczególna jednostka ma w tym swój udział... – słyszał tylko –

...możliwość przyczynić się ze swej strony do mocniejszego znordyzowania naszego narodu... rasy nordyckiej i...

Nordycka rasa, pomyślał Holt, jeszcze nikt nigdy nie wytłumaczył, co to właściwie jest ta

„nordycka rasa”, ani Kutschera, ani Ziesche, ani Lesser. Przypomniawszy mu się ojciec. To było dawno temu. Holt słyszał raz, jak ojciec rozmawiał z kimś o teorii ras. Krew ludzka dzieli się na cztery grupy: A, B, AB i O, przypomniał sobie teraz, i jeszcze na ileś tam podgrup. Ale krew Eskimosa niczym się nie różni od krwi Japończyka, Szweda czy Indianina, tylko te grupy. Co więc mają na myśli ci, co tyle gadają o nordyckiej krwi, co należy przez to rozumieć?

– Żeby naród niemiecki mógł sobie wyraźnie uświadomić swoje rasowe posłannictwo, musi mu przewodzić wybrana warstwa wodzów, nowa szlachta czystej krwi nordyckiej, powiada jeden z naszych uczonych zajmujących się zagadnieniem rasy.

Holt pomyślał: Ojciec mówił, że to wszystko jest religią, zabobonem, chorobliwą psychozą, oglupianiem ludzi. Ale to nie do mnie tak mówił! Mnie, pomyślał Holt rozgoryczony, nic a nic nie powiedział, mnie zostawił na pastwę losu, skazał na mękę, na rozpacz!... Ta stale powtarzająca się w wykładzie Wehnerta „nordycka krew” drażniła go. Wszystko bzdura, myślał.

Ale *dlaczego?* Po co to całe mydlenie oczu rasą, krwią i nordyckim człowiekiem? Bardzo bym chciał to wiedzieć!

– ...że koniec końców rasa jest to misterium – powiedział podporucznik Wehnert. Holt kiwnął mimo woli głową. – Nie można jej poznać, można ją tylko czuć. Rozum jej nie obejmie, tylko uczucie... poprzez rasę świat dzisiejszy może odzyskać heroizm. – Podporucznika znowu poniósł krasomówczy zapał. Holt patrzył na oficera sceptycznie i nieufnie. Po co to wszystko?

– ...a mianowicie tylko w krwi nordyckiej: Germanie albo ciemność, brzmi hasło na dziś, tak jak brzmiało kiedyś.

Rekruci drzemali. Tylko paru jeszcze słuchało. Podporucznik mówił: – Życie herosa jest właśnie życiem, do którego dążymy, życiem żadnej łupów i zwycięstw jasnowłosej bestii.

Będziemy herosami tylko przez to, że ustanawiamy nasze stulecie początkiem nowego świata.

Bo heros zawsze stoi u początków świata. Negatywem herosa jest jego potomek. Dlatego wszyscy późniejsi nienawidzą heroiczności.. Jest całkiem jasne, że nikogo to nie interesuje, pomyślał Holt. Gdyby mówił, jak się potoczy dalej wojna, wówczas wszyscy by go słuchali.

A poza tym istotę heroizmu wyjaśniał już z dziesięć razy.

– W dzieciństwie heros jest leniwy i żyje sam dla siebie. Istnieje bowiem herosowe lenistwo.

Wolzow szturchnął Holta w plecy i szepnął: – To ja! Jakbym siebie widział.

– Herosowe lenistwo jest skupianiem się w sobie: łagodnym, nieskłonny do rozmowy, obojętnym...

– Powiedział *obojętnym*. – ...aż wreszcie przychodzi zryw berserkerski, ten pierwotny wybuch energii i żądzy walki...

– Tak jest – szepnął Wolzow Holtowi w plecy. – Cztery tygodnie leniwy jak zaraza, ale potem diabelna chęć do bitki!

– ...przeżywa heros swoją młodzieńczą samotność” aż wreszcie jego męska samotność herosa wyzwala w nim dumę i energię...

Vetter zasnął, ale Wolzow dał mu kuksańca w bok.

– Dlatego heros kocha morze i włóczęgę po nim w łodzi Wikinga, dlatego wspina się po górach. Tam wysoko w górach czuje się wieczny, za pan brat z orłami Prapoczątku, i czuje już tylko to, co go bez reszty wypełnia: swoją ponadczasową potęgę! Heros i nieskończoność, jest to najgłębsze spojrzenie na nasze dzieje.

Za pan brat z orłami Prapoczątku? Teraz go już naprawdę poniosło! Dziwne, słucham go i słyszę każde słowo, a nie mam zielonego pojęcia, o co mu właściwie chodzi!

– Heros ma odwagę dźwigać swój los nie boi się śmierci ani tego, że jest przez wielu znienawidzony. On zna swoją dziedzinę, pręży ramiona i wkracza w nią. Że jeszcze wszystko jest do zrobienia, że naokoło dopiero świt i wszędzie zaledwie przebłyski aprobaty, to sprawa heroicznej wiary, która znana jest tylko czystemu, szlachetnie urodzonemu.

Przez wielu znienawidzony! Myśli Holta znowu zeszyły na boczny tor. A więc to ma być czymś wielkim, heroicznym, że się robi wszystko, aby być przez wielu znienawidzonym...? – To bardzo dziwna sprawa z tym przeznaczeniem herosa... Revetcki! – krzyknął nagle Wehnert, że aż wszyscy słuchacze podskoczyli. Twarz podporucznika była czerwona z gniewu. – Menke, Hintz, Otdorf i Pless! Revetcki, żebyście mi potem wzięli do galopu te świny, aż do utraty tchu! Spać na wykładzie! Wy leniwe śmierdziele, tylko wstyd przynosicie Niemcom! Ale ja z was wypędzę to draństwo!

Teraz na pewno stracił wątek, pomyślał Holt, przyglądając się bacznie twarzy podporucznika, ale on może przerwać i zacząć w dowolnym miejscu, i tak wszystko będzie mu zawsze pasowało.

– To bardzo dziwna sprawa z tym przeznaczeniem herosa – powtórzył podporucznik. –

Jeżeli potrafimy go zrozumieć i zrozumieć jego sposób widzenia Losu, to zrozumiemy również jego cały świat.

Przeznaczenie, znowu przeznaczenie, pomyślał Holt. Co to jest przeznaczenie?

– Herosowa nienawiść, o, to zaciśnięcie się pięści Tora na stylisku jego młota, że aż knykcie ręki robią się białe, ta wspaniałość herosowej nienawiści, spadająca z hukiem na świat, że olbrzymom w ich lasach aż zapiera dech! Dopiero dziś, gdy znowu wolno uczyć nienawiści, tej herosowej nienawiści, zajaśniała Jutrzenka nad Niemcami.

Po tej herosowej nienawiści następuje zawsze herosowa moralność, pomyślał Holt.

– Szlachetne rozpasanie zmysłów znane czasom starożytnym doprowadziło później miłośników rozkoszy do najrozmaitszych form rozpusty. Rozpusta w tamtych czasach... –

Słuchacze zaczęli nagle uważać. – ...była przygodą, miała swoisty pieprzyk, jakiś swoisty sprośny patos i swoich zapalonych wyznawców, malowniczych obwiesi, którzy potrafili nawet wylądować rano z fantazją w rynsztoku...

Vetter głośno chrząknął.

– Tak więc gorąca krew zaplątuje herosa w odwieczną walkę płci i każe mu walczyć o zmysłową miłość mężczyzny i kobiety, która może być tylko odczuta, a nie wyrozumowana!

A instynkt płciowy jest nieokiełznany w swej dążności do wyzwiania się, w tym właśnie tkwi przyczyna problematyczności małżeństwa dla niektórych mężczyzn o gorącej krwi...

Teraz rekruci rzeczywiście słuchali. Wszyscy patrzyli w napięciu na podporucznika. Ale Wehnert wrócił z powrotem do rasy herosów, i zainteresowanie zgasło. Holt również przestał uważać.

– Rasa herosów... powinna powstać w wyniku przestrzegania czystości krwi przez każdą poszczególną jednostkę... Führer powiada: Grzech przeciwko krwi i rasie jest grzechem dziedzicznym tego świata... Wszystkie pozytywne wartości świata stworzone zostały przez ludzi nordyckich... klasyczna Grecja była dziełem nordyckiej rasy, państwo rzymskie dziełem rasy i wielkości nordyckiej... Włoscy artyści mieli w sobie krew nordycką... Owocem nordyckiej krwi był Wolter i...

Teraz przyjdzie kolej na herosową urodę i na tym skończy, pomyślał Holt.

– ...nie tylko najzdolniejszym, ale i najpiękniejszym człowiekiem jest człowiek nordyckiej rasy. Wyłania się tu smukła, prosta postać mężczyzny, która jest najdoskonalszym wzorcem układu kośćca i mięśni... rozkwitają kształty kobiety o szczupłych, ale krągłych ramionach i trochę szerzej zarysowanych biodrach... Tak więc ludzie nordyccy pojawiają się jako ozdoba ziemi, jako wspaniałe produkty rozkoszy natury.

– Amen – szepnął ktoś cicho. Był to Gomulka. – Nam zaś – zawołał podporucznik – którzy już mamy jakie takie pojęcie o znaczeniu i cudzie rasy, nam pozostaje spełniać już tylko jeden podstawowy obowiązek. Kto z całej duszy wierzy w posłannictwo nordyckiego herosa, ten nie może się nigdy zachwiać ani ulec słabości, nawet jeżeli rozkaz jest dla rozumu niepojęty? dla tego rozumu, który ogarnia tylko postać rzeczy, podczas gdy wiara zgłębia samą jej istotę.

Jak to było? Nawet jeżeli rozkaz zdaje się być dla rozumu niepojęty... tak, teraz rozumiem!

– Przeznaczeniem herosa jest jego rasa, mit państwa wymaga wierzących serc. Nie siłą rozumu stanie silna Rzesza, tylko heroiczną wiarą, naszą dyscypliną wewnętrzną, wbrew mędrkującemu rozumowi. Führer pisze: Gdyby naszej młodzieży trochę mniej wiedzy wbijano do głowy, byłoby to dla Niemiec daleko lepiej. Drogą do ostatecznego zwycięstwa jest nie myślenie-wiedza-krytyka, lecz

przeznaczenie-mit-wiara! Herosową wielkość przejawia się w posłuszeństwie i działaniu. Partia Führera stworzyła podstawy, ta partia, o której mówi poeta:

„Nad bagno waśni, nad kłótnie i spory wznosi się partia i partii podpory...”* [*Przekład Włodzimierza Lewika.]

Holt już nie słuchał. Teraz rozumiem, po co to zostało wymyślone, uświadomił sobie nagle, i świadomość ta zaparła mu dech: Rasa, nordycka krew, Aryjczyk, nadczłowiek, heroiczna wiara... żebym rozstrzelał tę Słowaczkę bez mrugnięcia okiem!

– W walce o Rzeszę nie obowiązuje żadna moralność! Nasz poeta Hanns Johst mówi: „Z

moralności nie można wysnuć żadnej wiary, tylko z wiary moralność!” Nasza moralność wyrasta z wiary w prasiłę rasy. Gdzie jest wiara, mówi Hanns Johst, tam „jest wszechmoc! A gdzie jest wszechmoc... tam jest Rzesza i szczęśliwość wieczna!”

– ...na wieki wieków, amen... – szepnął Gomulka.

– Baczość i – wrzasnął Revetcki. Rekruci zerwali się na równe nogi. Podporucznik Wehnert, godnie wyprostowany, jak przystało na herosa, opuścił salę. Drzwi się za nim zamknęły.

– Tak! – powiedział Revetcki. – Koniec zajęć? A figa z makiem! Dobrze widziałem, jakeście wszyscy kimali! – Biegał przed stolikami w tę i z powrotem, bijąc się trzcinką po butach. –

Dlaczego na waszych facjatach nie widać świętego uniesienia? Co tak wytrzeszczacie na mnie gały jak śnięte karpie? – I wrzasnął: – Teraz ja wam pokażę, jak powinien wyglądać zryw berserkerów, wy śmierdzące produkty, że jeszcze za życia zgnijecie! Teraz ja z was wypędzę to herosowe lenistwo, wezrnę was tak do galopu, że dopiero o świcie wylądujecie z fantazją w rynsztoku! Będziecie musieli głęboko zajrzeć w te nasze dzieje! Jazda, za trzy minuty wyruszamy w pole i... gaaaz!

Wyrwali z puszek maski, Revetcki wyprowadzi! ich na zryty lejami plac koszarowy. – Teraz ja dam wam wykład z wychowania wojskowego – powiedział – że aż knykcie zrobią wam się białe! – Boek ryczał z zachwytu. – Karabiny przed sobą! Skaczcie heroicznie żabką, psy podłe, pięknie przez leje! Wyprężcie ramiona i wkraczajcie w tę swoją dziedzinę!

Dopiero po godzinie puścił ich do izb.

Ponury, przygnębiający nastrój nagle ich opuścił, gdy 19 grudnia nadeszła wieść o ofensywie w Ardenach. Wehnert i Wolzow do późnej nocy stali przy piaskownicy, na której odtworzyli sobie ukształtowanie terenu pomiędzy Schnee-Eifel a Hohes Venn. Holt musiał

wyrzec się snu i przesuwać kijem małe czołgi na właściwe miejsce. Wehnert znał więcej szczegółów, niż ich podawano w komunikatach wehrmachtu. Wolzow studiował mapę, dźgał

palcem tu i ówdzie w piasek i mówił: „Ofensywa jest prowadzona według wszelkich zasad sztuki wojennej!” Na dzień przed Wigilią stali po raz ostatni nad piaskownicą. Do Nowego Roku sprawozdania z przebiegu ofensywy brzmiały optymistycznie. Potem przysły wszelkie złudzenia.

Na parę dni przed Bożym Narodzeniem odbyła się przysięga. Była to krótka ceremonia, która nie zrobiła na rekrutach żadnego wrażenia. Tylko Wolzow potraktował ją poważnie.

„Teraz jesteśmy po przysiędze – powiedział – i musimy walczyć do ostatniej kropli krwi, cokolwiek się zdarzy!”

Revetcki rozpoczął uroczystość świąteczną słowami: – Mam natychmiast oczyścić wasze dusze, żebyście w tę świętą noc gwiazdy betlejemskiej stanęli przed świętym Jezusem z niewinną twarzą!

– Oczyścić nasze dusze? – powiedział Holt. – Do galopu chce nas wziąć to świętoszkowate ścierwo!

Revetcki wszedł do izby. – Wiese! Rozepnijcie natychmiast kołnierzyk!

Wiese usłuchał. Revetcki przez ten czas przeglądał czyjaś szafkę. Potem napadł na Wiesego:

– To niemożliwe! Ten gnojek lata po świecie z odpiętym kołnierzykiem! Dostaniecie za to sześć godzin ćwiczeń specjalnych. Skończcie z tym natychmiast, zanim ja was wykończę, i napiszcie jeszcze prędko parę słów do rodziny!

Peter Wiese zbladł.

Revetcki ciągnął dalej: – A może chcecie kupić sobie dyspensę? Co robicie w cichą, świętą noc ze swoimi kartkami na wódkę?

– Panie kapralu – wyjąkał Wiese ze łzami ulgi w oczach – oddam je panu!

– Co za miły podarunek! – wykrzyknął Revetcki, i jego twarz zmarszczyła się jakoś przedziwnie. – Odpięty kołnierzyk został wam wspaniałomyślnie przebaczony!

Potem była Wigilia. Wolzow, Holt, Vetter, Gomulka i jeszcze paru innych awansowali na ordynansów podoficerów i wyfasowali sobie z magazynu nowe, białe jak śnieg drelichowe bluzy. Największy garaż został wyprzątnięty i zastawiony stołami i ławkami. Pod jedną ze ścian zrobiono bufet, pod centralną ustawiono podium. Tam śpiewał wieczorem chór żołnierski:

„Błogi czas...” Dwie wielkie choinki z zapalonymi świeczkami rzuciły słabe światło. Major Reichert, dowódca batalionu, wygłaszał właśnie przemówienie. Holt, w białej drelichowej bluzie, stał przy bufecie i trzymał w pogotowiu tacę.

W jego duszy była pustka i smutek. Boże Narodzenie, myślał... Nikt do niego nie napisał, nawet Gundel nie. Do jego uszu docierały strzępki przemówienia dowódcy: „Szóste w ciągu tej wojny Boże Narodzenie... Führer niewzruszenie... Bezwzględne zaufanie... Święto nadziei, święto wiary... Ostateczne zwycięstwo”. Chór znowu zaczął śpiewać, a w chwilę potem śpiewało już więcej niż tysiąc skrzypiących, szorstkich głosów „Cicha noc, święta noc...” Holt oparł się o bufet. Twarz Gomulki, który stał obok niego, była bez wyrazu. Wolzow podszedł do Holta i dał mu sójkę w bok. – Łyknij sobie jednego, stary wiarusie!. – Podał mu kufel od piwa napełniony do połowy żytniówką. Holt przez sekundę nie mógł złapać tchu, potem przetarł sobie ręką czoło. Jakaś cienka, przezroczysta zasłona przesłoniła mu nagle świat: świeczniki na choinkach paliły się jakoś jaśniej, mruczando tysiąca głosów szumiało mu w uszach jak daleki sztorm na morzu. To było ostatni raz, że tak oklapłem! pomyślał. Gdy krew cię zboczy – stanę za dwóch, śmierć zajrzy w oczy – jam też twój druh. – Jeszcze żyjemy – powiedział, a Wolzow znowu kuksnął go w bok i roześmiał się: – I to jak! Takie dwa stare wiarusy jak my!

Wieczór wigilijny bardzo szybko przekształcił się w pijatykę. Holt zabierał z bufetu tace z kieliszkami wódki i kuflami piwa i podawał je podoficerom, ścierał ze stołów rozlane piwo, zbierał kartki na wódkę i zanosił je do bufetu. Z początku kartki były liczone, bardzo prędko jednak Holt musiał je wrzucać nie liczone do pudełka, przy czym szachrował, jak mógł. W miarę upływu czasu kontrola stała się prawie niemożliwa.

Podoficerowie dość szybko się upili. Revetcki przewracał oczyma, pił i wrzeszczał: „Po każdej kropli kura w kurę spogląda ku niebiosom – w górę!” W kącie, otoczona wianuszkami kaprali i sierżantów, stała córka właściciela kantyny, brzydkie babsko około trzydziestki z utlenionymi na platynowe włosami, trochę garbata, dziś jeszcze bardziej wyzywająco niż zwykle umalowana. Z początku obsługiwała oficerom, ale teraz podoficerowie nie dawali jej zupełnie pracować. Na stole oficerskim, nakrytym białym obrusem, stały całe baterie butelek z winem i koniakiem, bombonierki z czekoladkami i otwarte pudełka cygar. Holt po raz pierwszy widział dowódcę batalionu majora Reicherta. Po jego prawej ręce siedział ów legendarny kapitan Weber, dowódca czwartej kompanii, legendarny ze względu na swoją pełną kolekcję odznaczeń wojennych, wielokrotnie wy mieniany w komunikatach wehrmachtu, a teraz, pół roku temu przeniesiony do batalionu zapasowego, bez ręki, z lewym rękawem dwurzędowego czarnego munduru podwiniętym do ramienia, bez oka, z czarną przepaską na prawym oczodole, z twarzą posiekaną bliznami; siedział sztywno obok majora i podnosił od czasu do czasu kanciastym ruchem do ust kieliszek z winem. Dziś nie miał na mundurze żadnych orderów, żadnych medali, tylko Krzyż Rycerski u szyi.

– Przyjrzyj mu się! – powiedział Wolzow do Holta. – Ten człowiek forsował Dniepr pod Rohaczewem, potem został okrążony pod Mohylewem i przedarł się na swoich tygrysach na zachód, cała kompania przy tym zginęła, tylko on jeden przeszedł, przesiadając się z czołgu na czołg!

– Ordynans! – wrzasnął zadziornie Revetcki przy stole podoficerskim. Miał już maślane oczy. – Holt! Nam jest tak cholernie dobrze... Ganymedzie, mój ty sprytny aniele...! – Męczyła go czkawka. – Tu brak nam tylko jednego: wódki i... Holt! Gdzie się podziała ta garbata zaraza?

To ścierwo chce dziesięć marek! – I krzyknął na cały głos: – Zamiast być szczęśliwa, że ją pruski kapral... – Znowu złapała go czkawka. – Powiedziałem na to: Nie, dziękuję! Mogę sobie za to pójść dwa razy do burdelu! – Kapral Boek huknął: – Nie zamierzasz chyba tego pętaka prosić i Od kiedy to prosi się takich gówniarzy! Daj pętakowi rozkaz! Powiedzie temu pętakowi, że jutro przez całe święto będziesz go musztrował, musztroował, aż ducha wyzionie!

– Jazda, przynieś nam wódki! – krzyknął Revetcki. – Ale prędko, bo jak nie, to zrobię z ciebie eunucha! Wolzow odciągnął Holta na bok: – Musimy teraz Revetckiego i Boeka tak spić, żeby jutro nie mogli dychać!

– No to jazda! – powiedział Holt. Przy bufecie właściciel kantyny napełniał kieliszki wódką.

Ktoś złapał Holta z tyłu za ramię i obrócił go z nieprawdopodobną wprost siłą. Był to starszy sierżant Burgkert. – Chłopcze – powiedział – ordynans, jak się nazywasz?

– Strzelec wojsk pancernych Holt z plutonu szkolnego kompanii sztabowej. – Każdy tu znał

starszego sierżanta. Nie dał sobie nic powiedzieć, oficerom salutował niedbale, niemal łaskawie, a na salutowanie podwładnych odpowiadał tylko skinieniem głowy. Dziś założył wszystkie swoje ordery. Był tak wysoki jak Wolzow, ale bardziej barczysty i masywny. Spojrzenie Holta ślizgało się po jego czarnym mundurze. KŻ I i KŻ II,* [*KŻ I i KŻ II – Krzyż Żelazny I i II klasy.] liczył w duchu, złota odznaka za rany, srebrne okucie za walkę wręcz, Niemiecki Złoty Krzyż, na rękawie siedem znaczków za zniszczenie czołgów... – Obejrzyj sobie spokojnie to żelastwo, mój chłopcze! – powiedział starszy sierżant ochryplym basem, ciągle jeszcze trzymając Holta za ramię. – Jak już się napatrzysz, to mi przyniesiesz dwie butelki koniaku, ale nie tego sikacza, tylko takiego, jaki dostają oficerowie! Dwie butelki i dwa kieliszki, ale koniecznie te pękate! Przyniesiesz mi to wszystko w tamten kąt! – Wskazał ręką na słabo oświetlony kąt garażu. – No idź!

Holt pobiegł do bufetu. – Dwie butelki dla dowódcy! Koniak! I dwa pękate kieliszki! – Te pękate kieliszki rozproszyły wszelką podejrzliwość. Starszy sierżant siedział na pustej beczce od piwa, wyjął Koltowi z ręki butelki i spojrział na etykietę. -. Dobry! – Postawił jedną butelkę na ziemi i napełnił oba kieliszki: – Pij, rekrut! – Hałas panujący w hali trochę przycichł. Tylko gdzieś jeszcze kilkanaście zapijaczonych głosów ryczało: „Jak kiedyś, Lili-Marleeeeen!” Potem i to ucichło. Na zaimprovizowanej scenie major, wyraźnie już mocno pijany, wlaź na stół

oficerski, trzymał w ręce kieliszek szampana i ryczał: „Niech żyje... jedenasta... pancer... Niech żyje... okryta chwałą... niepokonana... jedenasta dywizja pancerna!” – Niepokonana! –

powiedział starszy sierżant. Jego głos stracił nagle całą swoją chropowatość, bas był głęboki, jakby wychodził z grobu. – Niepokonana! Tuła, listopad czterdziestego pierwszego... Smoleńsk, wrzesień czterdziestego trzeciego... niepokonana, ale zniszczona! Nie ma już jedenastej dywizji pancerniej! Jest jeszcze tylko pięćset karabinów i tuzin tygrysów, ale to się nadaje już tylko na szmelc! – „Niech żyje... – krzyczał major – nasz wielki generał... nasz Führer Adolf Hitler...” Hala zadrżała od wrzasku tysiąca żołnierzy. – Pij, chłopcze! – powiedział starszy sierżant. – Nie za tego generała. Za nikogo. Za największe oszustwo świata! – Holt wypił posłusznie. „Rozkaz batalionowy! – wrzeszczał major. – Ze względu na sytuację... wszystkie istniejące jeszcze zapasy alkoholu... absolutnie wypić!”

– Zostaliśmy tak strasznie oszukani, że nie masz nawet pojęcia, chłopcze! – powiedział starszy sierżant. Znowu nalał sobie pełen kieliszek. – Pij, rekrut!

Wdzięczność ojczyzny cię czeka. – Holt patrzył ze strachem na tego olbrzyma, który nalewał sobie i pił, nalewał i pił. Słyszał, jak starszy sierżant między jednym kieliszkiem a drugim mówi:

– Pij, chłopcze! Nie chcesz? – Miał już drugą butelkę w ręce. – Chłopcze, żebyś ty wiedział, jak nas oszukali! – Holt uciekł od niego. Przy stole podoficerskim pijatyka dobiegała już końca.

Revetcki pił prosto z butelki. Boek leżał prawie na stole. Starszy strzelec Kindchen zataczał się między stołami z butelką pod jedną i drugą pachą i śpiewał: „Więc pijmy zdrowie!” Oficerowie już poznikali. Kapral Winkler, który sypiał z Revetckim w jednej izbie, zmierzał do wyjścia na chwiejnych nogach, wreszcie potknął się i upadł. Revetcki pochylił się nad nim, potem wyprostował i uśmiechając się pijackim uśmiechem, wybełkotał: – Pijemy dalej! – Holt podbiegł

do Winklera. Natknął się przy nim na Burgkerta, który powiedział: – Zabierz go stąd, rekrut! On jeszcze będzie potrzebny. My wszyscy będziemy jeszcze potrzebni.

Holt i Gomulka podnieśli Winklera. Przy drzwiach garażu stał jakiś starszy strzelec, niewielkiego wzrostu, może około trzydziestki. Palił papierosa i patrzył obojętnie na ten cały chaos bystrym i trzeźwym wzrokiem. Otworzył drzwi Holtowi i Gomulce, którzy wynosili Winklera. W drzwiach minął ich zataczający się Boek, który również wychodził na dwór. – Wasi instruktorzy? – zapytał starszy strzelec. Gomulka odparł: – Coś obrzydliwego! Starszy strzelec uśmiechnął się i wskazawszy ręką garaż, powiedział: – Poczekaj, jeszcze się tych zasranych wodzów pozbędziemy! Nie minie rok, jak pójdą na śmietnik!

Holt i Gomulka zawlekli Winklera przez zryty lejami plac koszarowy do łóżka. Gomulka pognął z powrotem do garażu, gdzie ów starszy strzelec ciągle jeszcze stał przy drzwiach.

Holt poszedł do izby. Słaba żarówka oświetlała dość kiepsko duże pomieszczenie. W kącie siedział Peter Wiese. Pisał list.

Holt oparł się o jedną z szafek. Peter uśmiechnął się. Hałas z garażu dobiegał poprzez wielki plac koszarowy aż tutaj. – Tak, Peter... – powiedział Holt bezradnie, po czym rzucił się na łóżko.

Boże Narodzenie! pomyślał.

W pierwszy dzień świąt, gdy koszary obudziły się wreszcie z poalkoholowego zamroczenia, Kindchen przyniósł pocztę. Holt dostał paczkę od Gundel. „Pani Gomulkowa pozwoliła mi upiec u niej ciasto dla Ciebie”, pisała Gundel. „Pierwszy raz w życiu piekłam ciasto, więc mi się jeszcze niezupełnie udało. Ale pani Gomulkowa uważa, że mimo to powinnam Ci je wysłać. Te suszone morele dała mi dla Ciebie. Zdjęcie robiłam u fotografa, ale wydaje mi się, że w rzeczywistości wcale tak nie wyglądam”.

Rozwinął papier. Na samym wierzchu leżała gałązka jodły. Długo wpatrywał się w fotografię Gundel. Nie uśmiechała się, była bardzo poważna. Jak można mieć takie wielkie oczy, pomyślał.

Dzień swoich urodzin spędził Holt w terenie na strzelaniu szkolnym z pancerfausta.

W drodze powrotnej Revetcki zastosował „obróbkę specjalną”, i Holt padł na łóżko śmiertelnie zmęczony. Vetter powiedział: – Masz teraz osiemnaście lat! Gdybyś był cywilem, mógłbyś chodzić na wszystkie filmy!

W tydzień później dotarła do koszar wiadomość: „Rosjanie przedarli się przez Wisłę!” Wolzow rozłożył mapę: – Tu! Z przyczółka mostowego Sandomierz! Uderzenie skierowane jest prawdopodobnie na Kraków, od południowego zachodu, albo od zachodu na Kielce... Tu!

Z przyczółka mostowego Puławy, na Łódź... – Potem nadeszły nowe wieści: „Przełamali front również w Prusach Wschodnich!” Po koszarach krążyły najrozmaitsze plotki. „Druga kompania idzie na front, jeszcze dziś w nocy!” Vetter przekrzykiwał wszystkich: – Mamy być dalej szkoleni! I zanim wyruszymy na front, wszyscy mamy iść do burdelu! – Przeszedł jeszcze tydzień.

Pluton szkolny jechał ciężarówką na ostre strzelanie na sąsiedni poligon. Rekruci na ciężarówce śpiewali. Potem, w nocy, stali i czekali bardzo długo. W pobliżu terkotały karabiny i karabiny maszynowe, raz po raz rozdzierały ciemność rakiety świetlne. Holt stał zmęczony nad swoim kaemem. Vetter, obwieszony taśmami, z karabinem na ramieniu, taszczył skrzynie z amunicją. W pewnym momencie zdjęli hełmy i zapalili papierosa. Wolzow wydawał ostatnie dyrektywy: – Ludzie, jak będziecie szli naprzód, to nie włączcie w pole ostrzału kaemów!

Werner, przy zmianie stanowiska będziemy się wzajemnie osłaniać ogniem. – Zaciągnął się papierosem. – Jestem ciekaw, czy uznają nas za dojrzałych do frontu.

– Poczekamy, zobaczymy – odparł Holt. Gomulka zapytał: – Czy zaraz nas rzucą do akcji?

– Ten się nie może już doczekać! – zakpił ktoś. Holt pomyślał: W pytaniu Seppa nie brzmiał

wcale strach, raczej zaniepokojenie. – Masz rację, Sepp. To czekanie, ta niepewność, to jest może właśnie najgorsze.

– Może – powiedział Gomulka. Revetcki zawołał: – Kończcie już! – Rozdeptali papierosy, i włożyli hełmy na głowę. – Zbiórka! – Revetcki wpadł nagle w przyjacielski ton i mówił do rekrutów „muszkietery” albo „fizyliery”. – Tylko z zimną krwią! – zapowiedział im. – Wasz kapral jest z wami w tej ciężkiej godzinie! – Potem wydał rozkaz: – Załadować broń i zabezpieczyć! – Holt wziął kaem na ramię. – Gęsiego – krzyknął Revetcki – za mną! –

Maszerowali na „przedni skraj obrony”. – W lewo zwrot! Biegiem... marsz! – Grupa rozsypała się. – Naprzód, arkebuzery! – wołał Revetcki. Holt biegł na prawym skrzydle, przez głęboki śnieg. – Padnij! – Vetter rzucił się na ziemię obok Holta. Odciągnąć zamek, unieść wieczko, założyć taśmę, spuścić wieczko, odbezpieczyć, kolbę oprzeć mocno o ramię... – Celownik czterysta! Ognia! – W górę strzeliła rakietka, nad zaśnieżonym polem zawisło oślepiająco białe światło. Kaem Wolzowa na lewym skrzydle już strzelał. Holt widział przed sobą przesuwające się tarcze z sylwetkami żołnierzy i strzelał do nich krótkimi seriami. Może to już ostatnie strzelanie ćwiczebne, pomyślał.

Revetcki był zadowolony. Podporucznik nie bardzo krytykował. Potem ciężarówka zabrała ich z powrotem do koszar. Po drodze śpiewali: „A gdy wybije godzina po latach ziemskich prób, zmienimy czołgu żelazo w stalowy grób...” [*Przekład Włodzimierza Lewika.]

Po dwóch godzinach dotarli do koszar. Wolzow przyniósł z umywalni najnowsze wiadomości: – Zainstalowali na strychu radiostację średnioletową z osiemdziesięciowatowym nadajnikiem, żeby być w kontakcie z oddziałami frontowymi, które wzywają pomocy! Rosjanie wzięli Kraków i Łódź i idą naprzód. Czwarta kompania szykuje pantery do walki, te które jeszcze stoją w hali, dziś w nocy wyruszają, radiotelegrafistów biorą z naszej kompanii... –

Revetcki otworzył z impetem drzwi: – Wolzow, do porucznika!

– Chyba nie ma zamiaru staczać teraz ze mną bojów na piaskownicy! – Wolzow wciągnął

mundur i poszedł. Już po dziesięciu minutach wrócił, puszczając przed sobą podporucznika Wehnerta. Towarzyszył im Revetcki. Kto leżał już w łóżku, zerwał się na posłaniu.

Holt spojrzał na twarz Wolzowa i wiedział już wszystko.

O nieba, nie opuszczajcie mnie!

Podporucznik rozejrzał się po izbie. Potem zaczął: – Niemcy, idea heroizmu, idea narodowo-socjalistyczna, czyżbym wam mówił o tym na próżno? – Przeszedł się po izbie tam i z powrotem. – Czyżbym mówił na wiatr! Nie! To niemożliwe! – I teraz już bardzo prędko: –

Rosjanie przekroczyli granicę Śląska, tej ziemi, którą nasi praojcowie bohaterskim mieczem zdobyli dla Rzeszy. Wdzierają się do okręgów przemysłowych, idą na Wrocław. Jesteśmy w niebezpieczeństwie! Nadeszła ciężka godzina! Zaczął się ostatni etap wojny: wojna nerwów!

Mocniejsze nerwy zwyciężą. My będziemy mieć te mocniejsze nerwy.

Niech wreszcie powie, czego od nas chce!

– Führer nakazał w tej godzinie wystawić dywizję przeciwpancerną. Z ochotników.

Z ochotników? Dzięki Bogu! Gomulka wyskoczył z łóżka i prędko zaczął wciągać spodnie.

– Od was zależy, czy ta dywizja będzie oddziałem doborowym, na którym ostatnie pospolite ruszenie bolszewizmu połamie sobie swoje spróchniałe zęby. Nasz kolega Wolzow zgłosił się pierwszy, czego się też po nim spodziewałem. Kto jest następny po nim?

– Panie poruczniku – zawołał Gomulka – ja się zgłaszam na ochotnika, do tej dywizji przeciwpancernej.

Sepp! krzyknęło coś w Holcie. Sepp!

– Kto jeszcze? – zapytał podporucznik. Polowanie na czołgi na wschodzie! I Sepp się zgłasza

dobrowolnie!

Vetter wychylił się z łóżka i głośno podrapał się pod koszulą po lewej piersi.

– Führer wydał rozkaz: Kto zniszczy sześć czołgów w walce bezpośredniej, ten otrzyma Krzyż Rycerski.

– Cooo? – wykrzyknął Vetter. – Sześć czołgów... Krzyż Rycerski? No to, panie poruczniku, ja też, jak zawsze!

Gilbert, Sepp, Christian... a ja?

Wolzow spojrział na łóżko Holta i powiedział: – Werner, człowieku!

– Panie poruczniku – powiedział Holt nie swoim głosem – ja też.

I na tym się skończyło, bo reszta siedziała cicho. Podporucznik powiedział: – Wy czterej...

Tak sobie też myślałem, koledzy, dziękuję wam. Jutro możecie spać tak długo, jak tylko chcecie.

O godzinie dwunastej w kancelarii, po kartę zaopatrzeniową. Dobranoc.

Holt wyskoczył z łóżka. Revetcki, który stał na środku izby, wrzasnął: – A reszta? Reszta?

Ludzie, czy wy chcecie żyć wiecznie? – Holt szukał w szafce papieru listowego. Revetcki wrzeszczał: – Wy jeszcze tego po-za-łu-je-cie! Polowanie na czołgi jest krótkie, ale wasza pokuta będzie długa! Od jutra zacznę z was wypędzać ten instynkt samozachowawczy, wy świnię, wy parszywe trychiny! – Z hukiem zatrzęsął za sobą drzwi.

Holt pisał. Ktoś krzyknął: – Zgasić światło, za trzy godziny musimy wyjeżdżać! – Wolzow, który sporządzał listę dla magazynu mundurowego, powiedział: – Chłopczyku, zamknij się!

– Tak jest! – przyklasnął mu starszy strzelec Kindchen. – Daj mu, a dobrze! – wołał ze swojego łóżka. – Gdybym nie miał tego sztywnego kolana, to tak jak tu leżę, poszedłbym zaraz z wami!

Holt pisał: „Kochana Gundel! Jutro wyjeżdżam na front wschodni polować na czołgi.

Zgłosiłem się na ochotnika. Sam nie wiem dlaczego”.

Zamyślił się. Robię to dla Ciebie, chciał dopisać.

Dla Gundel?

Usłyszał swój głos, a potem głos mecenasa Gomulki. Czekać, na co?... Aż księżę z bajki uwolni nasze zaczarowane dziewczę...

Patrzył na biały papier znieruchomiałym wzrokiem. Wszystko źle, pomyślał. Wszystko źle.

Otrzymali skierowanie do lekarza i kartę zaopatrzeniową, na której było napisane: magazyn mundurowy, magazyn uzbrojenia, podoficer amunicyjny, podoficer żywnościowy, szef kompanii i tak dalej. Lekarz wojskowy w izbie chorych zbadał ich bardzo pobieżnie. „Zdrów jak ryba –

powiedział każdemu. – Polowanie na czołgi to najlepszy środek na raka starości”. Magazyn mundurowy był centralą plotkarstwa w jednostce. Że parę grup wyjechało już w nocy, dowiedzieli się tego tutaj właśnie. Podoficer mundurowy dawał wszystko, czego tylko Wolzow zażądał. – Ten traktuje nas jak śmiertelnie chorych – powiedział Holt, biorąc na rękę ciepłą bieliznę, pulower, mundur polowy z krótką, dwurzędową sukienną kurtką, trzewiki, spinacze, rękawice z jednym palcem. Lista Wolzowa była długa: kominiarki, waciaki, białe wiatrówki z kapturami. Magazynier w końcu zaprotestował przeciwko takim wymaganiom, to wszystko jest wbrew przepisom. – Wbrew przepisom? – powiedział Wolzow. – Czołgi rosyjskie też się nie trzymają przepisów!

Podoficer zbrojeniowy powoływał się na instrukcje. – Każdy dostaje pistolet maszynowy! –

Wolzow odmówił przyjęcia nowego karabinu szturmowego; zwracał się do kaprała per

„człowieku”. – Człowieku, na froncie nigdzie nie dostaniemy amunicji do takiego karabinu.

Niech nam pan da czterdziestkę dwójkę! – Vetter błagał o parabellum. Wolzow złapał raketnicę i skierował się do drzwi, ale podoficer zbrojeniowy huknął: – Czy panowie nie raczą zabrać tego kaemu? Może mam go odesłać panom do izby?

– Gotów jestem go zanieść – odszczeknął mu się Holt.

Kindchen, w swojej piwnicy z amunicją, wykrzykiwał: – Macie tu obrok! Posilny obrok! –

i kładł przed nimi skrzynkę amunicji za skrzynką. – Dwadzieścia taśm, pierwszorzędny towar, moi panowie, co trzeci nabój niewypał!

– Pierwszorzędny towar, coś takiego! – zawołał Vetter. Kindchen zaczerwienił się po same uszy. – Kto to udźwignie?! – powiedział Holt. – I do empi jeszcze sześć magazynków! I granaty ręczne! – wykrzykiwał Kindchen. A gdy już wychodzili, krzyknął jeszcze za nimi: –

I pancerfausty! Dla każdego jedna skrzynia! Te załaduję zaraz na samochód, obsługa klasa, z odniesieniem do domu!

U podoficera żywnościowego Vetter kategorycznie zażądał: – Niech no pan sięgnie po te dobre rzeczy, panie sierżancie, po szoka-kolę i te paczuski „Dla czołgisty w akcji specjalnej”!

– Dla moich ochotników same najlepsze rzeczy – skłamał Wolzow – tak powiedział major! –

Sierżant kłął, schodząc po schodach do piwnicy.

W izbie Vetter dobrał się do czekolady i papierosów. – Ludzie, korzystajcie z wojny, bo pokój będzie straszny! – Wolzow wkładał zapalniki do granatów ręcznych. Holt czytał gazetę, w którą im zawinięto masło. *Völkischer Beobachter*. „O walkach naszych żołnierzy na wschodzie”. Ze strachu, którego co prawda nie okazywał, ale który go zżerał, gotów był

uwierzyć w to, co tam pisano. A więc to są o wiele gorsi żołnierze, ci Rosjanie! Jestem dobrze wyszkolony, jestem młody i silny. Kto ich zatrzyma, jeżeli nie my, młodzi?

Ktoś otworzył kopniakiem uchylone drzwi. Między szafkami stanął starszy sierżant Burgkert, w swoim czarnym mundurze, obwieszonym orderami. Miał szarą, zapadniętą twarz, na czole perliły mu się kropelki potu. – Jedziecie ze mną? – zapytał ochrypłym głosem. Potem usiadł na stole i zaczął się bawić pistoletem Wolzowa. Twarz pokrytą miał potem, ręce mu drżały. – Byłem na strychu u radiotelegrafistów – powiedział ochryple. – Przez całą noc odbierali wołania o pomoc. Front już nie istnieje. Wszystko okrążone. Nasza 11 dywizja pancerna utknęła w korpusie Nehringa, który został okrążony pod Kaliszem.

– Wiem – powiedział Wolzow obojętnie. – Radiotelegrafiści odebrali SOS jakiegoś oddziału. „Boże, zmiłuj się nad nami!” Im tam wszystkim nerwy nawaliły!

Do izby wszedł jakiś starszy strzelec, mały, przysadzisty człowiek. Przebiegłszy oczyma po obecnych, powiedział: – Starszy strzelec Horbeck. – I usiadł. Holt natychmiast go poznał. To on właśnie stał przy wejściu do garażu w noc wigilijną, jedyny trzeźwy człowiek pośród tej orgii pijaństwa. Holt widział, jak ukradkiem skinął Gomulce głową, a potem zlustrował oczyma Wolzowa i Vettera; Holtowi się zdawało, że w spojrzeniu tych szarych oczu błysnęła jakaś tajona czujność, która momentalnie przemieniła się w obojętność: – Jestem waszym kierowcą. –

Starszy strzelec, według wszelkich oznak w świetnym teraz humorze, zapytał: – No jak tam, szarża już dojrzała?

– Co? – zawołał Vetter.

– Pytam, czy jesteście już gotowi? – Wolzow przeciągnął sobie przez dziurkę od munduru nową” mieniącą się wstążeczkę orderową. Holt i Vetter przypinali sobie strzeleckie odznaki przeciwlotnicze. – Moja mi się gdzieś zapodziała – powiedział obojętnie Gomulka, który siedział

blady i milczący. – Dostaniecie indywidualne rozkazy wyjazdu! – powiedział Burgkert. Poszli do kancelarii.

Podporucznik Wehnert zaczął im gadać o czynach. Jego oczy były jeszcze bardziej błękitne niż zwykle. – Potrzebne są czyny! – I wreszcie zakończył: – Z Bogiem, koledzy!

Na dziedzińcu koszarowym czekał samochód, otwarty, ośmioosobowy wóz z przewiewną budą, jakim zwykle policja wyjeżdżała na akcję. Kindchen ładował na niego panczerfausty.

Starszy strzelec Horbeck stał przy tym, palił papierosa i nie myślał mu pomagać. Nie miał na sobie kombinezonu maskującego i był uzbrojony tylko w karabin. Zabierał za to ze sobą mocno wypchany

plecak, większą ilość kocy, płacht namiotowych, kołków do namiotu i wielki kocioł.

– Po co ci te wszystkie graty? – zapytał Wolzow.

Starszy strzelec odwrócił lekko przy tym pytaniu głowę. Na jego twarzy pojawił się jakby cień nieufności, ale może było to tylko przywidzenie, bo w tej samej chwili klepnął Wolzowa po ramieniu i zawołał: – Sam zobaczysz.

Holt, który się temu przyglądał, pomyślał: Co to za jeden?

Zmierzchało się. Nikt ich nie żegnał. Pluton szkolny był na szkoleniu strzeleckim. Burgkert usiadł zupełnie z tyłu razem z Wolzowem. Jego bas brzmiał na cały samochód. Kiedy pociąga!

z manierki, rozchodził się zapach wódki. Gomulka zajął miejsce z przodu obok starszego strzelca, za nimi siedział Holt. Przy bramie koszarowej wartownik dokładnie sprawdził ich dokumenty. Kierowca nacisnął starter. Holt musnął spojrzeniem drogowskaz: Görlitz 58 km.

Zapadła noc. Holt owinął sobie nogi kocem. Zimny wiatr przewiewał cienką budę na przestrzał. Pada! śnieg. Zerwała się zawieja. Gdy Holt się odwraca!, widział Burgkerta opartego o Wolzowa. Obaj spali. Głowa starszego strzelca rysowała się ciemną plamą na tle szyby ochronnej, za którą skrzył się śnieg. Starszy strzelec rozmawiał z Gomulka, i teraz oderwą!

prawą rękę od kierownicy i ustawiał lusterko tak, jakby chciał zobaczyć, co się dzieje w głębi wozu. Chwilami, gdy wyjąca na dworze zawieja cichła, Holta dobiegały strzępki rozmowy, którą miarowy warkot silnika na ogół zagłuszał.

Twarz Gomulki zwrócona była w lewo. Odpowiadając widocznie na jakieś pytanie, Gomulka mówił: „...tego pan chyba musi lepiej znać niż my”. Podmuch wiatru sypną! do wozu śniegiem. „...Wolzow słucha się jeszcze czasami trochę Holta, ale poza tym nikogo”, powiedział

Gomulka.

O czym oni gadają? pytał się w duchu Holt, na wpół drzemiąc. Auto podskoczyło na jakimś wyboju i rzuciło Holta na ściankę budy. Kiedy poprawiał się na siedzeniu, starszy strzelec właśnie pyta!: „A ten blondyn?” – „Słucha Wolzowa jak pies – odparł Gomulka. – Ale gdy jest sam...” Warkot silnika zagłuszył dalsze słowa. Potem Holt usłyszał, jak Gomulka mówi: „...nie, mój ojciec właściwie...” i pochylił się do przodu, żeby lepiej słyszeć.

„Już panu wtedy mówiłem, jak do tego doszło – powiedział Gomulka. – Nie przyszło mi to łatwo. Być może są tacy ludzie, którzy już od samego początku wiedzieli, co się wyrabia. Holt poznał na urlopie jedną dziewczynę, której ojciec zginął w obozie, a matka została stracona.

Tacy...” Znowu warkot silnika zagłuszył dalsze słowa.

Holt pomyślał zdumiony: Sepp opowiada o Gundel? Starszy strzelec znowu dotknął ręką lusterka, odpowiednio je ustawił i rzucił okiem w głąb wozu, gdzie Burgkert i Wolzow, oparci o siebie, pogrążeni byli we śnie. „...czy ty wszystko rozumiesz, to jeszcze pytanie – powiedział –

abstrahując już od tego, że o takich rzeczach lepiej dzisiaj wcale nie mówić”. – „Czasem chciałoby się dokładnie wiedzieć, z kim się ma do czynienia”, odparł Gomulka. Starszy strzelec i zwrócił do niego twarz. „Dokładnie, otóż to właśnie”, powiedział z naciskiem i umilkł; samochód pędził z zaciemnionymi światłami skroś zawieję.

W Zgorzelcu stali długo na jakimś skrzyżowaniu. Burgkert obudził się i wysiadł. –

Przyjrzyjcie się temu! – Holt stał zmarznięty przy samochodzie. Obok nich ciągnął milczący, upiorny pochód, piesi, wózki ręczne, sanie, wozy, obładowane walizkami, pościelą, sprzętem kuchennym, bez końca, bez słowa, tylko płacz dzieci słyhać było w ciemnościach i zgrzyt płóz sań ocierających się raz po raz o krawężnik chodnika.

Burgkert pociągnął z manierki. Potem samochód z zaciemnionymi światłami, podskakując na wybojach, zaczął się przeciskać między ludźmi. Na szosie pro wadzącej do Lubania natknęli się na taki sam nie kończący się strumień uciekinierów. Na wszystkich skrzyżowaniach samochód zatrzymywano. Posterunki kontrolne SS, żandarmerii. „Dokumenty!” Rano około szóstej dotarli do Wrocławia. „Stanowisko dowodzenia frontu, czy jak się to tam nazywa?” Nikt nic nie wiedział. Wreszcie Burgkert kazał im się zatrzymać, zniecierpliwiony i zdenerwowany.

Przed jakimś budynkiem stała podwojona warta. Burgkert wrócił stamtąd po krótkiej chwili. –

Muszę się tu najpierw rozejrzeć. Wolzow, dowiedzcie się, dokąd mamy jechać. Za pół godziny tu się spotkamy, gdybym nie wrócił, jedźcie sami. – I zniknął w ciemnościach. Wolzow zbaraniał i popatrzył za nim bezradnie. – Czy ty wiesz, czego on szuka? Wody! Chodzi już jak głupi, bo nie ma co pić!

Wszędzie panował chaos. „Tu, sztab kierujący na front... Poczekajcie!” Jakiś sierżant wrzasnął na Wolzowa: „Dywizja przeciwpancerna? Nie gadajcie głupstw! To tylko na papierku!” Wreszcie powiedziano im: „Spróbujcie dostać się do Klein Nieritz, tam stoi sztab 17

dywizji pancerniej”.

Długo czekali na Burgkerta. Niestety na próżno. W końcu starszy strzelec powiedział: –

Jedziemy. Kto wie, kiedy on wróci! – Wolzow zaczął się zastanawiać. Gomulka również napierał na niego: – Tak jest, nie potrzebujemy go! Mamy indywidualne rozkazy wyjazdu! –

Wolzow jeszcze zwlekał, ale starszy strzelec zawołał: – No już! Na co czekać?

– Dywizja przeciwpancerna najwyraźniej wcale nie istnieje – powiedział w końcu Wolzow.

– Ale to jest zły znak! Jedźmy wobec tego! Nadeszła godzina, że każdy żołnierz musi walczyć w pojedynkę. – Holt wziął Gomulkę na bok. – Ten starszy strzelec... co to za jeden?

– Hutnik z Wuppertalu – odpowiedział Gomulka. – Do niedawna jeszcze uważano go za niezbędnego w kraju, bo był piecowym w hucie.

– Skąd ty go znasz?

– Po Bożym Narodzeniu spotykałem go od czasu do czasu w kantynie.

Wsiedli do samochodu. Starszy strzelec da! gazu. Klein Nieritz to była mała wioska. „17

dywizja pancerna?” Wszyscy kręcili przecząco głowa. Jakiś bliżej nie określony sztab jakiejś bliżej nie określonej jednostki, składający się z trzech sierżantów, kilku kierowców i tuzina roztrzęsionych oficerów, właśnie się rozwiązywał. Przed domem stały ciężarówki z zapalonymi silnikami. Wolzow zaczął pytać. Jeden odsyłał go do drugiego. Wreszcie wskazano im pokój, gdzie siedział jakiś major.

Major akurat telefonował, z twarzą czerwoną od krzyku. – Ale przecież mówię panu, między nami a Rosjanami nie ma już nic! Nie! Żadnego korpusu pancernego, tylko volkssturm! Nie!

Ten, kto to mówi, jest wariat! Nie! Żadnych wiadomości! Ostatnie wiadomości są już przestarzałe! Nie! W takim razie jest pan źle poinformowany! Korpus Nehringa przedziera się spod Kalisza w kierunku Odry! Nie! Rosjanie są już między nimi a Odrą! Nie! Jest pan źle poinformowany! Saucken jest wysunięty jeszcze dalej na wschód niż Nehring! Nie! Idą na Wrocław! Nie! Jeżeli do Odry w ogóle dojdą, to o wiele dalej na północ! Nie! Stąd aż po Opole jest dziura! Nie, Opole możemy stracić w każdej chwili! Nie! Nowa linia ma być utworzona na Odrze, Oława-Brzeg-Opole... Nie! Ja muszę stąd wyjeżdżać, natychmiast! Na chwilę przestał

mówić i tylko słuchał, lustrując jednocześnie Holta i Wolzowa wzrokiem. Potem krzyknął

w słuchawkę: – Co? Nie? Dobrze! Nie!

Koniec! – Rzucił słuchawkę na stół i wrzasnął: – Czego tu chcecie?

– Szukamy dywizji przeciwpancernej, panie majorze.– powiedział Wolzow. Major, nie panując nad sobą, ryknął: – Ale, na Boga, nie tutaj! Szukajcie jej sobie, gdzie chcecie, tylko nie tutaj! – Zatoczył ręką koło. – Tu jest las, lód, śnieg, bagna i Rosjanie! Niedługo tu będzie tyle Rosjan, ile tylko chcecie! – Krzyczał coraz głośniejsze: – Czy ja się dostałem między wariatów? Nie mam czasu! Wynoście się! Nie ma w ogóle żadnej dywizji przeciwpancernej, to jest lipa!

Wolzow uśmiechnął się i, dziwna rzecz – ten jego uśmiech wpłynął na majora uspokajająco.

Już ciszej, choć ciągle jeszcze rozdygotany, major zapytał: – Czego chcecie? Nie mam przecież czasu!

– Grupa przeciwpancerna, zmotoryzowana – powiedział Wolzow – dobrze uzbrojona, panie majorze, potrzebne nam jest tylko jakieś zadanie bojowe, mapy i trochę benzyny. Ale przynajmniej jakaś wskazówka, dokąd mamy jechać.

– Wariat! – zaczął krzyżeć major znowu. – Mapy? – Rozejrzył się naokoło. – Tu są mapy, proszę bardzo! I odczepcie się ode mnie z tymi mapami! – Rzucił Wolzowowi gruby plik pod nogi. – Benzyna? Na podwórzu jest benzyna! Jutro wezmą ją Rosjanie!

– A dokąd mamy jechać?

– Do domu wariatowi – krzyknął major i zaczął się obmacywać rozlatanymi rękami od szyi do pasa, od pasa do kołnierza. Potem ścisnął sobie obiema rękami skronie. – Jedźcie do Oławy albo do Brzegu, albo lepiej do Opola, zameldujcie się u majora Lindnera! Precz!

Na dworze Wolzow pokręcił głową. – Jako oficer sztabu mógłby się trochę mocniej trzymać w ryzach.

– Może być wesoło – powiedział Holt. Starszy strzelec wynosił właśnie z podwórza kanister benzyny. – Z powrotem do Wrocławia, może odnajdziemy Burgkerta! – rozkazał Wolzow i zaczął studiować mapę.

We Wrocławiu trafili na „punkt zaporowy”. Tu im powiedziano: „Pójdziecie do kompanii alarmowej!” Wolzow tak długo protestował, aż dopuszczono ich do jakiegoś podpułkownika. –

Sztab 17 dywizji pancерnej stoi w Klein Nieritz. Pokażcie no najpierw wasze dokumenty!

– W Klein Nieritz nie ma 17 dywizji pancерnej! Jakiś major odesłał nas do niejakiego majora Lindnera!

– Major Lindner? Ależ on jest przecież w Klein Nieritz! – I tak szło dalej. Jakiś kapitan o żółtej twarzy wątrobiarza i smętnych oczach powiedział umęczonym głosem: – Nie mam pojęcia, major Lindner stoi ze swoim sztabem w Oławie, jeżeli nie ma tam jeszcze Rosjan!

Musicie dostać się do grupy bojowej Bucherta! Pokażcie no swoje dokumenty! – Oni wszyscy powariowali, pomyślał Holt. – Z 26 batalionu zapasowego? Należycie w takim razie do 11

dywizji pancерnej! Ona też tu musi być gdzieś w okolicy!

– Nie, panie kapitanie.

– No to nie mam pojęcia – krzyknął kapitan. -: Radiotelegrafiści? Radiotelegrafiści wojsk pancерnych? Tu powstaje grupa bojowa. Zostaniecie tutaj. Czołgi jeszcze nie nadeszły! – Ale w następnym pokoju jakiś oficer, niewiele pytając, postawił im znużonym ruchem na dokumentach potrzebną pieczętkę. Mieli teraz wolną drogę na Górny Śląsk. – Musicie się spieszyć. Wszędzie wysadza się mosty!

Starszy strzelec zabijał z zimna ręce. Padał śnieg i szalała zawieja. Gomulka rozmawiał

z kilkoma starymi żołnierzami. Potem wyruszyli w drogę. Jechali zachodnim brzegiem w górę rzeki. Dość prędko dotarli do jakiegoś miasteczka. Zatrzymali się przed wielkim kompleksem budynków koszarowych. Wytaczano tu właśnie z hal parę stopięćdziesięciomilimetrowych dział

dalekonośnych. Dziedziniec koszarowy pełen był starych ludzi, którym wydawano tu mundury i broń i z których tworzone jednostki volkssturmu.

Wolzow rozpytywał o komendanta. Holt stał na ulicy i przyglądał się przeciągającym właśnie obok koszar tłumowi uciekinierów. Kobiety, całe białe od śniegu, dzieci poowijane w koce, sanie i wózki ręczne, bety, graty kuchenne, nędzny dobytek ubogich, starcy kuśtykający o kiju, w obszarpanych łąkach, staruszki w chustkach, straszny pochód nędzy i rozpacz. Holt przypomniał sobie zagłodzonych jeńców z baterii. Teraz przyszło to na nas. Śnieg padał coraz mocniej i pokrywał wszystko.

Wrócił Wolzow. – Mam zadanie bojowe! Jazda, spływamy stąd! – Po drodze powiedział

im, o co chodzi. Na wschodnim brzegu Odry stoi zgrupowanie volkssturmu. Czy są tam jakieś zdolne jeszcze do walki resztki wojsk z rozbitego frontu, nikt mu tu „niestety nie mógł

powiedzieć. – Mamy wzmocnić obsadę zapory przeciwczołgowej. Zadanie: zatrzymać czołgi, jak długo się tylko da, dopóki nie zostanie tu utworzona nowa linia. Wojsko już nadciąga.

Droga prowadziła na most. Brzeg opadał stromo ku wodzie. Żołnierze ciągnęli stopięćdziesięciomilimetrowe działo dalekonośne na stanowisko ogniowe za wałem. – Z 64

pułku artylerii, który tu stacjonuje opowiadał Wolzow – prawie nic nie zostało.

Dowódca, jakiś stary jak świat major, jest komendantem obrony... Co za idiotyzm stawiać tu stopięćdziesięciomilimetrowe działa! – denerwował się. – Takie armaty powinny stać pięć kilometrów za frontem! – Samochód wjechał wolno na most. – Ten komendant szkolił tu rekrutów. Od czasów Verdun, powiedział do mnie zupełnie bezradny, nigdy więcej frontu nie widział. Jakieś wybirki z ostatniej rezerwy, parę kompanii alarmowych z Oleśniczki i oddział

volkssturmu to całe jego wojsko.

Odra, ta potężna rzeka, była po obu brzegach zamarznięta. Środkiem woda niosła krę, która przy tamach piętrzyła się, sięgając gładkich, pokrytych śniegiem brzegów. Woda między płynącą krą była szaro-czarna i tłusta.

Na moście spotkali znowu grupy uciekinierów, dalej, na szosie, również. Wolzow co chwila kazał się zatrzymać. – Gdzie jest Rusek? – Wskazywano rękoma na wschód. – Podobno są już w Namysłowie.

– A wojsko tam jest?

– Tylko volkssturm.

– Jedziemy dalej, Horbeck!

Szosa przed nimi była pusta i wolna, ale pokryta zaspami śniegu. Samochód z trudem przebijał się naprzód. Jakaś wieś, bezludna, opuszczona. W oborach ryczało bydło. – Tu by można było zabrać – świnie! – zawołał Vetter. Wolzow studiował mapę. – Na ten most czołgi na pewno uderzą! – Mówił tak, jakby prowadził rozgrywkę z podporucznikiem Wehnertem na piaskownicy. – Z Kluczborka przez Namysłów... Nie ma żadnych wiadomości, żadnego rozpoznania lotniczego, nic! Pod Opolem

podobno już przeszli Odrę. W każdym razie nie mam najmniejszej ochoty dostać się pod komendę volkssturmu.

– Zupełnie słusznie! – zawołał starszy strzelec. – Działajmy najlepiej na własną rękę!

– Ja też jestem za tym – powiedział Gomulka. Holt zapytał: – A jak my się przedostaniemy z powrotem przez Odrę, skoro wysadzają mosty?

– To nam teraz powinno być zupełnie obojętnie! – wybuchnął Wolzow. – Jedź dalej, Horbeck! Jedź ostrożnie! – Spojrzał w niebo. – Śnieg już nie pada. To mi śmierdzi samolotami nurkującymi.

– Ja myślę, że oni już nie mają lotnictwa – powiedział Vetter. – Czego oni nie mają? –

zawołał starszy strzelec, odwracając w tył głowę. – Człowieku, mają takie maszyny szturmowe, że jeszcze ogłuchniesz i oślepniesz!

Szosa prowadziła teraz przez las mieszany. Gałęzie i pnie pokryte były skrzącymi się kryształkami śniegu. Tu i ówdzie błyskały między potężnymi pniami białe tafle zamarzniętych bagien. Gdzieś daleko huczała kanonada. Horbeck zatrzymał wóz. Wolzow przez chwilę nasłuchiwał. – To daleko stąd! Może z jakieś pięćdziesiąt kilometrów. Co nas to obchodzi!

Jedziemy dalej! – Las po obydwu stronach drogi uciekał do tyłu. Zaśnieżone, bagniste łąki, na horyzoncie ciemna wstęga lasu, która bardzo szybko się do nich zbliżała. Potem droga wpadała w gęsty las i skręcała ostro na prawo. Jakies sześćdziesiąt metrów przed zakrętem znajdowała się zaporą przeciwczołgowa. Wysiedli.

– To całkiem dobrze pomyślane – powiedział Wolzow. – Czołg wyjeżdża z lasu i spostrzega zaporę dopiero wtedy, gdy jest już przed nią. – Między zaporą a lasem ciągnęły się po obydwu stronach drogi wąskie pasemka łąk: łąka na lewo była bagnista i pokryta lodem. Kilku volkssturmistów stało bez ruchu na środku drogi.

Starszy strzelec skręcił na łąkę po prawej stronie, objechał zaporę i zatrzymał samochód w zaroślach na skraju lasu. Holt, z pistoletem maszynowym na szyi, poszedł za Wolzowem. –

Kto tu dowodzi? – Na skraju lasu Holt zobaczył szopę, jaką zwykle buduje się w lesie dla robotników leśnych. Z drzwi szopy wyszła postać, na której widok Wolzow uśmiechnął się, a Vetter wybuchnął głośnym śmiechem.

Wyszedł do nich mały i gruby człowiek około pięćdziesiątki. Miał na sobie żółty, koloru pigwy, mundur, na rękawie opaskę ze swastyką, na rękach wzorzyste norweskie rękawice, a na głowie czapkę polową. Ponieważ był bez płaszcza, trząsał się z zimna. Uszy mu trochę odstawały i były prawie białe. Jego twarz była czerwonosina od mrozu. Z oczu leciały mu łzy. Z zimna. Na ręce kołysał mu się hełm.

– No co? – powiedział Wolzow.

Człowieczyna nie wiedział, co sądzić o Wolzowie. Białe płaszcze maskujące nie miały dystynkcji. W

końcu zdecydował się podnieść rękę. – Heil Hitler! Blokowy Kühl z dwunastoma volkssturmistami na straży przy zaporze!

Vetter ryknął śmiechem. – Kühl!* [*Kühl – chłodny.] – zawołał. – Człowieku, powinniście się nazywać blokowy Kalt,* [*Kalt – zimny.] a raczej Eiskalt!* [*Eiskalt – lodowaty.] – Wolzow pokręcił głową. – Co wy tu robicie? Czy jesteście może tym „zgrupowaniem” volkssturmu?

Blokowy wędrował wzrokiem od jednego do drugiego, oburzony drwiną Vettera, a przy tym bezbronny. – Jesteśmy strażą tylną jednostki volkssturmu, która dziś rano została stąd wycofana.

Mamy rozkaz zatrzymywać czołgi. – Wolzow zmierzył blokowego wzrokiem od stóp do głów, potem spojrzenie jego prześliznęło się po volkssturmistach, postaciach w niebieskoszarych płaszczach, uzbrojonych w długie karabiny 98 i pancerfausty. Pokręcił na to wszystko głową. –

Kühl, człowieku! Was tu przecież rozniosą! – Blokowy, drżąc na całym ciele, powiedział: –

W tej decydującej godzinie nie chodzi o jednostkę! Dlatego będziemy...

– Uciekać – powiedział Wolzow. – Natychmiast stąd uciekać! Niech was wepchną gdzieś na linię Odry, tam gdzie decyduje masa. Tu wszystko zależy od jednostki! Jazda, daję wam rozkaz, wycofujcie się za linię Odry.

– Rozkaz? – Blokowy, Holt widział to całkiem wyraźnie, zawahał się między nieufnością a nadzieją. – Kim pan jest?

– Podporucznik Wolzow – powiedział Wolzow, nie mrugnawszy nawet okiem – z dywizji przeciwpancer... – Urwał w pół słowa, podniósł głowę i przejechał ręką pod kominiarką, aby lepiej słyszeć. – W nogi! – krzyknął i wielkimi susami skoczył do lasu. Holt rzucił się obok Vettera w zarośla, ale dwunastu volkssturmistów i blokowy stali jeszcze przestraszeni na szosie, gdy nad drzewami śmignął samolot, wyrwał w górę, zawrócił i znurkował pionowo nad szosą, niemiłosiernie prażąc ogniem. Druga maszyna przemknęła wzdłuż szosy, zapora przeciwczołgowa i volkssturmiści zniknęli w obłoku dymu i ognia, pociski grzechotały po asfalcie. Oba samoloty pomknęły w kierunku Odry.

Holt wybiegł na szosę. Volkssturmiści stali jak porażeni nad pierwszym poległym. Blokowy był mokry od potu i drżał. Gdzieś daleko grzmiała artyleria. Wolzow napadł na blokowego: –

Może teraz mi nareszcie uwierzysz! Zjeżdżajcie stąd! – A gdy blokowy ciągle jeszcze bezradnie spoglądał to na jednego, to na drugiego, wysunął się naprzód starszy strzelec. – Chcesz ich rzeczywiście odesłać na tyły?

– Czy masz coś przeciwko temu?

– Ja? Coś przeciwko temu? Broń Boże! – Starszy strzelec mrugnął szelmowsko okiem. –

Tylko mówiło się, że masz zamiar walczyć tu jak lew...

– Dlatego właśnie chcę się pozbyć tej zbieraniny! To mi psuje przecież tylko plany!

– W porządku! – Starszy strzelec wsadził dwa palce w usta i gwizdnął przeraźliwie. Potem wrzasnął:

– Bacność! Rób zbiórkę, człowieku!

– Gwiżdże pierwszorzędnie – powiedział Vetter. Blokowy ustawił volkssturmistów w szeregu. –

Pancerfausty zostaną tutaj! – zawołał Wolzow. -: Odmeldowuję się – powiedział

blokowy wyprężony na bacność, ale nogi mu drżały. – Heil Hitler! W prawo zwrot... naprzód marsz!

– Patrzyli za nimi, jak ze spuszczoneymi głowami odchodzą w mgłę.

Wolzow oglądał zaporę. – Czy ten cały gips ma w ogóle sens? – zapytał Holt z powątpiewaniem w

głosie. Asfalt był zerwany. W podkład szosy wbite były w poprzek dwa rzędy grubych pni.

Przestrzeń między nimi wypełniało usypisko z kamieni i ziemi. Ziemia ta pochodziła z małego stanowiska znajdującego się na skraju lasu, z okopów i rowów strzeleckich.

– W każdym razie czołgi muszą się tu zatrzymać – oświadczył Wolzow zamyślony. –

T-34/35 robi na szosie pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, w tym tempie walisz na oślep. Przed tą zaporą muszą zjechać z szosy w prawo na łąkę. Na lewo się nie da bo tam jest bagno.

– Ta cała zaporę jest już niewiele warta – stwierdził Holt. – Bomba strzaskała i powywracała pnie!

– Mam pomysł! – Wolzow zaczął odmierzać krokami przestrzeń pomiędzy zaporą a skrajem lasu –

Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów, dobra! Pojadą na pewno w odstępie pięćdziesięciu metrów od

siebie. Przyjmijmy, że pierwszy czołg podjedzie do zapory i zatrzyma się. Tego rozwalimy. Potem

wyjeżdża z lasu drugi. Tego też rozwalimy. Teraz najwyżej tylko dla trzeciego czołgu wystarczy

miejsca, kapujesz? Reszta siedzi w lesie, jechać przez niego nie mogą, bo drzewa są na to o wiele za

grube. Rozwalimy więc pierwsze trzy czołgi, potem wyjazd z lasu będzie zakorkowany i będziemy

możli rozwalać je po kolei z zarośli. Potem możemy pozwolić podejść całej kompanii, taki taktyk jak

ja da sobie z nimi radę!

– Hm – chrząknął Holt. Ten rachunek wydawał mu się zbyt optymistyczny. – Najtrudniej jest

zniszczyć pierwszy czołg – klarował mu Wolzow dalej – z przyczyn psychologicznych!

Przed pierwszym ma się pietra, ale gdy już hukną strzały i jeden wyleci w powietrze, wtedy to już

lepiej wygląda. Muszę wymyślić jakiś trik, żeby ten pierwszy wykończyć. Po prostu dopuścimy go do

zapory, niech spróbuje ją sforsować, a ja się położę tu z drugiej strony i wysadzę zaporę razem z

czołgiem w powietrze... – Jeszcze raz zaczął oglądać pnie. – Jazda!

Z obydwu stron wygarniemy do niej z pancerfaustów, żeby ziemia osiadła... – I już klęczał

w przydrożnym rowie z pancerfaustem w garści; reszta wlaźła w zarośla. Otworzyć usta! Rozległ

się straszny huk, w powietrzu zawirowały drzazgi i ziemia, rozszedł się dym. Przez szeroką wyrwę

ziemia osypała się na szosę. – Jeszcze raz z drugiej strony! – rozkazał Wolzow. Holt strzelił, z

przysypanego śniegiem stanowiska na skraju lasu, na próbę. Wolzow, zadowolony, przyglądał się

spustoszeniu. – Teraz pierwszy czołg bez namysłu wjedzie na tę kupę ziemi! Holt wzdrygnął się. Powietrzem wstrząsnęła jakaś daleka, potężna detonacja, trwająca kilka sekund i pobrzmiwająca długo echem. Wolzow szpetnie zaklął. – Ci idioci usłyszeli huk i wysadzili most! – Holt krzyknął: – I jak my się teraz przedostaniemy z powrotem?

– Już jakoś damy sobie radę – powiedział Wolzow. – Na razie nie ma się co tym martwić.

Odkręcili głowice kumulatywne od pancerfaustów, które zostawili im volkssturmiści, i poukładali je łącznie ze splotkami detonującymi na zburzonej zaporze. – Granaty ręczne! –

rozkazał Wolzow. Holt pobiegł do auta.

Zastał przy nim starszego strzelca, który stał beczynnym i palił papierosa. Vetter kopał na skraju lasu, przedłużał rów strzelecki aż do zarośli. – Mógłbyś mi pomóc! – powiedział Holt. –

Ślepa gorliwość jest tylko szkodliwa – zakpił starszy strzelec. Potem nagle spoważniał. – Słuchaj no, Holt. Czy ty tu rzeczywiście chcesz... – Wskazał głową w stronę zapory przeciwczołgowej i mrugnął porozumiewawczo.

Holt popatrzył na niego zdumiony. – Co to ma... Starszy strzelec jakoś dziwnie mu się przyglądał. – No nic – powiedział. Potem klepnął Holta w ramię. – Nie bierz mi tego za złe.

Holt poszedł z granatami do Wolzowa. Co się z nim dzieje? myślał po drodze. To przecież...

wszystko i maska! Przypomniawszy sobie urywki rozmowy, którą słyszał w nocy i która teraz zaczynała nabierać jakiegoś podwójnego sensu... On jest w gruncie rzeczy zupełnie inny!

Wolzow położył granaty na pancerfaustach i z odchyłoną na bok głową zaczął się przyglądać swojemu dziełu. – To rozwali całą zaporę w drobny mak! Nie chciałbym siedzieć w tym pierwszym czołgu! – Spojrzał w niebo. – Znowu pada śnieg, to najlepszy środek maskujący. –

Wziął Holta pod ramię. – Ja Rosjanom pokażę, co może zdziałać wyższa taktyka! Jestem w lepszej sytuacji i wykorzystuję to! Moment zaskoczenia będzie działał na moją korzyść! W ten śmiały sposób, jaki tu sobie zaplanowałem, zatrzymamy całą kompanię! Moltke nazwałby to wszystko genialnym wybiegiem! – Holt zdjął hełm, ściągnął kominiarkę i przejechał ręką po mokrych włosach. Ale Wolzow zaraził go swoim entuzjazmem. Przypomniało mu się to, co czytał ostatnio w gazecie. Rosjanie są podobno o wiele gorszymi żołnierzami, myślał, zwłaszcza załogi czołgów mają być nic niewarte... Odwiązał łopatkę saperską od pasa i zaczął pomagać Wolzowowi kopać okop po drugiej stronie zapory. Dzień miał się już ku końcowi. – Stąd wygarnę z pancerfausta, jak pierwszy czołg wpęźnie na zaporę! – powiedział Wolzow.

Zmierzchało się. – Vetter! Pójdiesz z kaemem na drugą stronę i zajmiesz stanowisko na skraju lasu.

– Samochód niech zostanie tam, gdzie stoi – powiedział starszy strzelec. – Zabiorę go stamtąd w czasie nocnej zmiany. – Vetter został na dworze na warcie.

W szopie mały piecyk żelazny wydzieliał przyjemne ciepło. Pod ścianami z desek stały drewniane

ławki. Przez szpary dmuchał wiatr ze śniegiem.

Wolzow siedział przy piecu. Holt oparł się plecami o ścianę i próbował spać na siedząco.

Starszy strzelec zaszył się w najdalszy kąt. Światło kaganka rzucało migotliwe cienie. Wolzow topił śnieg i gotował miętową herbatę. Gomulka nagle powiedział: – Wolzow... Wy tłumacz mi teraz jeszcze raz dokładnie, dlaczego odesłałeś volkssturm?

– Dlatego, że ci ludzie to żadna siła bojowa – odpowiedział Wolzow. – Nie walczę w tak skomplikowanej sytuacji razem z ludźmi, którzy właściwie wcale nie chcą walczyć i robią to tylko z musu. Żaden z nich pożytek, na takich ludziach nie można polegać!

Gomulka wstał i przeszedł się parę razy po małym baraku tam i z powrotem, z pistoletem maszynowym pod pachą. Potem stanął przy wejściu, opierając się o futrynę drzwi. – Nie walczysz z ludźmi... którzy robią to tylko z musu i... właściwie wcale nie chcą walczyć –

powtórzył, zacinając się.

Holt otworzył oczy. Gomulka oparł empi na biodrze, broń była odbezpieczona. Palec spoczywał na spuście. Lufa godziła w Wolzowa. Twarz Gomulki była biała jak kreda.

Co to... co to się dzieje? pomyślał Holt.

– Czy odnosi się to tylko do volkssturmu – usłyszał słowa Gomulki – czy również do innych?

Wolzow podniósł oczy, popatrzył przeciągle na Gomulkę, a potem zapytał: – Czy dobrze cię rozumiem, Sepp?

– Tak – odparł Gomulka. – Myślę, że teraz mnie dobrze rozumiałeś... Siedź spokojnie, Wolzow! – krzyknął, gdy Wolzow się poruszył, i dodał: – Mam ci coś niecoś do powiedzenia!

Starszy strzelec w swoim kącie, na który padał tylko blady odbłask kaganka, pochylił się do przodu.. Spoglądał to na Gomulkę, to na Wolzowa, a potem obrzucił badawczym spojrzeniem Holta. Holt siedział bez ruchu na drewnianej ławie, zafascynowany rozgrywającą się przed jego oczyma sceną, której nie pojmował, czy też nie chciał pojąć.

– Ja się... ja się z *jednego* powodu zgłosiłem tu na ochotnika – mówił Gomulka, tracąc dech z podniecenia. – Ja już nie chcę więcej walczyć. A zatem, przechodzę do Rosjan!

Na długą chwilę zapadła cisza. Wreszcie Wolzow powiedział: – Składałeś przysięgę, Sepp!

– *Musiąłem* ją złożyć – wykrzyknął Gomulka – wymuszono ją na mnie!

– Jesteś ochotnikiem – powiedział Wolzow. – Ochotnik nie może powiedzieć, że przysięgę na nim wymuszono.

Gomulka tak nerwowo łapał oddech, że widać było, jak jego ramiona podnoszą się i opadają.

– Wszystko jedno! To złamię przysięgę!

– Draniem jest ten, kto opuszcza swego wodza w potrzebie! – odparł Wolzow zimnym, wrogim głosem.

Ale Gomulka krzyknął na mego tak, że aż blizna na twarzy mu nabrzmiała:

– Wodza... To nie jest mój wódz! To nie moja wojna! Ty nazywasz Hitlera swoim wodzem i dotrzymujesz mu przysięgi... Ja go nazywani *zbrodniarzem*... obłąkanym mordercą! Ja wymawiam posłuszeństwo!... Walczyłem w artylerii przeciwlotniczej, wierzyłem, że to za Niemcy... Nie chciałem słyszeć ani widzieć, jak spycha Niemcy w przepaść... i jak przez niego stajemy się zbrodniarzami! Ale potem rozjaśniło mi się we łbie! I teraz zrywam z tym!

W ciszy, jaka po tych słowach nastąpiła, podniósł się w swym kącie starszy strzelec, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

– Ja stałem wtedy na podwórzu – krzyczał zapalczywie Gomulka – i gdyby mi Böhm dał

rozkaz, to zabiłbym tego dozorcę, choć on miał rację, kiedy strzelał, bo temu bydlakowi Schulzemu się to należało... Jak nic mogłem stać się tam mordercą. Ale ja mu nie pozwolę zrobić z siebie mordercy! Zanim znowu dojdzie do czegoś takiego, pójdę sobie! Tak jest... pójdę!

Milczenie.

– A ty – ciągnął dalej już spokojnie Gomulka – ty nie możesz powiedzieć, że chcę czegoś złego, prócz tego, że złamię przysięgę! Ale przysięga złożona tej bandzie nie obowiązuje! –

I teraz krzyczał już, rzucając swoje oskarżenie Wolzowowi w twarz. – Ty nie masz prawa się temu sprzeciwić, Wolzow, najmniejszego nawet prawa! Bo ty wiesz wszystko! Przypomnij sobie tylko tamten tartak! Ty wiesz o wiele więcej, niż się do tego przyznajesz! Tyś nam nigdy prawdy nie powiedział, gdy ci to nie pasowało do kramu! Ty chcesz nas zniszczyć, Wolzow, aby tylko móc bawić się w wojnę! I że jest ona jednym wielkim paskudztwem, ta cała walka, ty wiesz najlepiej! Ty wiesz wszystko! Ty znasz rozkaz o komisarzach, przez który już twój ojciec... stał

się zbrodniarzem, tak jest, zbrodniarzem! Ty znasz dyrektywę w sprawie akcji „Noc i mgła”, ty wiesz, jak wygląda „rozwiązanie kwestii żydowskiej”, ty wiesz, co to jest Oświęcim, tyś widział

na własne oczy tych siepaczy, wtedy w gestapo w Essen! Ty w ogóle wszystko wiesz! Bo o tym wszystkim jest mowa w pamiętnikach twojego ojca! Twoja matka opowiadała o tym wielu ludziom, i ty wiesz także to, że twój ojciec tysiącokrotnie splamił i zhańbił swój honor oficerski!

Światło kaganka migotało jeszcze słabiej niż przedtem na twarzy Wolzowa, która była teraz biała jak ta pobielona wapnem ściana baraku. Ale Gomulka jeszcze nie umilkł. To, co się w nim raz zerwało, domagało się wypowiedzi: – Takiemu Führerowi nie jestem zobowiązany dotrzymać wierności! Nie przyłożę już do tego wszystkiego ręki! A teraz daj mi słowo, Wolzow, że pozwolisz mi odejść!

Wolzow wstał i położył prawą rękę na futerale pistoletu. Jednym zdecydowanym ruchem obrócił się

twarzą do Gomulki. Lufa empi wymierzona była w jego pierś. – Nie tak – powiedział

groźnie. Patrzył ponuro na Gomulkę. – Odłóż empi! Liczę do trzech.

– A potem? Co potem? – krzyknął Gomulka.

– Potem cię zabiję... Raz...

– Ja strzelam! – ryknął Gomulka, nie panując już nad sobą. – Zanim oddam choć jeden strzał

do Rosjan, wpierw zastrzelę cię, przysięgam! Ty wiesz, że całe Niemcy wyglądają jak tamten tartak, Wolzow, i chcesz bić się dalej, żeby ta ohyda nie wyszła na jaw...

– Dwa... – liczył Wolzow, zrobił krok w stronę Gomulki i sprężył się do skoku.

– Wolzow! – krzyknął Gomulka, i już ręka na spuście kurczowo się zacisnęła. Holt rzucił się między nich. Pojmował tylko jedno: Sepp będzie strzelał! – Czyście oszaleli?! Precz z tym pistoletem! Gilbert... cofnij się! Zanim zaczniecie do siebie strzelać... – Nie wiedział, co robi, wyrwał granat zza pasa i już trzymał zawleczkę w garści. – Odbezpieczam!

Gomulka opuścił chcąc nie chcąc lufę empi nieco w dół i powiedział przy tym: – Odchodzę!

Nikt mnie już nie zatrzyma! I nie dam się zastrzelić przez Wolzowa!

– Gilbert! – zawołał Holt. – Po raz... drugi w życiu przypominam ci... że przysiągłeś mi...

– Ja go zabiję, tego drania, tego zdrajcę – syknął Wolzow nienawistnie. Broń, która ciągle jeszcze była w niego wymierzona, podniecała go coraz bardziej. Holt krzyknął: – Sepp! Zabierz to empi! – Gomulka zawahał się, ale w końcu go posłuchał. – Gilbert... siadaj tam... – Wolzow wreszcie usiadł, z wściekłością w oczach. Holt odetchnął. Gdy się odwrócił, zobaczył, jak starszy strzelec w kącie odstawia karabin.

– Czy pozwolisz mu odejść? – zapytał Holt. Wolzow milczał i bez słowa wrzucił parę drew do pieca. Gomulka zawiesił sobie empi na szyi.

Dopiero teraz Holt pojął całą doniosłość tego, co Gomulka zamierzał uczynić. – Rosjanie! –

zawołał. – Oni cię zabiją! Oni zabijają przecież wszystkich!

W tym momencie starszy strzelec w kącie krzyknął: – Przestań! Przestań z tym całym cygaństwem! Ja już się tego dosyć nałykałem!... Tak... w walce wręcz, jakby ci to nagle przyszło do głowy, to byłoby już o wiele za późno, o wiele za późno. Ale nie w takim wypadku, jak przyjdziemy do nich całkiem spokojnie, z samochodem, no i ja znam parę rosyjskich słów...!

Czy ty masz pojęcie, jak oni się tam ucieszą!

Wszyscy patrzyli na starszego strzelca. Gomulka zapytał zdumiony: – Przyjdziemy?

– Tak... co ty sobie o mnie właściwie myślisz? Jak sadzisz, dlaczego *ja* się dobrowolnie zgłosiłem?!
– Żeby niszczyć czołgi! Nie! U mnie jest strajk generalny, mój kochany, a nie wojna! Wojna dla mnie to czysty nonsens!

Holt patrzył na starszego strzelca i na Gomulkę. Coś się przed nim zarysowywało, jeszcze gdzieś bardzo daleko, coś jakby droga... I teraz właśnie Gomulka powiedział: – Werner... –

I powiedział jeszcze: – Chodź z nami! – Tylko te trzy słowa.

Wtem Wolzow podniósł głowę i spojrzał na Holta.

Holt milczał.

Starszy strzelec zawołał: – Nie zastanawiaj się tak długo, chodź!

– Nie mogę! – wykrzyknął Holt. W ułamku sekundy przemknęły mu przez myśl wszystkie wbijane mu do głowy pojęcia: ojczyzna, wierność, honor, obowiązek. – Ja nie mogę iść do Rosjan! Jestem przecież Niemcem!

– Chłopcze! – zawołał starszy strzelec. – Skończ z tymi frazesami! Zbyt długo już nimi szafowano, żeby napuszczać robotników wzajemnie na siebie. Zrozum wreszcie, kto jest naszym śmiertelnym wrogiem!... Sprawa nie stoi tak: Rosjanie i Niemcy, ale ciągle jeszcze tak: burżuje i proletariusze! Czy jesteś fabrykantem? Czy się nazywasz Krupp? No więc! Na co czekasz?

– Burżuje i proletariusze... – powiedział Holt – na co mi to?! Go ja mam z tym pocać!

Wszyscy jesteśmy Niemcami!

– Twoja Gundel również! – powiedział Gomulka. Holt spuścił głowę.

Ciemność zalegająca małą szopę rozstała mu się nagle przed oczyma jak zasłona. Była tylko olśniewająca jasność, i ta jasność oślepiła go, prześwieciła słońcem widok, błękitne niebo nad rozfalowanym zbożem. I był głos Gundel: Mnie już też oplwali, teraz już wiesz, wszyscy byli lepsi niż ja, i wołali na mnie: ścierwo.

Potem znowu nastąpiła ciemność, którą rozpraszał jedynie migotliwy płomyk kaganka.

Gundel, Niemcy, tacy i tacy, Niemcy plwają na Niemców, jedni drżą przed końcem wojny, drudzy czekają na jej koniec. Do których ja należę?

– Gilbert! – wykrzyknął Holt. – No powiedz wreszcie, coś!

Wolzow wstał. Wsadził hełm na głowę i zaciągnął tak mocno rzemień, że aż werznął mu się w ciało. – Idę zmienić Vettera. A ty, Werner? Kto jest jeszcze mężczyzną, ten walczy!

– I za co? – krzyknął starszy strzelec, pochylony do przodu, i w jego oczach zabłysła nienawiść, taka, jaką Holt widział tylko raz w życiu, wtedy, w szopie, kiedy tamta młoda Słowaczka podniosła w

górze siekierę, i to wspomnienie pograżyło go w jeszcze większej rozpacz.

– Za kogo? Za Kruppa, za IG i za tych wszystkich krwiopijców, żeby ta faszystowska banda mogła sobie jeszcze trochę pożyć i gnębić dalej narody! O to walczysz!

Wolzow popukał się pod hełmem palcem w czoło. Ja ci powiem, o co! Pojąć tego, ty plebejskie nasienie, i tak nie pojmiesz! – Wolzow podszedł do drzwi. – O mój honor żołnierski!

– I zatrzaskał za sobą drzwi.

Starszy strzelec skoczył na równe nogi i wskazał palcem na drzwi. – Oto ich masz! Tacy oni są, ci bandyci, ci szaleńcy, ta banda generalska i junkierska zgraja! Oni są tak samo groźni, jak nacyści! A nawet jeszcze bardziej! Nacyści przeminą, pójdą na śmietnik, i to już niedługo, bo okazali się nieżyłowi, tak jest, okazali się poronionymi wodzami... precz z nimi! Ale ta banda militarystów, ta jest twarda, ta nie chce wymrzeć, ta żyje dalej, podżega dalej, morduje dalej!

– Przestań wreszcie! – powiedział Holt. Spojrzał na Gomulkę i raz jeszcze usłyszał, jak Gomulka mówi: – Chodź z nami, Werner!

Holt wstał. Oby już się to wszystko raz skończyło!

Przyciągnął mocniej ramię do hełmu i sięgnął po empi. – Nie mogę.. – Werner! Zbudź się!

Dopóki nie jest jeszcze za późno!

Holt, patrząc w ścianę, odparł: – Nie mogę. Kiedyś wierzyłem we wszystko, bo o niczym nie wiedziałem. Teraz, kiedy wszystko wiem, kiedy wiem, że wszystko było źle i na próżno, i wszystko zupełnie inaczej, nie potrafię już w nic wierzyć. Być może zginę, być może skończę jako... zbrodniarz, ale to już obojętne. Do jednego tylko nigdy nie może dojść: żebym się kiedyś obudził i musiał stwierdzić... że zdradziłem Niemcy w najcięższej dla nich chwili.

– Niemcy? – wykrzyknął starszy strzelec. Podszedł do Holta i złapał go za ramię. – Ty mnie nie zmuszaj, żebym wypowiedział to słowo. W najcięższej chwili dla Hitlera, chciałeś powiedzieć, tak jest... Ale to dla Niemiec będzie najpiękniejsza chwila! – Popchnął go do drzwi.

– Odwal się, synku burżujski!

Holt jak automat wyszedł na dwór.

Zawierucha już ustała. Świeży śnieg, głęboki aż po kolana, leżał na szosie białymi zaspami, nad, którymi ciągle jeszcze gwizdał lodowaty wiatr. Niebo było jasne i gwiazdziste, Vetter i Wolzow stali na skraju lasu, gdzie wiatr gubił się wśród drzew. Wolzow powiedział: – No więc, Werner! Byłem tego pewien!

– Bądź cicho! – powiedział Holt. I naciągnął biały kaptur na hełm. Vetter zawołał: – Ten Sepp chyba zwariował! Kiedy wcale nie jest jeszcze takie pewne, że wojnę przegramy! Jeszcze przyjdzie ta nowa broń i zwyciężymy! No a wtedy Seppa za dupę!

– Milcz! – krzyknął Holt. Wolzow zaczął objaśniać zadanie: – Christian, ty będziesz ubezpieczał kaemem skraj lasu, nie pozwolisz wysiąść z czołgu ani jednemu, to jest twoje główne zadanie! Ja będę leżał za zaporą. Ty, Werner, pójdziesz na skraj lasu, przycupniesz w okopie i będziesz strzelał do następnego, skoro tylko wyjdzie z lasu, – Holt bez słowa skinął

posłusznie głową.

Nad lasami wschodził sierp księżyca. Śnieg połyskiwał biało, upiornie. Świat był jakby za mgłą.

Gomulka i starszy strzelec wyszli z baraku. Holt podszedł do nich. Wolzow stał na drodze.

Wiatr cichł. Gomulka wyciągnął z kieszeni małą fotografię matki. – Odeślij to mojemu ojcu, Werner. Możesz napisać, żeś mi ją zwędził, on i tak będzie wiedział, o co chodzi, jeżeli odedrę ten górny róg.

– Ale teraz już w drogę! – naglił starszy strzelec. – Jazda, oderwać się, zanim władza ponownie eksploduje... to znaczy zanim ten szaleniec znowu zacznie się bawić w wojnę. –

Przywiązał kawałek prześcieradła do gałęzi i zaczął zapuszczać motor.

– Bywaj zdrow, Werner! – powiedział Gomulka. Holt przyskoczył do Wolzowa. Wolzow trzymał w ręku odbezpieczone empi i twarz miał szpetnie wykrzywioną. Holt stanął tuż przed nim i stał tak długo, dopóki samochód warkoczący za jego plecami nie odjechał zaśnieżoną szosą.

Wolzow powiedział ponuro: – To już ostatni raz dałem się nabrać na to słowo, żebyś wiedział! Moja przysięga żołnierska jest ważniejsza od tamtego dzieciennego przyrzeczenia. Od tej chwili każdy zdrajca będzie rozstrzeliwany, nawet gdyby to miał być mój rodzony brat! –

Wolzow i Vetter odeszli do baraku. Holt pozostał na skraju lasu, tam gdzie stał. Nie było w nim już żadnej myśli ani nadziei, była tylko pustka.

Było około szóstej nad ranem, gdy Holta zaniepokoił jakiś dźwięk. Zaczął nasłuchiwać.

Krew w uszach tak mu szumiała, że przez dłuższy czas nic nie słyszał. Potem znowu się to odezwało, daleki cichy zgrzyt gąsienic, któremu towarzyszył ledwo uchwytny, niewyraźny warkot. Czołgi!

Holt rzucił się z krzykiem do baraku. Wolzow i Vetter zerwali się na równe nogi, zarzucili ekwipunek na plecy, maska przeciwgazowa, pas, gotowe! – Christian... do kaemu! – Vetter gnał

już przez łąkę.

– Cicho! – Zgrzyt gąsienic zbliżał się coraz bardziej. Trudno było się zorientować, w którym kierunku czołgi jadą, zgrzytało na wschodzie, zgrzytało na południu, coraz głośniejsze i głośniejsze.

Potem słyhać było na północy i na południowym wschodzie miarowy dźwięk chyba z godzinę, i dźwięk ten się nie zbliżał.

– Ależ musi ich być dużo! – powiedział Holt. Wolzow odparł: – Na nas jednak nie idą, bo już dawno musieliby tu być, wałą prawdopodobnie od południa na Brzeg, a od północy na Oleśniczkę, przez Namysłów... Tędy chyba przejeżdżać będzie tylko parę w pojedynkę.

Pojawiły się, gdy nad lasami wschodził blady świt: trzynaście czołgów T-34, a tuż za nimi jakiś tuzin transporterów opancerzonych z piechotą. Spadło to na trzech chłopców z takim impetem jak klęska żywiołowa. I trwało tylko minutę.

Nagle zgrzyt gaśienic i warkot silników przybrał na sile i zaczął się bardzo szybko zbliżać.

Holt wśliznął się do okopu, Wolzow zniknął za zaporą. Pierwszy czołg, w fali ogłuszającego hałasu, wypadł z lasu, zobaczył zburzoną barykadę i ostro przyhamował. Potem dodał gazu i z przeraźliwym warkotem wziął przeszkodę. Holt jak zahipnotyzowany patrzył na stalowego potwora, wspinającego się na zaporę... nagle oślepiła go przeraźliwie biała błyskawica światła i równocześnie dostał jakby obuchem w głowę – to fala powietrza rzuciła go na dno okopu.

Detonacja była straszliwa, jak orkan buchnęła w las, parę drzew zważyło się z głuchym jękiem na ziemię... Świszczący podmuch poderwał w niebo dym i śnieg i rozpędził siną chmurę. Zapora była zmieciona z szosy. W płytkim leju leżał przewrócony na bok dymiący czołg. Wolzow, chwając się na nogach, skoczył na łąkę. W tym samym momencie wytoczył się z lasu drugi czołg i Wolzow zaklął. Czołg obrócił się za jednym zamachem o dziewięćdziesiąt stopni i zjechał z szosy na łąkę. Holt przywarł do dna okopu. Seria z kaemu sypnęła na niego śnieg i ziemię, a potem czołg przetoczył się nad nim i pomknął w kierunku rowów. Holt wytknął

głowę z okopu, wystrzelił z pancerfausta i trafił czołg o wiele za nisko. Fala powietrza rzuciła go na ziemię. Z tyłu czołgu ciekł płonący olej. Ale wieżą z niesłychaną szybkością obróciła się do tyłu. Holt skoczył w zarośla na skraju lasu. Z hukiem wybuchnął między drzewami granat rozpryskowy. W tym samym momencie zagrzmiały dwa działa czołgowe jednocześnie, bo trzeci czołg pognął szosą przed siebie i wysunął się daleko naprzód, z wieżą zwróconą w bok, z której działa buchał długi na metr strumień płomieni. I już z piekielnym „uraaa!” spadła na nich piechota.

Holt dopadł rowu strzeleckiego, gdzie Vetter, mając przed sobą otwarte pole, strzelał na oślep z kaemu. Rzucony nagle do rowu granat obsypał ich rozżarzonymi odłamkami. Dwie, trzy postacie w białych płaszczach były już przy rowie, strzelały w biegu, ogień tryskał, ziemia bryzgała na wszystkie strony. Vetter zaczął uciekać do lasu, Holt zderzył się w biegu z Wolzowem. Wolzow uciekał. Wchłonęły ich gęste zarośla. Holt biegł coraz głębiej w las.

Nikt ich nie ścigał. Strzelanina ucichła. Zatrzymali się, bez tchu, i zaczęli nasłuchiwać: silniki warczały, gaśienice zgrzytały, coraz ciszej już i coraz dalej.

– O przekłēci! – sapał Wolzow. – O przekłēte diabły...

Holtowi serce waliło jak oszalałe. Oparł się o drzewo, żeby odetchnąć. Co teraz? Ciągłe jeszcze dygotał na całym ciele. – Wracamy! – rozkazał Wolzow. – Może jeszcze jakoś przedostaniemy się przez Odrę! – Poprawił pas. – Nasze zadanie w każdym razie wypełniliśmy: zatrzymywać czołgi tak długo, jak tylko się da. Dłużej już się nie dało.

Ucieczka. Na zachód przez lasy, przez załamujący się lód bagien, przez ciągnące się bez końca pola i najeżone kolcami gąszcza. Nad Odrą przewalał się grzmot kanonady. Po kilku godzinach dotarli do rzeki, tuż pod jakimś małym miasteczkiem. Przy wysadzonym w powietrze moście, o dwa kilometry w górę rzeki, ujrzeli na brzegu szpicę czołgów. Huk armat, które strzelały na wprost przez rzekę, był tak głośny, że się wzajemnie zupełnie nie słyszeli. Po drugiej stronie rzeki strzelały raz po raz stu pięćdziesięciomilimetrowe działa dalekonośne. Gdy łódź

szturmowa przewoziła całą trójkę przez rzekę, manewrując między ławicami lodu i płynącą kładką, piechota już zdążyła się przeprawić na drugą stronę i atakowała wał. Działa dalekonośne milczały.

Holt wspinał się po stromej skarpie w górę. Był tak zgnębiony, że najchętniej zagrzebałby się w jakiejś zaspie śnieżnej. Chwiejąc się na nogach, zmierzał do Przygody Wenera Holta t.

I najbliższych domów przedmieścia i w biegu pakował sobie do ust kawałki czekolady z dodatkiem kofeiny. Wyczerpany do cna, przyjmował wszystko, co później następowało, jak w półśnie: jakiś oddział zaporowy, jakaś grupa zabiedzonych postaci, volkssturm, rezerwiści półinwalidzi, kiepsko uzbrojeni... zbieranie ludzi w jakiejś zagrodzie do kontrataku! Jakiś podporucznik na przedzie, przez ogrody, przez kręte uliczki, potem szeroka ulica pod górę na most... samoloty szturmowe, bomby burzące, ryk silników i ogień z broni pokładowej... trupy, wszędzie trupy... podporucznik nieruchomy na śniegu... głos Wolzowa: „Do tyłu!” jakiś dom u wylotu ulicy... Znowu wrzask Wolzowa: „Atakują!” Od strony mostu, w luźnym szyku, w białych płaszczach maskujących, atakująca piechota...

Holt, zdyszany, przyklęknął przy wybitym oknie jakiegoś niziutkiego, parterowego domku.

Jak przez mgłę widział Wolzowa wkładającego świeży magazynek do pistoletu maszynowego.

„Do tyłu!” Ucieczka przez ogrody... Znowu kurczowe czepianie się jakiegoś domu... Tuzin zmordowanych postaci, bez dowództwa, bez broni, czy to jest wojsko? A teraz wycie granatów, ogłuszające wybuchy, daleko na prawym brzegu Odry wystrzały dział polowych... Samoloty szturmowe, huczący ryk silników, wystrzały z działek pokładowych, ucieczka od domu do domu, padanie na ziemię, podnoszenie się i padanie, Christian,: daj mi świeży magazynek, jeszcze tylko pojedyncze: strzały, no strzelaj! Tam!... I znowu Wolzow: „Do tyłu!” W piwnicy jakiegoś domu na małym rynku Holt oprzytomniał.. Szturmująca piechota pozwoliła im trochę ochłonąć, nie atakowała już. – Teraz dopiero przeprowią wojsko przez rzekę, czołgi, artylerię – powiedział Wolzow. – Pierwszorzędny przyczółek mostowy –

stwierdził Vetter. Huk jak od piorunu wstrząsnął piwnicą, dach zleciał z łoskotem na ulicę.

Samoloty szturmowe przelatywały nad ruinami. Wolzow wysłał Vettera na zwiady.

Po godzinie Vetter wrócił do piwnicy zasapany ze skrzynką amunicji do pistoletów maszynowych. W półmroku siedzieli pod ścianami nieruchomi volkssturmiści, otepiali, jakby martwi, absolutnie niezdolni do ucieczki. Wolzow napadł na nich ostro i kazał im napełniać magazynki. Od czasu do czasu z domów stojących naprzeciwko padały strzały i grzęzły w ceglach muru.

– Co się dzieje na dworze, Christian?

Vetter odłożył manierkę. – To podobno syberyjscy strzelcy nas atakują. Rosjanie z Syberii, specjalnie przeszkoleni w walce z bliska, tacy specjaliści od szturm! Prawie wszyscy już stąd zwiali. Ale w Strzelinie... Czy istnieje coś takiego? Podobno dziś w nocy wysłano stamtąd jedną dywizję, z czołgami. Mamy tu wytrzymać tak długo, dopóki nie przyjdą.

– Powinni już dawno tu być – powiedział Wolzow.

Z domów naprzeciwko prażono silnym ogniem. Holt siedział apatyczny w kącie piwnicy.

Myślał o Gomulce. Wolzow wrzasnął: – Na dwór! – Na rynek wtoczyły się pierwsze czołgi.

W piwnicę grzmotnęły pociski. Płomienie, walące się domy. Wszędzie zgrzytające gaśnice czołgów. Panika. Beładna ucieczka.

Mały, rozbity most drewniany, przed nim kupa krzyczących ludzi i walące na nią czołgi. –

Na lewo! – krzyknął Wolzow. Szeroka i wolna ulica, płonące domy, Holt nie wiedział, co robi, poruszał się automatycznie, ale wzrok jego rejestrował wszystko.

Znowu, w białych płaszczach maskujących, tuż za nimi, atakująca piechota. Za nią szły czołgi, prześcignęły ją strzelając. Na prawo teren palącej się gazowni, Wolzow uciekał pierwszy, Vetter u jego boku jak cień... Za przysypaną śniegiem hałdą koksu jedno lekkie działo przeciwpancerne, kłęczeli przy nim dwaj już niemłodzi oficerowie artylerii, działo strzelało, pierwszy czołg wgniótł armatę razem z obsługą w koks... Padnij! Holt bez tchu przypadł do ziemi za przewróconą wagonetką, przepuścił czołgi i zaczął strzelać do nadciągającej piechoty.

Ucieczka. Jakiś drewniany parkan! Rozpaczliwy skok. Holt upadł razem z walącymi się sztchetami na ulicę. Płonące wille. Czołgi przed nim, na lewo, wszędzie... Jakaś stacja benzynowa, z której bił w górę parszający słup ognia. – Prędeż! – Wolzow był obok niego, Vetter ich dopędzał. Jakiś park, w którym wybuchały pociski. Wielki zamarznięty staw.

Trzeszczący lód pod butami. Nareszcie... nasyp kolejowy!

Tu znajdowała się pozycja miejscowego garnizonu, Wolzow, Holt i Vetter przywarli do nasypu. O sto metrów na prawo był dworzec, za nim, przy przejeździe kolejowym, czołgi bez przeszkód przeszły przez tory, wpadły na szosę i pognały dalej. Daleko za plecami Holta przyjęło je ogniem parę dział polowych. Pojedynek dział w świetle zapadającego wieczoru urastał do piekielnej kanonady.

Holt leżał w śniegu śmiertelnie zmęczony i ciężko, dyszał. Zapadał zmierzch. Piechota w białych płaszczach atakowała nasyp kolejowy. Walka wręcz. I znowu ucieczka: lód na jakiejś małej rzeczulce pękał pod stopami. Ucieczka przez zasypaną śniegiem równinę – ani jednego drzewa, tylko nagie kępy wierzb – aż gdzieś daleko na zachód. Strzelanina za nimi cichła.

Zawrócili i skręcili w bok. Wokół Wolzowa zebrała się grupka żołnierzy, zmordowane, obszarpane postacie. Mróz brał coraz większy. Zerwała się zadymka.

Dotarli do jakiejś wsi. Znajdowało się tu stanowisko dowodzenia z oficerami, żołnierzami, działami przeciwpancernymi i polowymi, z magazynami amunicji. Vetter przyniósł z kuchni polowej ciepłą strawę, Holt siedział na śniegu. Vetter podał mu menażkę grochówki.

„Ruski!” Wrzask, strzały, we wsi panika. Ale był to fałszywy alarm. – Ci widzą już duchy! –

wymyślał Wolzow.

Kawał przed wsią zajęli stanowisko w kępie wierzby. Jeszcze raz rozgorzała walka.

Strzelcy w białych płaszczach posunęli się w ciemnościach naprzód i wzięli ten nizinny teren.

Kilometr przed wsią zaimprovizowano przedni skraj obrony. Gdzieś daleko noc wibrowała od warkotu czołgów. Przedni skraj obrony markowały tylko wykopane naprędce rowy za nagimi wierzbami, obsadzone przez resztki wykrwawionych jednostek alarmowych. Holt się okopywał.

Obok niego robił to samo Wolzow i Vetter. Połączyli swoje indywidualne okopy w jeden rów strzelecki i przycupnęli teraz blisko siebie. Po raz pierwszy od wielu godzin Holt się odezwał. –

Daj mi ognia, Christian! – Błysnęła iskra zapalniczki. Mały płomyk palił się spokojnie za osłoną skulonej dłoni.

– Wpadliśmy w najgorsze piekło – powiedział Vetter.

Holt patrzył w ciemność. Nie narzekać! Mógłbym przecież gdzieś leżeć z przestrzelonym brzuchem. Ze zmiażdżonymi nogami. Albo płynąć jako kawał lodu po Odrze. Nie skarżyć się!

Sam tego chciałem.

Wolzow podniósł się i dla rozgrzewki zaczął zabijać ręce. – Chodź, Werner... do wsi! Może nasze dokumenty wystarczą! – Po drodze gadał sam do siebie: – Przeprowadzą teraz przez rzekę czołgi, coraz więcej czołgów, artylerię, moździerze. Jutro rzucą do akcji samoloty szturmowe. –

Brnęli przez głęboki śnieg.

We wsi przed stanowiskiem dowodzenia stały ciężarówki. W ciemnościach sterczało przy nich jakieś masywne chłopisko, w białym płaszczu maskującym. – Burgkert! Panie sierżancie!

– Ach! Wy też jeszcze żyjecie?

Starszy sierżant był trzeźwy. – Wysłali mnie do Brzegu. Miała tam stać nasza jedenasta. –

Splunął. – Gówno było, nie jedenasta! – Kilku oficerów zniknęło w drzwiach domu. – Batalion wieje – powiedział Burgkert. – Ładują już swoje prywatne zapasy.

– Co nowego na froncie Odry? – zapytał Wolzow. – Nikt nic nie wie.

Starszy sierżant odburknął zły: – Nie pytaj tak głupio! Lepiej mi pomóż, szukam ludzi.

Idziemy do natarcia!

– Do natarcia? – wykrzyknął Holt przerażony. – Ależ to jest...

– Führer podobno osobiście nakazał zniszczyć dziś w nocy ten przyczółek.

Grupka oficerów wyszła na dwór. Jakiś kapitan o spiczastej brodzie starca pod zapadniętymi szczękami zwrócił się do Burgkerta: – Radzę przeczesać wieś! Tam kryje się pełno maruderów!

– I zniknął. Burgkert wybuchnął wściekły: – Dupa wołowa! Wybrakowany kapitan z jakiejś zasranej bazy lotniczej. Nie ma zielonego pojęcia! I coś takiego chce tu komenderować!

Nie ruszył się z miejsca. Ordynansi ładowali bagaż na ciężarówkę. Zaledwie obydwaj żołnierze zniknęli znowu w domu, Burgkert podskoczył do wozu, ściągnął z niego jedną skrzynkę i uciekł z nią. Wolzow pokręcił głową. – Ja to nazywam maruderstwem! – Burgkert stał na uboczu i wpychał sobie butelkę koniaku do waciaka. – Holt, zanieście tę skrzynkę do swojej dziury! Ale dobrze pilnować, żeby nie zginęła ani jedna butelka. To wszystko jeszcze się przyda! Wolzow, wy pójdziecie ze mną szukać ludzi!

Zdniczali żołnierze zostali zagarnięci do „batalionu szturmowego” i zgrupowani w okopach i rowach strzeleckich pod wsią. Około trzeciej nad ranem za ich plecami otworzyła ogień artyleria polowa. W odpowiedzi spadł na wieś grad pocisków. Domy, chlewy i stodoły waliły się w gruzy. Magazyn z amunicją wyleciał w powietrze, artyleria polowa umilkła. Wieś się paliła.

Holt siedział w swoim okopie z płachtą namiotową naciągniętą na głowę. Wolzow podsunął

mu kaem. Burgkert spojrzał na zegarek. Był w doskonałym humorze, jego bas brzmiał znowu głęboko i potężnie. – Jesteśmy pierwszą falą – powiedział. – Holt, tylko mi celnie strzelać z tego kaemu. – Podał Koltowi butelkę koniaku, zawinął sześć butelek wódki w koc i płachtę namiotową, związał ten tobolek rzemieniami i zarzucił sobie na plecy. – Gotowe! – Znowu spojrzał na zegarek i podniósł w górę raketnicę. W noc wyleciała zielona rakietka. Blade, upiorne światło.

Znieczulone alkoholem zmysły Holta odbierały wszystko jak przez mgłę. Wygramolił się z rowu ociężale biegł przez głęboki śnieg. Pojedyncze strzały. Dlaczego... oni nie strzelają?

„Naprzód!” To był Burgkert. Huraaa, kto to krzyczy hura? Tam... rów! „Stanowisko!” Padnij!

Przed nim wrzaski, strzały, wybuchy granatów ręcznych. Czerwone rakietki oświetlające, co to ma znaczyć? Holt biegł przed siebie, Vetter sapał obok niego, rzucili się do Wolzowa w rów. –

Stanowisko było prawie puste! – zawołał Wolzow. – Naprzód! – krzyknął Burgkert. Holt przywarł do kaemu. Fala ognia i wrzasku przemknęła nad nim.

Z głębi nocy, z rozległej doliny rzeki spadł na ich mizerne natarcie kontratak szturmującej piechoty. Oddziały szturmowe, z bagnietami na karabinach, strzelające w biegu z pistoletów maszynowych, wyłoniły się z ciemności i rozniosły, starty na proch nacierających, jak wichry przemknęły przez ich rowy i popędziły na zachód, rzuciły się na drugą falę ataku, wdarły się do wsi między płonące domy, uderzyły na ostatnie pozbierane zewsząd grupy i „batalion szturmowy” przestał istnieć, nie było już ani batalionu, ani żadnych odwodów, a resztki kompanii alarmowych uciekały w popłochu do tyłu. Daleko na tyłach byłego frontu pozostało tylko trochę niedobitków, po dziurach, po zaroślach, ze wszystkich stron był front.

Holt leżał w rowie, obok niego jakiś ziemistoszary trup. Kontratak przemknął nad Holtem jak jakieś straszne widmo. Cienie i zjawy wyłoniły się przed nim w świetle rakiety, seria z karabinu maszynowego gruchnęła w próżnię, widma przeskoczyły przez niego, przed oczyma błysnął mu bagnet, ale kula z podniesionego w górę parabellum zwała na Holta czyjeś ciężkie ciało. Uciekający do tyłu Wolzow wpadł do okopu, poderwał kaem, a następnie odciągnął trupa na bok. Vetter i Burgkert również wrócili. Wolzow sapał: – Jak diabły... Jak prawdziwe diabły! –

Burgkert krzyknął: – Nie pokładać mi się tutaj! Do tyłu!

Dołączali się do nich żołnierze z rozproszonych oddziałów, ludzie z rozlatanymi oczyma, i przez płonąca wieś uciekali na zachód, dopóki ogień nie zagroził im drogi. – Naprzód! –

ryknął. Burgkert.– Naprzód! Huraaa! – Strzelcy w białych płaszczach, którzy właśnie się okopywali, porwali za empi – Walka wręcz. Uraaa i huraaa zwały się w jeden straszliwy wrzask.

Ogłuszające wybuchy granatów ręcznych, rozlatujące się w drzazgi kolby, oślepiające błyski ognia. Holt potknął się i upadł na kolana. Pistolet maszynowy otworzył mu wolną drogę. Przed nim była ciemność. Ucieczka!

Potem nie kończąca się wędrówka przez nizinę, nad którą wstawał biały jak mleko mroźny poranek. Holt zataczając się brnął przez śnieg. Nie było w nim już żadnej myśli, były tylko jeszcze straszliwe obrazy, przerażenie, które wżerało się w jego duszę na zawsze.

Odpoczynek pod jakimś laskiem dziwacznie rosnących, nagich wierzb. Wszystkie manierki były pełne wódki. Pij, żłop, to pomaga! Dodaje ducha.

Teraz znowu padały słowa. – Chłopcze! – jęczał Burgkert. – Trzy oddziały na przestrzeni pół kilometra, ale ich nikt już nie powstrzyma! – Wolzow pił.

Holt rysował łyżką na śniegu. Słowa Burgkerta, mimo że był całkowicie wyczerpany, pobudziły go znów do myślenia.

A my? rozmyślał.

My zostaniemy pobici. Jesteśmy dobrze wyszkoleni i uzbrojeni, Burgkert ma doświadczenie bojowe. Jak rzadko kto, walczymy rozpaczliwie. Ale zostaniemy pobici, przepędzeni na cztery wiatry, zmieceni z powierzchni ziemi. Dlaczego? Jestem jak sparaliżowany. Czy to nie czasem świadomość... że bijemy się o niesłuszną sprawę? Czy nie dlatego, że wiemy: Wszystko było kłamstwem?

A oni? Wejdz raz w położenie któregoś z nich... Tak powiedział kiedyś Gomulka... Spróbuj wczuć się w takiego człowieka, któremu SS wymordowało całą rodzinę... I: Oni nie zaczęli!...

Na śniegu, ze skostniałymi nogami, rozmyślał: Napadliśmy na nich z przywykłym do zwycięstw wojskiem, staliśmy już nad Wołgą i na Kaukazie, i nikt z nas nie dałby już złamanego grosza za tę ich armię. Ale oni się podnieśli i zaczęli nas bić, bić coraz mocniej, i przepędzili nas od siebie, gnali nas przez trzy tysiące kilometrów i stawali się coraz silniejsi, coraz silniejsi, a teraz przekraczają Odrę.

I tam u nich nie ma nikogo, kto by tak myślał jak ja: Wszystko na próżno. Kto w głębi duszy wie: To niemożliwe, żeby coś takiego zwyciężyło. Kto musi sobie powiedzieć: Wszystko było kłamstwem.

Czy to właśnie nie dzięki temu są niezwyciężeni?

Wszyscy obok niego siedzieli w milczeniu.

Maszerowali dalej. Nareszcie jakaś większa wieś, i znowu oddziały zaporowe, esesowcy, jakiś rottenführer: – Dlaczego opuszczacie linię?

– Nie ma już żadnej linii, synku! Są tylko Rosjanie, chłopcy jak malowanie! Poczekaj tylko, aż przyjdą! – Burgkert zwyczajnie odsunął rottenführera na bok. – Idą z Francji, coś takiego! –

zawołał Vetter. Jakiś kapitan, drżąc ze zdenerwowania: – Jedenasta dywizja pancerna? Tu nie ma żadnych czołgów, czołgi są we Wrocławiu, ale bez załóg! Po co się tu obijacie? Dostaniecie dokumenty do Strzelina!

Rozklekotana ciężarówka przedzierała się z nimi przez śnieg na zachód. Szosą ciągnęło w przeciwnym kierunku wojsko, kompanie alarmowe, bateria sta wiania zasłon dymnych, działa przeciwpancerne, nawet parę samobieżnych, tabory. Za nimi grzmiała ciężka artyleria.

W Strzelinie zamierzano wcielić ich do kompanii alarmowej i wysłać znowu na wschód.

„Chcecie się wykręcić od walki! Z powrotem na front!” Burgkert sprytnie się wyklamał: Radiotelegrafisci po przeszkoleniu specjalnym, twierdza Wrocław, dowództwo armii! Otrzymali rozkaz wyjazdu do Wrocławia.

Do Strzelina ściągnęła masa ludzi, sztaby, oddziały wojska, tabory, oddziały arbeitsdienstu i komanda z obozów jenieckich. Gdy kanonada na wschodzie zaczęła przybierać na sile, powstała w mieście panika. Żandarmeria polowa co pół godziny przeczesywała wszystkie lokale.

Holt siedział w jakiejś kawiarni. Transport do Wrocławia miał odejść dopiero wieczorem.

W kawiarni było ciepło i duszno. Wolzow wymyślał na zbyt gorącą herbatę. Burgkert wylał

lemoniadę pod stół i napełnił szklanekę wódką, którą jakoś wyniósł bez szwanku z ataku. Bardzo prędko wypił całą butelkę. Potem zasnął.

– Z Burgkertem w czołgu – powiedział Wolzow – to nie byłoby wcale takie złe. Ale tylko wtedy, gdyby miał przy sobie wystarczającą ilość wody. On może żyć już tylko pod alkoholem.

– Złapał jakiegoś cywila, który właśnie przechodził koło nich, i wyrwał mu gazetę. Rozłożywszy ją, wykrzyknął: – Dzisiejsza! Z Kwatery Głównej Führera... „Między Koźlem a Wrocławiem zostały udaremnione liczne próby przeprowadzenia się nieprzyjaciela przez Odrę...” Udaremnione, a to dobre! pomyślał Holt. Wolzow zapalił papierosa. – Werner, słuchaj! „Jak się rozstrzygnie wojna na wschodzie?”

– Prawdopodobnie nadejdzie już teraz ta nowa broń! – wykrzyknął Vetter. Wolzow czytał.

Vetter słuchał z rozdziawionymi ustami. – „...widzi swój obowiązek w tym, żeby, nie oszczędzając samego siebie, wytrącać z akcji swoją żmudną, drobiazgową pracą jeden bolszewicki czołg po drugim, jednego żołnierza po drugim...” Wytrącać z akcji? To było zaledwie wczoraj; Sepp i ten starszy strzelec... zaporę przeciwczołgowa... Wolzow i ta jego „wyższa taktyka”... nie myśleć o tym, nie myśleć! – Tu piszą, że Rusek rzucił już do akcji wszystko, co miał, i jeżeli nam się uda... – Wolzow czytał

dalej: – „...to, co teraz rzucił do akcji, zniszczyć, wówczas będzie prawie bezbronny i wszystko, co zrabował, musi oddać z powrotem”.

– *Prawie bezbronny, dobry sobie!* – powiedział Vetter. – Ten, co to nische, stroi sobie chyba z nas kpiny!

– Co to się właściwie wczoraj działo przy te zaporze przeciwpancernej? – zapytał Holt.

– Myślałem, że będą tak zaskoczeni – odparł Wolzow szorstko – że się nie pozbierają!

– Chłopcze – powiedział nagle starszy sierżant grmiącym basem i zamrugał

podpuchniętymi powiekami. – Oni dobrze znają ten trik z zaporą przeciwczołgowa! Znają wszystkie triki, jakie tylko istnieją. Ja jestem cwany pancerniak, ale oni nie są ar trochę mniej cwani! – Nalał sobie pełen kubek wódki. – Pancerfaust to lipa, chłopcze, „najlepsze mu żołnierzowi najlepsza broń”... – Wypił wódkę do dna i opadł znowu na krzesło. – Zostaliśmy strasznie oszukani! – Zamknął oczy.

Wolzow zmrużył jedno oko. Starszy sierżant, na wpół już nieprzytomny, mówił urywanymi zdaniem: – Było nas trzech... na sześciu morgach... na Pomorzu... Żarło się tylko kartofle.

A potem w majątku, za ordynarię... Baron był majorem. Raz urządził polowanie na dziki... Konie poniosły mu powóz myśliwski, cztery wałachy... Złapałem je za uzdę... – Język mu się już plątał.

– Baron pyta: „Nazwisko? Tutejszy?” Mówię: „Pański sąsiad... trzech braci, sześć morgów”.

Naród bez przestrzeni... A major: „Zdobądź sobie ziemię. Na wschodzie jest dosyć ziemi!” –

Starszemu sierżantowi głowa opadła na piersi. – Nigdy tego nie zapomniałem. Mówiłem sobie: Zostań w wojsku na zawodowego. Zdobądź sobie gospodarkę. – Uderzył nagle kubkiem w stół.

– Nalej mi, rekrut! – Wolzow uśmiechnął się i znowu napełnił mu kubek. Burgkert pił

z zamkniętymi oczyma, wódka ciekła mu po brodzie, po szyi na mundur. Otarł sobie ręką usta i ręka jak sparaliżowana ciężko mu opadła. Słysząc było już tylko rżenie: – O nic więcej...

Zawsze tylko... walczyłem... o gospodarkę...

– Ma dość – stwierdził Wolzow. – Zalał się, chłop, w drobny mak!

– A to się dał nabrać z tą „ziemią na wschodzie”! – powiedział Vetter. – Teraz rzeczywiście może mu się wydawać, że go wykantowano!

Olbrzym był zupełnie bezwładny i chrapał z otwartymi ustami. Ten już nigdy nie będzie chodził za pługiem, myślał Holt. Nie będzie już siał ani doił krów, ani zbierał plonów. Może jeszcze tylko pić i staczać się coraz niżej. On już w gruncie rzeczy nie żyje. Jest skończony.

Któregoś dnia my wszyscy będziemy tacy skończeni, zmarnowani, oszukani.

Śmiertelnie zmęczony pomyślał jeszcze: Żeby to wszystko już wreszcie się skończyło!

Holt zasnął na krześle i obudził się dopiero późno po południu. W lokalu panował już zmrok. Przy stolikach było pusto. Za bufetem nikt już nie płucał szklanek. Wszyscy pouciekali!

Reszta też się obudziła. Burgkert wysłał Vettera na miasto. – Zobaczcie, gdzie się podziała ciężarówka! – Zabrali się do jedzenia. – Dawniej stał tu garnizon huzarów – opowiadał Wolzow.

– Niedaleko stąd, w Woiselwitz, baron Warkotsch... starego Fryca...

– Czyś ty zgłupiał? – zapytał Burgkert. – Ty już też masz bzika? – Holt jadł sardynki. –

Tttak – powiedział Wolzow i zapalił papierosa – przyjdzie jeszcze czas, że wszystko się odmieni! Ja jeszcze chcę być oficerem! – Vetter wrzasnął od drzwi: – Panowie! Jest wóz! – Holt wlaź pod plandekę, potem siedział skulony pod ścianką szoferki. Nie mógł zupełnie spać.

– Gdzie jesteśmy? Na prawym brzegu Odry – powiedział Wolzow. – Jechaliśmy przedtem przez Odrę.

– A więc jesteśmy znowu na drugiej stronie! – zawołał Vetter. Gdzieś daleko grzniały działa. Las przypominał obóz wojskowy. Transportery opancerzone, czołgiści, ciągniki, artyleria, ciężarówki, działa samobieżne, działa pancerne, magazyny z beczkami benzyny, parę baraków, a także namioty rozbite na śniegu i wszędzie żołnierze. Burgkert rozmawiał z jakimś podporucznikiem. Potem poszedł dalej. Holt podążał za nim.

Przez las przechodził tor kolejowy. Jakiś pociąg towarowy, na wieloosiowych wagonach dla ciężkiego transportu czołgi z niesamowicie długim, smukły mi lufami. – Pantery! – wykrzyknął

Vetter zachwycony. Zawarczały silniki. Po spadzistym pomoście ułożonym z grubych kłoców czołgi stoczyły się z wagonów na ziemię, odjechały po paliwo. Vetter zacierał ręce. – Z takimi czołgami musimy zwyciężyć, co? – Osiemnaście czołgów wjechało w gęstwinę lasu. Zebrano wszystkich czołgistów i potworzono z nich załogi. Burgkert zrobił się nagle ważny. – Ja obejmuję czołgi. Ten żółtodziób porucznik, co tam stoi, zostanie tutaj. Taka wyprawa jest dla niego za ryzykowna.

– My jedziemy z panem – powiedział Wolzow. – Niech pan nie oponuje, panie sierżancie, ja będę celowniczym, Holt radiotelegrafistą, Vetter ładowniczym, ma pan załogę, panie sierżancie, na której może pan polegać! – Burgkert spojrział na Holta. – Z dwiema radiostacjami? – Holt kiwnął głową. – Rekruci – powiedział Burgkert, i ręka, w której trzymał papierosa, mu zadrżała

– żebyście tylko nie nawalili! Bo przesiądę się na inny czołg i zostawię was na lodzie, mnie tam wszystko jedno! – Holt znowu kiwnął głową. Patrzył bezmyślnie na wjeżdżające właśnie na polanę samobieżne, dwudziestomilimetrowe, poczwórnice sprzężone działa przeciwlotnicze, zamontowane na podwoziach czołgów Pzkw III. Potem poszedł za Wolzowem do czołgu dowódcy. Załadowywanie amunicji! To przypominało czasy, kiedy robili to samo w baterii artylerii przeciwlotniczej. Holt wyciągał z koszy pociski, które mu przynoszono, i podawał je na górę Vetterowi. Porucznik obchodzi! razem z Burgkertem ustawione w rząd czołgi. „Co to za świński porządek, do stu diabłów! Ci ludzie mi tu palą papierosy! Czy cały las ma wylecieć w powietrze?”

Holt podawał właśnie Vetterowi nabój, ledwo już mógł unieść ręce. „Ruszajcie się trochę prędzej!” Ktoś zaklął: „Poganiacz, psiakrew!” – Morale wojska jest teraz nic niewarte! –

wymyślał Wolzow. Usiadł na pustym koszu, żeby odetchnąć.

– Gotowe! – Vetter wygramolił się z włazu wieży i zeskoczył na ziemię. Przez śnieg brnął

w ich kierunku jakiś żołnierz, niepozorny chłopaczyna z zarośniętą twarzą i zgasłym papierosem w ustach, ręce w kieszeniach długiego płaszcza, spod którego wyglądała para niezdarnych filcowych buciorów. – Wóz dowódcy? – Żołnierz był obszarpany i zabłocony. – Klotzsche, ale nie ten spod Drezna. Jestem waszym kierowcą. – Zniknął we włazie czołgu. Gdzieś w lesie ktoś krzyknął: „Rozgrzewać silniki!” Zrobił się naraz niesamowity hałas. Burgkert przyniósł

wytyczne dotyczące korzystania z łączności radiowej. – Po nastrojeniu radiostacji bezwzględna cisza. – Holt chodził od czołgu do czołgu i zgrabiałą ręką notował nazwiska radiotelegrafistów.

Śnieg połyskiwał srebrzyście. Nad lasami wschodził księżyc. Postrzępione chmury rzucały upiorne cienie. Eschenhagen, Papst, Adam w wozach dowódców plutonów, Maas, Jahner, Gehrke i tak dalej, Wenzlau, Leutka, i jak oni się tam wszyscy zwali.

Holt wdrapał się na czołg i zawisł we włazie, szukając stopami oparcia. W wieży paliło się światło elektryczne. Przy dziale stał Wolzow i przecierał irchę okular celownika. – Nowiutkie wozy, prosto z fabryki! – zawołał, przekrzykując warkot silników. – Dwa nam zabrali, dla dowódcy!

W czołgu było bardzo ciasno, cały był zapchany nabojami. Holt zsunął się na swoje siodełko i założył na głowę skórzany hełm ze słuchawkami, włączył radiostację, zwarł klucz i zaczął je stroić na długi sygnał. Przesunął nogami swój bagaż do przodu. Vetter położył mu tu prowiant.

Holt nie miał apetytu. Czuł się okropnie między tymi przytłaczającymi stalowymi płytami, w tym dusznym powietrzu. Przemknęła mu przez myśl piosenka: „Zmienimy czołgu żelazo w stalowy grób...” Włączył telefon wewnętrzny i usłyszał beztroski głos Wolzowa: „Christian, żebyś mi czasem nie pomylił pocisków przeciwpancernych z pociskami burzącymi, bo możemy zapłacić za to głową!” – Spokój! – krzyknął Holt przez laryngofon. – Gadanie nie na czasie!

Vetter, co z ciebie za ładowniczy, ty to nazywasz zaopatrzeniem czołgu w amunicję? Nie mam do kaemu ani jednej taśmy! – W radiostacji średniofalowej, poprzez którą miał połączenie z dowództwem, zapiszczał sygnał ciągły, a potem odezwał się ostry głos: „Dowódca do wszystkich, przechodzić na odbiór!” Holt usłyszał artylerię pancerną i piechotę zmechanizowaną i podał swoje nazwisko. „Ależ, ludzie, po co są kryptonimy?” – „Zamknij się, idioto! –

krzyknięto w hełmofonie. – Kto tu jest dowódcą, ty czy ja? Nie piszcz tak długo, nie jesteś w koszarach! Cisza w eterze! Po opuszczeniu stanowiska wyczekiwania przejść na odbiór!

Skończyłem!” Radiotelegrafista dowódcy jeszcze nie umilkł, a już ryknął Porschke z artylerii pancernej: „Co to był za dureń?” Gdzieś daleko zarżał jakiś głos: „Ten dureń to jeden podporucznik, powinien się właściwie nazywać Józefem z Egiptu, bo nosi galowe szaty i uważa się za coś lepszego od swoich braci!” Holt wyłączył radiostację średniofalową i przez radiostację ultrakrótkofalową połączył się z czołgami. „Dowódca do wszystkich... przechodzić na odbiór!” Zameldowały się wszystkie piętnaście czołgów. »Cisza radiowa! Rosjanie pelengują.

Skończyłem”.

Holt siedział posępny na swoim skórzanym siodełku. Vetter wdrapał się do czołgu i przygotowywał Holtowi kaem. – Że ty jeszcze się tak dobrze trzymasz! – powiedział Holt. –

Dostaliśmy razem z prowiantem takie tabletki, które działają orzeźwiająco, twoje ma Gilbert.

Ciągle jeszcze trzymał siarczysty mróz. Holt szedł wolno przez las. Wszędzie naokoło warczały zapuszczone silniki czołgów, dział pancernych i transporterów opancerzonych. Holt widział

samochody terenowe z wmontowanymi karabinami maszynowymi, samobieżne działa przeciwlotnicze, zamontowane na podwoziach czołgów Pzkw III, haubice połowe, ustawione na podwoziach czołgów Pzkw IV, i samobieżne działo 88-milimetrowe. Przez las ciągnęli gęsiego obładowani piechurzy i grupowali się wokół czołgów. Piechota zmechanizowana siedziała już gotowa do drogi na transporterach. Warkot silników zagłuszał daleki pomruk frontu. Na wschodzie, nad lasami, wstawał świt.

Holt wrócił z powrotem do wozu. Na płycie pancерnej czołgu starszy sierżant Burgkert rozłożył mapę. Wolzow przyświecał mu latarką kieszonkową. Podał Koltowi małą rurkę szklaną.

Pervitina? Zobaczymy, jak to działa. Holt obserwował twarz Burgkerta.

Starszy sierżant był znowu pod gazem, głos miał grzmiący, ręce mu wcale nie drżały, skóra na twarzy, niedawno jeszcze zapadniętej, jakoś mu się znowu wygładziła. Raz po raz sięgał po manierkę i pociągał z niej. Rozmawiał cały czas z Wolzowem o czekającym ich zadaniu bojowym. – Jesteśmy grupą bojową Bredowa... czołgi tworzą szpicę. Działa pancerne, samobieżna artyleria, nazywana artyleryjskim oddziałem szturmowym, pójdą zaraz za czołgami, potem dwa bataliony piechoty zmechanizowanej na transporterach. Z nami przedzierać się będzie jedna kompania szturmowa. Następnie mamy jeszcze artylerię zmotoryzowaną, będziemy musieli jej najpierw utorować drogę, no i później pułk piechoty zmotoryzowanej na samochodach ciężarowych.

– Trochę za mało czołgów – zauważył Wolzow. Burgkert zaczął omawiać sytuację, mówił

o silnym przyczółku mostowym nieprzyjaciela na lewym brzegu, ale trochę dalej na północ stoją jeszcze resztki jednego niemieckiego korpusu i trzymają na prawym brzegu przyczółek z mostem pontonowym... Trudno się w tym w ogóle rozeznać, pomyślał Holt. – Rusek ma w danej chwili na froncie tylko piechotę – mówił Burgkert. – Przegrupowuje się. Ten korpus na północy miał się do nas przedrzeć, ale utknął w miejscu. Teraz my mamy się przebić do niego od południa przez Rosjan i otworzyć mu drogę. Ale to wszystko gównu nas obchodzi! – zaklął

nagle. – Ja mam inne zmartwienia! Od celu dzieli nas jakieś dziewięćdziesiąt kilometrów, a te zaszpane pantery mogą przejechać tylko sto dziesięć... Że się z czołgami jakoś tam przedrzemy, to mi się wydaje nawet możliwe, jeżeli tylko nieopatrnie nie wpadniemy na przygotowaną obronę.

Ale czy nam wystarczy paliwa? Wszystko inne to już sprawa piechoty. – Spojrzał na zegarek. –

My pojedziemy pierwsi. Holt, przekaz: Najpierw szosą, potem połami, dopóki znowu nie natrafimy na jakąś drogę. – Łyknął z manierki. Stojący naokoło piechociarze powiadali na wozy i naciągnęli płachty namiotowe na głowę. Holt wśliznął się na swoje siodełko. Działo się z nim coś dziwnego. Poczł jakiś zupełnie niezrozumiały przyływ energii. Wszystkie zmysły jakoś nagle mu się zaostrzyły, mózg pracował niezwykle precyzyjnie, wszystko się do niego jak gdyby przybliżyło, najłżejsze nawet trzaski w hełmofonie brzmiały głośno i wyraźnie, lewa powieka mu drgała. To podniecenie, pomyślał, albo te tabletki...

Oстрым zrywem czołg ruszył z miejsca i szesnaście panter utworzyło szpicę grupy bojowej, za nią podążyły działa pancerne, artyleria samobieżna i długi wąż transporterów opancerzonych.

Holt patrzył przez przyrządy optyczne celownika kaemu. Czołg przedarł się przez zarośla, zmiażdżył po drodze parę młodych sosenek, przeciął polanę, gdzie czekały samobieżne, poczwórnie sprzężone działa przeciwlotnicze, aby się włączyć do kolumny, i wypełził na szosę.

Holt wdrapał się obok Vettera na górę i wysunął głowę z wieży. Starszy sierżant stał we włazie, widoczny do pasa. Mroźny wiatr smagał ich w twarze i Pięciometrowa lufa armaty wystawała aż het poza pancierz czołowy. Mijali po drodze otwarte zapory przeciwczołgowe, przy których czuwali żołnierze. Niebo było pochmurne, nisko nawisie chmury napływały z północy nad lasy. – To nas ratuje przed szturmowcami! – powiedział Burgkert, rzuciwszy okiem na niebo. Szosa zaczynała wznosić się łagodnie pod górę, więc kierowca zmienił bieg i dodał gazu.

Holt, który już porządnie zmarzł na wietrze, zsunął się z powrotem na dół. Burgkert również schował się w wieży. Holt słyszał w hełmofonie głos radiotelegrafisty dowódcy, wzywający artylerię pancerną: „Przechodzić na odbiór! Wy, przekłęci idioci... na odbiór!” Całkiem przyjemna jazda, pomyślał Holt. Nareszcie zgłosił „się Porschke z dział pancernych, a potem Klein z piechoty zmechanizowanej. „Ty śpisz czy co? Człowieku, tam na górze są podobno iljuszyny! Uważać!” Holt podał ostrzeżenie dalej czołg się tak gwałtownie zatrzymał, że Holt poleciał do przodu. Otoczyli ich żołnierze. Przez przyrządy optyczne Holt zobaczył na skraju szosy dwa zniszczone czołgi, a w zaroślach ciężką artylerię przeciwlotniczą. Czołg ruszył

i znowu jechał przed siebie. Holt automatycznie obsługiwał radiostację. Znowu odezwał się radiotelegrafista dowódcy i powiedział jakby mimochodem: „Rusek troszkę puka na linii frontu, ale to tylko ze zdenerwowania, atakujcie!” i zaraz potem: „Dowódca podejdzie później z artylerią polową. Zameldujcie, gdy się przedrzecie”. Holt pokręcił głową, a starszy sierżant zaczął kłąć, łyknął z butelki wódki i psioczył dalej: – Najpierw nas gna w tej swojej pogoni za orderami do takiej zasranej akcji, a potem zostaje w tyle, ach, jak ja to lubię!

Czołg znowu stanął. Holt wystawił głowę na mróz. Szosa wychodziła właśnie z gęstego lasu i biegła prosto przez jakąś równinę, gołą, białą pustynię śniegu. Holt popatrzył na wschód.

Pola, łąki i krzaki aż po horyzont. Tam zaś, bardzo daleko, wisiało nad równiną coś jakby mglista zasłona, jakby mgiełka chmur... Przed czołgiem stały postacie w polowych mundurach i białych hełmach. Burgkert długo patrzył przez lornetkę. Potem rozkazał Holtowi połączyć się z dowódcą. – Będzie nam tu potrzebny! – Nikt się nie zgłaszał. Odezwał się tylko bezczelny, kpiący głos Porschkego z artylerii pancernej: „Panowie jedzą teraz śniadanie!” – Holt, wzywaj dowódcę! – krzyknął Burgkert wściekły. Słuchał razem z Holtem i zawołał przez telefon wewnętrzny: – Nie tak grzecznie! – Wreszcie Holt uzyskał połączenie, ale radiotelegrafista dowódcy wyjechał na mego z pyskiem: „Co tam u was się dzieje? Dlatego nie atakujecie?!” Burgkert rozeźlił się. – Widzę stąd, że walą we front jak w kaczy kuper! – „Niezwłocznie atakować”. Burgkert wrzasnął: – Atakujemy! Ale jeżeli połowa kompanii padnie, to niech nas potem pocałują...! – Sęk w tym, że nie mogą, fizyczna niemożliwość! pomyślał Holt. Za pół

godziny będziemy za Rosjanami. „Niesłychane! – odezwał się znowu radiotelegrafista dowódcy.

– Przysłać tu potem żandarmerię polową...” Burgkert ryknął: – Tak jest! Niech nas pocałują...!

Obrócimy wtedy lufy w przeciwnym kierunku! – Holt wyłączył radiostację średniofalową.

Żołnierze jadący na czołgu podśmiechiwali się. – Boicie się iść w ogień, wy arystokraci wy chuchani? A my to musimy karku nadstawiać! Panowie znowu się oszczędzają! – Burgkert łyknął wódki z butelki. Potem wydał rozkazy: – Skręcić w lewo, później w prawo i naprzód.

Z piekielnym wyciem silnika czołg zjechał z szosy i posuwał się wzdłuż lasu, kołysało jak na pełnym morzu. Trudny skręt się udał, czołgi w dużych odstępach od siebie sunęły przez równinę. Na skraju lasu włączała się w kolumnę artyleria pancerna.

– Warner! – krzyknął Wolzow. – Puść z lewej dwa wozy z pierwszego plutonu naprzód, żebyśmy mieli zabezpieczone oba skrzydła. – Piechociarze zeskoczyli na ziemię i walili stadem za czołgiem, Holt słyszał, jak Burgkert mówi: – Klotzsche, uważaj, żebyśmy potem nie zmiażdżyli własnej piechoty! – Cały czas patrzył w okular celownika kaemu. Przed nim świat się kończył w czarnej ścianie dymu, w której bez przerwy migotały czerwone i białe błyski. Poprzez ryk silników wdzierał się teraz Holtowi do hełmofonu huk wybuchających pocisków. – Zamknąć włazy! – Zasłona z ognia była już przed nimi, to już nie była zasłona, tylko mętna mgła która bez przerwy falowała wokół czołgu, czarny dym, przed czołgiem trysnęła w górę olbrzymia fontanna ziemi, czołg pochylił się do przodu i przesadził lej. Holt nic nie słyszał, ani łoskotu uderzających pocisków, ani brzęku odłamków trafiających w pancierz czołgu, ani wizgu nadlatujących granatów, usłyszał tylko piekielne crescendo warkoczącego silnika, gdy Burgkert krzyknął: –

Klotzsche... pełnym gazem! Wal na całego! – Czołg przewalał się przez leje i drżał od uderzeń pocisków. Holt przyciskał oko do przyrządu optycznego. Czołg z prawej strony wyprzedził ich o jakieś trzydzieści metrów, a żołnierze zasapani biegli za nim wśród gradu pocisków i znowu dostawali się w ogień... – Klotzsche! Okopy! Ostrożniej – Czołg wspiął się w górę i przesadził

rowy i okopy. Holt już nic więcej nie chciał widzieć. Ani lasu wybuchów, ani postaci w okopach, które leżały tu w piekielnym ogniu, ani nacierających żołnierzy, których dziesiątkował grad odłamków i którzy rozpaczliwie czepiali się czołgów i byli wleczeni przez nie po śniegu i błocie... nie chciał na to patrzeć! ale nagle usłyszał Burgkerta: – Przeszliśmy! –

Kołysząca się pod czołgiem ziemia, zasnuta dymem... i nagle mgła się rozstała, przed nimi było wolne pole, aż po rysujące się na horyzoncie zarośla. Burgkert krzyknął: – Teraz uważaj na niszczycieli czołgów! – Cały program szkolenia odżył nagle w pamięci Holta: jak się wyszukuje czułe miejsce w czołgu przeciwnika, jak mu się pozwala przetoczyć przez siebie, jak się atakuje takiego stalowego kolosa od tyłu... Ale jak się siedzi w takim stalowym grobie, z nerwami napiętymi do ostateczności, porażony strachem – tego doświadczał po raz pierwszy w życiu; zmysły miał wyostrome jak zwierzę, które się kuli w śmiertelnym strachu... Ścisnął kurczowo uchwyt karabinu maszynowego, i było tak, jak podczas ćwiczeń na stanowisku strzeleckim, widział przez okular rów przed sobą i nieznanego kształtu hełmy, widział białe płaszcze maskujące za przedpiersiem okopu, słyszał krzyk Burgkerta i pierwszy ogłuszający wystrzał

z działa czołgowego... Wolzow strzela! Z przedpiersia rowu strzeleckiego trysnęła w górę fontanna ognia, śniegu i ziemi. Terkotały kaemy zamontowane na wieży. Nagle rów zniknął

z pola widzenia, czołg pochylił się mocno ku ziemi i uniósł się w górę ze straszliwym rykiem silnika... I w hełmofonie głos Burgkerta: – Piechota idzie na bagnety... – I w hełmofonie krzyk sąsiada z prawej: „Czołg dowódcy... U nas... jeden wlażł na czołg, o Boże, zestrzelcie go!

Aaaaa... zestrzelcie go!” Holt krzyknął: – Wolzow... sąsiad z prawej... pomóż mu! – Ale Burgkert wrzasnął: – Kierunek dziewięć! Burzącym!

– Sam mam pełne ręce roboty! – Wolzow szarpnął wieżę w lewo. Znowu sąsiad z prawej, w śmiertelnym strachu zmieniony nie do poznania głos radiotelegrafisty: „Palimy się... Na pomoc!” Wolzow zimno: – Znowu rowy, panie sierżancie, okop strzelecki! – Czołg gwałtownie stanął. Huknął wystrzał z działa. Kierowca: – Mam jakiś okop pod gąsienicami! – Czołg stanął

i zaczął się kręcić w kółko jak bąk... Holtowi skóra ścierpła ze zgrozy. Ale czołg już miał za sobą ten okop i zjeżdżał w zarośniętą nagimi krzakami kotlinę.

Skręt w lewo! Z prawa strzelała artyleria. Ten manewr też im się udał. Rozciągnięta w wąz kompania pędziła na północ. Artyleria wymacała ostatnie wozy. W hełmofonie nieludzkie krzyki. A potem cisza. Holt otarł sobie twarz, która była mokra od potu, a może od łez. Gdzie jest piechota?

Nie było żadnej piechoty. Czołg pełził na rysujący się w dali lasek, zjechał w dół i przedarł

się przez lód jakiegoś zamarznętego strumienia, wdrapał się ociężale znowu na górę i torował

sobie drogę przez wysepkę zarośli. Plutony meldowały się. Cztery czołgi stracone! Odezwał się dowódca artylerii pancernej: „Przedarliśmy się ze stratami. Doganiamy was”. I odezwała się piechota zmechanizowana, już nieco słabiej: „Niszczymy kaemy i gniazda oporu”. – Jedziemy dalej – zawołał Burgkert. – Tempo, Klotzsche!

Szybko zbliżali się do wstęgi lasu. Przed czołgiem trysnęła w górę fontanna ziemi. – Działo przeciwpancerne! Przeciwpancerne! – wrzasnął Burgkert. – Nie, czołgi! Czołgi... Kierunek trzy!

Wolzow, przeciwpancernym! – A do kierowcy: – Klotzsche, w lewo, za te krzaki, prędko!

Wolzow, kierunek dwa, ten wysoki buk ze ściętym wierzchołkiem, masz go już? Na lewo od niego, jakieś trzydzieści metrów, w krzakach... masz go już? – Czołg zaszył się w zaroślach i stanął. Działo huknęło. W radiu wołano: „Po prawej na skraju lasu czołgi!” Wozy zaszyły się w wysepce zarośli, w lasku bukowym, między świerkami i w krzakach. Silniki ledwo było słyszeć. Kanonada dział czołgowych przybierała na sile. Kilkumetrowa smukła lufa wystawała z zarośli. Wolzow zawołał: – Klotzsche, mam gałąź na okularze... kawałek w przód! – Czołg ruszył i przedarł się przez krzaki. Teraz już i Holt miał rozległe pole widzenia, aż po skraj lasu.

Działo czołgowe dało ognia. – Jest dobrze zamaskowany! – zawołał Wolzow. Znowu huknął

wystrzał. – Trafiony! – wykrzyknął Burgkert. – Dobra, cofa się, jeszcze jeden za nim, prędko!,-

Działo zagrzmiało, łuska brzęknęła, spadając worka. Vetter otworzył właz i wyrzucił mosiężne na śnieg. Do czołgu wdarł się zimny prąd powietrza. – Jeszcze raz! – powiedział Burgkert. –

Trochę bardziej w lewo, Wolzow, kierunek jeden, wal w ten dziwny czerwony krzak... tak, trochę wyżej! – Ciasne wewnątrz czołgu zdawało się pękać od huku wystrzałów. Nagle grzmotnęło w wysepkę zarośli, skosiło kępy buczyny, – połamało młode dęby, suche gałęzie zajęły się ogniem... – Zamknąć właz! – ryknął Burgkert. – Wolzow! Jeden nas wyszedł!

W prawo! Kierunek trzy! Obok tego krzaka... no prędzej, bo on już strzela! Tym razem mocno walnęło w czołg. – Trafił! Czy coś się stało? – Kierowca krzyknął: – Lewa gaśienica! – Silnik ryknął, czołg ruszył z miejsca i zatrzymał się. – Wszystko całe! – Nagle błysk, i w tym samym momencie grzmotnęło w skraj lasu po drugiej stronie, strzaskało drzewa i krzaki, poderwało ziemię i gałęzie w górę. – Pięćdziesiątki! – wykrzyknął Burgkert i odetchnął z ulgą.

Jednocześnie w radiostacji średniofalowej odezwały się głosy: „Grzejemy do nich! Walcie naprzód, jest ich bardzo mało!” Holt usiłował połączyć się z piechotą zmechanizowaną, odezwali się, gdzieś daleko, zaledwie można ich było zrozumieć: „Znajdujemy się na odcinku przełamania, w strasznym ogniu, odpieramy kontratak!” – Oni już zaryglowali ten wyłoni! –

psioczył Burgkert. – Żeby to u nas tak wszystko pięknie grało! Naprzód, Klotzsche! –

W zaroślach znowu jeden czołg stanął w płomieniach. Z lasu ciągle jeszcze prażono ogniem.

Pędzili przez równinę, skręcili w prawo i wypadli wreszcie na jakąś szosę, przejechali przez tor kolejowy i gnali dalej, znowu do lasu. Artyleria pancerna podążała za nimi. Przez pół godziny jechali szosą, nie natrafiając na nieprzyjaciela. Burgkert stał w otwartym włazie. – Iljuszyny! –

krzyknął nagle i zsunął się w głąb wieży, zatrząskując za sobą pokrywę.

Nad lasami krążyły samoloty szturmowe, wzbijały się w górę, zawracały i nurkowały nad szosą. Czołg zaszyły się w lasku. Bomby wybuchały bardzo blisko. Działka pokładowe kosily zarośla. Samoloty krążyły nad laskiem.

– A tośmy teraz wpadli! Wzywaj plutony, Holt! – plutony zameldowały się. – Wzywaj piechotę! – Tę było słychać bardzo słabo: „Odpieramy ze skrzydła kontratak czołgów”. Burgkert trzymał w ręku świeżo otwartą butelkę wódki. – Czołgów? Nas przepuścili i miażdżą teraz piechotę! – Napił się wódki. Holt zawołał: – Vetter, wysiądź i zobacz, jaka jest sytuacja! – Vetter szybko wrócił. – Nic nie słychać, widocznie pojechały sobie! – Jedenaście czołgów wypełzło na szosę i mknęło przed siebie. Las się skończył. Zaczynały się pola. Nagie znowu pojawiły się samoloty szturmowe. Tym razem trzy czołgi stanęły w płomieniach i zostały na szosie, tylko osiem wozów dopadło zbawczego lasu. Ciągająca za nimi artyleria pancerna nie mogła się ruszyć z lasku, była atakowana przez samoloty i miała straty. Potem zapisał sygnał wywoławczy, zgłosił się dowódca. Holt zapisywał radiogram i pisząc myślał: Ja tego nie pokwituję! Podał

papier Burgkertowi na górę. Grupa bojowa rozkazywała: Czołgi i artyleria pancerna zawrócić i odbić piechotę.

Burgkert czytał radiogram. Radiotelegrafista z artylerii pancerniej zawołał przez ultrakrótkofalówkę: „Wy też słyszeliście tę bzdurę? Zawracać? Człowieku, wytluką nas tam do ostatniego działka!”

Burgkert: – Jeżeli piechota nie przejdzie, to nie ma sensu jechać dalej! –

Wolzow: – Ale jeżeli zawrócimy i odbijemy piechotę, to skończy się nam paliwo, a wówczas cały ten atak będzie bez sensu. – Burgkert – Ten atak był w ogóle bez sensu. Holt, czy pokwitowałeś ten radiogram? Nie? A to spryciarz! Wyłącz radiostację średniofalową! Wzywaj przez ultrakrótkofalówkę artylerię pancerną. Niech stary myśli, żeśmy polegli. – A do kierowcy.

– Klotzsche, naprzód!

Znowu przejechali przez tory i jeszcze raz zatrzymali się w jakimś lasku, gdzie stali wiele godzin. Po niebie krążyły niezmordowane samoloty. W hełmofonie rozmowa Burgkerta z Wolzowem. Wolzow: „Nie rzucili na nas nawet kompanii czołgów”. Burgkert. „Samoloty szturmowe najzupełniej im wystarczą”. Ponieważ Burgkert nie wyłączył laryngofonu, Holt słyszał bulgot wódki przepływającej mu przez gardło.

– Wreszcie samoloty odleciały. Czołgi skręciły w prawo i jechały wzdłuż toru kolejowego.

Dzień miał się już ku końcowi. O zmroku minęli jakąś wieś, położoną na bezkresnej, porośniętej drzewami i krzakami równinie. Ze wsi dało do nich ognia parę czołgów. Równocześnie, w ostatnich przeblyskach światła dziennego, rzuciły się na nich samoloty szturmowe. Potem zapadła noc.

Ciemność roztoczyła swe opiekuńcze skrzydła nad sześcioma ocalałymi czołgami, które znalazły sobie nowe przejście przez linię kolejową. Jak tropiona zwierzyna zaszyli się w jakimś lasku i wsłuchiwali się przez całą godzinę w zgrzyt toczących się na pobliskiej szosie gąsienic.

Potem pojechali dalej, z otwartymi włazami, chłonąc wszystkimi zmysłami głosy nocy. Przed nimi niebo było czerwone od ognia salw armatnich. Zbliżali się do celu. Gdy na niebie zaczął

rysować się sierp księżyca, wpadli na tyły zgrupowania czołgów, jakieś mniej więcej sto wozów, które zaopatrywały się na polanie w benzynę i amunicję. Gdy kanonada ucichła, już tylko cztery czołgi umykały w ciemność. Te cztery wozy z desperackim rozpędem przedarły się o świcie przez front, raz jeszcze wpadły pod niszczycielską zasłonę ogniową, którą moździerz i artyleria rozciągały nad niemieckimi liniami, i ujechawszy potem jeszcze parę kilometrów, zatrzymały się w najbliższej wsi. Burgkert wysiadł i zaczął szukać jakiegoś dowództwa.

Gdy czołg gwałtownie stanął, Holt padł na radiostację i oparł głowę na rękach. Dławiło go i trzęsło. Udało się, pomyślał, jesteście uratowani! Opanował się i wysiadł. – Żryj penvitinę –

radził mu Wolzow – to stawia na nogi! Masz jeszcze szoka-kolę? Żebyś tylko nie oklapł! –

Burgkert prędko wrócił. – Przeprowadzimy się na drugą stronę, zanim się rozwidni!

Poprzedniego dnia resztki rozbitych wojsk niemieckich dotarły do Odry. Tej nocy opuszczono przyczółek mostowy. Pozostała jedynie nieliczna osłona strzelców i pod ogniem oczekiwała rozkazu odwrotu.

Cztery czołgi sunęły szosą, która znajdowała się pod ostrzałem ciężkiej artylerii, dotarły do Odry i

wdrapały się na wał. Tam 210-milimetrowy pocisk rozwalił jeden wóz. Pozostałe wozy zjechały po stromej skarpie na brzeg, zmiażdżyły lód i podpełzły do mostu.

Stać! Wysiedli i czekali. Przez rzekę przechodziła piechota. Zrobiło się już jasno. Burgkert klął.

Most pontonowy był wmarznięty w rzekę. Tylko na środku płynęła pod nim woda. Tam wdzierła się bez przerwy na pontony kra, napierała na nawierzchnię mostu i saperzy musieli wysadzać lód w powietrze. Od dwóch dni most znajdował się pod ostrzałem. W dzień latały nad mostem samoloty szturmowe i uniemożliwiały korzystanie z niego. Saperzy bez przerwy łatali zbombardowane pociskami miejsca, naprędce zatykali podziurawione odłamkami pontony.

– Wsiadać! – Czołg dosięgnął gąsienicami nawierzchni mostu. Holt siedział na krawędzi otwartego włazu, jego nogi zwisały do środka, Vetter siedział na czołgu, obaj w pełnym ekwipunku. Wolzow stał za wieżą czołgu, Burgkert w otwartym włazie wieży dyrygował

kierowcą, który, jedyny z nich, musiał znowu zejść w groźącą śmiercią cieśń czołgu. Most zanurzony był głęboko w wodzie. Pociski zasypywały go lodem i stalą. Daleki brzeg znajdował

się za białą, mroźną mgłą. Ja to już kiedyś widziałem, rozmyślał Holt, znam przecież ten most...

Ale to było tylko malowidło olejne, obraz, który mu się teraz przypomniał. Berezyna. Gdy czołg ze swoimi czterdziestoma sześcioma tonami sunął po moście, pontony zanurzały się aż po górną krawędź. Ale most trzymał. Czołg powoli toczył się ku środkowi rzeki, zbliżał się do lewego brzegu, za nim jechał drugi. Było już zupełnie jasno.

Nagle pojawiły się samoloty szturmowe. Na brzegu zaczęły pukać poczwórnie sprzężone działa przeciwlotnicze. Drugi czołg rozprysnął się od bomby i stanął na środku rzeki jak płonąca pochodnia. Holt osłonił głowę rękoma. Czołg przed nim zakołysał się, wysoki słup wody zmieszanej z lodem trysnął w niebo. Dwa pontony zniknęły pod wodą. Most ugiął się, i już cała jego nawierzchnia była zalana, czołg przechylił się na bok, pochylał się coraz bardziej. Holt dał

się zrzucić na most. Wolzow również zeskoczył z czołgu. Vetter zleciał na Holta. Tylko Burgkert stał jeszcze we włazie wieży. Czołg spadł z mostu na łamiący się z trzaskiem lód.

Uwolniony od wielotonowego ciężaru most szybko wrócił na swoje miejsce. Z bulgocącej wody wystawała już tylko lufa i pancerna wieżyczka dowódcy.

Burgkert złapał się pontonu. Holt podniósł się jak pijany. Jeden samolot zmiatał z mostu swoimi karabinami maszynowymi wszystko, co żyło, Holt poczuł silny cios i zleciał z desek na jakiś ponton.

Leżał tam, w płytkiej wodzie, z głową odchyloną do tyłu, i powoli tracił przytomność.

Widział nad sobą szare niebo, rozdierane błyskami, słyszał znowu głos Gottesknechta, ale jakże to było daleko: Przez siedem piekieł... Potem miał halucynacje: kiedy tak jego świadomość zapadała się coraz głębiej w mrok, widział nad sobą delikatną i jasną twarz Gundel, ale wielkie oczy nie patrzyły na niego, i usta nie uśmiechały się. Wszystko zasnuwała rozfalowana mgła.

Holt leżał w pewnym małym dolnośląskim miasteczku w szpitalu, który był kiedyś szpitalem rezerwowym i został ewakuowany, a teraz jako szpital polowy przyjmował

napływające ze wschodu masy rannych i opiekował się nimi. Ci, którzy mogli iść o własnych siłach, i lekko ranni odsyłani byli dalej. Front zbliżał się coraz bardziej i wypluwał całą falę rannych, chorych, zmordowanych żołnierzy. W bocznym skrzydle szpitala urządzono główny punkt opatrunkowy. Huk armat wdzierał się do sal.

Holt leżał z przestrzelonym udem. Pocisk na szczęście nie uszkodził żadnego większego naczynia ani nerwu. Cztery tygodnie, powiedziano mu, a, już najwyżej sześć... Przyzwyczajono się tu do gorszych rzeczy: do ropiejących ran postrzałowych i cuchnących infekcji, do zgorzeli gazowej, posocznicy, tężca i dyfterytu ran... Pierwsze tygodnie bólu i gorączki upłynęły Holtowi w zupełnej apatii, potem otrząsnął się z niej i leżał zapatrzony w białą pościel, oddając się nieokiełznanym marzeniom, tak jak kiedyś, gdy jako mały chłopiec marzył w snach na jawie o podróżach po świecie, o sławie i władzy... Teraz, podczas tych samotnych dni w szpitalu, snuł

sny kolorowe o jakimś innym świecie, w którym panowała wieczna wiosna... Bezszelestne kroki siostry zakonnej wcale mu w tym nie przeszkadzały. Ból rannych, cierpienia umierających prawie wcale nie docierały do jego świata marzeń.

Holt dotrzymał przyrzeczenia i posłał fotografię ojcu Gomulki, ale na list adwokata, który wkrótce potem nadszedł, nie odpowiedział. Napisał również do Gundel i dostał od niej pocztę.

Gdy później któregoś dnia usłyszał stukot podkutych butów i szorstkie głosy, zamarł

z przerażenia. To go wyrwało z marzeń i przywołało do rzeczywistości. Wolzow przyszedł!

W aurze mrozu, zalatując brudem, potem i juchtem. Do cichej sali szpitalnej wdarło się życie i przypomniało Holtowi, że jeszcze nie koniec tego wszystkiego.

Była połowa marca. Od tygodnia Holt wstawał już z łóżka i kuśtykał po sali, stawał przy oknie i patrzył w ogród. Śnieg tajał, przez okno buchało ciepło, a potem znowu przyszedł

trzaskający mróz. Od zachodu ciągnęły chmury, padał śnieg, za węglem szpitala wyła zawieja.

Innego dnia znów niebo nad miasteczkiem było przezroczyście od mrozu. Zima opierała się postępującemu naprzód rokowi..

A teraz przyszedł Wolzow! Przyciągnął sobie krzesło do jego łóżka, rozpiął kombinezon i pokazał naramienniki z dystynkcjami kaprała. – Werner... stary wiarusie! – Był niby taki sam, jak zawsze, a jednak inny.. postarzał się: oczy miał zapadnięte, broda mu się zaostrzyła, mięśnie policzkowe stwardniały. Razem z nim zjawił się również Vetter. Ten jeszcze bardziej zeszczuplał, był już prawie chudy. – Wylizales się już? – zawołał. – Spiesz się!

Przyszli z koszar. Wolzow opowiadał. Wrocław jest od dawna okrążony, znajduje się już daleko za frontem. Po wycofaniu się z Odry pchano ich na próżno i bez sensu z jakąś jednostką alarmową na przyczółek. Atak za atakiem kończył się fiaskiem. Potem wypadły z przyczółka czołgi. Przetrzebione oddziały biły się z desantem piechoty i zostały odrzucone.

Wreszcie jakiś oddział zaporowy odesłał Wolzowa i Vettera na tyły.

– Był to jakiś kapitan – wyjaśnił Vetter. – Stwierdził, że jesteśmy właściwie za mało wyszkoleni, coś takiego! – Wolzow powiedział: – Mnie to nawet przypadło do gustu, bo tam już było naprawdę paskudnie. Bez przerwy walka wręcz. – Wolzow powiedział: „paskudnie”?... –

Wróciliśmy do Wehnerta.

W koszarach wszystko było po staremu. Szkolenie, wrzaski Revetckiego, wykłady Wehnerta. – Jednego dnia – opowiadał Wolzow – przychodzi do mnie Wehnert: „Moje gratulacje, kapralu Wolzow!” Moja kariera oficerska zdaje się być pewna. Rzadko kiedy bez szkoły tak prędko się awansuje. Wehnert powiedział, że najlepiej zrobię, jeżeli zaraz zgłoszę się na front. No i zgłosiłem się. – Vetter: – Ja naturalnie razem z nim.

– Właśnie szykujemy się do wyjazdu – powiedział Wolzow. Przeciągnął się na krześle: –

A ty kiedy się wyliziesz? Najlepiej byłoby, żebyś poszedł razem z nami! Rosjanie pędzą naprzód pełną parą!

Ze wszystkich łóżek posypały się teraz pytania, trwożne, rozpaczliwe. Wolzow naszpikowany był wiadomościami. – Amis są nad całym Renem, Koblenca musi paść lada godzina...

– Ale moja noga nie jest jeszcze w porządku, Gilbert...

– Pospiesz się z tym! – powiedział Wolzow. Minał tydzień i Wolzow znowu się zjawił.

Właśnie skończyła się pełna niepokoju i trwogi noc, podczas której ranni nie zmrużyli nawet oka; daleka kanonada podchodziła coraz bliżej i bliżej, aż wreszcie można było całkiem wyraźnie odróżnić jazgot dział pancernych od głuchego huku artylerii polowej... Skoro tylko zrobiło się jasno, wdarł się na salę Wolzow, nie zwracając uwagi na krzyk, jaki podniosły zaraz siostry. Był zabłocony i dopiero przy łóżku Holta rozpiął pasek u hełmu. – Rosjanie! – Ciężko ranny żołnierz, który był poprzedniego dnia operowany, jęczał w malignie. Pozostali leżeli porażeni strachem. Wolzow mówił pod – i niesionym głosem: – Czołgi się przedarły! Burgkert odbiera już w biurze twoje dokumenty. – Jedna z sióstr zaczęła protestować: – Bez badania lekarskiego i...

– Prędeż, Werner! – Holt już się ubierał. Musi jakoś dać sobie radę.

Przed szpitalem stał ciągnik z 75-milimetrowym działem przeciwpancernym. Starszy sierżant był mocno pod gazem. – Już zdrow? – zawołał, i ciągnik z ośmioma ludźmi obsługi ruszył.

Wszędzie rzucały się Holtowi w oczy oznaki rozprężenia. Sztaby i organa administracji uciekały na zachód. Resztki rozbitych oddziałów frontowych porywały ciągnące na wschód jednostki alarmowe

w wir odwrotu. Wśród tego chaosu ciągnik z huczącym, silnikiem posuwał

się naprzód. Wkrótce powietrze zaczęło wibrować od hałasu nadciągających czołgów. Dowieźli działo przeciwpancerne na grzbiet jakiegoś zaśnieżonego wzgórza. Szosą, daleko na tyłach frontu, waliły czołgi z desantem piechoty. Wolzow dał do nich ognia z bliskiej odległości.

Czołgi zboczyły z szosy i bez chwili wahania wzięły na cel ich działo. Działa czołgowe zajazgotały, działo przeciwpancerne umilkło. Ucieczka na drugą stronę wzgórza. Na polu płonął

jeden T-34. Czołgi zawróciły na szosę. Ciągnik uciekał na północ z sześcioma ludźmi, którzy jeszcze trzęśli się jak w febrze i wśród których był ciężko ranny. Samotny samolot szturmowy wypadł nagle z szarego nieba i zaczął polować na ciągnik; zeskoczyli na ziemię i pognali do lasu, za nimi ciągnik z pełnym bakiem benzyny wyleciał w powietrze. Wędrowali przez lasy i opuszczone przez chłopów wsie, aż wreszcie natknęli się na rozproszone oddziały żandarmerii polowej i SS. Pogłoski: „Rosjanie stoją pod Zgorzelcem!”

Burgkert przyniósł dokumenty. Musiał tu zostać. Z Żagania jechał przepełniony pociąg do Chociebuza, załadowany uciekinierami i rannymi. W Chociebużu SS zamierzało wpakować całą trójkę do następnej kompanii alarmowej i znowu wysłać ją w ogień. Ale Holt dzięki swoim papierom ze szpitala dostał w komendanturze rozkaz wyjazdu dla wszystkich trzech.

W koszarach ostatnie grupy siedziały na spakowanych walizkach. Dwie kompanie zostały przeniesione do środkowych Niemiec. Pluton szkolny kompanii sztabowej pod wodzą Wehnerta miał się znajdować gdzieś za Nysą. Chłopcy udali się na jego poszukiwanie. Pluton stał na zachód od Budziszyna w jakimś lasku i ochraniał zaporę przeciwczołgową.

Holt już prawie Wehnerta zapomniał i ledwo go poznał. Podporucznik nic nie stracił ze swej dawnej elegancji: lśniące buty, zaprasowane kanty; zrobił się tylko bardziej nerwowy i często poprawiał sobie pas i czapkę... Wolzow trzasnął obcasami.

Zapora przeciwczołgowa była jeszcze otwarta. Między pobliskim lasem a grzbietem dalekiego wzgórza ciągnął się system stanowisk, bunkrów wykopanych w ziemi i rowów łączących. W lesie stał barak. Pluton obozował w bunkrach i rowach. Dzień i noc stały przy zaporze podwojone posterunki. Dzień w dzień ciągnął szosą ze wschodu tłum uciekinierów, starcy, kobiety a i dzieci, wycofujące się sztaby, uciekający członkowie partii. Posterunki kontrolowały dokumenty. Parę kilometrów za zaporą stał oddział żandarmerii polowej. Revetcki został wysłany z kompanią rekonwalescentów na front. Boek dowodził pierwszą drużyną, nie krzyczał już i nie szalał, tylko udawał dobrego kolegę. Drugą drużynę objął Wolzow. Nadeszła odwilż, robiła się wiosna. Rowy napełniły się wodą i błockiem. Dowóz żywności ustał, ludzie głodowali.

Jednego wieczoru posterunki zaczęły wzywać Wolzowa, którego drużyna pełniła właśnie przy zaporze wartę. Stał tam wielki otwarty mercedes z nie zaciemnionymi światłami. W ostrym świetle stał w rozkroku Vetter, z pistoletem maszynowym gotowym do strzału. Drugi wartownik stał przy błotniku. Szofer siedział oparty o poduszki i palił papierosa. Trzech oficerów, jeden podpułkownik i dwóch majorów, wrzeszczało jeden przez drugiego w jakimś żargonie zbliżonym do charkotu. Jeden z majorów, chudy facet w okularach w nikłowej oprawie i z sępią twarzą, stał obok szofera,

pochyłony nad szybą ochronną. Wolzow wyrzucił przepisowo rękę w górę. – Panie majorze? – Vetter podrapał się wolną ręką po karku i zawołał bezwstydnie: –

Nie mają żadnych dokumentów! Oni chcą wiać! – Teraz zaczął wrzeszczeć również podpułkownik. Na to przyszedł Wehnert. – Podporucznik!

Nareszcie! – Major otworzył drzwiczki. Podporucznik stanął w świetle reflektorów i wyrzucił rękę do pozdrowienia. Major zaczął mu coś tłumaczyć. Wolzow przyglądał się tej scenie podejrzliwie. Podpułkownik gestykulował żywo rękami, potem zadowolony wsiadł

z powrotem do samochodu. – Przepuście ich! – rozkazał Wehnert.

Wolzow zawahał się, ale w końcu zrobił krok w tył. Wehnert również odsunął się na skraj szosy i zarzucił pistolet maszynowy na ramię. Wóz dał gazu i pomknął przed siebie. Wehnert bez słowa odszedł do baraku. Później powiedział ugodowo: – Wolzow, w takim wypadku należy... – Wolzow przerwał przełożonemu szorstko: – O co zakład, że ci trzej panowie nawiali?

– Wehnert zniósł ten wyzywający ton. – Sytuacja wymaga, aby oficer, jako człowiek najwartościowszy, oszczędzał się...

– Sytuacja! – prychnął Wolzow pogardliwie. – Sytuacja wymaga walki do ostatniego żołnierza!

– Ależ weźcie się w garść! – powiedział Wehnert. – W garść? Wie pan, co ja wezmę w garść, panie poruczniku? Stryczek! I jeżeli w przyszłości zobaczę, że ktoś wieje, to będzie mi szkoda kuli! Wyciągnę wtedy stryczek i własnoręcznie powieszę takiego drania na latarni! –

Wymawiając ostatnie słowa, Wolzow podszedł do drzwi i stamtąd krzyknął: – Ja się trzymam rozkazu Führera: Walka do ostatniej kropli krwi! W tym wypadku nie mogłem im tego udowodnić, ale gdybym mógł, to skinąłbym tylko na Vettera, on nie ma skrupułów, panie poruczniku... My się nie będziemy patyczkować z takim, co sobie zasłużył na haniebną śmierć.

I trzasnął za sobą drzwiami.

Holt opuścił barak. Zszedł do rowów, pod jego stopami trzeszczał lód. Błocko zamarzło.

W jednym z załomów rowu znalazł Petera Wiesego, owiniętego w mokry koc i nakrytego płachtą namiotową. Tak siedział, z głową opartą o ścianę rowu. Holt w milczeniu usiadł obok niego. W żołądki mu burczało. – Zjem teraz żelazną porcję.

– Porucznik zabronił – powiedział Wiese. Holt już żuł. – Ty też powinieneś coś zjeść, wyglądasz przecież jak trup na urlopie... – Ale ledwo wypowiedział te słowa, już tego żałował.

Wiese uśmiechnął się, trochę smutnie. – Myślę teraz wiele o pewnej książce – powiedział. –

O jednej z książek Hugo. Było w niej takie zdanie: „...człowiek ma w sobie tyrana”. Wypowiada je jeden z byłych członków Konwentu: „...tym tyranem jest niewiedza”.

– Czy dlatego właśnie tak się w szkole pilnie uczyłeś? – zapytał Holt.

Wiese odsunął się trochę od niego i poprawił sobie na ramionach płachtę namiotową. –

Właściwie dlatego, że mnie tyle rzeczy na tym świecie irytuje... I mam nadzieję... że byłoby możliwe... „Człowiek powinien się rządzić tylko wiedzą!”... A „sumienie” samo się znajdzie, Ten deputowany do Konwentu mówi: „To jest to samo”. Wyobraź sobie, on twierdzi, że wiedza i sumienie to jedno i to samo!

– W takim razie my jesteśmy ludźmi bez sumienia – powiedział Holt, słowa te obudziły w nim niepokój. Ale... – Knack zawsze nas ostrzegał, żebyśmy nie przeceniali wiedzy! –

zawołał. – Żebyśmy się nie „zromanizowali”, jak zwykł był mawiać. Człowiekowi nordyckiemu odpowiada związek z nieskończonością... – Wiese powiedział: – Tak... Ale... do czego to prowadzi, jeżeli się zatracą umiar, ja sam wiem... przynajmniej w muzyce. Tam prowadzi to do Wagnera. Nieomal w nicość. A raczej tylko w nicość.

– Dlatego u Germanów ciągle jest na końcu ten zmierzch – powiedział Holt. – Już *Pieśń o Nibelungach* mówi, że radość kończy się cierpieniem... – Nie wierzył wcale w to, co mówił.

Myślał: Wszystko fałsz, wszystko kłamstwo!

Gdyby się tak tę wojnę udało przeżyć, rozmyślał, to trzeba by zaczynać od początku, uczyć się na nowo, szukać, pytać...

– Daj sobie spokój z tym filozofowaniem, Peter! Nam jest teraz potrzebny hart. – Owinął się w swój koc i próbował spać. I znowu pomyślał: Z zawiązanymi oczyma... w ciemnym pokoju...

Na drągi dzień Wehnert pojechał z Boekiem na tyły, żeby wreszcie zdobyć gdzieś trochę żywności. Dowództwo przekazał Wolzowowi. Ruch na szosie robił się coraz większy. – Prześpię się trochę – powiedział Wolzow. Holt z Vetterem został przy zaporze. Palii papierosa.

Z wzrokiem utkwionym w poranną mgłę bezmyślnie patrzył na wschód.

– Widzisz to coś tam daleko? – zapytał Vetter. Szosą, jeszcze bardzo daleko, pełzło powoli w ich stronę coś jak wielki, szary robak. Raz po raz dolatywał do nich z wiatrem słaby trzask.

– Brzmi jak trzaskanie z biczem! – powiedział Vetter.

– Brzmi jak strzały – powiedział Holt. Wartownicy przy zaporze stali bez ruchu. – Jakaś kolumna marszowa! Taka jakaś dziwna! I tak wolno... Z tej samej strony nadszedło auto, a w nim gruby cywil i trzy kobiety. Holt skontrolował ich dokumenty. Zawód: dyrektor przedsiębiorstwa. – Niech mi pan powie – zagadnął Holt – państwo minęliście przecież tę kolumnę... – Jedna z kobiet zawołała: – Myśmy nic nie widzieli, absolutnie nic... – Cywil dał

czym prędzej gazu.

Szary pochód zbliżał się coraz bardziej do zaporę i widać już było, że składa się z poszczególnych grup. W nieregularnych odstępach czasu, co dwie albo i co trzy minuty, smagały powietrze suche strzały z pistoletu. Przy zaporze zmienili się wartownicy. Był wśród nich teraz Peter Wiese, niewyspany, hełm zdawał się go przytłaczać, karabin, który zawsze był

dla niego za ciężki, zwisał mu żałośnie z ramienia.

– Wypałeś się? – zapytał Holt. Wiese nigdy jeszcze się nie skarżył. Holt skierował wzrok z powrotem na wschód. Szara kolumna ludzi sunęła powoli i wreszcie zaczęła przechodzić przez otwartą zaporę... Na czele esesmani, z pistoletami maszynowymi na pasie, u ramienia, z granatami zatkniętymi za cholewę, po obydwu bokach kolumny esesmani, z otwartymi futerałami pistoletów przy klamrze pasa, czapki zsunięte na tył głowy, młode twarze, tępe, nieruchome, czujne... Długi, szary pochód bardzo wolno włókł się przed siebie: postacie – żywe szkielety, odziane w pasiaste drelichy... obciążone skórą trupie czaszki na suchych szyjach...

bose, sine z odmrożenia stopy w drewniakach... widmo, a przecież rzeczywistość... I to żyło, wlokło się szosą zgarbione, śmiertelnie wyczerpane, ciągnęło na sznurach ciężkie drabiniaste wozy, przewracając się przy tym i wpadając wzajemnie na siebie, i przez cały ten pochód szedł

jeden jęk, tchnienie śmierci i rozkładu.

– To... to jest jakiś kacet! – szepnął Vetter podniecony. – Wszystko przestępcy, podludzie, komuniści!

Jeden z tych żywych szkieletów zachwiał się i upadł. Postać w pasiaku leżała na szosie z twarzą w błocie... Na cienkiej bluzie Holt zobaczył czerwony, zwrócony wierzchołkiem w dół

trójkąt... Następne postacie bezradnie przechodziły przez ten kłębuszek sponiewieranego człowieczeństwa. Jeden z esesmanów zatrzymał się i kopnął go nogą, nie, wcale nie brutalnie, tylko tak, jakby chciał sprawdzić, czy ten człowiek jeszcze żyje. Więzień z wielkim trudem uniósł głowę, odciągnął jedno kolano pod siebie i leżał już potem bez ruchu. Twarz esesmana nawet nie drgnęła. Runy naszywkach kołnierza błysnęły. Esesman pochylił się złapał człowieka w pasiaku za rękę i bez trudu pociągnął go za sobą na brzeg przydrożnego rowu. Potem wrzucił

go do rowu i wyciągnął pistolet. Huknął strzał.

W tym samym momencie zawisł w powietrzu słaby, ale przejmujący krzyk. Peter Wiese rzucił karabin i niezgrabnie skoczył z pięściami na esesmana. Jedno uderzenie pięści odrzuciło go z powrotem, ale Wiese nie upadł, rzucił się po raz drugi ze swymi słabymi piąstkami na esesmana i czapka z runami i trupią główką spadła w błoto... Wiese wczepił się rozpaczliwie w esesmana. Ten lufą pistoletu uderzył Wiesego w twarz, odepchnął go od siebie i strzelił.

Na środku drogi pozostało już tylko ciało Petera Wiesego, omijane nieśmiało przez zaleknione postacie w pasiakach. Holt schylił się, odwrócił Wiesego na plecy i spojrzał

w zmasakrowaną pistoletem twarz. Kula utknęła w szyi. – Peter! – jęknął Holt. – Bracie...

Wiese! – Grupa esesmanów zawróciła. – Tu, Oberscharführerze, leży jeszcze na tym samym

miejscu...

Holt nawet się nie odwrócił. Esesmani zniknęli za zakrętem w lesie. Kolumna odzianych w pasiaste drelichy postaci przeszła.

Wolzow klął. Zapalił papierosa. – Ten Wiese był zawsze szmyrgnięty! Co go obchodzili ci przestępcy!

– To od tej jego łaciny...! – zawołał Vetter. Żołnierze złożyli siedmiu zabitych więźniów na jedno miejsce. Gdy wrócił podporucznik Wehnert, kazał Wolzowowi opowiedzieć wszystko w cztery oczy. W tym czasie wykopano wielki grób. Nikt Wiesego nie żałował. – Zostanie pogrzebany razem z tymi przestępcami! – rozkazał Wehnert.

Holt podszedł do otwartego grobu. To jest doprawdy żalodne, że ja się tak spokojnie przyglądam, jak go chowają. Dlaczego nie leżę razem z nim w tym grobie, i paru esesmanów jeszcze do tego? To byłoby przynajmniej jakieś rozwiązanie.

Teraz już w ogóle nie ma dla mnie żadnego rozwiązania, pomyślał.

– Zakopać! – rozkazał Wolzow.

Holt zapytał: – Co to się zrobiło z naszych... ideałów? Czy nie mieliśmy walczyć o sprawiedliwość? Czyś nie obił Meissnera za to, że wyrządził komuś krzywdę?

– To była dziecinada – odparł Wolzow. – Byliśmy wtedy głupimi szczeniakami.

– A dziś? Czym jesteśmy dziś?

– Żołnierzami.

– Żołnierzami... – powtórzył Holt.

– Ale teraz już dość tego – zawołał Wolzow. – Weź się w kupę! Ten cały Miesepeter nie jest tego wart, żeby taki chłopak jak ty z jego powodu się żałamywał!

Taki chłopak jak ja! pomyślał Holt.

Gruda ziemi spadła na głowę Wiesego, następnie łopata piachu zasypała zniekształconą dzieciną twarz. Żegnaj! Nie miej do mnie o to żalu!

Holt odszedł od grobu, Rozmyślał: Ten Wiese był wśród nas jedynym prawdziwym bohaterem. Niszczenie czołgów i walka wręcz to wszystko jest bardzo wątpliwym bohaterstwem. Nie mam się już co pokazywać w tym mieście nad rzeką. Jak bym śmiał spojrzeć rodzicom Wiesego w oczy, skoro biernie się temu przyglądałem? Jak bym mógł stanąć przed Gundel? Wiem przecież, że ci ludzie w pasiakach byli tacy sami jak jej ojciec. Nie ruszyłem nawet palcem, tylko się przyglądałem. Teraz już nie mam wyboru.

Trzeba zapatrzeć się w jakiś wymaginowany punkt, ucześć go się... i naprzód marsz!

Pluton szkolny zluzowała jakaś jednostka volkssturmu, obsadziła pozycję i przejęła służbę wartowniczą przy zaporze. Wehnert zawiózł pociągiem swój pluton pod Lipsk, bo tam stała teraz kompania sztabowa, rozmieszczona w kilku wsiach. Tu miano ich dalej szkolić, ale pluton snuł

się beczynnie z kąta w kąt, bo Wehnert pojechał szukać sobie kwatery w sąsiedniej wsi i o nic nie dbał. Kapral Boek siedział cały dzień w gospodzie i kładł sobie pasjansa. Całą władzę zagarnął Wolzow. – Jeszcze parę dni takiej beczynności, a pluton nie będzie już zdolny do walki – powiedział. – Ci bandyci zapisują sobie już najdogodniejsze pociągi do domu! – Holt od śmierci Wiesego był zupełnie zgaszony, nic go już nie interesowało, poruszał się jak automat.

Świadomie unikał wszelkich wiadomości. Gazety zresztą nie docierały do wsi. Na Wielkanoc Wolzow pojechał do kompanii, i gdy wrócił stamtąd, odciągnął Holta na bok: – Wchodzimy do akcji! Już najwyższy czas! – Skrzyknął cały pluton, rozsypany po kwa terach. – Za godzinę macie być gotowi do wymarszu! – Boek skrzywił się, jakby się napił octu.

Wolzow przysiadł się w gospodzie do Holta. – Burgkert znowu jest tutaj. Rosjanie stoją nad Odrą i Nysą. Amerykanie przełamali front na całej długości. Zagłębienie Ruhry w okrążeniu. Szpice pancerne podchodzą do Fuldy i Wezery. Wymienia się Osnabrück, Marburg, Giessen...

Najwyższy czas, żebyśmy się włączyli!

Holt nic na to nie powiedział.

Dwie ciężarówki stały gotowe do drogi. Wehnert został w sąsiedniej wsi przy kompanii. –

Chciałbym wiedzieć, dlaczego nie jedzie z nami – mruczał Wolzow. Jechali na zachód. W nocy dotarli do jakiejś gospody, w lesie. Żołnierze leżeli tu na żołnierzach. Krążyły dzikie pogłoski.

Vetter je powtarzał: – Mają tu podobno stać czołgi, jakieś niesamowite masy czołgów!

Przystępujemy do wielkiej kontrofensywy! – Wolzow studiował mapę. – Znajdujemy się na południe od Kassel... Ta rzeka to była Fulda! – Rozejrzał się, naokoło rzeczywiście stały czołgi, z pełnym zapasem paliwa i amunicji, Pkw III z 50-milimetrową armatą, ponadto parę wozów przebrojonych w 75-milimetrowe armaty L-24.

Podczas wyznaczania funkcji rozdzielono ich. Wolzow został dowódcą, Holt miał jechać jako radiotelegrafista. Wozy były małe i ciasne, trzy kompanie, czterdzieści czołgów. Załogi ustawiły się w szeregu! Było jeszcze ciemno. Wyłonił się tu nagle podporucznik Wehnert, jako dowódca kompanii.

Jeden czołg skierował ostry snop światła z reflektora na jakiegoś oficera bez ręki. Kapitan Weber! Bezręki kapitan miał opinię bohatera, który potrafi bić się do ostatniego żołnierza.

Ochryplym, donośnym głosem krzyknął: – Żołnierze! Niemieccy czołgiści! Führer, pomny na naszą

świetną przeszłość bojową, wzywa nas znowu do walki. Zawsze gdzie tylko bili się niemieccy czołgiści, bili się zwycięsko. Zawsze gdzie tylko...

Holt był znowu myślami gdzie indziej. Odkąd tylko wyszedłem ze szpitala, nie miałem żadnych wiadomości od Gundel, przypomniał sobie nagle. Uciekał teraz często myślami do Gundel, choć opadała go potem zawsze nowa fala niepokoju. Wstawał poranek.

– Naszemu Führerowi trzykrotne...

– Hura! Hura! Hura!

– Do wozów... rozejść się!

Warczały zapuszczone silniki. Batalion wyjeżdżał. Kierowca w czołgu Holta, stary, zmęczony człowiek, zawołał przez telefon wewnętrzny: – Jak nadlecą jabosy* [*Jabosy: Jagdbomber samoloty myśliwsko-bombowe.]... zaraz mi daj znać, żebym mógł na czas stąd wyleźć! – Holt siedział z tyłu na czołgu. Rozkaz brzmiał: Kaemy strzelców-radiotelegrafistów należy wymontować i przystosować do obrony przed samolotami nurkującymi. Holt trzymał

kaem na kolanach. Na szosie było błoto. Jechali na zachód, potem na południowy zachód. Robiło się jasno. Dzień zapowiadał się pogodny i bezchmurny.

Wysoko na niebie zahuczała nagle nad nimi kolumna – samolotów myśliwsko-bombowych.

Nurkowały z wściekłym rykiem nad szosą. Prawie wszystkie wozy stanęły, załogi rozpięchły się i uciekały na lewo do pobliskiego lasu. Kilka czołgów zjechało z szosy na prawo i umykało zygzakami przez pole. Holt rzucił kaem w błoto, puścił się pędem do lasu i padł w zarośla. Na polu i na szosie czołgi wylatywały razem z benzyną w powietrze, podczas pierwszego nalotu trzy, podczas drugiego cztery, potem pojawiła się na niebie nowa kolumna samolotów myśliwsko-bombowych. Syczały rakiety. Po szosie płynęła płonąca benzyna. Nalot za nalotem, bez przerwy. Walili jak w tarczę.

Holt zaszył się głębiej w las. Wpadł na Wolzowa i na Vettera. Jeden mustang śmignął lotem koszącym nad polem, wyszukał sobie jakiś nie uszkodzony jeszcze czołg, plunął w niego ogniem z broni pokładowej i umknął świecą w górę. Czołg rozleciał się z hukiem. Ryk samolotu cichnął.

W palących się czołgach wybuchała amunicja. „Zbiórka!” rozległo się po lesie słabe wołanie.

Na szosie, pomiędzy płonącymi wrakami, stał jeszcze jakiś tuzin nie uszkodzonych wozów.

Czołg Holta był jeszcze względnie cały. Zebrane przy czołgach załogi powsiadały. Kierowca błagał: – Jak znowu nadlecą... daj mi zaraz znać!

Nadleciały, gdy kolumna ujechała już parę kilometrów i znajdowała się akurat w takim miejscu na szosie, skąd do najbliższego lasu było jakieś tysiąc metrów przez pole. Jabosy zostawiły tym razem czołgi w spokoju i rzuciły się na uciekające załogi. Holt pędził co sił

w nogach i dopadł lasu.

Jabosy rzuciły się potem na czołgi, niszcząc je raketami, bronią pokładową i bombami, i prędej nie spoczęły, dopóki ostatni czołg nie rozleciał się w drobny mak.

Reszta batalionu posuwała się dalej piechotą, już prawie bez broni, zaledwie pięćdziesięciu ludzi. – Dostało się tylko nielicznym. Większość nawiała – powiedział Wolzow wściekły.

Maszerowali aż do obiadu. Niebo chmurzyło się coraz bardziej. Dotarli do jakiejś wsi. Ze wszystkich domów zwieszały się białe flagi. Kapitan Weber szalał z wściekłości: – Te szmaty muszą zniknąć! – Wolzow, Holt i Vetter zaczęli chodzić po zagrodach. – Czy jest tu jeszcze wojsko gdzieś w pobliżu? – Jeden chłop wskazał kciukiem za siebie. – Tylko bateria artylerii przeciwlotniczej. Samoloty wszystko strzaskały. – Rozmawiali z właścicielem stacji benzynowej. Gruby, czerwony na twarzy mężczyzna powiedział stłumionym głosem: –

Skończcie z tym i Lada chwila mogą zjawić się tu czołgi! – Wolzow wyjechał na niego z pyskiem, przewąchał warsztat naprawczy i zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami garażu.

– Otworzyć! – W garażu stała mała ciężarówka. – Rekwirujemy ten wóz! – Wolzow sprowadził

ludzi. Grubas wrzeszczał rozpaczliwie: – Pan... mi niszczy... egzystencję! – Wolzow rozkazał: –

Wystaw mu pokwitowanie, Vetter, porządek musi być! – Vetter usiadł na ocembrowaniu pompy i napisał swoim ostrym, uczniowskim pismem: „Niniejszym kwituję odbiór zajętej zgodnie z przepisami ciężarówka dla celów wojennych, podp. Vetter, strzelec wojsk pancernych. 5

kwietnia 1945”. Grubas rzucił im ten świstek pod nogi. Ciężarówka pojechała do gospody, gdzie oddział zatrzymał się na odpoczynek. Żołnierze kłócili się między sobą o miejsce na samochodzie. Kapitan Weber rozkazał: – Wolzow! Poprowadzicie resztę ludzi, w kierunku Hei Mgenstadt-Mühlhausen. My pojedziemy naprzód. – Wóz odjechał. Wolzow został na placu z trzydziestoma żołnierzami, byli to prawie sami starsi ludzie, tylko kilku należało niegdyś do byłego plutonu szkolnego. Wolzow zaczął się naradzać z Vetterem. Vetter oświadczył: – Jeżeli najpierw nie dostanę czegoś do żarcia, to cała ta wojna przestanie mnie bawić. – Wolzow dał mu godzinę 62, czasu. Vetter wdarł się do szynku, było krzyku co niemiara, był psioczący właściciel, który wymachiwał mu przed nosem widłami. Vetter wrzasnął: – To ty podobno byłeś pierwszy, który wywiesił białą flagę, ty łotrze!

Holt siedział znużony na ławce przed szynkiem. Scena ta była mu zupełnie obojętna.

Wszystko było mu obojętne. Wolzow zarządził zbiórkę. Ktoś w pierwszym szeregu mruknął: –

Najlepiej byłoby zrobić już z tym koniec. – Wolzow zagroził: – Kto ucieka, jest dezterterem, a dezterterów będę wieszał własnymi rękami. – Nie szemrano już, ale nikt też nie był tym zachwycony. Wolzow usiadł na ławce i spojrzał w niebo. Słońce za chmurami zbliżało się do horyzontu. Vetter wyszedł z domu, rozdzielił pomiędzy ludzi kilka suchych kiełbas i oświadczył:

– Ugotuję tu trochę klusek! – Wolzow siedział bez ruchu. Nagle zerwał się na równe nogi.

Zgrzytliwy klekot gąsienic, warkot silników... Czołgi zbliżały się bardzo szybko. Vetter, klnąc na

czym świat stoi, wypadł z gospody, złapał hełm i broń. – Dwuszereg... w prawo zwrot!

– Wolzow wyprowadził swoją drużynę ze wsi.

Wieś ciągnęła się bez końca. Gdy minęli ostatnie domy, ryk silników był już tak blisko, że drużyna rzuciła się w popłochu do ucieczki.

Droga prowadziła na północ. Na lewo rozciągał się olbrzymi ugór, aż po horyzont na zachodzie, gdzie właśnie chmury się rozpląwały, ustępując miejsca rażącemu w oczy snopowi promieni żółtoczerwonego zachodzącego słońca. Daleko parę wysepek zarośli, za nimi rzadki lasek brzezinowy, obiecywały schronienie i osłonę. Tam właśnie uciekała drużyna, bezładnie i bez rozkazu. Na prawo od drogi było lekko wznoszące się ku zalesionym górcom na wschodnim horyzoncie, i nad tym polem zapadał już zmrok.

– To przecież nonsens! – krzyknął Wolzow.

Jednym spojrzeniem ogarnął sytuację i wrzasnął: – Stać! Na prawo! – Nikt go nie słuchał.

Tylko ci, co biegli ostatni, zawrócili i popędzili z powrotem do drogi, Vetter i czterech młodszych żołnierzy w czarnych mundurach czołgistów. Wolzow, klnąc, pociągnął Holt ta za rękę na prawo. Reszta uciekała przez łąkę wprost na ziejący światłem horyzont.

Wolzow wskazał ręką na wschód, gdzie zmrok coraz bardziej gęstniał. – Stanowisko artylerii przeciwlotniczej! – Holt widział przed górami tylko szare ciemne pole...

Czołgi wypadły ze wsi, ujechały kawałek drogą, stanęły, obróciły wieże na zachód i zaczęły strzelać z karabinów maszynowych i granatami rozpryskowymi do uciekających żołnierzy, którzy na tle jaśniejącego światłem horyzontu rysowali się wyraźnie jak tarcze. Wolzow, Holt, Vetter i czterech żołnierze gnali na wschód przez mokre pole. Gdy Holt odwrócił głowę, zobaczył

na szosie długi sznur czołgów ruszających z miejsca, czarnych i groźnych na tle płonącego horyzontu. Holt pędził dalej i nagle ujrzał przed sobą ciemne kontury jakby wałów ziemnych czy bunkrów... Wolzow krzyknął: – Stanowisko artylerii przeciwlotniczej! – Na szosie czołgi jechały przed siebie. Serie z karabinów maszynowych smagały zapadający wieczór.

Dotarli wreszcie do szarych kopców ziemi i ujrzeli armaty oraz pojazdy jakiejś rozbitej baterii dział 88-milimetrowych. – Jabosy wszystko rozpieprzyły! – wykrzyknął Vetter. Jedna armata spadła z lawety, leżał przy niej zabity artylerzysta, wszędzie naokoło trupy. Teren opadał

ku wschodowi i prze – Przygody Wenera Holta t. I chodził w żwirowisko, do żwirowiska prowadził wąwóz. Między dwiema niskimi piaszczystymi ścianami, prawie niewidoczna w mroku, stała armata, zwrócona swą szeroką tarczą ochronną na zachód. Wolzow wrzasnął: –

Chodźcie tutaj! – Na żwirowisku leżała przewrócona trzyosiowa ciężarówka, a przy niej rozrzucone kosze z nabojami, naokoło ziały leje po bombach. Wolzow wyciągnął jeden nabój z najbliższego kosza. – Pociski przeciwpancerne! Do czterdziestki jedyńki, celowanie bezpośrednie! Holt –

ładować, Vetter – mechanizm podniesieniowy, ja – kierunkowy! –

Popchnął Holta za armatę. Czterej żołnierze w czarnych mundurach już znosili amunicję.

Wolzow wrzasnął: – Holt... masz ładować, słyszysz?! – Holt jednym szarpnięciem otworzył

zamek, wsunął nabój do komory i zamek wrócił na swoje miejsce. Holt złapał za spust.

Dopiero teraz zauważył, że na szosie za wsią stały jeszcze tylko trzy czołgi. Reszta pojechała dalej. Trzy sylwetki rysowały się wyraźnie na horyzoncie, gdzie płonąca kula słońca dotykała już ziemi i rzucała ostre światło na równinę. Armata stała w cieniu. Vetter, z okiem przy okularze celownika, zawołał: -

Mam go i – Od prawego! – To był Wolzow. – Ognia! – Holt pociągnął posłusznie za spust.

Huknął strzał. Było to jak wspomnienie: znajomy huk, który odbił się na jego ciele silnym podmuchem wiatru, wywołał; w nie osłoniętych uszach ból i napędził do oczu gryzącego dymu...

Lufa odskoczyła do tyłu, wypluła dymiącą łuskę i poleciała w przód. Holt ładował, wewnątrz był

pusty i wypalony, wszystko, co robił, działało się jakoś mechanicznie. Słyszał poprzez dzwonienie w uszach głos Wolzowa: – Krótki, Vetter!..– Ognia! – Padał teraz strzał za strzałem.

Czołgi bardzo słabo widziały, bo niebo na wschodzie było już ciemne. W kolumnie zrobił

się dopiero wtedy ruch, gdy jeden sherman zamienił się w dymiący wrak. Dwa pozostałe czołgi ruszyły z miejsca, ujechały kawałek, zwiększając między sobą odstęp, obróciły się ociężale w prawo i zjechawszy na pole, zaczęły się posuwać w ich kierunku, Gdy lufa wróciła na swoje miejsce i Holt automatycznie sięgnął po nowy nabój, zobaczył kłębiący się słup dymu i żółtoczerwony ogień, wyskakujący w górę jak piłka... – Ognia! – wrzasnął Wolzow. Holt pociągnął za spust, obydwa czołgi pełzły przez równe pole prosto na nich. I teraz z ich dział

wylatywały już takie błyskawice... Pierwszy pocisk wybuchnął obok armaty na nasypie z piasku, poderwał w górę żwir i zasypał działo kawałkami rozżarzonej stali. Holt schylił się najniżej, jak tylko mógł. – Ognia! – Od podmuchu wybuchającego pocisku Holt zachwiał się i złapał się kurczowo zamka, potem schylił się po nabój i znowu pociągnął za spust. W oslepiającym lejowatym słupie płomieni ujrzał wylatującą w powietrze ciężką wieżę czołgu, potem wybuch pocisku podciął mu nogi, armata zakółsała się, ostatni czołg był już bardzo blisko. Holt podniósł się z ziemi i stanął niepewnie na nogach. – Ognia I – Czołg z przestreloną gaśnicą stanął niecałe trzydzieści metrów przed nim i plunął białym ogniem, z kaemu wieży posypały się cieniutkie błyski, ale w tym samym momencie oblały go już ogniste strumienie płonącej benzyny... – Ognia! – Jedna potężna detonacja, i czołg wyleciał w powietrze.

Cisza była tak zatrważająca, że Holtowi aż ciarki przeszły po plecach z przerażenia.

Horyzont na zachodzie pobladł, było już ciemno, migotliwy blask płonących czołgów padał aż na armatę. Vetter stał obok mechanizmu podniesieniowego, na wpół zgięty w kolanach, bił się obiema

rękami po udach, śmiał się jak szalony i nagle zaczął drzeć się na całe gardło: –

Zwycięzamy... uważacie... zwycięzamy! – Wolzow zszedł ze swego siodełka, zdjął hełm i z błyskawicami w oczach krzyknął: – Wykończę całą kompanię...! Wszystkich ich wykończę! –

Holt chwiejnym krokiem odszedł na bok. Schylił się. Tu obok kosza z nabojami leżeli dwaj młodzi czołgiści, odłamki zmasakrowały i ich tak, że nie można ich było poznać.

Biegli w kierunku gór. Za nimi paliły się czołgi. Droga szła pod górę, a potem prowadziła znowu w dolinę. Dwaj młodzi żołnierze pozostali za nimi. Wolzow spostrzegł to dopiero wtedy, gdy już dotarli do jakiejś wioski, gdzie ze wszystkich okien zwieszały się białe flagi. – Te świny już nie chcą walczyć – kłął. Jedna zagroda, pod lasem, była pusta i opuszczona. Wdarli się do nie zamkniętego domu. – Zostaniemy tu!

Wolzow; poczłapał po schodach na górę i rzucił się w ubraniu i zabłoconych butach na łóżko. Holt stanął na warcie. Chodził tam i z powrotem między zagrodą a kępami wierzby.

Było przejmujące zimno. Kiedy zaczęło świtać, gdzieś daleko odezwał się warkot silnika. Holt wpadł do domu i popędził po schodach na górę. – Jada! – Szosą nadjechało auto, otwarty czworokątny wóz, a w nim, z karabinami między kolanami, siedzieli żołnierze w okrągłych hełmach i mundurach koloru khaki. Holt uciekł przez kuchnię i umykał przez podwórze. Od wrót posypały się strzały. Wolzow i Vetter pod osłoną stodoły zaczęli również strzelać. Gdy Holt dopadł zbawienego lasu, rozległ się wybuch granatu. Holt obejrzał się za siebie. Stodoła stała w płomieniach. – To byłem ja! – powiedział Vetter. – Ja rzuciłem granat w słomę.

Wędrowali na północny wschód, omijając z daleka wszystkie wsie. Wolzow zagłębił się w mapę. Znowu wznosiło się przed nimi górskie zbocze. Ze stoku zobaczyli jakąś rzekę, która wiła się serpentyną między górami. Na jej brzegu rysowała się ciemna plama. Przez wodę prowadził biały kamienny most.

Ostrożnie zbliżali się do mostu. O balustradę opierał się jakiś żołnierz, odchylił głowę do tyłu i pił z butelki. Ten ruch był im znajomy, poznaliby go wszędzie.

Starszy sierżant Burgkert uśmiechnął się na ich widok. Był mocno pijany, wywijając butelką powiedział: – Rekruci! – Poszedł z nimi w kierunku miasta. – Dywizja *Schlageter*. – Łyknał

z butelki. – Z patrolem rozpoznawczym na rekonesans. Patrol rozpoznawczy pożarły jabosy. Ale mam znowu samochód!

– Czy jest tu jakieś wojsko? – zapytał Wolzow. – Tak. Ja – odparł Burgkert. Vetter ryknął

śmiechem. Burgkert ciągnął dalej: – Czekam, aż przyjdą, wtedy wysadzę most. Dwadzieścia pancerfaustów.

– A zapalnik? – zawołał Wolzow.

– Elektryczny. Przygotowali go saperzy, zanim nawiali.

Burgkert obwarował się w jakiejś willi. W gęstym ogrodzie przed domem wykopane były rowy, rozpościerał się stąd widok aż na most. Zagnieździli się w wielkim pokoju na parterze. –

Ludzie tu są diabelnie wściekli. Mają w pogotowiu wrzątek. Ale nie dla amis – powiedział

Burgkert.

Holt poszedł kawałek w kierunku miasteczka. Na ulicach ludzie stali przed domami.

Wszędzie powiewały białe flagi. Powoli Holt zaczął rozumieć, że podniesione pięści, przekleństwa i złorzeczenia oraz wybuchy nienawiści dotyczyły jego, jego tu obecności i jego zamiarów, Wąskie uliczki, pomyślał, domki z pruskiego muru, oni mają rację, kilka pancerników, i pół miasteczka spłonie! Ale dalej myśla już nie sięgał. Mój los, ich los... Niech się dzieje, co chce. W willi Burgkert spał twardym pijackim snem.

Holt położył się na dywanie.

– Są! – krzyknął Wolzow. Burgkert zerwał się, łyknął jeszcze raz i podał swoją manierkę również Koltowi. Vetter i Wolzow leżeli już w okopach przed willą. Na szosie, tuż przy moście, zatrzymał się jeden sherman, z otwartym włazem. Dowódca patrzył przez lornetkę połową.

Wolzow poukładał przed sobą pancerniki. – Nie ma odwagi wjechać! – Burgkert kucnął nad zapalarką. Vetter zawołał; – Uwaga... zamyka właz! – Rozległ się warkot silników. Pierwszy czołg wjechał ze zgrzytem na most, za nim drugi, trzeci... Burgkert uruchomił zapalarkę.

Wybuch zerwał z willi dach i jak orkan przeszedł przez ogród. Jeden czołg zatrzymał się przed domem, Vetter skoczył z pancernikiem w krzaki. Gdy czołg wylatywał w powietrze, huknęły od rzeki pierwsze pociski i grzmotnęły w wille. – Do miasta! – ryknął Burgkert. Czołg przed okopami palił się olbrzymim, prawie nieruchomym i mocno kopącym płomieniem. Z drugiego brzegu rzeki waliły w miasteczko działa czołgowe. Holt biegi ulicą. Pięćdziesiąt metrów przed nim biegli Wolzow i Burgkert i – wskazawszy na lewo w jakąś uliczkę, pędzili dalej. Holt przebiegł na drąga stronę uliczki i ujrzał tuż przed sobą tył czołgu, ujrzał białą gwiazdę na błękitnym polu, i z rur wylotowych buchnął mu w twarz gorący gaz. Holt padł na ziemię.

Ogłuszył go straszliwy huk. Kiedy przyszedł do siebie, z czołgu ciekła na bruk płonąca benzyna.

Poczłogał na brzuchu pod osłonę domów. Z drugiej strony ulicy Vetter wystrzelił drugiego pancernika i potężna detonacja rzuciła Holta na mur. Podniósł się i pobiegł jak pijany w górę ulicy. Strzelanina naokoło umilkła. Wolzow i Burgkert stali w jakiejś bramie i obserwowali odcinek ulicy wiodący do mostu. – Masz tu... pij! – powiedział Burgkert. Biegli przez miasto, koło dymiącego wraka jakiegoś czołgu – Vetter już czekał na nich u wylotu miasteczka, przy małym, otwartym łaziku. Burgkert jechał jak szatan po dziurach od pocisków. Za nimi płonęło miasto. Alkohol wtrącił Holta w jeszcze większą obojętność i apatię. Siedział na tylnym siedzeniu, obok niego wszystko wypchane było butelkami wódki. I tak już teraz będzie bez przerwy: czatować na czołgi, strzelać do czołgów, uciekać przed czołgami, i znowu czatować na czołgi, bez końca. Burgkert gnał na łeb, na szyję.

– To są już okolice Lipska, od strony Altenburga! – powiedział Wolzow. Pędzili wzdłuż pól, Przed nimi rysował się las, jeszcze dość daleko. – Jabosy! – wrzasnął Vetter. Burgkert ostro zahamował. Uciekali przez pole do wielkiego stogu słomy. Burgkert, klnąc, zawrócił. Ukryty wśród snopów słomy Holt widział, jak starszy sierżant wyłazi z wozu z pełnymi rękami butelek wódki, jak znika w chmurze ognia i ziemi, a samolot ostrym skosem wrywa w górę. Później obstąpili palący się wóz. Burgkert, rzucony na bok, leżał martwy na polnej drodze.

W jakiejś wsi wpadli prosto w ramiona oddziałowi żandarmerii polowej. Z setką żołnierzy z różnych rozbitych oddziałów zostali zawiezieni ciężarówką do najbliższych koszar; wielki kompleks budynków był jasno oświetlony, jakby nie istniały nieprzyjacielskie samoloty.

Odnaleźli tu znowu podporucznika Wehnerta. Wyglądał na uradowanego: – Zjawiacie się jak na zawołanie! Dowodzę kompanią alarmową, brak mi wyższych szarż, starsi szeregowcy muszą obejmować dowództwo plutonów! Dostaniecie natychmiast pluton, Wolzow! – Pluton kwaterował w trzech izbach i czekał, wszystko młodzi chłopcy, pościągani tu skąd się dało, ze szkół wojsk pancernych, rezerwowych batalionów pancernych, między nimi byli również junacy z arbeitsdienstu, których wtłoczono w szarozielone mundury. Po izbach gadano o nowej broni, o wielkim punkcie zwrotnym wojny. W magazynie broni siedział jakiś pijany kapral. Każdy brał

sobie, co chciał, to samo w magazynie mundurowym, gdzie Holt zamienił wreszcie swój gruby, watowany kombinezon płócienny na kombinezon maskujący. Resztę nocy i cały następny dzień spędzili w izbie, leżąc pokotem na siennikach. Wolzow wytrzasnął skądś gazetę i czytał ją.

„Zwyciężyć albo zginąć!... To jedyne hasło wojny narodowej”. Komunikat wehrmachtu mówił

o „lokalnych walkach na froncie wschodnim”, o „bitwie obronnej w Zagłębiu Ruhry”, potem wymieniano Schweinfurt i jednocześnie wspominano o Erfurcie. – Sam diabeł by się w tym nie połapał! – powiedział Wolzow. – Frontu już nie ma, tylko wszędzie kliny pancerne... –

Rozmawiano o szansach, jakie Niemcy mają jeszcze na zwycięstwo. Ktoś opowiadał o jakiejś dziewczynie z Akwizgranu, należącej do BDM, która Amerykanowi fanatycznie... Holt uciekł

z izby.

Stał przy oknie w długim korytarzu. Na dziedzińcu, przy świetle lamp elektrycznych, uzupełniano amunicją kilka samobieżnych armat 75-milimetrowych o długich lufach. Wolzow przywłókł się na korytarz. – To były koszary artylerii przeciwpancernej. Wszędzie stoją działa samobieżne, działa przeciwpancerne na ciągnikach, ale nie ma paliwa... Rozpacz! A w ogóle...

Wszystko dezerceruje, wszystko wieje, odkąd amis przeszli przez Ren, nikt już prawie nie stawia oporu. Ja tego zupełnie nie rozumiem! – Klepnął Holta po ramieniu. – W kasynie podoficerskim wypijają resztki alkoholu.

Znaleźli jeszcze wolny stolik. Wolzow przyniósł piwo i koniak i oparł się łokciami o stół. –

Ciekaw jestem, co robi mój stryj. – Napił się koniaku. Holt siedział milcząco wśród tego pijackiego rozgardiaszu.

W nocy wyrwał ich ze snu alarm. Kompania Wehnerta opuszczała koszary. Podporucznika nie było nigdzie widać. – Jedzie z dowódcą i adiutantem batalionu – wyjaśnił Wolzow. – Mają pełną ciężarówkę żarcia! – wybuchnął Vetter. Maszerowali cały dzień, skrajem szosy, na kilometr

rozciągniętą kolumną. Spotykali po drodze wracające oddziały. – Jedni uciekają, drudzy idą naprzód. Rad bym wiedzieć co tu się dzieje – powiedział Wolzow. Wieczorem zatrzymali się w jakiejś wsi i rozmieścili się po stodołach i stajniach.

W gospodzie siedział jakiś oddział SS. Wolzow do późna w noc grał z esesowcami w skata.

Rano opowiadał: – Wspaniałe chłopaki! Poza tym pochodzą z naszych stron. Przedwczoraj nocowali w jakimś żeńskim obozie, tam się dopiero działo! Tak długo przekonywali dziewczęta, że pożrą je Murzyni i Mongołowie, aż wszystkie się zgodziły. – Roześmiał się. – Czekają tu na kilku swoich oficerów, którzy mają utworzyć lotny sąd doraźny. – I z satysfakcją dodał: – Potem wreszcie wezmą się za dezertersów!

Kompania pomaszerowała dalej. Po południu zostali zaatakowani przez samoloty myśliwsko-bombowe. Teren był na szczęście dogodny i mieli gdzie się kryć, tak że nie ponieśli prawie wcale strat. Potem i kompania dotarła do celu, do wsi Greifensleben. Na skraju wsi stało kilka dział polowych. Jakiś pododdział łączności zakładał linie telefoniczne. W sali restauracyjnej gospody Wolzow urządził coś w rodzaju stanowiska dowodzenia. Był tu jedynym, który wykazywał jeszcze jakąś inicjatywę. Kapral Boek i kapral Winkler siedzieli osowiali pod piecem. Późnym wieczorem zjawiała się druga kompania alarmowa. Dowódca jej, jakiś starszy sierżant, był ciężko ranny. Samoloty zdziesiątkowały kompanie. Rannych przeniesiono do sąsiedniej wsi Bucheck, gdzie zainstalowano batalionowy punkt opatrunkowy. Gdy przeciągnięto wreszcie linię telefoniczną do batalionu i uzyskano połączenie z dowództwem, Wolzow nie odmówił sobie przyjemności i wyjaśnił wyczerpująco sytuację.

Batalion trzymał trzy miejscowości, Greifensleben, Bucheck i Gerstedt, miasteczko o pięciu tysiącach mieszkańców, otoczone fabrykami, już mocno uszkodzonymi przez bomby. Z południa na północ biegła przez pagórkowaty, słabo zalesiony teren szeroka autostrada, najpierw wzdłuż Greifensleben, a potem wzdłuż Gerstedt, gdzie rozlokował się sztab batalionu. Na zachód od Gerstedt leżała duża wieś Bucheck. – Należymy do dywizji Korner, wchodzącej w skład nowo zorganizowanej armii, i osłaniamy jej południowe skrzydło, – Holt słuchał tego znudzony i bez zainteresowania.

W nocy nadeszły do Greifensleben trzy samobieżne 75-milimetrowe armaty przeciwpancerne. Około pierwszej w nocy odezwała się na południu kanonada i dość szybko umilkła. Batalion w Gerstedt, gdzie zadekował się również Wehnert, dał znać, że od południa wdarły się na autostradę szpice pancerne posuwają się w kierunku Hermsdorf-Glauchau. Nad ranem sztab batalionu wezwał kompanię do Gerstedt, do obrony stanowiska dowodzenia, jak twierdzono. – A kto zostanie tutaj? – pytał Wolzow. Przybyła ostatnio kompania alarmowa była bez dowództwa i składała się z niedoszkolonych rekrutów, uczniów wojskowych szkół

specjalnych. – Takiego wojska nie można przecież zdać na łaskę losu! Boek, ty zostaniesz z nimi! – Wolzow rozmawiał przez telefon z adiutantem batalionu. Potem powiedział do Holta: –

Odnoszę wrażenie, że ich to wszystko nic nie obchodzi.

Kompania stała już na dworze gotowa do wymarszu, Boek był zupełnie załamany i siedział

dalej w gospodzie, nie wykazując najmniejszego zainteresowania dla tego, co się działo.

Kompania odmaszerowała.

Po upływie półtorej godziny, gdy się rozwidniło, ujrzeni po prawej stronie schodzącą w dolinę jasną wstęgę autostrady, która mniej więcej w odległości dwu kilometrów od Gerstedt biegła na północ. Połną drogą, z miasteczka na wschód od szosy, jechały dwa auta osobowe, skręciły na szosę i pognały na północ. Twarz Wolzowa stężała. Z Winklerem, Vetterem i Holtem maszerował na czele kompanii. Krzyknął nagle jednemu ze starszych szeregowców: „Obejmijcie dowództwo!” i już pędził przez łąki, ciągnąc za sobą Holta, Vettera i Winklera. Wpadli w jakąś kotlinę i natknęli się tu na szeroki na kilka metrów strumyk. Wreszcie znaleźli most. Zadyszani, biegli między ogrodami i willami. Na wschodzie horyzont jaśniał słońcem. Drogowskaz przy ulicy wskazywał kierunek do stanowiska dowodzenia batalionu.

Przed willą stała ciężarówka. Zbiegała się tu masa kabli telefonicznych. Na schodkach za ciężarówką piętrzyły się skrzynie z amunicją, karabiny, karabiny maszynowe, słowem cały arsenał; broń i amunicja zrzucona była w pośpiechu na kupę. Odwinąwszy plandekę, Holt ujrzał

na ciężarówce skrzynie z prowiantem, koniak, bochenki komiśniaka, wiadra marmolady, puszki masła. Kierowca, jakiś starszy szeregowiec, stał obok szoferki. Z furtki ogrodowej wyszedł

podporucznik Wehnert, z walizką w rękę i płaszczem na ramieniu. Ujrzawszy Wolzowa, cofnął

się spłoszony, ale potem postąpił naprzód i wstawił walizkę do szoferki.

Wolzow stanął przed Wehnertem, ścisnął lewą ręką zamek pistoletu maszynowego, który miał zawieszony na szyi, a prawą podniósł przepisowo w górę. – Druga kompania... – Holt był

za bardzo zmordowany, żeby śledzić sens padających słów, ale to, co Wehnert powiedział, przecie zrozumiał. – Zajmujcie przygotowane pozycje.

– Gdzie jest dowódca? – zapytał Wolzow. – Dowódca przenosi się właśnie na inne stanowisko dowodzenia – powiedział Wehnert beztrósco – a ja...

– ...a pan pójdzie ze mną na stanowisko dowodzenia! – Holt usłyszał groźbę w głosie Wolzowa.

Twarz Wehnerta zrobiła się blada jak papier. Jego niebieskie oczy skierowały się na Wolzowa. Podporucznik złapał jedną ręką za drzwiczki od auta, postawił nogę na stopniu i krzyknął ostrym, rozkazującym tonem: – Macie przed sobą oficera! Na co wy sobie pozwalacie!

– Vetter! – wrzasnął Wolzow. – Zabierz szoferowi kluczyki! – Vetter, posłusznie jak pies owczarski, odsunął podporucznika na bok i wlaź do szoferki.

Holt słyszał, jak grozi kierowcy: – Tylko nie rób głupstw, bo... – Kierowca wyszedł

z szoferki i odpowiedział na spojrzenie Wehnerta wzruszeniem ramion. Odszedł parę kroków drogą i stanął w wyczekującej postawie.

Wehnert napuszył się jak indyk. – Czyście oszaleli! Rozkazuję wam... – Wolzow dygotał

z wściekłości. – Dowódca zwiął! I ty też chcesz wiać, ty tchórzliwa świni! Zabrać zapasy kompanii! Ja ci dam dezertować, ty draniu! – ryczał Wolzow. – Na latarnię z każdym, kto będzie próbował wiać!

Wehnert sięgnął ręką do pistoletu, ale Vetter na skinienie Wolzowa złapał go z tyłu za pas i wyrwał mu broń. Cała napuszonosc nagle z Wehnerta opadła. Szukał oczyma pomocy u kaprala Winklera. Kapral Winkler był blady jak ściana, ale się nie ruszał. – Degraduję pana i aresztuję! –

zawołał Wolzow. – Vetter, zerwij mu naramienniki! – Vetter z takim rozmachem zdarł mu dystynkcje, że Wehnert aż się zachwiał. Wepchnęli go przez ogród do willi. Stanowisko dowodzenia mieściło się w piwnicy, w przestronnej czystej pralni. Wielki, zrobiony z desek i kłoców stół pokrywały mapy. Na jednej z ław stały telefony i radiostacja, a także aparat radiowy, pod oknem żelazne łóżko polowe. Jedno wyjście prowadziło do ogrodu, drugie do piwnicy z węglem.

Wehnert stał blady przy drzwiach; raz jeszcze zdobył się na protest: – Odpowiedcie za to!

Winkler, wy też będziecie obwinieni o bunt, jeżeli... – Wolzow podskoczył do podporucznika i uderzył go pięścią w twarz.

Holtowi stanęła w oczach podobna scena: jak Wolzow bił pod Kruczą Skalą Meissnera... –

Ja ci pomogę... ty łobuzie! – Wolzow uderzył po raz drugi głowa Wehnerta odbiła się o ścianę piwnicy.

Holt miał uczucie, że to jego zabolalo. Wolzow powiedział: – Tego to miałbym ochotę zamęczyć powoli na śmierć.

– Chętnym tchórzem nazwał cię kiedyś – judził Vetter.

Na oknach piwnicy nie było krat. Wolzow głośno rozważał: – Najlepiej byłoby, żebyś go wykończył, Vetter. Albo jeszcze lepiej: poszukaj gdzieś stryczka!

– Tak jest – wrzasnął Vetter – poszukać stryczka, panie kapralu! – Zrobił w tył zwrot.

Wehnert krzyknął w śmiertelnym strachu: – Żądam sądu! Jestem oficerem! Wy nie macie prawa!

Winkler, pomóżcie mi wreszcie!... To jest przecież niemożliwe... Na Boga! – Obrzmiałymi ustami wrzeszczał: – Nie wiesz! –

Vetter przyniósł sznur od bielizny.

Wehnert zadrzał. – Führer – powiedział Wolzow – wydał rozkaz: Kto się boi umrzeć z honorem, ten umiera w hańbie. Powiesimy go zaraz, Winkler?

Kapral Winkler milczał. Na jego twarzy był strach. Ale potrząsnął przecząco głową. Holt powiedział: – Nie!

– Vetter? – zapytał Wolzow. – Powiesić! – zawołał Vetter. – Nic, tylko powiesić! Gdy sobie pomyślę, jak on nas gonił, to nic, tylko z miejsca powiesić! Na dworze, na gruszy!

Wolzow powiedział: – W takim razie decyzja zależy ode mnie. – Popatrzył na Wehnerta i przeciągał to spojrzenie w nieskończoność. Wehnert stracił do reszty panowanie nad sobą i wyjąkał błagalnie: – Wolzow... łaski! – Zęby mu dzwoniły. Wolzow długo się zastanawiał: –

Co z nim zrobić, żeby nie nawiał? Przy pierwszej lepszej okazji odstawie go do pułku, chcę zobaczyć, jak go będą wieszali!

Wehnert odetchnął z ulgą.

Wolzow ciągle jeszcze się namyślał. Podszedł do niego Vetter i coś mu szepnął, w rezultacie czego twarz Wolzowa wykrzywiła się w chytrym uśmiechu.

– Dobra.

Gdy Vetter biegł przez ogród do samochodu, Wolzow powiedział: – Wehnert dostanie narkotyk, żeby nie mógł zwiać!

Vetter wlał kubkiem bezwolnemu podporucznikowi do ust całą butelkę koniaku. Oczy Wehnerta zrobiły się szklane. Vetter popchnął go na łóżko polowe, gdzie Wehnert tak długo musiał pić, dopóki nie zwałił się na nie bez przytomności.

– Załatwiony! – powiedział Wolzow. Holt otarł sobie ręką czoło.

– Co teraz będzie... z batalionem? – zapytał kapral Winkler.

Wolzow popatrzył Holtowi, Vetterowi i Winklerowi prosto w twarz: – Batalion bez względu na okoliczności wykona swoje zadanie. Batalion przechodzi pod moja komendę.

Kapral Winkler odwrócił, zaskoczony, głowę do Wolzowa i pozwolił sobie zauważyć: – Ale tu przecież nigdzie się nie walczy.

– Tam gdzie *ja* rozkazuję – powiedział Wolzow – tam się walczy! Kto myśli inaczej... –

Uderzył w futerał pistoletu. Vetter stanął przy nim ze sznurem w ręku.

Wolzow podszedł do stołu i pochylił się nad mapą. W radiu zabrzmiał głos spikera: „Z

Kwatery Głównej Führera... Wielka ofensywa na wschodzie rozpoczęła się...” Wolzow utkwiał

wzrok w radiu. „...Szpice pancerne posuwają się dalej naprzód... Zacięty opór... Również na zachód od Erfurtu... Saale między Jeną a Halle przekroczone...” A teraz: „Odezwa Führera...” Do świadomości Holta, którego to zupełnie nie interesowało, wdzierały się tylko strzępki zdań:

„Berlin pozostanie niemiecki... Wiedeń będzie znów niemiecki...” Wolzow, wściekły, wyłączył

radio. – Mamy przed sobą zadanie bojowe! Wszystko inne nic nas nie obchodzi! – Znowu pochylił się nad mapą. – Holt, spróbuj połączyć się z pułkiem! Holt machinalnie sprawdzał

telefony. W Greifensleben zgłosił się Boek. Wolzow krzyknął: – Niech tu przyśle działa samobieżne! – W drugim aparacie odezwał się Bucheck, jakiś starszy lekarz, który gadał

o szaleństwie i domagał się, żeby z tym wreszcie skończyć. Zdenerwowany głos ze słuchawki słychać było w całej piwnicy. – Wyłącz się! – syknął Wolzow. – Wzywaj pułk! – Ale linia do pułku była głucha. Nikt się nie zgłaszał. Wszyscy zwiali, pomyślał Holt. Na łóżku polowym jęczał Wehnert.

Wolzow szedł z Holtem, Vetterem i Winklerem przez miasto. Jedna główna ulica, mały, czworokątny rynek, parę wąskich uliczek, naokoło wille w ogrodach. Główna ulica, rynek i sąsiednie uliczki leżały w gruzach, zbombardowane i wypalone. Na północno-wschodnim krańcu miasta ciągnęły się jakieś zakłady przemysłowe, a dokoła nich osiedla. Powiewały tam białe flagi. W samym mieście nie spotkali ani jednego cywila. Wille na skraju miasta również były opuszczone.-

Przeprowadzali inspekcję stanowisk znajdujących się na wschodnim krańcu miasta. Rów wił

się z południa na północ wzdłuż miasta, tuż przy płotach ogrodów. Kompania alarmowa zajęła go już, dwustu młodziutkich chłopaków, dobrze uzbrojonych, lecz mających za dowódców tylko paru starszych szeregowców. Wolzow naliczył dziewięć karabinów maszynowych. Żołnierze siedzieli w rowach, ich optymizm był rozczulający. Krążyły dzikie pogłoski: „Panie kapralu, czy to prawda, że przyjdą posiłki?” – Tak jest – powiedział Wolzow – ciężka broń również! – „Panie kapralu! Dzisiaj w nocy użyto podobno na wschodzie nowej broni... Rosjanie w odwrocie...” –

Skoro tylko nadejdzie oficjalna wiadomość, zaraz wam ją przekażę – powiedział Wolzow.

Główna ulica, która od rynku biegła wśród will, na wschodnim krańcu miasta schodziła w dół do szosy. Vetter notował zarządzenia Wolzowa. – Tu z prawa i z lewa ustawić po jednym dziale przeciwpancernym. Trzecie trochę głębiej, w ogródkach willowych. – Winkler pozostał

w okopach. Wracali do miasta główną ulicą. – Trzy piwnice, które mają tylne wyjście, zamienić na bunkry... Zgromadzić w nich pancerfausty! Utworzyć trzy grupy przeciwpancerne. Jeden pluton jako odwód do miasta. – Od rynku prowadziła wąska uliczka na południowy kraniec miasta, gdzie między willami, ciągnącymi się długim szeregiem, znajdowało się stanowisko dowodzenia.

Tam zadzwonił telefon. Holt podniósł słuchawkę. Jakiś szorstki głos meldował, że działa samobieżne z Greifensleben dotarły już do Bucheck. – Wszystko zapowiada się zupełnie dobrze

– powiedział Wolzow. Znowu studiował mapę. Mimo zmęczenia stał przy stole, pochylony do przodu, z rękoma opartymi o blat, chwilami wodził cyrklem po mapie, mierzył odległości i liczył, cicho mruczając pod nosem.

Holt przypomniał sobie nagle, jak Wolzow w artylerii przeciwlotniczej omawiał sytuację, jak potem w koszarach prowadził rozgrywki z Wehnertem w piaskownicy... I dziś nie wyglądał

wcale inaczej niż wtedy, gdy się pochylał nad mapą i mówił: „Wyższa taktyka... lepsza sytuacja...

kułak uderzeniowy... moment zaskoczenia...”

Dokąd to prowadzi? rozmyślał Holt. Jak długo jeszcze?

W południe nadeszły do Gerstedt trzy działa samobieżne. Vetter zameldował o wykonaniu wszystkich rozkazów, Wolzow jeszcze raz poszedł na inspekcję rzadko obsadzonej linii i bunkrów w ruinach... Potem siedzieli w piwnicy na stanowisku dowodzenia, gdzie Wehnert ciągle jeszcze rzeźił przez sen.

Zadzwonił telefon. Holt podniósł słuchawkę, był to już odruch warunkowy. Kapral Boek, zupełnie roztrzęsiony, meldował w panicznym strachu o pojawieniu się czołgów... setki czołgów.

– Zatrzymały się na wzgórzu pod Greifensleben! – krzyknął Holt. Wolzow powiedział: – Ominą nas!
– Wysłał Vettera do dział samobieżnych. – Jakby tu do nas przyjechały, wpuścić pierwsze wozy do miasta!

Holt pomyślał: Czołgi, Setki czołgów! Słyszał ciągle jeszcze rozdygotany głos Boeka, ale Wolzow stał znowu nad mapą i wygłaszał wykład do pustej piwnicy: – Wątpię, żeby mogły nas tu zaatakować poważne siły pancerne... na południu właśnie w rejonie Zwickau-Chemnitz...

powstaje pytanie...

Od paru dni Holt był jak sparaliżowany, znajdował się w stanie zupełnej apatii, jego mózg prawie wcale nie reagował na wrażenia odbierane z otaczającego świata. Ale teraz jakby nagle się obudził, jakby oprzytomniał. Czy ten szorstki, ostry głos, który wdziera się do jego uszu, jest głosem Wolzowa?

Wolzow gadał i gadał: – ...pobiję Amerykanów... według wszelkich zasad sztuki wojennej.

– Wolzow! – krzyknął Holt i nagle zatrząsł się cały ze zdenerwowania. – Każdej chwili mogą przecież zjawić się tu czołgi...

– Czołgi? To jeszcze trochę potrwa! Ja znam taktykę Amerykanów. I pobiję ich! – Jakiś goniec otworzył gwałtownie drzwi i popatrzył zdetonowany na śpiącego podporucznika. Potem krzyknął: – Czołgi! Całe masy czołgówi – Wolzow sięgnął po pistolet maszynowy i złapał Holta za ramię. – Na dwór! – Wypchnął Holta z piwnicy.

Holt leżał w rowie obok Wolzowa, blisko polnej drogi. Na szosie w dolinie klekotały przejeżdżające czołgi. Kompania ukryła się głębiej w rowie. Wołków spojrzał na Holta. – A nie mówiłem, że nas ominą?! – Zaczął liczyć czołgi. Przy osiemdziesiątym przestał już liczyć. Co najmniej jeszcze tyle samo przejechało obok nich.

Potem warkot silników zaczął powoli cichnąć. Przez zarośla przemknął się goniec i wpadł

do rowu. Pismo Vettera: „W Greifensleben zmotoryzowana piechota. Boek przeciął połączenie telefoniczne i kapituluje”. Wolzow przeczytał i syknął coś niezrozumiale. W kwadrans później znowu zaklekotały gąsienice nadciągających czołgów. Dziesięć shermanów wjechało na wzgórze pod miasteczkiem i skręciło na polną drogę. Stały tu dość długo. W tym czasie przejeżdżała szosą na

północ długa kolumna samochodów załadowanych piechotą, ciągniki z działami, i znowu zmotoryzowana piechota. Dwanaście ostatnich wozów zatrzymało się przy shermanach pod miastem, Wolzow wrzasnął tale, aby dosłyszano go w całym rowie: – Czołgi...

przepuścić!

Dziesięć shermanów popędziło pełnym gazem w górę drogi, podjechało do rogatki i wpadło do miasteczka, przejechawszy prawie tuż obok Holta i Wolzowa. Oba działa przeciwpancerne, zamaskowane dobrze w zaroślach, otworzyły ogień.

Wolzow krzyknął: – Do miasta! Prędko!

Holt zanurzył się w pobliskie krzaki, przebiegł obok strzelającego działa samobieżnego i usłyszał dolatujące od strony miasta huki odpalanych pancerfaustów. Potem zaterkotały karabiny maszynowe, zahuczały wybuchy pocisków w ogrodach, i drzewa owocowe zaczęły łamać się z trzaskiem, a kwitnące krzaki bzu wylatywać w powietrze, jakaś szopa rozleciała się na kawałki, ogień i dym. Holt gnał po rozdygotanej ziemi, dopadł głównej ulicy, przedarł się przez ruiny i wejściem od piwnicy dostał się do pierwszego bunkra. Piwnica była pełna dymu, przez okno wpadał blask bijący od ognia, paru żołnierzy wrzeszczało jeden przez drugiego. Ktoś wcisnął Holtowi w rękę pancerfausta.

Na dworze wzrok Holta pochwyił, jak we śnie, palący się czołg. Ale trzy czy cztery strzelały do ruin. Holt biegł do głównej ulicy. Po jego lewej ręce, na rynku, jeden sherman wyleciał w powietrze... Na prawo płonący wrak, przed nim czołg, który walił z działa w miasto.

Ktoś rzucił się obok Holta na bruk, był to Wolzow. – Wal w niego, to już ostatni!

Holt nawet nie drgnął. Serce mu szalało ze strachu, bał się śmierci. Nagle to straszliwe bicie serca mu przeszło, już nie czuł swego ciała, jakby zupełnie pozbawione było ciężaru. W głębi jego duszy odezwał się kategoryczny głos: Idź! To jest najlepsze rozwiązanie.

Podniósł się. Zapatrzeć się w jakiś wymaginowany punkt, uczepić się go... i naprzód marsz!

Biegł prosto na czołg, z wzrokiem utkwionym w osłonę z gąsienicy na wieży, trafił i detonacja rzuciła go na ziemię.

Naokoło wszystko ucichło, tylko ogień syczał. Niedaleko od niego stał w płomieniach jakiś dom. Holt przetarł sobie oczy, które go paliły od pyłu i dymu prochowego. – Piechota wysiada z wozów! – krzyknął ktoś, a potem: – Cztery czołgi zawróciły na szosę!

Przy wejściu do miasteczka, wśród zarośli, w morzu płomieni paliły się oba działa samobieżne... Kapral Winkler wysapał: – Trzecie ocalało... A obie obsługi tu...

– Srać na obsługi! – krzyknął Wolzow. – Potrzebna mi jest armata! Trzecie działo z powrotem do miasta! – Wepchnął Holta do rowu. Vetter podpełzł do nich, z karabinem maszynowym. Holt zobaczył, że za szosą ustawiają moździerz. Cztery shermany skierowały lufy swoich dział na domy. I już zawyły nad rowem pociski i zaczęły wybuchać w mieście... – Niech sobie atakują! – powiedział Wolzow. – Dwunastoma karabinami maszynowymi wesprzeć kontratak przez pole! Vetter! Ty

poprowadzisz pluton z miasta do kontrataku... – Vetter już pełził

z powrotem. Wolzow wrzasnął na Holta: – Co się z tobą dzieje? Bierz karabin maszynowy!

W górę strzeliła rakietka... Co to? Wolzow przekrzywił głowę na bok, spojrzął w górę, zjechał, porażony przerażeniem, z przedpiersia okopu w rów i przypadł do piaszczystego dna...

Holt nic nie rozumiał. Nagle jakby piekło się rozwarło. Na niebie śmignęły jabosy, przechyliły się przez skrzydła i runęły w dół, i już wzdłuż skraju miasta trysnęły w górę fontanny, a potem jedna jedyna zbita masa ziemi, która, zmieszana ze stałą, opadła z jękiem w dół, i ziemia zatrzęsała się jak od wybuchu wulkanu.. Czarna noc, buchający dym, tryskająca w niebo ziemia, która zgasła dzień, wstrząsana czerwonym kopącym ogniem i żółtymi błyskawicami noc, detonacje, rakiety, bomby, głuchy jazgot działek pokładowych, zlewający się w jeden ton, który zagłuszał ryk nurkujących maszyn. Holt leżał bez ruchu, z twarzą zwróconą w niebo, podczas gdy obrazy błyskawicznie się zmieniały: wykrzywione obłędem twarze, pędzące w dół

myśliwce, huczące wybuchy, tonowy ciężar sypiącej się w rów ziemi, znieruchomiłe postacie, i ogień, wszędzie ogień... Przeważenie przenikało coraz głębiej i głębiej do świadomości Holta i całkowicie go porażało. Jego twarz stężała w grymasie strachu. Jabosy odleciały.

Cisza, jaka nastąpiła, napełniła się krzykiem rannych. Ale ziemia już znowu dygotała pod ciężarem nadciągających czołgów. Cztery shermany, strzelając, przejechały wzdłuż rowu i zmiażdżyły szerokimi gaśienicami przedpiersie okopu razem z załogą, wygarnięto do nich z kilku pancerfaustów, ale nie trafiono żadnego, czołgi wypełzły na drogę i pojechały do miasta, gdzie powitało je ogniem ostatnie działo przeciwpancerne. Ale już wściekle „hura!” atakujących poderwało z rowu tych, którzy ocaleli.

Holt wynurzył się z okopu, z oczyma i ustami pełnymi piasku, poderwał kaem i oparł go na przedpiersiu rowu, zaczęły padać pierwsze, nieśmiałe jeszcze strzały i rozległy się wybuchy granatów ręcznych. Amerykanie byli nad rowem, biegli w lewo do drogi; tam udało im się dokonać wyłomu. Brązowe postacie wskoczyły do rowu i opanowały go... Wolzow krzyczał.

Holt rzucił kaem. Amerykanie płynęli bezładną kupą do miejsca wyłomu. Wolzow rzucał

granatami. Tam gdzie droga polna wpadała między pierwsze domy, Amerykanie wytłukli wszystko, co im stanęło na drodze albo próbowało ratować się ucieczką... Wolzow wylaźł

z rowu rycząc: – Naprzód! – Na drogę między domami wypadło samobieżne działo przeciwpancerne i waliło prosto na Amerykanów, a za nim pluton z Vetterem na czele.

Zaskoczeni Amerykanie zaczęli się cofać. Działo otworzyło ogień do uciekających, pojechało dalej drogą i ostrzeliwało teraz pojazdy na szosie. Wolzow zebrał wokół siebie paru ludzi i rzucił

się z nimi na drogę, gdzie ludzie Vettera atakowali Amerykanów kolbami i bagnetami. Holt, sapiąc, włókł się z kaemem, opartym na biodrze, prawa ręka na dwójnogu, lewa na spuście. Pod kępą drzew trzymało się jeszcze jakie dwunastu Amerykanów, skupionych wokół Murzyna, ale gdy Murzyn padł,

bitwa się skończyła.

Kompania utrzymała miasteczko i zawalony rów.

Wolzow wpadł w szal. Gnał przed sobą, biały na twarzy z wściekłości, jakiegoś młodego żołnierza, który podczas walki uciekł w krzaki, gnał go na skraj drogi i tam go zastrzelił. Vetter ze swymi ludźmi rozstrzelał kilku żołnierzy amerykańskich, którzy już wdarli się do miasta i teraz na próżno trzymali ręce w górze. Na rozkaz Wolzowa rozstrzelano także rannych. Działo, które wysunęło się trochę za daleko, stało w płomieniach. Ale Holt tego wszystkiego nie widział.

Siedział daleko na uboczu pod płotem któregoś z ogrodów otaczających wille, siedział na skrzynce amunicji, z rozwiązany paskiem u hełmu i głową ukrytą w dłoniach.

Zapadła cisza. Nadszedł wreszcie wieczór.

Na stanowisku dowodzenia paliła się lampa naftowa. Wolzow zdjął pas z pistoletem i rzucił go na ławkę między telefony. Vetter również odłożył broń, rozpiął kołnierz u bluzy polowej i pochylił się nad podporucznikiem.

– W każdym razie kompania utrzymała pozycję – powiedział Wolzow.

Kapral Winkler stał przy drzwiach; uczynił nieokreślony ruch ręką. – Kompania? – Jego głos był zdarty od krzyku. – Kompania już nie istnieje. Pozostało jeszcze tylko pięćdziesięciu ludzi.

I to zupełnie wykończonych.

– Niech wypoczną – powiedział Wolzow szorstko. – Muszą dalej walczyć. Możesz im dać wódki. – Ale Winkler nie wykazywał ochoty do opuszczenia piwnicy. – Jabosy... – powiedział

ochryple; jego twarz była zapadnięta, jak martwa, i nie było już na niej strachu. – Jabosy...

i nasze straty... To czyste szaleństwo!

Wolzow podniósł oczy. Winkler umilkł pod wpływem jego spojrzenia. Wolzow bębnił

nerwowo palcami po mapie. – Rannych odesłać do Bucheck. Vetter! Domy na skraju miasta przygotować do obrony. Wystawić posterunki. Teraz będziemy walczyć z budynków!

Vetter, trzaskając obcasami, wrzasnął: – Tak jest, panie kapralu! – Założył pas i zawiesił

sobie na szyi pistolet maszynowy. Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem.

Wolzow zatelefonował do Bucheck. Nic prawie nie mówiąc, słuchał z nieruchomą twarzą słów padających na drugim końcu drutu. – Do Bucheck przyszło SS. – Odłożył słuchawkę. – Oni powieszą Wehnerta – powiedział, podchodząc do stołu. Potem długo stał pochylony nad mapą.

Winkler opierał się ze zmęczenia o futrynę drzwi. Oczy miał zamknięte, pierś mu się unosiła i opadała, jak gdyby ciągle jeszcze brak mu było tchu. Nie zdjął, hełmu, u szyi wisiał mu pistolet maszynowy. – Wolzow – powiedział – ten chłopak... ten mały, któregoś przedtem... To było... –

Umilkł, gdy Wolzow podniósł głowę, ale spojrzenie jego błędziło po piwnicy i zawisło na Holcie.

Holt siedział między telefonami. Jeszcze nie zdołał otrząsnąć się ze zgrozy. W półśnie świeże wrażenia z potyczki mieszały mu się z obrazami z przeszłości. Wszystko odżyło w nim na nowo, bijatyka pod Kruczą Skałą, zagłodzeni jeńcy z baterii, tartak w Karpatach, ci ludzie w pasiakach w otwartym grobie. Bronił się przed tymi obrazami, ale nie mógł się od nich uwolnić.

Vetter wrócił późno po północy. Wywrzaskiwał właśnie w piwnicy swój meldunek.

Holt, przerażony, otworzył oczy.

– Chodźcie na omówienie sytuacji! – powiedział Wolzow.

Vetter powiesił pistolet maszynowy na haku przy drzwiach. Wolzow wcisnął sobie na głowę oficerską czapkę Wehnerta. Ponieważ było mu zimno, kazał Vetterowi podać sobie również płaszcz Wehnerta ze srebrnymi naramiennikami, który Vetter zarzucił mu na ramiona. W świetle lampy naftowej na pobieloną wapnem ścianę piwnicy padał jego wielki, zniekształcony cień.

– Moi panowie! – Holt drgnął. A więc znowu ten głos, szorstki, ostry, obcy głos, od którego przechodziły Holtowi ciarki po krzyżu: głos, który wykrzykiwał rozkazy, głos przeznaczenia, który przenikał do jego świadomości poprzez zmęczenie, tak jak kiedyś wdierał się w jego wszystkie sny, w godziny urlopu czy w ciszę sali szpitalnej, głos, od którego nie było ucieczki.

– Kompania odparła pierwszy atak i będzie... Holt padał ze zmęczenia, ale pod wpływem gadania Wolzowa zmęczenie ustępowało. Holt zaczynał powoli słuchać, i wreszcie przyszedł

moment, że te słowa przestały być dla niego samym tylko dźwiękiem, że zaczął pojmować ich sens: – bohatersko zginąć...

Te słowa często padały. Znajdowały się we wszystkich książkach należących do lektury obowiązkowej, od Świętego Hufca Pelopidasa poczynając, a na bohaterach powieści Emsta Jüngera kończąc, w ostatnim zaś roku wypełniały szpalty wszystkich gazet: bohatersko zginąć.

Stały się już frazesem, groźbą, histerycznym krzykiem strachu. Ale teraz, w ustach Wolzowa, były wyrokiem śmierci.

Z tego nie ma wyjścia, rozmyślał Holt.

Wolzow podsunął mu papierosy, ale Holt pokręcił przecząco głową. Wolzow zapalił. –

Przez całe swoje życie byłem obrońcą Schlieffenowskiej koncepcji Kann... już Clausewitz uczy, że działanie koncentryczne.” Napoleon twierdzi, że słabszy nie może... Gadanina Wolzowa obudziła w Holcie uczucie zdumienia, jakby słyszał taki wykład po raz pierwszy. – Kto to jest, rozmyślał, ten, co tu stoi przy stole z mapami?

– ...byłoby doszło, gdyby nie... i zrobiłbym, gdyby... się udało, ale... na pewno by mi się udało, gdyby...

Byłoby doszło, zrobiłbym, udałoby mi się, gdyby...

Zasłona nagle się rozdarła. Holt się obudził. Oprzytomniał. Nagle spojrzął na ponurą piwnicę, stół z mapami, oszołomionego podporucznika już nie jak przez mgłę, zamazującą i wykoślawiającą istotę rzeczy. Nagle ujrzał wszystko zupełnie wyraźnie, w ostrych zarysach.

Myśl jego zaczęła pracować z logiką, z ostrością która przez pół wieczności pogrzebana była pod apatią i obojętnością, jeżeli w ogóle kiedykolwiek umiał myśleć logicznie, on, szukający z

zawiązanymi oczyma, w ciemnym pokoju... Mechanizm jego myślenia przeorał w ciągu kilku sekund wszystkie doświadczenia, zinterpretował na nowo wszystkie wrażenia, zrewidował całe jego życie, wyrócił w nim wszystko do góry nogami i przeskoczył z przeszłości w teraźniejszość tej sceny.

Holt patrzył na Wolzowa jak zaklęty. Znał go dwa lata, spory kawał czasu. Przez dwa lata walczyli razem. W artylerii – przeciwlotniczej stali obok siebie przy jednym dziale, przeżywali wspólnie naloty samolotów nurkujących i dywanowe bombardowania, wyszli cało z potyczki w Karpatach, uciekali ze wschodu wśród śnieżnej zawiei, siedzieli razem w jednym czołgu. Od psich figli w szkole aż po walkę wręcz z Amerykanami wszystko przeżywali razem.. Holt znał

Wolzowa, nic w nim nie było dla niego nowego, nic zaskakującego.

Ale w tej drugiej godzinie po północy tego kwietniowego poranka 1945 roku wydawało mu się, jakby do tej pory nic a nic o Wolzowie nie wiedział. Patrzył na niego tak, jakby to był obcy człowiek, ten, co tu stał nad mapą wielki i masywny, z nerwowo drgającymi brwiami, podkreślał

swoje objaśnienia gestami i akurat mówił: – Ja bym taki atak... – Obcy człowiek, choć żółte światło lampy naftowej oświetlało znajomą twarz. Pobity, wykrwawiony oddział, rozmyślał Holt dalej, leży na dworze pod drzewami i w krzakach, leży w zbombardowanych piwnicach, śpi śmiertelnie wyczerpany, i nie ma w nim prawie ani jednego żołnierza, który by nie miał na sobie nasiąkniętego krwią opatrunku, który by nie miał wstrząsu mózgu czy szoku nerwowego.

Jakby coś nagle pękło w piersi Holta. Ten tam, ten Wolzow, rozmyślał, stoi nad mapą, a na dworze leżą żołnierze, to są przecież ludzie, a jednak nie są niczym więcej jak tylko zwykłymi wielkościami w jakimś równaniu z wieloma niewiadomymi, niczym więcej jak tylko strzałkami na mapie, pionkami na szachownicy, małymi symbolami w wielkiej piaskownicy, są przedmiotami dla Wolzowa, niczym więcej. Ale wobec tego czymże jest Wolzow dla nich, dla mnie?

Nagle jakby jakieś przeczucie tknęło Holta, i to przeczucie krystalizowało się z każdą sekundą coraz bardziej, aż wreszcie stało się pewnością. Zaparło mu dech. Opaska spadła z oczu, ciemny pokój się rozjaśnił.

On jest ich przeznaczeniem.

Przeznaczenie, pomyślał, opatrność, Bóg, jesteśmy zdani na ślepy los, pionki w jakiejś wielkiej grze... *Przeznaczenie, pomyślał, moje przeznaczenie nazywa się Wolzow.*

Gdzie ja miałem oczy, rozum? Moim przeznaczeniem jest człowiek, żywy człowiek z krwi i kości, z mózgiem i bijącym sercem, który uzurpuje sobie władzę nad życiem i śmiercią, ten czy inny, tak jak w tej piwnicy, tak i wszędzie, w całym kraju, w sprawach wielkich i małych... Holt przejrzał na oczy: To ta anonimowość, ten system, tak doskonale uporządkowany, z gradacją stopni i mundurami, ta hierarchia przemocy jest przeznaczeniem nas wszystkich! Wszystko było kłamstwem, oszustwem, Bóg był oglupianiem, a opatrność niczym innym jak wyrachowaniem!

Nie jest to władza ślepego losu nad bezwolnymi skazańcami, nie opatrność nad z góry wytyczoną drogą, nie Bóg nad ziemskimi śmiertelnikami, ale ludzie nad ludźmi, ci, co mają władzę, nad tymi, co

jej nie mają, ale zawsze śmiertelni nad śmiertelnymi!

Przejrzał Wolzowa na wylot. Jeszcze nigdy żaden człowiek nie był dla niego tak przejrzysty jak on. Ten kapral w czapce podporucznika, z głową pełną planów, wykonalnych i niewykonalnych, ale w każdym razie morderczych planów, a jednocześnie naszpikowany wiadomościami, sypiący na zawołanie faktami historycznymi i paralelami, popierający każdy błąd przykładem i każdego zabitego żołnierza przykładem, ten człowiek tam, tak samo jak Ziesche i jego ojciec, jak Böhm, Wehnert i jak się ta cała banda jeszcze zwie, jest symbolem: zbrodniarzem, który uzurpuje sobie władzę nad ludźmi, posyła ich na śmierć, mordercą z powołania i z zawodu. A ja byłem jego narzędziem, jego kreaturą, jego naganiaczem, rozmyślał Holt.

Narastało w nim poczucie winy. Chciało go znowu wtrącić w dawną apatię. Stałem po złej stronie, od samego początku, w Słowacji, na wschodzie, zawsze, do dziś. Brałem w tym wszystkim udział. Milczałem i przyglądałem się beczynnemu. Coś z tego było i we mnie. I teraz jestem winien.

W jego duszy dojrzało zupełnie nowe uczucie: zawzięta nienawiść. Rozumiał teraz wszystko. Rozumiał wyłamanie się spod tego Gomulki, wtedy przy zaporze przeciwczołgowej, rozumiał słowa tamtego starszego strzelca: Tacy oni są! To nie chce wymrzeć, to morduje dalej.

Oni są najgorsi. I. zrozumiał, po czyjej stronie jest jego miejsce: po stronie Seppa, tamtego strzelca, owej Słowaczki, tych ludzi w pasiakach. Spojrzał na Wolzowa: To właśnie tacy jak on są naszą zgubą, i ten tam przygotowuje już nowe mordy, oznacza strzałkami kierunek natarcia i wyjaśnia, dlaczego część sił atakować będzie od północy... część sił, wszystko z tymi pięćdziesięcioma ludźmi!

Jakby łuska spadła mu z oczu: Ten kawałek ziemi, „ten trójkąt z wsiami, szosą, wzgórzem i strumieniem był niczym innym jak tylko ogromną piaskownicą, w której Wolzow igrał z losem ludzi pozbawionych władzy i planował zgubę z bezsensowną i przerażającą rozkoszą człowieka, który pochodzi z istniejącego od dwustu lat rodu morderców.

Za późno sobie to uświadomił, za późno, Lekcewazył i puszczał mimo uszu wszelkie ostrzeżenia: wszystko na próżno, brudna robota, chlorowęglań metylu, rosyjscy jeńcy, siepacze, podwórce szkolne, tartak, pochód więźniów w pasiakach. Byłem ślepym narzędziem zbrodni, wykonawcą bezprawia. Straszliwy bilans! Zmarnował osiemnaście lat, osiemnaście lat go w podły sposób wykorzystywano i okłamywano, a teraz jest winien, winien. Narastająca w nim nienawiść wybuchła jak płomień: Na końcu zbuntuję się przeciw „przeznaczeniu”, stawie mu czoło, jestem silniejszy, zmierzę się z nim.

Nie będę narzędziem Wolzowa.

Wolzow powiedział: – A więc uderzymy natychmiast na wozy Amerykanów. Wypowiedz się co do szczegółów, Holt.

A zatem nadszedł już czas. Na dworze wstawał dzień. Holt wcisnął na głowę hełm. Pomyślał

błyskawicznie: Matka... Ale nic się nie poruszyło w nim przy tej myśli. Ojciec... on mi wszystko powiedział.

Ale rzucił mi prawdę tak, jak się rzuca psu kość, byłem na to za dumny i nie chciałem słuchać tej prawdy, to też jest moja wina.

– No prędko, wypowiadaj się! – zawołał Wolzow niecierpliwie.

Holt wstał i złapał za pistolet maszynowy. Powiedział – Oddział się wycofa albo skapitułuje.

Winkler, przy wyjściu, pochylił się do przodu i spojrzał na Holta zdumiony.

Wolzow oparł się rękoma o stół z mapami i podniósł twarz.

Holt podszedł do radia. Z aparatu rozległ się głos spikera: „Zacięte walki... Rosyjskie czołgi przedarły się między Muskau a Gubinem... Włamały się w rejon Wriezen... wdarły się... włamały się...” – Zamknij radio! – krzyknął Wolzow. – Tu będzie się walczyć do ostatniego żołnierza!

Holt powiedział: – Nie będzie się już więcej walczyć!

– Miej się na baczności! – syknął Wolzow. – Ja już jednego położyłem trupem, własnoręcznie, weź się w garść, bo...

Holt złapał pas Wolzowa razem z pistoletem i rzucił go przez drzwi do ciemnej piwnicy z węglem.

– Skończyło się, Wolzow! – powiedział Holt. Twarz Wolzowa wykrzywiła się z wściekłości.

– Winkler! – krzyknął Holt.

Winkler jednym szybkim ruchem zerwał z haka pistolet maszynowy Vettera. Vetter cofnął

się raptownie i wybałuszył oczy na Wolzowa, szukając u niego pomocy.

Wolzow łapał się nerwowo rękami za mundur, a potem skoczył na Holta. Holt przewrócił

stół z mapami. Ciężki blat przygniótł Wolzowa do ściany piwnicy. Holt poderwał pistolet maszynowy, wymierzył go w Wolzowa i krzyknął:

– Ty już nikogo, więcej nie zabijesz, Wolzow!

Wolzow patrzył sparaliżowany w lufę empi, patrzył na twarz Holta i robił się coraz bledszy.

Na czoło wystąpił mu pot, ogarnęło go drżenie, ale stał bez ruchu.

– Winkler – powiedział Holt. – Obejmujcie z powrotem dowództwo. Nie wracajcie do Bucheck, tam jest podobno SS, idźcie na poradnie przez łąki albo z miejsca do niewoli, jak wolicie... – Nagle głos mu odmówił posłuszeństwa.

Winkler trzymał już rękę na klamce. – Choć ze mną, Holt!

– Przyjdę później. – Drzwi za Winklerem się zamknęły.

Wolzow powiedział chrypiącym głosem: – jest zdrada! Oddział może jeszcze przez dwadzieścia cztery godziny prowadzić walkę w mieście!

Holta aż zatrzęśło: – Wczoraj było ich dwustu – krzyknął – a ilu zostało?!... Chce ci się tu inscenizować historie z podręczników, ale... – Urwał. Dla takiego szkoda słów. – Ja nie jestem stworzony na kata, nie czuję do tego powołania – powiedział po chwili – odchodzę! Tylko nie włącz mi w drogę, Wolzow! – krzyknął jeszcze. – Schowaj się choćby w mysią dziurę, tylko nie włącz mi w oczy!

Stał już w drzwiach. Wolzow, nie czując już wycelowanej w siebie broni, wpadł w szal.

Pochylając się do przodu, krzyknął: – Poczekaj, ty zbrodniarzu! Poczekaj, sprowadzę z Bucheck SS i jeszcze wrócę, będziesz wisiał, zobaczę cię jeszcze na szubienicy obok Wehnerta! – Głos mu się załamał.

Holt trzasnął drzwiami. Szedł wolno przez ogrody ku wyjściu z miasta.

Szosa w dolinie spowita była w mgłę i mgła ta maskowała zarówno wozy Amerykanów, jak i wycofujący się oddział. Holt znalazł rów i wille na skraju miasta opuszczone. Między lejami po bombach leżały trupy. Miasto było zupełnie wyludnione.

Holt stał na skraju miasta przy rozbitym czołgu. Ostatni żołnierze przemykali się chyłkiem przez zarośla i znikali we mgle. Potem nastąpiła cisza. Holt popatrzył w stronę Amerykanów.

Teraz, kiedy już ze wszystkim zerwał i odżegnał się od całej swej przeszłości, czuł się samotny.

Co teraz ze mną będzie? Pomyślał o Gomulce.

Długo tak stał, oparty o zadymioną stal czołgu.

Było już zupełnie jasno. Mgła powoli unosiła się do góry. Holt usłyszał krzyki, musiało to być gdzieś w mieście. Odwrócił się i poszedł w kierunku rynku. Na bruku zadzwoniły podkute buty. Ktoś pędził ulicą ku wyjściu z miasta, był to Vetter. Holt wcisnął się w jakiś załom muru.

Ale Vetter biegł prosto na niego, bez broni i z twarzą człowieka, któremu strach odebrał rozum.

Złapał Holta za ramiona i wybełkotał: – Wolzow... oni go chcą... – I krzyknął: – Oni go chcą powiesić! – Otwierał i zamykał usta jak ryba dusząca się z braku powietrza i wyrzucał z siebie słowa: – SS z Bucheck... ciebie też szukają... ich dowódcą jest Meissner... – I ryknął

zrozpaczony: – Ten Meissner z naszego miasteczka... znasz go przecież!

Może ta scena z Vetterem była tylko przywidzeniem, jakimś strasznym snem, ale nie, bo nagle uderzyło w niego jak piorun: Meissner wiesza Wolzowa! W pierwszej chwili chciał

uciekać, prosto do Amerykanów, szosą w dół, ale znowu wybuchła w nim nienawiść, znowu odżyły wspomnienia: stary Ziesche, tartak, esesmani poganiający więźniów w pasiakach...

I myśl, żeby w tej ostatniej minucie wojny obrócić broń w przeciwną stronę, położyła kres wszelkim rozmyślaniom.

Zerwał się i wąskimi przecznicami biegł łukiem ku rynkowi, odszukał piwnicę zamienioną w bunkier, przemknął się chyłkiem przez ogród i wskoczył do piwnicy. Jednym spojrzeniem ogarnął broń i aparaty które tu zostały. Vetter stanął, cały rozdygotany, przy wyjściu, które prowadziło na ogród. Holt wdrapał się na stos skrzyń pod oknem. Ujrzał na rynku postacie, oddalone zaledwie o pięćdziesiąt metrów, na tle spalonego shermana. Usłyszał krzyk Wolzowa.

Potem krąg ludzi się rozstał. Holt zobaczył Wolzowa ze skępowanymi na plecach rękami jasnożółtym pasem oficerskim, z gołą głową i już ze stryczkiem na szyi. Wleczono go do fontanny, której jeden fragment przypominał kandelabr. Wysoki, jasnowłosy dowódca SS był to rzeczywiście Meissner. Wehnert, chwiejąc się na nogach, stał przy tym i wyciągniętą ręką wskazywał na Wolzowa, który ryczał jak zwierz, jakimś niepodobnym do swojego głosem.

Holt widział to wszystko i na sekundę przysłoniła mu oczy jakby zasłona, ale ta zasłona rozerwała się nagle na dwoje. Zarzucano już stryczek na wystający fragment fontanny. Holt pomyślał: Jedni mordercy wieszają drugich!

Zeskoczył na podłogę. Złapał karabin maszynowy. Vetter stał blady i bezradny w półmroku, z pistoletem maszynowym w rękach. Holt wspiał się z kaemem i skrzynką amunicji na okno.

Odciągnąć zamek, otworzyć wieczko, zamknąć wieczko, odbezpieczyć, celownik trochę niżej, przycisnąć do ramienia.

Niech Bóg się teraz nad wami zlituje!

Wolzow wisiał nieruchomy na fontannie. Esesowcy rysowali się ostro i wyraźnie na muszce.

Holt pociągnął za spust. Gruchnęła seria ognia. Nadszedł wreszcie czas. Rachunek zostanie wyrównany, za tartak, za tych w pasiakach, za rodziców Gundel... Holt czuł się tak, jakby cały –

ciężar przeszłości nagle z niego spadł.

Pierwsza seria powaliła trzech czy czterech esesowców przed fontanną. Druga seria dosięgła Wehnerta, jakiegoś bykowatego faceta i Meissnera, Wehnert padł na brzeg fontanny. Meissner na bruk. Pozostali skoczyli jak pantery w ruiny, Ale też zaraz potem przed otworem piwnicy zawirował piasek i odłamki kamieni. Holt został już wysłedzony i znalazł się w krzyżowym ogniu. Uważać, oni są niebezpieczni, mają rutynę! Już się tu podczołgują. Ale ja też jestem niebezpieczny, udam zabitego. Kaem umilkł. Pięciu, sześciu ludzi wyskoczyło z ruin i rzuciło się w jego stronę. Seria dosięgła ich i powaliła na ziemię. No chodźcie, chodźcie!

Ale SS rozsypało się nagle na wszystkie strony. Holt widział kryjące się postacie i strzelające do niego z prawej strony, jakby sądzili, że i tam jest nieprzyjaciel. Holt strzelał. SS

odpowiadało ogniem. Przed oknem wirował kurz. Holt założył nową taśmę.

Nagle zagdakał pistolet maszynowy Vettera, z tyłu, tam gdzie wyjście z piwnicy prowadziło na ogród. Vetter wrzasnął: – Armiis!

Amis? Holt strzelał do jakiegoś esesowca, który klucząc z prawa na lewo uciekał przez rynek i upuścił biegu karabin, zanim padł na bruk. Strzelaj do SS! Strzelaj naokoło siebie, gdzie tylko się coś rusza. Nadszedł koniec.

Tylko Gundel chciałbym jeszcze raz zobaczyć!

Seria zapędziła jakiegoś uciekającego esesowca za róg. Holt zeskoczył na dół, W ogrodzie trzaskały strzały. Wyrwać się stąd! Nie umierać w piwnicy! Wybiegł do ogrodu. Vettera już tu nie było. Między krzakami przemykały się postacie w mundurach koloru khaki. Holt zderzył się z jakimś Amerykaninem, obaj padli na ziemię, ktoś nadepnął mu na wyciągniętą rękę i wyrwał

mu pistolet, obezwładniono go.

Epilog

Pierwszy obóz był gdzieś w Turynii, na łące, kwadrat wytyczony palami, gruby drut od pala do pala, i dwa tysiące jeńców, oficerowie i żołnierze, pstrokaczna najrozmaitszych rodzajów broni; pomiędzy nimi Holt, od ponad dwudziestu czterech godzin bez jedzenia, bez wody.

Leżał na ziemi, owinięty w płachtę namiotową. Zanotowano już wypadki czerwonki.

Choroba zataczała coraz szersze kręgi. Niebo zaciągnęły chmury. Padał teraz deszcz. Drobny, zimny jak lód deszcz.

Drugi obóz liczył dwadzieścia pięć tysięcy jeńców, zaorane pole, otoczone drutem kolczastym. Padało. Ziemia była rozpulchniona. Jeńcy zapadali się aż po kolana. Nie dostawali nic do jedzenia. Tu też strumień płynący przez teren obozu służył za wodociąg i jednocześnie za latrynę. Czerwonka i biegunka nie oszczędzały nikogo. Zanotowano pierwsze wypadła śmierci.

Holt siedział na mokrej ziemi, z kolanami podciągniętymi pod brodę, z płachtą zarzuconą na głowę, z której kapła woda. Zapadł wieczór. Ziemia po deszczu trochę już obeschła. Błoto ściał

nadciągający mróz. Ciało kostniało. Powoli kończył się ten, który kiedyś nazywał się Werner Holt, junak obrony przeciwlotniczej, junak arbeitsdienstu, strzelec wojsk pancernych.

Od kiedy znalazł się, rozbrojony, pod władzą Amerykanów, napięcie nerwowe nie ustępowało. Przed jego zamkniętymi oczyma przesuwwały się obrazy stojących w płomieniach i wylatujących w niebo czołgów, trupów, kalek, obrazy przerażająco wyraziste, wizje kończącego się świata. Wspomnienia: noc ognia, tartak, postacie w pasiakach... Obrazy gaśły, ich miejsce zajmowała mgła.

Szare niebo, siąpiący deszcz. Jeńcy, plecami oparci o plecy sąsiadów, w błocie. Wartownik po drugiej stronie drutów kolczastych otarł twarz zroszoną deszczem. Lufa karabinu brzęknęła o krawędź hełmu.

Holt nasłuchiwał: szum deszczu, nic poza tym. Wsłuchiwał się w samego siebie: pustka, nic tylko pustka. Odchylił głowę do tyłu. Cieniutkie strugi deszczu biły mu w twarz. Przed oczyma ciągnęły chmury, monotonnie szare. Ostatnia myśl zamarzała.

Obojętność pozostała. Ślepy instynkt zastąpił świadome działanie. Bezsensowne pogłoski wprawiały w podniecenie i budziły rozczarowanie, ale Holt nie brał w tym udziału. Prawdziwa wieść o bezwarunkowej kapitulacji prawie wcale Holta nie interesowała, przeciekające przez druty pogłoski o akcji przesiedleńczej na wschodzie nie docierały do jego świadomości. Wokół

niego dokonywał się proces powolnego umierania. Śmierć z głodu i od tyfusu przypominała o nieprawdopodobnym wprost cierpieniu i nędzy... W milczeniu patrzył na agonię umierających z głodu.

Nazwy obozów: Heidesheim, Kreuznach, Büdesheim... W okolicy winnice i odłogiem leżące pola, drut kolczasty, dwadzieścia osiem namiotów, szeroka ulica obozowa, trzysta tysięcy jeńców.

Bytowali na gołej ziemi, wydrapywali sobie gołymi rękoma dziury i jamy, spali jak zwierzęta, jeden przyciśnięty do drugiego. Padał deszcz, coraz więcej deszczu, mokry śnieg, marzło i tajało, i znowu marzło. W maju nareszcie obóz obsechł. Ale przedtem powymierali już wszyscy starzy ludzie, którzy nosili mundury volkssturmu; śmierć dziesiątkowała ich setkami.

Holt, wymęczony biegunką i wymizerowany głodem, zamieniał się powoli w szkielet. Ale oparł się tyfusowi, który dziesiątkował obóz. Głód zamieniał jeńców w zwierzęta.

Holt był człowiekiem biologicznie wyniszczonym. Włosy mu się skołtuniły, broda rosła. Na wychudzonym ciele mundur wisiał jak na kołku. Pomimo czerwonki i biegunki nie mył się całymi tygodniami. Nie było jak. Sypał w swoje ubranie całe garście chlorku. Wieczny odór chlorku stępił mu zmysły, skóra reagowała na to alergiczną wysypką. Siedział całymi godzinami na ziemi. Zrywał się na nogi tylko wtedy, gdy wydawano jedzenie. Rzadko kiedy stawał przy płocie, jako że był za słaby, żeby bić się o niedopałek papierosa.

Czerwiec przyniósł ze sobą obfite deszcze, a potem męczące upały. Fala upału wykończyła Holta całkowicie. Resztki swoich sił zużywał w kolejce po wodę. To, co się naokoło niego działo, nie docierało już prawie do jego świadomości. Obóz sąsiedni się opróżnił. Nowe pogłoski o zwolnieniu do domu, o wysyłce na roboty do belgijskich kopalni węgla zaczęły krążyć po obozie.

Holt leżał na suchej, spękanej od gorąca ziemi. Nad nim był bezmiar nieba. Naokoło drut kolczasty. Że za drutem istnieje inny świat, z wsiami, miastami, ludźmi żyjącymi już na wolności, o tym nie wiedział trudno było sobie to w ogóle wyobrazić.

Holt podupadał coraz bardziej na siłach, ale mimo to znowu zaczął myśleć, choć jeszcze niezupełnie logicznie i niezupełnie systematycznie, była to raczej chaotyczna gonitwa strzępków myśli, wspomnień i zapadłych kiedyś w jego świadomość treści, które wyłaniały się teraz z zapomnienia. To gorączkowe rozmyślanie bardzo prędko stało się bezprzedmiotowe. Ale z przeszłości wyłaniały się niesamowite wprost obrazy, mgliste, zamazane, bez wyraźnych konturów... Coraz to nowe pogłoski: zwalniają, przekazują Francuzom... Holt przesiadywał

blisko bramy obozowej, spał tam nawet i oddalał się od niej tylko wtedy, gdy trzeba było iść po jedzenie. Czekał, sam nie wiedział na co.

Nic się nie działo.

Południowe słońce prażyło okropnie.

Promienie słoneczne, które kłuły go w zamknięte powieki, wyczarowywały na siatkówce ogniste koła. Holt drżał z zimna w tej spiekocie wczesnego popołudnia, i to uczucie zimna wytrącało go z letargu.

Zwolnią, pomyślał. Dokąd ja pójdę?

Wstał. Zawsze kiedy wstawał z ziemi, dostawał zawrotu głowy. Muszę wrócić do Gundel!

I ta myśl już go nie opuszczała: Muszę wrócić do Gundel.

Któregoś dnia zaprowadzono ich ulicą obozową do sąsiedniego obozu. Dwanaście wielkich namiotów, naokoło jeńcy. Był to właśnie ów mityczny obóz, z którego zwalniano do domu i o którym mówiły wszystkie pogłoski. Holt położył się na ziemi. Następnego dnia rano przeszedł przez szereg namiotów i na końcu jakiś oficer postawił mu pieczętkę na zwolnieniu.

Za winnicą stał pociąg towarowy. Na otwartych platformach leżały kartony z prowiantem, paczki z racjami żywnościowymi, jakie dostawała armia amerykańska, zawierające nawet papierosy. Holt jadł powoli. Leżał na deskach platformy i palił papierosa. Znowu marzył i trząsał

się. Potem zaczął się pocić. Był ledwo żywy. Gdzie szukać Gundel?

Pociąg minął Ren i jechał teraz na wschód, dwa dni. Potem stanął. Konwojujący go żołnierze wypędzili zwolnionych jeńców z wagonów.

Tysiąc wygłodzonych ludzi rzuciło się jak szarańcza na drzewa owocowe, które rosły po obydwu stronach pobliskiej szosy. Kto był za słaby, żeby wdrapać się na drzewo, wrywał z pola główkę kapusty.

Holt nie nasycił się surową kapustą. Coś pchało go na wschód. Jeszcze ciągle nie wiedział, dokąd się udać. Nie do ojca, nie. Do Gundel!

Wędrował przez wsie i wszędzie pukał na próżno. Za zatarasowanymi wrotami szczekały psy na łańcuchach. Zszedł z szosy i trzymał się kierunku północnego. Szedł aż do wieczora.

Wyczerpany usiadł w trawie na jakimś pastwisku, na którym pasły się żrebaki.

Nikt nie chce o mnie nic wiedzieć. Zostać tu w tej trawie. Nie wstawać już więcej. Bo i po co?

Ale muszę przecież odnaleźć Gundel! Ta myśl postawiła go na nogi.

W małym miasteczku nad rzeką szukał Gundel na próżno. W domu adwokata Gomulki mieszkali obcy ludzie. Wszyscy ludzie byli obcy. Wreszcie dowiedział się, że Gundel opuściła to miasto.

Wędrował dalej. Żebrał, odprawiany od wszystkich drzwi z kwitkiem, osłabły z głodu. Spał w rowach przydrożnych.

Rankiem, w chłodzie przed wschodem słońca, czuł się rześki i wypoczęty, ale w upale południa siły go opuszczały. Po południu położył się w krzakach, na krył się płachtą namiotową i spał tak długo, dopóki nie obudziła go po północy spadająca z krzaków rosa.

Wlókł się przed siebie bardzo wolno, ślepy na wszystko, co się wokół niego działo. Nie widział gruzów ani wypalonych czołgów po wsiach, nie widział, jak sprzątano z pól zboże, nie widział zbombardowanych wsi, wysadzonych mostów ani tych tłumów powracających do domu, ani przesiedleńców, których pełno było na wszystkich drogach... Szedł przed siebie, gnany dręczącym niepokojem, dopóki znowu gdzieś w krzakach na parę godzin nie zasnął.

Raz widział swoje odbicie w wodzie jakiegoś wiejskiego stawu. O wiele za duża czaszka, twarz o zapadniętych policzkach, płonące gorączką oczy, nastroszona gęsta broda... To jesteś ty, tyle z ciebie zostało. Jeden wyruszył na wojnę, pełen sił i buty, żeby przeżyć wielką przygodę, spróbować swych sił, przejść przez próbę ognia, przez szkole męskich cnót... drugi wraca złamany, wyniszczony. Pochylony nad wodą, patrzył jak zaklęty w jej zwierciadło. Ja przecież znani ten obraz! Nagle mu się przypomniało: W drodze do tramwaju... do baterii, niósł gruby zeszyt pod pachą... czasopismo... numer specjalny IB: „podudzie...” Twarze takie same jak jego twarz.

Dotarł do Weimaru. Mówiło się tu o jakiejś linii demarkacyjnej, „Nie może pan przecież iść do Rosjan... Tam jest podobno strasznie...” Nic to Holta nie obchodziło, Położył się w parku i widział kilku Amerykanów spacerujących po ulicach. Obudził się, i po bruku terkotał wóz zaprzężony w konie. Na koźle siedział czerwonoarmista.

Holt stał na skraju szosy. Przejeżdżała obok niego ciężarówka z żołnierzami. Holt był za słaby, żeby odczuć tkwiący w głębi strach, który przyspieszał mu i tak już szybki puls. Nie zwrócono na niego w ogóle uwagi.

Drogą ciągnęły tysiące. Nikt nie odwrócił nawet głowy w stronę jednej z tych szarych postaci.

Jakiś dworzec, pociąg pod parą, wszystkie stopnie obwieszane ludźmi, wszystkie przedziały zapchane po brzegi, na dachach żołnierze w obszarpanych szarozielonych mundurach. Holt jechał na buforze. Wieczorem pociąg stanął.

Innego dnia zabrało go jakieś auto, potem znowu trafiła mu się lokomotywa z kilkoma wagonami towarowymi jadąca na północ. Nie liczył dni. Czuł tylko podświadomie, że już czas dotrzeć do celu.

Któregoś upalnego bezchmurnego dnia lipcowego przysiadł na skraju szosy. Sen już go nie pokrzepiał. Dzień i noc trzęsła go febra. Żuł szczaw i lebiodę. Jakiś wóz przejeżdżał obok niego z turkotem, stało na nim łaciate ciele. Holt wdrapał się na wóz, położył się na słomie, a ciele zaczęło lizać go po twarzy swym dużym, szorstkim językiem... Po – południu znalazł się znowu na szosie. Straszliwie osłabiony włókł się już tylko krok za krokiem, głowa opadała mu na piersi.

Tak szedł z godzinę. Zmęczenie kusiło do odpoczynku.

Minęła go jakaś ciężarówka i zatrzymała się. Szofer zaczął grzebać żelaznym prętem w dymiącym gazogeneratorze drzewnym. Holt znowu znalazł się na samochodzie, wśród walizek i tłumoczków, wśród kobiet z niemowlętami, owiniętych w chusty staruszek, mężczyzn o kulach i z kikutami zamiast nóg. Samochód jechał w kierunku dużego, zbombardowanego miasta.

Późnym popołudniem Holt stanął w obliczu straszliwie wypalonych domów i strzaskanych pociskami fasad, a wokół niego płynęli we wszystkich kierunkach ludzie. Minął go przepelniony tramwaj. Na kupie gruzów kobiety podawały sobie z rąk do rąk cegły. Holt wędrował ulicami.

Rozwlekłe, piskliwe tony katarynki, jakiś ślepiec z żółtą opaską na ramieniu. Wąska uliczka, nie uszkodzony dom. Holt wpatrywał się w jego fasadę. W Boże Narodzenie... uciekł stąd, minęła od tego czasu cała wieczność.

Powoli wspinał się po schodach na górę.

„Doktor Holt? Już tu nie mieszka! Rosjanie zrobili go dyrektorem fabryki. Spremberg-AG...

na Mökenbergu...”

Holt powlókł się na przedmieście.

Znalazł budynek z czerwonej cegły. Nad bramą fabryki napis: „Spremberg-AG”. Drewniana tablica z napisem w języku rosyjskim. Przez bramę Holt zobaczył rozległy teren fabryczny.

Ominął portiernię i wszedł. Ktoś za nim wołał. Portier bez lewej ręki, pusty rękaw u koszuli podwinięty aż do ramienia. Holt, z trudem oddychając, oparł się o ścianę. Potem nachylił głowę do okienka portierni. – Szukam doktora Holta. – Bezręki portier poprawił go: – Profesora Holta?

To tu. – Sięgnął po słuchawkę telefonu i z ręką na aparacie zapytał: – Kto pan jest?

Nie, pomyślał Holt, tylko nie powrót... syna marnotrawnego... tylko nie to! Nowy atak febry zgasił wszelką myśl. – Chcę... informacji... Proszę, czy on... czy u niego... czy mu coś... – Zdanie buntowało się przeciwko zakończeniu. – Czy mu coś wiadomo o Gundel Tiess. Adres albo coś w tym rodzaju.

– Gundel? – powtórzył wartownik zdumiony, puścił telefon, przysunął sobie parę leżących na boku dowodów osobistych i zaczął je przerzucać. Ale w końcu odsunął papiery od siebie i mruknął: – To ja już lepiej... – Przytrzymał słuchawkę przy uchu ramieniem amputowanej ręki i nakręcił numer. – Czy jest profesor... W laboratorium? – Nacisnął widelki i nakręcił inny numer. – Panie profesorze... tu jest jeden... żołnierz, chce adres panny Tiess!

Holt tego wszystkiego nie słyszał. Nie widział, że portier kiwnął głową, rzucił słuchawkę na widelki i najwyraźniej zdetonowany wyszedł z budki na drogę prowadzącą od bramy do fabryki.

Holt oparł się o ścianę i patrzył na drogę, migocące na bruku plamki zachodzącego słońca zaczęły mu się nagle kręcić przed oczyma, coraz prędzej.

Usłyszał szybkie kroki, zobaczył białą, rozplywającą się plamę laboratoryjnego fartucha swego ojca, a potem również i ta biała plama zaczęła mu wirować przed oczyma.

Kiedy się na moment obudził, w łóżku, i kiedy zapadał znowu w gorączkowy sen, zabrał ze sobą spojrzenie Gundel.

Table of Contents

[Rozpoczni](#)